

Józef Mackiewicz

FAKTY PRZYRODA I LUDZIE

Józef Mackiewicz

DZIEŁA

Tom 12

Józef Mackiewicz

FAKTY PRZYRODA I LUDZIE

Londyn

Józef Mackiewicz, FAKTY, PRZYRODA I LUDZIE

Narratives selected by Tadeusz Kadenacy

With an introduction by Barbara Toporska

First published in 1984 by Kontra

This new edition published in 1993 by Kontra

28 Lanacre Avenue, London NW9 5FN, England

Copyright © Nina Karsov, 1993

All rights reserved

British Library Cataloguing-in-Publication Data

A catalogue record for this book is available
from the British Library.

ISBN 0 907652 29 8 complete set of DZIEŁA

ISBN 0 907652 31 Xvol. 12

Cover by Andrzej Krauze

Designed and typeset by AP Electronic Services, London

Printed and bound in Great Britain by Cox & Wyman Ltd, Reading

Przedmowa Barbary Toporskiej

FAKTY, PRZYRODA I LUDZIE

Pomysł ocalenia przed niebytem porozsypywanych w prasie emigracyjnej opowiadań Józefa Mackiewicza jest Anonima.

. Może kiedyś, po przychylniejszej zmianie okoliczności, zechce swe nazwisko ujawnić. Wyszukiwaniem tekstów z niekompletnych już „kompletów” czasopism zajął się p. Tadeusz Kadenacy, za co należy mu się wielka wdzięczność. Nie znaczy to, żeby Józef Mackiewicz nie kompletował ich sam. Robił to jak każdy autor. Nie przewidział jednego, że walizka zostawiona na przechowanie u pp. S., gdy wyprowadzaliśmy się z Londynu, przepadnie bez śladu. Oprócz drukowanych tekstów (nie tylko w języku polskim) były tam w niej dokumenty cenne: m. in. trzy numery wydawanego przez nas wiosną latem 1944 r. nielegalnego Alarmu (przewiózł je na Zachód Studnicki), były nasze legitymacje „tatarskie”, o których mowa w „Ucieczce przed wyzwoleniem”, słowem, było to, co się przy przeprowadzce z perspektywą powrotu pragnie zabezpieczyć. Kiedy jakieś dziesięć lat temu (a może już więcej?) pojechałam do Londynu specjalnie po rękopis Drogi donikąd, chciał go bowiem kupić za niebagatelną dla nas sumę śp. Janta Połczyński, pani S. oświadczyła mi, że walizkę z ca-

łą jej zawartością musiała wyrzucić, bo zabierała im w domu za dużo miejsca. Pan S. milczał. „Były tam przecież same stare papierzyska” odpowiedziała na moją uwagę, że przecież powinni byli, ona czy jej mąż, najpierw się z nami w tej sprawie skomunikować... Rozpisałam się o tym incydencie, by wskazać na ogrom pracy, jaki poprzedził wydanie tej książki. A także na stosunek do słowa drukowanego naszej, obrosłej w domki od lokatorów ciasne, emigracji. O czym by więcej powiedzieć mogli, gdyby chcieli, emigracyjni wydawcy i księgarze... „Czy warto te rzeczy wydawać?” pytanie to przy omawianiu projektu padało więc niejednokrotnie z ust autora, który powodzenie swoich poprzednich książek przypisywał, wymierającym powoli, swoim wrogom. Jak się dziś okazało, przeceniał reklamę „patriotycznych” protestów, a nie doceniał swego talentu, ani tej ludzkiej ciekawości dla luki pomiędzy „socrealizmem” i „polrealizmem”, jaką starał się swoją twórczością wypełniać.

Tak było: Józef Mackiewicz do tekstów, zebranych w tej książce, nie przywiązywał należytej im wagi. Pochodzą w większości z lat „tuż po wojnie”, pisane zwykle w pokoiku na poddaszu przy Victoria Road, London W8, w którym ja w tym samym czasie terkotałam na maszynie do podnoszenia oczek, albo z moimi klientkami. Jedną z nich była p. Wanda W., żona pisarza emigracyjnego. Przesiadwała u nas zazwyczaj nader długo. Przychodziła bowiem z całym naręczem pozbieranych u znajomych pończoch do reperacji, i czekała, aż ja „podciągnę” maszynową igłą spuszczone oczka, co ona już zwykłą igłą na miejscu zamocuje. Zarobkiem dzieliłyśmy się pół na pół. Towarzyszyły tej współpracy półgłośne rozmowy, podczas gdy Józef o trzy kroki dalej pisał przy stole pod pochyłym sufitem te swoje, nazywało się, felietony. „Jak to dobrze” zauważyła raz pani Wanda, „że Panu Józefowi nic a nic nie przeszkadza, jak my tu sobie gwarzymy. Mój mąż, gdy pisze artykuł do Dziennika, to wyrzuca mnie nie tylko z pokoju, ale woli, żebym sobie w ogóle gdzieś wyszła z domu”. Dopiero więc teraz, po latach, już liczonych w dziesiątkach, kiedy odczytywałam głośno teksty do tej książki z płacht fotokopii, przesyłanych z Londynu, ich autor jakby odkrył ich wartość. A z nim razem cieszyłam się i ja zmartwychwstaniem owych, jeszcze za świeżej pamięci spisywanych, wspomnień.

Fakty, przyroda i ludzie. Tytuł jest mój, czuję się więc powołana go uzasadnić. Wszystkie zdarzenia, w tej książce opisane, są jak najbardziej prawdziwe, i jestem tu koronnym świadkiem. Literackie walory relacji nie powinny nikogo wprowadzać w błąd: Nie są to „opowiadania” w tym sensie, jakim określa się rodzaj literacki, konkurujący z coraz większym powodzeniem z klasyczną nowelą, ale jak i ona korzystający z praw beletrystycznej fikcji. Właśnie dla utrzymania jednolitego charakteru książki odrzuciłam, jako jej współredaktorka, z nadesłanych materiałów parę bardzo ładnych te-

któw, „realistycznych”, lecz nie autentycznych. Oczywiście, nie przy wszystkich tu opisanych zdarzeniach byłam fizycznie obecna. Znałam je jednak z relacji „na gorąco”, z małymi wyjątkami, np. „Początki obrezi”. Ale i za tę historię z czasów Pierwszej Wielkiej ręki mogę na podstawie przekazywanej ustnie tradycji w rodzinie autora, że jest autentyczna pod kamuflażem fikcyjnych nazwisk i imion. (Brak mi w tym opowiadaniu epizodu, jaki mnie specjalnie bawił: Oto siostra autora, dlaczegoś w tej relacji pominięta, chociaż była jak najbardziej obecna przy napadzie bandytów na dwór w Kowieńszczyźnie, została wkrótce potem z całym ceremoniałem błogosławieństw i ostrożności wyekspediowana do Wilna dla złożenia tam jakichś egzaminów. Czekano na jej powrót z niepokojem i bodaj jeszcze większym łaknieniem wiadomości o prognozach wojennych z „szerokiego świata”. Przywiozła. I wypaliła od progu z pałającymi policzkami: Że narzeczony pewnej panienki przebrał się za księdza i zasiadł w konfesjonale, żeby ją wyspowiadać! „Ależ to prawda, moje koleżanki ręczyły mi, że to najprawdziwsza prawda!” broniła się przed surową admonicją starszych dam.)

Jedno natomiast muszę w tych wspomnieniach sprostować. Mieszkaliśmy nie dwanaście kilometrów od Wilna, jak uporcezywie powtarza autor, ale piętnaście! Nie takie ważne? Owszem, ważne. Dwanaście to było wydrukowane na przedwojennych biletach kolejowych, czyli od dworca wileńskiego do stacji Czarny Bór. Nie w tym rzecz, że mieszkaliśmy już w lesie, na skraju osiedla. W tym, że począwszy od drugiej okupacji sowieckiej w czerwcu 1940 roku musieliśmy do miasta chodzić piechotą. Za czasów sowieckich można było jeszcze ryzykować przejazd bez biletu, wyskakując na semaforach przed dworcem w Wilnie. Bilet bowiem na jednorazowy przejazd do Wilna można było kupić na naszej stacji tylko za okazaniem zezwolenia z gminy, odległej o osiem km. Czyli trzeba by było zrobić szesnaście dla przejechania owych dwunastu! Podczas okupacji niemieckiej zatrzymywały się w Czarnym Borze („Juodsilai” od jesieni 1939 r.) tylko dwa razy dziennie „Dienstzugi”. Jeden wczesnym ranem w kierunku Bieniakoń, i ten sam powrotny już pod wieczór. Korzystałam z nich czasami, jeżdżąc „na handel” do puszczy. Ale do Wilna trzeba było chodzić piechotą. Tam i nazad, to trzydzieści kilometrów, a nie dwadzieścia cztery. Tu każdy kilometr ważny. A do tego poza granicami miasta nie wolno było się poruszać po zachodzie słońca. Czyli zimą na ten „spacer” po śniegu (narty zabronione) miało się czas od mniej więcej ósmej rano do trzeciej po południu. Dom wprawdzie można byłoby zostawić zamknięty na kłódkę, w owym czasie obecność czy nieobecność gospodarzy nie chroniła od nieproszonych gości, i wracać nazajutrz, gdyby nie zwierzęta, które należało karmić. I w tym miejscu do sprostowania dołącza się moja pretensja: że w tych tekstach tak mało, „półgębkiem”, o mnie — to ostatecznie można podciągnąć pod fakt psychologiczny; ale że brak w nich „dobrego słowa” o naszych stworach, wiernych,

pociesznych, a i użytecznych, jak te hodowane przeze mnie na „normach duńskich” świnki na rozplodowe maciorki, z czego dochód, bo chyba i przy największym głodzie nie przeknęlibyśmy kawałka mięsa z Veli i Laveli, dwóch podwórzowych indywidualistek, a jednakowo darzących nas przywiązaniem i zaufaniem („chodzą za panią jak pieski”, dziwowały się sąsiadki, spotykając mnie z nimi na spacerze) — o to mam żal. Wytłumaczenie przecież łatwo się znajdzie. Ten zbiór czy „wybór” pism Józefa Mackiewicza nie był ani pisany, ani pomyślany jako pamiętnik. Inspiracji do wspomnień dostarczała towarzysząca pisaniu terażniejszość. Dominował w niej fakt nowej okupacji sowieckiej, tym razem już całej Polski. Aktualnych refleksji dostarczały wrażenia z poznawanego Zachodu. Miszka, Karaś, Kajtek, Jacek i inne czworonogi, a także dwunogi mały Ryś, który długimi okresami z nimi kolegował w naszym gospodarstwie, wszystko to, do czego się człowiek kiedyś budził i z czym zasypiał, całe to „z dnia na dzień” straciło nagle swoją ówczesną ważność.

Przyroda. Priroda Bogdanowa była najulubieńszą lekturą ucznia pierwszej klasy gimnazjum Winogradowa w Wilnie. Aż mu wychowawczyni, Jelizawieta Pietrowna, zwróciła uwagę, że nie może wypożyczać ze szkolnej czytelni ciągle tej samej książki. Umówił się wówczas z kolegami, że oni będą brali dla niego Prirodę, a on na swoje imię książki, jakie zechcą. Inne wspomnienie z dzieciństwa, do którego Józef często powra-

8
cał: Ciotka Stefcia z Petersburga przywiozła mu w prezencie na Boże Narodzenie grubego Brehma. Rzecz jasna, po rosyjsku. Przypisano to jej brakowi taktu, z jakiego słyneła w rodzinie, i po jej wyjeździe próbowano książkę „rosyjską” odebrać.

Mówi się, że przeżycia z dzieciństwa mają decydujący wpływ na kształtowanie charakteru. Wątpię jednak, by to zamiłowanie od dziecka do przyrody, i nawet późniejsze studia ornitologiczne, jakie rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim, zrobiły z Józefa Mackiewicza „mistrza opisów przyrody”. Przynoczone tu epizody zaowocowały, moim zdaniem, czym innym: niechęcią do językowych patriotyzmów. Studia przyrodnicze dokonały reszty: z punktu widzenia biologicznego wszelki nacjonalizm jest bzdurą. Wprawdzie jego pierwszym utworem napisanym i drukowanym był opis Puszczy Białowieskiej, w której przebywał z ekspedycją naukową, ale twierdzi, że o zmianie zawodu zdecydowały Stracone złudzenia Balzaca. Balzac, o ile pamiętam, nie interesował się ani trochę krajobrazem. Przerzuceniu się do dziennikarstwa pomogło powodzenie owej „Puszczy Białowieskiej”, ale życie bohemy wileńskiej na pewno nie sprzyjało obserwacjom przyrodniczym. Najpiękniejszy wschód słońca, oglądany po pijanemu z okna podmiejskiej knajpy, nie jest inspiracją do literackiego opisu. Jak nie jest nią najwspanialszy nawet widok w podróży autem, z którego wysiadło się na chwilę, aby popatrzyć i rozprostować nogi. Można, naturalnie, silić się, by go

opisać, talent dużo może i pomoże, będzie to jednak taki opis, jaki czytelnicy ukradkiem przepuszczają w czytaniu, a znawcy twierdzą, że należy do przestarzałej konwencji literackiej. I mają rację. Czy to poszło od dam dworskich, przebijających się za pasterki, czy od królewskich i arystokratycznych parków z wnętrzami stylizowanymi na „naturę”, czy dla jakichś rozumniejszych przyczyn, dość że każdy powieściopisarz od zarania tego gatunku w XIX w. po dzień bez mała dzisiejszy uważał za konieczne co kilka, kilkanaście stron wstawiać „opis przyrody”. I nie wiem, czy przez niechęć wynika z tego, że najpiękniejsze w polskiej literaturze zadawano nam w szkole do wyuczenia się na pamięć, czy po prostu przez zainteresowanie się fabułą, z którą niewiele lub zgoła nic nie miały wspólnego, przerzucałam te pół do półtorej stronki arcydzieł sztuki prozatorskiej tak właśnie, jak pędząc po autostradzie mija się bez żalu miejsca obejrzenia warte, lecz bez związku z celem podróży.

U Mackiewicza przeciwnie. Każdy ma prawo posądzić mnie o stronniczość, na to nie poradzę, lecz niech sam sprawdzi: topografia, stan pogody, jakość gruntu itp. szczegóły są w jego powieściach ściśle związane z akcją. I nauczył się ich obserwacji nie od Brehma i Bogdanowa, i nie na wykładach uniwersyteckich, cokolwiek by sam o tym sądził, ale na wojnie, w tej ruchomej wojnie polsko-bolszewickiej, kiedy zagajnik, wykrot w gruncie, w który zawalić mógł się koń z jeźdźcem, były sprawą życia i śmierci. A kto pracował, bo musiał, czy to przy wyrębie lasu, czy przy szosowaniu dróg, czy przy zwózce kamieni, drzewa lub choćby śniegu, kto pracował siekierą, piłą i łopatą, a nawet motyką i kosą we własnym ogrodzie, nie mówiąc już o wyprawach przemysłowych, ten wie, jak ważną rolę odgrywała w tym „przyroda”. Wszystko, co się pod tym słowem mieści.

Lubię nie bez przekory cytować piękny opis letniego zachodu słońca z Pana Tadeusza:

I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabliska suwane po lace,
Ucichły i stanęły: tak pan Sędzia każe,
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
„Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba;
Słońce, Jego robotnik, kiedy znidzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola”.
Tak zwykł mawiać pan Sędzia; a Sędziego woła
Była ekonomowi pocziwemu świętą...

Tak pisał bez ironii nasz największy poeta i redaktor Trybuny Ludów, i również bez ironii chwalił ten epos nasz dzisiejszy największy poeta, Miłosz, za — cytuję z pamięci — metafizyczny, czy nawet „sakralny” ład istnienia. Można się domyślać, że ani jeden, ani drugi grabi (najlepsze i do najlepszej pracy przeznaczone narzędzie rolnicze) nie trzymał w rękę. Bo słońce u nas w kraju, a więc w „Soplicowie”, wstawało latem o trzeciej, a zachodziło o dziewiątej wieczorem. Ładny mi ład! Osiemnaście godzin pracy w polu...

Ludzie. I co za tłok! Niewiele tu wspomnień o ludziach, którym udało się, jak nam, wymknąć z pułapek wojny. I przygotowując te teksty do druku miałam często wrażenie, że już sama poruszam się w zaświatach, i dlatego zapewne nie udało mi się wymyślić innego układu dla książki, jak ciąg chronologiczny według dat ich pierwodruków. Bo CO i KTO jest najważniejszy w tej zaświatowej „tołkuczce”? Pewno ci „błogosławieni nie zauważeni”, bo jak pomieścić wszystkich nawet w jednej ludzkiej pamięci? Wyobrażam sobie, że każdy czytelnik w zależności od swego wieku, pochodzenia, zainteresowań, czy braku zainteresowań historycznych, znajdzie w tym zbiorze epizod, jaki go jakoś specjalnie wzruszy, czy pobudzi do refleksji, czy się po prostu „spodoba”. Dla mnie jest to wielkie REQUIEM nie tylko dla kraju i jego mieszkańców z resztków po Wielkim Księstwie Litewskim, ale także REQUIEM dla tych szczątków ludzkiej przyzwoitości, jakie pozostawił po sobie wiek XIX. Ów wiek najfatalniejszych filozofii i najszlachetniejszych zasad postępowania. Nosicielem jednych i drugich była świecka inteligencja. Nadzieją na stały postęp — najhumanistyczniejsza literatura. I oto okazało się, że nie poczucie przyzwoitości ustanawia granice „tego nie wolno”, ale że to ideologie, wysnute z głów, najpocziwszych może osobiście, filozofów — burzą, lub z wolna podgryzają normy owej przyzwoitości. Jaki bowiem wspólny mianownik znaleźć dla politycznych sprawców trzech, opisanych m. in. w tej książce, zbrodni: masakry internowanych oficerów polskich w Katyniu, masakry Żydów w Ponarach, i masakry, względnie masakry na raty, Kozaków nad rzeką Drawą w Auhrlri? Co miał wspólnego w tym kontredansie wojen i sojuzmów komunizm, hitlerizm i nihilizm panów Churchilla i Roosevelta? Wydaje mi się, że kult siły, ten sam chociaż o różnych metrykach. Owo „wszystko wolno”, zwłaszcza wobec b»liłbnych, słabszych i bezbronnych. „Realizm polityczny”, któ- !<•#) niemoralności nikt dziś nie kwestionuje, wyszedł z tej wojny w brudnych... rękawiczkach. Jak ci elegancy oficerowlr angielscy, szafujący „słowami honoru”, aby okłamać ofia- i y wydawane oprawcom. Być może tylko mnie, ale ci właśnie „dzentelmeni” wydają się bardziej straszni niż pijani żołdacy w IV inarach i zapewne równie podpici enkawudziści w Katy- itlu. Kaci, oprawcy, ci zawsze byli, są i będą. I ów „realizm polityczny” suflował niewątpliwie od wieków w gabinetach

11

możnych tego świata, ukryty jednak wstydliwie za parawanem wzniosłych racji. Co tu przeraża, to ta jakaś zwyczajność w łamaniu już nie praw, wpisywanych w traktaty międzynarodowe, konwencje haskie, co kodeksów zawodowej i zwykłej przyzwoitości.

Na Wileńszczyźnie o człowieku złym, albo uczynku ha- niebnym mówiono „niegodny”. Czyli nie licujący z godnością, do której aspirował nie tylko oficer, ale i szewc, i listonosz, i wieśniak, i sklepikarz z żydowskiej „kramki”.

Większość tekstów zebranych w tej książce opowiada o takich właśnie nieważnych egzystencjach, bynajmniej nie „szarych”, chociaż na oko pasujących jak ulał do szarej sowieckiej beznadziejności. Ci się nie potrzebowali przebierać. Pamiętam bowiem ulice Wilna po wkroczeniu bolszewików we wrześniu 1939. Wszyscy panowie w cyklistówkach i bez krawatów, panie zdjęły kapelusze i makijaże, a prymadonna operetki założyła beret, skórzaną kurtkę i czarne długie buty. (Żał mi Janiny Kulczyckiej, bo przepadła. Zakochał się w niej jakiś wysoki komisarz i osobiście przypilnował, żeby z nim opuściła Wilno przed wkroczeniem Litwinów. Potem słuch o niej zaginął.) Powinowactwo tych wspomnień z Buntem rojstów, wydany w Wilnie w 1938 r., wydaje mi się oczywiste. Jest to bowiem jakby kontynuacja zapisu wydarzeń, prowadzących do tragicznego końca tej ojczyzny, którą Mackiewicz uważał za swoją, chociaż dawno zniknęła z map, ale jakoś wbrew nowym państwowościom bytowała w mozaice wieloplemienniej ludności, aż zgotowały jej koniec odgórnie sterowane nacjonalizmy i wrogi wszelkiej różnorodności — bolszewizm.

Tu wypada, zwłaszcza przez wzgląd na młodych czytelników, wyjaśnić: Przed wojną, w Wilnie, Józef Mackiewicz był niemal instytucyjnym obrońcą krzywdzonych i pokrzywdzonych. Nie miało to nic wspólnego ze „społecznikostwem”, nic z socjalizmem, nic ze „sprawiedliwością społeczną”. Chodziło o sprawiedliwość polityczną, łamaną — niestety — w tempie przyspieszonym przez administrację polską wobec ludzi, których on uważał za swoich rodaków niezależnie od ich języka, wyznania, czy narodowości, do jakiej się przyznawali, a często określali pojęciem „tutejszy”. W nomenklaturze Drugiej Rzeczypospolitej natomiast były to „mniejszości narodowe”,

12

które należało polonizować. Służyła temu polityka kolonizacyjna, najbardziej drażniące i boleśnie odczuwane przez małorolnych chłopów osadnictwo wojskowe, szykany wobec ludności prawosławnej (prawosławie na tych ziemiach było starsze od katolicyzmu, o czym nie wiedzieli przysyłani z zachodu urzędnicy, traktujący w swej ignorancji zarówno język Statutów Litewskich, jak i religię książąt Wielkiego Księstwa jako wpływy „rusyfikacji”) i tak dalej, i temu podobne, aż do palenia cerkwi prawosławnych. Albo: aż do podziału na Polskę A i Polskę B. W ten sposób niefortunnie faszyzujący Obóz Zjednoczenia Narodowego (w skrócie OZON) niejako zrezygnował w imieniu Rzeczypospolitej z praw dziedzictwa po W. Ks. Lit., traktując niepolskich autochtonów jako obywateli drugiej kategorii. W jeszcze drastyczniejszy sposób wyzbywała się praw spadkobierstwa po państwie wielonarodowym z przewagą słowiańską młoda Republika Litewska. W prawdziwym szaleństwie nacjonalizmu językowego, w litwinizowaniu nie tylko żywych, ale i umarłych (np. Wielki Książę Witold przechrzczony został na „Vitautasa”, chociaż w żadnych, a licznych, kronikach pod taką postacią go nie znaleźć) po zajęciu (niechęć-

nym, to odnotować wypada) Wilna i Wileńszczyzny w 1939 r. przekreśliła raz na zawsze pojęcie „Litwa”. Już nawet nie to, >.v. dorożkarzom wileńskim naznaczono termin, w którym ma-ju się nauczyć trudnego obcego języka (polski OZON też wpadł na koncept, by rabinów żydowskich poddawać egzami-nowi z języka polskiego, od którego wyników zależało, czy ra-bin może być nadal rabinem), już nawet nie wybryki szauli-stowskiej młodzieży, ale sam pomysł, żeby narzucić status „obcokrajowców”, połączony z ograniczeniem ich praw, wszy-stkim urodzonym poza aktualnymi granicami „małej Litwy”! Nawet tym z miejscowości o nazwach pochodzenia litewskie-go, jak np. Druskieniki. Walka z tymi szaleństwami „Galileu-szy z Kowna”, jak ich nazywali niektórzy Litwini wileńscy, skończyła się dla Mackiewicza odebraniem mu koncesji na wydawanie pisma. Wcześniej przyszedł zakaz wspominania w naszej ówczesnej Gazecie Codziennej nazwy Wielkiego Księ-stwa Litewskiego. Co chyba było ukoronowaniem wstępu do historycznej przeszłości władz państwa, legitymującego się je->{o historyczną nazwą.

Obrona praw politycznych obywateli ojczyzny, której wskrzeszenia żaden z nacjonalizmów nie chciał, zaowocowała
13

dla nas w sposób niespodziewany w styczniu 1945 r. w Wied-niu. Tatarzy. O ile pamiętam, to pan Smajkiewicz, Tatar, i to z sowieckiego Mińska, wystąpił z inicjatywą, że „Mackiewicz-o-wi należy się za jego stosunek do prześladowanych i prześla-dowanych bezpłatna pomoc”. Czyli włączenie do ekipy pod zmyślonym szyldem „Ostturkmenische Waffen SS”, szykują-cej się do dalszej ucieczki na zachód na spotkanie wojsk alianckich. A więc do Włoch. * „Führer” tej ryzykownej afery, Bari Chalecki, chociaż z kowieńskiej Litwy, przyjął tę propo-zycję tak, jakby działalność publicystyczną Józefa Mackiewi-cza znał doskonale. Tym sposobem oszczędziliśmy, z nie po-siadanych zresztą pieniędzy, 4 tysiące marek. Polacy, Rosja-nie, Gruzini, co z tej tatarskiej imprezy korzystali, stanowiąc nota bene większość tatarskiego „transportu”, płacili po 2 ty-siące od osoby, z czego lwia część szła na łapówki dla odpo-wiednich urzędników w odpowiednich urzędach rozpadające-go się imperium Trzeciej Rzeszy.

Zabawne w tej historii, że ani Józef, ani ja nie potrafimy sobie przypomnieć, żeby on kiedykolwiek interweniował w sprawie Tatarów. Była to rzeczywiście „mniejszość”, nie wa-dząca władzom; na Litwie zachowała historyczną nazwę „Ta-tarów Litewskich”, w Polsce zmieniła ją bez skrzywienia na „Tatarów Polskich”, więc mogło chyba chodzić o pewien incy-dent, gdy jakiś gorliwy polonizator zapragnął wieś nad rzeką * Miał tam walczyć czy stacjonować oddział (oddziały?) pod tą nazwą. Oczywiście, nikt z naszego „transportu” ich nie szukał, Po dobrnięciu do Mediolanu ci, co nie zginęli po drodze od bomb, rozpierzchli się, rządząc prywatnie po sublokatorskich pokojach. I nikt się już bladobłękitnymi legitymacjami z półksiężycem i gwiazdą nie legitymował. Ba! Po opublikowaniu

wspomnień o tej wyprawie, które czytelnik znajdzie w rozdziale „Ucieczka od wyzwoleniec (str. 173), niektórzy z naszych towarzyszy podróży z Wiednia do Mediolanu mieli za złe autorowi, że „ładnie on nas urządził”. No cóż? Po tej wojnie wszyscy rzekomo byli „wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec”... A mnie, choć tyle cennych pamiątek straciłam, tych „tatarskich” legitymacji, co miały być wyrzucone z całą walizką przez pp. S., jakoś specjalnie żal. Nazywałam się tam Bahryje Jańcia, a Józef — Jusuf Jańcia. Jańcia — to był kiedyś używany przydomek Mackiewiczów. Pewien uczony orientalista, Turek, poznany przez nas już w Rzymie (nazwiska nie pamiętam), twierdził, że to bardzo dobre tatarskie nazwisko: Jańcia.

14

Waką, od czasów Witoldowych noszącą nazwę „Sorokotatar”, przezwac na „Czterdziestu Tatarów”. W każdym razie w Buncie rojstów śladu tatarskiego nie ma.

A może... i to wydaje mi się w tej chwili najprawdopodobniejsze, pan Smajkiewicz miał wówczas na myśli bezkompromisowy antybolszewizm Mackiewicza, o czym mógł wiedzieć już przed wojną z wymyślań mińskiej radiostacji. Bo, zaprawdę, nikt nie prześcignął Sowietów w nieprawościach i prześladowaniach, jak gdyby wszyscy niezależnie od narodowości, wyznania, pochodzenia, rzemiosła, stanu zamożności i niezamożności... stanowili „mniejszość” do wykarczowania lub przedukowania w „naród sowiecki”. O czym Mackiewicz nigdy nie zapominał.

* * *

Był zwyczaj na konferencjach polsko-niemiecko-amerykańskich, w których Józef brał kiedyś udział, osobistego przedstawiania się przez jej uczestników. Kiedy przyszła na niego kolej, zadeklarował:

Józef Mackiewicz

zawód: pisarz

narodowość: antykomunista

przekonania: kontrrewolucjonista

kraj pochodzenia: Europa Wschodnia.

Niektórzy z obecnych potraktowali to za dowcip.

BARBARA TOPORSKA

15

PONART — „BAZA”

Jeszcze nie tak dawno las wbijał się klinem w miasto Wilno. Mianowicie w to miejsce węzła kolejowego, z którego wybiegają jego obydwie południowe odnogi: na Lidę i na Grodno. Tu rósł na wzgórzach, aż go przetrzebiono po tamtej Wielkiej Wojnie i pozostawiono tylko dęby. Później wycięto i dęby, zostawiając jedynie krzaki leszczyny, gdzieniegdzie młodą jarzębinę i temu podobne leśne nic-potem. lirowy i kozy kolejarzy, pasące się w tych chrustach, wyszargały krzaki, objadły korę, zdeptały skarpy. Potem zabrano je pod teren wciąż rozbudowywanej stacji Wilno-Towarowa, zbrukano przy rym pyłem węglowym, zadymiono z kominów. Wreszcie wybudowano jakieś składy wojskowe czy amunicyjne.

Ale wzgórze to ważne jest dlatego, że odeń ciągnie się ich dalsze pasmo, aż do coraz wyższych, do dziś dnia wciąż jeszcze zalesionych i malowniczych, przebitych opodal tunelem i na kilometr od jego przeciwległego od Wilna wylotu, zaszczyconych (bo na szczycie) stacją-przystankiem: Ponary. Góry Ponarskie znane są od dawna. Znane są ze swej malowniczości, z wysokości swych sosen, z poematu Mickiewicza, z bitwy rozegranej tu w r. 1831 pomiędzy wojskami polskimi i rosyjską gwardią carską. Zresztą z wielu bardzo wcześniejszych i późniejszych okoliczności. Tamtędy przechodzą szosy, które zaraz za starodawną kapliczką rozbiegają się jak palce u ręki w czterech ukośnych kierunkach: na stację Ponary, na Grodno, na Wakę i Landwarów, na Rykony i Kowno. Tam, koło przystanka kolejowego zbudowano miastogród, po naszymu zwyczajne lotnisko, ale mogące być

17

uzdrowiskiem, bo choć sosny przerzedzone zostały przez liczne wojny i najazdy (od roku 1914 było ich piętnaście), pachnie tu żywicą rok okrągły, a na jesieni grzybami i zimnym, potężnym wiatrem, który nawiewa świeżość ze wszystkich stron kraju. Rosną też wyjątkowo wysokie wrzosi, na tej jałowej, piaszczystej, suchej, zdrowej dla płuc glebie. Wrzosi nie przynoszą pożytku, ale nadają okolicy jej tylko swoisty koloryt. Podkreślają tę siność, ten smutek, którego źródłem są rdzawo jednostajne pnie drzew, wczesne mgły i bezmierne dalekości horyzontu.

Kto kochał swój podwileński kraj rodzinny, ten kochał oczywiście Ponary. Zimą bywały tam tereny narciarskie. Wstyd przyznać, ale były też tereny... pojedynkowe. Panowie, którzy dali sobie nawzajem po mordzie w knajpie, albo nawymyślali po pijanemu, albo zniesławili w druku — zwyczajem kraju, przyjeżdżali tu z kodeksem „Bożewicza” i staroświeckimi pistoletami. Brnąc zawsze po kolana, bo czy to we wrzosiach czy w śniegu, odmierzali potrzebną ilość kroków i wyciągali przeciw sobie długie lufy. Pstry dzięcioł przestawał stukać i z niedowierzaniem przechylał głowę, wiewiórka podłaziła wyżej, aby się lepiej przyjrzeć... Szoferzy, którym od świtu nie dano spać, ziewali w taksówkach aż do wymiany strzałów.

Ponary zasłynęły też pewną zbrodnią. Przywieziono tu kiedyś autem do lasu zamordowaną kobietę, rozebrano, oblanono naftą i spalono. Spódnica i bielizna wisiały na drzewach. Cały kraj był wstrząśnięty, przyjeżdżali do Ponar reporterzy i fotoreporterzy, śledztwo trwało latami, sprawców nie wykryto. A mrozące krew przypuszczenia... Takie to były czasy. Wszystko to było, wszystko runęło. Przyjemność lotniska, piękność okolicy, siność horyzontów, narty, pojedynki i wstrząsające zbrodnie pokojowych czasów, zatrzaśnięte zostały już tylko w pamięci bezpowrotnej, i mogą dziś być oglądane chyba jak przez szybę, przez którą żebrak spoziera na klejnoty.

Ponary stały się w tej wojnie uosobieniem niesłychanej

dotychczas grozy. Na dźwięk tych sześciu liter zakończonych „ypsylonem” truchlał niejeden człowiek. Ich ponura, odrażająca sława przesączała się z wolna od roku 1941, jak lepko cieknąca krew ludzka, coraz szerzej, coraz szerzej po kraju i z

18 kraju do kraju, ale nie objęła jeszcze świata całego, do dziś dnia.

* * *

W roku 1940 założyli w Ponarach bolszewicy, na spiłowanym bezmyślnie kawałku lasu i odebranych od ludności terenach, jakieś nikomu niepotrzebne przedsiębiorstwo państwowe, wielkie place otaczając, swoim zwyczajem, mocnym płótem i drutem kolczastym. Z tak zniwelowanego terenu skorzystali Niemcy w r. 1941 i użyli pod miejsce kaźni, uruchamiając tu jedną z największych w Europie rzeźni Żydów. Nikt nie wie dlaczego i kto właściwie przezwiał ten teren: „bazą”. Do Ponar podwożono ciężarówkami, a następnie całymi transportami kolejowymi, tysiące Żydów i zabijano.

Dalekim echem spływały z tych wzgórz., het, w wielokilometrowy krąg, pojedyncze strzały, krótkie, urywane, gęste, trwające nieraz wiele godzin, albo na przemian terkoczące seriami broni maszynowej. Odbywało się to w różnych terminach, prawie wyłącznie w biały dzień. Nieraz kilka takich dni z rzędu, przeważnie ku wieczorowi, lub rankiem. Bywały tygodnie, a nawet miesiące przerwy, a później znów, zależnie od kierunku i siły wiatru, od pory roku, mgły czy słońca, rozchodziły się mniej lub więcej wyraźne postukiwania masowej rzezi.

Miałem nieszczęście mieszkać, wprawdzie przy drugiej z rozwidlających się od Wilna tras kolejowych, ale tylko w odległości ośmiu kilometrów od Ponar. Początkowo w kraju, tak nasyconym wojną i wojną, jak nasz, nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na strzały, które bez względu na kierunek skąd pochodziły, wplątały się już były w normalny poszum sosen, nieomal jak rytm znajomy deszczu, bijący jesienią o szybę. — Ale razu pewnego wchodzi na podwórko moje szewc, który odniósł polatane buty i, opędzając się od kundla, tak, dla zagajenia rozmowy, powiada:

— Ale cości dziś bardzo Żydków naszych stukają na Ponarach.

Nadsluchuję: istotnie.

Czasem to takie, głupie zdanie utkwii w pamięci jak drzazga i przywołuje skojarzone z nim obrazy chwili. Pamięlum, że słońce zaczynało się wtedy kłonić, a właśnie na zachodnim, na ponarskim kierunku, rosła w moim ogrodzie rozłożysta jarzębina. Była jesień późna.. Stały kałuże po ran-

19 nym deszczu. Na jarzębinę zleciało stado gilów 1 stamtąd, od ich czerwonych brzuchów, czerwonych jagód i czerwonego nad lasem słońca (wszystko się tak ułożyło symbolicznie), szły nieustanne strzały, wbijane w słuch z metodycznością gwoździ.

Od tej chwili, od wizyty tego szewca, żona moja zaczęła zamykać nawet lufciki, ilekroć stamtąd biegło echo. Latem nie mogliśmy jadać na werandzie, gdy w Ponarach zaczynała się strzelanina. Nie przez poszanowanie dla cudzej śmierci, a tak, po prostu, kartofle z mlekiem nie chciały jakoś przełazić do gardła. Zdawało się, że cała okolica lipła od krwi. Po roku 1942, gdy do Ponar zaczęły zjeżdżać masowe transporty skazańców, w lasach biegali Żydzi, którzy się wyrwali z kręgu konwoju, przeważnie postrzeleni, zupełnie tak samo, jak biega ranna zwierzyna. Błąkali się pokrwawieni, krwawiąc pod sobą mech, czy liście, wcale nie sprytniejsi od dzikiego zwierza, który też nie potrafi zatrzeć po sobie śladów. Pewien stary Żyd, ze szczęką oderwaną przez kulę, umarł aż w odległości 10 kilometrów od Ponar, zaszyty w rojsty na torfiastej łące. Ani w ich ruchach, ani w ich ucieczce, w sposobie chowania, w ich bełkoczącym z głodu i przerażenia języku, w ich fantastycznych łachmanach i ranach, a głównie w ich oczach pozieleniałych dzikością, nie było już nic człowieczego. Tropiono ich też tak samo jak zwierzynę. Szli więc policjanci-strzelcy, z psami, z nagonką. Kobieta, dziecko, dziewczyna młoda, mężczyzna-Żyd, to nie robiło różnicy. Ranny, czy zdrowy, czy umierający właśnie gdzieś pod krzakiem jałowca strzelany był po prostu na miejscu i tropiciele szli dalej. Sołtys miał tylko później nakazane wyznaczyć wóz czy sanie i trupa odwieźć w oznaczonym kierunku. Żydzi wiedzeni już nie ludzkim odruchem, a zwierzęcym instynktem przedśmiernej ucieczki, tak samo jak zwierzęta unikali siedzib ludzkich, psów, głupich dzieci, które z czujnym okrzykiem i oznajmieniem nowiny, biegły do wsi wskazując palcami miejsce, gdzie wypadkiem spostrzegły ludzkiego potwora. Bezwzględnie stosowany przepis karał śmiercią każdego człowieka, który by Żydowi udzielił schronienia, a chociażby kawałka chleba, czy nawet tylko wskazówki, który by wiedząc nie powiadomił policji. A policja ta złożona z mętnych opryszków, których Niemcy werbowali na Litwie i przywozili do Wileńszczyzny, nastawiona była nie tylko na zabijanie

20

Żydów, ale gnębienie ludności, na rabunek, szantaż i picie samogonu. — Strach zaś jest najpodlejszym doradcą człowieka.

* * *

A jednak żyli ludzie nawet w samych Ponarach. Mniej ich było. Polowa, tj. w ogóle kto mógł, zatrzasnął drzwi, werandę i okna pozabijał z płotu wyciągniętymi deskami i przenosił się do miasta, czy do innej okolicy. Ale byli tacy, którzy nie mogli. — Życie ludzkie toczy się w wąskich, obciosanych ramach, obciosanych z trudem, a już podczas wojny większym niżli w okresie pokoju. Żadne bydło nie potrafi się tak dostosować do warunków, tak obgłaskiwać nawet przez grozę, tak do wszystkiego na świecie się przyzwyczaić, jak — człowiek. Przez stację Ponary szły pociągi i z „Generalnej Guberni”, i dalekobieżne z Berlina na front i z frontu, lokalne z Kowna,

podmiejskie i robocze z i do Wilna. Ludzie więc kupowali bilety, jechali, wracali, jedli, spali. Żyje ich tyle wokół rzeźni zwierzęcych na całym globie ziemskim, dlaczegoż by po kilku latach nie mieli się przyzwyczaić do życia w bliskości rzeźni ludzkiej?

Zdaje się, że było to w październiku roku 1943 — ... Wieluż to do tego czasu i od tego czasu wymordowano Żydów w Ponarach? Niektórzy twierdzili, że tylko 80 tysięcy. Inni, że 200 tysięcy do 300 tysięcy. Naturalnie nie są to cyfry wiarygodne. Trzysta tysięcy ludzi! Ludzi!!! To się łatwo wymawia... ale cyfry te niewiarygodne się zdają nie tyle ze względu na ich wysokość, co na fakt, że nikt z całą stanowczością, nawet w przybliżeniu, ustalić ich nie mógł. Wiadomo jest, że mordowano tam wszystkich żydowskich mieszkańców miasta Wilna, co musiało stanowić około 40 tysięcy. Poza tym zwożono Lydów transportami ze wszystkich mniejszych i większych miast kraju okupowanego, bodajże z całego tzw. administracyjnie „Ostlandu”. Zwożono ich rodzinami z getta, bądź też z robót sezonowych, po których zakończeniu nie wracali do >Lrtta, a jechali na śmierć.

A więc w październiku 1943 roku zaczął się okres masowego zwożenia Żydów do Ponar. Nikt naturalnie nie był o tym uprzedzony, ani nie wiedział, czy po ostatniej masowej egzekucji nastąpi jeszcze jedna, czy też dłuższa przerwa.

Jeden z moich znajomych, który od początku chwycił się liyl /-a głowę i zaklinał, że dnia nie wytrzyma dłużej, bo osza-

21
leje, wytrzymał jednak bez mała trzy lata. Miałem do niego interes pilny. Nie przyjechał na umówione spotkanie do Wilna, więc nazajutrz pożyczyłem rower i rankiem ruszyłem do Ponar.

Ranek nie był dżdżysty, raczej tylko śliski. Co chwila przednie koło roweru wybiegało w płytką kałużę i co chwila jakiś liść ze ścieżki, bury, przylepiał się do gumy i obracał z nią kilkakrotnie, odpadał jak coś niepotrzebnego, a później lipnął drugi. Nad górami Ponarskimi wiatr pędził chmury pod chmurami, postrzępił je całe i powyciągał wzdłuż, ale do błękitu nieba nie mógł się przedrzeć. W wąwozach było cicho. Na drogach bocznych pusto-pustynno i woda deszczowa nie zmacona przejeżdżnym kołem, stała w koleinach. — Dla kogoś rejestracja tych prostych faktów wydać się może błahą i niepotrzebną. Dla mnie była ona dekoracją jednego z największych przeżyć życia. Minałem bokiem tunel kolejowy, wjechałem w brzeźniak. Rower tu szedł po złotej ścieżce usłanej z liści i szeptał gumami: lip, lip, lip. A zaraz za brzeźniakiem wpadłem na wartownika. Był to Estończyk, z formowanych przez Niemców krajowych oddziałów SS. Czerwony na twarzy, jakby podpity dobrze. Zrobił ruch, że chce mnie zatrzymać, ale popatrzył tylko zamglonymi oczyma i puścił. Pojechałem ścieżką koło toru kolejowego.

Już z oddali widać było stojący na stacji pociąg osobowy. Stanął na bocznym torze, bez pary. Ścieżka znosi mnie w dół,

pod nasyp i oto mijam widok, który z wieloma tego dnia, utkwił mi chyba na zawsze w pamięci. Pod niskorosłą sosenką, wyrastającą, jak wiele w tych okolicach, dwoma pniami w kształcie liry, stoi drewniany stół. Na stole kilka wysmukłych butelek litewskiej monopolowej wódki, pocięty chleb i zwoje kiełbasy. Jakby stragan na odpuszcie. Stół otacza kilkanaście postaci w mundurach. — Nacisnąłem pedał. — „Halt!” powiedział Niemiec w mundurze gestapowca. Wyjąłem dokumenty i odczuwam, że to wszystko razem jest wstrętne, ta wódka, i te twarze pijących, i to, że mnie serce skacze pod gardło, i te zwoje kiełbasy, i fakt, że ten chleb pokrajał ktoś z takim pietyzmem na równe kawałki, a zwłaszcza ten stolik i dlaczego on się kiwa? Nie mogli to postawić go równiej? i co to ma w ogóle znaczyć? Kilku Niemców z Gestapo, kilku czarnych SS. Przeważają policjanci litewscy, ale też jakaś zbieranina w jas-

22
nych niemieckich mundurach z odznakami litewskimi, łotewskimi, estońskimi, ukraińskimi...

— Wofahren Sie hin? — pyta Niemiec, oddając mi papie-

ry-
Tłumacząc, że do swego znajomego w osadzie. Kiwa głową i nożem, który trzymał cały czas w ręku, zabiera się do kiełbasy, a później dorzuca spokojnie: „Tylko musi się pan spieszyć”.

„Po co oni piją tu tę wódkę?”... i nagle wyjeżdżam przed pociąg. W tym miejscu leżały w poprzek ścieżki porozrzucane podkłady kolejowe, więc zsiadłem z roweru i zaczynam na chwilę wszystko rozumieć. Bardzo długi pociąg (wówczas nie przyszło mi na myśl policzyć jego wagony) wypchany Żydami. Wyzierają zeń twarze, czasem do ludzkich twarzy niepodobne, ale i inne o normalnym wyglądzie, niektóre nawet uśmiechnięte. Pociąg obstawiony jest policją. Jakoś to wszystko wygląda mi za prosto, jakoś nie tak, jak dyktowała dotychczas wyobraźnia. Czy podobna, żeby tych tu... ich wszystkich... Stałem wsparty o rower i w tej chwili jakaś młoda Żydówka wychyla się z okna wagonu i wprost, najnaturalniej w świecie, pyta policjanta:

— Czy prędko pojedziemy dalej?

Policjant spojrział na nią, nie odpowiedział i miarowym krokiem wartownika wybierając podkłady pod stąpanie, odszedł, a zrównawszy się ze mną, powiedział w półuśmiechu... (a nie był to uśmiech zły, ani zawstydzony, ani wesoły, raczej głupkowaty), powiedział wtedy:

— Ona się pyta, czy prędko pojedzie?... Ona już za pół godziny może żyć nie będzie.

Patrzę w to okno. Widzę jej twarz, a tam, tam pod łokciem wyłazi głowa dziewczynki i nawet coś na jej włosach na podobieństwo kokardki. Na dachu wagonu skaczą wróble. — I dziwna rzecz, ja myślę w tej chwili: „Ona pojedzie i dziewczynka z łachmankiem zamiast kokardki pojedzie i oni wszyscy, cały pociąg. To raczej wartownik się myli”... ale gdy tak myślę, czuję, że nogi pode mną drżą. Ktoś wrzeszczy, bym tu

nic stał. Odchodzę i wzrok mój pada na ten nieubłagany napis, wymalowany czarnymi literami na białym tle: „Ponary”. Tablica jak tablica, wsparta na dwóch słupach, słupy wkopane w ziemię. To wszystko bardzo proste i takie same jak tab-

23
lice innych stacji. Wszystkie one zawsze stoją naprzeciw zatrzymanego pociągu i przemawiają doń swymi literami. Odchodzę za siatkę, przedzielającą w tym miejscu ślepy tor... „P” jak Paweł... „onary” same to nic nie znaczą, pusty dźwięk i w tej chwili dźwięki dochodzące z pociągu zaczynają brzęczeć, zrazu jak rankiem obudzony ul; później coś w nim rzezi, potężnieje chrobot u zamkniętych na głucho drzwiczek, jak chrobot tysięcy szczurów, później robi się rwetes, gwałt straszny, przechodzi w ryk, wrzask, wycie... pękają uderzone pięściami szyby, trzeszcza, trzeszcza, a później łamią się pod naporem poniekąd drzwi. — Policjanci zaroili się, zwielokrotnili w oczach, zabiegali gestykułując i zrywając karabiny z pleców. Dał się słyszeć metalowy trzask zamków i ich, policjantów, dziki, groźny ryk, w odpowiedzi na ryk ludzi zamkniętych w pociągu.

Zobaczyłem jeszcze, jak wróble uleciały z dachu wagonu, a będąc już oddzielony metalową siatką od fatalnego toru, zdążyłem wskoczyć pod okap budynku stacyjnego. Chwała Bogu, stało tam jeszcze dwóch kolejarzy w mundurowych czapkach. Nie byłem sam. Trzymam kurczowo rower i podświadomie czuję, że wobec tego co nastąpi, tego najstraszniejszego, co nastąpić musi, ten rower, ci kolejarze, do których przylgnałem, to stanie w miejscu bez ruchu, to jedyna legitymacja na prawo dalszego życia. Stłoczyliśmy się razem za rym rowerem jak za szańcem, bo uciekać nie było już gdzie.

Żydzi zaczęli wyskakiwać z połamanych drzwi wagonów, a naprzeciwko biegli w sukurs straży, oprawcy w różnorakich mundurach. Z okien zaczęto wyrzucać tłumoki i walizki i oknami też wyłazili Żydzi, sami niechlujni i nieforemni, jak ich worki i pakunki. To było dziełem kilku sekund. — Pierwszy strzał padł w sposób następujący: jakiś Żyd wysiadał właśnie tyłem przez ciasne okno, spuścił nogi i wystawił właśnie siedzenie, a policjant podskoczył i z odległości jednego kroku — strzelił mu w tyłek. Strzał padł głośny i zaraz zerwały się wrony z pobliskich drzew. W ogólnym harmiderze nie było słychać, czy krzyczał trafiony, załopotwały tylko jego zwieszane nogi, w podciągniętych prawie do kolan nogawicach, tak że z bosych nóg spadł jeden kalosz, a drugi zadyndał na sznurku, przywiązany do kostki. Powstał upiorny wrzask i lament i wycie i płacz i ze wszystkich stron naraz gruchnęły strzały,

24
gwizdnęły kule, spadły z chrzęstem łamanych kości i pękających czaszek, uderzenia kolb. — Ktoś skakał przez rów i trafiony między łopatki, spadł weń jak ciemny ptak z rozczapierzonymi na kształt skrzydeł ramionami. — Ktoś pełzł na czworakach pomiędzy szynami... Stary jakiś Żyd zadarł do

góry brodę i wyciągnął ręce do nieba, jak na biblijnym obrazku i naraz chlupnęła mu z głowy krew i kawały mózgu... Potoczyły jakieś koszyki-kobiałki... wywrócił się w biegu jeden policjant... Tiuuuu! gwizdnęła kula... Tam leżało dlaczegoś kilku ludzi jeden na drugim... Cicho, w poprzek szyny leżał może dziewięcioletni chłopak i choć, gdyby krzyczał nie dosłyszeć by jego głosu, to widać było, że nie żył już, bo nie drga. — Zakotłowało się pod kołami wagonów, bo tam większość szukała ratunku i tam ich najbardziej polewano z broni maszynowej, jak z sikawek, w ciemną masę złachmanionych postaci. — Oto zeskakuje ta młoda Żydówka, płowe Jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona w nieludzkim strachu, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwytą córeczkę... Nie mogę patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi, a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy. Nie powtórzy tego żadna litera wymyślona przez ludzi!

... Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka. Ja nie słyszę, ale widzę z ułożenia ust małej, że woła ona: „marnie!”... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka i nachylona ku przodowi chwytą matkę za włosy. — Czy wy myślicie, że ci oprawcy, kaci, gestapowcy, SS-mani, że ta policyjna hołota, zwerbowana do mordowania, nigdy się nie rodziła jak my, nie miała matek własnych? Kobiet? — Mylicie hłc. Są oni właśnie z tej ludzkiej gliny, po ludzku—zezwierzęceni, bładzi jak śnieg, który tu kiedyś spadnie, są jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłądnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu... Bo jakżeby wytłumaczyć można, *r len oszalały kompletnie policjant chwytą Żydówkę za prawu nogę i usiłuje wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z gę- I»U lak przekrzywioną jakby ciętą na ukos szablą, dokąd?! po roV! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczepia za szynę, apódnica zjeżdża do pasa, odsłaniając szare z brudu majtki, ti dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i 25

ciągnie je ku sobie i nie słyszać, a widać jak wyje: „Mammme!”... Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew... Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok... A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami, uwiązanymi w ciemieniu kawałkiem łachmanka w kokardkę i... zamknąłem oczy, a zdawało mi się, że ktoś zadzwonił. Zadzwonił istotnie, kolejarz ściskający konwulsyjnie kierownicę mego roweru wpił się palcami w dzwonek, kurczowo nim targnął mimo woli, przechylił się naprzód i rzyga; rzyga na żwir peronu, na opony przedniego koła, sobie na ręce, mnie na buty, rzyga w drgawkach, podobnych do konwulsji tych, w jakich umierają tamci na szynach...

Żyd chciał przeskoczyć rampę, ranny w nogę padł na kolana i teraz słyszę wyraźnie i kolejno: płacz, strzał, rzeźenie... Ach, a ten co robi ?!!! Ten tam, obok, o czterdzieści kro-

ków, nie dalej, w czarnym mundurze! Co on chce zro... Rozkraczył nogi koło słupa, stanął ukosem, zamachnął się dwiema rękami... Sekunda jeszcze... Co on ma w ręku?! Co on ma w tych rękach?! Na rany Jezusa Chrystusa! na rany Boga! coś wielkiego, coś strasznie straszego!!! zamachnął się i — bęc głową dziecka o słup telegraficzny!... Aaaa! aaa! aaa! — zakrakał ktoś koło mnie, kto taki — nie wiem. A w niebie... nie w niebie, a na tle tylko nieba, zadrgały od uderzenia przewody drutów telegraficznych.

Nie wszyscy Żydzi opuścili pociąg. Większość została skuta strachem, sparaliżowana w ruchach, z tą iskierką zapewne nie tyle nadziei już, co raczej obłędu, że — to nieporozumienie, że im powiedziano przecież oficjalnie, że „jadą na roboty do Koszedar”. (Tak mówiono wszystkim transportom, które zawijały do Ponar.) Byli też tacy, co wyskoczyli, a później struchleli, stanęli wyprostowani przy wagonach, skamieniali, jakby lojalnością swej śmierci chcieli się od niej wykupić.

Tych strzelano na miejscu, tak jak stali.

Jak długo mogło „to” trwać? Bóg jeden, który patrzył na pewno, a widział nawet poprzez gęste chmury tego dnia, mógł policzyć minuty. Widocznie jednak zbliżała się jedenasta, bo od południa biegł pociąg pospieszny z Berlina przez Wilno do Mińska, nie zatrzymujący się w Ponarach. Maszynista, widząc tłumy ludzi na szynach, z oddali już gwizdał wściekle i widać było, że hamował. Ale stojący u wylotu stacji gestapowiec zamachał energicznie, żeby się nie zatrzymywał. Maszy-

nista dał parę boczną, syczącą w białych kłębach i zakrywając na chwilę widok, przejechał po trupach i rannych, krając tułowia, kończyny, głowy, a gdy zniknął w tunelu i rozwiła się para, ostały już tylko wielkie — kałuże krwi i ciemne plamy bezkształtnych ciał, walizek, tobołków, leżały do siebie wszystkie podobne i nieruchome. I tylko jedna głowa, ucięta u samej szyi, która potoczyła się na środek przejazdu, widoczna była wyraźnie jako głowa człowieka.

Pociąg z resztą Żydów stał już gęsto obstawiony strażami, a strzały dochodziły jeszcze częste, ale już bardziej oddalone, po lesie i wśród zabudowań osiedla.

Mówiono później, że kilkudziesięciu Żydom udało się jednak uciec. Resztę odprowadzono na „bazę”. Mówiono dalej, że takich transportów przybyło w tym miesiącu około siedmiu.

Mówiono też, że zastosowano specjalne środki konwojowe, które by zapobiegały na przyszłość podobnym wypadkom, którego ja byłem świadkiem.

OrzełBiaty 1945 nr 35 (170)

27

„WIL RE”

Rzym w listopadzie

Słońce zachodziło. Podłużna, koloru pomarańczy chmura wisiała nad kopułą dalekiego Watykanu. W dole Rzym. Schodami na via Dataria wchodzili i schodzili ludzie. Był wtedy maj. Z wózkami dziecinnymi przed portyk królewskiego pała-

cu wyjechały rodziny dworskiej służby. Nieruchomo stała warta i sztandar, sztandar Domu Sabaudzkiego, wysoko na maszcie, na wieży, zwisał bez wiatru. Białe rabaty karabinierów różowiały w tym świetle. Na bagnetach gasł promień. Mijała epoka — dnia.

Przyjaciel mój patetycznym gestem zatoczył ręką nad ćwierć Rzymem, uchylił usta i — nie powiedział słowa.

Ale tego wieczoru na Placu Quirinale działo się coś jeszcze, co go wyróżniało od normalnego widoku, który jest zawsze piękny. Pomimo warty i lokajów stanowiących zazwyczaj barierę wjazdową głównej bramy zamku, do wewnątrz wchodzili gęstym strumieniem ludzie. — Nie chcę robić żadnej propagandy i zresztą obowiązkiem moim, obcokrajowca przytulonego w obcym państwie, jest nie-robić-propagandy i nie brać niczyjej strony. Chcę tylko opisać. Ludzie więc, którzy wchodzili, stanowili szary tłum, charakteryzowany od czasu powieści Fallady mianem „szarego człowieka”, pieczętowanego kurzem ulicznym, szli złożyć swój podpis w księgach hołdowniczych dla swego króla. Jeżeli kiedykolwiek o manifestacji powiedzieć można, że jest spontaniczna i przy tym nie przymknąć figlarnie jednego oka, to była nią właśnie ta, nie tylko z góry nie nakazana, ale robiona wbrew sferom rządzącym tego kraju, w którym król siedział jeszcze, trwał, ale

28

trwanie przy nim jego poddanych było rzeczą raczej ich kompromitującą. — Powiadam tedy, szary tłum uliczny. Nie byli więc burżuje z typu plakatów sowieckich, nie zajeżdżały limuzyny bogaczów, a szły zdeptane trzewiki mieszczan, robotników, straganiarzy, grubych i cienkich Włoszek. Być może o Innej godzinie, zajeżdżały też drogie auta. Ja nie wiem. Ja byłem około ósmej wieczorem, tylko raz.

Pałac królewski brzydki jest z boku, od ulicy, i piękny od frontu, z placu tej samej nazwy. Farba rudej wiewiórki, którą Jest malowany cały Rzym, prześlicznie wygląda o zachodzie słońca. Okna się jarzą szybami; jest coś z dziecinnych wspomnień w tych notorycznych blaskach i człowiek tęskni do „dobrych starych czasów”, tak nieraz przesadnie idealizowanych we wspomnieniach i z taką namiętnością wykpiwanych przez tych, którzy dziś pstrzą świat znakiem sierpa i młota. Przed referendum „Monarchia czy republika” zakładano w Mediolanie 6 do 1 na korzyść republiki. Taka miała być przeciętna w całych Włoszech.

„A południowa Italia, a Neapol?”

„No cóż — powiadano — jeden Neapol, zacofany i brudny. Monarchiści? Phi, załóżmy 1 do 3 też na korzyść republiki. Zresztą w Neapolu ludzie do dziś opowiadają jeszcze legendy o Burbonach i nie lubią Domu Sabaudzkiego”.

Wszystkie partie są republikańskie. Nawet Chrześcijańska Demokracja całą połowę przeszła pod skrzydło republiki. Sprawa beznadziejna, panowie reakcyjniści! — Tymczasem M/.tandar wisiał wciąż jeszcze. W chwilach, gdy go podrywał Hlrocco, łopotał na wietrze. Straż stała. Władza króla, zdawało

hlc na oko, zmalala do odcinka od skrzyżowania ulicy Quiri-
l isile z Quatro Fontanne i XX Settembre, a konczyła o
'K)0 metrów dalej na placu. Jego manifest do narodu zdarty
hyl wszędzie i tylko kilka afiszów pozostało na tej trasie.
Aż przyszło referendum.

Nudziły mnie zawsze parlamentarno-parryjne, we-
wnctrzno-polityczne peregrynacje. Co one mają reprezento-
wać i kogo? Naród?! Bzdura. Referendum włoskie wykazało
i uz Jeszcze absurdalność oficjalnej tzw. linii podziału wewnę-
I r/.nego układu sił politycznych.

Im bardziej się zbliżał dzień decydujący, tym więcej się
niptem ukazało na murach napisów, które później zalały
WNzystkie miasta: „Wil Re”. — Podwójne „W” oznacza w skrót-
29

cie: „viva”. Viva ii Re. Niech żyje król. Sytuacja zaczęła się
klarować. Wreszcie powiedziano sobie otwarcie, że partie są
republikańskie, ale nie reprezentują nastrojów narodu.

Dziś sprawy te mają posmak starzyzny dziennikarskiej.

Spóźnionego o pół roku sprawozdania z wypadków. We Wło-
szech ustanowiona została republika, ponoć oficjalnie tylko
200 tysiącami głosów przewagi. Ile w tym prawdy, a ile fał-
szu, nie będę rozstrzygał. Rozstrzygała podobno Caserta, tzn.
miejscowość, w której się mieści główna kwatera aliancka. O
formule tego republikańskiego zwycięstwa mówiono w ten
sposób: jednemu z wielkich mocarstw zależało na obaleniu
monarchii. Innym mocarstwom zależało zaś i zależy w dal-
szym ciągu na tzw. zdobyciu zaufania i wykazaniu rzetelnej
„dobrej woli” w stosunku do tego mocarstwa. O tym twierdzą
głośno wszyscy mężowie stanu, którzy chcą pokoju za cenę,
którą jeszcze skłonni są uważać za przystępną. Taką ceną
m. in. była nie tylko Polska i głowa Michajłowicza, ale i znie-
sienie monarchii, oczywiście nie... w Grecji. — Zresztą gada-
nia na ten temat też już ucichły i powracać by do nich nie
wypadało, gdyby ciągle jeszcze... ciągle na chodnikach, w po-
przek całej szerokości jezdni nie widniały pięknie wymalowa-
ne korony i olbrzymie jak koń litery: „Wil Re”. „Viva Monar-
chia”, „Wil Umberto”. Policjanci, którzy dziś służą republice,
spokojnie regulują ruch na tych napisach, szorują po nich
opony samochodowe, stukają podkowy dorożek konnych i
obcasy kobiet. Włosi są narodem gestykującym, ale nie
skłonnym do uporczywej zwady. U nas, na wschodzie i pół-
nocy, białą farbę tego rodzaju symbolów polewałaby zapewne
nieustanna krew. Tu przechodzi się ponad nimi, nie w prze-
nośni, a dosłownie do swych spraw codziennych. Ale ani tar-
cia gum samochodowych, ani deszcze jesienne, ani wreszcie,
rzecz najważniejsza, miesiące, które wciąż płyną, ani poźółkłe
liście platanów, nie są w stanie zatrzeć, zasłonić, czy chociaż-
by zmniejszyć liczby wykrzykników: „Wil Re!”

W tym nagłym przyptywie uczuć monarchicznych we Wło-
szech było jednak coś więcej i coś mniej zarazem niż przywią-
zanie do dynastii, czy formy rządu. Był to racze] protest prze-
ciw nowemu ustrojowi, nie dlatego, że ma być republika, a

dlatego, że niesie ze sobą zarazki tej powojennej epidemii politycznej, od której wszystkich w Europie bolą już kości. Mo-30

narchia stała się w ten sposób nie problemem wewnętrznym, a rodzajem schronienia, ostoją, bunkrem przed inwazją — zewnętrzną.

Toteż obrazek, który tu chcę przytoczyć, nie ma nic wspólnego z zasługami czy błędami politycznymi Domu Sabaudzkiego, ani jego poszczególnych królów. Nie jest ilustracją wiernopoddańczego przywiązania ludu z jednej, południowej strony, i czerwonej penetracji płynącej zagłębieniem rzeki Po, z drugiej strony. Obrazek jest, że się tak wyrażę, ponadwłoski, jest symboliczny dla powojennej Europy. Od Wiosny Ludów roku 1848 brakuje mu tylko dwóch lat, ażeby stać się stuletnią rocznicą hasła nie tylko splugawionych, ale przestoczonych w absurd, w który wepchnięto nas dziś wszystkich, świat cały. Dlatego to paradoksalne odwrócenie sytuacji uważam za tak charakterystyczne:

Rzecz działa się w Neapolu, w wieczór i noc z 4 na

5 czerwca 1946 roku. Po jednej stronie czerwony sztandar z sierpem i młotem, powiewający na balkonie trzeciego piętra przy via Medina, po drugiej stronie dziesięciorysiężna ciżba proletariatu, która usiłowała ten sztandar zedrzeć, zdeptać, spalić. Proletariat niósł chorągwie królewskie i portrety monarchy, a czerwonego sztandaru broniły kordony policji, żandarmerii, karabiny maszynowe na autach pancernych...

Zacząło się o godzinie ósmej wieczorem. Właśnie w tej chwili mała Polka, która przeszła okropieństwa powstania warszawskiego, podeszła do okna i zapłakała:

„Mamusiu! będą znowu strzelać!”

Mama wzięła ją na ręce. Za oknami pęczniał ogromny tłum, który posuwał się w jednym kierunku, wznosząc okrzyki i wymachując pięściami. Tramwaje stanęły. Było to zaraz |K> ogłoszeniu prowizorycznych wyników referendum, w którym Neapol, głosujący w 90 procentach za monarchią, dowiedział się, że ma mieć wprowadzoną republikę. Tłum rósł i gestykulował swoim zwyczajem. Włosi nie są narodem wojowniczym. Ale mała dziewczynka na ręku Polki dała to sobie jedynie z trudem wyperswadować, zanim przestała płakać.

W tym miejscu było skrzyżowanie ulic, tworzące rodzaj placu. Na prawo biegła ulica San Giuseppe, na lewo wąska gardziel via Medina. Czwarty dom od rogu na trzecim piętrze mieścił partię komunistyczną, która z balkonu wywiesiła

31
ogromną flagę obcego mocarstwa: na czerwonym tle sierp skrzyżowany z młotem.

W każdym innych okolicznościach, w każdym rozsądnie administrowanym państwie, sądzić wypada, że nawet w bajecznym „carstwie-gosudarstwie”, udałby się na to trzecie piętro jakiś komisarz policji i jeżeli nie nakazał, to przynajmniej poprosił, grzecznie przykładając rękę do czaka: „Proszę na kilka godzin usunąć sztandar, który się może stać przyczyną

niepokojów, zamieszek, krwi przelewu i wielu niewinnych ofiar. Bardzo proszę. Dobrze? Per favore". — Rzecz by się na tym wyczerpała. Ale nie domyślili się tego uczynić ani dzierżący władzę lokalną, ani żadne komisje alianckie, tak czule na spokój uliczny okupowanego kraju. Nie domyślili się, czy... nie śmieli?

Zamiast tego skoncentrowano kontyngenty żandarmerii z bronią maszynową, policji, wojska, auta pancerne, zamknięto gardziel via Medina i chroniono czerwonego sztandaru, jakby to był skarb ludzkości.

Nierówność i niesprawiedliwość dzieląca obydwie strony była rażąca. Po jednej organizacja, broń maszynowa i wszelkie środki, którymi rozporządzają dziś liberatorzy świata. Po drugiej masa bezbronnego tłumu, pchana wewnętrznym impulsem, pozbawiona kierownictwa. Nie wiedzieć dlaczego komunistom wolno było mieć broń i czynić z niej użytek, a tłum przestrzegano przed „prowokacją”. Nierówność ta z góry przesądzała wynik akcji. Jest rzeczą znaną, że założeniem każdej rewolucji, jeżeli ma mieć widoki powodzenia, musi być jej organizacja idąca z góry. Ta próba „rewolucji monarchicznej” w Neapolu nie tylko posiadała wszelkie cechy spontanicznego odruchu, ale razila wprost swą żywiołowością, brakiem jakiegokolwiek kierownictwa. Ludzie szukali wodza, mówcy, ośrodka. Z kurczową, naiwną, wprost dziecinną wiarą w słuszność swojej sprawy oglądali się za jakimś sojusznikiem, za jakimkolwiek poparciem. Najpierw oklaskiwano każdą czerwoną czapkę żandarma angielskiego, który się pojawił na placu, każdy samochód amerykański. Ale kamienne twarze o maskach „Herrenvolku” nie wyrażały współczucia. — Gdy w tłum ruszyły pierwsze auta pancerne włoskie, oklaskiwano ich żołnierzy długo i frenetycznie z nagłą nadzieją wzruszenia ich flagą włosko-królewską, portretem Umberta wymachiwanym na kiju.

32

Siedziałem jak w łożu, naoczny świadek paradoksalnej sceny współczesnej Europy, wygodnie, na balkonie „Albergo Europa”, właśnie w środku akcji, na rogu ulicy San Giuseppe. Dziwiłem się razem z tymi z dołu, jak to żołnierze własnej ojczyzny traktować mogą własnych współobywateli, jedynie dlatego tylko, by zrobić przyjemność obcemu mocarstwu, które im odbiera ziemię, flotę, kolonie i pieniądze. Bo w międzyczasie wyjaśniło się ostatecznie, że program tej „rewolucji monarchicznej” zredukowany został do jedyne go tylko postulatu wybijającego w pasję: zerwać, usunąć z balkonu sztandar z sierpem i młotem! Pasja narastała.

Auta pancerne z wyciem syren poczęły szarżować tłum, oddając strzały w powietrze. Przesztano je oklaskiwać. Najgorszym rozgoryczeniem jest gorycz rozczarowania. Ludzie wyrwać poczęli kamienie z bruku, sztachety, łamać kioski i orientacyjne tablice kierunkowe wojsk alianckich. Tym wszystkim rzucano w auta. Budowano liche barykady, roztrącane Jednym dotknięciem zderzaka. I auta wciąż na nowo wyjeżd-

dżały z gardzieli ulicy Medina i rozpraszały demonstrantów.

.Jakaż barierę im przeciwstawić?

Ktoś wpadł na pomysł. Widziałem jak tłum zaklaskał nagle, zakołysał się, ucieszył. Oczywiście! Puste beczki po benzynie i deszczulki po drogowskazach to nie są barykady! Ale chrst szlaban, poprzez który nie ośmielą się przekroczyć brudnymi oponami kół. — Narodowy sztandar włosko-królewski rozłożono w całą szerokość jezdni. Bravo! Bravissimo! Niech Icrasz spróbują! — Istotnie, pierwsze auto przyhamowało, zawahało i szofer zręcznie wyminął na chodnik, ale sztandaru nie ośmielił się zdeptać. Lecz... co to?! Drugie, z całym rozpędem jedzie, tratuje narodowe barwy, za nim trzecie, czwarte... Zwinął się czerwono-biało-zielony z krzyżem w środku i /mieszał z kurzem ulicznym. A czerwony nadal dumnie powiewa. — Tłum zawył.

Ostatnia próba: jakiś Włoch rozdzierając szaty, zawinął nic sam w sztandar królewski i położył w poprzek jezdni. Szał oklasków! Auta zawróciły i jadą. Są coraz bliżej. Nastąpi ciemność. Cisza nieomal dziwna w mieście południowej Italii. Wieszór dawno już zapadł. Duże nietoperze krążyły wokół latarni ulicznych. Uchwyciłem mocniej za poręcz balkonu... Ach, Włosi są jak dzieci. To nie jest naród, którego gestykulacja i tik odpowiada werwie serca. Za dużo pięknych kobiet i kiepskiego wina. — Facet poderwał się w ostatniej chwili, nie wytrzymał i uciekł, ciągnąc za sobą sztandar królewski, jak opadającą spódnicę. To była klęska moralna.

Wtedy dopiero doszło do walki fizycznej. Ze sprowadzonych tramwajów utworzono zator. Rozerwano kordon policji. Tłum dotarł do gmachu, w którym mieściła się komuna, podpalił benzynę, zdobył drugie piętro. Rzucił ogniem na trzecie, by spalić czerwoną płachtę. Zaczęła się bitwa. Komuniści strzelali z balkonu. Policja z ulicy, z dachów okolicznych domów. Zajazgotwały karabiny maszynowe aut pancernych. Pierwsi padli. Wieczór się skończył, nastąpiła noc. Od morza powiało słonawą rzeźkością. Z portu doleciał samotny ryk syreny. Latarnie uliczne wciąż świeciły i cienie od skrzydeł nietoperzy padały na kałuże krwi.

Koncentryczny ogień policji rozproszył monarchicznych manifestantów. Rannych znoszono częściowo do naszego hotelu. W korytarzach ścisk i piekło. — Jakiś oficer włoski w randze kapitana zastukał nerwowo do drzwi i krzyknął histerycznie do mojej żony:

— Coś białego, coś białego proszę wywiesić na balkonie, na znak, że się poddajemy!

— Ależ hotelu nikt zdobywać nie będzie.

— Ale mogą!

Przegrana. Ulice opustoszały. Raz jeden tylko ktoś z monarchistów rzucił granatem, przepędził żandarmów zza rogu, rzucił drugim, trafił. Sypnęły się szyby. Potem uciekał. Dostał serią w plecy, padł. W poprzek ulicy przemknął się tylko kot. — Ponad jezdnią leciały kule.

Nagle samotna dziewczyna, szukająca kogoś, na kim jej widocznie bardzo zależało, pobiegła chodnikiem. Strzelono, nie trafiono. Biegła dalej z podniesionymi rękami, w bluzce, która wylazła z paska spódnicy. Strzelano znowu. Wcisnęła się w załamanie muru.

— Czy to nie ta, co machała portretem Umberta?

— Nie pamiętam.

Nie chciano jej darować. Z armatki auta pancernego buchnął strzał, pocisk padł w jezdnię, tuż. Żółto-czerwony płomień oblał gorącym. Cofnąłem się z framugi balkonu od-ruchowo i wyrząłem znów natychmiast: szczęśliwie. Żyła, stała przyklejona do ściany, jak rzeźba wykuta w murze. — Byłem taki rad...

34

Nie pamiętam już urzędowego brzmienia komunikatu. Ja ze swego balkonu obserwacyjnego zredagowałbym go w następujących lakonicznych słowach: „W nocy z 4 na 5 czerwca 1946 oddziały żandarmerii, policji i wojska, przy udziale aut pancernych obroniły przed zniszczeniem sztandar Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i jego ekspozytury, partii komunistycznej, zabijając i raniąc po stronie napastników około 60 osób spośród proletariatu miasta Neapolu”.

Wstał specyficzny ranek niewyspanej nocy. Niebo było lekko przymglone, bo to nieprawda, że w Neapolu świeci zawsze słońce. W Neapolu przeważa mgielka ciągnąca z zatoki. — Wtedy było lato. Wracaliśmy do Rzymu i z każdego domu migwały ku nam białe nadpisy: „Wil Re”.

Dziś jest jesień. Deszcz pada. Tybr brudny jest od wód, które weń spadają z Apeninów. „Wil Re” widnieje na co dzie-siątym murze. Nie jest hasłem walki, bo naród włoski nie do walki jest stworzony. Jest tłem tylko. Wyrazem. Nastrojem, który dziś w całej Europie ulega przemocy, przyjmowanej z coraz większą apatią.

Dnia 10 listopada 1946 roku rozpoczęły się w Italii wybory, właśnie pod znakiem apatii.

Łaków i Wilno 1946 nr 4

35

NA FRONCIE W SMOLEŃSKU

Na początku roku 1943 Niemcy, łamiąc prawo międzynarodowe, zakazujące mobilizacji na terenach okupowanych podczas wojny, ogłosili przymusowy werbunek na obszarach tzw. „Ostlandu”.

Mianem „Ostlandu* objęte były ziemie, jak to już sama nazwa wskazuje, położone na wschód od granic Rzeszy, z wyłączeniem skrawka Polski, ujętego w ramach „Generalnej Guberni”. Do Ostlandu wchodziły zarówno państwa bałtyckie, jak wschodnie połacie Rzeczypospolitej i tereny okupowane Związku Radzieckiego, aż do pasa przyfrontowego, gdzie kończyła się ingerencja administracji niemieckiej, a rozpoczynał zarząd czysto wojskowy.

Wzmiankowana mobilizacja na terenie zresztą niektórych tylko okręgów Ostlandu, dotyczyła kilku roczników, a genezą

jej były zawieje śnieżne, wiatry popychające przed sobą nalane wodą chmury, tworzące się na ziemi raz zaspy, raz gołoledź, na przemian z kałużami, błotem. Jednym słowem to, co rozumiemy pod określeniem: bezdroża dróg; „griaź” po rosyjsku, „Schlamm” po niemiecku.

Doświadczenia wojny rosyjskiej przenikały z wolna, a w tak wielkim wymiarze nieznane były od czasów Napoleona. — Był to zatem okres poprzedzony długimi sznurami platform wagonowych, które wiozły na wschód wystrugane ze świeżego drzewa, jakby scyzorykiem obrobione — sanie.

Na wiadukcie dla pieszych, przerzuconym przez wileński węzeł kolejowy, niby to oficjalnie nie wolno się było zatrzymywać. Ale warta stojąca zazwyczaj po obu jego końcach ziewa-

36
ła ponuro, a ludzie godzinami wystawali wsparci o poręczce, z rzadką wymieniając spostrzeżenia, od czasu do czasu spluwając w dół na szyny lub dachy wagonów. A dołem ciągnęły właśnie te świeżo strugane sanie, czasem zwoje kolczastego drutu, to znów nie kończące się kopice prasowanego siana dla koni. Przypominało to lata 1914-1916. — Maszyny zaczęły zawodzić coraz częściej. Restytuowano więc stare taborry końskie.

W tym sensie pomyślana też była mobilizacja tych kilku roczników, nie jako żołnierzy, ale: „służby pomocniczej przy taborach”. Mobilizowano nie tylko ludzi, ale konie, wozy, sanie.

Od raz otrzymanego wezwania trudno się było uchylić.

Powiedzmy: niemożliwe. Odkąd system sowiecki wynalazł odpowiedzialność rodziny za jej członka, każdy następny totalizm przejmował ten doskonały wzór, przejęli go oczywiście Niemcy. — Lasów, ziemi niczyjej, po której hulały partyzantki I bandy różnego autoramentu, mieliśmy pod dostatkiem. Odłogiem administracyjnym leżały obszary od Zatoki Ryskiej i Fińskiej do Morza Czarnego. Na odłogach tych Niemcy siedzieli wyspami. Ale nie pociągnie jeden z drugim na dzikie pola, gdy w domu zostaje rodzina odpowiedzialna za zniknięcie wezwanego.

Później się znalazł na to sposób prostszy: najpierw sięjechało na front, a następnie porzuciwszy samowolnie tabor, wracało zwyczajnie do chaty. W tym stanie wojny, w jakim nna była, w tym rozciągnięciu, można się było raczej doczekać w domu jej końca, niż jakiejś „sprawki” spod Wielkich Luków, Starej Russy, czy Smoleńska. Ale proste rozwiązania w życiu nie przychodzą zazwyczaj łatwo. Toteż z początku nikt go nie przewidywał i pasmo dalekiego, het za siódmym horyzontem, na obcej ziemi oczekującego frontu, wydawało nle pasmem najczarniejszych dni, jakie nastąpić mają w życiu.

Na wezwania mobilizacyjne ściągano powoli i ospale.

Pierwszym etapem był zamknięty konwojem krąg zdeptanego mi błoto śniegu, końskiego nawozu, rozwichrzonego po peronach siana, rozlane kałuże moczu, obok zlodowaciałych ka-

łuży wody, smarów i węglowego kurzu. Powyżej bielejący masyw dworca kolejowego, jeszcze wyżej obserwacyjne stanowisko przeciwlotnicze i wyprostowana szyja działa. Dalej już

37

hełm sklepionego nieba, które o tej porze roku jest u nas za-
zwyczaj jednostajnie brudne, niskie i brzydkie.

W takiej to chwili cała ta przyszła kawalkada „taboru pomocniczego” sklejona była wzajemnie lepkiem, wielosłownym przekleństwem tak klasycznym dla Europy Wschodniej, przeklinającym matkę, siebie, Niemców, bolszewików, wojnę, świat cały, a nade wszystko i przede wszystkim — konie! Te strzygły uszami z nieprzyzwyczajenia do pociągów, chrapały, wierzgały, plątały uprząż, za nic na świecie nie chciały przejść po desce z rampy do ciemnych pudeł wagonów i słowa: „ty, taka twoja mać, mać, mać i mać!!”... rozciągnęły się wzdłuż rampy jak szyld, jak hasło, jak komenda losu.

Nocą nie wolno było palić ognisk i przejmowało zimno. Od wschodu na Prusy leciały fale bombowców sowieckich. Wtedy to przycichali ludzie, a zdawało się nawet, że i konie. W miarowy chrupot siana wdzierał się miarowy stukot motorów w czarną, zimową, przeciwlotniczą noc.

Z opóźnieniem wielu godzin transport ruszył dopiero o jedenastej w południe dnia następnego, a z platform ku niebu wyciągały się ramiona hołbli chłopskich furmanek, jak ręce wołające o pomstę za łamanie prawa międzynarodowego.

* * *

Rzecz działa się pod wiosną. Już za Mołodecznem bezden-
na szaruga nieba ustąpiła wieczorem zachodowi słońca i od drzew, domów, pociągu i każdej zeszłorocznej trawki, sterczącej jeszcze ponad śniegiem, kładły się długie cienie po wiosennemu czarne. Później przyszła mroźna noc gwiazdzista. Rankiem mgła, szron, szadź. W południe grzało słońce i na stacjach kolejowych ciekły z dachów krople wody. Żółciał śnieg w koleinach dróg.

Wątpliwe, by zachowała się gdzie statystyka pociągów niemieckich, co najechały na minę. Z grubsza wypada liczyć, że tylko co dwudziesty w tych rejonach naskakiwał na minę. Przed parowozem szły w tym celu dwie albo trzy puste platformy, ściągając na siebie skutki wybuchu. Nie zawsze eksplozja była dość silna, by przeszkodzić dalszej podróży. Ekipa robotnicza naprawiała uszkodzenia od ręki. Nocami eksplozji miny towarzyszyły czasami ataki partyzantów sowieckich, prowadzone z reguły ospale. Niemcy rzucali w las świetlne pociski, schodzili do rowów i otwierali ogień z broni maszynowej. Partyzanci się cofali. Pociąg jechał dalej. — Za Mińskiem

38

wypadło wyciągać z wagonu dwa zabite konie. Józef Żukowski, syn kowala naszej wsi, oderwał im z kopyt podkowy i rzucił z brzękiem w ką, między prywatne worki i wysmarkał się w dwa palce na znak zakończenia pracy.

Działalność partyzantki sowieckiej nie była tak powszechna, ani tak skuteczna, jak ją dziś malują w literaturze mo-

skiewskiej. Niemcy stosowali taktykę „punktów oparcia” (Stutzpunkten). Pomiedzy nimi lezał obszar wolny; nic nie przeszkadzało w zajęciu go przez większe i mniejsze bandy i partyzantki. Wydzielone oddziały SS i Węgrów nie tyle zwalczały, co obserwowały rejony i ruchy partyzantek.

Początkowo największe skupisko znajdowało się w lasach Brańskich. Stamtąd jesienią roku 1942 wykonał, na rozkaz Stalina, słynny wódz partyzantki Kowpak swój rajd i dotarł do Polesia sowieckiego, wkroczył na polskie. Ofiarą jego padło kilkuset żandarmów, SS-manów, Węgrów — to wszystko. Spalił trochę posterunków i kancelarii gminnych, wysadził kilka pomniejszych mostów i powiesił sporo miejscowej ludności za „kolaboracjonizm”.

Polesie, o którym się tyle pisało w fachowych pismach wojskowych, nie odegrało jednak większego znaczenia strategicznego. Nie odegrało przepowiadanej mu roli ani w pierwszym/cj wojnie światowej, ani w kampanii roku 1920, ani w 1939, ani w wojnie niemiecko-sowieckiej.

Niemcy nie zapuszczali się po prostu w głąb. Wydzielili oddziały obserwacyjne, zablokowali i Kowpak siedział w blo-I urn jak w bezpiecznym barłogu.

* * *

lyzez otwarte drzwi wagonu towarowego wbiegł wiaterek, pogrzebał w grzywach końskich, uczeplił się siana i wyskoczył iltigimi drzwiami, zabierając ze sobą pojedyncze źdźbła.

Wszyscy pociągnęli nosem, ale nikt się nie odezwał. Wiosna budzi tęsknoty, które trudno jest wyrazić człowiekowi nie obytemu z literaturą piękną. Dopiero gdy nisko nad plantem kolejowym, jak czarne szybowce, ukazały się pierwsze w tym roku gawrony i zleciały do świeżego leja po bombie, szukając w nim widać żeru, powiedział któryś:

— Będzie wiosna.

— Tylko dać spokój z tą wiosną! — burknął Michlewicz
<y.tery lata głowę już durzą: aby do wiosny, aby do wiosny!

l U... z tego.

39

Chłopak ma rację. Jemu dziś nie gawrony białodzióbe, a realizm polityczny w głowie. Widać przystał do szkoły sceptyków. Tęnym wzrokiem wypatrywał jak w nieskończonej jednostajności biegnie za pociągiem las brzozowy, jak ciągną się nudne pustynie pól. Spuściwszy nogi z otwartego wagonu, skręcał w kawałku „Vólkischer Beobachter” machorkę i pluł. Ciężka dla duszy jest taka jazda. W Orszy wylazł nieznacznie na dworcu, zawieruszył się między ruinami stacji, poszedł między domy zbombardowanego miasteczka i — nie powrócił więcej. On pierwszy.

Nadmienić wypada, że szczęśliwie dotarł do domu.

* * *

— AUes aussteigen! alles ausladen!! — Podoficerowie niemieccy ciskali się wzdłuż szyn i rampy, chrapiąc, chrypiąc z natężenia głosu, który się w takich wypadkach nazywa: „Kommandostimme”. Wdraża on postrach i posłuszeństwo

wśród tubylców.

Na drugim torze stał pociąg amunicyjny. Na trzecim czołgi. Dalej już tylko zwały żelaziwa, wywrócone wagony, pokrecone szyny, koła na osiach rzucone luzem. Nieprawdopodobna gmatwanina przedmiotów odartych z przeznaczenia.

Następuje wschód słońca nad Moskwą, Borodinem, Możajskiem... już go mamy, już go widać ze Smoleńska. Nisko ścielą się pierwsze promienie.

Na froncie cisza o tej porze.

Smoleńsk jest cały rudy. Rudy jest nie tylko od zabarwienia zorzy. Nie tylko dlatego, że pod wpływem nagłego ciepła wylazła spod śniegu glina pół. Specyficzny kolor nadają mu przede wszystkim gruzy czerwonych cegieł i rdza. Rdza jest wszędzie. Osiadła na konstrukcji żelaznej rozbitej parowozowni, na postrzępionych szynach, na tym, co pozostało po spalonych wagonach. Rdza pokrywa blachę i puste blaszanki od konserw. Wzdłuż dróg ciągną się szpalery wrzuconych do rowu ciężarówek, wielkie kadłuby potrzaskanych czołgów, armat, wozów — na wszystko, co tu tkwi po wielkim przełamaniu „linii Stalina”, łączywie rzuciła się rdza i zabarwiła na rudo. Obok rozstrzelany sośniaczek też rudzieje opalonym igliwem.

W centrum miasta można swobodnie rozmawiać poprzez pięć ulic. Pomiędzy nimi na kupę zmieciono cegły byłych domów. Charakterystyczną cechą tych resztek są nie tyle ster-

40
czące pośrodku pozostałości kominów, co wystające wezwłotwia żelaznych łóżek. Zawsze jednym tylko końcem, przykryte gruzami jak kołdrą, też już zardzewiałe, łóżka te wywierają z każdego niemal rumowiska. Jednostajne, standardowe, tanie, niewygodne, ogniotrwałe. Gdzie są obywatele, którzy na nich sypiali? W stuczterdziestotysięcznym mieście pozostało mieszkańców coś około piętnastu tysięcy i gnieźdzą się na peryferiach. Drewniane domy obsiadły wzgórza okoliczne, doliny, jary za wielkim murem fortecznym, pamiętającym czasy Batorego. Domy te i domki przeważnie są mało uszkodzone, gdyż bój szedł o murywane centrum. — Teraz tam wszędzie wycieka woda z brudnego śniegu i spływa bulgocząc do Dniepru.

Na tle tej powszechnej rudzizny krajobrazu dwie tylko rzeczy odcinają jaskrawo: rzeka, Dniepr siny, kręty i sobór na górze, biały, może bielszy nawet od śniegu, gdy się nań patrzy z daleka, zadarłszy głowę, jak dumnie stoi na tle nieba, on, który tyle widział. Myszy my jesteśmy wobec niego, którzy biegamy u podnóża, i Niemcy, i bolszewicy, i czołgi, i wozy i wszystkie nasze dzienne sprawy: czy ma panować Hitler, czy Stalin? Miną wieki...

Bolszewicy urządzili w soborze wystawę antyreligijną.

Niemcy go otwarli dla nabożeństw też nie z miłości dla prawosławia. Uczynili to oczywiście dla propagandy, pozostawili też straszne maskary bezbożnicze i powiadają do wiernych: „patrzcie!”

Ci przychodzą, zdejmują czapki, nie wszyscy już umieją czy chcą żegnać się ukośnym krzyżem świętym. Większość /upomniała bić pokłony. Patrzą tępo, słuchają nabożeństwa, milczą.

Tu każde słowo pachnie krwią.

Staruszek protojerej idzie od cerkwi po zdeptanych fli-
zach „płoszczadki”. Widok stąd i na Dniepr, i na gruzy mia-
i»tu, i na rdzewiejące żelaziwo za-Dnieprza, na lasy, na obłoki,
na wzgórze, zasłaniające odległy front.

— Jak teraz u was, batiuszka, żyje się?

Zatrzymał się. Zmierzył wzrokiem pytającego od juchto-
wych butów do futrzanej czapki.

— Hm. A wy skąd?

— Z daleka.

— Hm. Ot, żyje się, jak Pan Bóg daje.

41

Każde słowo pachnie krwią. Trzeba je z jednej strony wy-
cyganiać, a z drugiej odmierzać na gramy, jak drogie lan-
drynki. Powiesz — tak, Niemcy rozstrzelają. Powiesz — ina-
czej, „swoi” wrócą, powiesz. Jedni i drudzy gotowi to zro-
bić... dla przykładu. Jedni i drudzy drukują w swych gaze-
tach fotosy roześmianych, uradowanych twarzy. Idą na Euro-
pę reportaże o „radości wyzwolenia spod jarzma bolszewickie-
go” i idą też na świat o „radości wyzwolenia spod jarzma hit-
lerowskiego”. — A ludzie milczą. Ludzie drżą na widok Niem-
ca i drżą na myśl o powrocie bolszewików. Więc po co na dar-
mo z byle kim jęzorem obracać.

Cerkiew nie ma dzwonów. Ale kawki starym, kontrrewo-
lucyjnym obyczajem zrywają się raptownie z wieżyc, jakby
dzwoniło na carską galówkę: — kaw-kaw-kaw-kaw!

— Bum, bum, bum! — odpowiada głucho front.

* * *

— Nastia! A, Nastia! Czego tam stoisz?! — woła matka,
sposzregłszy, że córka zagadała się z nieznanym człowie-
kiem. — Chadiii siuda!

Ulice między gruzami pozbawione są ruchu źle ubranych
ludzi sowieckich. Tylko rynek-tołkuczka gaworzy tłumnie w
handlowym podnieceniu. Co oni tam kupują-sprzedają? Gar-
stkę, dosłownie garstkę machorki, kawałek czekolady nie-
mieckiej, kilka ryb z Dniepru, stary rzemień do przepasania
kożucha, szczątki opon na podeszwy... Różnica nędzy wojen-
nej w okupowanej Rosji i w okupowanej Polsce jest ogromna.
U nas zaczynała się od wyprzedaży futra, lepszego ubrania, u
nich od — pary zdeptanych kamaszy gumowych. Może jedy-
nych.

Żołnierz niemiecki widział to życie aż do Wołgi. I w grun-
cie rzeczy trudno mu się dziwić, że bronił się jeszcze w —
Berlinie.

Tu kroczą ci żołnierze ciężcy i chmurni z dworca do mia-
sta lub z powrotem. Zawsze oglądać można jednaki obrazek:
Tornister, hełm, cały ekwipunek zrzucony na ręczny wóze-
czek, który popycha wyrostek, najczęściej bosy. To jest jedy-

ne źródło wolnego zarobku mieszkańców. Dalej, za miastem, pola leżą odłogiem. Kraj zorany w okopy, podziurawiony lejami. Zbiegają się w te dreny wody wiosenne i suszą glebę.

Gdy przez miasto jedzie ciężka artyleria, z niektórych, stojących jeszcze ruin sypie się od wstrząsów miał gruzów,

42

Jak piasek w klepsydrze. Alarmów tu nie ma. Na odgłos samolotu nikt w Smoleńsku nie przyspiesza kroku. Gdy strzela przeciwlotnicza, mało kto unosi głowę. Będzie czy nie będzie trafiony samolot, co z tego za wpływ na zmianę losu? Ręką machnąć i to nie warto.

Są ludzie, którzy jawnie współpracują z Niemcami. Na przykład Maria, adeptka sceny smoleńskiego teatru, zakochała się nawet w Sonderfuhrerze o czarnym nazwisku: Schwarz. Gdy idą miastem, poskrzypując pod nogami zmarzniętym śniegiem, czy rozbitym szkłem, nikt się za nimi nie obejrzy. Jej to rzecz. Jej ładna głowa będzie odpowiadać. Niemcy prowadzą propagandę. Niemcy uprawiają politykę. Najobłędniejszą politykę, jaką kiedykolwiek prowadziło obce państwo na ziemiach zabranych. Przeciętny Rosjanin nie może z tej polityki wyciągnąć innego wniosku jak ten, że czeka go taki sam bolszewizm, tylko — po niemiecku.

Za miastem drga łuna palonej przez SS-manowców wsi.

W mieście stoi olbrzymi autobus — wystawa. Podzielony jest na dwie części. W pierwszej makiety kolchoźniczych chałup, kolchoźniczej nędzy sowieckiej, a po przeciwnej stronie dobrobyt wsi niemieckiej, bogactwo chłopca niemieckiego, do którego tubylcy mają jechać w charakterze... parobków.

W drugiej części małe kino. Ten sam obraz na ruchomo: tuczne świnie, ogromne gąsiory, ładne domy i uśmiechnięte twarze. Tak jest rzekomo w Niemczech. — Ludzie przychodzą, owszem, spode łba, nie zdejmując czapki, patrzą w wyutawę. Spode łba patrzą na zgniłą słomę własnych dachów, wpode łba na dachówką kryte, jak z igły wyczarowane, domki niemieckie. Milcząc siedzą w kupie. — Akurat, pomyślisz brat, „nowość"! Przez dwadzieścia lat nie widywali nic innego i ni wystawach i ekranach, jak sfalszowane modele, czystość, bogactwo i... uśmiechnięte twarze! — Uśmiechnięta twarz na Ilustracji, fotosie, w książce, gazecie, kinie, plakacie ulicznym wlała się stemplem ustroju totalitarnego, chlebem powszednim kłamstwa. Może dlatego ludzie w tych ustrojach tak randko uśmiechają się w życiu? — Najczystsza sowiecką ruuwyzną, z nieposzlakowaną rutyną politagita, mówi megalon. Ta sama intonacja, te same słowa. Tak mówi o Hitlerze, |uk onegdaj jeszcze mówił o Stalinie.

— No jak, podobało się?

— A ot, tak sobie...

43

Ludzie lubią kino i lubią teatr. Nie lubią tylko mówić.

Na froncie tego dnia trwała cisza.

* * *

Rzecz dzieje się w Paryżu. Farsa francuska z połowy ubie-

głęgo wieku. Na scenie teatru smoleńskiego hrabiny, baron, trwoniący pieniądze, powikłania miłosne.

W jednym z najmniej uszkodzonych zakątków Smoleńska gra teatr. W starej kamiennej ruderze urządzono scenę i widownię. Młode aktorki sowieckie, które nigdy nie widziały żywej damy, „baron”, który od rana chodzi we fraku, jak król w koronie w wyobraźni dziecinnej, krynoliny, wachlarze. Wokół powietrze oddaje wonią dziegciu, kozucha, ludzkim potem i tym specyficznym odorem, który wydziela z siebie duża ilość starych, niewietrzonych ubrań. Widownia jest przepelniona. W pierwszych dwóch rzędach siedzą oficerowie niemieccy. W czternastu za nimi tłum obywateli sowieckich. Jest nawet bufet. Sprzedają landrynki, lemoniadę, „siemieczki”. Łupiny od pestek pokrywają podłogę. Ale publiczność na widowni zachowuje się kulturalnie, zasłuchana w intrygę nie znanego jej świata.

W drugim akcie wbiega Niemiec, szepcze coś na ucho oficerom z pierwszego rzędu, i ci prędko, bardzo prędko wychodzą. Skrzypią drzwi wyjściowe; bileterka powtarza jakąś wiadomość głosem przyciszonym, przyjaciółce. Na widowni rozchodzi się plotka, że gdzieś przerwano front.

— Tsss, cicho! Nie przeszkadzać! — Nikt się z miejsca nie ruszył. Sztuka idzie dalej.

W momencie, gdy baron klęka przed hrabiną, całując skrawek jej szaty, a przebiegły komornik czatuje nań pod stołem, napięcie dochodzi zenitu. Ktoś zakaszłał.

— Tsss, cicho!

Jak przez sen słyhać warkot pikującego samolotu. Dwie, trzy, cztery detonacje.

Światłogaśnie.

W ogólnym poruszeniu nikt jednak nie opuszcza swego miejsca. I

— Iwahł —

— A?

— Chyba naprawią?

— Ja to skąd mogę wiedzieć. Może i naprawią.

44

Ktoś zapalił świecę. Słyhać, jak wali artyleria. Ludzie siedzą. Wreszcie głos ze sceny:

— Towariszcz! Razchoditief! Nie będzie dalej spektaklu, światła nie ma.

Widzowie bez sprzeciwu i bez pośpiechu ruszają ku wyjściu. Kilku rozgoryczonych upomniało się o zapłacone bilety. Nie podtrzymani przez ogół utonęli w tłumie.

Na niebie jak rozszalałe biegają reflektory. Od wschodu pękają czerwone rakiety. Ziemia, która od wczoraj leży znowu pod mrozem, drży pod stopami od dalekiego huku dział.

Wieje lodowaty wichur z północnego wschodu, od Ladogi, od Onegi. Zaczyna sypać miałki, gęsty śnieg, nie płatkami, a w kulkach. Do wiosny, widać, jeszcze będzie daleko.

Iadów i Wilno 1946 nr 1

45

DYMY NAD KATYNIEM

Niemcy użytkowali groby katyńskie jako kopalnię dla swej akcji propagandowo-politycznej, której usiłowali nadać jak najszerszy zasięg.

Stosunki polsko-sowieckie już uprzednio tak dalece uległy zepsuciu, iż wymagały tylko wbicia ostatniego klina pomiędzy obydwie strony. Chodziło też Niemcom o urobienie własnej opinii w Rzeszy, bardziej jeszcze o propagandę pośród podbitych narodów Europy, a zwłaszcza Europy Wschodniej, którym wstrząsające fotosy z masakry katyńskiej miały w sposób plastyczny przedstawić los, jaki je czeka pod panowaniem bolszewickim. — Ale wygrywanie propagandowe niesłychanej zbrodni miało też na celu wstrząśnięcie sumieniem świata demokratycznego, który się połączył w sojuszu z bolszewikami dla wspólnej walki z Hitlerem.

Celem pobocznym było też przelicytowanie i usunięcie na plan drugi własnych, hitlerowskich zbrodni, które z niesłabnącą energią reklamowane były przez prasę i propagandę Zjednoczonych Narodów.

Akcja niemiecka częściowo odniosła skutek. Poza tym zerwanie stosunków polsko-radzieckich i pierwszy w ten sposób rozłam w obozie aliantów zapisała na swe dobro, w rubryce: sukces.

Dał temu wyraz Gregor Slowenczik, Oberleutnant przy Geheime Feldpolizei, przydzielony do akcji propagandowej w Katyniu. W liście do żony pisał:

„... od rana do wieczora jestem ze swoimi trupami o 14 kilometrów od Smoleńska. Dzięki tym biednym chłopcom mogę coś zrobić dla Niemiec i to jest piękne... Katyń obciąża mnie pracą bez miary. Muszę wszystkim dyrygować, podejmować delegacje, przemawiać przez radio, poza tym opracowuję własną książkę pt. „Katyń”...”

Slowenczik kończy swój list wyrażeniem dumy z „sukcesu politycznego”, polegającego na zerwaniu polsko-sowieckim. Gregor Slowenczik był Austriakiem i w cywilu drobnym dziennikarzem wiedeńskim. List ten w jakiś sposób trafił do dossier norymberskiego procesu i pismo francuskie *Le Monde* ogłosiło z niego wyjątki, jako pośrednie stwierdzenie faktu,

46
że sprawa Katynia była li tylko inscenizacją niemiecką, niczym więcej.

Osobiście pamiętam, jak Slowenczik, wylazłszy z grobu przezwanego literą „L” (ze względu na kształt jego powierzchni) i otrzepawszy piasek, który zasypał jego ciężkie, policyjne buty, powiedział mi w cztery oczy, gdyśmy odeszli dalej, ponieważ z nieprzyzwyczajenia nie mogłem dłużej oddychać rym straszliwym, trupim odorem:

— Proszę pana, nie chodzi tu, po której stronie są nasze sentymenty. Pan jest Polakiem i może jest panu przykro, może pana boli, że robimy taką... no, powiedzmy, ordynarną propagandę na naszą korzyść z waszej tragedii. Ale chyba musi pan przyznać, że z naszego, niemieckiego punktu wi-

dzenia — bylibyśmy chyba auf den Kopf gefcdlen, na głowę upadli, żeby natrafiwszy na taką gratkę propagandową, nie wyzyskać jej następnie, nie wygrać, nie ukuć z niej akcji politycznej!

Trzymałem wówczas ciągle chustkę, zakrywającą nos i usta, i prawdopodobnie Słowenczik nie widział, czy mu tę rację przyznaję, czy nie.

Ale sądząc obiektywnie, sprawa, z niemieckiego punktu widzenia, nie mogła podlegać żadnej dyskusji.

* * *

W drugiej połowie kwietnia krytycznego 1943 roku mieszkałem w dalszym ciągu w swym małym, wiejskim domku w odległości 12 kilometrów od Wilna i do miasta przychodziłem piechotą i rzadko. Za czasów okupacji sowieckiej zmieniłem «wój zawód dziennikarza i literata na bardziej odpowiadający warunkom — zostałem mianowicie furmanem ciężarowego wozu. Za czasów okupacji niemieckiej siedziałem cicho na wni i nie byłem niepokojony, jakkolwiek władze niemieckie nlr mogły oczywiście nie wiedzieć o mojej egzystencji.

Na jakiś tydzień przed Wielkanocą sprzedawałem na rynku w Wilnie palto letnie i tu spotkałem dawnego swego kolegę. Pracował on w charakterze akwizytora ogłoszeniowego w administracji wydawanego przez Niemców pisma w języku polskim, stąd miał kontakty i wiadomości często z pierwszej lęki.

Było ciepło. Wiosna. Podmuchy południowego wiatru wzniosły rtęć w termometrach. Ludzie wyszli bez watowanych

47

palt, ale już bez tej nadziei na rychły koniec cierpień, jaką przywiązywano dotychczas do każdej, corocznej wiosny. — Właśnie przeżuвано wrażenia i komentarze do straszliwej, nowej zbrodni, odkrytej pod Smoleńskiem. — Poza tym wlokło się życie przygnębiające, głodne, biedne, apatyczne. Ale mój znajomy błysnął oczyma na mój widok, a łatwo było poznać, że z jakowegoś wewnętrznego podniecenia. Zaraz też, chwytając za guzik palta, które trzymałem w ręku, mówi mi głosem przyciszonym:

— Od wczoraj telefonuje Klau. Werner Klau, szef biura prasowego przy Gebietskommissariat Wilna-Stadt, dopytuje, czy ktoś z pracowników nie zna przypadkiem twego adresu. Chcą cię zaprosić do Katynia.

Ktokolwiek się zetknął z organizacją podziemną w okresie panowania Gestapo, wie, jak bardzo utrudnione były kontakty wewnętrzne, ile czasu marnowało się nieraz w oczekiwaniu na porozumienie. — Ze słów usłyszanych rozumiem od razu, że wyjazd do Katynia jest rzeczą pierwszorzędną wagi, ale nie chcę tego czynić (słusznie czy niesłusznie, dziś wydaje mi się raczej... niesłusznie!) bez uprzedniego skontaktowania z władzami organizacji podziemnej. Mówię tedy:

— To bardzo dobrze. Mój drogi, postaraj się zawiadomić tego Klau'a, że sam podejmujesz się mnie odszukać w ciągu trzech dni. Niech mnie nie szuka sam. Ja tymczasem te trzy

dni wyzyskam...

— Rozumiem.

„Jadzi”, łączniczki mojej z osobą zastępcy komendanta podziemnej organizacji wojskowej, naturalnie nie ma tam, gdzie powinna być; w małej jadłodajni, mieszczącej się w suterynie, wzruszają tylko ramionami. „Roman”, zecer podziemnego pisma, oficjalnie kelner innej jadłodajni, z którym mam stały kontakt, jest co prawda na miejscu, ale nie może zapewnić natychmiastowego połączenia.

— Postaram się... — odpowiada.

„Zygmunt”, w hierarchii konspiracyjnej bardziej eksponowany, jest właśnie śledzony i musi zachowywać ostrożność, której zresztą nie zachowywał. W trzy miesiące później zawisł na własnych skarpetkach w celi więzienia śledczego Gestapo, nie wytrzymałszy tortur, zadawanych przy badaniu.

Okoliczności te nie mają oczywiście żadnego związku bezpośredniego ze sprawą Katynia, charakteryzują jednak nie

48

tylko duże, ale i małe trudności, jakie w nieskończonym splocie piętrzyły się na drodze do wyjaśnienia prawdy. — Po I rzęch dniach okazuje się, że wyjechał „komendant” i jest tylko zastępca. Natomiast zdania różnych dygnitarzy podziemnych są podzielone. Jedni twierdzą, że jechać należy, inni, tr. byłaby to obraza naszego „sojusznika” i wpadanie na prowokację niemiecką. Zanim zastępca komendanta dał wyraźny rozkaz: „jechać”, upłynął już dzień piąty i dopiero po południu szóstego mogłem zasiąść w wygodnym fotelu przed biurkiem szefa niemieckiego biura prasowego.

Werner Klau, sam b. dziennikarz, przyjmuje mnie uprzejmie. Żadnych zobowiązań, żadnych podpisów, przymusu, deklaracji. Po prostu:

— Pan pojedzie i zobaczy.

Myli się jednak, kto sądzi, że machina administracyjna niemiecka pracowała sprężyście. Każdy totalizm zwiększa biurokrację i komplikuje rzeczy najprostsze. Mija więc jeszcze I r/y tygodnie zawilej korespondencji pomiędzy Ostministerium w Berlinie, dowództwem frontu, Gestapo. — Ja czekam. W międzyczasie odszukuję b. profesora Uniwersytetu Wi- Irńskiego, największy w Polsce autorytet w dziedzinie medycyny sądowej, dr Sengalewicz. Proszę, niech mnie przygotuje teoretycznie do rzeczy, które mam oglądać na własne oczy. Profesor ściąga z półek wielką ilość książek. Pokazuje ilustracje. Tłumaczy i konfrontuje z wiadomościami, jakie dotychczas wyczytał w gazetach niemieckich na temat stanu trupów w Katyniu.

— Jeżeli gleba tam jest rzeczywiście gliniasto-piaszczysta, wytwarza częściową konserwację zwłok, znaną w medycynie pod nazwą „tłuszczowosku”. Na pozór żadnych sprzeczności, ani zagadek w komunikatach niemieckich nie dostrzegam. I jeszcze jedna rzecz ważna: Kieruje pracami ekshumacyjnymi i całokształtem badania, jak to wynika z gazet, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, dr Buhtz. To jest mój kole-

gu jeszcze z czasów akademickich. Zupełnie prywatnie zapewnić pana mogę, że po pierwsze, jest to uczony na miarę europejską w tej dziedzinie, po drugie, człowiek niewątpliwie uczciwy, który w żadnym wypadku nie położyłby swego podpisu pod sfałszowaną ekspertyzą. Niech pan z nim porozmawia, powołując się na moją z nim starą zażyłość.

49

— Dziękuję. A czy pana profesora nie zastanowił w komunikatach niemieckich fakt, że brak w nich jakiegokolwiek wzmianki o znalezieniu i pochodzeniu łusek pistoletowych, którymi mordowani byli nasi oficerowie?

— Ach właśnie! Zauważyłem. O tym chciałem powiedzieć. Przecież zabezpieczenie łusek należy do najkardynalniejszych podstaw każdego śledztwa w morderstwie, popełnionym z broni palnej. Nie rozumiem, dlaczego się o tym nie pisze...

* * *

Dopiero w drugiej połowie maja 1943 roku wlecze nas przez powietrze pudło starej, niemieckiej „JU 88”, samolotu o typie przestarzałym. Leci dwóch dziennikarzy portugalskich, jeden dziennikarz szwedzki. Z Warszawy Niemcy wyekspediowali ekipę dziesięciu robotników fabrycznych, ażeby się przekonali na miejscu i opowiedzieli rodakom. To są ich chwytły propagandowe, stosowane już od dłuższego czasu. — Towarzyszy nam oficer Wehrmachtu, będący łącznikiem z Ministerstwem Spraw Zagranicznych (b. attache niemiecki w Tokio). — W takim składzie przedzieramy się przez chmury, wskutek nagłego oziębienia ociążałe gradem, śniegiem, deszczem. Wiatr dmie teraz z północnego wschodu, a więc w łeb maszyny. Podróż trwa długo, bardzo długo, ponad krajem zrujnowanym wojną. Myśliwce sowieckie polują o tym czasie w pasie przyfrontowym. Trzeba uważać. Jest źle, niewygodnie siedzieć w tej maszynie przeznaczonej dla spadochroniarzy, mdło. Gdy lądujemy za Dnieprem, termometr wskazuje zaledwie 3 stopnie powyżej zera, pada drobny deszczyk.

— To dobrze — mówi oficer niemiecki.

— Dobrze, dlaczego?

* * *

Plan sytuacyjny jest taki: Na zachód od Smoleńska prowadzi linia kolejowa w kierunku Witebska do stacji Gniezdowo. Mniej więcej równolegle biegnie szosa. Do tej stacji przywożeni byli jeńcy polscy w roku 1940, na wiosnę, to nie ulega już żadnej wątpliwości i przez nikogo nie jest kwestionowane. W Gniezdowie ich wyładowywano. Szosa biegnie dalej przez Katyń. Z Gniezdowa do Katynia około 4 kilometry. Po bokach wilgotne laski, wyręby, na których wyrosły już pojedyncze brzoźki, olszyna. Wzrok mija je obojętnie, ślizgając się po mo-

50

krych badyłach, gałęziach, strzelistych prętach jakichś krzaków. — I tylko myśl, pobudzana wyobraźnią, kołuje po tej Hzosie do wtóru obracających się opon: „Tędy, tędy, tędy jechali ci ludzie, w taką samą czy podobną wiosnę. Co myśleli?

Co szeptali?"

Raptowne zahamowanie przed bramą i druty kolczaste przecinają pasmo wyobraźni. Wszystko naraz staje się realne. Żandarm, z blachą na piersi. Deszczyk, który wciąż kropi. Ociekające sosny. Ptaszek, który słusznie o tej porze domaga ule wiosny: „tiń-tiń-tiń!” A ponad tym wszystkim, straszliwy, dławiący odór trupi. Takim powietrzem nie oddaje żaden las na świecie i chciałoby się nagle krzyknąć: Boże! co oni zrobili / . naszej przyrody!

W chwili, gdy ja przybyłem do Katynia, rozkopano już wszystkie siedem grobów. Niektóre były opróżnione. Inne znalazłem jeszcze w trakcie prac ekshumacyjnych, ale raczej na ukończeniu. Rzeczą pierwszą, która się rzuciła w oczy, było zaśmiecenie lasu wokół dołów już pustych. Skąd zaśmiecenie i o pochodziło, wyjaśniło się niebawem i jednocześnie naprowadziło mnie na najważniejsze odkrycie.

Ażeby uplastyczyć jego doniosłość, należy pokrótce przedstawić metodę prac ekshumacyjnych. Ogólne kierownictwo spoczywało w rękach niemieckich oczywiście. Ale bezpośrednio roboty wykonywane były przez ekipę Polskiego Czerwonego Krzyża, na czele której stał dr Wodziński z Krakowa. Do swej dyspozycji miał robotników, zarówno wolnego najmu spośród mieszkańców okolicznych, jak też przydzielonych jeńców sowieckich. Trupy wydobywane z dołów śmierci układano szeregami na ziemi. Z szeregów brano po jednym, celem dokonania oględzin i zrewidowania. Mundury były przeważnie w dobrym stanie, rozpoznawało się nawet gatunek materiału, jedynie odbarwione. Wszystkie części skórzane w tej liczbie buty, robiły na pierwszy rzut oka wrażenie gumowych. Ponieważ z reguły każde zwłoki sklejone były nie tylko sokiem trupim, lepkiem, straszny, cuchnący, więc o rozpinaniu kieszeni, ani tym bardziej ściąganiu butów, mowy być nie mogło. Operacja odbywała się tedy w ten sposób, że specjaliści robotnicy, w obecności dyżurnego delegata Polskiego Czerwonego Krzyża, rozcinali nożami kieszenie i cholewy tiulów, bo w tych ostatnich też znajdowano nieraz ukryte różnorodne przedmioty. Wszystko znalezione wydostawano na światło

51
dienne. Wszystko co mogło stanowić wartość dowodową, pamiątkę dla rodziny, wskazówkę przy identyfikacji, lub wartość materialną (dokumenty osobiste, legitymacje, pamiętniki, notatniki, listy, fotografie, medaliki, książeczki do nabożeństwa, kwity, medale, ordery, pierścionki itd.) składane było do specjalnie na ten cel przygotowanych kopert, zaopatrzonych kolejnym numerem. Także numer ewidencyjny przyczepiano następnie do zwłok, które, o ile nie wykazywały specjalnego interesu dla ekspertyzy medycznej, odkładano zaraz do innego szeregu. Po czym grzebano je w nowych, wspólnych mogiłach. —Ale...

Co się działo z resztą przedmiotów?

Człowiek żyjący, żyjący nawet w warunkach tak prymitywnych, jakie narzucały obozy sowieckie, użytkuje masę

przeróżnych drobiazgów. A więc szczoteczki, grzebyki, zapal-ki, cygarniczki, jakieś pudełka, tytoń, papierosy, ołówki, ży-letki, lusterka, portmonetki, boja wiem... na pamięć mi już nie przychodzi to wszystko biedne, skurczone, na wpół zgni-łe... U jednego w mojej obecności wydobyto nawet pudełko prezerwatyw, z wyraźnym nadrukiem fabryki, i ten wstydlivy, intymny przedmiot jego życia, ogołocony tu, w tym po-twornym lesie, w smrodzie i śmierci, w obliczu niesłychanej tragedii, u człowieka, którego czaszka przebita była kulą na wylot, wydawał się czymś straszliwie ludzkim, na tle tej nie-ludzkiej zbrodni. — Do masy rzeczy dochodziły banknoty pol-skie, nie będące już w obiegu, a więc bezwartościowe. Znaj-dowano je nieraz w całych plikach. To wszystko wyrzucano z miejsca precz, w las, na jego podszycie z liści borówkowych, wrzosu, czernic, na mech, pod krzaki jałowców. Ale łącznie z tym wyrzucano coś jeszcze:

Gazety.

Wprawdzie zarówno Komisja Ekspertów Międzynarodo-wych, jak późniejsze sprawozdanie sekretarza Geheime Feld-polizei, Vossa i dr Buhtza słusznie zwracają uwagę na daty znalezionych przy zwłokach gazet, nie uwzględniły ich jednak w tym stopniu, na jaki zasługują, z punktu widzenia interesu dowodowego i rozwiązania zagadki:

Kiedy dokonano mordu? — a więc: kto?

Zachowano kilka gazet, jako eksponaty, resztę rzucano w las. Ale w większości wypadków nie były to całe gazety. W większości wypadków były to części gazet. Papier gazetowy

52
stanowi dla człowieka biednego, jakim jest jeniec, materiał nieraz niezbędny dla licznych celów. Tak więc zastępuje brak portfelu, portmonetki i w ogóle służy do opakowania przeróż-nych przedmiotów, które się nosi w kieszeni, worku czy ple-caku; zastępuje bibułkę do palenia, wkładki do butów, nawet ciepłe skarpetki itd. Otóż tych strzępów gazetowych, obok całkowitych lub części gazet, rozrzuconych po lesie, jako rze-czy bezwartościowych, była — masa.

Oberleutnant Słowenczik, który nas oprowadzał, powie-dział zataczając gestem ręki po lesie, ponad wrzosem i rozko-panymi dołami:

— Możecie sobie panowie brać stąd, na pamiątkę, wszy-stko co wam się podoba.

Pochyłony, przerzucałem kawałkiem patyka w tych strzę-pach przesiąkniętych trupim odorem. I ja też nie od razu zwróci-łem należytą uwagę na skrawki gazet. Dopiero gdy następnie udałem się na miejsce właściwej rewizji zwłok, dokonywanej przez dr Wodzińskiego, gdy raz i drugi z kieszeni trupa wydo-byto przy mnie gazetę, trzeci i piąty raz i każda z datą: ma-r/.cc-kwiecień 1940 roku — pojąłem siłę przekonywającą tego liiktu. — Głos Radziecki, sowiecka gazeta po polsku, przewi-|ała się szczególnie często pośród innych pism w języku ro-nyjskim. Głos Radziecki! Dziś mogę potwierdzić zeznania nie-których jeńców, którzy konstatowali, że obozy jenieckie w

i. 1940 specjalnie tą gazetą były obsyłane... Daty zaś nie budziły wątpliwości. Tu zaznaczyć muszę, że wszelki druk zachował się w grobach stosunkowo najlepiej. Niektóre z gazet wykazywały doskonałą wyrazistość, przebijając mniej więcej lak wyraźnie, jak przebijają litery drukowane poprzez normalnie zatłuszczony papier.

Wróciłem, wciąż z chustką przytkniętą do nosa, wyrzygałem się dyskretnie za pniem grubej sosny i znów grzebać począłem patykiem w strzępach cuchnących papierów, porzrzucanych po lesie. Tam gdzie skrawki gazet nie wykazywały (luty, odczytywałem ustępy depeesz, opis zdarzeń, z których wyraźnie wynikało, że dotyczą pierwszych miesięcy roku 1940. Nie późniejszych.

— „Więc nie ulega wątpliwości” — musiałem to mimo woli powiedzieć głośno, bo nachylony obok mnie robotnik z Warszawy zapytał:

53

— Co? — Zresztą uniósł dużą paczkę sklejonych banknotów stułotowych, która pochłonęła jego uwagę.

Nie odpowiedziałem, zajęty całkowicie porządkowaniem swych rozważań:

Gazety w takiej ilości nie mogły przecie przetrwać w kieszeniach zamordowanych w ciągu półtora roku, gdyby, jak chce wersja sowiecka, żyli jeszcze w sierpniu roku 1941. Gazeta, nawet wroga, jest dla jeńca tym źródłem informacji, na które specjalnie jest łapczywy. Wobec tego przechowywanie starych gazet byłoby zupełnym absurdem i nonsensem, zwłaszcza w obliczu tak doniosłych wypadków, jakie przynosił każdy dzień toczącej się wojny światowej. A cóż dopiero, wobec wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, która w sposób bezpośredni mogła wpłynąć na los jeńców. No, zresztą co tu dużo gadać, nonsens i koniec! Zaś jako materiał użytkowy, do opakowań, do wkładek, do bibułki, przetarłyby się i zniszczyły, nie wytrzymałyby tego czasu. Tak, stare gazety nie mogły być przez nich przechowywane. Musieliby mieć nowsze. A takich, z datą późniejszą, nie było wcale.

Data zatem tych gazet, znalezionych przy zwłokach, tak biorąc na zdrowy rozum, uczciwie — wskazuje jednocześnie na nie ulegającą wątpliwości datę mordu: wiosna roku 1940.

— Chyba...

Chyba, żeby istniała możliwość, przed publicznym pokazem tych trupów, dokonania w tajemnicy szczegółowej rewizji w ich kieszeniach i usunięcia gazet z datą późniejszą. Ale, jak widzimy, nie wystarczyłoby samo usunięcie gazet późniejszych. Należałoby zaopatrzyć zwłoki w gazetę z daty wcześniejszej. Wynikałoby zatem, iż Niemcy, kalkulując w tak niesłychanie skomplikowany sposób, jak to chce wersja sowiecka, musieliby zdobyć, zakupić czy w inny sposób uzyskać setki i setki gazet sowieckich, właśnie z marca-kwietnia 1940 roku i...

Wróciłem znowu na krawędź grobu, skąd wciąż jeszcze wydobywano zwłoki.

— Jest panu niedobrze? — zapytał Szwed.

Potrząsnąłem głową i patrzyłem. Przede mną rozwarty dół, a w jego czeluści warstwami, ciasno, jak sardynki w pudełku, trupy. Mundury, płaszcze, mundury polskie, pasy, guziki, buty, zwichrzone włosy na czaszkach, usta poniekórych wpółotwarte. Właśnie przestał mżyć deszczyk i blady promień

54

słońca jął się przepychać poprzez koronę sosny. — „Tiń-tiń-Uń!” — zawołał ucieszony ptaszek. — A promień padł w grób i na sekundę błysnął na złotym zębie otwartych ust jakiegoś trupa. — Nie wybili mu jednak... — „Tiń-tiń-tiń!” — Straszne. Ręce i nogi nawzajem splecione, wszystko uciśnięte jak walcem. Poszarzałe, martwe, szereg za szeregiem, setka za setką, niewinni, bezbronni żołnierze. Krzyż *Virtuti Militari* widać na samym przodzie. Głowa odwalona pod but kolegi. Tamten leży twarzą w dół. Ten jest jeszcze w czapce. Wyjątek. A tam dalej wszyscy w płaszcach i nie rozpoznać w tej lepkiej masie indywidualnych kształtów. Właśnie: masa, słowo tak ulubione w Sowietach.

— Odejdźmy stąd — znów mówi Szwed, młody sympatyczny chłopak. — Pan jest strasznie blady. Tu naprawdę wytrzymać nie można. — Zdjął okulary, wytarł pot, choć było zimno.

— Chwileczkę.

Ubita masa trupów jest do tego stopnia ściśnięta, sklejoną nawzajem trupim sokiem, zlutowana niejako, że robotnicy, którzy schodzą w dół w moich oczach, aby wydostać kolejne zwłoki, muszą je bardzo ostrożnie podważać, a później siłą niemal odrywać od pozostałej masy.

Nie! To niemożliwe! Żadna ludzka siła, żadna technika nie byłaby w mocy zrewidować, przeszukać, poodpinać kieszeni tych trupów, wyjąć z nich jakieś przedmioty, powkładać inne, ułożyć z powrotem, pozapinać, ucisnąć warstwa za warstwą! Domyślić się, aby niektórym pozawijać coś w specjalnie dobrane, co do daty, strzępy gazet, porobić im wkładki do butów!... Innemu wsadzić do kieszeni machorkę zawiniętą w Głos Radziecki, właśnie z 7 kwietnia 1940 roku!... Absurd. Zasypać na nowo i po miesiącu (tak chce wersja sowiecka) odkopywać i pokazywać ekspertom, ubiegać się o udział Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w śledztwie!

A więc jednak nie ulega wątpliwości: zbrodni mogli dokonać tylko bolszewicy.

Przy zwłokach w Katyniu znaleziono około 3300 listów i kartek pocztowych, otrzymanych przez jeńców od rodzin w kraju, a kilka napisanych i nie wysłanych — do kraju. Ani jeden z tych listów, ani jedna z tych kartek nie posiada daty późniejszej niż kwiecień 1940 r. Potwierdzają to rodziny w kraju, których korespondencja uległa raptownemu przerwaniu

55

w tym czasie. Bolszewicy mogliby odpowiedzieć, że dla jakichś przyczyn zakazali jeńcom korespondować. Tego nie twierdzą, bo brak im ku temu uzasadnienia. Ale mogliby tak

twierdzić — bez uzasadnienia. Natomiast w stosunku do gazet nie mają żadnego wytłumaczenia, żadnego, które by lico- wało ze zdrowym rozsądkiem ludzkim.

Praca postępuje naprzód. Zwłoki oderwane od masy idą na nosze, później do szeregu. Stamtąd znów na nosze i do ogłędzin. Jeden za drugim, jeden za drugim. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, tysiące... Ile tych tysięcy...

* * *

Dokonanie tego drugiego odkrycia nie wymagało w istocie większego wysiłku, ze względu na dobiegające końca prace ekshumacyjne.

Nadmienić tu muszę, i to z całym naciskiem, że Niemcy, wypuściwszy nas na teren właściwych dołów, dali kompletną swobodę ruchów, oglądania czego się chce, rozmawiania z kim się chce.

W chwili, gdy młody człowiek z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu, w ciemnych okularach, Polak, którego wziąłem za asystenta dr Wodzińskiego, a którego nazwiska nie znam do dziś dnia, szedł w kierunku jednego z grobów, rozkazując coś robotnikom, zbliżyłem się doń wprost i ująłem z lekka za rękaw. — Wszystko tu śmierdziało trupem. Las i pojedyncze drzewa, piasek, trawa, krzaki i żywi ludzie. Przede wszystkim powietrze, którym się oddychało. Zapewne też człowiek, którego zaczepiłem, przesiąknięty był trupim odorem od stóp do głowy i w ten sposób nie wyróżniał się niczym, a ciemne okulary czyniły twarz jego bardziej nieprzeniknioną od innych, ale poddałem się intuicji.

— Co tu jest nie w porządku? — zapytałem.

Odciągnął rękaw i odparł ostro:

— Co ma być nie w porządku?

— Coś, czego Niemcy nie ogłaszają w swych komunikatach... — I jednocześnie jednym tchem powiedziałem kim jestem, skąd i po co tu przybyłem.

Ciemne okulary zmierzyły mnie z wyrazem, którego oczywiście odgadnąć nie mogłem.

— Pan rozumie, że ja muszę wiedzieć — dodałem.

— Tak. Przede wszystkim fałszywa liczba.

56

p

Odjąłem od ust chusteczkę i trupi swąd uderzył mnie ze zdwojoną siłą. Wówczas, gdy toczyła się ta rozmowa, cyfra 10 do 12 tysięcy zwłok nie była kwestionowana. Niemcy ją podtrzymywali z uporem w każdym komunikacie.

— Jak to... nie ma tylu?

— Ale skąd! — Wzruszył ramionami. — Odkopaliśmy wszystkich razem 7 grobów. Tu, jak pan widzi, leżą jeszcze nietknięte warstwy trupów, ale dosięgliśmy już dna onegdaj. Tam, o, w wodzie podskórnej, w tym małym grobie, gdzie pływają takie zzieleniałe zwłoki, jest może jeszcze z pięćdziesięciu. Zaraz panu powiem: w przybliżeniu może, może dociągniemy do 4 tysięcy i 500 zwłok, ani jednego trupa więcej.

— Więc dlaczego Niemcy podali taką wygórowaną cyfrę?

Ruch, który uczynił, nie był nawet wzruszeniem ramion, raczej nerwowym tikiem:

— Załgali się. Teraz nie mogą się wycofać z obawy kompromitacji. Po drugie, może słyszeli, że nam tyłu brakuje. Pan pewnie wie?

Przytaknąłem.

— No więc. Czynią rozpaczliwe wysiłki, rozkopują całe wzgórze, żeby znaleźć więcej, ale znajdują tylko pojedyncze, utare kościotrupy cywilnych Rosjan.

— Więc gdzie reszta?... — zapytałem machinalnie, jakbym mógł się spodziewać odpowiedzi, jakby on, człowiek w ciemnych okularach, mógł wiedzieć coś więcej ode mnie w tej uprawie.

— Ba! — I rozłożył ręce. Jedna z nich w tym ruchu zawisała nad grobem, druga wskazywała barak, koło którego grzali się przy ognisku robotnicy. Rozumiał jednak pewnie tak samo jak ja, że obejmuje przestrzeń od Oceanu Lodowego po pustynie azjatyckie, a więc obszar ogromny. Gdzie reszta? Dziś wiemy już, że pytania tego rząd sowiecki pragnie uniknąć za wszelką cenę i dlatego uczeplił się kurczowo fałszywej cyfry podanej przez propagandę niemiecką. Ale wówczas, w maju roku 1943, była to jeszcze rewelacja.

— A niech pan zapyta profesora Buhtza o liczbę — dodał nagle mój rozmówca. — Tak wprost. To zdaje się przyzwoity człowiek, ciekaw jestem, co panu odpowie.

57

W pół godziny potem przedstawiłem się profesorowi Buhtzowi i powołując się na prof. Sengalewicza zapytałem istotnie wprost:

— Wiele pan profesor oblicza trupów?

— O! to jest rzecz jeszcze dokładnie nie obliczona... — odpowiedział mi najuczciwiej, jak mógł odpowiedzieć oficer niemiecki, którego pogląd pozostawał w oczywistej kolizji z oficjalną propagandą.

Po upływie kilkunastu dni rzecz przestała być rewelacją. Zarówno raport policyjny sekretarza Geheime Feldpolizei Vossa, jak bardzo sumienne sprawozdanie prof. Buhtza, ustaliły oficjalnie, że w siedmiu grobach znaleziono 4143 zwłoki. Tylko.*

* * *

W Karyniu ogniska, przy których grzeją się robotnicy, mają dwojakie przeznaczenie. Dają ciepło i dym, który choć na chwilę przegania trupie powietrze, jak gdzie indziej odpędza komary. Dlatego widać przy nich ludzi, którzy poddając się jego działaniu, mają zażawione oczy. Tam stoi właśnie słynny już dziś staruszek, Partemon Kisielów, pierwszy, który
* Jak wiadomo, dnia 1 czerwca 1943 r. odkryto jeszcze ósmy grób. Mały. Leżało w nim około stu zwłok. Ponieważ dziś wiadome już jest, że w Katyniu leży tylko Kozielsk, te właśnie sto zwłok wypełnia lukę wszystkich zaginionych z Kozielska. — Prof. Buhtz w swym sprawozdaniu pozostał do końca sumienny i ani jednym

słowem nie podtrzymał oficjalnej, a fałszywej wersji propagandy niemieckiej, że w Katyniu znaleziono 10 do 12 tysięcy. — Z sytuacji tej jednak władze niemieckie wybrnęły w ten sposób, że kazały grób nr 8 zasypać, zwłok nie ekshumować, zasłaniając się w urzędowym komunikacie nagłe nastalymi upałami i plagą much. W rzeczywistości zaś upały i muchy były nie przyczyną, a pretekstem, który pozwolił Niemcom stwierdzić fakt, że nie wszystkie trupy zostały przeliczone i podtrzymać w ten sposób autorytet swojej propagandy i lansowaną przez nią cyfrę: od 10 do 12 tysięcy. — Rząd sowiecki łapczywie uchwycił się tej cyfry, zaokrąglając ją do 11 tysięcy, aby w ten sposób uniknąć pytania: gdzie się podziła reszta, w Katyniu nie znaleziona, zaginionych jeńców polskich.

Według dzisiaj posiadanych danych, obóz Starobielski dowożony był do stacji Charków. Zaś ślad największego z jenieckich obozów, Ostaszkowa, ginie na stacji Bołogoje. Istnieje też wersja, że został zatopiony na Morzu Białym.

58

wskazał miejsce zbrodni. Inni spośród okolicznych mieszkańców, którzy świadczyli, a dziś zatrudnieni są przy robotach rkshumacyjnych, siedzą w kucki, niechętnym wzrokiem obrzucając „gości”. Ja ich rozumiem. Znowu i znowu mają opowiadać przez tłumacza, aż do znudzenia. Rzygać się im prawdopodobnie chce, nie tylko od wiecznego smrodu, ale i od łych ciągłych powtarzań, jedno i to samo w kółko. Co są temu winni, że widzieli! No widzieli, rzeczywiście, jak jechały nuta więzienne, jak wracały po nowe partie jeńców. Jak zniknęły wszystkie tu właśnie w Kozich Górach, a były naładowywane na rampie stacji Gniezdowo. — Twarze ich ożywiają się znacznie, gdy bez tłumacza zwracam się do nich płynną ruszc/.yzną.

— Wy co, będziecie Rosjanin?

— Nie, Polak.

— Aaaa...

— To lepiej, czy gorzej?

Uśmiechają się.

Jeden zaczyna, opowiadać. Rzeczy znane. Nagle spór wynika, gdy chodzi o liczbę aut, które transportowały jeńców z (iniezdowa do Katynia. — „Cztery” mówi opowiadający.

— Nie bresz! — zaprzecza grzebiący patykiem w ogniu.

Cztery „czomyje worony” (czarne kruki) były wszystkiego w smoleńskim NKWD. A jeździły tylko trzy. Czwarty zostawał w mieście. Przodem auto osobowe z enkawudzistami. A na samym końcu ciężarówka pod rzeczy. Tak było.

— Ty może widziałeś trzy, a ja widziałem cztery.

— Ze strachu pewnie, żeby i ciebie na Kosogory nie •nwleżli.

Spór wydaje mi się nieistotny.

— A to dawno tu już było miejsce kaźni, w Kosogorach, w Katyniu?

— Ooo ho-ho-ho!! — odpowiadają prawie chórem i milkim.

— Ale nie zawsze — dorzucił któryś po cichu.

— No tak — przytaknął pierwszy. — Bywało też cicho.

Air drutem otoczone i straż chodziła z psami. Bywało, dziecku ulbo baba podlezie pod druty na grzyby. Jeżeli dziewczyna |nku młoda, to żołdat spódnicę jej na głowę, na ziemię i... he, lir. he — zaśmieli się złym, obleśnym śmieszkiem.

59

I nagle jeden z siedzącej grupy zaczął opowiadać, bardziej zwrócony do towarzyszy aniżeli do mnie:

— A pamiętacie jak Marfa z Nowych Batioków, w sierpniu to było, trzydziestego dziewiątego roku, poszła po grzyby, a strażnik: „stój!” A później na ziemię, spódnicę do góry i gwałcić zaczął. Ona chciała krzyczeć, aż tu pies ogromniasty przyleciał i stoi nad nimi, język zwiesiwszy i patrzy, i patrzy, i patrzy...

— Pewnie, że ślina jemu z tego języka leciała...

— He, he, he, he.

— A Marfa w strachu, nie mając bronić się.

Wiatr odgonił dym i znowu nawiało trupim odorem. Każdy splunął po swojemu, kto na bok, kto w ogień i znowu zamilkli.

— A strzały wtedy jak rozstrzeliwali było słychać? — pytam.

— Nie. Nie było.

Reszta potwierdziła skinieniem głowy.

— A ja słyszał. Ja słyszał — upiera się Kisielów.

— To on jeden tylko słyszał. Nikt więcej.

— Jakże to tak do tej pory cicho było o tym wszystkim.

Nikt nie wygadał?

— To co, pan nie wie, jak to u nas...

— Skąd może wiedzieć — przerwał Kisielów — człowiek z daleka, z zagranicy może przyjechał, a ty: „wie”! U nas, proszę pana, język to trzeba...

— Ja wiem, wiem. I ja byłem pod Sowietami.

— No widzisz — odegrał się teraz pierwszy — człowiek znaczy swój, rzecz rozumie dobrze. Dwa słowa jemu wystarczy.

Dziennikarz portugalski zbliżył się do ogniska i patrzył, słuchając obcej mowy.

— Co oni mówią?

Wmieszał się tłumacz niemiecki. Ja odszedłem.

* * *

Profesor Buhtz lojalnie przyznaje, iż okoliczność zastanawiająca. Istotnie, nikt poza Kisielowem strzałów nie słyszał.

— Ja panom pokażę garaż. — Idziemy drogą w kierunku słynnej „daczy”, domu wypoczynkowego funkcjonariuszy NKWD. — Szukałem w tym garażu — ciągnie dalej profesor Buhtz — śladów kul. Myślałem, że jak to często bywa u bol-60

wsewików, służyć on mógł za miejsce kaźni. Wtedy się przed Mim ustawia auta z zapuszczonymi motorami. Ale śladów kul i tir ma. Ofiary strzelane były nad samym grobem. Strzały wi-

docznie głużył las, mały kaliber i duża odległość od najbliższych chat. Może i są jeszcze tacy, co słyszeli. Myśmy przecie i ilr wszystkich zbadali w okolicy. Zresztą sporo już nie ma. l'unzII służyć, ewakuowali się z armią czerwoną.

„Dacza” istotnie robi wrażenie typowej rosyjskiej willi, nwiiej pod tą nazwą. Taką, przed rewolucją, budowali sobie mi letniska podmiejskie bogaci kupcy. Widok stąd piękny. Można wreszcie odetchnąć. Głęboko w dole płynie Dniepr, siny na tle bezlistnych jeszcze krzaków, które obsiadły urwisko |rtk szczecina. W dół zbiegają drewniane schody aż na dnoja-iii. l^atem tu musi być ślicznie. Kapać się można. Pewnie gdy nuNlaje ciepło i puszczą rośliny, pełno tu słowików. Jesienią < /rrwienią się zapewne jarzębiny, kalina, ciągną przelotne |ilnki z biegiem Dniepru do Morza Czarnego i dalej, het na południe, wolne, poprzez kraj ten więzienny, a dziś tak straN/Ilwle poryty w bunkry. — Ciężko jest pewnie umierać, pali /iic w tę przestrzeń Bożą. Z werandy na przykład. Jakich to ludzi rodziły matki, którzy tu wypoczywali, aby iść w las do knlowskiej roboty i znów wracali na wypoczynek? Co? Jak inyNllcie, wróble na dachu, które teraz budujecie gniazda pod guniami? — Świergocą coś. Milczą drzewa, krzaki, rzeka płynlc

Deszcz znowu pada. Dr Buhtz, opięty w mundur, ma tro-rlie minę znudzoną. Oprowadzał tu już niejedną wycieczkę. — Wracamy — mówi.

— A jeżeli wolno mi zapytać, panie doktorze...

— Proszę bardzo. Ja od tego tu dziś jestem.

— Otóż interesuje mnie sprawa... czy nie znaleziono nig-ilrJe wystrzelonych łusek? Nie dało się ustalić fabryki broni, z której ofiary były strzelane?

Twarz Niemca poważnieje.

— Nic konkretnego nie mogę panu jeszcze powiedzieć.

* * *

„Tajemnica łusek” rozwiązuje się również wkrótce.

Raz jestem przy trupie, w którego czole tkwi jeszcze kula.

I >i Wodziński lancetem wyrzucają stamtąd, ja sięgam ręką i w IrJ chwili mówi mi ten sam młody człowiek w ciemnych nk i tiarach:

61

— O, kuli panu nie dadzą zabrać. Ani kuli, ani żadnej znalezionej łuski.

Bo obok stoi major niemiecki. Pytam go o pozwolenie.

Wziął ten kawał opancerzonego ołowiu i jakby ważąc w zamyśleniu na dłoni, odpowiedział wreszcie:

— Ja, ja das können Sie behalten, to może pan zatrzymać.

— Miał pan szczęście — szepnął ten w okularach.

Wieczorem jeszcze raz zapytuję wprost Słowenczika o łuski. Tłumaczy mi, że pewną ich ilość znaleziono istotnie, ale sprawa jest bez znaczenia. Broń dziś każdy może używać różną: ... Łuski to żaden dowód... — Wyraźnie wykrętne odpowiedzi. Co jednak w całej aferze jest najbardziej zastanawia-

jące, to to, że ten szczegół śledztwa, pomijany w ten sposób przez propagandę niemiecką, jednocześnie... nie jest ani atakowany, ani poruszony przez czujną — propagandę sowiecką. Pierwszemu lepszemu czytelnikowi komunikatów niemieckich o Katyniu rzuca się w oczy brak jednego chociażby słowa o marce fabrycznej pocisków, a miałyby się nie rzucić w oczy aparatowi propagandowemu w Moskwie?! Rzecz w istocie miała się zawile, a jakże prosto zarazem: Broń użyta do rozstrzeliwania jeńców polskich w Katyniu była pochodzenia niemieckiego...

Wystrzelone łuski, znalezione w większej ilości, wskazywały, iż użyto amunicji fabrycznej „Gustaw Genschow und Co.” w Durlach koło Karlsruhe (Baden). Gilzy znaczone były: „Geco 7.65.D”.

Jakiż z tego wniosek? Z punktu widzenia propagandy niemieckiej — fatalny. Nic też dziwnego, że miejscowe władze, prowadzące dochodzenie w Katyniu, były rym odkryciem zrazu skonsternowane, zszokowane po prostu. Prawdopodobnie w odpowiedzi na odnośny meldunek, nadszedł rozkaz, aby sprawę utrzymać w ścisłej dyskrecji, aż do jej wyświeślenia. Dziś wiemy, że dalsze koleje były takie: Ministerstwo propagandy zwraca się zapewne do O.K.H. (Oberkommando des Heeres), Dowództwo Armii zwraca się do Głównego Szefostwa Uzbrojenia. Następuje biurokratyczna korespondencja, która pochłania długie tygodnie, gdyż zapewne szefostwo uzbrojenia dochodzić jeszcze musi w fabryce „Genschow”. — I cóż wychodzi na jaw?

62

Oto w latach zaraz po traktacie w Rapallo, aż do roku 1919, fabryka „Genschow” dostarczała wielką ilość tej amunicji Sowietom, która nb. szła tranzytem przez Polskę. Jednocześnie do ostatnich lat przed wojną zaopatrywała w broń i amunicję, w ten sposób znaczoną, państwa bałtyckie i Polake. Amunicja „Geco” opanowała nie tylko polski rynek prywatny, ale powszechnie używana była w wojsku. Bolszewicy, okupując wschodnie ziemie Polski i zagarniając znaczne zasoby broni i amunicji, dostali w swe ręce wielkie zapasy (ej właśnie amunicji pistoletowej).

Ale wyjaśnienie niemieckiego szefostwa uzbrojenia datowane jest dniem 31 maja 1943 r. Czyli nastąpiło po kilku dniach od mego wyjazdu z Katynia. Stąd rzecz zrozumiała, logiczna i życiowo wytłumaczalna, że sprawa przed 31 maja była w tajemnicy, a ogłoszona dopiero po tej dacie. Nulomiast przeciwnie, wyglądałoby bardziej podejrzanie, gdyby Niemcy mieli zawczasu przygotowaną odpowiedź.

Ho czego dowodzi zaskoczenie władz niemieckich? Postradnio, że — nie one były sprawcami mordu katyńskiego... ho tdyby zbrodni dokonali sami, jak to twierdzą bolszewicy, w ramach prowokacji, to albo użyliby amunicji sowieckiej, którą po klęsce Armii Czerwonej, mieli pod dostatkiem, albo w inny sposób zawczasu przygotowaliby wytłumaczenie, nigdy nic byliby — zaskoczeni. W każdym razie Niemców o taką

i wność w dziedzinach zbrodni trudno byłoby posądzić.
O! o są przyczyny, dla których propaganda sowiecka spr-
iimunicji użytej w Katyniu wołała pokryć milczeniem...

* * *

Jeszcze jednego odkrycia dokonałem w Katyniu, które acz
i"irrdnio, ale jakże charakterystyczne pozwala wysnuć
uloNki i przyczynić się do wyświeślenia właściwych spraw-
11 iw zbrodni. Chodzi tu o — Żydów.

Żydzi na listach ofiar katyńskich, ogłaszanych przez
Nlrmców! Cała masa żydowskich nazwisk! — Gdy przegląda-
Iru! («• listy, powiedziałem do oficera niemieckiego z akcentem
|ir?,rkasu, na jaki sobie pozwolić mogłem:

Hm, ale Żydów też jest sporo...

Taaak, owszem... no, ale czy to warto podkreślać?...

Ja też nic nie podkreślam. Ja po prostu konstatuje. Kto
pomni z bliska zaślepioną, wściekłą, można by ją określić ja-
ku * pianą na ustach antysemicką propagandę hitlerowską,

63

która z absolutnym, nie dopuszczającym żadnego zastrzeże-
nia uporem, identyfikowała bolszewizm z żydostwem, ten do-
piero wyobrazić sobie może, jak trudno było teży hitlerow-
skiej propagandzie publikować dziesiątki nazwisk z imienia i
nazwiska żydowskich, na liście właśnie ofiar katyńskich!

W okupowanej Polsce rozklejano afisze o Katyniu, jako
zbrodni „żydowsko-bolszewickich katów". W popularnej bro-
szurce pt. Masowy mord w lesie katyńskim, kolportowanej
przez propagandę niemiecką, znajdujemy taki ustęp:

„I nie zdziwi już nikogo fakt — udowodniony ponad wszel-
ką wątpliwość przez wypowiedzenia świadków — że owymi
katami byli bez wyjątku Żydzi".

Niemcy ustalali w dalszym ciągu, że kierownictwo egze-
kucji spoczywało w rękach czterech członków mińskiego
NKWD i wymieniali z tych czterech trzech o żydowskim na-
zwisku: Lew Rybak, Chaim Finberg, Abraham Borissowicz.
— Nawiasem dodać muszę, iż fakt, że egzekucji dokonywało
specjalnie w tym celu delegowane NKWD z Mińska, potwier-
dzi się w następstwie. Ale trzy przytoczone nazwiska po pro-
stu wychwycone zostały przez Niemców z archiwum NKWD w
Mińsku, który zajęli raptownie: zacytowali je na ślepo.

Tymczasem w liczbie tych, którzy padli ofiarą mordu,
znajdujemy:

Engiel Abraham, Godeł Dawid, Rożen Samuel, Guttman
Izaak, Zusman Ezechiel, Frejnkiel Izaak, Bernsztein Fejwel,
Press Dawid, Nirenberg Abraham, Hirszritt Izrael itd. itd. —
Ci więc mieli paść ofiarą „wyłącznie" żydowskich katów?

Sprzeczność jest tu rażąca, w najwyższym stopniu draż-
niąca propagandę hitlerowską. A jednak sami Niemcy je pub-
likują. Wniosek stąd może być tylko jeden. Taki mianowicie,
iż gdyby Niemcy w jakikolwiek sposób mieli fałszować doku-
menty katyńskie, jak o tym twierdzi komunikat sowiecki, to
nie ulega żadnej wątpliwości, iż w pierwszym rzędzie ukryliby
nazwiska żydowskie. Jakże łatwo im było chociażby zniszczyć

dowody i przy zwłokach Lewinsona Józefa, Glikmana, Epsztejna i Rosencwajga napisać: „nie rozpoznane”. A jednak nie uczynili tego i publikowali je łącznie z innymi. Nie mogli tego uczynić wobec zbyt dużej ilości świadków, których sami zaprosili.

Dowodzi to, iż zbyt dużą wagę przywiązywali właśnie do tej jawności i obiektywnego zbadania mordu katyńskiego,
64

wby pozwolić sobie na ukrycie długiego szeregu dokumentów, które by następnie mogło rzucić cień, lub podważyć zaufanie do całości śledztwa, wyzyskiwanego z takim nakładem energii przez ich propagandę na cały świat.

Potrafiliby zatuszować sprawę jedyne go trupa kobiety,* ale nie mogli sfalszować identyfikacji dziesiątków zwłok, wydobywanych w obecności delegatów Polskiego Czerwonego Krzyża i gości zagranicznych. — Niemcy za wszelką cenę pragnęli ujawnić prawdę o zbrodni katyńskiej, bo... tym razem zbrodnia dokonana została nie przez nich, a przez bolszewików.

* * *

Po powrocie z Katynia pytano mnie wiele razy o „wrażenia”. Naturalnie wrażenie jest takie, o którym się zwykło mówić, że „mrozi krew w żyłach”. Stosy trupów nagich budzą najczęściej odrazę. Stosy trupów w ubraniu raczej grozę. Mot. r dlatego, że nici tych ubrań wiążą je jeszcze z życiem, którego je pozbawiono, a przez to stwarzają kontrast. W Katyniu Kimlcziono wyłącznie prawie wojskowych i to oficerów. Wymowność tego munduru robi wrażenie zwłaszcza na Polaku.

Odznaki, guziki, pasy, orły, ordery. Nie są to trupy anonimowe. Tu leży armia. Można by zaryzykować określenie — kwiat rtmli, oficerowie bojowi, niektórzy z trzech uprzednio prze-walczonych wojen. To jednak, co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w lcl potwornej masie. Bo to nie jest masowe zagazowanie, ttntl ścięcie seriami karabinów maszynowych, gdzie w ciągu minuty czy sekund przestają żyć setki. Tu przeciwnie, każdy umierał długie minuty, każdy zastrzelony był indywidualnie, Urt/dy czekał swojej kolejki, każdy wleczony był nad brzeg Ul obu; tysiąc za tysiącem! — Być może w oczach skazańca układano w grobie poprzednio zastrzelonych towarzyszy, irtwno. w ciasne szeregi, może przydeptywano je nogami, aże-by mniej zajmowali miejsca. I tu doń strzelano w tył głowy.

W Kozielsku znajdowała się jedna kobieta, porucznik-pilot wojsk polskich. Niemcy o tym nie wiedzieli i znalezienie jej w Katyniu /uskoczyło ich, podobnie jak „sprawa łusek”. Sądząc, iż wiadomość o trupie kobiety może wprowadzić zamieszanie i wymagać szczegółowych komentarzy, których udzielić nie mogli, popłarali się, aby sprawa nie nabrała rozgłosu i pominęli ją w ftwnlch komunikatach.

65

Każdy trup wydobywany w moich oczach po kolei, każdy z przestrzeloną czaszką, od potylicy do czoła, wprawną ręką, to kolejny eksponat straszliwego męczeństwa, strachu, rozpa-

czy, tych wszystkich rzeczy przedśmiertnych, o których my, żywi, nic nie wiemy.

Rozmawiałem kiedyś z człowiekiem, któremu strzelono w tył czaszki i który żył jeszcze trzy dni, gdyż kula ugrzęzła gdzieś między zwojami. — „To było — wyszeptał — to było jakby szklanka pękła, dzyń! i koniec”. — Może...

Jeszcze jeden, i jeszcze następny, i znowu, i znowu niosą trupy w kolejce odwrotnej, z góry do dna grobu, tak jak uprzednio wypełniali go od dna do góry.

Szarpiące, ekscytujące nerwy pytanie, jakaś drapieżna ciekawość, która później nie da spać przez wiele nocy, powraca za każdym, którego niosą: „Jak to wyglądało w szczegółach!”

Zdaje się, że każdego z jeńców uśmiercało trzech oprawców. Dwóch trzymało go z boków, za ręce, pod pachami. Trzeci strzelał. Jak przy operacji. — Indywidualność ostatnich odruchów i cierpienie da się nieraz odczytać z tego, co po nich pozostało: wybite zęby, szczeka wytracona uderzeniem kolby, rany kłute, sowieckim, trójgraniastym bagnetem. Wielu jest skrępowanych misternym węzłem sznura. Niektórzy mieli zarzucone na głowę mundury, lub płaszcze związane u szyi, a wewnątrz wypełnione trocinami, ażeby uniemożliwić krzyki. — Usta otwarte, usta pełne piasku i oczodoły puste, które nie wyrażają już nic ponad śmierć.

Ale osobowość każdego nie wyraża się tylko mundurem, odznakami stopnia oficerskiego, czy krzyżem na piersiach, albo schowanym w kieszeni. Przemawia nade wszystko wyrazem przedmiotów, które miał przy sobie do ostatniej chwili, a które jeszcze żyją, bo mówią literami, które można odczytać. Nazwisko za nazwiskiem... tysiące.

— Chce pan przeglądać tę listę? — zwraca się obojętnym tonem Niemiec, podsuwając długie kolumny maszynopisu.

Ciszewski Tadeusz... Tego znałem z Braclawszczyzny.

Anton Konstanty rtm... To mój kolega z jednej klasy gimnazjalnej.

66

Wierszyło Tadeusz, porucznik. Numer 233. Tadzio, nie wlrn dłączego na pamięć przychodzą mi raczej jego przywła-IV. a nie strony dobre. A jakże! Tadzio, adwokat trochę z tiraiszkim, lubiący wypić, żyć wygodnie. — „No, no — mówił no, no” i podnosił brew do góry, gdy sekundował mi w pojedynku. — „Ale ty, bracie, strzelasz... o włos i...” — „Sprawirui sobie buty długie” — mówił już w lipcu 1939 roku i kiwał głową. „Wojna, widzisz tego, a ja porucznik broni pancernej... Kmlzę i tobie... Jak chcesz zresztą. Panie Michale! Masełko i \r\n/xv.e jedna karafka”. — Przy nazwisku w wykazie figuruje: I >wlc pocztówki. Dwa listy. Jeden datowany 8 września 1939 r. na ośmiu stronach. — Ośmiu stronach...

— Co pan mówi?

— Nic. List na ośmiu stronach...

— Co to, pański znajomy, czy krewny? Który numer?

I >wlcście trzydzieści trzy. Jeżeli pan chce, może pan zabrać,
•ilbo odczytać list, powiedzieć później rodzinie.

— Nie, nie będę czytał.

A oto szwagier mego brata Piotruś. — „Nie bądź świnia —
niuwlal podsuwając półmisek — jedz jak się należy”. — Taki
liyl |c^o zwyczajny, głupi żart. Zawsze, zawsze, zawsze weso-
ły Uo/.pływa mi się jego uśmiech w pamięci jak ta mgła za
nkiirin, w której kąpią się teraz sosny. — Numer 1078. Kra-
lirlukl Piotr. W mundurze bez oznak. Listy i kartki pocztowe.
Awluricctwo szczepienia nr 318. — To wszystko.

Następny: Nr 1079 Kodymowski Stanisław Marian ppor.
I4mI do żony, napisany w Kozielsku i nie wysłany. Książeczka
iiildu. Zaświadczenie urzędnicze. Świadectwo szczepienia nr
I JHO. — Tego nie znałem nigdy.

Następny...

Ten wykaz leżący na stole prowizorycznego baraku też już
|u /rNlakł trupem. Duszo tu jest.

Czy nie można okna otworzyć?

Nie można — odpowiada podoficer niemiecki. — Bę-
IUlr |rszcze więcej śmierdziało. Z lasu.

* * *

IJsty, listy, listy. Listy od rodzin. Ogromna większość za-
chowana jeszcze w stanie możliwym do odczytania. Dużo jest
takich, które przez jeńców zostały napisane w Kozielsku, ale
67

już — nie wysłane. Przy zwłokach znaleziono około 1650 lis-
tów, 1640 kartek pocztowych i 80 depesz. Ani jeden z tych
listów, ani jedna kartka, ani depesza, nie posiada daty
późniejszej niż — kwiecień 1940 roku!

Kto ich nie miał w rękę, wydobytych z dołów śmierci, z
masy poklejonych trupów — ten może jeszcze dopatrywać się
w mordzie katyńskim sprawy, którą dziś należy traktować w
płaszczyźnie politycznej rozgrywki. Kto je czytał, zaciskając
usta i nos chustką, kto wdychał ich słodkawą woń trupią,
nad zwłokami „kochanego”, do którego były pisane, dla tego
nie ma i nie może być względów innych, jak obowiązek rzuce-
nia prawdy w oczy świata.

Listy te były chowane na piersiach i w bocznej kieszeni, i
w tylnej kieszeni, i w cholewach butów, zależnie od ówczesnej
woli żyjącego jeszcze adresata. Chowane jak relikwie. Później
wystawione na pokaz i profanację wrogiej niemieckiej propa-
gandy.

W odległości dwóch kilometrów od Kozich Gór, w miejsco-
wości Gruszczenka, Niemcy zorganizowali na werandzie jed-
nego z domów wystawę eksponatów katyńskich, w gablot-
kach oszklonych, jak w muzeum. Charakterystyczne przed-
mioty i stan ich zachowania w grobach oglądać mógł każdy.
Obok legitymacji, naramienników, banknotów, kwitów, od-
znak, orderów i masy różnych innych przedmiotów, były też
listy. — Propaganda niemiecka umiała organizować takie po-
kazy dla własnych celów politycznych. Ta rzecz daleka jest
dziś od sprawy i w niczym jej nie zmienia.

Raz jeden miałem takie prawdziwe łzy w oczach, tzn. nie od trupiego swądu i nie od zbawczego dymu ognisk, a tam właśnie, na werandzie domu w miejscowości Gruszczenka. Było to trzeciego dnia pobytu. Wróciliśmy z Kozich Gór. Za czystym szkłem gablotki, nadpsute kartki, rozpięte pine-skami, o wielkim, bardzo czytelnym piśmie: listy dzieci do oj-ców.

„8 stycznia 1940 r. — Tatusiu Kochany!! najdroższy!... Czemu nie wracasz? Mamusia mówi, że tymi kredkami, coś mi podarował na imieniny... Do szkoły teraz nie chodzę, bo zimno. Jak wrócisz, ucieszysz się pewno, że mamy nowego pieska. Mamusia nazwała go Filuś... Cześć”.

„12.11.40. — Kochany Papo, pewno wojna się prędko skończy. Bardzo za Tobą tęsknimy wszyscy i strasznie Ciebie

68
całujemy. Irka przycięła sobie włosy i Mama się bardzo gniewała. Czy mieszkasz w ciepłym domu, bo u nas brak opału. Mama chciała Tobie posłać ciepłe rękawiczki, ale... W kwietniu przejedziemy do wuja Adama i napiszę wtedy Tobie, jak Irka wygląda...”

W kwietniu... w kwietniu roku 1940 Kochany Tatuś Cze-
«lu i Papo Irki zastrzeleni zostali wystrzałem w tył głowy z
11 i/.kazu Stalina.

* * *

To nie są rzeczy nowe, o których tu pisałem. Dziesiątki „miarodajnych” osób zna je doskonale. To są tylko rzeczy, klftrych się nie publikuje, aby kogoś nie rozdrażnić, komuś Innemu się nie narazić...

>w i Wilno 1947 nr 10 i 11

69

»«f

GETTO WILEŃSKIE

Zegar na gmachu dworca kolejowego, odwrócony twarzą do miasta, wskazywał dziesięć minut po godzinie szóstej wieczorem, gdy mnie zatrzymał pan... nie chcąc wymieniać jego prawdziwego nazwiska, nazwę go po prostu: Izaak Rozen-cwejg.

— Co się słyhać z panem?

Pytanie było przyjemne, bo stereotypowe, przedwojenne, nieomal kontrrewolucyjne. Wnosiło urozmaicenie, podkreśla-
ło indywidualność, podważało niejako obowiązujący szablon, w którym wszyscy winni słyszeć tylko jedno i to samo: „Tętno rodzącej się do nowego życia, wolnej, socjalistycznej, radziec-
kiej ojczyzny, w ramach związku braterskich narodów mas pracujących... itd. itd.” — Był to bowiem dzień września 1940 roku w Wilnie, stolicy LSSR, czyli Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Więc zagadnięty w ten sposób przez Izaaka Rozen-cwejga, ściągnąłem lejce, powiedziałem do konia: „prrr!”, a później z wysokości deski leżącej w poprzek wozu, ponieważ byłem w tym czasie woźnicą ciężarowym, wskazując batem zegar, za-
pytałem, czy pewien jest, że godzina prawidłowa, gdyż muszę

się spieszyć po jedną jeszcze partię cegieł.

— Zdażysz pan z temi cegły — odparł Rozencejg, opierając łokcie na bokówkach wozu, a dojrawszy jakichś przechodniów, którzy się zatrzymali opodal, dodał głośno i na wszelki wypadek: — zdażysz towarzyszu, zdażysz obywatelu. Moja znajomość z Rozencejgiem datowała się od dawna, ale była powierzchowna. Jego maleńkie biuro ogłoszeń pro-

•)rrowało przed wojną źle. Stąd wynikała nieregularność, z jaku wpłacał był pieniądze do kasy administracji gazety, w której pracowałem. W rezultacie wydawnictwo postanowiło M*rwac stosunki handlowe z firmą „Rozencejg i syn”. Przychodził więc w godzinach wieczornych do redakcji i z ostrożnym pominięciem administratora wtykał swe marne, petitowr ogłoszonka, szmuglując je w ten sposób wprost do drukurtn.

— Kto przyjął znowuż ogłoszenie od Rozencejga? — pinił nlc nazajutrz czerwony na twarzy administrator.

Nikt się nie przyznawał, a po kilku dniach, właśnie o tali \r\ jak teraz porze, mniej więcej po szóstej wieczorem, zjawlul się znowu Rozencejg, zawsze jednako grzeczny, z nowym ogłoszeniem. Stąd powstała luźna przyjaźń, sięgająca nlrkiedy aż do dyskusji na tematy polityczne.

Później przysły czasy Folksfrontu w całej Europie i wielklr\ moralnej ofensywy Sowietów, a ja napisałem artykuł,* Mnry się bardzo Żydom nie podobał i nazwano mnie „anty•millnikiem”. Po trochu mieli rację. Dyskusja nie należy do Irjio tematu. Kolega z żydowskiego Togu przyszedł zrobić ze inni) wywiad jako z „antysemitą”.

Kozencejg, który znowu przemycił jakieś ogłoszenie za u mli n pośrednictwem, powiedział mi wieczorem:

~ Ja pana nie rozumiem.

Niech.

Później stało się to wszystko w r. 1939, co już wiadomo, i były przysła jesień tego fatalnego roku i bolszewicy wkroczyli tlu miasta, nawet zecerzy mi radzili:

— Oj, niech pan ucieka. Żydki to na pana cięte. Wydalina.

Nieprawda. — W okresie najcięższych czasów okazali mi /,ycl/.l raczej pomoc i przychylność. — Ludzie bezkrytyczni w ilrlrl w sowieckim reżymie równanie w dół. Żydów rozpycha(arycli się łokciami. Mój Boże, kto wówczas nie był konkułłti(rm wspólnej walki, walki o miejsce w kolejce, przed pu alym sklepem! Któż się nie starał rozpychać łokciami w tej nlnloll strachu, biedy i nudy życia! Zdaje mi się, że największym łgarstwem Adolfa Hitlera był jego bluff o Sowietach < 'hndziło o artykuł pt. JV Schwarce Bor”, przedrukowany w tomie Ilunt rojstów, Wilno 1938. B.T 1983

71

rzządzonych przez — Żydów. — Sam na początku roku 1941, jako furman, wywoziłem szmochty i rupiecie różnym Żydom, którzy zwiewali z miasta przed rządami tej „żydo”-komuny,

którzy uciekali do lasu przed — Kazachstanem... Ale to należy znów do dyskusji wielkiego tematu.

Dlatego też nie będę tu przytaczał całej rozmowy z Izakiem Rozencwejgiem, gdy stał oparty o wóz ciężarowy, która to rozmowa najbardziej zniecierpliwiła mego konia, bo zbliżała się już pora wypoczynku w stajni. W rezultacie kosztowała mnie trzy czerwonce z zarobku, bo po cegły jechać było za późno.

— Jedno tylko mogę panu powiedzieć... — oświadczyłem w końcu.

— Tsss! mów pan lepiej: obywatelu...

Wzruszyłem ramionami — ... otóż jedno tylko powiedzieć, że jeżeli kiedyś będę znów pisał, i pisał o Żydach, to tylko prawdę bez względu na miejsce i moje sympatie czy antypatie do poszczególnych obozów...

— O! o! o! — potakiwał Rozencwejg i podaliśmy sobie ręce na pożegnanie, wówczas, w tym państwie, w którym strach i nuda krzyżują się ze sobą jak sierp z młotem.

* * *

Stało się tak, że w czerwcu roku 1941 armia niemiecka rozbija w puch armie czerwone i Wilno, o które Hindenburg walczył półtora roku w 1915, zajmuje w półtora dnia.

Żydzi zachowują się jak dzieci.

Antysemici twierdzili przed wojną, że Wilno jest „zażydzone”. Istotnie miało 30 procent ludności żydowskiej. Stanowiło to przeszło 60 tysięcy Żydów. I cóż oni robią, ci Żydzi, w obliczu wkraczających pancernych wojsk niemieckich? Czekają.

Po prostu czekają, co będzie dalej. Zebrali się na chodnikach, pozamykali witryny sklepów, stoją zbitą ciżbą, kapelusz przy kapeluszu, jakby dzień był sobotni, a chodnik jakowś synagogą. Co oni, nie czytali gazet, nie wiedzą co im grozi? — Ja nie jestem Żydem, więc mnie nic do tego. Jako furman zajężdżam do znajomego sklepiku Altera Jakuba przy ulicy Raduńskiej i mówię: „Panie Alter, sprzedaj mnie pan trochę owsa dla konia”. — „Nie mam” — odpowiada. A wiem, że ma, tylko zamknął skład, bo nie wie, jakie ceny teraz będą. — „Sprzedaj pan” — powtarzam — „przecież Niemcy i tak wszy-

72
alko wara odbiorą”. — „Niech odbierają!” — odpowiada hartło. Wtedy zrozumiałem:

Oni nie wierzą...

Minęły trzy dni, w ciągu których wzięto stu Żydów na zali Im li lików i rozstrzelano. Były to jeszcze dni spokojne. Koin idantem miasta został Niemiec o zabawnym nazwisku /Hmpfennig. Za jego to podpisem ukazało się obwieszczenie, \ł. /ydzi zdać mają wszelki majątek ruchomy (nieruchomy mlrbrali już byli bolszewicy) w ręce władz wojskowych. Żydzi inIiIiI złoto, brylanty, kosztowności. Oczywiście nie wszy- <lklc Kto by tam oddawał ostatnie. Ale na oko zebrало się te- 0)nporo.

Złudzenie nagle prysło: będzie coś, przed czym żadne prawo ule uchroni.

Nazajutrz nowy nakaz: Żydzi, oddać wszystkie radio-

• Nlblorniki! — Szli posłusznie do komisariatów policji i usta-
wlii Je tam na podłodze, aż robił się stos.

Na rogu ulicy Wielkiej i zaułka Literackiego, młoda, bar-
i ihi ładna Żydówka dźwiga pięciolampowy odbiornik. Gorące
Iii było lato, lato ściekające potem po twarzy, gdy się szło
i Iiim li tikiem nawet bez pięciolampowego odbiornika. Kosmyk
wfimow przykleił się dziewczynie do skroni i na łopatkach, na
|p|nr| sukience, wystąpiły szerokie, pociemniałe plamy potu.
W lr| chwili skrzynia się jej wyślizgnęła, ledwie zdążyła pode-
jityrć |ą kolanem, sama zaś zachwiała się i oparła o zamknię-
tą okiennicę starej antykwarni Joseła Ickowicza.

Mija) ją prosty żołnierz niemiecki, zakurzony wojną blon-
tk*, I ten doskoczył, podtrzymał ją za ramię i zaproponował
|M> piosłu: „Ja pani pomogę”.

Nic zapomnę nigdy tych oczu. Tego wyrazu, z jakim nań
|in|/ała. Było w nim więcej przestachu niż zdumienia i wię-
l wMydu niż przestachu. Wstydziała się za niego, za siebie,
\ lxi za świat cały. Wstydziała się tej głupiej pomyłki, że żoł-
l/ nie rozpoznał w niej Żydówki, albo nie znał praw obo-
nMi|ucych Aryjczyków, albo w ogóle miał wiatr w głowie.

•lilia niemy ruch głową o wpółotwartych ustach i zakurzo-
Uirnadier poszedł swoją drogą.

Nazajutrz ukazało się kolejne rozporządzenie Zehnpfenni-
g.i

„Żydzi mogą ukazywać się na mieście nie inaczej, tylko z
umieszczoną na piersiach i plecach gwiazdą, ko-

73

4

loru żółtego. Chodzić tylko po jezdni wzdłuż chodnika, gęsie-
go. Nie wolno im pozdrawiać nikogo na chodniku i nie wolno
nikomu pozdrawiać Żydów, podawać im ręki, rozmawiać z ni-
mi”.

Jeszcze ludzie gromadzący się przed obwieszczeniami
kręcili głowami: jakże to tak będzie wyglądać! Kilkudziesię-
ciotysięczne rzesze mieszkańców miasta mają się w ten dziki,
niesłychany sposób zachowywać? Po prostu trudno sobie wy-
obrazić. Dlatego niektórzy się śmieli:

— Przedstaw sobie naszego eleganckiego Frydmana jak
idzie z żoną..

Mojżesz mu było na imię, a może Ezechiel Frydman, trzy
kamienice w mieście, czwarty z rzędu najbogatszy sklep futer
(po znajomości kupowało się na dogodne raty). Idzie istotnie
z żoną. Kapelusze „Habig” niedbale trzymany w ręku, palto
przerzucone przez ramię, w nieskazitelnie skrojonym (u „Ku-
nina”) jasnopopielatym letnim garniturze. Poniżej klapy, na
piersiach, wielka żółta gwiazda. Nogi go widocznie rozboleły z
nieprzyzwyczajenia do maszerowania po nieAwygodnych ka-
mieniach jezdni, więc stąpa sztywno jak na sztywnych, z wy-
brednym uśmiechem na twarzy. Za nim kroczy żona. Pierw-
sza elegantka wśród Żydówek miasta, włosy tlenione, suknia
w kwiaty, wpatrzona w gwiazdę na plecach męża i tak po ko-

cich łbach, tuż koło chodnika, wzdłuż rynsztoku, który wycieka z b. fabryki Zygmunta (Zuseła) Kaca.

To nie było wcale śmieszne. Chodnik w tym miejscu miał wysokie podmurowanie. Z jego wysokości czułem się bardziej zawstydzony, niż gdybym siedział w rynsztoku. Podając rękę trzeba się było schylić w pas. Właściwie sytuacja naprawdę głupia: „Zejsź na jezdnię, czy jak, u diabła?!” — myślę.

— Państwo się nie znają — mówi mi Frydman. — Moja żona...

Tymczasem ludzie się gromadzą. Ludzie wokół milkną. — Pani Frydman chce zdjąć rękawiczkę, ale jest zbyt obcisła, zbyt też spotniała ma rękę. Dlatego widocznie ręce jej latają jak w febrze. Ogląda się i nagle szepce do męża: „Idziemy, idziemy prędzej! Niemiec z tyłu!”

— Ależ moja droga — odzywa się mąż — nie denerwuj się, ja ciebie bardzo proszę. — I odstawia z dezynwolturą lewą nogę jak to czynią żołnierze na „spocznij”. Chce jeszcze 74

toń powiedzieć, chce założyć prawy kciuk pomiędzy guziki kunilzelki... załamuje się sam.

Niemiec się zbliża. Jest to znów tylko prosty żołnierz i nie nut najwidoczniej ani złych, ani żadnych zamiarów. Ale Frydiiiiiii bez pożegnania rusza pospiesznie w górę jezdni, protein Iko, wzdłuż rynsztoka, za nim żona, przepisowo, gęsiego, w Niikni z najlepszego szyfonu, z żółtą gwiazdą na ładnie za- i v»<>wanych plecach.

Poszedłem wprost do ich mieszkania i mówię:

— Panie Frydman, słyszałem, że można brać Żydów na niboty. Może ja pana u siebie w domu (mieszkałem pod mi- •Iriu) zarejestruję, jako ogrodnika na przykład. Mam tam tam Izbę wolną.

Ale Frydman, wytrawny kupiec, zachowuje się jak dziecko

Ja panu bardzo dziękuję... Tylko widzi pan: żona,

ilwo|<* dzieci, matka stara, służąca...

Służąca?...

To jest właściwie taka niańka. I czy my tam się pomie- iiiiV... Tam nie ma wygod? Może ja pojedę do pana zoba- .|•?

Kozmowa odbywała się o godzinie wpół do siódmej wie- • i >irni. A nazajutrz rozpoczął się marsz do piekła. Zehnpfen- ul(t /urządził przeniesienie wszystkich Żydów do getta, udzie- kjnc Im na to dwóch godzin czasu.

* * *

Później, gdy z lasu przyszedł do mnie po raz pierwszy iplro (wielki skład materiałów piśmiennych na prowincji), Mwuł głową:

Co znaczy, pan mówi: „jak dzieci”? Kto mógł wiedzieć, liędzle takie coś? Kto mógł spodziewać, kto? Ja myślę, za- i! ii człowiek na świecie.

Szupiro miał rację. Ale swoją drogą ci wszyscy, co u nas | || r><l tą i przed tamtą jeszcze wojną i zdaje się przed wielu

11 mii ii wstecz, po wsiach, miasteczkach i miastach rozpo-
i ulać byli zwykli o „żydowskim niuchu”, o ich wszechwiedzy
1 r< nlnnych przewidywaniach — mylili się fatalnie. Podczas
1 I wujiiy nie spotykałem ludzi bardziej naiwnych. A przecież
, ilu I o jeszcze nie były Ponary... Getto było po prostu pie-
kłem uu ziemi. Ponary była rzeź.

75

I

* * *

W Wilnie nie było właściwie jednolitego terenowo getta, a
były ich dwa, odgródzone arterią ulicy Niemieckiej. Nie zosta-
ły też otoczone specjalnym murem, jak w Warszawie, tylko
zamurowano wyloty niektórych ulic. Poza tym domy, wycho-
dzące „na zewnątrz” zostały opróżnione. Z ulic wylotowych
pozostawiono po jednej dla przejścia do wewnątrz, robiąc w
murze bramę, przy której dzień i noc stała uzbrojona straż.
Brama była w zaułku Gaona, a dla drugiego getta w połowie
ulicy Rudnickiej. Większa część ulicy Zawalnej stanowiła
właśnie ślepy kompleks domów nie zamieszkanym, okalają-
cych z tej strony getto.

Na jednym z balkonów ostały wazonny fikusa, niskorosłej
pinii i kilku jeszcze roślin, kiedyś tam wystawionych i pozo-
stawionych na zawsze. Drzwi od balkonu zabito deskami od
wewnątrz. Rośliny te podlewał przez jakiś czas deszcz letni,
później jesienny i jak długo jeszcze trwało ciepło, rosły dalej,
na tej bezludnej wyspie, zawieszona nad ludną ulicą, pełną
przechodniów, koni, aut, armat, czołgów. Zdawało mi się po-
czątkowo, że można o takich skazanych na zagładę roślinach
napisać poemat. Wrażenie jednak bladło. Minał wrzesień,
październik i straszna zima roku 1941-42 stanęła u progu.
Wprawdzie podnosiłem zawsze głowę, przechodząc tamtędy,
by zobaczyć, czy fikus ma jeszcze liście zielone, zauważyłem
też, gdy zaczął marznąć i żółknąć, ale miesiąca, w którym
umarł ostatecznie, już nie pamiętam.

* * *

Przyszła wiosna roku wojennego... Getto topniało. Stale,
systematycznie, w ciągu długich miesięcy. Zdarzało się też, że
gdy pojawiły się liście na drzewach, Żydzi uciekali z robót,
nie wracali już do piekła w ciasnych zaułkach. Razu pewnego
na rampę kolejową przy lotnisku Porubanek, gdzie Żydzi ni-
welowali teren, podstawiono puste wagony towarowe. Może
ich przeznaczeniem było zabranie zmagazynowanego żelazi-
wa, może dziesięć innych przeznaczeń, ale ktoś puścił pogło-
skę wśród Żydów, że to — po nich przybyły te wagony. Uczy-
niła się panika i Żydzi uciekali przez druty, przez wysokie
płoty, na przełaj do lasu, na pola. Żyto w okolicy było jeszcze
zielone, ale już wysokie. Zaczęła się więc normalna strzelani-
na do ludzi, z których większość trafiono na miejscu. W cią-
76

Ku następnym dni obchodzono jeszcze laski okoliczne i zabi-
|nno tych, co się po nich błakali.

Tuż za cegielnią, na zboczu gliniarki, leżał trup w ubra-

niu tak marnym, że się nikt nie pokwapił nawet, aby je ze-
tliy.cć. Na lewej nodze dziurawy trzewik, na prawej nic. Zęby
wyszczrzył po trupiu, głową zapadł głęboko w kwiaty łą-
kowe, które tu kwitły obficie, a twarz zwróconą miał do tra-
ki ti Raduńskiego, zwanego tak od miasteczka Raduń, które
In miasteczko słyęło ongiś cadykiem-cudotwórcą. Wszy zła-
zły |uż z ostyęłego trupa, błędząc po źdźbłach trawy i pochy-
Ifil się nad nimi jaskier polny, zdziwiony niewidzianym
iluiychczas owadem.

* * *

!Yzysła jesień. Mieszkałem ciągle na wsi, w odległości
i / kilometrów od miasta. Był ciemny wieczór. Piliśmy właś-
nlnr kawę ze spalonego żyta zagryzając nie okraszonymi kar-
Inilami, gdy pierwszy wybuch targnął okiennicą. Wyszędłem
nn Hanek i ujrzałem wzdłuż tej granicy, jaka przebiega po-
między czubami sosen i niebem, het, ku Wilnu, błyskające i
guNiiuce światła detonacji. Daleko, w górze, po sowieckiemu
it/wonły motory. Później powstało zarzewie, rozrosło się w
łunę pożaru i szczyty sosen stały się wyraźne jak na rysun-
ku To bolszewicy bombardowali dworzec i otoczenie.

! Chodźmy, bo zimno.

Ale w tej chwili właśnie ktoś otworzył furtkę od strony la-
ni 11 nn dziedziniec wszedł Szapiro. Twarz jego, na którą kład-
ły Mc teraz odbłaski łuny, była wprawdzie upiorna, ale zacho-
whlii maskę rysów, po której go mogłem rozpoznać.

— Dobry wieczór.

— Dobry, ale chyba nie dla wszystkich.

— Ach, jaka tam różnica — odparł niechętnie.

On nie stękał i nie narzekał na „ciężkie czasy". Dziś nikt
iilp Amie narzekać na ciężkie czasy, bo to kiedyś się narzeka-
li • O. wtedy był raj.

— Ja panu coś powiem: w getcie nie można już

— Dlaczego?

— To piekło.

Dułem mu gorących kartofli, zjadł, podziękował i poszedł
w łan. W domu bał się nocować. — Po trzech dniach zjawił się
77

znowu i zaproponował ćwiartkę prawdziwej herbaty na sprze-
daż.

— To od Kapłana. Pan jego zna? Miał sklep na Stefań-
skiej, za apteką. Teraz on policjantem żydowskim.

— Porządny człowiek? — zapytałem od niechcienia, wa-
żąc w rękę herbatę.

— Czy to policjant może być porządny?

— Ale ja nie mam tyle pieniędzy, żeby zapłacić.

— Weź pan na raty, jaka różnica.

Po czwartą, ostatnią ratę już nie przyszedł. On to opowia-
dał mi najwięcej o życiu getta. Nie było już tam, jego zda-
niem, ani organizacji, ani porozumienia, ani zdrowego sensu,
ani ładu, uczciwości czy solidarności. — A co tam jest? — py-
tałem. W odpowiedzi stukał się palcem w czoło.

* * *

Po raz ostatni widziałem getto w roku 1944... Zniesiono już mur, bo ostatnich Żydów wyprowadzono lub zabito. Nikt tam nie mieszkał i nikt prawie nie przechodził. Szło się miastem pustym. Gdzieniedzie bramy były bezmyślnie otwarte na oścież, inne równie bezmyślnie zamknięte. Czasem wąski chodniczek przegradzała zwisająca na jednym zawiasie czarno malowana okiennica, odsłaniając okno wybite, brudną izbę, pustkę. Drzwi, odrzwia, sztaby żelazne, kute w ubiegłych stuleciach, wykusze, wnęki, grube mury starych domów, wszystko wyświechtane, wyszmelcowane po rogach latami gorączkowego handlu i brudnych rąk, zdeptane schody, labirynt podwórzy, przybudówek, arkad, sionek, galeryjek...

... Idealna cisza panuje wokół. Widziałem tyle miast i miasteczek zbombardowanych, gdzie domy ginęły razem z ludźmi, albo ludzie się uratowali, a domy zginęły. Ale żadne z nich nie robiło takiego wrażenia. Tu było zupełnie coś przeciwnego: domy ostały, a tylko ludzie zginęli. Gdzieś w rogu kupa łachmanów, nie wyrzucone śmiecie i czasem drogę przebiegnie zdziczały kot. Z dala dochodzi gwar miasta. Tu słońce ledwo się przeciska pomiędzy murami, ale cicho jak na wsi i nawet trawa obrasta już kamienie bruku. Gdzieś skrzypi nie domknięte okno i odbłask szyby potrąconej wiatrem biega po chodniku, po wielkich, kamiennych płytach z tamtego czasu, sprzed lat stu i więcej. Żydów wyprowadzono. Ludzie po nich wynieśli co pozostało jeszcze ruchomego, spalili na opał co było drewnianego. Ostały mury, kraty, zardze-

78

włuło żelazo. Może gdzieś w piwnicy zakopane złoto? Echem odbijają się kroki. Wyobrazić by sobie można, że tu po nocach straszy. Ale kogo?

Patrol w stalowych hełmach tamtędy nie chadza. Kot

<>|łuszczony nie boi się duchów. Ludziom w nocy krążyć nie wolno po mieście i tak oto zapewne wisi tylko zakłęty księżyc mul ulicą Szklaną. Wiatr wchodzi sobie przez bramy, pokręci

•Ic. poszarpie nie domkniętymi oknami, czasem z hałasem puści jakąś nie dobitą szybę z drugiego piętra. Kurz z ulicy uniesie się na palcach, rozejrzy, zobaczy, że nikt drogą nie łty.it*. więc znów się ułoży.

* * *

W dwa miesiące później armia czerwona „wyzwala” Wilno.

W dwa lata później, w Rzymie, w najelegantszej dzielnicy, (mniędzy pałacem królowej matki i Porta Pinciana, na via Vntorio Veneto, przy kiosku gazetowym, gdzie można kupić wn/ystkie gazety europejskie, patrzę i... oczom nie wierzę!

MI ol Rozenwejg ze szwajcarską Weltwoche pod pachą.

Człowiek ten osiem miesięcy przeleżał (przeleżał!) w piwiłcy kościoła Wszystkich Świętych, ukrywany przez proboszt *n, u gdy przyszli bolszewicy, wyszedł, mrugając od niezwy-Mi*jjo światła i — uciekł. Uciekł aż do Rzymu. Ścisła mi rękę radości słowa nie może wydobyć. Ja myślę! Takie spotka-

li

W bramie UNRRA spotykam skrzypaczkę z małej wileń-

il*| restauracyjki „Dworek Kresowy" przy ulicy Śniadeckich.
rgludn tak samo: włosy krótkie, zielony sweterek, córka
|iriinlrgo proletariatu żydowskiego. Co by o niej powiedzieć?
IV|»"wa, z rzędu tych, co to jeszcze w roku 1939 rzucały
liwlnly pod czołgi sowieckie.

Co pani tu robi?

Co znaczy, co robię? Uciekłam z obozu pod Toruniem.

I nie wraca pani teraz do Wilna?

Do czego? Do tego, co tam teraz jest? Do tego...

'wlrtn określenie. „Klatka" byłoby zbyt wyświechtane,

Albo może za patetyczne.

iiHrtii'1 Wilno 1947 nr 17

79

PRZESTĘPCA CZASU WOJNY

Rzym w kwietniu

Z wojny, która minęła, wydobywa się na powierzchnię
rzeczy przestępcze z jednej strony, heroiczne z drugiej. Cza-
sem, dla odprężenia: jakiś dowcipny epizod. O jednej rzeczy
zapomina się natomiast zupełnie, że wojna ta, ponad wszy-
stko, była jeszcze — bardzo ciekawa. Ale zaspokojenie cieka-
wości związane jest nieuchronnie z poznaniem prawdy, a to
jest właśnie w dzisiejszej atmosferze powojennej najtrudniej-
sze. Na razie w dalszym ciągu obowiązuje formuła sakramen-
talna, według której kazanie Jego Eminencji musi być zawsze
„podniosłe", a uśmiech zbrodniarza musi być zawsze „cynicz-
ny". Diabli wiedzą, jak długo jeszcze formuła ta utrzymana
będzie w mocy prawnej, ale na razie nic nie zapowiada jej od-
wołania. Polityka ma w tym swoje wyrachowanie. Natomiast
literatura cierpi ogromnie. Banalizuje się, robi się nudna,
upraszcza się jak wzorek dla dzieci do przerysowywania, sta-
je się płaska. W tym właśnie najbardziej odbiega od życia, po-
nieważ wiadome jest, że wszelkie rzeczy nie są płaskie, ale
wypukłe.

Można mieć na przykład żal do Sergiusza Piaseckiego, że
w swej trylogii o złodziejach [Jabluszek itd., Instytut Wydaw-
niczy, Rzym] przedstawił świat przestępców kryminalnych w
jednostronnie wyidealizowanym świetle, nie zostawiając na
nim ani jednej nitki... czarnej. Ostatecznie zdarzyć się chyba
może, że i wśród złodziei bywają ludzie z pewną... skazą, czy
nie? Ta jednostronność peszy. A szkoda, bo przecie temat
jest przeciekawy. W takim samym stopniu wydaje mi się, że
80

|r<!nym z najciekawszych tematów literatury powojennej mo-
(tr być rzecz o przestępcach wojennych.

Z prawdziwym tedy zainteresowaniem przyjąłem zapro-
wrnle pewnego „niewowraszczeńca" albańskiego, który mi
»«proponował skontaktowanie z echt-przestępcą wojennym, z
liczby poszukiwanych, zagrożonych karą śmierci, który w
(cdnym z portów Kalabrii zaokrętowuje się w tych dniach na
motorowy kuter przemytniczy do — Palestyny.

— Do Palestyny?! Niemiec, nazista?!

— Świat nie jest taki prosty, jak go malują — odpowie-

lił mi Albańczyk, kładąc kordialnie rękę na moim kolanie.

* * *

Poznanie przestępcy uwarunkowane jest dwiema okolicznościami: primo, aby nie być prześladowanym przez przestępcę. secundo, aby samemu go nie prześladować. Dlatego nie tyłu to rzecz nazbyt łatwa w okresie wojny i niełatwa teraz.

.Inlnakże tu i ówdzie stykało się z nimi w różnych sytuacjach.

Kaz w Trento, w „ricovero”, co po polsku oznacza schronienie, stać wypadło długo. Alarm trwał już przeszło pół godziny, więc w jaskini wykutej w skale było bardzo ciemno. Obok mnie tkwił Kozak doński, człowiek starszy, nie wiem już, czy wiatrami naddońskich stepów, czy słońcem Italii. Na głowie miał barankową czapkę, poza tym zaś mundur niemiecki. Patrzył z orłem hitlerowskim, z dystynkcjami wachmistrza. Jedynie z lewego boku zwisała mu szaszka kozacka.

Ityłu to wiosna roku 1945. — Pytam go od niechcienia:

No jak tam u was, wachmistrzu, żyło się nad Donem i w lasach sowieckich?

Bardzo dobrze — odpowiada bez zająknięcia.

otóż my właśnie, zastygli w różnego rodzaju esejach, felietonach, w zaokrąglonych nowelach z „Mihili”. w publicystyce zakończonej wnioskiem, wystrzegamy się i ich spostrzeżeń, które następnie nie dają się generalizować. Wiadomo bowiem, że w czasy sowieckie na Donie żyło się i uirszynie! albo raczej Kozakom nie żyło się wcale. Dla starego wachmistrza i własowski przestępca wojenny, który nie zginął w jednej z ostatnich potyczek frontu włoskiego. to na pewno zawisł już na szubienicy w Moskwie, wystrzelony przez Anglików, dlaczego by miał tęsknić

81

do tamtego życia? Może obrzydły mu skały, cyprysy i pomarańcze, może dla tysiąca innych powodów — indywidualnych, z których składa się życie, a które wprawiają nas w zakłopotanie, gdy usiłujemy odtwarzać je w literaturze zamkniętej w formy z góry przewidzianej tendencji i umownych założeń.

Ponieważ nienawidzę bolszewików, chociaż za najpiękniejszą książkę na świecie uważam Cichy Don Szołochowa, więc odwróciłem się zniechęcony od posiadacza ostatniej „szaszki”, jaką widziałem w tej wojnie i poprosiłem o ogień żołnierza Todtu, który tkwił obok. Zapaliliśmy wspólnie. Okazał się rdzennym Polakiem ze Lwowa. Facet nieinteligentny, tępy, zdrowy i różowy na twarzy. Odkąd go zmobilizowali, zwiedził całą Europę. Był w Norwegii, pracował we Flandrii, u podnóża Pirenejów, w Danii, Niemczech. Każde z wrażeń zaczyna od kwalifikacji zupy, jaką dostawał na obiad, a zakańcza ogólnym stwierdzeniem: karmiono źle lub też dobrze. Poza rym nie wie, co to są fiordy, gdzie leży Paryż, a gdzie Kanał Kiloński. Ostatnio „bawił” na Bałkanach. Tam go titowcy wzięli do niewoli. Był jednak na tyle sprytny, iż się zaraz

przyznał do narodowości polskiej. Przyjęto go prawie z honorami, dano karabin i postawiono na warcie.

— Żeby pan wiedział, co to za granda!

Jeść też dawali kiepsko, więc z pierwszej warty uciekł z powrotem do Niemców i jest zadowolony. — „Lepiej tu?” pytam. — „Ani porównać!”

Tępaka tego również można by zaliczyć do przestępców wojennych, jakkolwiek bardziej pasuje doń miano dawane tej kategorii szeregowcom przez żołnierzy lepszej broni: po prostu — „kapusta”.

* * *

Jedną z najpiękniejszych nocy przyszło nam oglądać na drodze wzdłuż jeziora La Garda. Armia niemiecka trzymała się jeszcze ostatnim wysiłkiem. W wojnie, zakończonej bombą, ich tabory poruszały się teraz na — wołach. Świecił księżyc i olbrzymie rogi i siwa sierść wołów, które ciągnęły amunicję, lśnify srebrem. Czarne sopte cyprysów i tui kładły się na wodę. Na prawo i lewo, przed nami i z tyłu, za górami, za skałami, błyskały hen, dalekie wybuchy bomb, jak nasze letnie „małanki”, prawie bez grzmotów. Cały kraj zarzucany był bombami.

82

W miasteczku Desenzano zatrzymaliśmy się w fermie itrwnego faszysty, który lubił Polaków za to, że ich skrzywdzili bolszewicy.

— Ale — oświadczył — nie myślcie panowie, że ja podzielam wasze zdanie. Wy byście chcieli, żeby wybuchł konflikt uifflo-sowiecki, po to, by stanąć po stronie Anglików. Tk-tk-ik ik — i zakiwał palcem przed nosem (narodowy gest wlo-ikl). — Jaw takim konflikcie stanę po stronie bolszewików. Antflla to jest najgorsza rzecz na świecie. Ja jej nienawidzę tak, lak tylko człowiek potrafi nienawidzieć.

radnego nie mogliśmy wysnuć wniosku z tego powiedzenia na przyszłość. Większość faszystów jest do dziś raczej od-Hilrnnego zdania. Cały dzień przeto, leżąc na wznak, nad je-finirm, wpatrzeni w niezliczone eskadry anglo-amerykańskie, Mnie dudniły po niebie na północ, strawiliśmy na jałowej ilynkusji.

* * *

l'lcrawsze zdanie, którego się nauczyłem po włosku na pamięć, brzmiało jak następuje: „Casa distrutta dai „liberatori” mii^Ii>-sassoni” (dom zniszczony przez „wyzwoliciele” anglosaskich). W wielu miejscach „sassoni” było przekreślone i napisane: „assasini” — mordercy. Nadpis taki widniał na każdym odurzonym domu w Mediolanie, których było dziesięć tysięcy. Irilnocześnie 80 procent ludności było po stronie aliantów. Air przed Polakami otwierało się całe 100 procent drzwi włoskich. Kochali nas faszyści i antyfaszyści. Sytuacja uległa fiittitnlc po „wyzwoleniu”, jakby kto nożem rozsiekał kawał ihhnIh. — Najpierw wybuchła najbardziej upokarzająca „rewulticja”, która trwała trzy dni i w ciągu której wystrzelono (Miliony pocisków wprost w niebo, ponieważ do walki zabrak-

li i | u/.cciwnika. Później z gór zeszły bandy na wpół albo całkowie bolszewickich partyzantów, obwieszonych taśmami kitliiilotowymi, z czerwonymi apaszkami i rozwichrzonym wliiHcni, którzy pasowali akurat do chóru pierwszej lepszej wmliy operetkowej. Tylko w jednym miejscu w środku mia-
|In, opodal Piazza del Duomo, w ukośnym bloku pomiędzy ulli unii S. Pellico i Mengoni, za cienkim pasmem drutów kol-
i^MNtyrh. tkwiła ostatnia garstka zbrojnych Niemców. Jeden
|Inl na warcie z automatem i to wystarczyło. Reszta patrzyła |Mmv okna poziewając. Czekali tak już pięć dni, aby regularnym wojskom alianckim poddać się do niewoli. („Żadnym
83

bandom broni nie złożymy".) Tłum wył, ryczał, wygrażał pięściami, wymachiwał chustkami czerwonymi i podłaził nieraz pod same druty.

Zdarzało się jednak, że wartownik niemiecki przekładał automat na inne ramię albo po prostu przestępował z nogi na nogę. Wtedy wszystko, co żyło, wiało! — Nigdy w życiu nie oglądałem widowiska bardziej contre coeur. Chciało się przed wrogiem zdjąć kapelusz, a „sojusznika" kopnąć w zadek. Tuż obok, w kawiarni „Biffi", w pasażu, piło się kawę. Jeden z partyzantów usłyszawszy, że mówimy po... słowiańsku, podszedł i położył rękę na poręczu mego krzesła:

— A ja syn marszałka Timoszenko.

Był ubrany podobnie papużasto i fantastycznie, jak jego włoscy koledzy. Ci obstąpili dokoła i chłonąc wrażenie sensacji, mlaskali tylko językami: „Tk-tk-tk!"

Tymczasem Anglicy się nie spieszyli i zabrali Niemców dopiero na szósty dzień.

* * *

O tych nieoczekiwanych zupełnie, indywidualnych zerknięciach i nie dających się zgeneralizować wrażeniach, opowiadałem właśnie memu Albańczykowi w podróży do Kalabrii. Pociąg, jak zawsze, przepełniony do niemożliwości, bo cała Italia jest przepełniona. Rozmawialiśmy przeto w małym przejściu, przed klozetem drugiej klasy, siedząc na własnych walizkach. Jedna z najcudniejszych wiosen świata, wiosna włoska, przesuwiała się leniwie za oknami, od czasu do czasu uciekając przed falą Adriatyku.

— Słusznie — mówił mój towarzysz — istnieje mnóstwo zakorzenionych legend, których wprost wyrugować niepodobna. Ale pańskich doświadczeń z „partyzantami" też nie można generalizować.

I oto wspominał o różnych fragmentach ze swego życia, kompletnie sprzecznych z utrwalonym dotychczas poglądem na rzeczy. W czasie tej wojny walczył jako oficer armii włoskiej przez cały czas w Afryce, między innymi i pod Tobrukem z naszą Dywizją Karpacką. Nie mówi o niej ani źle, ani dobrze. Po prostu jak o żołnierzach. Podobnie o Kanadyjczykach, Australijczykach i ludziach z Nowej Zelandii. Z tym osławionym poddawaniem się Włochów też nie zawsze tak bywało. Natomiast najgorsze wojsko, jakie widział, to byli

Anglicy z metropolii, z wyspy. Ci poddawali się właśnie Włochom całymi oddziałami.

— Pierwszy raz słyszę!

— Proszę mi wierzyć. Pan wie, dlaczego Rommel przepadł pod El-Alamein?

— Odskoczył za bardzo od baz, stracił kontakt z etapem, lhy/jbl tym po prostu dostał w skórę.

— To wszystko się zgadza. Ale dlaczego tak uczynił? Oto inlrcydował się na ten krok, sądząc z obserwacji jeńców an-Ulrlukich, że ma przed sobą armię w kompletnym rozkładzie moralnym. — Co zaś do żołnierza włoskiego, to właśnie Mussolini przyczynił się do zniszczenia swojej armii. Żołnierz jak Aolnlerz. Ale oficer był kompletnie zdegenerowany. Degeneracja zaś nastąpiła na skutek faszyzacji, partyjnictwa. Nie było |runu być dobrym pułkownikiem, skoro byle sierżant, byle nlrlik i tepak znaczył więcej tylko dlatego, że miał stopień w (imiIII. Wprost proporcjonalnie do wzrostu partyjnictwa, obni- *nlii sie wartość fachowa oficerów. — Oto — opowiada dalej Moimy o 200 km w głąb pustyni. Jest 60 stopni ciepła.

Kinunek stracony. Dowódca daje przez radio rozkaz, aby

się ktoś, kto zna się na nawigacji i ustalił szerokość i geograficzną. Kolumna czeka. Zjawia się młody poru- i<#nlk, który coś tam spieczonymi ustami prawi: że kiedyś się iir/yl... że jeżeli mu teraz pokażą instrukcję... to może... itd.

I mu mu instrukcję, namiot, trzech oficerów do pomocy w ra- i liimkach. 60 stopni bez kawałka cienia. Kolumna czeka.

!1/V godziny. Z namiotu wychodzi błąd porucznik. W jego łwwi/y nie ma kropli wilgoci. On bardzo przeprasza dowódcę, ale wrdług „jego” obliczeń jesteśmy o 40 kilometrów na po- liiiilnr od... wysp Balearskich!

^ faszyci obracali krociami.

* * *

tle- to spotkanie, po którym sobie obiecywałem nie lada §r ii -Je dziennikarską, skończyło się właściwie rozczarowa- ni

itfdy nie sądziłem, że człowiek, który zajmował tak wyso- łti umowisko w hitlerowskiej polityce Drang nach Osten, *< | Hle tylko człowiekiem dbającym o życie własne i swej liii|r| Jeszcze żony. — Mówi prędko i bezładnie:

Trzech ludzi ponosi winę za to, co się stało,

! >i innnn—Himmler—Koch.

— Koch? To ten, co siedział w Kijowie?

— Ach, wszędzie on siedział. To nawet nie łotr, to najwię- kszycy głupiec, jakiego świat wydał! On mówił: moje państwo sięga do Bajkału. A wie pan, co on myślał? Że Bajkał to Pej- pus. I że Pejpus leży gdzieś za Ukrainą! Ja znalazłem współpra- cowników Rosenberga, którzy stacji Bołogoje szukali gdzieś pomiędzy Rostowem i Teodozją!

Zrywa się, biega. Siada, zakrywa twarz rękami. Kładzie czoło na blat stołu i znowu ze strachem się ogląda. Żona jego

przerywa mu ciągle, a wtedy on chwyta ją za rękę i prosi, by mu zezwoliła dokończyć przecie zdania! Zaczyna się dyskusja między małżeństwem. Fragmenty, nazwiska, daty skaczą jak krwawe strzępy. W rezultacie oni nie mają dziś gdzie spać.

— Słuchaj, idź wreszcie kup chleba!

— Daj mi sto lirów.

Ona szuka w wytartej torbie. Zauważyłem, że co chwila sięga ręką pod stół do swej nogi, do uda, to wsadza ją pod palto na piersiach. Na zewnątrz zachowują jeszcze pozory schludnej skromności. Ale wnet się domyśliłem: ona się po prostu drapie. Ona nie myślała się od Bóg wie jak dawna.

— A Frank? — wtrącam.

On mnie stulirowy banknot ku przerażeniu żony i chwyta znów za poręcz krzesła.

— Frank to było coś nieprawdopodobnego! To było szaleństwo z tym Frankiem!... (Ależ daj mi przyjść do słowa!)

— Poczekaj, ja opowiem, jak siedzieliśmy w bunkrze z Führerem. Właśnie Goebbels opowiadał o swej wizycie w Krakowie: Idę do Franka w zaniku — powiada — na dole stoi warta. Po kilku stopniach w górę stoją znowu NSK. Po kilku dalszych stoją SS niższej rangi, trochę wyżej znowu jakaś habardza, dalej lokaje autentyczni w liberii, a w sali zamkowej stoi sam Frank, ale nie czyni ani jednego kroku na moje spotkanie. — „Czy Frank jest już królem?” zapytał Führer Goebbelsa...

— No przecie Lohse, Lohse w Rydze twierdził, że jego syn zostanie kurlandzkim Kurfurstem!

— Słuchaj, idź już przecie po ten chleb!

Palić! Nie mają co palić. Żona wygrzebuje z popielniczki cudzy, stary okurek. Ach, das ist ketne Schande — to żaden wstyd.

86

— Naturalnie, że powinniśmy byli iść z Polską i budować Ukrainę. To był jedyny program!

Sn zaszcuci, głodni, niewyspani i nienapaleni. On mówi i mówi, ale poznać, że wciąż myślą o czymś innym. O strachu i o głodzie.

Wiem z góry, że będą mi przytakiwać, że nic nie zaprzęgu, t.c boją się zrazić kogokolwiek, cokolwiek, a kuter odpływw dopiero za dwa dni. Z tym wszystkim są za grzeczni, by z nimi dyskutować. Za ustępliwi, by wydostawać jakieś informacje. Po prostu za bardzo wdzięczni, że ktoś z nimi rozmawia, nie przeklinając, nie kopiąc, a w gruncie nie przywołując MI'

Widziałem Niemcy zburzone na glanc. Domy, ulice, kwartaly. miasta, zamki, kościoły, wszystko. Ale zdaje mi się, że (luktr) ruiny nie byłem jeszcze świadkiem.

Kiizemy im dać pizza alla neapolitana ze śledziem; zapijają\i kiepskim białym winem i rozmowa się urywa, bo mają pop||r/kl wypchane jedzeniem. — To wszystko razem męczy, h-\mykam oczy na chwilę i teraz wiem na pewno, że już gil kiedyś takich ludzi widziałem, w takich samych

»|i nościach. Gdzie? Tam, w moim ogródku w lesie, gdy
|ti cdł prezes żydowskiego związku robotników metalurgi-
tłiyyi li „żeby pogadać tylko”. Kopałem wtedy w ogrodzie grzę-
tłtf, u on się tak samo skrobał z brudu i oglądał na wsze stro-
ny w/.rokiem zaszczutego wilka. I ciągle patrzył w okno kuch-
lli (Idy nagle moja żona zawołała „Może pan chce trochę kar-
»iflIV”, urwał w pół słowa dyskusję i pobiegł. — Prawie iden-
lyr/nlc jest teraz, za tym stolikiem przykrytym brudnym
#g*rmplarzem komunistycznej VUnito.

* * *

I jak to się dziwnie składa, że oni właśnie uciekają do
— powiedziałem do swego przyjaciela, albańskiego
wojennego”. — Jak to się wszystko, nie uważa
kręci?

Tak — odpowiedział Albańczyk. A że był nabożnym
itiimiłmaninem, dodał, cytując werset z Koranu: — Tylko Al-
Ihi li |rden zna równe ścieżki.

|imii,

I itii> I Wilno 1947 nr 21

87

„PADWIEZUT...1

Część Polski zajęta przez wojska sowieckie w roku 1939,
pod nazwą „Zachodniej Białorusi” włączona została do Biało-
ruskiej Republiki Sowieckiej ostatecznie aktem z dnia 2 li-
stopada tegoż roku. Natomiast Wilno, łącznie z b. Republiką
Litewską o rok później, dnia 3 sierpnia 1940 roku, weszło w
skład tzw. Litewskiej Republiki Rad. Dlatego różnica w za-
sobności tych republik była ogromna. W Litewskiej Respub-
lice Rad proces sowietyzacji dopiero się rozpoczynał, gdy w
Białoruskiej był już na ukończeniu. Wypływała stąd przede
wszystkim różnica cen na artykuły. W Wilnie można było je-
szcze dostać buty, ubranie, skóry, manufakturę, i inne fabry-
katy, galanterię i żelazo, podczas gdy w Grodnie, Lidzie, Bia-
łymstoku itd. brakło tych rzeczy kompletnie. W Wilnie ko-
sztowało jeszcze kilo cukru 3 ruble, podczas gdy w Lidzie 15,
w Baranowiczach już 25, a w Brześciu 60 rubli. Za napilnik
do piły płaciło się w Wilnie na początku tylko 2 ruble, a zaraz
„za granicą”, przebiegającą o kilkadziesiąt kilometrów, brało
się zań — 14 rubli. (Rubel zrównany był ze złotym.)

W chwili włączenia do „wielkiej rodziny wolnych narodów”
wszelkie granice musiały być zniesione, ale anomalie cen i
rynków pozostały. Nie tylko rozrósł się handel pokątny i spe-
kulacja, ale chłop białoruski potrzebujący pilnika do piły, czy
kaloszy do walonek, jechał do Wilna. Z Wilna zaś wyjeżdżali
doń handlarze z towarem, handlarze zawodowi i handlarze z
musu, z liczby tych, których władza sowiecka wydziedziczyła
z zawodowych stanowisk. Handel i spekulacja były procede-
rem popłatnym.

88

Władze sowieckie nie tyle walczyły ze spekulacją, ile po-
 prostu zabraniały w ogóle poruszania się w terenie.

Na stacjach kolejowych nie jest napisane, że jeździć kole-

Wszystko nie wolno. Owszem, wolno jest, ale... „po co?!” (Słynna
Innuła: „Nielzia? — Niet, poczemu, dozwoleno, no... za-
i win?!”) Więc kasy biletowe nie sprzedają biletów na pociągi
dalekobieżne bez przedłożenia dokumentów podróży. Pociągi
(«| Ida z zamkniętymi na klucz drzwiami. Każdy pasażer pod-
Irjjać może w każdej chwili rewizji osobistej i swoich rzeczy.
Milicji „ludowej” jest w Sowietach przypuszczalnie czter-
| /lrstokrotnie więcej niż w Rosji carskiej było policji, nie li-
i mv agentów NKWD. Stoi ona też na mostach, na szosach,
głównych szlakach i drogach. Skoro więc pociągi mają zary-
głowane drzwi, pozostaje jedyny środek lokomocji: furmanka
konna.

* * *

Jest grudzień roku 1940. Jedziemy sankami w kierunku
iMiludniowym, na miasteczko Bieniakonie, odległe od Wilna o
fłO kilometrów. Stanowi ono granicę pomiędzy Litewską i Bia-
li miską Republiką. Jedziemy w nocy, bez dzwonka, bocznymi
ilii)/j;mii, omijając większe skupiska ludzkie. We wsiach po-
iiNliiiiawiane są dodatkowo nocne warty chłopów. Te warty
hiu^u być równie niebezpieczne dla podróżnych, jak zwyczaj-
tli hundyci, lub milicja. Noc całą siedzą w jakiejś chacie i piją
mtmogon, którego niezliczone ilości rozlały się po kraju. Piją
tlrlM wszyscy, starzy i młodzi, i kobiety. Piją łąpczywie, prę-
hn, /rby się upić, żeby zatracić poczucie jutra. — Siedzą więc
w chacie chłopów-wartownicy i chłepczą mętny alkohol, a
i«VnlcJ wylazą co pewien czas z ogrzanej, dusznej izby, czy to
„M r»woją potrzebą”, czy po prostu bez żadnego celu. Gdy
wpmlna im w ręce obce sanie, mogą równie łatwo ograbić, jak
ii#HMiinć jakimś kołem przez łeb. Sprawiedliwości w takich
wypadkach dochodzić niepodobna. Zawsze się zwróci ona
pi/rcrlwko temu, kto w niewiadomym celu, po nocy, przesu-
wu Mc z miejsca na miejsce na cichych płozach rozwalin.
Wleziemy ze sobą 10 par trzewików, 50 kilo cukru, kilka
kiM/til. bibułkę do tytoniu, 5 tuzinów napilników i kilkaset
pioti/ków od bólu głowy, za które płacą na wsi po 2 ruble
pMm/rk, ponieważ jest kompletny brak środków leczniczych.
'm wsią Stasiły musimy skrócić w bok i biorąc ze sobą
włbą|rmniczonego przewodnika, jedziemy na przelaj, przez
89

4

błota, a później drożyną, ledwo widoczną wśród lasów i śnie-
gu. W tym bowiem miejscu grasują znani, zawodowi bandyci.
Jest czarna noc, ale wietrzna wiatrem, który nawiał nie-
spodziewaną odwilż. Biegnące po niebie obłoki od czasu do
czasu uchylają z gwiazd zasłonę i wtedy pada nieco światła
na śnieżne kałuże, po których stąpa koń. Łęk duhy kiwa się
w takt, widać go przez chwilę i znów ginie na czarnym tle la-
su. Przewodnik wyciąga rękę z batem:

— Ot tu oni zawsze zasiadają. Nie, nie tam, a dalej, aż
het za tymi krzakami. Stąd usłyszeć nie mogą. Pilnują tamtej
drogi.

Milczymy.

— No jedź, jedź, braciszku, czego stanął?

— A ot niechaj koń wody popije sobie z kałuży.

Cicho, cicho bulgocze woda. Koniowi jest niewygodnie pić w chomacie, zgiął jedną nogę w kolanie, sączy długo, uparcie.

— Ty jemu wędzidło popuść.

— Ech, woda taka... — odpowiada niechętnie przewodnik. — I tak pociągnie.

Wreszcie koń skończył, uniósł łeb, zamlaskał i targnął saniami, aż bryzgi padły na boki. Znowu las.

Towarzysz mój, wykwalifikowany już w tego rodzaju podróżkach, trzyma w kieszeni pistolet rosyjskiego typu „nagan”, a w drugiej, zdaje się, granat ręczny. Nie pytałem go o to, ale czuję, jak mi uciska bok poprzez ciepły kozuch.

Napełzły chmury i w lesie zrobiło się zupełnie ciemno.

Przewodnik zlął z sani i idzie przodem. Nie widać go wcale, tylko słychać czasem jak człapią jego buty, gdy trafia w kałużę, albo gdy się poślizgnie na mokrym śniegu i klnie z cicha.

Las się kończy. Wyjeżdżamy na błotnistą łąkę, po której płynie rzeka Solcza, w tym miejscu wąska i niegłęboka, ale wobec nagle nastącej odwilży, nie do przebycia inaczej, jak przez mostek. Musimy skrócić na drogę. To nam znowu zabiera wiele drogiego czasu. Jedziemy wciąż stępa i tak cicho, ile na to stąpanie konia zezwala. Właściwie podkradamy się, jak zwierz wypatrujemy każdą sylwetkę krzaka czy drzewa targanego wiatrem. Od tego wypatrywania bolą oczy. Nie widać nikogo. Na tym moście stoi czasem milicja, czasem nie stoi. Przewodnik daje znak ręką. Wstrzymujemy i konia i dech w piersi. — Nie, nie słychać nic, prócz walki wiatru z gałęziami pojedynczych drzew na łące i poszumu lasu za na-

90
ml, — Teraz siada do sań, odbiera od nas lejce, ujmuje je krótko w lewą rękę, w prawej ścisną kurczowo bat. Chwila ilmydująca. Sanie wjeżdżają na most. Płozy potarły ciężko po l'limanych bierwionach, miejscami oblażłych już ze śniegu. Włutr dmie południowy, pcha w oczy ciepłe powietrze, jakby to miała nastąpić wiosna. Chciałoby się odetchnąć głębiej, z ulfil, gdy nagle!...

— Tss... ssssą, oni! — Dwie wyraźne sylwetki wyrosły z hiwii. Stukot butów po moście, już nawet widać: dwie futrzaki, płaskie czapki milicjantów, dwa karabiny.

- Wostoczники... — szepce przez zęby przewodnik. („Wostoczники — stara milicja sowiecka, przywieziona ze wschodniej Hiałorusi.)

- Stój, grażdanie!!

Jedź stępa... — syknął mój towarzysz. Dalej odbyło się wa/yntko w mgnieniu oka. Poczulem tylko dotknięcie ręki ko-
lt > iirtfo boku i zaledwie zdążyłem pomyśleć „granat"... gdy wliiruile mijaliśmy milicjantów na długość sań. Jeden z nich <łę wyraźnie pochylił naprzód...

— Po koniu! — ryknął towarzysz głosem jakimś drewnia-
! iin. Bat świsnął w powietrzu, sanie szarpnęły raptownie.

— Stoooj! Ej, wy, stoooj!!! — po czym klapnął znajomym

i !! klem zamek karabinu. Ale w tej chwili czarna na tle li i dźwignia ręki opisała łuk w powietrzu z sanek nad mo- lu vii i towarzysz wygiął się cały — cisnął granatem! kundy ciszy. — „Po koniu, po koniu” — mówił dłaczego* N/c-ptem, jakby się modlił, czy odliczał czas do wybuchu. (>^luszający w tej chwili huk, płomień, granat zatrzęsł po- Wlri/cin, buchnął biało-czarnym dymem i zgasł w lepkiem, Wll || 'inyin mroku łąk- Dzwoniło w uszach. I dopiero po pew- |t> /.asie doszedł do świadomości szmer płóz, szorujących p> i>ł{u, sapanie konia, oddechy ludzi, tętent, a w końcu i ••' wiatru w koronach drzew. — Gdzieś tam, po bardzo tli | chwili, padły za nami w ciemności strzały, gwizdnęły t«- | n bezpieczne kule.

Iczułem nagle wielką ulgę i wielki spokój; nawet jakby t>> , po raz pierwszy w Sowietach doznana, rozpierała (•i Czy to z powodu udanej ucieczki, czy może — rzuco- »•• Jrunatu. Był to jedyny granat, który słyszałem w ciągu t »i i bolszewickiego panowania. Granat rzucony ręką prze- mytnika.

91

* * *

Gdyśmy weszli do chaty, w której na ławkach, przy stole, jak przystało na statecznych gospodarzy, w kącie pod obrazami, siedziało kilku chłopów, rozmowy od razu umilkły. Okno zawieszane było workami, paliła się skąpa lampka naftowa. Targnięta powietrzem z zewnątrz, zamigotała gwałtownie, jak człowiek mrugający oczyma na widok nie spodziewanych gości. W półmroku trudno było rozeznaczyć twarze. Obecni milczeli dyskretnie i powściągliwie. Ciągnęło od nich zwyczajnym zapachem zadymionej chałupy, kwaśnym odorem baranicy, odtającej skóry i machorki. Jeden, który był jeszcze w czapce, zdjął ją powoli, niby to z uwagą obejrzał wierzch, a następnie ułożył z namysłem na parapecie okna. Pierwszy powstał gospodarz, chłop duży i szeroki, a gdy przyslonił sobą stół, w izbie zrobiło się jeszcze ciasniej.

— Swoi — powiedział tylko do siedzących i kiwnął przyjaźnie głową.

Tamci pomilczeli.

— Nu, ot i dobrze — odezwał się wreszcie jeden, wciśnięty w sam kąt pod obraz. Różowa bibułka, którą upiększony był wizerunek Chrystusa, opadała mu końcem na głowę i on co chwila usuwał ją z włosów jak natrętą muchę. Rozmowa początkowo się nie kleiła. Nikt się nie spieszył. Każdy z obecnych zdawał sobie sprawę, że podany będzie samogon, i że wszyscy zdążą się jeszcze nagadać pod jego wpływem.

— Taaak...

— Takie czasy.

— Nic nie poradzisz.

— Ot jak wyszło.

— Wola Boża. Jania, nakrój jeszcze chleba.

— Co zrobić.

— Kiedyś...

— Co tu i mówić, oby kiedyś!

— Wiadomo, człowieku zawsze źle.

— Alboż to człowiek święty? — odezwał się chłop w średnim wieku, o drobnej, usianej piegami twarzy, przechyliwszy się przez stół i wyciągając brudne palce po kiszony ogórek. — Człowiek, a wszystko jedno jak ta żywiola, nie wie co jego czeka. Ot, Romka, biłeś onegdaj wieprza, a czy on wiedział wtedy, że jemu ostatni dzień? Nie wiedział. Tym samym przykładem i człowiek. Czy my mogli dopuścić jakie dwa lata te-

92
mu, że tak wyjdzie? Ot, starzy ludzie... choć prawda to i my niemłode, ale oni co jeszcze pamiętali pańszczyznę, bywało frtwsze opowiadają, wspominają. Tak ot ona, ta pańszczyzna Innrz, jakiej świat nie widział.

Siedzący naprzeciw, solidny widać gospodarz z „kułaków”, skrzył papierosa, potem uważnie, długo ślinił bibułkę, a* gdy zapalił, powiedział:

— No ale i wtedy nie bardzo też sprawiedliwie z ludźmi |xwtcpowano, jeżeli to prawda, jak mówią, że za bułkę czło-wlrka można było kupić.

— Za bułkę! — przerwał mu gwałtownie inny. — To choć M bułkę, mówisz, a dzisiaj za nic sprzedają, za darmo. A jad-ir* ty bułkę przy Sowietach?! — Wypił szklaneczkę wódki jed-nym haustem, wyciągnął z ogólnego talerza kawałek solonej uloniny, ale jeszcze go solą posypał i zaczął opowiadać: Pochodzi z okolic Lebedziewa, miasteczka powiatu mołot|pr/.ińskiego; posiadał trzy hektary gruntu. Gdy na jesieni niku 1939 przyszli pierwsi bolszewicy, wielu aktywniejszych, | ukomunizowanych poprzednio mieszkańców ustawiało bra-H|V tryumfalne na drogach. Zaczęło się zwyczajnie: od wiel-ki' ilów. Po dwóch miesiącach straszna rzeczywistość so-»-i i jęła już przezierać przez wszystkie szpary. Zabrakło w Ikiego: „ani igieł, ani wideł”. Bolszewicy odpowiadali no-ln nym: „U nas wszystko jest, poczekajcie tylko, podwio-*,\.lynne „padwiezut!” obiegało cały kraj. W listopadzie |) 11 po wsiach specjalny agitator, który wygłaszał przemó-<H i, odczyty, zachęcał niby do zadawania pytań. Chłopi <l i ill milcząc zakłamanymi frazesami o „wolności”, o „** < sciu” itd. Interesowali się bardziej zagadnieniami mate-ftalnymi. Pytali, czy jest w Sowietach cukier albo maszyny fnlnli /.c, materiały na ubranie. Bo jakoś wszystkiego nagle MI Milkło. Ale o cokolwiek pytali, zawsze słyszeli w odpowie-rt' lest, jest, tego mamy pod dostatkiem. Całe fabryki wy-i-i .1 ten towar. U nas wszystko jest. Zaczekajcie tylko, »l ilcle, podwiozą wam wszystkiego”. — W pewnym mo-«•• ||• ir rozmówca nasz wstał z ostatnich rzędów ławek (od-i-#yl odbywał się w szkole) i spytał żartobliwie: JK. nędzy u W tym miejscu opowiadanie chłopca przerwał jeden z sie-tlwarych przy stole:

93

— Ale przyznaj się, Florka, zdrowo musi przedtem kież-
nął samogonu, żeby taka pytania stawić, a?

— A wiesz co, że trzeźwy był. Nawet żeby choć szkalik jakiego, a to nic w ustach nie miał od rana. Tak, z duru sfiksował. Obecni z niedowierzaniem pokiwali głowami.

Więc było tak: pogadankę prowadził agitator w języku rosyjskim, rozumianym powszechnie względnie dobrze. Natomiast pytający użył polskiego słowa „nędza”, które po rosyjsku brzmi zupełnie inaczej („niszczeta”). Agitator słowa nie zrozumiał, ale nie zastanawiał się ani jednej chwili: „Nędzy też wam podwiozą!” — Buchnął gremialny śmiech. Prelegent się stropił: „O co chodzi? o co chodzi?” — Wy tłumaczono mu dobrodusznie sens dowcipu.

Nazajutrz chłopca aresztowano, przewieziono najpierw do Molodeczna, następnie do Wilejki powiatowej, gdzie bolszewicy urządzili słynne więzienie. Już po dwóch miesiącach w więzieniu tym zmasowano przeszło trzy tysiące więźniów, przeważnie chłopów okolicznych.

— Za co?

— Czy to u nich kto pyta, za co? Za wszystko. Mnie udało się uciec. Pod wiosną jakoś było. Uciekłem z drugim człowiekiem, tamten był z Nowego Pohostu, pan wie, gdzie to jest?

Kiwnąłem głową.

— Nu, ot właśnie. Jego skazali na pięć lat, że wyjechał z domu, przywiązał kobyłę z wozem do płotu i poszedł sam do chaty. Od własnego dobra uciekł, żeby nie mieć konia. Wielu tak robiło, bo wytrzymać było trudno, jak zaczęli na roboty wyznaczać. Na przykład kamienie zimą wozili. Ludzie wozili, palce sobie odmrażali, całą zimę wozili, a płacono kilka kopiejek za metr, według taksy państwowej. Znaczący, trzeba było za darmo pracować, a czym konia karmić? Ten człowiek miał dwa hektary ziemi, z tego konia nie ukarmisz.

Chłopi rzeczowo przytaknęli głowami: — Rzecz pewna, z tego nie ukarmi, chyba że na zarabotki jeździć.

— Owszem, on z tego i żył przedtem, za Polszczy, a teraz jak zaszli Sowiety, to tylko pańszczyzna i pańszczyzna. Jak nie kamienie, to drzewo z lasu, to co innego jeszcze. Woź i woź im bez przerwy. Tfu! taka ich mać! A kogo przyłapią, że nie jedzie — temu trzy lata więzienia, a jeżeli w tym czasie pojechał na prywatny zarobek, to cztery lata. Więc po nie-
94

których wsiach to ludzie darmo oddawali konie. Bez konia M. trzeba było pracować, ale zawsze choć owsa nie kupujesz. A nkąd jego wziąć, tego owsa? Czy to porządny gospodarz uprzeda za te ich gówniane ruble?

— Tak co ty, Fiorka, będziesz nam mówił, jakby my sami i ilr widzieli! Co to pod Wilejką inaczej niż pod Lida? Ta sama apiiiwa.

Skądciś daleko ledwo dosłyszalnie przybłąkało się do i huty pianie koguta. Gospodarz ostrożnie uchylił worka zawtciłzonego na oknie, zerknął jakby podpatrywał rzecz nie-
|ii/.ystojną.

— Świtać będzie — powiedział.

ŚNIEG W WILNIE PADAŁ GĘSTO

I

Wyszedłem z błędnego założenia, wynikającego z nieznamomości pracy fizycznej. Począwszy od drwała, zakosztowałem kolejno karczowania, kopania rowów, darniowania skarp...

Wszystkie te prace były dostatecznie ciężkie. Nie było w istocie lżejszej, bo ją w Sowietach wyrównuje akord. Z nieprzyzwyczajenia wracałem zmachany i wtedy zaczął mi się śnić koń. Zdawało się, że gdy kupię konia z wozem, on będzie na mnie pracował, a ja sobie tylko jechał górą na furze. Laicy tak przynajmniej twierdzili. Ludzie obeznani kiwali natomiast głowami, przycmukając: „Oj, furmana robota też nielekka”... — Posłuchałem laików. Nie mieli, huncwoty, pojęcia! Ładunek i wyładunek wozu, wyjazd z lasu na równą drogę, z glińnianki, z kamieniołomów, starczał za ośmiodniowy tydzień pracy, a dopiero na dodatek tyrało się obok wozu, w spieczonych kurzem czy oblepionych błotem butach, długie, długie godziny.

Tak idąc, ścinałem w zamyśleniu przydrożne chwasty batem, spędzałem baki z końskiego zadu, w innych miesiącach wycinałem nim pręgi na śniegu. Czasu do myślenia istotnie mi nie brakło wówczas, w Litewskiej Socjalistycznej Sowieckiej Republice. Nie z jednego wodopoju pijał mój koń, nie z jednego mostu spluwałem w rzekę, nie przy jednym młynie, cegielni, tartaku, fabryce, słuchało się przekleństw, rozważań i wynurzeń.

Zimą z roku 40 na 41 śnieg w Wilnie sypał gęsto. Pod wiosnę nadarzał się zarobek dobry: zwożenie śniegu z ulic nad brzeg Wilenki-rzeki. Koń wtedy pracował mało, a ja ma-

96

ehnęłem drewnianą łopatą od świtu do zmroku. Raz wziąłem i kłdnek trotuaru wzdłuż pałacu biskupiego i gmachu dawnego województwa, na Placu Katedralnym, jak raz pomiędzy iłttwną redakcją Kuriera Wileńskiego, gdzie teraz była Prawda WUrńska, a dawną redakcją Słowa, gdzie aktualnie Krasnoje /nwnia. — Przejeżdżam tam i z powrotem, tam i z powrotem rały ranek, a później w południe koniowi przyczepiłem worek t (twsem, a później znowu przejeżdżam, aż pod wczesny wie-

t <\x zapalono lampy w redakcjach.

I nagle pojąłem: ludzie zbyt pochopnie wyrzucają z siebie liw/.csy w rodzaju: „Lepiej całe życie zamiatać ulice w Euro-|ilr, niżli w Sowietach być...” Po stokroć nieprawda! Jeżeli niuiii Już całe życie zwozić ten mokry śnieg z ulic, całe życie i slupać oto w strumykach topniejącego brudu i nawozu, jeżeli rnlć życie tęsknić mam tylko do zmierzchu, a nigdy do ran-

hn, to oczywiście, że wołałbym zawsze w — Sowietach!

Nim zapalono lampy uliczne, z okna Krasnogo Znamieni I mdii zielonkawę światło od abażuru w poprzek rynsztoku, w klńnym, porwane wirem, kręci się samotne pudełko zapalek, hiilblłem je biczem. W tym miejscu jezdni specjalnie jest

nwmyta, cały dzień przejeżdżać mi wypada przez głęboką
iltlurę i koń się zawsze napręża, choć wóz nieciężki. Zatrzy-
mam go; niech on odpocznie, niech ja zbiorę swoje myśli.
Wttlr nie mam zamiaru obrażać moich kolegów furmanów,
Mir* |rdnocześnie nie chciałbym ani im kłamać, ani sobie. Bo
ni l>v było, gdyby tak dwa lata, rok temu jeszcze, siedzieli za
lyml oknami moi koledzy dziennikarze, pisali artykuły, żarto-
wali sobie, czytali, być może o tej porze szli gdzieś do knajpy,
M |i«, lylko ja jeden, obarczony byłbym wyrokiem dożywotnie-
gn /wożenia śniegu pod tymi oknami? No, co by było? Czy nie
iłylnliy to czasem poczucie krzywdy, które w zestawieniu ich i
iitrttu losu na „całe życie” kierowałoby myśl moją do samobój-
•Iwh włącznie? Dlaczego, na miłość Boga, ja jeden tylko!
A dziś, co: ostatni oto wóz, stajnia, wytrę konia słomą pod
|MMl«l«-działkiem, założę siana, napoję za godzinę, w per-
•|wklywie zarobek, zjem coś, pójdę spać. Prawie bez krzyw-
iły I 'i /ecie wszyscy tak samo.

Dobrze, dobrze! — przerwie mi ktoś może — ale sam
|imii piszesz, że tam za oknami siedzą dziennikarze, piszą,
t*yilit|il, nie wszyscy przecie zwożą śnieg, gnój i rąbią drzewo
|MI lllIMlch...

97

If

Oczywiście, iż zestawienie moje poprzednie dotyczyło tyl-
ko fotograficznej migawki momentu. Rzecz naturalnie nie w
pisaniu, nie w wyskoczeniu „na jednego” do knajpy, nie w
wysokości pensji nawet i warunkach mieszkalnych. Rzecz w
monotonii całego życia, w braku perspektyw, w nieoczekiwa-
niu jutra, w zamknięciu horyzontów, w ograniczeniu tego ży-
cia i jego nudzie. Dlatego los furmana nie odbiega w Sowie-
tach tak dalece od losu dziennikarza, to znaczy, że jest rów-
nie kiepski.

* * *

Zazdrościć można komuś szczęścia, wolności, ale nie żar-
cia na łańcuchu. Rozmawiałem z setkami bolszewików w Pol-
sce, w państwach bałtyckich, w Niemczech. Ich reakcje w
zetknięciu z nowym światem są przeróżne. Ale kto to powie-
dział, że każdy z tych nędzarzy na widok bogactwa i dobroby-
tu moralnego winien się zaraz rozczarowywać do Związku
Radzieckiego? Raczej częściej splunie przez zęby z zazdrości:
„Ech, burzuje, żyją oto! Nu, niczewo, niedługo już. Nasi tu
zrobią porządek”.

Moim zdaniem, atrakcyjna siła bolszewizmu czerpie swe
soki z arcyłudzkiej, nazwijmy ją, przywary, której miano,
trudne do przetłumaczenia ścisłego, brzmi po niemiecku:
Schadenfreude. — Mówi się powszechnie: „Chciałbym aby się
mnie wiodło tak dobrze jak innym”. W praktyce powiedzenie
to równa się ukrytej głęboko myśli: „Oby się i innym tak źle
działo jak mnie”. Tylko że ludzie rzadko albo nigdy do tej my-
śli się nie przyznają.

Lwów i Wilno 1947 nr 28

98

ZACZYNAMY GNIC

5 sierpnia 1940 był dniem upalnym. Rano przybyłem do Wilna dla załatwienia kilku sprawunków i po południu miałem wracać pociągiem podmiejskim na wieś. W dusznej atmosferze wisiały nieruchawo transparenty czerwone. Z każdej witryny wyzierał portret Stalina, częściowo już wyblakły od słońca i popstrzony przez muchy. Chodniki były błotniste, przechodnie spoceni. Na placu przed dworcem kolejowym zbitą ciżbą stał tłum ludzki, a z trzech ulic wylotywały napływały wciąż nowe grupy manifestantów.

Wielkie było odgadnąć, że maszerowali wszyscy, kogo rodzaju maszerowania dosięgał bezpośrednio. Szli dorośli i dzieci, jednak słę później okazało, dzieci te trzymane były od rana bez nadzoru w szkołach, a później tkwiły na skwarze. Leniwie kołysały się transparenty i sztandary czerwone. Nad kurzem w powietrzu, nad zaduchem ludzkim płynęły dźwięki „Międzynarodówki”.

Z trudem lawirując, przeciskałem się w kierunku poczekalni dworcowej. Jeszcze dwa-trzy razy zapytałem przechodniów na chodniku o przyczynę uroczystości. Nikt nie wiedział. Uroczystości, pochody i manifestacje odbywały się tam zbyt często.

— Zapytaj pan tych, co idą — mruknął któryś.

Obok maszerowała właśnie delegacja — sądząc z zewnętrznego wyglądu — jakiegoś artelu rzemieślniczego.

O co chodzi? — spytałem szeptem zacnego majstra, który nie mógł złapać nogi w szeregu.

99

W tej chwili poznałem go: szewc z ul. Zarzecznej. Poprawił nogę i maszerował teraz jak stary komunista. Udał, że mnie nie zna.

— O ważne rzeczy chodzi — odpowiedział.

W poczekalni dworca panował tłok nieopisany. Nikogo nie wypuszczano na peron. Pociągi miały odejść później. Trzeba czekać. Wielu próbowało się przepchnąć koło biletera, ale w drzwiach stał bojec z czterograniastym bagnetem na karabinie. Kontroler w przejściu patrzył tępo przed siebie. Na czapce jego widniała gwiazda, daszek opadał na oczy... W zmarszczkach twarzy taił się brud stacyjny i zniechęcenie.

— Panie! — wołała jakaś kobieta, zaciągając z wileńska

— niechaj pan zlitui się, mnie dzieci czekają w domu.

— Nie ma tu żadnych „panów” — odburknął kolejarz.

Kobieta się cofnęła.

— Jak do niego, cholera, mówić? — zapytała szeptem sąsiadkę.

— Wiadomo jak: powiedz pani „towarzyszu”.

— Towarzyszu!... — zaczęła znów tamta biadającym tonem i urwała raptownie.

— Nie można teraz. Czego się pchacie? Ech, naród jaki nieorganizowany! — zawołał oficer NKWD, wyrastając nagle w przejściu.

Okrzyk, który się zerwał z jego ust, nie był groźny, nie po-

parł go też ani przekleństwem, ani srogą miną. Raczej stanowczość i dobrze wyreżyserowana perswazja brzmiała w jego głosie. I wtedy ten „niezorganizowany naród” zaczął się cofać, tłocząc się nagle do tyłu, jak uprzednio tłoczył się ku przodowi. Ktoś rozduśił babie w ścisku pusty kosz. Syknęła, ale nie ośmieliła się krzyknąć. Oczy wszystkich skierowane były na tego uzbrojonego męża NKWD z wyrazem przymilnego strachu. W kącie koło drzwi kwiliło dziecko. Obok leżało kilku drwali wprost na cemencie, rozłożywszy swój skromny posiłek pomiędzy piły, siekiery, plwociny i niedopalki papierosów. „Niezorganizowany naród” bab, dzieci, robotników, wyleniałych inteligentów, który w tak podniosłej chwili ośmielał się wysuwać swe indywidualne interesy, jechać dokądś za indywidualnymi biletami, spędzony został do tej dusznej poczekalni i zamknięty na razie na klucz, aby nie przeszkadzał „narodowi zorganizowanemu” na placu przed dworcem w jego manifestacji...

100

Dowiedziałem się wreszcie, że manifestacja odbywa się ku «wl delegatów litewskich, którzy przywieźli z Moskwy uroczy-
«tn zgodę Rady Najwyższej ZSRR na włączenie Litwy do *wliizku wolnych narodów. Za oknami zagrała muzyka. Wielkie okna dworców kolejowych, dzień i noc w ciągu wiciu lat wpatrzone w miasto przed podjazdem, z biegiem rriiflu zachodzą bielmem kurzu. W dodatku pajak ze strony wewnętrznej rozpostarł swą pajęczynę, więc patrzyłem przez ulu jak przez kratę więzienną na tę najbardziej podłą manife- *lii<;|c, na jaką zdobyć się może zbiorowisko ludzkie: bezwol- nr Mado wiwatowało z okazji utracenia wolności, z okazji In /,y wiezionego mu jarzma, udawało radość. Usprawiedliwia- li okoliczność, że znaczna większość nie wiedziała w ogóle o m» w tej manifestacji chodzi. Natomiast wiedziała z całą pew- HiHlrła i przekonaniem, że poszła na nią i pójdzie na każdą HHNtępną manifestację, że nie odmówi swego udziału, pokor- nr I bezwolnie, we wszystkim, czego od „mas pracujących” lięd/lc się wymagało w przyszłości. Tylko za samo miano I u *y należności do tych „mas”. Bo bez tego grozi utrata posa- • ly. prześladowania, więzienie, głód, wrota NKWD. Podły uliHch o rubel w kieszeni, o własną skórę, o mleko dla dzie- | ku, o prawo patrzenia na własne podwórko, strach — naj- Iihml/IcJ przyziemne z ludzkich uczuć — stanowił bramę hyuiiiifalną dla delegatów powracających z Moskwy: bramę Milrknrowaną czerwonymi flagami.

Winaszerowała kompania honorowa wojska litewskiego.

Altowe, silne chłopcy w stalowych hełmach, z karabinami w tfkii, z których od 15 czerwca 1940 nie padł ani jeden strzał fiinlrstu. ani jeden — w obronie ich ojczyzny.

(Hleer wyjął szablę z pochwy. Przyjemnie mignęła w słoń- wydłużona stal. Ale nie po to, by rąbać wrogów, jak to v "leżał przed Bogiem. W tej chwili po śmiesznych fraze-

• • li ..Hóg i Ojczyzna" depcze, chrzescząc butami, cały na- hñł, kroczący w manifestacji komunistycznej. I oficer daje

klingi znak, i kompania honorowa prezentuje broń przed zej-
łclrm wolności do — grobu. Zagrzemiał hymn sowiecki. Dele-
|uil litewscy wychodzą z dworca.

I '< »przez cieniutką kratę zakurzonej pajęczyny widzę limu-
#yn<, \ która lśniąc lakierem na słońcu okrąża plac i zatacza
sił pod samo niemal okno. Przywiozła przedstawicieli prasy
llllr|ncowej. Z limuzyny wysiada między innymi mój dobry
101

znajomy, Polak, były wyższy urzędnik kolejowy dyrekcji wileń-
leńskiej, teraz — przedstawiciel polsko-komunistycznej Praw-
dy Wileńskiej. Taki jak dawniej, gdy chadzał po tym samym
dworcu, jak po własnym podwórku, tłusty na twarzy, rubasz-
ny w gestach. Lubił popić przy bufecie, pogadać z dyżurnym
przodownikiem policji, pochwalić się wpływami w wyższej
hierarchii urzędniczej, patriotyzmem polskim, nabożnością,
nawet antysemityzmem. Dwadzieścia lat wiernej służby w
polskim urzędzie państwowym i dwa miesiące w prasie bol-
szewickiej. Tak, to on. W pumpach, z bródką, pewny siebie
i... z ogromną czerwoną kokardą w klapie. Rok jeszcze nie
minął, gdy pamiętam... ach, co tam, głupstwo wszystko.

Mam suche oczy i sucho mi w gardle.

Znałem go rzeczywiście od bardzo dawna. Znałem jego żo-
nę, ot, taką sobie, miłą, gościnną mieszczkę, bezpretensjo-
nalną i bardzo nabożną. Kiedyś, pamiętam, u nas na wsi roz-
szałała się burza. Piorun trzasnął w sosnę, drugi rozłupał
starą jabłoń. Na świecie zrobiło się czarno. Wtedy to ona, ru-
chem pełnym zaufania, z książeczki do nabożeństwa wyjęła
święte obrazki i ustawiła każdy w innym oknie, a sama spo-
kojnie uklękła. Burza się kończyła.

Marzeniem jej był Rzym. Na rok przed wojną z drobnych
oszczędności urzędnika polskiego dał się uciuć kapitałik
wystarczający na udział w wycieczce do Rzymu. Pojechała. Po
powrocie zbyt rozwlekła i drobiazgowo opowiadała najdrob-
niejsze szczegóły. A to ją, zemdloną w Bazylice Św. Piotra,
podejmował gwardzista papieski, to znowuż papież...

W okresie bolszewickim zostaje „uprawdomem” (admini-
stratorem domów znacjonalizowanych). Pokłóciła się z pew-
nym lokatorem Żydem i krzyczała do niego: „Jak towarzysz
śmie! Ja, stara komunistka!...” — i ręce ściśnięte w kułaki
przyciskała do swych miękkich, trochę już zwiędłych piersi.

* * *

Robotnicy, tłukący kamienie pod domem na szosie, pocie-
szali mnie:

— Jeszcze pan będziesz pisał. — Jak Polska wróci.

— Jak bolszewików diabli wezmą.

Tego dnia na podwórzu pobliskiej szkoły ludowej wyzna-
czony był wiec przedwyborczy. Te „pierwsze wolne wybory”
odbywały się w ten sposób, że nikt nie wiedział, kim są kan-
dydaci, i skąd się u nas w kraju wzięli. Ale też nikt absolut-
102

nę ta sprawą się nie interesował, nie pytał i oczywiście — nie
protestował. Przyjęto jako rzecz jawną i najzupełniej normal-

iiiit, że wszystko jest z góry narzucone, od kandydatów aż do firńci ich przemówień i uchwał „mas pracujących”. Musi być \rł, napisane w gazetach, rozplakatowane po ulicach, że wy-Iwry są „najwolniejsze na świecie”, i że „pierwszy raz w histo-i II kraju odzwierciedlać będą prawdziwą, niefałszowaną wolę ludu pracującego”. To wszystko na opak uważano za rzecz MH/.upełniej normalną.

Dlaczego?

I)oprawdy, diabli wiedzą, dlaczego!

Poszliśmy razem. Przede mną szedł kamieniarz o mocno ittrwonej, przepitej trochę twarzy. Kulał przy tym na jedną iiiiKc, za to tym energiczniej wymachiwał lewą ręką, rozczapierając dlaczegoś wszystkie palce. Droga wypadła przez la-wk Hosnowy. Jego rozpięta, niedbale puszczone bluza rozdy-iiihIii się na wietrze przesłaniając mi widok. Z tyłu szła w mil-t</ri)lii reszta robotników, i do nich to pokrzykiwał kulawy, i ilr odwracając głowy:

— Ja im dam wybory, taka ich mać, tam i nazad i w po-piMkl To oni myślą, że oni z robotników mogą wariatów strugać! Zaczekajcie chłopcy, my im jeszcze pokazem.

— Daj Antoś lepiej spokój — odezwał się któryś i obojętnie rtplunął na wrzosy.

Ale kulawy uspokoił się dopiero przy zbliżeniu do szkoły. Inni na ganku wisiała już czerwona flaga. Pod nią tkwiło i w li policjantów litewskich, jeszcze w dawnych, „burżu-|uych” mundurach, ale bez naramienników. Znak Pogoni |upiła gwiazda na czapkach. Poniżej na stopniach stałwca, nie znany nikomu w okolicy. Przed furtką mała szara limuzyna, przez której szybę dostrzec było można młodą iłłlrwrzynę. Przeglądając się w lusterku szofera, malowała lulilr usta.

Mówca mówił długo i monotennie, słuchano go poziewa-!|(< w zgodnej ciszy. Oklepane, wyświechtane, zbanalizowane niemożliwości frazesy padały równo jak krople z dachu.

.•O zresztą było, że agitator jest zmęczony, że już tuzin po-1 mych wieców dziś odklepał, i że wszędzie mówił to samo, z i t «niną intonacją i tym samym gestem. Tłum stał lub sie-i|#l<l im trawie, nie okazując żadnego zainteresowania. Nawet Mtwlitdczenie, że „głosowanie jest obowiązkiem obywatel-103

skim”, przeto w dokumentach stawiane będą pieczętki, nawet ten zastraszający przymus nie był nowością, i wiedziano o nim zawczasu.

Siedziałem na trawie, pośrodku podwórza, gdy mówca kończąc przemówienie krzyknął: „Niech żyje Republika Radziecka!” — „Niech żyje ojciec i nauczyciel mas pracujących, nasz kochany wódz i towarzyszu, genialny Stalin!”

— Niech żyje! — ryknął pierwszy kulawy kamieniarz i szeroko wymachując lewą ręką w rozpiętej bluzie zasłonił mi znowu widok podobnie jak tam w lasku.

— Niech żyje! — wrzaśnięto ze wszystkich stron.

Policjanci stanęli na baczność. Wszyscy zerwali się z

miejsc. Zostałem sam jeden na trawie, pośrodku podwórza, tak jak siedziałem, a w tej chwili jak rozduszony robak wśród depczących wokół nóg i wzniesionych do góry rąk. Wstałem w końcu, splunąłem i powlokłem się drogą do domu. Po chwili dopędzili mnie powracający z wiecu robotnicy.

Szli milcząc, jakby żując coś niesmacznego, coś co — przeczuwali — nie da się łatwo strawić. Na zakręcie minął nas samochód i ciężko buksując, torował sobie w piachu drogę na następny wiec. Z okna wychyliła się ta sama dziewczyna i powiewała czerwonym szalem, machając swą chudą ręką, wysterczającą z rękawa równie czerwonej bluzki. Uśmiechała się przy tym, tym standardowym, typowym, sztucznym sowieckim uśmiechem, którego pełno na każdym zdjęciu, plakacie, fotografii kinowej, ilustracji gazetowej, o którym twierdzą szpalty sowieckie, wypływane codziennie z maszyn rotacyjnych, że zaświtał na ustach jako radość z wolności i szczęścia. Lepki, fałszywy, gadzinowy uśmiech spodlonej maski ludzkiej.

I znów pierwszy kulas, a za nim kilku innych podnieśli ręce i odkiwali przyjaźnie. Po czym odwracając głowę kulas odezwał się spokojnie, cedząc rzeczowo przekleństwa:

— Paszła ona k p... matieri! k... czerwona!

— Ot, Żydówka parszywa — mruknął na wpół do siebie drugi.

— Może ona i nie Żydówka, a tak, prosto bl..

Pozostał nam jeszcze kawałek drogi piaszczystej, wyboistej, pod górę. Z lewa, wysoko nad sosnami, przypiekało słońce. Daleko, daleko już, ginał w zieleni obłok kurzu za samochodem.

104

— Taksówką, taka ich mać, rozjeżdżają. Komunisty, mać t< li,,. — odsapnął kulawy, któremu iść było ciężko.

Nie wytrzymałem:

— To po jaką cholere darliście się „Niech żyje!”, jeśli te imk przeklinacie.

Nastała chwilka ciszy, i tylko w ostatnim skwarze brzę-
•tMtty Jesienne muchy.

— No... a to jakże inaczej?... — odpowiedział kamieniarz
ł inJwrócił ku mnie swą nalaną twarz, na której malowało się
twuitcre zdziwienie.

WUuliMności 1947 nr 24 (63)

105

ŁAPANI JAK PST

:

Ostatni dziedzic na Wodoktach laudańskich był człowiekiem niezwykle otyłym. Skarżył mi się, siedząc przy stoliku kawiarni Rudnickiego (znacjonalizowanej w truście „Valgis”), że los, który go zmusza obecnie do pokątnego handlu, jest dlań wyjątkowo niełaskawy: „Pan rozumie... z moją staturą!”

— Bolszewicy oglądają się za nim z ciekawością. Taki grubas w europejskim kostiumie to już na pewno były burżuj.

— Czuję się jak eksponat, psia ich krew — ciągnął dalej

— bo wszyscy przybiednili się sztucznie, powyciągali skądś stare czapki, pozapuszczali brody, chodzą w łątach. Czort wie-nie-co, dokoła sam tylko proletariat, a ja uciekłem z Kowna w najlepszym ubraniu i nie mam drugiego.

— Teraz to i tak i owak nic nie pomaga — odparłem.

Odmachnął ręką, ruchem przytwarzającym i spojrzął w okno. Za oknem, w czerwcu 1941, leżał prospekt Lenina.

Wiosna była późna. Listki na lipach zieleniły charakterystyczną świeżością. Na niebo wyszły drobne baranki chmur i zegar z wieży katedralnej przebił wczesną godzinę, tak wczesną, że o tej porze lura przezwana kawą nie była jeszcze w cukierni gotowa. Ale ludzie nie spali. Spać nie mogli.

To co się działo wokół, przeszło wszelkie oczekiwania.

Właściwie minęło się z perspektywą, pod innym kątem niż był spodziewany, niż go wyglądano z opowieści o rewolucji bolszewickiej, albo znano z doświadczenia własnego w Rosji, z wojny lat osiemnastych-dwudziestych. To było zupełnie coś innego, coś, czego człowiek przed rokiem 1939 nie tylko nie widział, nie przeczuł, nie wykoncypował w wyobraźni, ale

106

mul, czego pojąć nie mógł jeszcze w tej chwili, patrząc w pełnym słońcu i własnymi oczyma.

minęło już wypadków, tyle wstrząsów, niebezpieczeństw, rozczarowań, zawodów, upadków, aż nastąpiła wreszcie wielka deportacja ludzi.

— Pani Halino, niechże pani da wreszcie tę... tę kkkawę.

— Czy obywatel też będzie pił? — zapytała mnie usługiwająca kelnerka, żona jakiegoś byłego urzędnika.

— Ach! zobacz pan! — przerwał towarzysz mego stolika, wyciągając nie mytą dziś wyraźnie rękę. — Przecież to Liński! * huwdy Wileńskiej.

Był taki dziennikarz, który pracował przed wojną w warszawskim Kurierze Polskim. Uciekł przed Niemcami do Wilna, w momencie wkroczenia bolszewików przedzierzgnął się w lojalnego pracownika Prawdy. Teraz siedział na samym końcu wózka, pustej platformy ciężarowego auta, widocznie na tłumoczkach, opuściwszy kaszkiet na oczy przed Krasnoarmiejcem z bagnetem na karabinie poziewał końcu, przysłaniając łapą usta. Był bowiem ranek, 12 czerwca, a ludzie byli niewyspani. — Ciężarówka jechała w kierunku przeciwnym wiozła trzech uczniów. Najbardziej z nich stał.

To jest syn tych... jakże oni... zaraz sobie przypomnę wiesz. No, na Zamkowej mieszkają... — I gruby pan przysłał czoło i jął nerwowo mieszać w filiżance łyżeczką, przysłał się zastanawiając nad trudnym zadaniem szachowym. Niech pan nie miesza, i tak bez cukru — odezwała się jakaś kasa któraś z obywaterek-kelnerki.

Spojrzał na nią nie widzącymi oczyma, mieszał dalej i nie przysłał! Hobbie przypomnieć.

Siedząc za szybą kawiarni w tym centrum miasta było się wygodnie w łóżku niepojętego teatru. Ludzie szli tam i siam chod-

M*iii. a środkiem jezdni przejeżdżały w różnych kierunkach
^Rle, na zielono malowane ciężarówki sowieckie, które wo-
lonych ludzi, tzn. już złapanych. Jechały pod różne,
u4/.ane przez NKGB adresy, zabierały figurujące na liście
\, czy tylko poszczególnych ich członków, nawracały do
domu, mijały się nawzajem, znowu jechały. W ten
widziało się znajomych, bliższych-dalszych, znanych
i i-nia tylko, krewnych czasem. Ludzi na ulicach było
ii, Tak jak my do tego stolika kawiarnianego, wychodzili
107

od świtu, bo na ulicy było bezpiecznie. Z ulicy jeszcze nie
brano. Brano z mieszkań w nocy, nad ranem, z miejsca pracy
przez cały dzień. Wszystko odbywało się na oczach wszy-
stkich, przy zachowaniu spokoju i śmiertelnej ciszy. Dziwny
jakiś porządek zapanował w tym zwykłym bałaganie bolsze-
wickim i to właśnie było rzeczą może najbardziej niepojętą.
Nikt nie wykrzykiwał, nie molestował głośno, nie prote-
stował, nie odezwał się nawet.

Co się stało?! Boże, Boże...

Niemcy za okupacji surowo zabraniali pozdrawiać Żydów
idących ulicą, czy pędzonych na stracenie, a zdarzało się
przecie, że ten i ów... Bolszewicy nie skrepowali nikogo abso-
lutnie żadnym przepisem, ani zastraszającym obwieszcze-
niem. Ale ludzie odwracali głowy, gdy się ich oczy przypadko-
wo spotykały. Patrzono tylko z daleka, ostrożnie, najchętniej
zza cudzego ramienia i szło się czym prędzej ze wzrokiem
wbitym w płyty chodnika, ze wstydu? rozpaczy? lęku? —
Tymczasem słońce wyszło wysoko ponad dachy, powyciągało
mgły przyczajone jeszcze nad Wilenką, a baranki chmur
przepędził wiaterek w nieznane pola nieboskłonu, wskutek
czego wszystko było teraz bardzo jasne i wyraźne.

Do czego rzecz tę można by porównać? Sama procedura
nasuwała analogię z rakarzem miejskim, który wiezie przez
miasto złapane psy. Ale nie podobieństwo, tylko kontrast po-
między okolicznościami hycła i NKGB stwarzał niezwykłą rze-
czywistość.

Przed rokiem 1939 rakarze miejscy nakazane sobie mieli
opuszczanie ulic, zanim młodzież nie wysypała do szkół, gdyż
los złapanych, biednych zwierząt mógł ją gorszyć i oburzać
moralnie. Los ten jednak nie zawsze był najgorszy. Większość
psów zachowywano bądź do wykupu, bądź po prostu na
sprzedaż. Mimo tego, spóźniony wózek hycła wpadał nieraz w
groźne opał. Ludziom po prostu żal było piesków. Łajano też
i wygrażano pięściami oprawcom. Zdarzało się rzucić kamie-
niem, zdarzały się bijatyki. Był zawsze wielki krzyk i lament
wokół. Psy z klatki czekały też hałaśliwie, odpowiadały im
szczekaniem psy z ulic i bram.

Teraz było zupełnie inaczej. Deportowanych wieziono za-
równo w nocy, jak w biały dzień, na oczach wszystkich. Los
ich był jednako przesądzony, straszny. Nikt ich nie mógł ani
wykupić, ani odkupić. A przecież byli to ludzie, nie — psy.

hidsle, po prostu ludzie, jeżeli nie chcemy tego określenia ubierać w patos słów: że nasi najbliżsi współrodacy, współ-

I co? I nic. — Tam, gdzie przejeżdżała taka hyclowska cię- i iwka, powstawała nagle zakłopotana cisza. I biegła ta ci- i z taką właśnie szybkością, na jaką nastawiony był obrót i.nl. Uległa jak zaraza. Czasem się ktoś odwrócił z tyłu. Cza- arm ręką przysłonił oczy i też nie było wiadomo, czy przed •łuiircm, czy przed ludźmi. Kto płakał, ten się chował. Nie wydłużał nikt. Psy tylko po psiemu szczekały i wyły z żalu za Uimpodarzem.

Niemcy organizowali swe słynne „łapanki”, w biały dzień z tilliy zagarniali ludzi, pędzili jak bydło, wsadzali do podo- lityycli ciężarówek i w większości wypadków wywozili na •iiilrré lub do obozów koncentracyjnych. To by się raczej dało |iurC)wnać do ludzkiego hyclowania. — Nic podobnego.

Nie ma żadnej analogii pomiędzy okupacją niemiecką lat I U.'W 1945 i okupacją sowiecką 1939-1941. Nie ma żadnej mwlogii pomiędzy metodą niemiecką i sowiecką. — Z Niem- i'Miiil była wojna. Straszna, ale wojna. W wojnie tej, słusznie i*V niesłusznie, brała udział cała Polska i z tej wojny musiała wyclij^nać konsekwencje tych barbarzyńskich warunków, ja- Mr |rj Hitler narzucił, a których nie ukrywał, tylko na każ- ilytti rogu i progu plakatował: mord, zniszczenie, więzienia, nlm/y. Co kilka kroków wisały czerwone obwieszczenia: i'n/.srzelaliśmy tyłu i tyłu, za to i za to..." — Okna w nocy 'V zaciemnione przed nieprzyjacielskimi samolotami, w r«lr wojennym wolno było chodzić tylko od godziny do go- ny. Na tych samych ulicach, gdzie rozstrzeliwano Polaków, cli też Niemcy. Żadne z miast polskich nie przestało być na chwilę terenem działań wojennych. Niemcy stosowali /wykle krwawe metody walki, ale nie powiedzieli nigdy, że vnz11 po to, aby nas „wyzwolić" spod panowania nas sa- (li, „uszcześliwić", że działają z naszej woli i na naszą ko- n(\ Owszem, twierdzili otwarcie, że działają tylko z własnej U I dla własnej korzyści. Upokarzali nas głośno, brutalnie, .iilr. Łapanki z czasów niemieckich to raczej tyraliera stra- • if^o wroga, która tylko przypadkowo spotykała ludność ihf uzbrojoną. To była walka na śmierć i życie.

„. Był straszny spokój w granicach Związku Sowieckiego. Nłfl było żadnej wojny. Nie było zaciemnienia przed obcymi 109

bombowcami. Nie było godzin policyjnych. Była „radość". Na ulicach wisały plakaty i fotosy o twarzach uśmiechniętych. Transparenty głosiły, że ciągle coś i za coś dziękujemy Stali- nowi. Maszerowały pochody z tymi transparentami. Mówiło się „obywatelu" do każdego. Była równość, jednostajność, nu- da. Komunikaty wojenne przychodziły z innego świata. Nie było zbrojnych patroli na ulicach, gotowych do strzału. Nie było obwieszczeń o rozstrzelanych, a jeżeli się ktoś przypad- kiem dowiedział o takim fakcie, to wiadomość swą raczej

ukrywał dla siebie, niżby miał powtarzać ją pierwszemu z brzegu. Obchodzono uroczyście „Dni Mickiewiczowskie”. Grały wszystkie polskie teatry. Na kurtynie jednego z nich wymalowano gwiazdę czerwoną, na innej krasnoarmiejca z cztero-
graniastym bagnietem na karabinie.

— Pisałem do Moskwy — powiedział mi, ziewając od ucha, jeden z kierowników pewnej sceny — żeby mi przysła-
no coś z ich repertuaru. Wciąż nie mam odpowiedzi... aaaa!

— Nie wyspał się pan?

— Ja myślę! Człowiek co noc musi zmieniać mieszkanie. Był to istotnie jeden z wypróbowanych sposobów na krótką metę. Bolszewicy deportowali z kraju ludzi, dzieląc ich na słynne już dziś czternaście kategorii. W praktyce odbywało się to w ten sposób, że zgłaszano się do mieszkań, gdzie według posiadanego adresu delikwent winien się być znajdować. Poszczególne oddziały NKGB operowały w przydzielonych sobie dzielnicach, nie mieszając się do sąsiednich. Miały poruczone zabrać tylko osoby figurujące na spisie. W tym samym czasie inne oddziały operowały w innej dzielnicy, z inną listą imienną w ręku. Wystarczyło zatem, ażeby dwóch poszukiwanych zamieniło się nawzajem mieszkaniem w różnych dzielnicach, a obaj pozostawali na wolności na razie... Bo jak długo można się było w ten sposób ukrywać? Dzień, noc, kilka nocy, tydzień, dwa? — Od tego był „uprawdom”, który też nie chciał jechać do Kazachstanu, od tego był związek dozorców domowych, w rygorze trzymający swych członków, ażeby widzieli kto i jak często mija bramę strzeżonego przez nich domu. Na tle ogólnego rozklejenia, gdzieś, w mglistej dali za ciemną szybą, w bezsennej noc, majaczyło magiczne słowo: na wieś!... Ale wieś miała swoje „sielsowiety” z przewodniczącym, sekretarzem i innymi dygnitarzami, przed którymi drżał bo gary chłop. Kułak! Jakże trafna była ta nazwa od pięści, któ

110

m zaciskał po kryjomu, w niemej, bezsilnej nienawiści do bolszewików. Sam drżał o własną skórę i mało okazywał zarliwyty dla ratowania obcej. — Kraj, który wydawał się być ongiś względnie szerokim, zmałał, ścieśnił się do odratowanej zagrody.

Takim miało pozostać całe nasze życie i od tego prostego utwierdzenia spływała do serca bezbrzeżna apatia. Nieraz lud/Je, którzy sami siebie podejrzewali, że trafili na listę proakiypcyjną, pakowali manatki, szyli worki, składali rzeczy i iii|potrzebniejsze, aby nie zostać zaskoczonymi w ostatniej rliwili i tylko wyostrzonym słuchem łowili z dala zbliżający nic turkot motoru. Czy można było wobec takiego człowieka w/i uszyć ramionami:

— Ależ Kazimierzu!...

— A gdzie ja — odpowiada z wileńska — podziemę się?

na, dzieci, matka... — I rozkłada ręce, wprawdzie nie uno-
i< ich do góry, ale znaczy to samo: on się poddaje. —

l iHiadł na worku, skreślił bankrutkę i dodał: — Ot tobie i żart
hyl kiedyś: „opuskajsia kumie na dno”. A teraz przyszło się

HHii)t-mu. Splunął wprost na środek czysto utrzymanej „żił-
jtliwzczadi", wprawnym układem warg byłego marynarza, a
#i»liiii. która śledziła wzrokiem ten jego ruch, nie odezwała się
mil Hlowem. Po co?

Nieliczni tylko uciekali, by się ukryć na stałe. Byli też ta-
ry, którzy próbowali z innej beczki, z tej: urządzić się, zabez-
jilrc/yć. „pristroitsia". Ale od deportacji nie ratowała żadna
itrkliiracja, żadne stanowisko rządowe, żaden stopień lojalno-
*< I, upadku, upodlenia nawet. Można się było kajać i wić u
nt("i|i partii, piastować urząd głównego buchaltera czy dyre-
l 'iii ważnej państwowej instytucji, można było biegać z
i wonym sztandarem w pierwszym szeregu 1 maja, praco-
w jakiegokolwiek „prawdzie" polskiej, litewskiej, rosyjskiej,
/na było tłumaczyć dzieciom w szkole, że Adam Mickie-
wicz I Słowacki to pierwsi w Polsce bolszewicy — ale nie moż-
itM Nic było wykręcić od losu, który rząd sowiecki przeznaczył
iIIm czternastu kategorii obywateli.

Miałem dwóch sąsiadów, z których jeden, p. Ruk z Ha-
fiwinł, był optymistą, a drugi, p. Kiersnowski z Wołczun, pe-
| iilstą. Folwarki ich ograniczono do 30 ha, w myśl uroczy-
| konstytucji Litewskiej Republiki Radzieckiej, która gwa-
11 owal a takie maksimum prywatnej własności ziemskiej.
111

— Daj Boże jeszcze całe życie! — machnął ręką p. Ruk.

— Słusznie, słusznie. — I wszyscy optymiści popodnosili
nosy. — A nie mówiliśmy, że bolszewicy zmądrzeli, zmienili
się cokolwiek...

Ale konstytucja Republiki Litewskiej, tak samo jak kon-
stytucje wszystkich republik związkowych, tak samo jak każ-
de słowo drukowane w Sowietach, jest tylko fikcją. Na gospo-
darstwa kułackie nałożono wnet podatek w pieniądzech, ale
głównie w naturze, przenoszący dwakroć lub trzykroć jego
możliwości produkcyjne. — Pan Kiersnowski, otrzymawszy
nakaz, cisnął nim w kąt i zawyrokował: „Nie dostarczę im ani
jednego puda!" Pan Ruk, który nie przestał być optymistą,
wygładził papierek na biurku, westchnął wprawdzie, ale po-
stanowił: „Jakoś to będzie". — Sprzedał co mógł, zebrał tro-
chę piemiędzy, za te pieniądze w okolicy poskupywał zboże i
dostarczył wszystko co do jednego kila!

Przyszedł czerwiec i było, jak to u nas zwyczajnie: żywą
zielenią szły w górę oziminy, horyzont się z lekka tumań od
rozgrzanego z nagłą powietrza, gdzieś czekał pies, pachnia-
ło jeszcze świeżością ziemi po późnej wiośnie, wilgotnym igli-
wiem, bo ja zresztą pamiętam dziś, jakimi zapachami rozpo-
czyna się u nas lato! Było cicho i spokojnie na pozór. — Leża-
łem na brzuchu podczołgując się z wolna ku drodze. Nad głó-
wą szumiał las. Odkąd uciekłem do Puszczy Rudnickiej, pod-
kradałem się zawsze w ten sposób do własnego domu, jak
złodziej. I oto słyszę turkot zbliżającego się motoru. „Ech",
myślę, „jeszcze bliżej podpełzną i z tych tu gęstych krzaków
lepiej będę widział drogę. Istotnie, po drodze tej biegnie cięża-
rówka koloru kurzu. Dwa bagnety, trochę tobołów rozrzuco-

nych bezładnie i dwie rodziny: Ruka i Kiersnowskiego. Są już blisko. Chłop jakiś, który szedł, prędko skręcił w las. Ja go rozumiem. Ukłonić się strach, a nie ukłonić ludziom w biedzie — wstyd. Leżę na brzuchu, rozsunałem źdźbła wrzосу i patrzę. Jada, jada tuż, minęli. Pióropusz kurzu zasłonił ich całkowicie. Na zawsze — chyba.

Na jedną i tę samą ciężarówkę zwalono i tego, który się opierał i tego, który lojalnie dał im wszystko, co kazali. — Coraz dalej, coraz dalej biegnie kurz, śmiesznie tak, bokiem, jak pies zarzucający tylnymi nogami, wiatr go zwiewa na koniczyne Puciatowej, zaraz zniknie w wąwozie Leśnik. Chłop wy-

112
Ittzi znów na pustą drogę, obejrzał się i uczynił szybki znak krzyża, myśląc, że ja go nie widzę.

Wstałem. Dziś już nie przyjadą po raz wtóry. Jeszcze je-
Mrn dzień... Jeszcze jedna noc bezsenna. Ach spać, spać!
Ślrasznie się chciało spać w te dni poprzedzające wojnę niemiecko-sowiecką. Mój Boże, przecież to nie było jeszcze wlezenie, ani obozy koncentracyjne. To było życie na wolno-

iM...
Lwów i Wilno 1947 nr 30

113

^

LUDZIE Z GŁĘBSZEGO PODZIEMIA

Pewnego ranka jesienią 1944 w pałacu przy ul. Potockiego 10 (Ost-Ring!) w Krakowie, gdzie w salonie RGO zbierała się podówczas, wyciśnięta z reszty kraju, elita inteligencka naziemnej i podziemnej Polski, oświadczył mi służący, przywykłym ruchem otwierający drzwi:

— Jest jakiś list do pana.

List był od nieznanego, który prosił mnie o chwilę rozmowy. Podpisane nazwisko wydawało się być pseudonimem. Adres wymieniał nie znaną mi uliczkę. Wypytawszy służącego, który był dobrym krakowianinem, poszedłem nazajutrz we wskazanym przezeń kierunku: początkowo, jak to zazwyczaj bywa w Krakowie, Plantami. Przedłużenie lata trzymało się pięknie. Kasztany nie traciły nic jeszcze na swej ciemnej zieleni, niebo było codziennie granatowe, zarysy przedmiotów wyraźne, i lotnicy musieli mieć doskonały wgląd na ziemię; w poprzek chodnika przebiegały wiewiórki; głośniki, umieszczone co kilkadziesiąt metrów, nadawały komunikat niemiecki, że bolszewicy stoją wciąż pod Baranowem. Nie napotkałem ani jednej „sztraify”.

Długo nie mogłem znaleźć domu. Wreszcie na ciemną klatkę schodową odemknęły się drzwi, nie spuszczone z łańcucha. Jakaś kobieta oświadczyła przez ten łańcuch, że żaden tu o takim nazwisku nie mieszka... Jednak po chwili namysłu dodała: „Zaraz”, po czym drzwi zamknęły się ponownie. Czekałem niedługo. Najpierw dobiegł mnie stuk obcasów kobiecych na korytarzu, potem twarz, ale już innej kobiety ukazała się w szparze nad łańcuchem. Wyjąłem z kieszeni

114

Minięty list. Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem z lekka wy-
•I ruszonych oczu i przeczytawszy podpis na liście, powiedzia-
Ih i. zażenowaniem:

— Ach taaak! proszę.

Wreszcie łańcuch opadł. Przedpokój był tak ciemny, że
Mir mogłem rozpoznać rysów jej twarzy, z intonacji głosu na-
tomiasz przebijało jakieś nieuzasadnione zawstydzenie, pod-
kirńlone kilku słowami ubolewania, że „tego pana” nigdy pra-
wlr nie ma w domu, że prosił w razie gdy przyjdę, o pozosta-
wienie swego adresu i wyznaczenie daty spotkania.

— Jutro.

— Doskonale; na pewno przyjdzie.

— O piątej? — upewniła się jeszcze raz.

— O piątej — odrzekłem.

Przyszedł nie nazajutrz, ale dopiero na czwarty dzień, i
iilr o piątej, ale o dziesiątej rano. Rozpoczął od bardzo długie-
go, mglistego wstępu, coraz to odbiegając od tematu, wyznał
wtrNzcie, że on sam się „waha”, ale, ale, ale... itd. czy jed-
iiwk... może... ja bym się zgodził porozmawiać z... {tu od-
rlir/.uknął) — i oglądając się mimo woli na cztery ściany po-
ko|u. wykrztusił wreszcie głosem przyciszonym — z... panami
ę hzełomu...

Odpowiedziałem bez zająknienia, że — owszem.

* * *

Od dawna już paliła mnie ciekawość, żeby zobaczyć ludzi
i lego subpodziemia, z tego głębszego podziemia. Na tle
wstrząsających a zarazem skomplikowanych stosunków, ja-
Itrr wie ułożyły za okupacji niemieckiej, obiecywałem sobie nie
Itylr Jakie przeżycia literackie po zetknięciu z osobami tak
skrętnie zamaskowanymi, którym o każdej godzinie groziła
ku lit z pistoletu egzekutywy wykonawczej oficjalnego polskie-
go podziemia. Jak wiadomo, Przełom było to drobne pisemko,
|«*ilyiie w kraju, poza propagandowymi urzędówkami nie-
Milrcklmi w języku polskim, stojące na gruncie „nowego ładu
MII In a”. Miało być wyrazem szczerej wypowiedzi, dlatego ar-
lykuły w nim podpisywano pełnym imieniem i nazwiskiem. W
ir/ullacie stoczyło się od razu do tuby propagandowej, ściś-
iilcl<*) cenzurą odpowiedniej „Stelle”... hitlerowskiego czynow-
iilclwa Generalnej Guberni, co w systemie totalitarnego sza-
nie było trudne do przewidzenia. W każdym numerze

115

powtarzały się dwa tylko nazwiska: J. E. Skiwsłd i Feliks
Burdecki.

Przełom nie zamieszczał adresu ani redakcji, ani admini-
stracji, zadowolając się numerem skrzynki pocztowej. Reda-
ktorzy tego pisma, które miało „przełamać” opinię polską,
zmuszeni byli, wobec stanowiska tej opinii, przenieść swe
osobiste życie w najgłębsze podziemia. Nie wiem, do ilu osób
w Polsce mogło się ograniczyć koło ich bliższych znajomych.
Zapewne zerwali ze wszystkimi. Posługiwali się fałszywymi
nazwiskami. Nikt w kraju nie wiedział, gdzie mieszkają, gdzie
bywają, gdzie jadają. Wiedziało o tym zapewne Gestapo, ale

była to marna ochrona. Zagubieni w morzu współrodaków, pilnować się musieli już nie przed agentem czy obławą, ale przed każdym dosłownie cieniem na chodniku... Płynęły mi-
siące. Oni zaś nie mogli się już ani zatrzymać, ani wysiąść,
ani zawrócić.

— Przekonany jestem — powiedział jeden ze znanych przed wojną polityków młodszego pokolenia z obozu konserwatywno-katolickiego — że Skiwski to człowiek ideowy, że pieniądze od Niemców nie bierze.

Następnie zaczął mi wyliczać pożyteczne rzekomo strony tego pisma i dodał, iż żałuje, że nie może się osobiście ze Skiwskim rozmówić. Było to wiosną 1944, gdy „hachizm” i idea „ratowania substancji narodowej” zaczynała być szczególnie namiętnie dyskutowana przy drzwiach zamkniętych. Jako przybyły świeżo z „Ostlandu” i nie znający jeszcze bliżej stosunków w Generalnej Guberni, zapytałem go naiwnie, dlaczego nie może zobaczyć Skiwskiego. Wtedy to dowiedziałem się o warunkach bezwzględnej tajemnicy, w jakie z natury rzeczy musieli wdepnąć redaktorzy Przełomu. Naiwność swą wszelako posunąłem do pytania, dlaczego w takim razie nie może napisać do niego na adres skrzynki pocztowej... Sposób wzruszenia ramion był druzgocącą odpowiedzią. Nie orientowałem się bowiem, że cementowany już wówczas pierwszy zrąb ideowej „ugody” obliczony był nie na jeden, ale na dwa stolki jednocześnie. W tych zaś warunkach, jakie istniały, kto by się chciał kompromitować, na miłość Boską, dokumentem w postaci listu!...

W Krakowie dyskusje na podobne tematy przybrały szczególnie drastyczny charakter. Twierdziłem z nieopanowanym zapałem, że skoro Niemcy już najoczywiściej wojnę prze-
116

grały, należy zmobilizować wszystkie siły do walki z nowym najeźdźcą. Ponieważ zaś ci sami Niemcy zadali nam największy cios w postaci spopularyzowania Sowietów jako swego wroga, a jednocześnie odebrali nam zarówno prawo, jak możliwość własnej, polskiej, otwartej akcji anrystowskiej, monopolizując ją w niemieckiej, przeto czeka nas największy wysiłek wstępny, ażeby przekonać społeczeństwo, że nie każda nkcja antysowiecka pochodzić musi od Niemców, jak każda władza od Boga w Ewangelii. Dlatego też za wszelką cenę unikać należy jakiegokolwiek ugody, nawet cienia kontaktu z Niemcami, w przeciwnym bowiem wypadku każdy wysiłek Miitowskiej z góry skazany być musi nie tylko na niepowodzenie, ale na zagładę.

Wspomniany wyżej polityk, który w kilka miesięcy później, w styczniu 1945, zawarł tajne porozumienie z p. Bo-
irjszą i stał się akuszerem koncesjonowanej przez reżym opozycji,* był podówczas najzacieklejszym wrogiem tej tezy.

— Powinniśmy — twierdził — iść na najdalej posuniętą u/ {odę z Niemcami i na taką ugodę z Sowietami, byle te ugo-
<ly umiejętnie i z zyskiem sprzedać. Skiwski tego właśnie nie potrafił. Wystrzelił wszystkie ładunki od razu. A trzeba było

tu każdy dobrze sobie kazać zapłacić. I niech nas Bóg broni
i akcji wroziej Sowietom. W stosunku do nich zastosować
i wieży program reprezentowany przez Skiwskiego, ale w po-
lii uwionej formie.

Jedna z podobnych dyskusji przypadła na dzień, w któ-
lyin miałem się zetknąć z Przełomem. Dla uniknięcia ewentu-
alnych nieporozumień zawiadomiłem o tym fakcie kilka osób.
— Niech pan mu powie ode mnie — oświadczył dzisiejszy
ipfcymowiec — że bardzo pragnę z nim mówić.

* * *

Oczywiście, spotkanie nie odbyło się wyznaczonego popo-
liittna. Ci ludzie bali się terminów zawczasu wyznaczonych.
Mlucy dwa dni. Wreszcie czas nadszedł. Wkładając palto, za-
pylulem bezwiednie:

— Dokąd pójdziemy?

* l'AXu przede wszystkim. Por. Józef Mackiewicz, Ziwyćstwo
lirowokacjł Kontra, Londyn 1983. B.T. 1983

117

Tajemniczy pośrednik zaczął się jąkać i zmienił temat. Nie
nalegałem. Szliśmy Plantami. Kasztany były zielone i niebo
niebieskie. Przed zejściem w Długą towarzysz mój przystanął
na rogu, zapalił papierosa i obejrzał się dokoła. W połowie
Długiej skręcił raptownie w lewo, ja za nim i znaleźliśmy się
w obszernym hallu stołówki dla... urzędników niemieckich.
Pierwszym wrażeniem było głębokie rozczarowanie. Tak więc,
jednak, po prostu... i wyrwało mi się zwykle:

— Ach...

Pośrednik był zawstydzony. Mówił daczegoś półszepem,
uczynił nieokreślony ruch ręką:

— Tu już po obiedzie... Nikogo nie ma...

Minęliśmy pustą jadalnię, po schodkach korytarzem w
prawo. Obszerny gabinet, duży stół pośrodku, krzesła. Na
stole, w blaszance po konserwach, jesienne prześliczne astry.
Czekały trzy osoby: pani Burdecka, Burdecki i Skiwski.
Zaczął Burdecki. Miał niemiły głos, o niemieckim akcencie.
Powiedział coś banalnego o konieczności wyjścia na szerokie
tory, kontaktu z szerokim społeczeństwem i zapoznania go z
ich pracą, coś niecoś na temat mego zdecydowanego antyso-
wietyzmu, a później już płynnie, jak na wiecu, przeszedł do
patetycznego omówienia ich pracy, poświęcenia, wysiłku, sa-
mozaparcia, celowości programu... Kilkakrotnie przerywała
mu żona, nieopanowanie, namiętnie zwalczając nie wypowie-
dziany przez nikogo zarzut zaprzędania się Niemcom... Skiw-
ski milczał i siedział z pochyloną głową. Firanki na oknach
były szczelnie zsunięte. Na kwiatkach usiadła senna mucha.
Burdecki musiał wyczuć, że tego co mówi słucham za ledwie
połowicznie. Mówił rzeczy oklepane. Przerwał. Nastąpiło milcze-
nie, nieprzyjemne milczenie. Kraków nie jest dużym mia-
stem, nie dochodził tu żaden gwar uliczny. Ktoś tylko na ko-
rytarzu postukiwał naczyniami.

„Więc tak oto gnieżdżą się ci ludzie"... Z kolei ja odczułem
głębokie, nieskrystalizowane zawstyżenie, jak wobec sceny,

w której aktorowi spada niespodziewanie peruka.

— Interesowała mnie ta rozmowa — powiedziałem — gdyż czytając Przełom, nie mogłem zrozumieć zasadniczej jego tezy: panowie twierdzą, że Anglicy obiecują nam, ale swych obietnic nie dotrzymają. Słusznie. Ale dlaczego stąd ma wynikać, że powinniśmy iść z Niemcami, które nie potrzebują niczego dotrzymywać, ponieważ nie tylko nam nic nie obiecały.

118

ale przeciwnie, zapowiadają, że w „nowej Europie” nie będziemy już istnieć jako naród, co najwyżej tylko jako „lud”

Burdecki przerwał gwałtownie:

— Właśnie powinniśmy ich przekonać swym stanowiskiem... Pan oczywiście nie wie, ale ja mam zapewnienia z Hrrlina... itd.

On ma zapewnienia... On, niejaki Burdecki... od Hitlera może?...

— A czy panowie nie uważają — ciągnąłem dalej zniechęconym głosem — że wszystko co piszą Niemcy lub pozwalają pisać pod swą cenzurą, czytane jest przez 99% kraju na opak? Że przeto uprawiając propagandę anrysowiecką, sprrowadzają ją panowie do filozofowieckiej? Że najmniejszą szkodę przynoszą nam ich artykuły głupie, a największą dobre i słusne? Czy zatem, z tego punktu widzenia, nie zgodzą się panowie, że ich akcja antysowiecka jest nie tylko z gruntu nierrlowa, ale w praktyce szkodliwa?

I znów padła odpowiedź wyświechtana, tym razem z ust pitni Burdeckiej:

— Gdyby pan widział, wiele teraz otrzymujemy listów!... „Z połajankami na pewno” — pomyślałem, nie powiedziałem tego głośno.

Po wymianie kilku jeszcze zdań rozmowa urwała się ostatecznie. Było coś tragicznego w tym zgodnym powstaniu Irwch panów i jednej pani, oraz w ich kurtuazji, że nie zapionowali mi nawet nawiązania kontaktu z ich „grupą poIHv<v.ną”.

Na pożegnanie powiedziałem Skiwskiemu, kto go chce wid./leć1. Wracając przez Rynek zauważyłem, jak jedna „sztrajfa” |*In od kościoła Mariackiego, druga od Sławkowskiej, a trzerrln w ukos od Wiślanej. Na wszelki wypadek zbiegłem po •chodach do pisuaru w Sukiennicach.

* * *

— Nie będę zabierał głosu, ale czy mogę być obecny przy i ••/.mowie pana ze Skiwskim? Interesuje mnie zestawienie i»/,ych poglądów.

— Ależ proszę bardzo.

Kozmowa odbyła się w listopadzie 1944, przy ulicy m*v Jana w kawiarni „Pani”. Apologia Hachy uznana została (ttho okoliczność nie podlegająca dyskusji. Gdybym miał remltttt tej rozmowy skondensować do jednego zdania, musiał-

119

bym powiedzieć, że Skiwski upierał się (zresztą już apatycznie) przy współpracy na jedną stronę, a dzisiejszy ideolog

proreżymowej „opozycji” — przy współpracy na dwie strony. Różnica w gruncie nieistotna. Ale, jak widzimy dzisiaj, zwyciężyła teza druga. Obecnie nikt w Polsce nie napada na Hachę jako na koncepcję polityczną. I nie tylko trzech panów i jedna pani, jak za nowego ładu Hitlera, ale tysiące, stojące na gruncie nowego ładu Stalina, nie potrzebują już w Polsce schodzić w głębokie podziemia.

Wiadomości 1947 nr 26 (65)

120

WOJNA 1941

Jakkolwiek deportacje z Wilna zakrojone były na wielką •tknie, to jednak rozpoczęte dopiero w czerwcu osiągnęły zale-
iiwlo cyfrę około ośmiu tysięcy wywiezionych. W tej liczbie •pory procent Żydów, a także urzędników i wojskowych
llrwskich, niezamieszkałych w Wilnie przed wojną.* Wojna
iilrmiecko-sowiecka przerwała dalsze deportacje. Spośród
więźniów osadzonych w więzieniu na Łukiszkach i w piwni-
t-rtcli NKGB część zdołała się również uratować, zawdzięcza-
ne dzielności kolejarzy, którzy w ostatniej chwili zdołali po-
tMlczepiać wagony więzienne. W ten sposób kolejarze wileń-
scy utrzymali tradycję tej postawy, która w wojnie z roku
11)20 przeszła już do historii.

Wielu z tych, którzy zostali wywiezieni, spotkał, w następ-
nych wędrówkach przez Bliski Wschód na zachód Europy,
li w bardziej do pozazdrosczenia, niż tych, którzy pozostali,
lub zostali uwolnieni. Ale tego już żadna ludzka wyobraźnia
Z miasta i powiatu (o nowych granicach) wywieziono głównie
chłopów i b. właścicieli ziemskich. Na 7600 osób, przeszło 5000
1'nlaków. W ogólnej zaś liczbie deportowano z miasta: 718
urzędników, 437 robotników, 167 rzemieślników, 110
Inżynierów, 65 lekarzy i aptekarzy, 54 sanitariuszy, 187
techników, 432 nauczycieli i profesorów, 71 studentów, 145
uczni gimnazjalnych, 450 b. wojskowych i emerytów, 337
policjantów, 132 kolejarzy, 24 właścicieli domów, 86 kupców, 10
dziennikarzy, 18 artystów, 31 zakonników i zakonnice, 11 księży
Md. itd. — Pierwszego dnia deportacji, 14 czerwca, aresztowano i
wywieziono 2208 osób.

121

nie była w stanie przewidzieć ani wykalkulować. Ślepy przy-
padek rządził naszymi losami jak krwawa gęś.

Hitler napadł na Sowiety w sposób, który przede wszy-
stkim nie przynosi zaszczytu osławionemu wywiadowi so-
wieckiemu. Można oczywiście podejrzewać Stalina o przeróż-
ne tajne zamiary i przewidywania, nie znane nam wówczas,
ale w żadnym razie nie można z nimi pogodzić tego komplet-
nego zaskoczenia, tych niezliczonych ofiar w ludziach, sprzę-
cie, materiale, w dokumentach, pozostawionych na pastwę
wroga, archiwachO), porzucenia tysięcy rodzin oficerskich,
niewykrycia spisków wojska litewskiego, którego partyzantka
zadała armii czerwonej niemały cios w plecy. Gdy cały ten
ustrój i nastrój zmieciony został jak domek z kart, dopiero się
ludzie przekonali, iż diabeł sowiecki nie jest tak straszny, jak

żeśmy go sami malowali. Pozycję, jaką utracił, rewindykował dopiero na nowo, zawdzięczając... terrorowi niemieckiemu. To już jednak historia późniejsza.

Ot, mówią u nas — gadano, gadano i wygadano. To prawda, że o wojnie gadano od kwietnia, ale była to na pozór czcza gadanina. Na tydzień przed 22 czerwca rozeszła się tylko pogłoska, że oficerowie sowieccy otrzymali wypłaconą sobie pensję za trzy miesiące z góry. Na tej pogłosce się skończyło na razie i żadne, najmniejsze zarządzenie obronne lub ewakuacyjne nie urozmaiciło dni, których apatyczna bezbarwność, których beznadziejna nuda wstrząsana była jedynie konwulsjami aresztów i deportacji.

* * *

Pojedynczy domek drewniany na przejeździe kolejowym w Porubanku posiadał jeszcze tabliczkę z napisem: „Aleja Żwirki i Wigury”. Było to chyba ostatnie przypomnienie dawnych czasów, tak bardzo wszystko wokoło uległo zmianie. Tereny otaczające lotnisko znacjonalizowane zostały bez uprzedzenia i wprost na niedoszłym zbożu budowano fabryki, warsztaty, płoty, przeprowadzano wąskotorówki. Stare lotnisko było już przestarzałe. Cały teren od stacji do szosy ludzkiej zagarnięty przez masy sprzętu i ludzi. Budowano obok naziemnego lotnisko podziemne.

Mieliśmy jeszcze mało dróg bitych w kraju, toteż po piaszczystych traktach wznosiły się tumany kurzu za niezwykle karawanami furmanek chłopskich. Dwieście, trzysta, pięćset furmanek jednego rzutu, z furazem i poszorem dla koni, z 122

tarciami dla ludzi na wiele dni, jechało z najdalszych nieraz gmin, pędzone nieubłaganym nakazem pańszczyźnianego symmu. — Wieleż to było kiedyś utyskiwań i sarkań na niesprawiedliwy szarwark! Dziś nikt nie śmiał podnieść głosu. Porzucali gospodarkę, rolę, sianokosy, wlekli się w spiekocie, iluha za duha, bezmyślnie, tępo, bezwolnie opuściwszy bary w piasek dróg.

— Kudy heta sobralisia, ludzi?

— A czort ich wiedaje, kudy-to nas honiat!

A gnano ich na roboty. — Na Porubanku pachniało okorowanym drzewem, świeżymi deskami, wapnem, kurzem cełtunym, zeszlą, pomiętą kopytami trawą. Pykały traktory. W powietrzu, jak koła w ziemi, grzęzły okrzyki i przekleństwa, ilrn, w dolinie, zasnuć dymami i kurzem, leżało miasto...

Nłonce, które pod naszą szerokością geograficzną mija w r/rwcu zachód i kłoni się ku północy, wydawało się za tą żółto-matowe, jak wielka latarnia gazowa. Przeszło ty-dwieście furmanek stało obozem na łąkach okolicznych.

Nlfccj. tam koło hangarów, tkwiły rzędy samolotów bojowych.

Wysokie gmachy koszar pstrzyły się suszoną bielizną, so-wlrcką tandetą łąchów i kiecek babskich. Hitler o tej porze ulillc/.ał zapewne godzinę po godzinie. Ausgerechnet była so-bolu dnia 21 czerwca.

•Jak zawsze pod wieczór, przychodzi skądciś lekka świe-

hmC, by ochłodzić uznojone pracą ciało. Pomędzy sztablami tli/rwa i szlichtami desek, cementowych rur nieznanego I u /cznaczenia, rozciągnęły się na trawie żony komandirów sowieckich i biegały ich dzieci.

— Sierioża! — wołała matka do chłopczyka w za dużych il/lrelnnych buciorach z cholewkami. — Nie chodzi tam! — Air Slerioża chciał prętem zamieszać wodę w głębi glinianki. — Sierioża! tam opasno! tam niebezpiecznie! — Ale niebezpieczeństwo grożące małemu Sierioży dnia 21 czerwca nie IlyloJeszcze, zaprawdę, duże...

— Isz, sowietki — mlasnął językiem chłop, idący koło wozu i patrzył z ukosa na te beztrosko rozgadane kobiety. Po t *v»> zwrócił się do mnie: — Kończym musi na dziś robota, .».*

Skończyli.

Gdyby żerdzią jakiegoś olbrzyma można było przeciągnąć i li i miejsca, za które w tej chwili zapadło słońce, tknęło by się 123

pewnie we wzgórze Kalwarii, albo może te, które przysyłają Trynopol, aż gdzieeee!... po drugiej stronie Wilna. Do ostatnich promieni wylażyły zeń tylko złote krzyże kościołów i cerkwi. Sierioża istotnie zwałił się do glinianki i utyłał cały w błocie. — „Ach ty, niegodiaaaj!” — dolatywało zza naszych pleców, gdyśmy, wóz za wozem, gospodarskim truchtem w sobotę wieczorem opuszczali lotnisko. — Pac, pac! — dobiegły jeszcze odgłosy zadawanych klapsów. Chłop przysiadł się na mój wóz i uśmiechał w zamyśleniu. On lubił dzieci.

Z obozowiska furmanek ciągnął równomierny chrzęst ludzi i koni, gwar głosów, rzenie. Zapalano ogniska. Z prawa, z pół i łąk jeszcze nie koszonych, krzyczały derkacze.

— Gdzie pan będziesz spał dzisiaj?

— At, zaryzykuję dziś u siebie — odpowiedziałem. Jechałiśmy w milczeniu.

— Moża Pan Bóg święty da jaka wojna — westchnął nie na temat chłop i jął spojierać w niebo, przywykłym odruchem rolnika, który chciałby przewidzieć co przyniesie jutro: deszcz, pogodę?

* * *

O świcie 22-go przeleciał nad wierzchołkami sosen „Focke-Wulf”, najszybszy podówczas samolot świata, z takim rykiem i szaleństwem, że psy poprzysiały ze strachu. Nikt nawet nie zdążył zauważyć znaków rozpoznawczych.

Lotnisko znajdowało się w odległości siedmiu kilometrów.

— O dziewiątej rano, wśród najspokojniejszego śniadania, przy ładnej pogodzie, gdy dzwoniła pobliska kapliczka, zleciały się liczne samoloty. Wigor ich skrętów, wspaniałe ataki pikujące i pierwsze odgłosy detonacji dochodzące z Porubanka, powyciągały ludzi z chałup.

— A dlatego i sowietci majon dobre samoloty... („jeropłany” już dawno się nie mówi w gwarze wileńskiej).

Wszyscy patrzyli na zapowiedziane zawczasu ćwiczenia lotnicze. Artyleria nie działała. — „Ależ to niemieckie „Dornie-

ry!" — zawołał nagle technik drogowy. — „A może to i prawdziwie wojna?” — odezwała się baba, poprawiając chustkę. Ludzie się uśmiechali nie odrywając zadartych głów od nieba. Niejaki jednak osad wewnętrznego pragnienia zaprószał serca.

— Pali się z prawa! — To umyślnie. — Ale ktoś inny przyniósł wiadomość, że to odryna Domoradzkiego. — Nagle
124

huk wstrząsnął powietrzem i czarny słup wzbił się nąd lotni-
aklcm, ą później, ponad czubami sosen układać się jął w po-
tc>,ny grzyb dymu. — To ćwiczenia... Tymczasem kościółek
niedaleki dzwonił i dzwonił, ale nikt nie szedł na mszę świętą.
Wtedy to właśnie po drodze, w tumanach kurzu, zbliżał
alc oszalały koń. Z daleka wyglądało początkowo, jakby się
liM-zyła jakaś czarna kula, chybotąc od rowu do rowu.
Iw.iilej dało się rozpoznać duhę, opadającą bokiem, rozwią-
zany supoń, rozwianą grzywę. Za koniem toczył się nie wóz, a
i Ilu) przodek wozu z dwoma kołami. Jedno z nich strzaska-
Koń przeleciał galopem, przestraszył się nagle grupy lu-
skoczył przez rów i pognął w pole, a na drodze pozostały
sy krwi. Spojrzeliśmy po sobie. Ale w tej chwili wszystkimi
;imi i na przełaj przez pola i lasy biec zaczęły wozy i ko-
I >ez wozów, i ludzie bez koni!

Niemcy nalecieli lotnisko, zastali tam w dole czerniejącą
.<; chłopskich taborów i bić w nie poczęli jak w bęben. Za-
i rzędami ustawione samoloty, maszyny, warsztaty,
nr) artylerii przeciwlotniczej, żadnych schronów. Robotni -
< lilopi, żony oficerów, dzieci, sami lotnicy i obsługa —
kstkco ogarnięte paniką, dezorganizacją, biegło gdzieś na
.. |>.

Tuk się zaczęło. Dla każdego oczywiście inaczej, zależnie
ml Irgo, z jakiego podwórka, z jakiego dachu, czy innego kąta
|Mih/,at na wielkie wypadki.

Zdenerwowanymi rękami dwóch bojców przeciągało przez
niakorosły sośniaczek drut telefonu polowego.

Nu czto, towarzyszezi, wojna?!

Nie znamem — odpowiedzieli patrząc spode łba.

I)o takiego stopnia, do takiej ostatniej chwili reżym so-
| kl przeistaczał ludzi w bezmyślne roboty. Ale już wąpli-
II nic było żadnych: wojna, wojna.

Widziało się wiele pogromów i odwrotów. Odwrót armii ro-
Klc| w roku 1915, odwrót armii polskiej w r. 1920 i po
u miesiącach pogrom tych samych bolszewików; pogrom
U polskiej w r. 1939, odwrót armii niemieckiej w latach
III 945. Ale tak kompletnego bezhołowia, bezładu i bez-
| lii. dezorganizacji i paniki, jaką wykazał aparat sowiecki
11)41. ani przedtem, ani później nie oglądaliśmy na na-
•#yt'li ziemiach!

125

Naloty na Wilno nie były zbyt intensywne. Zniszczono
dzielnicę koło Mostu Zielonego, zrzucono kilkadziesiąt bomb
wzdłuż ulicy Zawalnej, gdzie zginął b. prezydent miasta, mec.

Folejewski. Bomba spadła przed Bankiem Ziemskim. Dziwnie się plotły losy poszczególnych ludzi: w tym samym czasie miasteczko Mariampol w Suwalszczyźnie równane było ogniem i żelazem. Majorowa K., która pracowała w tamtejszym szpitalu miejskim, uszła z tego piekła bez żadnego szwanku do Wilna, gdzie miała matkę. Matka nigdy nie wychodziła z domu podczas bombardowań. Wyszła raz tylko, w poniedziałek dnia 23 czerwca, aby odwiedzić proboszcza kościoła św. Rafała. Na alarm zeszli do piwnic kościelnych. Bomba niemiecka spadła na kościół, przebiła dach, podłogę, wpadła do piwnicy, nie... wybuchła. Zabiła tylko na miejscu matkę. „Sztukasy” szły nisko, z wysokości pięćdziesięciu metrów, precyzyjnie, spokojnie trafiały w sam środek nasypu kolejowego, tak że jedne szyny leciały w prawo, drugie w lewo. Co trzysta metrów bomba i szyny: w prawo — w lewo, w prawo — w lewo. Zastawa sowiecka na przejeździe kolejowym związała w las, zostawiając przeciwlotniczy karabin maszynowy. Synek dróżnika pał krowę na skarpie. Widziałem go jak się zapatrzył w górę, z palcem prawej ręki w nosie, lewą z długim prętem leszczynowym opuścił i zastygł z podziwu. Zabił go odłamek, który trafił w brzuch. Męczył się kilka godzin. Krowa się tylko przestraszyła. („Pewnie co mleka przestanie dawać” kiwały głowami sąsiadki.)

Zdaje się, że w ogólnej ucieczce tylko NKGB zachował postawę, czuwając, by możliwie mała liczba skazańców uszła przewidzianej kary. — Cała reszta rozpadała się w oczach. Ludzie partyjni uciekali piechotą, z teczką w rękę, przez rojsty, na przelaj! Po rowach leżała amunicja, zepsute czołgi, połamane wozy, rozdęte na upale trupy koni. Zbuntowany oddział żołnierzy litewskich zdążył jeszcze zaatakować bolszewików w koszarach za Wilią i koło mostu tzw. „strategicznego”. I to już był prawie koniec. Kancelarie, archiwa, maszyny do pisania z wkręconym papierem, rodziny oficerów — wszystko to pozostało.

Niedziela, poniedziałek, wtorek. Dnie 22, 23 i 24 czerwca 1941 roku... Co tu ukrywać! były to trzy dni i tylko te trzy dni, najbardziej radosne w latach pomiędzy jesienią roku 1939 i — zapewne latami, które jeszcze nadejdą po roku

126
1947... Trzy dni i ani jeden dłużej. Później przyszli Niemcy i zaczęła się nowa, inna martyrologia. Ale w ciągu tych trzech dni ludzie nie żyli przyszłością, troską, dociekaniem, odgadywaniem co będzie. Żyli tym co jest: waleniem się ustroju sowieckiego. Nikt nie chciał politykować, każdy chciał się tylko cieszyć.

... Trzymotorowy bombowiec sowiecki, strącony przez pościgowce niemieckie, runął o sto kroków z piekielnym hałmem, łamiąc dziesięć świerków i dwie masztowe sosny, roztrzaskał się w drobny mak dziesięciu tysięcy pociętych, splątanych, połamanych części, drutów, sztabek, kawałków skóry, szmat, odłamków.

Dwie baby goniły psa, rzucając weń pałkami: „Rzuć to!

raić, paskudny! rzuć!"

Wielki, rudy kundel podwinął ogon, rzucił wreszcie rzecz
11 zymaną w zębach i uciekł do chaty.

— Co on tam ukradł?

Kobiety łapiąc dech i przytrzymując klapiące piersi, przebiegły, nie odpowiadając. To coś było kawałkiem nogi ludzkiej, drobną stopą, urwaną u samej kostki sowieckiej lotniczek. To było wszystko, co pozostało z całej obsługi bombowca. Huby po chrześcijańsku pochowały ostatnią w okolicy stopę mi)wieckiego reżymu. Z zachodu, w kurzu i stali zbliżały się i /ołgi generała von Boćka.

f Wilno 1947 nr 31

127

EGZEKUCJA

Zdarzyło się to pewnego wieczoru przy ulicy Jakuba Jasińskiego, przy której mieszkał na parterze ten znany poeta, literat, aktor i działacz białoruski. Znany nie tylko w kołach ruchu białoruskiego, ale mniej lub więcej w całej Polsce. Rozgłos wokół jego osoby powstał w latach dwudziestych, w okolicznościach charakterystycznych, bo obowiązujących do dnia dzisiejszego. Albowiem przejął się on wówczas mirażem „Białoruskiej” republiki bolszewickiej w Mińsku, tak jak dzisiaj przejmują się niektórzy w dalszym ciągu fałszem swobód narodowych w zasięgu sowieckiej władzy. Zdawało mu się, że skoro tam są teatry, uczelnie, akademie, ba, nawet urzędowy język białoruski, a tu w kraju nie ma tego, więc tam powinien iść, skoro się uważa za patriotę swego narodu. Poszedł. Po dwóch tygodniach został aresztowany i zesłany na Wyspy Solowieckie. Po siedmiu latach... dokładnie po siedmiu latach, ujęła się za nim Rzeczpospolita Polska i wymieniła go w zamian za innego Białorusina, Taraszkiewicza, komunistę. Po powrocie swym napisał książkę pt. Siedem lat w szponach GPU. Książka przetłumaczona została na wiele języków, w tej liczbie na tak egzotyczne dla Wilna, jak hiszpański i portugalski; wydawano ją nawet w Brazylii. Olechnowicz stał się sławny. — Lat swych odsiedzianych i przemęczonych w Sowietach nie zmarnował. Nauczył się od bolszewików władać najpotężniejszą z ich broni: fanatyzmem nienawiści. On strasznie ich nienawidził.

Gdy w roku 1939 bolszewicy wkraczali do Wilna, uciekał na Litwę. Było to dnia, w którym władze litewskie nie chciały

128

r

puszczać ludności cywilnej, a tylko oddziały wojskowe. Schował się tedy w ciężarówce wojskowej, obrywając rondo swego kapelusza, iżby z daleka wyglądał jak hełm. W ten sposób uratował się po raz drugi. — Po raz trzeci, gdy w Kownie okazał się bez dokumentów i zapomogi, Karol Zbyszewski i ja poświadczylimy jego personalia. Olechnowicz nie odwdzieczył ale stronie polskiej tak, jakby może powinien i jakkolwiek te okoliczności nie mają bezpośredniego związku ze strzałami przy ulicy Jakuba Jasińskiego, niepodobna ich pominąć,

gdyż cała sprawa nie będzie zrozumiała bez tła, na jakim się rozgrywała.

Ruch białoruski w okresie okupacji niemieckiej przyjął postawę specyficzną i względnie wyraźną. Nie sięgając głębiej do genezy germanofilstwa jednego z odłamów białoruskiej myśli niepodległościowej już na wiele lat przed wojną, streszczę jedynie ówczesną sytuację. Podczas wojny powstała w Hcrlinie tzw. grupa „Ranicy”, od tytułu pisma, które było ich głównym organem. Skupiła wokół siebie wszystkich prawie iintysowieckich działaczy białoruskich. Ich myślą przewodnią I tyła spekulacja na konflikt niemiecko-sowiecki, którego IMotnie się doczekali. Musieli brnąć dalej. Brnąć w okoliczno- fctlach dla siebie niezwykle przykrych, jak przykra musiała liyć dla każdego współpraca z hitleryzmem, który nie godził wic z jakimkolwiek liberalnym ujęciem zagadnień ideologicz- nych- Do takich zaś „sojuszników”, bez wpływów i pieniędzy, Itiklmi byli emigranci białoruscy, stosował po prostu miarę, liiaktykowaną wobec agentów. To znaczy Berlin im rozkazy- wał, kazał robić i pisać to, co się w gruncie rzeczy podobało urzędnikom Ostministerium. Białorusini poszli na taką robo- le

— Dokąd wy właściwie chcecie dojść? — pytałem jednego / czołowych, młodych i inteligentnych przedstawicieli tego kierunku.

Odpowiedź wypadła podobnie, jak innych tego rodzaju „nojuszników” Trzeciej Rzeszy z okresu wojny. Piszę słowo „nojuszników” dlatego w cudzysłowie, że prawdziwych sojusz- ników Hitler nie miał. Ci, którzy z nim szli, spekulowali na je- go zgubę, podobnie jak ci, którzy szli przeciw. „My — odpo- wiedział Białorusin — liczymy oczywiście na to, że Hitler przegra. Ale liczymy jednocześnie, że przedtem rozwali bol- szewików. Nas nie stać na inną politykę. Nikt nam nic nie 129

daje. Dają nam tylko Niemcy. Musimy od nich wziąć jak naj- więcej, a tak dużo, że gdy zwyciężą „zachodnie demokracje” (wciąż ta ślepa wiara w nadludzką sprawiedliwość zachod- nych demokracji!) i bolszewicy będą leżeć, nie będzie wypada- ło odebrać nam tego, co już trzymamy w garści. A jeżeli na- wet odbiorą, to nie wszystko. Będzie przecież jakaś konferen- cja pokojowa, zresztą Ameryka... itd.”

Ale Hitler nie tylko nie dawał nic za darmo, ale kładł w dodatku własną politykę na obie łopatki. Nie tylko więc cena współpracy była bardzo wysoka, ale rezultat okazał się wręcz odwrotny od zamierzonego. Na Białorusi sowieckiej nie było już ruchu narodowo-białoruskiego. Bolszewicy go wyniszczy- li. Trzeba było rzecz zaczynać od podstaw. Tymczasem w od- powiedzi na nieliczne z początku partyzantki i niechęć ogólną do metod niemieckich, Niemcy odpowiedzieli niesłychanym w dziejach terrorem, paleniem, równaniem z ziemią, już nie ca- łych wsi, a całych gmin. Proniemieccy, że ich tak nazwiemy, działacze białoruscy znaleźli się między młotem i kowadłem. Zmuszeni do wykonywania zleceń niemieckich, w oczach

ludności stoczyli się nieomal do agentów Gestapo, nie zyskiwali, a tracili grunt pod nogami.

Tak na przykład Jaremicz, b. poseł na Sejm Rzeczypospolitej, działacz białoruski z dawnej grupy „Sielanskoj Niwy”, wysłany został na wysokie stanowisko aż do Borysowa.

Uciekł stamtąd pieszo... Ukrywał się przed Gestapo i gdy opowiadał mi co się dzieje w tych stronach, łapał się za głowę!

Bardziej karna grupa postanowiła jednak „przetrzymać politycznie”, wciąż wypatrując klęski sowieckiej z jednej strony, zwycięstwa aliantów z drugiej. Zresztą, objaw nagminnej wówczas choroby w tej części Europy Wschodniej, po której miałem zaszczyt się błąkać...

* * *

W Wilnie zaczął wychodzić odpowiednik berlińskiej Rani-cy, zdaje się pod tytułem BiałoruskiHotos. Tego to czasopisma redaktorem został Franciszek Olechnowicz. — „Boże! — skarżył się — czego oni ode mnie chcą, ja nigdy nie byłem publicystą w czystym tego słowa znaczeniu. Ja jestem literatem...” — Był już stary. Rozpalał się tylko, gdy pisał o bolszewikach, poza tym obchodził go teatr. Był niewątpliwym pa-

130
Iriotą, kochał Białoruś naprawdę, starą, uczciwą miłością romantyczną, którą wysłał z wieku XIX. Żona jego była Polką. Olechnowicz się bał. Lata więzienia, katorgi, śledztwa, wyłaziły teraz w wyrazie jego oczu zupełnie widocznie. Za jakiego głupi błąd korektorski Niemcy go aresztowali i przetrzymali kilka dni w Gestapo. Coraz chętniej pił produkowany wówczas wszędzie samogon.

Pod koniec roku 1943 wypadła właśnie dzień jego uro-
bil. In. Kończył lat sześćdziesiąt. Dzieci nie miał. Miał fokstera niezwykle hałaśliwego, którego strasznie lubił.

Na dwa wieczory przed zapowiedzianą uroczystością urodzinową ktoś zastukał przed ósmą wieczór do drzwi jego mieszkania, które wychodziły na parterową sień domu, nie oświetloną. Uliczka w tym miejscu była wąska, przyćmiona Mi/roślami klonami. Wieczór bezksiężycowy. Jesień. Drzwi zamknięte na zasuwę i klucz. — Piesek zaszczekał. — „Kto Inni?” — zapytała żona Olechnowicza. Odpowiedział głos mężczyzny, spokojny, czystą białoruszczyzną wschodnią: że przyje-rłuił z Mińska w ważnej sprawie do p. Olechnowicza. Wszedł dorodny mężczyzna, młody, grzeczny i uśmiechnięty. Bardzo przeprosił za spóźnioną porę. Wymienił nazwiska osób, od których ma polecenie z Mińska. Powiedział, że tylko na chwil-Olechnowicz wyskoczył do stołowego z małego pokoiku, który mu służył za gabinet. Zacierając po swojemu ręce, pro-MI do siebie. Grzeczny przybysz przeszedł sprężystym kro-klrm, uśmiechając się wciąż i chciał nawet pogłaskać pieska. Trgo małego foksteriera. Ale ów zaczął się rzucać, szcze-kać, wskoczył na krzesło, stamtąd na stół i znów na podłogę. Jazyol (ego zagłuszał rozmowę. Olechnowiczowa poczęła go łamv, by uspokoić; zanim uchwyciła na ręce, panowie przeszli

ju/ do drugiego pokoju. — „Pupsik (tak się nazywał), uspokój
nie zaraz!” Zdażyła go jeszcze pogłodzić dwa razy...

... Dwa strzały, jeden za drugim, padły w tej chwili w
|>i/.y ległym pokoju. Po nich nastąpiła cisza, która trwała se-
kundę, a z pokoiku wyszedł ten sam człowiek i trzymał pisto-
|fl automatyczny w rękę. Przemierzył znowu stołowy, skiero-
wul lufę do kobiety, gdy uczyniła ruch, jakby się chciała nań
i/urłć. Coś syknął. Wycofał się następnie tyłem, namacał za-
miwe. spokojnie, zimno, otworzył bez trudu. NKWD miał naj-
dokładniejszy rozkład mieszkania i każdy w nim szczegół.

131

Wszystko było przewidziane, skalkulowane, obliczone. Godzi-
na ósma, to godzina policyjna wówczas, ciemność bezksięży-
cowa. Ciasna uliczka, klony, wystraszone, zdziczałe miasto.
Trzasnął drzwiami i — wszelki ślad po nim zginął.

Żona wpadła do pokoju obok. Olechnowicz stał jeszcze.
Stał przed biurkiem i krew ściekała mu z twarzy. Lewą rękę
trzymał przy piersi, po czym próbował odpiąć kołnierzyk, nie
mógł, oderwał ją i wskazał coś na stole, zachwiał się, padł na
fotel i skonał natychmiast.

Na stole nie było niczego, coby zwracało uwagę. Stało tyl-
ko blaszane stare Olechnowicza pudełko z nadpisem: „Polski
Monopol Tytoniowy”, z wizerunkiem oficera marynarki na tle
torpedowca. Pudełko było otwarte, w nim trochę samosiejne-
go, białoruskiego tytoniu i bibułka, w którą zaczął skręcać
papierosa, a którego już nigdy nie wypalił.

Lwów i Wilno 1947 nr 32

132

U POSIADACZA DWUNASTU FAJEREK

Ejszyszki położone na odwiecznym ongiś szlaku, pod-
upadłe później, pozostały typowo naszym, „tutejszym” mia-
steczkiem, tzw. przed wojną „żydowskim” miasteczkiem. Bru-
kowane były kocimi łbami, wykoślawionymi jak bardzo stare
obcasy. Rynek pusty w dzień nie-targowe; sklepy, w których
wiszą sznury, łańcuchy, babskie chusty, w oknach stoją za-
kurzone talerze z fajansu, a w drzwiach beczka smaru do kół,
czasem pospołu z workami mąki i zardzewiałym pługiem.

Cztery restauracyjki z przygodnym zajazdem. Oto cały naro-
dowy majątek żydowski, wywierający z tego miasteczka swój
ongis tzw. zgubny wpływ gospodarczy na daleki, płaski kraj
zamieszkały przez chrześcijan.

Z chwilą wkroczenia bolszewików w r. 1940 wiele sklepów
zostało zamkniętych. Kilka przeistoczyło się w ledwo vegetu-
|uce handelki. Otworzono kooperatywę, w której nowym zwy-
rzajem kupować można było tylko ograniczoną ilość towaru,
u zazwyczaj nie tego, którego by się pragnęło, przy tym w
uposób zawiły, biurokratyczny, na podstawie zaświadczeń z
jjininy, okazywania paszportów i innych szykan tego rodzaju.
— Kab ich chalera! Żydouki prohlatyje! — przeklina
chłop.

Istotnie, głównie Żydówki miejscowe obsługują koopera-
tywę, jak przed kilku jeszcze miesiącami obsługiwały prywat-

ne sklepy swych ojców czy mężów. Nie są już jednak grzeczne, Jak bywało, i zabiegające o klientów. Przeciwnie, bezczelnie roztargnione, niedbale traktujące tych, którzy z klientów przeistoczyli się właściwie w — petentów.

133

Restauracyjki czynne są jeszcze, ale się już głośno mówi o otwarciu stołówki ludowej. Z tego to powodu obywatel Szłoma Kowarski ma wielkie zmartwienie.

Trudno określić na oko, ile lat liczy sobie ten człowiek.

Skronie przyprószone mocno siwizną, twarz szeroka, tłusta i pomarszczona zarazem. Nos jak burak wydobyty z ziemi, a więc koloru czerwono-brunatnego. Oczy małe, ponure. Gdy stoi pod piecem, grzejąc plecy, na pierwszy plan wysuwa się jego brzuch. Marynarka rozpięta, na wytłuszczonej kamizelce leży tombakowa dewizka. Stoi i patrzy w nieznaną dal, jaka się przed nim rozwiera, ponad puste o tej porze stoliki, poprzez szare okienka w szary dzień, który się wlecze po ulicy.

Jakaś bardzo stara i zapewne już bardzo dawno wyszana przez pająka mucha wisi w pajęczynie okna, ale Kowarski na pewno jej nie widzi. Nie przywykł spostrzegać rzeczy nieważnych, nieistotnych. Rzeczą istotną jest stan interesów i możliwości na przyszłość, a jakże tu dziś i dla kogo rozwiera się przyszłość? Ale jego twarz, kamienna i nieubłagana zapewne dla niewypłacalnych kredytorów, nie wyraża na pozór nic z tego, co mówi bólem przepojony głos jego żony, dochodzący zza przepierzenia:

— Uś, uś, uś... och...

— Co pani jest? — pytam starej Żydówki.

— Ja rnam słabe serce.

Kowarski ani drgnie. Patrzy przed siebie, wprost poprzez pajęczynę, muchę i szybę okienną, w wolną przestrzeń nieba ponad chlewem z drugiej strony ulicy.

Kowarski ma dwie córki. Starsza, Sonia, jest ładna, czar- i na, chodzi w wysokich bucikach, modnych teraz, i kręci kumprem. Młodsza, Gałka, brzydka, podobna do ojca z twarzy, brzucha i nóg, jest członkiem miejscowego „Komsomołu”. W pokoiku, gdzie spałem, znajduję w szufladzie jej zeszyty szkolne z polskiej, przedwojennej szkoły. Są czyściutkie, a w jednym czytam staranne wypracowanie na dzień 3 maja.

— Co pan czyta!... — wrywa mi nagle zeszyt z ręki.

— Bardzo dobrze napisane — odpowiadam.

— Dobrze?... — mówi z niedowierzaniem, ale czerwienieje jednocześnie z zadowolenia. — To niech pan zobaczy i te.

Pokazuje mi inne wypracowanie na temat króla Jana Sobieskiego. Patrzy we mnie jak w tęczę, gdy chwale ten, naiwnie-programowo-szkolny panegiryk na cześć króla.

134

— A teraz Gałka jest pionierka czy komsomołka? — pytam.

— Komsomołka — odpowiada z dumą.

— Gałka!!... — wrzeszczy ojciec w tej chwili z głębi restauracji. — Kum a her!

I Gałka leci do sklepu, pozostawiając w moim ręku wypracowanie o królu Janie. Biegnie za ladę, aby sprzedać chłopu żądane przezeń obwarzanki i pięć deko landrynków dla dzieci. Stamtąd dochodzi jej młody głosik, załamujący się w zajadłym skrzeczeniu, gdy targuje się o kopiejki, targuje z namiętnością starej żydowskiej przekupki.

— Co gada, co gada takie rzeczy! — krzyczy do chłopca — te landrynki to jeszcze polskie landrynki!

Chłop coś odmrucuje, czego nie słychać. I znów wysoki Hkrzekliwy głosik Gałki:

— Nie sowieckie, nie! To jeszcze polskie landrynki... Co mnie będzie mówić! Sowieckie ja za pół ceny mogą oddać. A I◇ nastojaszczce landrynki, nie zawracać mnie głowa!

„Uś, uś, uś” — lamentuje stara z cicha. Kowarski milczy wciąż, tylko nogi szerzej rozstawił pod piecem. Sonia, elegancko opierzona, poszła na rynek, gdzie w jednym z pustych »klepów zapowiedziany jest odczyt pt. „Kontrola i nadzór nad użytkowaniem ziemi, lasów i wód w wolnej ojczyźnie Związku Sowieckiego”.

Źródłem troski małżeństwa Kowarskich jest płyta w kuchni. Rzecz zaś miała się jak następuje: interesy przed wojną rozwijały się znakomicie. Restauracyjka dawała coraz większe dochody, zwłaszcza odkąd nowa szosa pobiegła z Wilna przez Ej szyszki i Grodno do Warszawy. Zresztą u Kowarskiego była większa frekwencja niż u konkurentów. Prawda i to, t.r Kowarski pracował jak wół. Jeździł, skupywał za pół darmo, targował się o każde ćwierć grosza, kombinował, oszukiwał. Ale się dorabiał. Postanowił tedy inwestować i rozszerzać. Interes zbudował nową płytę. Najlepszy zdun przyjechał z Wilna i postawił dwanaście fajerek. A w sali jadalnej zbudowano trzy boksy z dykty imitujące „gabinety”.

Dwanaście fajerek! Takiej pojemności nie posiadała żadna kuchnia w Ejszyszkach.

Teraz, gdy jak to mówią — „zaszli bolszewicy”, miejscowe władze postanowiły najpierw uruchomić ludową stołówkę, a ilopiero z czasem przystąpić do likwidacji drobnoburżuazyj-
135

nych przedsiębiorstw prywatnych. Obejrzano wszystkie restauracje i oczywiście Kowarskiego okazała się najobszerniejsza, a przede wszystkim jego kuchnia najbardziej odpowiadająca wymogom dużej stołówki. Komisja ustaliła to w protokole i nad Szłomą Kowarskim zawisło widmo nacjonalizacji przedsiębiorstwa, oczywiście łącznie z jego własnym domem, który kupił w roku 1928. Tyle lat pracy, tyle pracy... a teraz wszystko to pójdzie na „radość nowego życia”. Trzeba będzie wiązać toboły i szukać... Czego?! czego szukać, czego! — Naturalnie dobrze jest, że młodsza Gałka jest komsomołką, a starsza Sonia nie opuszcza żadnego zebrania politycznego, ani wiecu, ale co to pomoże, co pomoże...

Pewnego dnia rozmawiam z Hackielem Goldmanem, konkurentem z rynku, ryzykując wręcz antysowiecką propagandę i mówię:

— Pomyśl pan, panie Hackiel, tak na zdrowy kupiecki rozum, czy to jednak jest sprawiedliwie, żeby człowiek pracował całe życie, a tu przychodzi taka władza, która mu odbiera za jednym zamachem wszystko.

— Komu? — pyta Hackiel, wydrapując paznokciem brud z kieliszka.

— No, a chociażby staremu Kowarskiemu.

Ale Hackiel nie da się zwieść na kontrrewolucyjne bezdroża.

— Czy to władza winna? — odpowiada. — On sam sobie winien. Po co jemu było stawiać w kuchni dwanaście fajerek?...

I nawet stara Kowarska, chora na serce, nie pozwoli sobie wyciągnąć złorzeczącej ręki przeciwko portretowi Stalina, który wisi nad podartym bilardem, od lat już służącym za miejsce „do przespania” dla pijanych gości w dzień targowy. Ona tylko ręką gładzi wyświechtane drzwiczki separatek, kiwa się jak rabin w Raduniu i powtarza ciągle: „Uś, uś, i to w pozaprzeszłym roku dopiero mi zbudowali te ładne gabinety, a teraz wszystko zabiorą, wszystko...”

— Jutro będzie targ? — mówię, żeby rozproszyć ponure myśli.

— Co z tego targu! co z tego targu... uś, uś...

* * *

Od rana już stukają po bruku koła. Trzęsą się nad nimi w furmankach jadące baby, jagnięta, worki, świnię, owczyńny.

136

Idą koło koni chłopci w kozuchach, krowy, uwiązane za rogi. Jedzie sprzęt wszelaki i wyroby wiejskie.

My, którzy od kilku dni mieszkamy w zajeździe u Kowarskich, oczekujemy przyjazdu pośrednika, aby nasz towar przetrzasnął przemytem na stronę „białoruską”. Rano golimy się, myjemy, czyszcimy cholewy, jak na wielkie święto. Szłoma nie interesuje się nami. Jakby nas nie widział wcale. Po co? Ale stara i córki są grzeczne, jak za „dobrych polskich czasów”, dla gości tzw. lepszych.

Po śniadaniu towarzysz mój poszedł obejrzeć sobie rynek, gdy wpada zadyszana Sonia:

— Jakaś milicja przyszła!... — mówi szeptem, podciągając opadającą pończochę.

Biorę klucz od ustępu obywateli Kowarskich, którzy wydzielili go sobie na wielkim, wspólnym podwórzu, wychodzę tylnymi drzwiami i wciskam się pomiędzy śmietniki, kurnik i wozownię, zamykam drzwiczki na haczyk i czekam, aż Sonia przyjdzie mnie zawiadomić, czy wyzwolić. Normalne zmartwienie życia sowieckiego. Po dziesięciu minutach słyszę jej obcasy wymijające na podwórzu kupy gnoju, stuka do mnie i śmieje się głośno:

— Niech pan wychodzi! Oni tylko chcieli napić się „synalka”.

Ot i znów mała radość życia sowieckiego. Znów cieszę się / wolności. Odczepiam haczyk, znów śmietniki, kurnik, wo-

zownia. Przede mną po wielkim dziedzińcu śmigają zgrabne łydki Soni, a dalej parkan, domy, dżdżyste niebo i głucho turkocze jarmarczny dzień w miasteczku, korzystając z ostatnich już tygodni wolnego handlu.

i Wilno 1947 nr 36

137

JESZCZE JEDNO SŁOWO HONORU

W chwili, gdy świat się ekscytuje już-już mającym nastąpić konfliktem anglosasko-sowieckim, druga wojna światowa, która po Jałcie i Poczdamie przybrała tak niefortunny obrót dla tych, którzy „wybrali wolność”, nie wygasła jeszcze zupełnie w jej uprzednim układzie sił. Panowie, którzy w Teheranie oświadczyli światu, że „są wrogami terroru i nietolerancji”, trzymają ze sobą nadal. Stare banały w prasie powtarzają się nadal. Metody stanowiące coś pośredniego między Majdan-kiem — Buchenwaldem — Oświęcimiem a Kołymą — Kazachstanem — Katyniem, trwają nadal.

Być może, historia ujawni kiedyś te bezbrzeżne tragedie, które się rozegrały z czetnikami gen. Michajłowicza, Kroatami, Albańczykami i sowieckimi niewowzraszczeńcami w okupacyjnych strefach amerykańskiej i angielskiej. Swojego czasu zabroniono o nich pisać. Ale wypadki, które w maju br. miały miejsce w Rimini, Pizie i Bolonii nie przeszły już bez echa. Nie mogły przejść, chociażby dlatego, że zabito tam zbyt sporą ilość żołnierzy angielskich... Sprawa poruszona została w parlamencie brytyjskim, ogłoszona w formie protestu podpisanego przez duchowieństwo katolickie i protestanckie w Stanach, enuncjacji Żydowskiej Organizacji Pomocy Imigrantom, wreszcie przez uchwałę amerykańskich związków zawodowych. Wiele uwagi poświęca jej prasa arabska Bliskiego Wschodu. Sprawa stała się głośna, tylko — dziwnym zbiegiem okoliczności — nie przedostała się na szpalty ani jednego czasopisma polskiego. Ani w kraju oczywiście, ani na emigracji. My ciągle jesteśmy plus catholique...

138

Jakbyśmy tę wojnę rzeczywiście wygrali, należeli do możliwych zwycięzców i z antypatią się odwracali od biednych ludzi, którzy dalej prowadzą walkę na śmierć i życie o — własną wolność. Tymczasem przebieg krwawych wypadków sprzed I r/ech miesięcy we Włoszech jakże fatalnie odświeża nasza pamięć!

Niektórzy z poległych

Niektórych z nich znałem. Było to w środku 1945 roku, w bezrzęsy upał, niemal wściekle południe, na rogu Corso Umberto i via delia Croce w Rzymie, gdy trzech Czerkiesów poze-rało przy straganie już trochę przejrzałe kawony, a sok ściekał im po brodzie, złachmanionej kurtce, po butach i parował na bruku. Byli obdarci, spragnieni, spaleni, ale dobrej jeszcze myśli. Jeszcze wszyscy wierzyli wówczas w demokrację. „Budiet wojna — mówili. — Inacze niewozmożno, niemożliwe przecież pogodzić się demokratycznej Anglii ze Stalinem!” - Uhum — odpowiedziałem tylko. — Oni szukali jakiejś

ullanckiej kwatery wojskowej.

— Niech pan tylko będzie z nimi ostrożny — powiedział jeden z oficerów, który też jeden z pierwszych pojechał później do „marszałka” Żymierskiego. Ale wtedy był jeszcze wielki „Poland” na ramieniu.

— Z nimi? Ostrożny?... — Przez grzeczność nie powiedziałem tylko, że „mogę być mniej ostrożny niż z panem”, bo przeszłość ich mnie nic nie obchodzi, natomiast za przyszłość polityczną ludzi, którzy spalili wszystkie mosty za Stalinem, wleceć można ręczyć, niż za tych, którzy się już zaczynają układać za kładką. — W rezultacie wzruszyłem ramionami. Tymczasem Włochy zaczęły się roić od naiwniaków spływających z Niemiec. Głównie Kaukazczycy, Tatarzy, Turkmeni i spora ilość Rosjan-niewozwraszczeńców. Reguła była taka, że znaczna część tych wykolejonych dziś obywateli wr. In do „dwójki” angielskiej, amerykańskiej lub francuskiej, ofiarowując swe antysowieckie usługi, a te — wydawały ich w icie władz bolszewickich. Później rzecz się ta co nieco zmieniła. Każdy z tych „wywiadów” rozpoczął wielką politykę na własne ręce, prawą wydając, lewą przytrzymując, różnie o tym mówiono, przeważnie w równie wielkiej tajemnicy, którą muł każdy przechodzić na pamięć. Jednocześnie główną masę ludzi, piętnowanych sowieckim „grażdanstwem”, poczę-

139
to komasować w obozach, razem z ich żonami i dziećmi, z czego na ogół byli zadowoleni, gdyż ufności w „demokrację” nie mogły w nich przełamać nawet najoczywistsze fakty, tak jak nie przełamały w Polsce podczas wojny najbardziej jaszkrawe wypadki polityczne. Dostali ubrania, jeść i dach nad głową. A nad dachem, nad obozem, nad Włochami i całym światem było uroczyste przyrzeczenie wolności przekonań i swobód osobistych.

Coraz częściej zaczął ich jednak odwiedzać szef misji sowieckiej, generał-major Golikow.

Słowo honoru gentlemanów

Główne obozy znajdowały się w Bagnoli i w Pizie. Rozpoczęły działać różne komisje, badania itd. Przeważająca ilość muzułmanów wykrecała się jakoś, to obywatelstwem tureckim, to perskim, to afgańskim. Generał Golikow sprowadził sobie do pomocy zdolnego Armeńczyka, który władał kilkoma dialektami i tak na przykład rozpoznać mógł w lot, kto jest z Azerbejdżanu, a kto z Antiochii tureckiej, już po kilku słowach... Nagle, na jesieni roku 1946 rozeszła się trwoźna wieść, że wszystkich gdzieś wywożą! Naturalnie zawodowi optymiści zaczęli znów pocieszać, że przecież to niemożliwe, że Anglicy wiedzą, że to na pewną śmierć, więc że nigdy, że przecież przyrzekli...

A rzecz się miała jak następuje: dnia 14 sierpnia 1946 obóz w Bagnoli został zlikwidowany, ludziom zaś powiedziano, że się robi to dla ich własnego dobra i bezpieczeństwa... wszystkich komasowano w obozie w Rimini nad morzem Adriatyckim, w miejscowości położonej na północ od Ancony,

zresztą ładnej jak cała Italia. Znajdowała się w nim nieduża ilość własowców, większa b. jeńców sowieckich w Niemczech, którzy po „wyzwoleniu”, mimo iż nie występowali zbrojnie przeciwko bolszewikom, nie chcieli wracać do domu. Poza tym byli tam ludzie swojego czasu deportowani do Niemiec na roboty, albo tacy, którzy znaleźli się w Zachodniej Europie, uchodząc przed zwycięską armią czerwoną z własnego terenu. Mieli dość. Woleli iść do Niemiec, niż żyć znowu w Bolszewii. Przesłupstwo? Kto to powiedział? Gdzie? — Mnie się osobiście wydaje, że ludzie ci mieli rację. — Było między nimi dużo kobiet, dzieci, starców, młodzieży, inwalidów. Było 140

kilku artystów, literatów, profesorów, inteligentów w ogóle, robotników, chłopów.

W kilka dni później zjawił się major angielski, komendant obozu, Hills, który dał słowo honoru, iż nikt nie zostanie wbrew swej woli deportowany do Sowietów. Uwierzono, oczywiście, bardzo chętnie. Ucieszony zaufaniem jakie wzbudzał, major Hills wtajemniczył zainteresowanych, iż zachodzi możliwość udostępnienia im emigracji do Argentyny.

Po upływie pewnego czasu szef Hillsa, nie proszony zre-HZtą o to wcale, pułkownik Martin, potwierdził słowa majora. Uczba indywidualnych ucieczek zmniejszyła się prawie do wra. W kwietniu roku 1947 przedstawiciel misji brytyjskiej /łożył oficjalne oświadczenie w Watykanie, że nikt nie będzie wydany bolszewikom siłą. A w maju... tak jest, dnia 7 maja 1947 roku zawiadomiono internowanych, że pojedą na roboty do Szkocji. Pierwszy transport odejść ma niezwłocznie, jutro już, przewidzianych jest 197 osób według odczytanej listy. ... Kto czytał opowieść majora Józefa Czapskiego pt.

Wspomnienia starobielskie i inne sprawozdania z obozów Ko- *!clska i Ostaszkowa, ten w radości, jaka opanowała „wybranych”, w zazdrości pozostających za drutami, doszuka się ładu analogii. Jak też w dalszym ciągu:

Identyczne metody

Wybranych odseparowano. Nazajutrz odbyła się bardzo *t lwia rewizja. Odebrano przede wszystkim ubrania angielskie, które wydano im kiedyś i wpakowano ich w stare mundury niemieckie. Odebrano dalej wszelkie przedmioty ostre, wiftr. żyłki; wszystko metalowe: puszki konserw, kubki, ludności włoskiej rozpuszczona została pogłoska, że się transport ważnych „przestępców faszystowskich”. Zarządzono stan wyjątkowy. Mieszkańcy miasteczka <ttfil/.łrli w domu z zapartym tchem. W Rimini skoncentrowa- iuu Mllne oddziały wojska brytyjskiego, a także karabinierów ippiihllkańskich.

Kuno o świcie dnia 8 maja 1947 roku: dwa bataliony karabinierów wkroczyły na ulice wiodące do dworca. Dworzec ••lwiuwlony został oddziałem MP z bronią maszynową, gotową nlr/.alu. Do samochodu ciężarowego wpakowywano tylko piętnastu ludzi, w towarzystwie żandarmów. Niezależnie ' ir({() przodem jechał dżip z ciężkim karabinem maszyno-

wym, z tyłu zaś drugi taki sam dżip z takim samym karabinem maszynowym. Bokami motocykliści z bronią maszynową. Kawalkada ta, przypominająca zresztą zeznania tych co widzieli podobną na drodze Gniezdowo — Katyń, tym się różniła od tamtej, że jechała szpalerem wspomnianych już karabinierów. — Teraz już nie było mowy o żadnej Szkocji. Delikwentów szturchano i popychano, jak zwyczajnych „wrogów ludu” popycha się i szturcha w Sowietach. Na dworcu czekały bydłące wagony opasane drutem kolczastym, do złudzenia przypominające te, którymi dostawiano Żydów do Majdanka. Dlatego też złudzenia przysły.

Piętnaście osób wysadzono i samochód zawrócił po nową partię.

Rozpoczęła się pierwsza walka

Pierwszym był niejaki Aleksander Krystalewski. On to dał sygnał. Podniósł raptem duży kamień, cisnął nim w głowę najbliższego żandarma i próbował się przerwać. W tej chwili dwudziestotrzyletni Paweł Rodin wyrwał drugiemu żandarmowi pistolet automatyczny, nacisnął cyngiel, nie wystrzelił, więc porwawszy za lufę jał sobie kolbą torować drogę, waląc po hełmach i ramionach. Poskoczył mu na pomoc Iwanów Anatol. Ten błyskawicznym ruchem wyrwał również broń maszynową z ręki brytyjskiego żołnierza i otworzył ogień w Anglików, raniąc kilku. Ale żandarmi już się opanowali i wszyscy trzech zginęli na miejscu.

Jednakże szamotanie się i walka trwała dalej z pozostałymi na peronie. Tymczasem auto powróciło, przywożąc nowy transport. Major Hills był na tyle człowiekiem, iż zezwolił, aby drugiej partii towarzyszyły na dworzec rodziny deportowanych. Ci, zoczywszy co się dzieje, rzucili się na pomoc walczącym. Ojciec i syn, Włodzimierz i Mikołaj Bykodorowowie, usiłują się przebić. Zostali zastrzeleni. Widząc to, dr Kurzackja, muzułmanin, popełnił samobójstwo. Tymczasem kobiety i dzieci podniosły niesamowity lament. Staruszka, matka Iwana Pałatko, podpełzła na kolanach do dowódcy eskorty, błagając, żeby jej wolno było podzielić los syna. Lata, lata całe go nie widziała. Uciekła z Sowietów, szukała go w Niemczech, odnalazła w Italii dopiero. „Christos tiebia nagra...” — została kopnięta butem. Wreszcie udało się jakoś odseparo-

142

wać wrzeszczące kobiety. Major Hills chwalił się, że uratował życie tym kobietom, odsyłając je z powrotem do — Rimini. Około południa sprzątnięto trupy, rannych i pobitych wpakowano do wagonów, zamknięto i pociąg ruszył w kierunku Bolonii.

Ale teraz się dopiero zaczęło na dobre.

Regularna bitwa w Bolonii

Transport z Rimini zatrzymał się w Bolonii, w oczekiwaniu na inny, wiozący podobnych straceńców z obozu w Pizie. Jechał w nim niejaki Paweł Piotrowicz Iwanów, b. oficer armii Howieckiej, który znienawidził sobie bolszewizm, a niezwykle

upodobał hasła zachodnich demokracji. Wierzył w nie jak w Biblię. Był to człowiek poza tym prawy, zdolny, energiczny i odważny. Słynął z tych cech w obozie, wybrany tam na wewnętrznego komendanta, cieszył się niezwykłą popularnością. Kilkakrotnie była mowa o ucieczce. Iwanów stale się opierał. — Anglicy — twierdził — dali mi słowo honoru, że nie wydadzą bolszewikom, ja im wierzę. Pod jego wpływem karność zupełna panowała w Pizie i do żadnych wypadków nie doszło na dworcu. Do ostatniej chwili Iwanów nie wierzył, że może się stać coś podobnego... Do chwili, gdy w Bolonii zakończono transport z Rimini. Wtedy zrozumiał.

Z Pizy wieziono tylko stu ludzi. Kazał im tedy być w pogotowiu: gdy zaczną wydawać żywność! wtedy!

Wagony otwarto. Przeszło dwustu pięćdziesięciu bezbronnym ci mężczyznom rzuciło się na brytyjską eskortę. Iwanów dowodził jak w regularnej bitwie. Pierwszy wyrwał karabin maszynowy z rąk żandarma i dał hasło do boju. Ci, którym udało się, również rozbili eskortę, zalegli na szynach otwierając osłonowy. Reszta miała uciekać. Powstało jednak kłopotliwie wielu walczących głównie wręcz. Ze swej strony Anglicy otworzyli morderczy ogień. Według jednej wersji miało być czterdziestu oficerów i żołnierzy brytyjskich, oraz stu deportowanych. Według innych, liczba zabitych i rannych po stronie brytyjskiej dwudziestu, po stronie deportowanych sześćdziesięciu. Prawdopodobnie jest ona bardziej bliźka do prawdy, co w niczym nie umniejsza sensu krwawej tragedii.

Łżejsze rany i potłuczenia odnieśli prawie wszyscy deputowani. Zrzucano ich z powrotem do wagonów i powieziono do — Austrii. Z Austrii pojedą do Sowieców, gdzie ich powieszają.

W obozie w Rimini pozostali internowani wywiesili czarny sztandar. Zjawił się znowu pułkownik Martin i znowu dał słowo honoru, że nic podobnego się więcej już nie powtórzy.

Jeżeliby można było raz wreszcie zawierzyć temu słowu, to ostatnią chronologicznie bitwą drugiej wojny światowej na Zachodzie byłaby ta w Bolonii z dnia 8 maja 1947. Czy aby ostatnim aktem „kolaboracji” z największym tej wojny kolaborantem?

Lwów i Wilno 1947 nr 37

144

TU MÓWI LONDYN...

Ludzie podczas ostatniej wojny, zawdzięczając radiu, mogli wiedzieć o wiele więcej, precyzyjniej, dokładniej znać prawdę. Czy znali ją przeto lepiej niż w poprzedniej? Nic podobnego.

Weźmy za przykład lata 1941-1944. Stwierdziłem, iż przy naszym wykształceniu słuchając wówczas Berlina, Moskwy, Londynu i chociażby jednej stacji neutralnej, na przykład Szwajcarii lub Szwecji, można się było doskonale orientować nie tylko w sytuacji na frontach, ale i w sytuacji politycznej.

A przecież można było słuchać jeszcze z dwa dziesiątki innych stacji i pomijając rzeczy, o których i tak nikt nigdy nie wir zawczasu, z przecięcia i skonfrontowania wzajemnego b»r/.cciwnych sobie wersji, wysnuć obraz rzeczywistości. Kto tu robił? Prawie nikt.

Konfiskaty aparatów i głośzenie audycji nie miały wieli N/rtfo znaczenia. Można się do pewnego stopnia zasłaniać tym w „GG” (Generalnej Guberni), ale nie wolno temu, kto inlrs/.kał w Ostlandzie. U nas, to znaczy w Landzie położony m na Ost od Niemiec, panowały następujące stosunki radiowe: wszystkie odbiorniki posiadane przez Żydów podlegały I wwzględnj konfiskacie, a ich właściciele surowym represjom. Co do reszty mieszkańców, utrzymany był tylko zakaz lili kary śmierci włącznie) słuchania stacji zagranicznych. W *h>Niinku do Polaków nie było formalnego ogłoszenia, że mają imlilic aparaty, jedynie wydany został konfidencjonalny roz-Ktt/ do policji litewskiej, ażeby wszystkim Polakom aparaty te ftkonllskować. Właściciel mógł sobie reklamować w urzędzie 145

niemieckim. Reklamację rzucano do kosza i sprawa wyczerpana. Jeżeli jednak u Polaka znaleziono odbiornik, nie podlegał on żadnym automatycznym represjom, a jedynie konfiskacie. W praktyce przyczepiano właścicielowi sprawę słuchania stacji zakazanych. Ale najczęściej nie tylko sprawę, ale i aparat udawało się ratować za łapówkę. — Litwini nato-miast, Białorusini, Rosjanie, Tatarzy, Ukraińcy, Łotysze itd. mieli prawo posiadania aparatów zupełnie formalne. Że zaś ci pierwsi zwłaszcza, jako przyjezdni z Kowna na posady urzędnicze, mieszkali u Polaków, więc nie tylko gospodarze, ale i ich znajomi, słuchali radia do woli. Przede wszystkim Londynu po polsku.

Ja osobiście, mieszkając na wsi, ukrywałem aparat do roku 1944. Skonfiskowany wreszcie przez policję powiatową litewską, wykupiony został za... sporą porcję migdałów portugalskich, które otrzymałem w przesyłce.

I tak oto, idąc raz po łące do Wilna, spotykam znajomego i cieszę się z przygodnego towarzysza podróży. On mi mówi: No, co słyhać, niech pan powie?

Złożyło się, że cały dzień poprzedni spędziłem przy radiu.

O godzinie siódmej rano wysłuchałem komunikatu niemieckiego, o ósmej doskonałej audycji po niemiecku „Fur die Frauen in Deutschland”, o 8.15 — Londynu po polsku, o 8.30 „Ameryka woła Europę”. — Śniadanie, rąbanie drzewa. — O dziesiątej Moskwa. 10.30 Finlandia. Jedenasta — „Świt”. 12.15 „Polskie Radio”. 12.30 niemieckie „Trans-ozean”. O pierwszej złapałem antyhitlerowski „Das Rotę Wien” (spikerka miała prześlizgnięty głos). Przy obiedzie o drugiej słucham, jak zwykle, wielkiego komunikatu niemieckiego (Wehrmachtsbericht i najważniejsze wiadomości). O trzeciej Moskwa. — Poszedłem naprawiać płot. — O czwartej komunikat „Wolnych Niemiec z Moskwy”. O piątej „Royal Air Force ruft die deutsche Luftwaffe”. O 5.15 Londyn po polsku. O

szóstej Sztokholm. O 6.45 odczyt gen. Dittmara. O siódmej (wieczór) przegląd polityczny Beromunster, Szwajcaria. 7.30 antyhitlerowski „Soldatensender Siegfried”. Ósma — komunikat niemiecki. O dziewiątej „Ameryka woła Europę”, odczyt Tomasza Manna. O dziesiątej Londyn. O jedenastej na odległym o dwa kilometry torze pociąg naskoczył na minę.

Teraz idę i staram się jak najrzetelniej opowiedzieć swemu sąsiadowi, co się dzieje na świecie. Słucha mnie, co chwila

146
la nachyla się, zrywa trawę, ssie i wyrzuca, a mam wrażenie, że jakby czekał, kiedy wreszcie skończę swój nudny wykład, więc się skracam. Gdy umilkłem, on zaczął.

Boże, z czym ja lażem do tego gościa! Co były warte moje sprawozdania wobec sensacji, rewelacji, którymi mnie obsypał! Summa summarum stek niedorzecznych bzdur, z palca wyssanych wypadków, nigdy nie wypowiedzianych słów mężów stanu, milionowych strat, a w rezultacie: dobrze jest.

* * *

Praktycznie biorąc, można było w przeciągu godziny sprawdzić każdą z ważniejszych pogłosek kursujących po ludziach. A nigdy tyle nie sprawdzonych sensacji nie kursowało po świecie jak za okupacji niemieckiej!

Sprawa dziś jeszcze prosi się o głębsze studium z dziedziny, nazwijmy ją, psychologii politycznej. — Słuchano, oczywiście, głównie Londynu po polsku, przy czym na 5-6 osób obecnych, każdy zauważał w audycji inne szczegóły, które stanowiły w przeciągu następnej pół godziny przedmiot zażartej polemiki. Nie kwestionowana była tylko intonacja i tenor audycji. Nie kwestionowany nigdy jej usypiający optymizm.

Żadnego katechizmu, żadnej ewangelii nie wysłuchiowano z tną bezkrytycznym posłuszeństwem. Żaden Watykan świata nie potrafiłby zadać kłamu intencji rozpoczętej słowami: „Tu mówi Londyn. Dobry wieczór państwu”.

Gdy czasem grano „Jeszcze Polska nie zginęła”, ludzie wstawali bez komendy, stali w pozach teatralnych i na sześć osób czterem płynęły łzy. W jaki sposób można było tedy nie wierzyć, że Marszałek Stalin nie pragnie „silnej i niepodległej Polski”? Pomijam, nieliczne zresztą, audycje o nie skrywanej tendencji spopularyzowania „naszego wielkiego sąsiada wschodniego”. Ale weźmy przeciętną informacyjną audycję.

Intonację, z jaką mówiono: „Marszałek Timoszenko... Marszałek Koniew... — wojska rosyjskie w brawurowym ataku... w bohaterskiej obronie...” Czy była to propaganda prosowiewka? Na to pytanie odpowie najlepiej następująca formuła:

U<lyby, powiedzmy, ten sam słuchacz natrafił był przypadkiem na falę, na której z identyczną intonacją usłyszałby słowo wypowiedziane po polsku: „Kanclerz i Fuhrer powiedział...”

Uienadierzy niemieccy w brawurowym ataku...” — to nawet nłr dosłuchawszy co mianowicie powiedział Fuhrer i jaką wluśctwie miejscowość zdobyli grenadierzy, wiedziałby na

147

pewno, że ma do czynienia z niemiecką stacją gadzinową. —

Gdyby mi ktoś zarzucił w tej chwili: To jakże sobie pan wyobrażał inaczej! Przecież Sowiety były wówczas naszym sojusznikiem! — odpowiedziałbym: Ja sobie w tym artykule nic nie wyobrażam, ja tylko piszę, jaki to miało skutek praktyczny. Propagandę totalnej nienawiści do Niemców organizowali w kraju sami Niemcy. Starczyłoby jej na całe pokolenie. Tymczasem największy cios, który nam właśnie zadali w postaci popularyzacji bolszewików, wynikającej z reakcji na niemieckie metody — nie został odparowany. Wręcz przeciwnie, na biedny kraj zwały się potęgi, których zadaniem było tę popularyzację podtrzymać, utwierdzić ją. Londyn i Ameryka, rząd polski, podziemia polskie, radia polskie, propaganda szeptana, pisana, nadawana, krzyczana, wszystko to miało nas przekonać, że bolszewicy nie są tacy straszni... Pod takim ciężarem jakież kraj by temu przekonaniu nie uległ!

A jeszcze na marginesie: dziś, gdy się tyle słyszy o socjalizmie jako jedynej ważnej legitymacji antysowieckiego deraokratyzmu, interesujące się może wydać przypomnienie lat 1941, 42, 43, gdy pomiędzy Zatoką Fińską a Morzem Czarnym ludzie cieszyli się jak dzieci nie tylko z „rozwiązania Międzynarodówki”, ale bardziej jeszcze z „pogonów” generalskich, z orderów Suworowa i Kutuzowa, z cerkiewnych modleń... a hasło: „oni już nie ci co dawniej, oni wybieleli!” było absolutnie najpopularniejszym hasłem, łamiącym ostatnie kompleksy oporów.

Tymczasem ostateczne pozbawianie rozsądku politycznego rozłożono na dalsze programy radiowe.

A Niemcy swoje, a Niemcy swoje.

A my na złość Niemcom, a my na złość Niemcom.

Człowiek jest tylko dorosłym dzieckiem. Gdy go już raz rozbujano, trudno jest hamować jego fantazję. — Rozstrzelano 400 Polaków w Święcianach za zabicie kilku Niemców. Zrobiono z tego 4 tysiące i dodano: „A słyszeliście co Stalin powiedział?! Za każdego Polaka dziesięciu Niemców!!!” — Ależ żadna radiostacja o tym nie wspominała... — „Co z tego, ale on tak powiedział”.

* * *

Ach, kraje poza okupacją niemiecką! Kto was wyczarował w całej krasie waszej wolności! Któż do was nie tęsknił!

148

Któregoś dnia nad skopanym na ulicy śniegiem pobiegła wiadomość, że o 6.15 wieczorem nadaje po polsku Kair. „Na własne uszy słyszałem jak przemawiał dr Stanisław Kodź z Wilna”. Ha! — Nil, palmy odbite w wodzie i rząd wielbłądów, a za piramidą zachodzi czerwone słońce. Jak na okładce pudełka daktyłów w dzieciństwie.

Tu zapadał zmrok bezsłoneczny jakby wypełzał z rur kanalizacyjnych, po których kryli się Żydzi. Bito kogoś strasznie przed urzędem policyjnym, a z drugiej strony, w dziedzińcu, w kanurce obdrapanej z tapet, którą dozorca domu przeznaczył na tajną knajpę, siedzieliśmy w wyziewach mętnego samogonu i w dymie podłej samosiejki. Nie posłane łóż-

ko, zatłuszczone karty. Dyszało się z trudem. W niebie zadzwonił specyficznym altem samolot sowiecki. Oderwała się bomba, zagwizdała, zawyła zbliżając, spadła i wybuchła: lampka drgnęła i paliła się dalej. Życie było istotnie na melodię: ech!

I jeden z biesiadników cisnął kartami o stół, a dłonią klasnął się w czoło: „Ot, Kodź! Leży sobie w hamaku teraz nad Nilem, pomarańcze je! Ach, dlaczego ja nie dałem się wywieźć bolszewikom! Dlaczego mnie nie deportowali!” „Nie rzucaj pan kart! — wrzasnął syn stróża, pomniejszy dygnitarz lokalnego Resistance. — Jak u pana nie ma ani |rdnej pary, a u mnie ful! Płać pan do banku. — Przysunął do siebie bladą twarz Lenina na banknocie czerwono i zielony papierek Reichsmarki. — A z tym Kairem to nie wiadomo |rn/.cze czy prawda” — dodał pojednawczo, jakby na pocieszenie.

Istotnie, zdaje się, że dr Kodź nigdy z Kairu nie przemawiał. Ale prof. Strońskiego z Londynu słyszeli już wszyscy na pumięć. Chyba się nie mylę, że bywało to co środę. — Dwóch > urzędników Dyrekcji Kolejowej ustawiało się przy oknach, pilnując zapadającego mroku. Czasem za tymi oknami gięły nic sosny od śniegu, czasem wicher targał gołymi badylami bzu, czasem bywało ciepło i świeciło jeszcze słońce wzdłuż Acleżki, kładąc na nią od furtki podługowate cienie sztachet. Pr/.ecież to lata całe mijały! — Na stołku, z pochyloną głową li leśniczy, obok sąsiad — hreczkosiej, sklepikarz, czasem kłós z Wilna. Dziś żaden z biegunów globu nie wydaje się być Ink wzniosły w swej odległości, jak wówczas magiczne słowo
149

„Londyn” od tego drewnianego domku w podwileńskim sośniaku.

Ludzie słuchali. Szedł ku nim głos pewny siebie i spływał balsamem optymizmu. Obserwowałem tych ludzi jak twarze ich rozbrajały się ze zmarszczek, jak wygięta szablą krzywna ust prostowała się z wolna, nie czyszczone zęby nie gryzły już warg. — A front parł odwrotnie, na Wielkie Łuki, na Smoleńsk, na Kijów. — Pies zaszczekał i wszyscy rzucili się ku oknom. To tylko sanie przejechały. — I znów głos z Londynu. Wyczuwało się w nim szczerą troskę o dobro ojczyzny i patriotyzm ni mniej, ni więcej sztuczny, niż go wyrazić może talent oratorski. Patrząc w mimikę zasłuchanych twarzy, widziało się mimikę historii. To nie usta wygięte, to krzywe szable ktoś chowa do pochew, to nie zmarszczki się wyrównują, to cały naród się rozbraja na przyjęcie sowieckiego najeźdźcy. I wtedy zrozumiałem: nikt mu nie tylko granatem w twarz, ale nawet kłody nie rzuci pod nogi: „sojusznikowi naszych sojuszników”.

Raz... a ten raz był właśnie po Teheranie, grzeczny zazwyczaj kolejarz zachnął się na mnie czerwony ze złości: „Co pan mnie gadał wczoraj, że źle wiadomości! Słyszał pan teraz: radio polskie, radio polskie, proszę ja pana, mówi, że jest dobrze, a pan twierdzi, że źle?!” Gdyby mógł mnie uchwycić za

kołnier, toby na pewno nosem moim tykał w odbiornik, jak kota, który napaskudził.

Raz, po Katyniu, eks-buchalterka powiedziała mi szeptem: „A jak pan myśli?... „Świt" to chyba robota niemiecka?" Raz, po zerwaniu stosunków polsko-sowieckich, przyszedł tenże eks-leśniczy wspomniany wyżej, rozpromieniony na twarzy: „Wszystko się wyjaśniło, proszę pana! To Niemcy włączyli się na falę i nadali ten komunikat. Wiem to na pewno .

* * *

A jednak zdrowe odruchy organizmu, poddawanego tej sztucznej operacji, dawały o sobie znać.

Nie można do nich zaliczyć wszelako faktu znamiennego, a mianowicie wstępu do rozgłośni moskiewskiej. Bo chodziło w tym wypadku o co innego. Była to, niestety, instynktowna obawa przed rozczarowaniem. Pod skórą się wyczuwało, że ten znakomicie oklepany dwugłós: kobiety-mężczyzny, mówiących na fali moskiewskiej, rozwieje złudzenia, złudzenia 150

zarówno zmuszone gromadzone, zarówno narzucane gwałtem, Jak z drugiej strony wsysane z upragnieniem jak spalona ziemia wsysa krople wymarzonego deszczu, „podnoszące na duchu" złudzenia Londynu. Gdy nie było innego argumentu na tych chorych ludzi, mówiło się wtedy: „Proszę, niech pan posłucha Moskwy..." Tego się bali.

Jednak zdrowi budzili się z hipnozy. Wieleż to razy dało się wyczuć radość w zapowiedzi: „Podobno przyszły instrukcje z Warszawy, żeby przestawić propagandę głównie na antysowiecką!" — Błaga. Znowu nic z tego. Znowu przez wypełniony po wszystkie brzegi kielich antyniemieckiej propagandy sphywala dalej bez pożytku, bez celu, zmatrawiona rzeka wysiłku, dolarów, krwi. A front antysowiecki stał otworem i zapraszał „wybawicieli".

Zbudziła się wspaniała akcja partyzantek, oczyściła kraj ze śluzu bolszewickiego, przerodziła nieomal w regularną armię.* Ale to już specjalny rozdział. Zakończony zresztą fatalnie zdobywaniem Wilna dla Stalina...

Aż wreszcie w roku 1944 przyszła znamienna audycja z Londynu, która ogłosiła uroczyście, że „wszelka akcja i propaganda antysowiecka pochodzi wyłącznie od Niemców". To było resume.

Nie obawiam się przesady twierdząc, że najzdrowszy pozostał u nas element chłopski, rozrzucony na nieobjętych polach między lasami, który notorycznie radia z Londynu — nie Młtichał.

Dziś za to wszystko, co się w kraju dzieje, za te zastępy bezpieki, za zdradców z PPR, za quislingów, przeklina się Bie i utów, agentów moskiewskich. Ale kto im drogę skatierntu układał?! Kto przez sześć lat oduczał systematycznie myśleć kategoriami politycznymi, zastępując je ekstazą odwetu za barbarzyństwa niemieckie? Kto dziś może zaprzeczyć, że nie tylko „błahostki" w rodzaju granic wschodnich, traktatu ry-

skiego czy ostrzeżenia Teheranu, ale sam sens wojny, jej cel, rutfubił się po drodze? Rozgromienie Niemców ze środka, jaklin miało być do odzyskania niepodległości, przeistoczyło się w cel sam w sobie bezapelacyjny, bezkrytyczny. No więc, Niemcy leżą rozgromione...

• Przesada! B.T. 1983

151

Dziś, gdy czytam prasę krajową, wydaje mi się ona wcale logicznym, wcale nawet konsekwentnym, jeżeli nie powiem organicznym, przedłużeniem radia londyńskiego z lat 41-44: bolszewicy przyjaciele, Niemcy wrogowie, a niepodległość? Gdzieś się tam płacze między falami eteru.

Lwów i Wilno 1947 nr 39

152

i

WIŁNIANIE Z DACHU

Stale się mówiło pomiędzy emigrantami, na wpół z przekąsem, na wpół ironicznie: „w tzw. słonecznej Italii”... podkreślając przez to, iż troski, niepokój, bieda, niewygody przeważają szalę błękitnego nieba, z osadzoną w nim planetą Słońca. Dziś nadchodzące stamtąd wiadomości potwierdzają, iż szala się przeważała ostatecznie i każdy, kto może, opuszcza przeludniony półwysep, w którym życie nie było dla nich tak piękne, jakim się wydaje turystom krajobraz, niebo, morze, góry i kwiaty.

— Ot, taka tam i życie — westchnął. — Na dachu.

— Na dachu?...

Spotkałem Kazimierza Wojtkiewicza, b. właściciela dwudziestohektarowego folwarku spod Jaszun, w takiej dzielnicy Rzymu, w jakiej nigdy się nie spotykało Polaków. Było to bowiem na via Panama. Długo by jej szukać na nowoczesnym planie miasta. Robi ona hak z ulicy Salaria, w miejscu, gdzie ta przebiega wzdłuż muru Villi Savoi. Za murem piętrzy się wspaniały, ongiś królewski las — park. Na stronę przechodniów spada gęste upięcie bluszczu, rozmaitych pnączy i gałęzi wiecznie zielonych drzew. Słońce i cień, które są narodowymi barwami Włoch, tworzą tu charakterystyczną koronkę plam, czy też mozaikę, zestawioną ze złota i zieleni. Ale via Panama odbiega od muru. Pomiedzy nią a parkiem leży rozkopana ziemia ogródków warzywnych, ledwo odgradzona słupkami, spiętymi drutem kolczastym. Afrykańskim zwyczajem wyrzuca się tu śmiecie wprost na pastwę gnicia. — Była wiosna. Na grzędach bujnie puściły roztki pożytecznych warzyw.

Wojtkiewicz łokciami oparł się na ogrodzeniu i nosem wciągał zapach wiosennej ziemi. Nad nim rosła mandarynka, a czerwone jej kule, które trzymają się do wiosny, odbijały niezwykle pięknie na tle drzewa, na które Wojtkiewicz patrzył: była to zwyczajna wiśnia, obsypana białym kwieciem,

153

jak to się zdarza pod Jaszunami, ale dopiero z początkiem czerwca.

— Ttak, ja mieszkam na dachu. Tam — rzucił ręką w kierunku miasta, skąd ledwo dochodził zgrzyt tramwajów. Tymczasem od parku królewskiego szedł ku nam nieustanny ćwierk ptaków. — Wiadomo, wiosna — i znów nabrał powietrzajak na zapas.

— Rękaw pan zadarł o drut.

— A niechaj jego tam... z tym rękawem — odparł nie po gospodarsku opryskliwie. A po dłuższej chwili: — A ziemia to, kiedy pachnie...

Szedł od niej ten nieporównany do niczego, wilgotny oddech, zmieszany z odorem dalekich pini i tylko od czasu do czasu zalatywało gnijącym śmietnikiem. Pinie są jak sosny. A mimozy o tej porze roku mają kolor czystego słońca. Można się więc i oświeżyć i jest na co popatrzeć. Tylko że daleko aż tu. Kamienica, na dachu której mieszka Wojtkiewicz, leży w samym śródmieściu, pomiędzy Placem del Popolo i Tybrem, to znaczy: het!

— Wszystko jedno, wrócić nie mogę przed ósmą — wyjaśnił niechętnie. — Nie wolno. Tak człowiek i badzia się cały dzień próżny. Bo z samego rana trzeba wychodzić.

Umówiłem się, że odwiedzę go nazajutrz rano.

— Tylko z samego!... — dorzucił, gdy odchodziłem.

Z dała jeszcze raz się obejrzałem. Nie wiem dlaczego ten obrazek utkwił mi w pamięci: zardzewiała puszka po konserwach, mandarynka, kwiaty wiśni, a jako tło włoskie topole, pinie, złoto mimozy, plamy na chodniku, a Wojtkiewicz stał i ciągle widocznie nabierał powietrza od ziemi.

Nazajutrz się spóźniłem. Już musiał wyjść. A później gdzieś go poniosło w świat daleki. Jedni twierdzili, że przez Komisję Papieską starał się do Paragwaju, inni, że chciał jechać do Wenezueli. Diabli to wiedzą, gdzie, co i jak. Nie spotkałem go już więcej. A czy spotkam?

* * *

Na dachu przyjął mnie inny wilnianin, który został mianowany gospodarzem tej dziwnej siedziby. Używając słów poetycznych, chociaż prawdziwych, można by rzec o niej, iż składała się z nędzy, nostalgii, pięknych widoków, strachu przed klauzulami traktatu pokojowego z Italią, niepokoju o jutro, jałmużny, biurokracji, sirocca. Nie trzeba tłumaczyć, że

154
w takim miejscu nad głową jest tylko niebo, niebo i niebo.

Właśnie. A wilnianin gospodarz mówi, że jest artystą malarzem. — No więc ślicznie? co?

W milczeniu skręca papierosa i dodaje rzeczowo:

— Także samo lakiernik. Jednym słowem wszystko co dotyczy malarstwa.

— Chwała Bogu, zawód w ręku.

— Co się tyczy fachu, to ono tak. Ale co z niego, kiedy robić nie wolno.

Kto tu ponosi winę, że naszych rodaków trzymają na dachu? Ale wina-li to jest, czy zasługa przede wszystkim? Różnie można osądzać rzecz, która jest prostym wynikiem dłu-

giej litanii zbieżnych okoliczności: Churchill, Jałta, Komisja Papieska, sknerstwo, ofiarność hrabiny Soderini, zapobiegliwość polskiego Komitetu Opieki Społecznej. — Ponad wszystko, ponad kopułę św. Piotra, ponad samą kopułę nieba, nad dachem tym unosić się winna oczywiście nienawiść do sprawców głównych. Do bolszewików. Ale bolszewicy są dziś tak potężni, że nienawiść do nich nie więcej ma praktycznego znaczenia, niż nienawiść dobrego chrześcijanina do szatana. Można ich imieniem przeklinać, nic więcej nie poradzi.

Po wyjeździe II Korpusu, po likwidacji tego wszystkiego, czego likwidacji należało się spodziewać od roku chyba 1941, sytuacja Polaków we Włoszech pogarszała się z tygodnia na tydzień. Obozy itp. wszystko to już się przeszło, przewalkowało, opisało się tysiąc razy. Pozostało trochę spekulantów i nędza. Sprawa emigracji od początku przedstawiała się tak, Jak o tym wszyscy wiedzą: pod psemy. Ludzie bez pieniędzy stanęli nie tyle nad przepaścią, ile nad rowem. Przyjeżdżają do Rzymu, chodzą, molestują, mają załatwić tysiąc formalności, wydeptują klatki schodowe, w dzień ocierają rękawem pot z czoła, a w nocy spać nie ma gdzie.

Papieska Komisja Pomocy Uchodźcom Polskim daje im obiad. Po obiedzie też by się chciało przyłożyć, zwłaszcza po dobrym. No, więc bez tego można się jeszcze obejść. Ale po kolacji to już, jak słusznie zauważył trzeci wilnianin, którego spotkałem na dachu, to już, powiada, „musowo”.

— Pewnie, człowiek nie pies.

— Choć prawda powiedzieć, także samo i nie gołąb. Ale już lepiej na dachu niż nigdzie.

155

Takiegoż poglądu była również hrabina Soderini, Polka rodem, właścicielka kamienicy przy ul. Adelaide. Dach na tej kamienicy jest płaski, otoczony cementową balustradą. Tu zrzucano się rupiecie i śmiecie. Pośrodku znajdował się wymurowany kurnik z oknem. Hrabina słusznie oceniła, że kurnik można przerobić na mieszkanko dla ludzi biednych i bezdomnych. Wszyscy tam jednak nie mogą się pomieścić, z liczby tych, którzy przyjeżdżają do Rzymu dla załatwienia swych spraw, a nie mają gdzie spać.

Rzecz wałkowana była jeszcze na jesieni roku ubiegłego.

Komitet Opieki wystarał się o łóżka polowe, koce i dwa grube, ciepłe namioty. Namioty te rozbito następnie według wszelkich prawideł, jak się je rozbija w lesie czy pustyni, na dachu domu milionowego miasta europejskiego, w Rzymie, pełnym tych wspaniałych świątyń, do których napływają pielgrzymi, pełnym bogatych klasztorów, starych i nowych, ogrodów, wodotrysków, krużganków. Co noc lokowano na dachu około osiemnastu bezdomnych Polaków. A noce z roku 1946 na 47 przyszły chłodne. Później zima. Później fotografowie zagraniczni jeździli utrwać niezwykle zjawisko: Colosseum w śniegu. Śnieg spadł brzydkie, lepki, tający nazajutrz. Wiatr natomiast był mroźny i ludzie się kurczyli nawet w ciasnych uliczkach. A na dachu? — Wiadoma rzecz co może być na da-

chu. Wyje, szarpie płachtami namiotu, od balustrady przeciwska się do środka, pod materac, pod kołdrę, i zęby: dzyń, dzyń, dzyń, jak u nas dzwoneczki przy saniach.

Hrabina Soderini kazała przeprowadzić na dach wodociąg i ustawić klozet. Zabawne: człowiek wstaje w nocy za swoją potrzebą i widzi jak Bazylika Św. Piotra toczy się pod chmurami, a księżyc nad chmurami; ma daleki widok na śpiący Rzym. Dużo rzeczy da się rozpoznać przy pełni księżyca. Na lewo w ukos dwie ręce Trinita dei Monti, a za spiętrzoną na wzgórzu Kwirynałem, het, błyska krzyż na wieży Santa Maria Maggiore, na wprost bieleje monument Wiktora Emanuela, w prawo zrywa się do lotu anioł z Castel San Angelo, ponad ciężki masyw pałacu sprawiedliwości na Placu Cavour. Po między tymi znakami rozpoznawczymi zlewa się falista powierzchnia miasta, jak w pole stalagmitów, sterczących ku górze wież, kopuł, obelisków. — Człowiek wraca, kładzie się, śpi, śni.

156

Mieszkał tam jeden pan (też zresztą wilnianin) ze swoim kilkuletnim synkiem... Jakież to miał nie-wileńskie dzieciństwo ten chłopak, na dachu wiecznego miasta! Czy będzie pamiętał? Czy będzie wnukom kiedy opowiadał, w jakimś roku 2000? (To już nie tak daleko.)

Taka sobie malutka, smutna historyjka, gdy ojciec co rana sprowadza chłopaczkę za rękę na ulicę i idą sobie, nie wiedząc dokąd iść. Bo w dzień nie wolno było przebywać na dachu. Mieszkańcy muszą co rano go opuścić i nie wracać przed ósmą wieczorem. To już sobie wymówiła właścicielka kamienicy. Cóż by to bowiem był za hałas, stapanina, szuranie. Na górnym piętrze trząsłby się niewątpliwie sufit. Gdy dzień minie, każdy kto ma zegarek, spogląda na niego tęskno. O godzinie siódmej wieczorem dach wydaje się przytułkiem, przybytkiem. W byłym kurniku ma prawo przebywać tylko rodzina wyznaczonego gospodarza.

Przyszła wiosna nareszcie. Wzgórza przeciwległe za del Popolo, po którym się wspina serpentyna na Piazza Bonaparte, zakwitły drzewem migdałowym, mimozą, kwiatami granatu, oleandrów, pelargonii. Na dachu rozwieszono bieliznę i gdy wiaterek potraçał schnącą chustką młodej synowej gospodarza, wzrok padał za każdym razem na daleką grupę palm daktylowych, araukarii i fioletowe girlandy bukonwili. — Ot, życia! A?

Powtarza się wieczny, nigdy nie rozstrzygnięty problem, wyrażany rylekroć już w gorzkich słowach: „I zrób tu komu coś dobrego!” Zamiast podziękii, ironia, narzekanie, że ktoś śpi wygodnie w pokoju, a ktoś inny na dachu, nad tamtego ^iową... Na siroccu, znaczy się. (Każdy wiatr tam nazywają: slocco.) A sirocco dmie, rozdmuchuje, rozpyła, rozrzuca po wielkim świecie.

Wydaje mi się chwilami, że ci ludzie wciąż jakby mają w uszach świst bomb i biegną, jak w czasie nalotu, jedni w jedną stronę, a drudzy im naprzeciw, bo każdemu się zdaje, że

tam, gdzie biegnie, będzie bezpieczniej, lepiej, solidniej.

Iai>ów i Wilno 1947 nr 40

157

T

ZIELONE I CZARNE DNIE WISIŃCZT

Zaczęliśmy mówić o partyzantce w kraju z tego odległego dziś okresu okupacji niemieckiej i stąd padła nazwa: Wisińcza.

— To było tak — mówił mój znajomy, posuwając paznokciem po stole. — Tu, powiedzmy, rzeka Solcza (położył ołówek). Tu Wisińcza, rzeka, a tu wieś...

— Zaraz, zaraz — przerwałem. — Młyn był na Wisińczy, czy Solczy?

— Młyn... Młyn był na Wisińczy. O tak... Niech pan pozwoli. — Wyjął wieczne pióro i zaczął kreślić na Daily Telegraph. szosa grodzieńska, trakt Staro-Ejszyski, dwie rzeki: Wisińcza zaczęła się na marginesie, ujście jej do Solczy wypadło na tytule donoszącym o śmierci Petkowa. Tu...

— A pamięta pan wieżę trygulacyjną wśród takich wyleniałych sośniaków?

— Aha, ona gdzieś tu — postawił punkt, omal na samym pępku jakiejś światowej sławy pływaczki.

— Nie, tę drogę do Jaszun, co tu idzie u pana od London City, trochę pan zmylił.

— No wszystko jedno.

W końcu zarysowana atramentem gazeta angielska poszła pod stół, mówiliśmy dalej gestykując palcami. Gdy o sosnach, robiło się gest w górę; gdy o łagodnych wzgórzach — ruch dłonią falisty. Gdy chciałem zobrazować nieprzebytą knieję na południe od Kiernowa, zacisnąłem dłaczegoś pięść.

— Przez okno powiało wilgotnym oddechem, bo wieczór zapadał w Kensington Gardens i stamtąd ciągnęło coś na podo-

158

bieństwo lasu, zmieszanego ze smrodem samochodowych spalin.

Ja znajduję, że fonetyka słowa „Wisińcza” jest wyjątkowo ładna. Kto zaś ją widział, zagubioną w Puszczy Rudnickiej, miał w wyobraźni zapach wilgotnego lasu i kolor ciemnej zieleni, jaka zwykła się krzewić nad brzegami takiej dzikiej rzeki. Dziś nazwa ta tak samo jest bez znaczenia, jak bez znaczenia było brzmienie „Londyn” tam, wtedy.

* * *

Wisińcza, nad rzeką tej samej nazwy, leży w południowej partii puszczy. Tu żeśmy się ukrywali przed deportacją do Kazachstanu. Był czerwiec 1941 roku. Za rzeką ciągnęły się właśnie te wyleniałe wzgórza, obrośnięte niskorosłym sośniakiem i tam stała wieża trygulacyjna. Dalej znowu zwarty las. Błota, mokre łąki. Las. W odległości kilometra od nieuczęszczanej drogi bocznej do Jaszun była chata, w której mieszkała samotna kobieta. Mąż poszedł na „polską wojnę” i nle wrócił. Skutkiem czego nie wykończył zagrody. A zagroda puszczańska, drewniana, budowana była systemem obron-

nego czworoboku. Była jedna brama. Na lewo drzwi do chałupy. Reszta: chlew, obora, świreń, na górze miejsce na siano. Wszystko pod jednym dachem. Ale mąż nie wrócił. Dach był tylko do połowy ukończony. W nocy, pomiędzy palce krokwi (irugiej połowy, pchała się na siano kostniejąca wilgoć puszczy, krzyk sów, nieprzeliczone w niebie eskadry komarów. W (Kłpowiednich porach księżyc. Widać stąd było nawzajem rozczochrany grzbiet lasu, który ustępował przed mokrą łąką. Górą szły wszystkie zapachy odwiecznej ziemi i wszystkiego co na niej rośnie pod tą szerokością geograficzną, od dołu docierał ciepły odór nawozu, mleka, mlaskanie cieląt i żucie krów.

Można się długo rozpisywać nad takim obrazkiem, który w rezultacie nigdy nie będzie pełny, a w międzyczasie znudzi czytelnika, który tam nigdy nie był, w okresie, gdy w puszczy luzem z kwiatami kwitło jeszcze stare życie, a poza puszczą m/.pościerała się martwa nuda życia sowieckiego.

Izba była za mała, żeby w niej nam było można spać. Miała łądno łóżko, zasłane łachami, kobietę z dzieckiem, pod łóżkiem zaś mieszkała i brudziła młoda wrona. Resztę przestrzeni zajmował warsztat tkacki. Dwie ławki, dwa obrazy: Chry-
«(us o gorejącym sercu i Matka Ostrobramska. Oba poczer-
159

niale i popstrzone przez muchy. Jedliśmy, rozkładając wolny ogień wśród kamieni na wolnym powietrzu. Już kończę: dwa kilometry na południe płynęła Solcza wśród traw po kolana i nikomu nie znanej ilości kwiatów, z odstępem pięciuset metrów od ściany lasu. — Boże, jakże tam było!

Leżało się albo na brzuchu, wypatrując mrówki i owady, albo na wznak, wypatrując obłoki, wierzchołki drzew, „karszuny" w niebie. Koń pasł się podźwiękując pętami. Słońce w tym czasie odbywało regularną drogę od Moskwy do Berlina. Gdy stało pośrodku, mniej więcej nad Ej szyszkami, musiało być samo południe.

Mówiłem już, że w nocy gryzły komary. Dodam, że w dzień gryzł niepokój, niepewność, bezsensowność istnienia, bezcelowość jutra. Ja nie wierzyłem w wojnę. Żona tak.

W Porubanku na północy i w Woronowie na południu bolszewicy budowali gorączkowo bazy lotnicze. Co pewien czas dochodziły detonacje pękających bomb. To lotnicy sowieccy ćwiczyli w rzucaniu wprost na puszcę.

— Ot, gospodarze! a? — mówiła chłopka wzruszając ramionami.

Żonę ciągnęło od tego paleniska na kamieniach, żeby choć z daleka zobaczyć co z domem, z sadem, z psem, z gospodarką porzuconą na pstrą łaskę sąsiadów. Chociażby z daleka. Dowiedzieć się. Upewnić w niebezpieczeństwie.

Pojechaliśmy wreszcie w południe, żeby na czarną noc zbliżyć się niepostrzeżenie do własnego domu.

Znowu Wisińcza. A potem trakt, szeroki, piaszczysty, szesnaście kilometrów do Rudnik tylko las i las, i las. — Było rzeczą szczęśliwą, że właśnie w tę samą stronę podążał tabor,

złożony ze stu pięćdziesięciu furmanek na przymusowe roboty. My, niepostrzeżenie z samego końca, opędzając konia od złych bąków, lasem, lasem.

W połowie drogi ludzie rozłożyli się obozem dla podkarmienia koni. My razem, trochę z boku. Wszedł bojec, który tam miał stanowisko, niby dla przestrzeżenia, że teren w tym miejscu (gdzie szalał zeszłoroczny pożar) służy do ćwiczeń lotniczych. Przy ognisku, gdzie przysiadł w kucki, z wintówką między kolanami, wybuchła dyskusja. Chłopi w tym zielonym lesie czuli się jakby pewniejsi. Gdy się zbliżyłem, spierano się właśnie o ilość ludności w Chinach. Bolszewik lubił wielkie cyfry. Mówił: milion traktorów; ziemia u nas taka dobra te-

160
raz, że nawóz niepotrzebny, spalają go milionami ton. To rozeźliło chłopów, bo wiadomo, że na Wileńszczyźnie trochę piaszczysto i kartofle bez nawozu nie idą. Ale milczeli. Dopiero gdy rozmowa w nie znanej mi kolejności skojarzeń przeszła na Chiny i bojec zaczął twierdzić, że tam mieszka więcej niż czterysta milionów, zaczęli zeń kpić. Wypadkowo sowieciarz miał właśnie rację, ale nagle jeden z rozciągniętych koło ogniska przeciął spór:

— A dlaczego u ciebie buty dziurawe?

Zgodny rechot buchnął tak gwałtownie w korony drzew, iż stamtąd ze skrzekiem zerwała się sójka.

W tej samej chwili nadszedło, pyląc białym kurzem, auto, zatrzymało się i lotnicy oficerowie zaczęli krzyżeć:

— Sobirajcieś! Ej, wy! Nasze samoloty lecą ćwiczyć!

Na las? Na trakt? Chłopi choć słyszeli od bojca, ale nie przydali jego słowom wielkiej wagi. Teraz spojrzeli po sobie.

— Paskarieeeeej! A nie, tak abratno, w Wisińczu!

Oficerowie sowieccy bywali zazwyczaj grzeczni. Tym razem ich brutalny wrzask służył dopełnieniem klasycznego obrazu pańszczyźnianej fanaberii. Było coś z syntezy tego reżymu w tej fantazji rzucania bomb „gdie popało”, wprost na las, na trakt, w tym lekceważeniu ludzi, którzy przecie po nim jeżdżą. W tym niemym, podległym terrorowi pośpiechu, z jakim chłopi zaciągali sponie przy chomątach zgorączkowanymi rękami w dalekim dudnieniu nadchodzących maszyn.

„... Wszystkie ziemie, wody i lasy należą od tej chwili do mas robotniczych i włościańskich...”

— Paskarieeeeej! Wy!

Zdążyłem dobiec do wozu, ale już nie zdążyłem założyć konia, gdy nadleciały samoloty. Musieliśmy przymusowo ćwiczyć sytuację ludności cywilnej. Leżeliśmy rozplaszczeni pod wykrotem. Maszyny szły na wysokości dwustu metrów. Pryhkały fontanny piachu wśród rozległej poręby, leciały w górę pnie, korzenie, tu i ówdzie pochylała się wysokopienna sosna, ale trzask jej upadku zagłuszał nowy wybuch, huk i tylko i xl tamki gwizdały po krzakach.

Gdzieś bokiem, jak opętany, uciekał jastrząb.

* * *

Po raz ostatni kierowałem się do Wisińczy od wsi Wielo-

pole, leżącej na północno-wschodnim krańcu puszczy. Było Inw dziesięć dni po wkroczeniu Niemców. W tych stronach
161

panowało jeszcze interregnum na ziemi. Wojna przechodziła powietrzem. Chłopi wielopolscy odradzali mi zapuszczania się w las. Niemcy przewalili na Mińsk, ale w Rudnickiej Puszczy — powiadają mi — ograbiają pana Sowieci.

— Dużo ich tam?

— Ohoho!

Musiałem jednak zabrać resztę rzeczy, pozostawionych u żołnierskiej wdowy za Wisińczą.

Przejechałem Mereczankę (też nazwa o pięknym brzmieniu); przy wjeździe w las stał bojec o wyjątkowo odrażającej fizjonomii. Nie miał na sobie nic, nawet pasa, tylko trzymał kurczowo automat. Twarz spodem czarna od słońca, górą pokryta warstwą kurzu.

— Gdzie tu wody można się napić? Rzeka gdzie tu?

Wskazałem ręką. Poszedł bez podziękowania. — Na szóstym od Rudnik kilometrze zastała mnie godzina trzecia po południu. Słońce smażyło. Pachniało żywicą i mchem. Końskie muchy nie dawały spokoju. Nagle z krzaków wyszło pięć postaci i rozciągnęło się tyralierą w poprzek drogi. Byli bez broni i obdarci do ostatniej nitki. W czapkach i bez. Dwóch w cywilnych ubraniach. Milcząc jechaliśmy na zbliżenie. Otoczyli wóz i oparli się łokciami o drabinki jak stado zmęczonych zwierząt.

— Gdzie tu będzie granica?

— Jaka granica?

— Stara. Sawieckawo Sajuza.

„No — myślę sobie — rychło w czas sobie przypomnieli”. Ale wykladać im o traktacie ryskim nie miałem ochoty.

— Daleko — odpowiadam.

— Ile wiorst?

— A to nie granica? — zapytał młody optymista, wskazując widoczną w tym miejscu wieżę trygulacyjną.

— Tak cóż wy, towarzysze — mówię im — o granicę pytaacie. Przecież Niemcy het, gdzie już poparli, za Mińsk chyba.

— To co z tego — odpowiada ponuro, nie odrywając oczu od worka z tyłu wozu.

Już ja się domyślam, o co im chodzi. Liczą, że za dawną sowiecką granicą spotkają się z pomocą ludności. Tu ich chłopi biją kołami, wyłapują i oddają w ręce Niemców. Tak było wszędzie, na Litwie, u nas w Wileńszczyźnie na samym początku. — Poszedłem za jego wzrokiem:

162

— Wyjeść pewno chcecie?

— My trzy dni nic nie jedli.

Oddałem wszystko, co miałem. Grzecznie podziękowali i pojechałem dalej. Następnych, którychśmy mijali, nie było już czym obdzielić. Szli, a zmęczenie i głód parowały z ich twarzy. W łachmanach, bez broni, prawie bez nadziei.

Słońce zaczęło już zabarwiać pnie sosen na czerwoną

miedź, gdyśmy wjechali do wsi Wisińczy. Nagle naprzeciw drogą, konno i zbrojno, posuwał się szwadron kawalerii niemieckiej. Przyznam, iż był to pierwszy i ostatni raz, gdy widziałem konnicę niemiecką w tej wojnie. Typ ten sam co w roku 1915, tylko oczywiście bez lanc, a nawet bez swych długich, prostych pałaszy. Każdy prawie miał automat przewieszony na szyi. W hełmach.

Chłopi, którzy wylegli, mówili jeden przez drugiego, wskazując palcami las: „Tam i tam są soweciarze”. — „W leśniczówce pod Kiernowem większy oddział z karabinami maszynowymi”. — Głucha, wściekła nienawiść do bolszewików trysnęła spontanicznym ujściem, przezierała w każdym ruchu ręki. — Niemcy lekceważąco odmachiwali. Cały kraj zatrzęsiony był wówczas rozbitkami armii czerwonych. To nie było ważne.

— Dlaczego — zapytał mnie wachmistrz, z którym wdałem się w rozmowę — ludzie tu są tak dobrze do Niemców usposobieni (so deutschfreundlich gesinnt)?

— Nie lubią bolszewików.

Z gromady chłopów przedostał się na czoło czerstwy gospodarz, uczestnik pierwszej wojny światowej, który następnie w niewoli niemieckiej nauczył się szwargotać.

— Czemuście tak późno przyszli? Nas by wszystkich bolszewicy wywieźli na Sybir!

— Oooo — odpowiedział wachmistrz z konia, jak z trybuny propagandowej, głęboko poważnym i przekonującym głosem wir haben es nicht gewusst, nie wiedzieliśmy tego.

Gdym nazajutrz powracał, zastałem ludzi z zaciśniętymi zębami. Niemcy zabrali im wszystkie konie, których nie zdolno uprowadzić do lasu. Tylko czerstwy gospodarz, mimo rozpacz po stracie dwóch jedynek koni, jakby się pocieszał Kwym przywróconym autorytetem:

163

— Isz, mówili, że ta wojna to tylko na maszynach. Ot tobie i maszyny, taka ich mać, na czterech nogach. A mówiłem, że będzie to samo co w tamtej.

* * *

Przedostatni raz wspominałem o Wisińczy na ulicy Marszałkowskiej, znowu w czerwcu, ale 1944 roku. Gdyż muszę tu dodać, że w czerwcu 1941 roku uratowałem od deportacji młodą kobietę z dzieckiem, której mąż wojował w Anglii, a ona uciekła kuchennymi drzwiami, gdy NKGB szło przez ogródek, aby ją zabrać do Kazachstanu. W nocy wsadziłem ją na wóz i uwiozłem do puszczy.

Równy po trzech latach, na rogu Żurawiej zamieniliśmy kilka słów. Ach, miała tylko sekundę czasu.

— A pamięta pani Wisińczy?

Już się oddalając skinęła głową, a mnie się wydawało, że nazbyt już lekceważąco potraktowała tamto wspomnienie.

Lwów i Wilno 1947 nr 44

164

m.

OKUPACJA SOWIECKA

Jest bardzo trudno odrysować ją w jej właściwym klimacie.

Razu pewnego, na peronie podmiejskiego przystanku, takiego jak to u nas, żwirowanego i okantowanego deskami, stał pan Jakub Rupejko, właściciel wileńskiego antykwariatu i wycierał nos w oczekiwaniu na pociąg. Zdawałoby się na pozór, iż nic wokół nie uległo zmianie od przedwojnia. Jesień, rankiem normalnie przejmująca mgła, w bezwietrznym powietrzu płynęły ukosem do ziemi opadające liście, zimno. Stąd katar. Pan Rupejko rozrzucił przywykłym ruchem dużą białą chustkę i wycierając nos, na wpół do tej chustki, na wpół do stojącego obok przyjaciela mruknął:

— Zniszczon oni ta nasza Polska i ta nasza Litwa.

Nikt się nie denerwował z powodu opóźnienia pociągu.

Ludzie chodzili jak muchy pod kloszem niziutkiego nieba, lam i z powrotem, przytupywali czasem z zimna, cierpliwi i pokorni.

Na trzeci dzień wszczęto przeciw Rupejce dochodzenie. Po tygodniu go wypuszczono. - Stał znowu, z lekka wychudły i już bez kataru. Wzruszał ramionami: „Czego oni ode mnie chcą. Ja zawsze byłem lewy!” — Nigdy on nie był lewy, przez całe swoje życie. Powiadano, owszem, że jego antyki nie zawsze bywały... prawe, ale co to ma wspólnego z polityką?

Ostatnio wystawił w oknie jakąś starą, zakazaną i zardzewiałą skałkówkę, a na szybie przyczepił kartkę: „Strzelba Adama Mickiewicza”. Przyszła milicja i skonfiskowała strzelbę, spisału protokół za posiadanie broni. Nikt nie wierzył oczywiście,

165

żeby strzelba należała kiedykolwiek do Mickiewicza, ale strzelać z niej w każdym razie nie było można. Po pierwsze nie miała kurka, po drugie łożę się chybotąło, po trzecie pochodziła z końca XVI wieku i takie siekance, jakie ongiś może wypuszczała, przestano wyrabiać na dobre sto lat przed narodzeniem Mickiewicza. — „Pan rozumie! Fuzję Mickiewicza odebrali!” — miotał się Rupejko i twierdził, że to za sprawą owych fatalnych słów wówczas na peronie.

— Kto na pana donos złożył?

— Zdaje się nikogo takiego w pobliżu nie było...

Naturalnie wypadek Rupejki nie był wypadkiem odosobnionym, był z całą pewnością najbardziej charakterystyczny ze wszystkich uchwytnych cech reżymu. Nie należy jednak zapominać tej prostej okoliczności, że zarówno w Sowietach, jak w krajach przez nie okupowanych, ilość ludzi osadzonych w łagrach, więzieniach i innych katorgach, ludzi idących przez ulicę z donosem, stanowi tylko pewien procent. Zastraszający procent. Reszta, niewątpliwa większość, nazywa się, że żyje.

* * *

U nas, u „kapitalistów” znaczy, bywało, że jednostce pośliznie się w życiu noga. Był dobrze ubrany, miał, powiedzmy, dobrą posadę. Chodził tedy z podniesioną głową, wygolo-

ny na, powiedzmy, rumianej twarzy. Taki sobie typ. Kłaniał się z uśmiechem i jemu się też odklamano z uśmiechem. Cieszyło go poczucie, że nikomu nie był nic winien, a że miał pieniądze, więc też każdy go chętnie widział bez obawy, iżby mógł o nie prosić. Przyjemnie było, kupując w znajomym sklepie, powiedzieć dobry dowcip (zacierając ręce) przy odbieraniu rachunku, w rodzaju: „Nie mam tyle pieniędzy, żeby zapłacić...” I przyjemnie było usłyszeć w odpowiedzi ugrzecznione: „he, he, he!” subiekta, czy samego szefa. Był zawsze syty, więc go ciągle zapraszano na śniadania, na herbatki i obiady. — I nagle bankrutuje, wyrzucają go z posady, czy jakaś inna okoliczność ciska go w sytuację, w której rumiane policzki zaczynają więdnąć ze zmartwienia. Jeżeli pozostał w tym samym miejscu zamieszkania, to znaczy, że nie on szukał nieszczęścia, a nieszczęście przyszło do niego. Ta sama ulica, ścieżka, ten sam, powiedzmy, subiekt w sklepie, tylko że wszystko wygląda inaczej. Ci sami znajomi, tylko że przechodzą przy spotkaniu na drugą stronę ulicy. Nie, nie czynią

166

tego demonstracyjnie, raczej dyskretnie znikają za rogiem. Przy kupowaniu nie ma już żartów, a im bardziej będzie głodny, rym pewniejszy być może, że go nikt na obiad nie zaprosi. Ale przede wszystkim gdzie, u diabła, podziały się uśmiechy?! Słońce świeci, a jest szaro. I teraz, gdy dawno już wyprzedał swą zasobną garderobę, sam usiłuje unikać ludzi, i też zawija za róg, w swym wytartym na łokciach i przepoconym na łopatkach paltociku.

Gdybyśmy skutki psychiczne tej arcybanalnej katastrofy jednostki mogli sobie wyobrazić w rozszerzeniu na wszystkich naraz mieszkańców kraju, otrzymalibyśmy pewne odbicie nastroju okupacji sowieckiej, nastroju łagodzonego nieco podświadomością, że... „wszyscy tak samo”.

Katastrofa żywiołowa gromadzi ludzi, każe im wykrzykiwać swoje zdania, gestykulować. Katastrofa okupacji sowieckiej każe nastawiać kołnierz, spychać czapkę na oczy i rozpierzchać się po zaułkach. — Jest ona jednym z najdziwniejszych fenomenów dziejowych, albowiem hasła bolszewickie „solidarności mas” zwyciężają tu paradoksalnie, wygrywając na braku solidarności ludzkiej i najprymitywniejszym gatunku egoizmu. Powiada się, że ludzie zaczynają się wzajemnie unikać, bo jeden drugiego się boi. Mnie się zdaje, że bardziej — jeden drugiego się wstydzi. Dopiero, aby się usprawiedliwić przed samym sobą, większość straszy zarówno sąsiada, Jak siebie samego.

Ja oczywiście nie mówię o wyjątkach, ja mówię o całości. Przede wszystkim rzecz pierwsza: odciąć się, za wszelką cenę odciąć się od reszty. Ją? Nie! Prędko, prędko, w skrytości, rachunek sumienia. Najczęściej wypada fatalnie: ten był wojskowym, ten urzędnikiem, ten dostał kiedyś order, ten był w PPS, ten z ziemian, ten przemawiał na jakimś zebraniu maszynistów kolejowych, ten był w takim związku... psiakrew, psiakrew! O sobie samym można zapomnieć, ale czy

/upomną sąsiedzi?

W taki to deszczowy wieczór (w sowiecką pogodę ciągle ale wydaje, że coś pada) przypominam sobie o istnieniu pp. Władysławostwa i dzwonię do drzwi. Czasem nikt nie otwiera dlatego, że „paradne” jest zaryglowane. Nie dlatego, że chodzenie paradnym jest źle widziane, tylko dlatego, że w chodzeniu przez kuchnię każdy lepiej się jakoś wydaje same-
167

mu sobie. — Dzwonię po raz drugi, czekam. — Hm, może mają nadzieję, że omyłka, drrrr! — Nareszcie, pani domu. — Ach, to... pan.

Boże, a ja nie mam gdzie przenocować! I jak tu wykrztusić tę propozycję, wobec tego „ach”, wystrzelonego jak z butelki octu. Zapaść by się pod kocie łby bruku. (Niech Bóg przeklnie bolszewików!) Coś się tam wreszcie bełkocze.

— Ależ... naturalnie — przeciąga najbardziej nienaturalnym głosem, na jaki się zdobyć może tylko forma grzeczności dławiąca głęboką odrazę treści.

Oooo, jak przykro. Byle do rana. A rankiem nic, tylko monotony deszcz w szybę. — Pójść, siąść w kawiarni, sięgnąć po gazetę. To wczorajsza? — Nie, dzisiejsza. Czyżby? Wszystko to samo co wczoraj, takie same uchwały, rezolucje, owoacje. Zresztą to, że wczoraj, to głupstwo, ale że jutro znowu będzie to samo!

Przysiada się do mnie pewien starszy pan, m. in. b. lektor uniwersytetu. I nagle mówi: „My”.

Z dalszej dyskusji wynika, że „my” to znaczy on i Stalin.

* * *

Naturalnie zdarzały się jednostki odważne pod okupacją sowiecką, jak zdarzały się tchórzliwe pod okupacją niemiecką. Powtarzam raz jeszcze, że nie mówię o wyjątkach, a o regule. Ta reguła wytwarzała pomiędzy tymi okupacjami następującą różnicę: człowiek prześladowany przez okupanta niemieckiego uzyskiwał automatycznie moralny paszport, który mu otwierał drzwi i źródła pomocy całego społeczeństwa; prześladowany przez okupanta sowieckiego, nosił piętno człowieka, którego wstyd jest wyrzucić z domu, dlatego lepiej go unikać i nie przyjmować. — Nie staram się w tym miejscu zgłębiać związku przyczynowego tych nagich faktów. Po prostu je rejestruję.

* * *

Miałem przyjaciela o następującej staturze: wysoki, silny, zdrowy, jasny blondyn o klasycznym typie polskiej męskości; szlachcic z dziada pradziada, właściciel dużego majątku na Wileńszczyźnie; lat ponad trzydzieści, ukończone dwa fakultety uniwersytetu, aspiracje literacko-filozoficzne; katolik, oficer rezerwy, który przeżył kampanię wrześniową; żonaty i, jak to u nas mówią, ojciec dzieciom. — Abstrahując od kwali-
168

fikacji tych cech za złe czy dobre, należy przyznać, iż łączna ich komasacja stanowiła o typie raczej klasycznie odpornym na bolszewizm wszelkiego autoramentu, a to z wychowania,

tradycji, wykształcenia, sytuacji materialnej, nawet z kondycji fizycznej. Nie był to żaden cherlak z tendencją do załamania psychicznego, a wziął się od razu do siekiery, a później łopaty przy kopaniu odwadniającego rowu, przy którym ja pracowałem jako skarpiarz.

Gdy w przerwach odpoczywaliśmy pod sosną, mówił mi w lipcu 1940 roku: „Po prostu nie rozumiem tych bolszewików i koniec. Na czarne mówią białe, na białe czarne. To jakieś szaleństwo”.

Po miesiącu powiedział mi niespodziewanie:

— Wiesz, obrzydło mi kopanie tego błota. Chcę wrócić do miasta.

— Co będziesz robił?

— Eeee, może się wkręcę na jakiegoś nauczyciela do jakiejś szkoły.

W październiku zostaje inspektorem Uniwersytetu Ludowego. W listopadzie obejmuje w nim „katedrę” zasad leninizmu i stalinizmu. Od czasu do czasu pisuje zasadnicze artykuły w Prawdzie Wileńskiej.

Jeszcze przed wielkimi deportacjami porywają mnie na drodze agencji NKGB, przywożą do swej siedziby w gmachu b. sądów i trzymają bez przerwy na śledztwie 48 godzin. Wypuszczają po podpisaniu przeze mnie papierka, iż zobowiązuję się „pod groźbą kary za zdradę tajemnicy państwowej, nie wyjawić nikomu faktu mego aresztowania oraz przebiegu śledztwa”. — Na przekór wszelkim strachom nie robię wobec nikogo żadnej tajemnicy. Po kilku dniach zatrzymuje mnie ów cks-przyjaciół na ulicy, więc opowiadam mu również o swoim Incydencie w NKGB.

— Co ty mówisz?!

— A no. — Tak i tak, powiadam, że było. — A w końcu k;izali podpisać, żebym nikomu pod karą... nie mówił...

— Aa, w takim razie! — przerywa mi mentorskim podnieceniem palca — nie mów i mnie. Nie mów, nie mów. To jest działanie na szkodę państwa.

— Bój się Boga (nazwijmy go:) Mietek!

— Nie, nie, tego nie wolno — i ciągle ten wskazujący palec do góry.

169

* * *

Przed wojną kilku oficerów stacjonującego w Wilnie pułku zrobiło po pijanemu przykrą awanturę w jednej z restauracji popularnego „Macieja”. Gdy ktoś nazajutrz wyraził swe oburzenie, pan Maciej, uśmiechając się pobłaźliwie, kiwał głową:

— Czyż to zawinili panowie oficerowie? To wódka zawiniła.

To co się działo za okupacji sowieckiej, na pewno nie zasługuje na pobłaźliwy uśmiech, ale też z całą pewnością odnosi się nie do poszczególnych osób, a do psychosfery bolszewizmu w ogóle. Wszelkie przewidywania nagle zawodzą. Musimy się zgodzić, że bolszewizm wytworzył nowe kompleksy

(wzdragam się przed nazwaniem ich „wartościami”), które wyłamują się z dotychczasowych pojęć, kryteriów politycznych, ekonomicznych, erudycji historycznej — bo inaczej zawsze się rozminiemy z właściwą jego oceną.

* * *

Czasem znowuż mi się zdaje, że okupacja sowiecka przypomina ten obrazek z Ogniem i mieczem, gdy skazańcy, z samego tylko strachu przed Jeremim Wiśniowieckim, wieszali jeden drugiego, przynaglając: „prędzej, prędzej, bo On się będzie gniewał”. — Tak mniej więcej było podczas wyborów. — Jak to! Pan nie głosował?! Panie, nie rób pan szaleństw! Leć pan prędzej, póki nie jest za późno! Prędzej, prędzej!

W to, żeby w wyborach nie wzięło udziału 99%, nie wierzę, jakkolwiek niepolityczna może się wydać ta niewiara. W to, żeby ktoś wrzucał białą kartkę zamiast wyborczej, pustą, albo wypisywał na niej protesty, nie wierzę również. Bo nawet gdyby się nie bał, ludziom po prostu się nie chciało; nie było celu, sensu w ogóle.

* * *

Czasem mi się wydaje, że większość tych, którzy się wydostali spod okupacji sowieckiej, ulega pewnego rodzaju poczuciu wstydu, który bym nazwał wstydem fałszywym, gdyby się do miana tego w ogóle nadawał. Jest to raczej zwykła trudność zrelacjonowania przeżyć, które tak dalece nie są podobne do innych, tak bardzo odbiegają od schematu okupacji niemieckiej, a w każdym razie wyłamują się spod szablonu

170
relacji, które winny „podnosić na duchu”. Tym się tłumaczy niezmiernie skąpy zasób sprawozdań z okupacji sowieckiej (w zestawieniu z mnogą liczbą opisów więzień, łagrów, deportacji w głąb Rosji itp. — wszystko rzeczy względnie prostych i łatwych w ujęciu). Te zaś, które się spotyka, są jednostkowe, „wybrane”, reprezentujące godne zanotowania wypadki na tle tamtego życia, nie zaś życie samo i jego rzeczywiste tło.

Dopiero gdybyśmy bez obsłonek wyłożyli całą prawdę, bardziej szarą od szarugi mgły londyńskiej, gdybyśmy postanowili rzetelnie i uczciwie, nie tylko nie kłamać innym, ale i sobie samym — uzyskalibyśmy niejako wgląd w rozmiar tego potwornego niebezpieczeństwa, tego terroru psychicznego (wobec którego fizyczny był znikomy) i idącej za nim zarazy. Niebezpieczeństwa nie stojącego w żadnej po prostu proporcji do niebezpieczeństwa wszystkich innych najeźdźców świata.

Lwów I Wilno 1947 nr 48

171

UCIECZKA PRZED

„WYZWOLENIEM”

NA DROGĘ DO KALWARII

Liście

Okres, w którym liście zaczynają u nas w kraju opadać z drzew, łączy się zazwyczaj z okresem wiatrów. Gdy się idzie z

wiatrem, liście biegną z tyłu; gdy się odchodzi, wychodzi z kraju, są one jak wierne pieski, które toczą się po ziemi, odprowadzać kawałek drogi na ostatnie pożegnanie, czy też jak oswojone ptaszki, pisklęta rude, żółte, brązowe, śmiesznie i niezgrabnie podskakujące wydłużonym stadem i czepiające się cholew, albo nogawic spodni. Wiatr zadmie i w swoim dziecinnym ferworze liście jesienne robią minę jakby nigdy nie miały zamiaru opuścić wychodźcy, a owszem toczyć się za nim aż na kraj świata, a nawet go zawadiacko wyprzedzają na ścieżce. Zwłaszcza liście klonowe na swych pogiętych nóżkach, okręcają się młynkiem i wyczyniają tyle szmeru, że Acieżka wydaje się być żywa. Wierzyć im jednak nie można, (łała hałastrza zatrzyma, się raptownie i układa w błocie na płask.

Ale raptowny, jesienny wiatr przeskakuje na lewo i człowiek, nastawiając od tej strony kołnierz, nie może się oprzeć wewnętrznemu uśmiechowi, gdy widzi, że liście, które go zoczyły z tamtej strony drogi, zrywają się i pędzą w ukos poprzez koleiny, doganiając go wyciągnięta kolumną, zawsze z jakimś większym liściem, jak oficerem na przodzie, tylko po to, by powiedzieć do widzenia. Wszystko to są jednak czułości na niby. Wieleż to razy w życiu podnosiło się jakiś wyjątkowo piękny liść, w pierwszym odruchu przechowania go na pniniątkę, a nigdy do tego nie doszło. Po prostu pokręci się go

175

za łodyżkę i rzuci. A ktoś kto idzie z tyłu, nadeptnie, albo kołem przejedzie. Bo to się tylko mówi o wzajemnej miłości, a w gruncie bujda to wszystko. I cóż to może być za miłość pomiędzy człowiekiem i liściem? Fiuu! wiatr jesienny i tyle, chmury nad drzewami i drzewa, które mam w podejrzeniu, że szumią tak samo wrogowi, jak swemu. Cierpki zapach grzybów, kory i wilgotnego mchu, mgiełka nad rojstem i całe szczęście, że deszcz nie pada.

I znowu liście biegną z tyłu.

* * *

Gdy wychodziłem po raz ostatni z domu... (Ileż tragizmu mieściłoby się w tym wyświechtanym zdaniu w czasach, gdy prawo własności było tak święte jak ołtarz parafialnego kościoła!) Nie spojrziałem nawet na masę własnych rzeczy. Siekiera tkwiła w pniu? Niech tkwi. Walizki miał podwieźć naziutrz sąsiad, któremu zostawiałem całe obejście, bo choć to Pan Bóg dobry, a sąsiad ukradł mi kiedyś łańcuch od studni, ale zawsze lepiej, jak już zostawiać, to raczej na łasce sąsiada niżli na Boskiej opiece. Zresztą z tym łańcuchem to było dawno. A dziś wszystko jest dawno.

Nachyliłem się jedynie przed budą, ażeby pogłaskać psa. Spał, wyciągnawszy przednie łapy i na nich ułożył swój kudłaty łeb. Gdy go głaskałem na wieczne pożegnanie, ledwo otworzył jedno oko i tylko ogonem wewnątrz budy wystukał takt. Może myślał, że idę sobie po prostu do stajni, albo przez dziedziniec do wygodki. Ani przeczuwał, że to na zawsze, ani ani. Z tym przeczuwaniem psa to jest tak, jak z „żydowskim

nosem" w sprawach politycznych, który rzekomo na lata całe wyniucha wielkie zdarzenia. A później, gdy przyszła największa dla Żydów katastrofa, to zastała ich tak zaskoczonych, jak może być chyba stado ogłupiałych owiec. — Albo jak z tą przysłowiową „intuicją kobiecą", która je wiecznie naprowadza na fatalne związki, i każe później przeżywać dramaty miłosne. Boże, ileż to bujd się rozwłóczya po białym świecie! — Takoz z moim psem. Nazwałem go ładnie, po polsku: „Miś", bo był to owczarek podhalański, biały i puszysty. Jakkolwiek nierozzerwalne węzły mają łączyć nasz kraj z kulturą zachodnioeuropejską, po krótkim czasie cała okolica nazywała go wygodnie: „Miszka". Na sześć tygodni przed opisywanym rozstaniem zaczął nocami wyć. Powiada tedy stary Chont Igna-
176

w. cy: „Obojętnie wyje. Żeby nie na nieszczęścia jaka. Bo to wi-
JJ dzisz pan, pies, on czui. Bywa, że tak na pożar..."

Ani jednej iskierki! Dom został jak ta lala w środku wojny. I tylko liście biegly za mną w podmuchach wiatru, gdy stapałem ścieżką.

Za Krakowem, 20 stycznia 1945

Na dziesiątym kilometrze przed Kalwarią, we wsi wydłużonej przy drodze, w chacie, do której wchodziło się przez dziwny pomost przerzucony nad rowem, tliła lampka, nie rozpraszając cieni, nie docierając do kątów. W jejkim, na żółto wilgotniejącym i znów zamarzającym śniegu na szosie, piętrzyły się nieskończone kolumny aut, czołgów, wozów amunicyjnych, sanitarek. Do izby wciąż wchodziłi żołnierze niemieccy i stojąc przed płytą gotowali kawę. Ani źli, ani dobrzy, a tylko milczący z niewyspania. Nie spali też gospodarze i nie spaliśmy my, którzyśmy się wlekli tą upiorną drogą od samego Krakowa. Jedyłą drogą, która pozostała, do Włoch? do Portugalii? na drugi kontynent?... Z wojskowych płaszczy powoli ściekała wilgoć i kapala do kałuży po śniegu naniesionym butami. Nad ludźmi wisiał czarny od dymu i brudny niski pułap. W rogu obrazy świętych. Od otwartych drzwiczek pieca coraz to wyskakiwał czerwony blask, skakał na żołnierzy, na ich hełmy, manierki i gasł w kałużach bez syknięcia, Jak w niemym obrazie. Obraz przypominał mi te, przedstawiające odwrót Napoleona. Nie spod Moskwy tym razem, a z samego Carycyna. Obraz wielkiego odwrotu. Wszedł oficer o obwisłych policzkach inteligenta, w okularach, w takim samym zapluty błotem i wilgocią płaszczu. Ktoś doń z żołnierzy powiedział raz „panie majorze". — Staralem się drzemać i nie mogłem. — Nikt mi nie robił miejsca, ani też nie przeszkadzał trzymać manierki z kawą w wyciągniętej dłoni nad ogniem. — „Już trzeci dzień tak idą, trzecią noc spać nie da)H", stęknęła staruszka. Odwróciłem twarz w jej stronę. Głowa w chuście ginęła w cieniu; pomięte stopy zwisały spod Hpódnicy z wielkiego łózka, jeden pantofel spadł na ziemię i ułożył się na nim kot, drugi wisiał na palcach odsłaniając żółta piętę. — Co tam, głupstwo! Nie spać we... własnym domu. — W przerwach, gdy Niemcy wychodzili z chaty, młody pa-

robczak o klasycznych rysach polskiego typu kończył przerwana dyskusję:

177

— Może oni tam dla wielkich panów i straszni, Sowietci.

Ale nam co oni zrobią złego?

— Żeby to — odburknąłem osowiałym językiem. — Panów dziesięć tysięcy to im łatwo zdusić gołymi rękami. Nie o panów się rozchodzi. Ale im trzeba przydusić miliony narodu. — Eee, takie to tylko gadanie!

„Za późno”. Za późno już na dyskusje. Nie dlatego, że świtać zaraz zacznie, a tak, w ogóle, za późno i już. Wstałem i prawie po omacku wyszedłem do sieni, które pachniały mąką i smarem do kół, otworzyłem drzwi na ganek. Dzień jeszcze się nie robił. Na drodze maszyny wryte kołami w śnieg i milczące. Zator w odwrocie. Niebo trochę, troszeczkę pojaśniało. Na jego tle rozczapierzone gałęzie wielkich drzew przepuszczały smugi wiatru. Wiatr dał odligą. Ktoś tam na czele kolumny wyrzaskiwał rozkazy, czy przekleństwa niemieckie. Serce ciążyło jak ołów. Mmmmała rzecz! — opuszczać kraj... Może to i lepiej, że jest tak lekko, błotno, zimno. — Wyszliśmy z Krakowa piechotą, w ostatniej już chwili, gdy słychać było bróń maszynową. Rzeczy rzuciliśmy w bramie przy ulicy, przypominam sobie, Potockiego 2. Z jedną walizeczką, w jesiennych paltach, na most na Wiśle... Ale to nie od Krakowa się zaczęło, to się zaczęło o kilka lat wcześniej.

Nigdy już...

Pamiętam ten dzień letni, słoneczny, pachnący żywicą, gdy wszystkie kwiaty stały na swych łodygach i pszczoły tylko „bzzzz” przelatywały z jednego na drugi. Był to dzień spokojny po dwóch dniach i nocach nieustannych nalotów, walk powietrznych, wizgu i gruchotu bomb. Był to dzień 24 czerwca 1941 roku. Żona raz wreszcie mogła zasnąć, a ja z Kaziem B. graliśmy na werandzie w szachy. Od Solenik dochodziła nieustanna paplanina armatek pancernych. Gdzieś znaczy, na dostępach Wilna, toczył się bój czołgów. Ale u nas było cicho.

Naraz wyrósł i zbliżał się turkot motoru i samochód, płaska, sowiecka ciężarówka w pędzie biegła drogą za furtką. Dwóch bojców trzymało swe wintówki w pogotowiu, z trudem utrzymując równowagę, a oficer stał i nerwowym ruchem to rozpiął, to zapinał kaburę pistoletu. — Skoczyliśmy do płotu potracając stół, aż królowa „białych” potoczyła się po werandzie. Wzdłuż drutów telegraficznych jęknęły kule nad naszymi

178

ml głowami. — „Strzelają za nimi — powiedział Kazio. — Poczekać, włożę buty”, bo był bosy. Jakby to była najważniejsza rzecz wkładać buty, gdy historia przewala się pod gankiem.

Pomknąłem z powrotem po schodkach, kopnąłem królową „białych”, która mi leżała na drodze, wbiegłem do pokoju i szarpiąc za ramię obiecałem żonie, jak tego ongiś pragnęła:

„Nigdy już bolszewicy!”...

Mówiono mi kiedyś, że wyraz, oddający nasze „nigdy

już...", nagrodzony został rzekomo na jakimś międzynarodowym konkursie literackim jako najbardziej tragiczny, jako zamykający coś w trumnie przeszłości, czego się nie da więcej wskrzesić żadną mocą naszej planety. Nie wiem, czy w okresie tego konkursu generalny sekretarz kompartii, Józef Stalin, doszedł już był swej dyktatury. Nie wiem też, czy jury literackie zastanawiało się kiedy nad intensywnością ludzkiej nadziei wyjścia raz na zawsze z oblasti największej beznadziejności, jaką tworzy strach w połączeniu z nudą? Dla mnie ten wyraz był w tej chwili, nie powiem najweselszy, powiem raczej najwięcej obiecujący na świecie. Wojna otwierała szluzę i znów woda płynąć zaczęła wartkim potokiem, a niech sobie sto razy ma kolor krwi! Lepsza jest sama nawet krew płynąca strumieniem, od zastałej, zastygłej, lepkiej sadzawki gnoju.

Od tych to właśnie słów: „nigdy już” się zaczęło, bo raz wyrzeczone, stały jak uwiązana kobyłka u płotu. Nie było więcej wyboru.

Dnia 30 lipca 1944 r. przyjaciel mój namawiał, bym został. Staliśmy wtedy na chodniku Alei Jerozolimskich w Warszawie, a jemu się zdawało, że się waham. Przez Wisłę z Pragi riagnęły czołgi niemieckie w odwrocie. Jakoś ten rytm powolny, ten tylekroć słyszany zgrzyt żelaza, a przecież przypominał mi nagle pierwsze wrażenia sprzed lat, gdy szły tak samo ze wschodu na zachód sowieckie, w tryumfalnym pochodzie, a później wkraczały do miasta oblepione czerwienią, wiwatownicze przez rozmaitą hałasną uliczną. Wszystko co było między tym pierwszym wrażeniem i dniem obecnym stanęło mi nagle w pamięci, i gdy słuchałem perswazji przyjaciela, to miałem uczucie, jakby mi wciskał do ręki sznurek, sznurek ikl ciężkiej zasłony, za który mam dobrowolnie i własnoręcznie pociągnąć, aby zasłonę opuścić i perspektywę przed sobą

179

zamknąć. Zasłonę, za którą jest duszno. Nie nazywano jej jeszcze wtedy „żelazną kurtyną”. Brrrr, ocknąłem się z zamyslenia. — „Chodź lepiej na wódkę” — powiedziałem, żeby się otrząsnąć.

I tak się zaczął ten odwrót z miasta do miasta, jak spadanie z drzewa, gdy się człowiek łapie po kolei za każdą gałąź.

Na lewym brzegu Wisły

Jesień na lewym brzegu Wisły jest inna niż w naszej tajdze, która się zaczyna w Prusach Wschodnich i z małą odmianą drzewostanu i fauny, ciągnie się lasami aż w głąb Syberii. Prawdziwie polska jesień, co to dzień po dniu jest granatowa od nieba i złota od liści, spaceruje właśnie gdzieś po dopływach Pilicy, Warty, aż po stoki Tatr, przeskakując w tym miejscu na prawy brzeg „rodzicy”. Układałem sobie nawet w myśli trochę banalnie szablonowy wstęp do melancholijnych wspomnień na przyszłość, o tym jak to „piękną jesienią błogosławiła nas Polska na wygnanie”. Nic z tego nie wyszło. Czepiając się kraju jak tych wspomnianych gałęzi, zatrzymaliśmy się w Krakowie aż do zimy, która jest tam ob-

skurna. Ale przedtem zahaczyliśmy o Częstochowę.

Wcale nie żałuję, że w lata wojny nie wędrowałem po dalekich krajach i morzach. Tamci panowie byli jak turyści, a my — jak historycy. Od litewskich blinów kartoflanych, które zjadali na naszym podwórku żołnierze hiszpańskiej „Błękitnej Dywizji” (jakże czekał na nich nasz Miska!); od grobów smoleńskich, od masakry getta, od ruin Warszawy, aż tu, po zamek na Jasnej Górze, to jakby Potop przeżywany osobiście w różnych jego postaciach i zwielokrotnionym stadium. — Obraz Matki Boskiej pozostał nietknięty; wisały vota i ciężkie, ociekające srebrem świeczniki; w krużgankach i korytarzach cicho było, tą wilgotną ciszą historycznych murów, tym spokojem wieków, majestatem starości, który zbyt dużo rzeczy widział, by mu się przyszło wzruszać widokiem nowych z naszej perspektywy, ale nie z perspektywy tego, co się już nieraz przewalało u stóp Jasnej Góry. U tych stóp teraz szły furmanki. Nieskończone ich sznury, kozackie i ukraińskie telegi uchodźców. Ludzie, którzy w nich jechali, mieli ten specjalny wyraz, jaki nakłada maska wojny: otepienie przez wyczerpanie. Były to twarze zesmagane wiatrem na jucht. Byli tam starzy i młodzi ludzie, w barankowych czapkach, z któ-

180
rych niektóre z kozackim czerwonym denkiem, w kubańskich papachach, ludzie w łachmanach i szynelach jeszcze z carskich chyba magazynów wojskowych. Były kobiety stare i młode, a wśród nich takie, do których można by się uśmiechnąć, gdyby uśmiech stanowił w tej chwili jakakolwiek wagę gatunkową, jakakolwiek treść, znak, znaczenie. Patrzyła na tę wędrowkę wielka Matka Boska umieszczona w murze, z wyrazem nieskończonej powagi. A oni tylko patrzyli przed siebie, na drogę. Kudłate, różnomastne konie ciągnęły po prostu za orczyk wprzągnięty do boku czasów, które już raz były, są i będą, a którym doprawdy nie ma co się dziwić. I takie niebo granatowe już było, i tak samo płynęły obłoki, i z tą samą regularnością złocić się będą liście każdej następnej jesieni za lat tysiąc i więcej. — Czasem uwiązana u wozu szła krowa. Ale telegi były puste. Znać, że po drodze znad Donu, Kubania i Dniepru wszystko już zżarto, sprzedano, wymieniono. Nie byli to ludzie gnani na przymusowe roboty do Niemiec, jak inni. W gruncie nie było w ich wędrowce celu innego poza tym jednym, że pozostawanie na miejscu było jeszcze bardziej bezcelowe. Jechali więc, ot, dopóki koła się toczą. Dopóki wiatr dmie, dopóki liście biegną po drodze. A groziło Im to samo: ustanie i wtedy utkną gdzieś w błocie. Utknęli, Jak wiadomo.

Gdzieś jakaś godzinę wystukał zegar. Turkot stawał się monotony. Kurz układał się jednostajnie. Oczy bolały od obracających się szprych. Jechali do późnego wieczoru.

Tego dnia rozpoczęła się łapanka na przechodniów. Noco- waliśmy u rodaka, który żądał tysiąca złotych za nocleg. W przykry sen wkradał się dochodzący z pobliskiego rynku ryk lwa, gdzie rozbiła swe namioty pałętająca się po świetle węd-

drowna menażeria.

Most

Bolszewicy obskoczyli Kraków ze wszystkich stron naraz. Ich uderzenie od Baranowa było wspaniałe. Kliny wbijane czołgami w teren, powtarzały taktykę niemiecką z roku 1941. Na dworcu kolejowe niektórych miast zagony tych czołgów wdzierały się w chwili, gdy stamtąd odchodziły jeszcze normalne pociągi osobowe kursujące według rozkładu. Niemcy uciekali pod wagony.

181

Był 18 stycznia 1945 roku. Z Krakowa pozostała jedyna droga wolna na Kalwarię. W mieście łamano już składy, rabowano sklepy i kantyny niemieckie. Od ulicy Długiej dochodziła długa seria ckm.

Wolałbym iść przez to miasto z zamkniętymi oczyma, ażeby nie widzieć tych podnieconych rozradowaniem twarzy. Szliśmy prędko. Śnieg chrupał, niebo się wypogodziło, słońce świeciło. Prędzej, prędzej! Nonsens tej uciechy z wkraczających do królewskiego Krakowa bolszewików zapierał dech. Walizka nie była ciężka, ale iść było ciężko. Słońce grzało, choć był styczeń, i krople potu biegły po twarzy za kołnierz jak nieznośne mrówki.

O tym, co się działo, rozmawiałem z pewnym znajomym w drodze, trochę później już, siedząc nad rowem w śniegu. — „Czemu się pan zżyma — powiedział. — Sam słyszałem, jak czekano Niemców w roku 1941, żeby przepędzili bolszewików z Ziemi Wschodnich. Tu czekają bolszewików, żeby przepędzili Niemców. To jasne i to jest zupełnie to samo. — „Nie, to nie jest to samo. Wtedy, w roku 1941, wojna się dla nas rozpoczynała, otwierając nieobjęte horyzonty nowych możliwości, stwarzając nadzieje, chociażby były złudą tylko. Teraz, w roku 1945, wojna się kończy, zamykając horyzonty nowymi możliwościami. Nie ma już nadziei, a złudzenia mogą mieć tylko ślepi, albo głupcy”.

— Chodźmy już, chodźmy!

Przy moście Zwierzynieckim nad Wisłą stały karabiny maszynowe oddziału SS. Ulice tu były puste. Gdyśmy już przeszli połowę mostu, wrzasnął nagle jakiś strażnik:

— Sind Sie Polen oder Deutsche?!!

— Polen — odpowiedziałem, zatrzymując się w środku.

— W takim razie precz z mostu! Z powrotem! Po lodzie możecie sobie przechodzić!

— Ależ my chcieliśmy tylko...

— Precz z mostu, mówię!!!

Nigdy chyba nie odczułem bardziej jak wówczas, robiąc tych kilkadziesiąt kroków wstecz po moście, tej psychicznej nędzy, która stwarza w poniewierce zupełne osamotnienie. Nawet liście szamotane burzą mają tę pociechę, że lecą bezładną, ale kupą.

Wisła leżała pęknięta wzdłuż i ciekła środkiem lodów, niosąc drobną krę. Żona była w pantoflach, ja w półbucikach;

182

głęboki śnieg zawałił brzegi. O przejściu rzeki nie było w ogóle mowy. — W powietrzu, wysoko, przeświecając metalem w słońcu, dzwoniły dyszkantem pikujące samoloty wroga. Z tej czy tamtej strony nie było swoich, wszystkie należały do wrogów. Dalej leżał Kraków, wyciągając ku górze dymy kilku pożarów. — Zatrzymaliśmy się u progu mostu, bezradnie i w ciągu tych kilku sekund wchłonąłem po raz ostatni ten ponury, choć oświetlony słońcem krajobraz. — Jakiś oficer SS krzyknął, żebyśmy nie stali i nagle, zmieniawszy ton, podszedł i zapytał, co tu robimy. Odpowiedziałem, że strażnik nie puszcza nas przez most, bo jesteśmy Polacy, a przecież lodem przejść niepodobna. Przez chwilę patrzył spode łba i nagle, odwracając się do swoich, zawołał:

— Ach! dajcie przecież tym ludziom przejść! — machnął przy tym ręką, jakby nagle i on miał już raz tego wszystkiego dosyć.

W ten sposób wkroczyliśmy na drogę do Kalwarii.

183

WIĘZIENIE, BAZAR, POLE BITWY

Luty roku 1945, Wiedeń

„Dokąd właściwie?” — pytali zazwyczaj ludzie. — „Na zachód, jak najdalej na zachód i ciągle dalej”. — Bardzo często wzruszenie ramion. — „Był pan kiedy obywatelem sowieckim?” — Wzruszenie ramion. — „Aha, a ja byłem przez rok!” „Po co przy tym tak gestykulujesz?”, zwracano mi uwagę. „Kto nie był, tego nie przekonasz żadnym gestem”.

Zachód z ówczesnej perspektywy wydawał się być niebem. Do tego nieba szło się przez czyściec, który leżał na drodze w postaci walącego się w gruzy Grossdeutsches Reich Adolfa Hitlera. Dlatego czyściec, że właściwe piekło pozostawało z tyłu. Naturalnie rzeczy należy omówić. Sądzę, iż piekło winno być instytucją ściśle indywidualną, rzeczą dopasowaną osobiście, jak ubranie na miarę. Winno streszczać to wszystko, czego poszczególny człowiek najbardziej nie znosi i czego się przede wszystkim boi. Ja osobiście bardziej boję się brutalnego wrzasku, popychania, kopania i chamstwa, aniżeli bomb. Jeżeli ktoś inny natomiast boi się bomb kruszących i zapalających, ten w drodze na zachód trafiając do Niemiec, wpadał nie w czyściec, a swoje własne piekło. — Za to nie było tu „sztrajr i łapanek jak w Generalnej Guberni; przez cały okres raz tylko, w bałkańskiej knajpie na Praterze w Wiedniu, wypadło mi stać z podniesionymi do góry rękami. Ba, ale gdybym tam nie był poszedł dlatego, że mój przyjaciel szukał prawdziwej, ziarnistej kawy...

Bomby były codzienne, regularne, systematyczne, pękające ze strasznym hukiem, walące całe dzielnice na miazgę.

184

gruz, krew. Były jak obiad powszedni, prawie co do godziny dzień-po-dniu, od strzałki na jedenastej w południe do trzeciej, czwartej, czasem piątej. Pozostawiały za sobą zaduch zburzonych murów, pokaleczone drzewa, firanki okienne ciśnięte na tramwajowe przewody. Zresztą to samo co wszyscy

ludzie mniej więcej znają z okresu wojennego, z tą tylko odmianą, że ilość wytwarzała tu specyficzną jakość.

Niemcy w ostatnich miesiącach przed katastrofą przedstawiały naprawdę niezwykle konglomerat, coś pośredniego pomiędzy więzieniem i wschodnim bazarem. No i oczywiście, polem bitwy. Nigdy chyba Europa na przestrzeni swych dziejów nie przeżyła podobnej wędrówki nie jedno-, a wielokierunkowej, krzyżującej się w jej centrum. Od Pirenejów do Wołgi, od Hammerfestu do Cypru, Sycylii. Niemcy trzymały w obozach koncentracyjnych setki i setki tysięcy ludzi. Deportowały z podbitych krajów na przymusowe roboty do swych fabryk, miliony. Ześrodkowały w sobie uciekinierów, przeważnie ze wschodu, również cyfrę o wielu zerach, a nie dającą się bliżej określić. Obozy jenieckie położone na wschodzie szły też na zachód — dobrowolnie, przed zbliżającą się armią czerwoną. Na żer też zlecieli się spekulanci, kombinatorzy, kanciarze. Relację ścisłą z tego niesłychanego w dziejach zjazdu narodów, na który nb. dzień i noc spadały materiały wybuchowe największych mocarstw świata, utrudnia znacznie okoliczność po tej wojnie najbardziej znamieną: mianowicie zbiorowe, spontaniczne łgarstwo. Dziesiątki tysięcy deportowanych do robót kłamią, że siedzieli w obozach koncentracyjnych; dziesiątki tysięcy dobrowolnych uchodźców kłamią, że zostali deportowani. Ani jeden człowiek nie przyznaje się, że handlował z zyskiem, spekulował, królował na czarnym rynku i czarnej giełdzie. Ani jeden, że obrabiał interesy z władzami, nawiązywał osobiste i spekulacyjne stosunki z Niemcami, wykorzystywał je, rozjeżdżał i sprzedawał wszystko, co jeszcze w Europie było do sprzedania, a skupywał złoto i dolary. A przecież to właśnie było senem i treścią ówczesnego życia, nie jakiejś uprzywilejowanej, Kornej warstwy, a nieprzebranych mas wykolejeńców, których rosnącej liczby w końcu już żadna siła, ani żaden aparat państwowy nie były w stanie skontrolować.

Tymczasem w powietrzu dudniły fortece latające. Alarm! I 1. Polacy, Bułgarzy, Turcy, Polacy, Serbowie, Litwini, Kroaci, 185

Słowacy, Czesi, Francuzi, Rosjanie, Słoweńcy, Węgrzy, Rumuni, Albańczycy, Łotysze, Tatarzy, Estończycy, Włosi, Ukraińcy... na przeciętną ilość 50% Niemców pchało się do Luftschutzraumów i czekało, czekało godzinami. To istotnie był czyściec. Ale bo też i ludzie umieją być cierpliwi!

Nie było między nimi tylko Żydów i Cyganów.

Chory ojciec portiera

Na dworcu w Boguminie kolejarz Czech za ćwiartkę wódki monopolowej kupił nam normalne bilety do Wiednia.

Wsiedliśmy, jakby nigdy nic. Przyjechali. Był dzień pochmurny, odwilż. Nie było nad głową wielkiej, dworcowej szklanej hali. Zwisłały pogięte, pordzewiałe żelaziwa. Rozbite ściany. Przykry chłód z niewyspania chodził po kościach. Nie mieliśmy nic. Nie mieliśmy przede wszystkim doświadczenia. Mieliśmy: jedyny adres datujący się sprzed trzech lat, znajomej

Rosjanki na Porzellangasse 49, dwa litry wódki, kupionej na terenie Czech, i trochę tytoniu. Brudni, nie goleni, głodni, w sam raz do tego miasta, słynnego ongiś wszystkim czym słynął Wiedeń, a na którego ulicach leżał dziś śnieg topniejący, nie sprzątny, utkany szczecina śmieci. Pustymi oczodołami ziały trupy domów i kiwał się na rogu odszarpnięty szyld, obiecujący dobrą, wiedeńską kawę i wyśmienite pieczywo. Drzwi zabite deskami na krzyż.

Nikt nie zapytał o dokumenty: „Ależ to zupełnie proste!” A jednak straszne wydały się te pierwsze kroki.

Porzellangasse 49 stał nietknięty. Adres się zgadzał. To nie Rosjanka była ta młoda kobieta, to był anioł z nieba. Dała się umyć, przebrać, nakarmiła. Zaprowadziła nas do położonego obok Franz Josef Bahnhof małego hotelu Eggerlander. Wywiązała się tam następująca scena: portier, jak każdy portier na świecie, unoszący głowę znad rozłożonej księgi, zapytał czym może służyć. Pokojem?... Poblązliwy uśmiech i zdumione rozłożenie rąk. — Próbuje tłumaczyć. — Portier uśmiecha się w sposób podkreślający niewiarę w moją tak niesłychaną ignorancję:

„Jak to pokój? Ma pan kartkę z Wohnungsamtu? Nie? No więc, cóż ja mogę zrobić? Ależ ja rozumiem, że pan jest bez dachu nad głową. Setki tysięcy ludzi jest w tej chwili ausgebombt i bez dachu, jak pan w ogóle kommt dazu, żeby pokoju szukać w hotelu! — (Częstuję go papierosami.) — Hm, prze-
186

cięż pan rozumie chyba, że gdybym nawet chciał, ja pokoju po prostu nie mam, nie mam i koniec... (Kładę pudełko tytoniu.) — Może pan spróbuje w innym hotelu. — (Sięgam jeszcze raz do kieszeni.) „Czy ma pan coś z gatunku Baczewskiego?” — „Mam — odpowiadam — prawie Baczewski, monopolowy”. „O, bo widzi pan, ja nie pijam, ale mój ojciec jest chory na żołądek”.

Stawiam pół litra na ladę. Portier jedną ręką chowa je, drugą sięga po klucz i mówi najbardziej zawodowym głosem: „Drugie piętro, numer 38”.

Pół piętra jest puste.

Po tygodniu portier zwraca mi uwagę: „Niestety, nikt nie może mieszkać dłużej ponad tydzień”. — „Jak jest ze zdrowiem pańskiego ojca?” — „Och, ciągle cierpi”. — „Z przyjemnością przyjdę mu z pomocą”.

Jeszcze tydzień.

Egzystencja

Kukułka. Voralarm. Pełny, ostry alarm. Bomby, bomby, bomby. — Wyszedłem ze schronu jak większość ludzi, już trzeci dzień bez obiadu. Wieczorem tzw. Stammgericht, to papka brukwi z kartoflami. Można zjeść tego dwie porcje dodatkowe. Jedna z największych restauracji Wiednia, w podziemiach ratusza, „Rathauskeller” wypełniona jest po ostatnie krzesło. Od godziny 6 wieczorem kolacja na kartki. Na sali ani jednego Niemca. Słychać wyłącznie języki bałkańskie, na drugim miejscu litewski, na trzecim polski, poza tym tro-

chę francuski. Tu się załatwia wszelkie transakcje. Stąd się wyjeżdża w świat. Bogaci kierują się prawie wyłącznie na granicę szwajcarską. — „Przecież Szwajcarzy nikogo nie wpuszczają”. — „Oczywiście, nikogo nie wpuszczają”. — I rozmowa toczy się dalej. Ludzie uważają za rzecz tak szalenie naturalną, że słowa „nie wolno”, „nikt”, „nikogo” itd. dotyczą tylko dolnej granicy pewnego stanu finansowego. Wyjątek stanowią Żydzi. Tych w wielu wypadkach nie ratują największe nieraz pieniądze.

Ażeby uprzytomnić sobie ówczesną strukturę bytowania, gdyż życiem je nazwać trudno, należy zdać sobie sprawę z wyjątkowo ostrych, darwinistycznych form jakie przybrała walka o byt. Polacy w tej walce są z góry upośledzeni, ze względu na warunki zewnętrzne, które wytwarza dla nich śle-

187
pa, osobista animozja Hitlera. Polacy muszą nosić literę „P” i nie wolno im robić setek rzeczy, które robią inne narodowości. Nie znaczy to, żeby tę literę obnosili jeszcze po Wiedniu, ale za to czują się mniej bezpiecznie. Bałtowie, Kozacy, Tatarzy, Ukraińcy, Jugosłowianie itd. mają swe komitety oficjalne. Polacy za wszystko czego nie mają muszą dopłacać. Stąd sprawa fałszywych dokumentów stanowi stałą pozycję „wyrównania”, której muszą udzielać w konkurencji.

J

Voralarm. Alarm

Dziś wyjątkowo wcześnie. Za ledwie godzina dziesiąta minut czterdzieści pięć. Zazwyczaj zabawa ta zaczyna się punktualnie pomiędzy wpół do dwunastej i dwunastą w południe. Regularność ułatwia nieco planowanie zajęć prywatnych. Od godziny dziesiątej tłumy opuszczają swe mieszkania i pchając wózki dzieciinne, niosąc walizeczki, taszczy też składane krzeselka, po czym wszystko rozsiada się w okolicach jednego z wielu znakomitych schronów, które znajdują się w centrum miasta i czeka na przyłot Amerykanów. Kobiety robią na drutach, przygrzewa lutowe słońce, tu już po wiosennemu ciepło, dzieci się bawią. Jezdnią cieknie woda. Inni usiłują jeszcze coś załatwić przed... nie mówi się przed południem, a „przed nalotem”, albo „przed alarmem”. Godziny popołudnie nazywają się „po alarmie”. W międzyczasie Bezirki miasta szczególnie nawiedzane przez bomby, pustoszeją kompletnie. W sklepach materiałów piśmiennych każdy się może zaopatrzyć w mapkę o numerowanej podziałce terenu i gdy radio co kilka minut lub sekund od rozpoczęcia alarmu zacznie nadawać pozycję samolotów, można śledzić ich lot, ich kierunek, snuć przypuszczenia, aż przyjdzie ten moment i dla nas, w którym na chwilę umilkną wszystkie dzienne sprawy, bo z głośnika pada wyrok: „Stadtmitte!” Środek miasta. Cisza pochylonych głów. Później ziemia zaczyna stękać, a często drży jak w konwulsji.

Tego to wczesnego ranka bito właśnie w sam środek, w uniwersytet, w Burgtheater, w Ratusz, Parlament, po Ringu, po parku, a specjalnie uczeplił się jakiś lotnik kościoła Votiv-

kirche. Sześć bomb usadził na placu wokół, połamał wszystkie drzewa, rozwalił restaurację serbską na rogu, do której

188
właśnie umówiliśmy się tego dnia na obiad i jedną tylko bombą zaczepił schody kościoła. Nie trafił.

W schronie zawiera się zazwyczaj bardzo ważne znajomości. Tym razem była to „Ukrainka” z Prużany pod Puszcą Białowieską. Oczywiście, nie umiała ani jednego słowa po ukraińsku, ani po niemiecku, ani po żadnym, tylko z wileńska po polsku.

„Można się wydostać i przedostać do Włoch za dokumentami kozackimi — mówiła szeptem. — Do Udine, a stamtąd to już...”

„Wiele to ma kosztować?”

„Tylko tysiąc marek od osoby”.

Było to w czasie, gdy wydany został najsurowszy zakaz podróżowania dla wszystkich w ogóle osób bez specjalnych zezwoleń wojskowych.

A jednak jak się ludzie potrafili urządzać! Można by pisać nieskończone sagi rozmaitych rodzin, które dokonywały rzeczy na pozór tak niemożliwych, jak przejazd na księżyc. Taka na przykład rodzinka, składająca się z energicznej i zdolnej mamy, dwóch synków, dwóch córeczek i dwóch zięciów, która zmieniając narodowość, zmieniając dokumenty, nawet Język potoczny w domu, boczkiem-boczkiem wycofywała się z (ego ukropu, ciągnąc za sobą kosze bagażu, podwajając go i zarabiając po drodze, boczkiem-cichcem po przekątnej całej Kuropy znad granicy łotewskiej, a dziś szukać by jej na cyplu południowej Ameryki! Epopeja. Trzy razy wybombowana z mieszkania w jednym tylko Wiedniu. W Niemczech uchodziła za ofiary bolszewizmu, wśród demokracji za ofiary nazizmu. Życie trzeba, trudno.

Decyzja

W dzielnicy przy Ostbahnhof, codziennie odwiedzanej przez bombowce, na odcinku Prinz-Eugen-Strasse, pozostał tylko jeden dom możliwy do zamieszkania, w nim pensjonat i w tym pensjonacie bez szyb, bez ram okiennych, bez wody, światła, gazu i klozetu, bez windy i telefonu, mieszkał wciąż mój znajomek od wspólnych planów podróźniczych. Jestem u niego o dziewiątej rano, przy najgorszej pogodzie, to znaczy przy błękitnym niebie z wolno płynącymi na północ cumulumnml. Słońce bawi się wśród fantastycznych cieni, jakie rzu-

189
cają potrząskane domy. Zranione drzewo ocieka wiosennym sokiem. Zza muru, usianego piegami odłamków, który otacza park Belwederu, dochodzi ćwierkanie ptaków. Tłumy mieszkańców już spieszą ku centrum do swych dusznych, codziennych schronów. W takiej chwili tęsknota za przestrzenią, za odlotem do dalekich, spokojnych krajów, ostra jest jak kolka w sercu.

Z entuzjazmem rozwijam plan ewentualnej Kozakiady.

Ale mój znajomek jest pełen sceptycyzmu.

„To banda — powiada. — Poza tym chodzi przecież o całą grupę osób, gdzież oni wszyscy biegać będą za Kozaków. Jeszcze pikę każą wozić. Wyobraź pan sobie naszego drogiego prezesa z piką pod pachą!”

„Eee, ja widzę, że pan jest dziś w dobrym humorze”.

„A co by pan powiedział, żeby przedzierzgnąć się w Tatarów? He? Jak to jest z tym polskim przysłowiem, że Tatar nad Kozakiem górą? Oni podobno wybierają się też do Włoch, ale nie do Udine, a do samego Mediolanu”.

„Nie umiem rzucać arkanem”.

„No proszę, kto jest dziś w dobrym humorze!”

I w tej chwili stało się najgorsze. Ostry, wielki alarm bez uprzedzenia. Załedwie godzina dziewiąta minut trzydzieści.

Coraz wcześniej.

„Zwariowali czy co, do cholery!”

Gdy zbiegamy po cztery schody, gwizdże już, przecinając powietrze pierwsza bomba. Za późno na szukanie innego schronienia jak płytkiej piwnicy, której okienka, dawno wybite, wylażą na powierzchnię. Tymczasem Amerykanie okładają dzielnicę „dywanem”.

Hen, gdzieś w nie pamiętne atmosfery odeszła cała przeszłość życia. Nie zostało z niej nic. To co jest, zawisło na przestrzeni pomiędzy gwizdem bomby i jej wybuchem. Fakt, że linia lotu jest zawsze krzywa, że zatem płytka piwnica od ulicy chroni nas w minimalnym stopniu, jest tak ważny, że niebo i ziemia, słońce i powietrze wydają się atrybutami niesłychanie podrzędnego gatunku. Mija godzina, która zawiera 3600 sekund. A decyduje nie 20 czy 40 lat życia, decyduje każda sekunda. Kto by pomyślał o słowie „dywan”! Bombenteppich — mówią Niemcy przez radio. Kamienica się kiwa. Strop piwniczny pęka. Głowa, która od pierwszego potężniejszego ku do-

190
łowi gwizdu zdawała się pusta, wypełniona jest teraz hukiem. O ściany domu uderza deszcz odłamków, kamieni, cegieł, a można rozpoznać nawet jak idzie w drzazgi ciśnięta o parter gałąź drzewa. Nagle bury kurz kłęбами wdziera się w okienko.

I znowu idzie ku ziemi ten gwizd, jakże straszliwie, organicznie znajomy! Leci-leci-leci-leci...

Minęło jeszcze pół godziny. Mamy za sobą 5000 sekund nie liczonych wprawdzie, ale zupełnie pewnych, wydartych, wyszarpanych nerwami, wywalczonych losem... i oto świszczy — gwizdże-gwizdże-gwizdże... W takiej chwili jest się jak gracz, który postawił cały majątek, potroił go, udziesięciokrotnił, utysiąckrotnił, powiększył do sumy razy pięć tysięcy czterysta i nie zmniejszając banku, ciągnie dalej kartę... Od huku ciemnieje w oczach. Nie, to zawałiła się kamienica sąsiednia. Następna ręka: znów leci... Dla kogo dziewiątka? Jeszcze raz dla mnie? I znowu leci! Jak Bóg na niebie, tym razem prosto w nas... już nie gwizdże, już wyje-wyje... i palce trzymające kartę życia zaczynają drżeć. Gdybyż to jeszcze raz wygrać, ostatni raz i móc wstać od stolika, nigdy nie brać

kart do ręki za Boga Ojca... Świat się wali! — A przecież nie-
dbale otrzepując kurz, człowiek mówi jakby od niechcenia,
tylko trochę przez zęby: „o ho-ho”.

Dwie godziny i kwadrans.

Gra się skończyła, pomówmy o rzeczach poważnych:

„Więc uważa pan, że najlepiej przedzierać się po tatarsku
do Włoch?”

„Stanowczo. Świetna okazja”.

Słońce świeci, płynie wiosenna woda szynami tramwajo-
wymi. Wagon przewrócony tworzy tamę. Bulgocząc zbiera się
tu kałuża. Po niebie wiatr rozciąga cumulusy przeciwlotni-
czych pocisków. Za chwilę rozdmucha je, rozpędzi, oczyści
linament. Idąc, wymijają się rażno wyprute na ulicę brzuchy
domów.

Na placu pomnik feldmarszałka Schwarzenberga w jego
wplzowej, tryumfalnej potędze, w jakiej się zwykło budować
ntuty zwycięzców, jedzie na swym wspaniałym rumaku jak
lunatyk w pustkę, jak śmieszny ignorant, nie widząc otacza-
lucj go ruiny i kompletnej, ostatecznej klęski.

191

„OSTTUERKMBNISCHB WAFFEN SS”

Na stokach marzeń

Nadzieja była najcenniejszym składnikiem myśli, a zimno
najdokuczliwszym cierpieniem ciała. Ułożony na małym wy-
stępie, jedynym, który w tym miejscu nie był spadzisty,
utrzymanym przez korzenie trzech drzew, dębu, jodły i sos-
ny, na wysokości pół tysiąca metrów, można się było nagrzać
trochę lutowym słońcem. Z tej strony zbocza śnieg już był
spłynął. Wąska szczelina źródeł rzeki Drawy, Alp Karnijskich,
stanowiła krawędź, a zarazem przeskok do krainy najpięk-
niejszych marzeń, jakie mogły się rodzić w umyśle człowieka
po sześciu latach NKWD, Gestapo, bomb, ruin i życia bez ju-
tra. To jutro było za górami jeszcze, a zdawało się tuż-tuż. Po
wyobraźni chodził jakiś rozdział z niedawno przeczytanej po-
wieści Knittla o malarzu, który wybudował dom w takim
miejscu Alp, w którym zaczynają już one spadać w południe,
w południe słoneczne, dolinę Lombardzką, w Italię, w ciepło i
jasność, het, het. Niektórzy ludzie upierają się, że Europa
sięga tylko do Neapolu, a dalej już Afryka i Afryka i takie
przestrzenie, o których ptaki tylko powiedzieć mogą coś do-
kładnego. Były to oczywiście marzenia na miarę szkolnych,
tak jak łatwa i uproszczona jest szkolna mapa.

Tymczasem od strony południa, po drugiej stronie rzecz-
nej kotliny, nie horyzont, a po prostu ścianę stanowił szczyt
na dwa tysiące metrów, którego nazwy zapomniałem. Nawet
leżąc na wznak wystarczyło skosić zaledwie oko, by widzieć
jego cypel, jak płynie niezmiennie wśród obłoków, to znaczący
obłoki w swoją stronę, a cypel w swoją, latami, wiekami, hi-
192

storią roślin, zwierząt i ludzi. — „Tak, tam są jeszcze kozice”,
— mówił chłop, u którego od trzech dni staliśmy kwaterą;
mówił to obojętnie, rzucając poza ramię kciukiem, a zarazem

y. westchnieniem, z jakim się mówi o rzeczach niedostępnych. Obróciwszy się na łokciu można było widzieć pod sobą miasteczko Innichen, wstążeczkę Drawy, ostry grot kościółka, no i ostatni etap kolejowy naszej podróży, stację, z naszym, wyprzęgniętym z lokomotywy pociągiem. W biały dzień nie było co tam robić; służba, wartę i w ogóle kto żył w pobliżu, wszystko szło w góry i czekało zmierzchu. Na ich miejsce przylatywali Anglicy i siekli z ciężkich karabinów maszynowych. — Dalej drogi, koleje i mosty były już zburzone.

Co dnia od wczesnego ranka szły, przecinając dolinę na północ, eskadry bombowców z alianckich lotnisk we Włoszech. Obłoki też szły z południa, bo wiał w tym czasie ciepły wiatr, ale samoloty szły prędzej, nie zaczepiały o szczyty, wymijały je sprawnie, albo wyżej, przeświecając w niebie jak metalowe krzyżyki, eskadra za eskadrami, całe przedpołudnie ciągle na północ, na bombardowanie. Później powrót, znów nad głowami, w jednostajnym dudnieniu, aż do znużenia i zupełnej obojętności, która nie przerywała marzeń. W przerwach podobnie jednostajnie szemrały strumyki.

Z tą samą obojętnością patrzyło się z łokcia na angielskie myśliwce. Przylatywały regularnie, zataczały krąg, najpierw miało się je nad sobą, później cień skrzydła przebiegał po stole szybko jak kosa śmierci, zniżał się pikując i już był pod nami. Widziało się z góry lotnika, jak naciskał swe sprzężone karabiny maszynowe i terkotał po dworcu, po szynach, po naszym znieruchomiałym pociągu, z którego wtedy szedł kurz, przyskały drzazgi i jakieś uparte, nie dobite szyby.

Te sprawy jednak przestały już być atrakcją.

Drawa

Rzeka Drawa, żłobiąc głęboką dolinę wśród gór, jest ostatnią zaporą na froncie innej walki, innej wojny jaka się tu toczy od wieków niepamiętnych, pomiędzy wrogami bardziej trwałej natury, aniżeli ludzka imaginacja polityczna. Po między północą i południem, pomiędzy zimnem i ciepłem. Drawa jest ostatnim adherentem północy i jakbyśmy dziś powiedzieli, najdalej do wroga wysuniętą placówką propagandową. Nie tylko z zachodu na wschód legła barierą wydłużoną u

193
podnóża wału Karyntii i Tyrolu, ale skacząc i piniąc się na kamieniach, wśród skał, urwisk, jodeł, nagłych zakrętów, zalamując światła zorzy i zmierzchu, albo ubierając się w najpiękniejsze chyba noce księżycowe, w całej swej surowej kraś się biegnie do dalekiego Dunaju i wydaje się jakby chciała zawstydić, przelicytować w uroku i zjednać dla swego kierunku rzeki, wśród których jest ostatnią z tego basenu. Ale nie słuchają jej ani Piave, ani Tagliamento, ani słynna z bojów Isonsa, które uciekają stąd w ciepłe doliny Wenecji i Gorycji. Drawa pieni się i rzuca. A tam, gdzie na chwilę wypoczywa, odbija w swym lustrze czarne od zieleni jodły na świadectwo jak bardzo są piękne.

Ze swej strony Południe, broniąc się w odległych równinach cyprysami, palmą, włoską topolą, pcha w górę forpocztę

swoich pinii. Jeżeli nie doszły jeszcze aż tutaj, jeżeli nie prze-
walały za grzebień Alp Karnijskich, to tylko zawdzięczając
kontrofensywie Północy, która im na spotkanie rzuciła nasze
brzozy i rodzinne sosny. Daleko zeszły one w głąb gór wło-
skich i tam właśnie, pomiędzy sosną i pinią toczy się bój chy-
ba najbardziej zażarty, jak zawsze pomiędzy bliskimi, którzy
przystali do wrogich sobie obozów.

Być może, szczyty skał wapiennych, które w tym rozgar-
diaszu trwają tysiącami wieków, nudzą się już tą walką tak
samo jak nas nudzi wieczne huczenie samolotów i jazgot ar-
tylerii. Tym bardziej, że metody i w przyrodzie, i w polityce
wydają się prawie podobne. Wiadomo bowiem, że winnice,
które przeszły Alpy i rozlały się szeroko po stokach Europy,
to najbardziej bezsporna piąta kolumna Południa, a drzewka
migdałowe to jego agenci, na których każdy może palcem
wskazać. Wiadomo dalej, że mróz i śnieg, który nagle spadnie
w dolinie rzeki Po, to tylko odwet głupi i niepotrzebny. A w
gruncie rzeczy, i też podobnie jak w wojnie ludzkiej, nie wal-
czą tu świadomi swych osobistych interesów przeciwnicy, a
tylko zjednani przez nich fanatycy, czy wypchnięci naprzód,
zaagitowani alianci. Bo co tu, w tym pięknym kraju, do celów
bieguna północnego czy śmiertelnego żaru równika? Czy na-
wet tundrowy mech na szczycie Grossglockner chciałby się
przeistoczyć w bryłę lodu, a krzak mimozy w niedalekim Bol-
zano spalić w słońcu Sahary? Nie, z całą pewnością. Ale
spróbuj przemówić do pnia, czy do człowieka!

194

Spróbuj jeden z drugim przekonać Drawę, że my dla na-
szej nadziei i trochę ciepła dążymy w przeciwnym niż ona
kierunku! Zaszumi ciebie, zabelkoce, pianą opryska. A jesz-
cze może zemścić się straszliwie, jak się zemściła na nas w
Spittal, w Steinfeld, w Lienz.

Bo do Innichen, na starą granicę niemiecko-włoską, na
zbiorowy dokument podróży, opiewający, że to jada ludzie z
„Ostturkmenische Waffen SS" przybyliśmy dopiero po tygo-
dniowej podróży z Wiednia, ponosząc krwawe straty po dro-
dze.

Na szczytach fantastycznych możliwości

Wyjazd z Wiednia nastąpił w drugiej połowie lutego 1945.

Wykoncypowana została taka typowa dla okresu hitlero-
wskiego reżymu „lipa", a jedna z największych jakiej byłem
świadkiem: kilku Tatarów krymskich, litewsko-polskich, kil-
ku Karaimów z Trok, kilku Gruzinów i jeden Azerbejdżanin;
poza tym eleganckie panie z Warszawy, Wilna i Krakowa, pa-
nowie obładowani walizkami z najlepszej skóry świńskiej,
kierownik poczty z Zawias, czy Jewja, który ciągnął na ple-
cach worek kartofli, bo mu powiedziano, że jest ich brak we
Włoszech, inżynier, który kiedyś budował chłodnie w Nowej
Wilejce, towarzystwo w bogatych futrach, dwie panie w wyjąt-
kowo jaskrawych kapeluszach, nawet jedna taka, która wiod-
ła na smyczy rasowego jamnika (przeżył powstanie warszaw-
skie), a druga ostatniej mody teriera; oficerowie jadący do

Drugiego Korpusu, ziemianie z naszych kresów, trochę biedaków bez grosza przy duszy, stary, wyranżerowany już działacz pierwszej emigracji rosyjskiej, żony jadące do swych mężów w ósmej armii alianckiej, z bagażami, z biżuterią, z dolarami, wszystko to razem było: „Ostturkmenische Waffen SS"!... Jak się rzekło: poczmistrz ciągnął worek kartofli, Karaim dywany perskie. Tatar obarczony rodziną, a pamiętający carskie czasy w Mińsku Litewskim, który w podszewce zaszyte miał nadania królewskie Stanisława Augusta... Jakiś pan kończący się na „ajtis", z któregoś tam pułku piechoty Republiki Litewskiej z jasną jako złoty len narzeczoną. — Ktoś w tę czarną noc przeciwlotniczą zaintonował przez zęby piosenkę z „Pary gniedych", rosyjskich, dawnych szantanów: „...Griek iz Odiessy, kupiec iz Warszawy, junyj karniet i..." — ktoś się roześmiał półgłosem, ktoś inny syknął. Wiatr targał

195

poszarpaną blachą na dachu kamienic, zgrzytał żelaziwem. Wiedeń spał niezdrowym, klęskowym snem, podziurawiony, zaklejony mokrym, nie sprzątanym śniegiem.

Jak to się wszystko razem mogło zmieścić w pojęciu:

„Wschodnio-turkmeńskie SS", które dla jakichś polityczno-militarnych racji musiało jechać do Włoch? Jak w ogóle mogło dojść do podobnego absurdu, żeby w czasie, gdy największe rygory zabraniały nie tylko cudzoziemcom, ale i Niemcom, jeżdżenia kolejami, chyba dla wyjątkowo ważnych celów wojennych, podstawiono w tę noc na Westbahnhof, z największym wysiłkiem uruchamiany każdorazowo po każdym dziennym bombardowaniu, podstawiono, powtarzam, trzy doskonałe wagony dla osób i ich bagażu, dla pań i panień, dla ich dzieci i piesków, tylko dlatego, że osoby te pragnęły bardzo wydostać się do Włoch, a stamtąd przedostać na stronę aliancką? W jaki sposób mogło się dziać coś podobnego pod okiem czujnego Gestapo, a pod firmą bezczelnie, nachalnie, fantastycznie egzotyczną?

Jechało nas przeszło osób osiemdziesiąt.

Jeżeli wyczyn tego groteskowego szachrajstwa w stosunku do Niemiec można nazwać znamienym dla ówczesnej epoki, o tyle dyskretne pochrząkiwanie, gdy się o nim wspomina dziś, znamienne jest dla nastrojów współczesnego otoczenia. Wielu z tych osiemdziesięciu należy do kategorii poważnych, a nawet czcigodnych pań i panów, zajmujących aktualnie mniej lub bardziej eksponowane stanowiska w społeczeństwie. Tymczasem, nie mówię tu oczywiście o wszystkich, ale większość z nich, zamiast się cieszyć tym wspomnieniem jak doskonałą anegdotą, uważa swój udział we „Wschodnio-turkmeńskiej SS" za coś co najmniej wstydliwego, co niekoniecznie trzeba... no, mój Boże... opowiadać. — „Deportowali, gnębili, uciekliśmy", są to wzory pewne, mrowane, bez ryzyka. Ale po co zaraz szczegóły? Nikt nigdy nie wie, kto i gdzie wyskoczy z jakim podchwytliwym zarzutem, plotką... Tłumacz się potem latami, że to była „lipa", a nie inne drzewo! Strach, zakłamanie i kurczową niechęć do odchy-

leń od „czystości generalnej linii” mieliśmy nadzieję na zawsze pozostawić za sobą wówczas, gdyśmy ruszyli na podbój naszych alianckich nadziei. Ale rozczarowania należeć już będą do rzędu późniejszych przeżyć.

196

Na razie, po ruszeniu pociągu, napięcie nerwowe, że w ostatniej chwili nakryje nas jeszcze Gestapo na dworcu, przestoczyło się prawem reakcji w bezgraniczny optymizm. Zdaje się, że największą troską naszego herszta było przytłumienie rozćwierkanej radości, przynajmniej w tym sensie, ażeby większość „transportu” nie gadała i nie krzyczała jeden przez drugiego po — polsku. Wieleż to cierpień i rozsądnych przestróg zdawało się uciekać razem z uciekającymi za oknem słupami telegrafu.

Zrobił się dzień.

„... Czy ktoś nie widział mojej torebki!... Januszkę, proszę się uspokoić!... Ależ, proszę państwa, ja od początku mówiłem... Jutro o tej porze będziemy w Mediolanie... Pani Haniu, pani Haaaaniu... Po czemu teraz stoją liry...”

Za oknami padał deszcz ze śniegiem. Z wolna przesuwwały się góry, narastały, rosły wzwyż. Na szczytach zameczki rycerskie; tunele, wiadukty, bokami poszły lasy.

„... panie Kaziu, proszę ml podać termos...”

Jakby to była wycieczka turystyczna... Na środku przedziału zjawiała się bokiem ustawiona walizka i zaczął się poker. Nikt nie zauważył nawet, że na przejazdach kolejowych tkwią żółte chorągiewki... W powietrzu, w całym kraju alarm! Nikt nie zwrócił uwagi, a w tej liczbie i ci, którzy pojutrze już mieli nie żyć.

Trzecia droga

Trzema drogami przedostać się można z tej strony do Włoch. Zasadnicza prowadzi przez Brenner do Werony, przejście renomowane. Dlatego w Brenner bito bombami cały Boży dzień. Zburzono mosty, dworce, połamano co najbliższe drzewa na skałach, aż pył, miał i głązy gwizdały w słynnej gardzieli, łączącej kiedyś bratni uścisk dwóch dyktatorów. Bliższa nam wiodła druga droga przez Villach, Tarviso do Wenecji. Dworzec w Villach zastaliśmy w stanie normalnego zburzenia. W lejach od bomb szklili się zastała woda. Ziemia I u była zryta i kleiście czepiała się nóg. Cementowe bloki porzucane jak klocki. Niektóre szyny stały dęba.

W Tarviso były już Włochy. Tymczasem zapadła noc. Pociąg zmieniono nam na z wybitymi szybami. Było zimno i wstrętne. Podniosły nastrój dawno się już rozwłóczył po zmęczonych kościach, opadał ciężarem powiek, domagał się pod-

197

sycenia gorącą strawą w żołądku. — Staremu emigrantowi rosyjskiemu ukradziono walizki. Każdemu ze współpasażerów, jak to zazwyczaj w takich wypadkach, przyjemnie było, że to nie jemu, ale dokuczyły niebawem biadolenia poszkodowanego i jego deptanie w ciemności po nogach. A pociąg nie ruszał. I nie ruszył. Wszystko przed nami okazało się zde-

molowane. Żadnego przejazdu.

Wtedy to przypominano sobie o trzeciej, pośredniej, pomiędzy Villach i Brennerem, mało uczęszczanej drodze wzdłuż doliny Drawy, wzdłuż łańcucha górskiego Alp Karnijskich, do stacji granicznej Innichen. Zawróciliśmy z powrotem do Austrii. To było przykre.

Dopiero świt rozbudził na nowo skostniałe tęsknoty. Był to świt z masy perłowej, który z wolna nabierał kolorów, szedł za nami, bo jechaliśmy na zachód, zapalił się nagle wysoko w lesie, schował pierwsze promienie za górą, później nimi rzucił w dolinę i na skrętach pokazał jak śmiesznie wygląda karykatura pociągu w cieniu biegnącym po śniegu.

A w dole, to z tej, to z tamtej strony wybitych okien, szumiała Drawa z zachodu na wschód. A my ciągle jej na przekór, to w poprzek po moście, to ukosem, to w tunel, to znowu wzdłuż brzegu, na zachód, na zachód.

198

MASAKRA

Gdy się przemierza Europę, popasa w jej miastach, rzuca się w oczy to, co jej stara kultura wyraziła w najwyższym pragnieniu ludzkości: wznieść się! Wiek XIX miał być wyrazem reasumującym te pragnienia. On to głównie nabudował tę masę ark tryumfalnych, gmachów i pomników, z których łuków, cokołów i dachów wznoszą się anioły, orły, muzy, postacie alegoryczne, a wszystkie mają skrzydła. Szara rzeczywistość toczyła się ulicami, nad którymi okrzyk największej szczęśliwości, zamaryły w brązie, cemencie i żelbetonie, zdawał się wyrażać jedno: „żeby latać!”

Można powiedzieć z wileńska: Doczekalim... Doigraliśmy •ic. Drugie pokolenie bite jest i tłuczone bombami z powietrza, a cementowe anioły o wielkich rozpiętych do lotu skrzydłach spadają z dachów. Ludzie patrzą w tę stronę, w którą trąbiły wykuwane przez nich postacie, mrużąc oczy, z niepokojem, z obrzydzeniem konstatując, że niebo jest czyhające, a wiatry dla lotnika przychylne. Po raz pierwszy o włos ule zginąłem od bomby lotniczej zrzuconej z niemieckiego Kokkera-Taube jeszcze w r. 1915, gdy jako chłopiec kolekcjonowałem „oskołki”, stanowiące w szkole rodzaj waluty wymiennej. Od tego czasu bito nas z nieba w drugiej wojnie Kwiatowej, we wrześniu i nie-wrzesniu. Bito w czerwcu, w lipcu. Bito jesienią i wiosną. Żadna pamięć nie obejmie już tych drobinek gliny, w które się wpatrywało na dnie rowu, tych /d/beł trawy, wśród których się czołgało, tych wszystkich zalilrsniałych cegieł piwnic, schronów. I ciągle się jeszcze wsta- wiało otrzepując kolana, by iść. Aż wreszcie przyszedł taki

199

moment, z pozoru nie lepszy — nie gorszy od innych, w którym nagle złe olśnienie poczęło szeptać do mózgu: no, teraz cię przyłapali! Teraz ciebie mają...

Nie zdarzyło się to jeszcze w Spittal nad Drawą, ale zdarzyło się nazajutrz rano w pobliżu wsi Steinfeld nad tą samą Drawą. Do Spittal dobrnęliśmy jeszcze pełni ufności we włas-

ną gwiazdę, która nas prowadzić miała poprzez góry do Włoch. Zimą roku 1945 sytuacja lotnicza Niemiec przedstawiała się w gorszym stosunku do przeciwnika, niż nasza we wrześniu 1939 w stosunku do Niemiec. Amerykanie i Anglicy latali jak chcieli i kiedy chcieli. Rzadkie to były wypadki, gdy się spostrzegło pojedynczy samolot niemiecki. Nad Wiedniem nie widziałem ani jednego myśliwca niemieckiego. Działała jeszcze artyleria przeciwlotnicza, nieskutecznie, chaotycznie obsługiwana, jak powiadano, przez małoletnich, cudzoziemców, albo nawet kobiety. Tymczasem dzień i noc bito po coraz się zewężającym terenie b. fortecy Hitlera. Nie było już miasta, miasteczka, wsi, której by nie dosięgnął wyjący alarm. Nie było prawie skrawka ziemi nie dotkniętej ospą lejów, dziur w terenie i domach. I oto nagle rozwiera się przed nami dolina, wprawdzie nie usiana kwiatami jak w bajce, a tylko łatami uchodzącego przed wiosną śniegu, ale jak w bajce za to posiadająca wszystkie domy całe, szyny na podkładach, semafony na swoich miejscach, mosty, po których można przejeżdżać i ludzi, wprawdzie nawykłych do alarmów, ale zbałamuconych niezwykłym, znarowionym przekonaniem, że te wszystkie chmary samolotów, które codziennie lecą i wracają nad ich głowami z południa, nie mają nigdy dotyczyć ich, tylko ich bliźnich.

Tymczasem nas prześladowało fatum. Czy, jak pisałem poprzednio, była to zemsta rzeki Drawy za to, żeśmy uparcie sunęli pod prąd jej spienionej po kamieniach wody? Czy... Ech tam! Można się wyrażać na sposób poetycki, w gruncie przekonany jestem, że przyszedł po prostu czas na zburzenie i tej ostatniej jeszcze drożyny, podrzędnej dotychczas, a ważnej po zniszczeniu Brenneru i Tarviso. Ostatniej magistrali łączącej Niemcy z Włochami. Nie przeczuwając terminu, w Spittal do schronów poszliśmy nieomal przez grzeczność, a właściwie z braku innego zajęcia, gdyż pociąg nasz, dla przepuszczenia jakichś transportów, odstawiono na boczny tor. Był alarm i było kilka godzin czasu. Powietrze rzeńskie, gór-

200
skie. Góry sinawe, pokryte jakby niewidoczną pajęczyną młodego deszczu, który ni to padał, ni to wisiał w atmosferze, po której rozwlekły się złote nici słońca. Kałuże po śniegu były wielkie, a błoto nie po naszymu przyczepskie. Jakieś małe, „zagraniczne”, jak się wyraził któryś, kwiatki, wystawiały już łebki z trawy.

Idą bombowce amerykańskie. Idą tak samo codziennie o tej porze i ludzie nie chcieli nawet patrzeć. I oto, ku zdumieniu wszystkich, zaczęły nagle walić! Jedna, druga poleciała z wizgiem, trzecia, siódma, dziesiąta bomba. Ziemia, z której „zamróz” nie wyszedł jeszcze ze wszystkim, posiada specjalny rezonans. Drży jakoś podobnie, jak skóra na rasowym koniu. Dzwonią naczynia we wzorowej austriackiej kuchence, dzwonią szyby w oknach jak wszędzie na świecie. A ci z nieba wala. Obudzony z zimowego snu, wielki, czarny żuk wylazł ze szczeliny i prędko popęzł w górę po ścianie schronu.

Później kiedyś opowiadano mi anegdotę, ponoć rozposzechnioną na froncie włoskim: gdy lecą Niemcy, chowają się Anglicy; gdy lecą Anglicy, chowają się Niemcy; ale gdy lecą Amerykanie, wtedy chowają się i Niemcy i Anglicy. Miało to znaczyć, że lotnicy amerykańscy rzucają bomby gdziekolwiek się nadarzy, byle więcej. Tym razem zadali kłam tej anegdocie: bili wprawdzie dużo i z wielkiej wysokości, ale też z dużą precyzją. W dworzec, w szyny, w zabudowania kolejowe. Raz po razie, dowodząc tym, że kiedy chcą, umieją być celni.

Czy nie zdarzyło się wam czuć zawstydzenia w stosunku do rzeczy własnych, które, uciekając, pozostawia się na pastwę zniszczenia, a później wraca do nich i w pierwszym odruchu, zanim się człowiek zabierze, do przeglądu szkód, obrzuci je wszystkie naraz wzrokiem: porzucane, poharatane, poranione, dziurawe. Leżą w tej strasznej ciszy, która następuje po strasznej detonacji! Na przykład siłą wybuchu oderwała się pokrywa walizki i teraz w bieliznie tkwią trzy czarne od dymu kamienie. Do pudełeczka z żyletką wpadł zeschnięty liść. Jeden wagon na boku, drugi do góry kołami, jak zabawka niegrzecznego Jasia. Szyny wyglądają jak stado zastygłych w tańcu węży. Wśród poskręcanych drutów, dziur, kamieni, belek, słupów leżą nasze poprute bagaże, biedne i bogate pospołu. Na kole wagonu zawisła różowa koszula

201

I

damska. Wlazłem, by ją stamtąd zdjąć. „Och, niechże pan będzie ostrożny i tak jej nie ciągnie — woła panna Hela — bo ją podrze!” Strzepuje się brud, wyrzuca kamienie i każdy jest wesoły, gdy znajdzie coś swego, co pozostało całe. Chodzimy po szynach, jakbyśmy zbierali grzyby.

W dalszą drogę mogliśmy ruszyć dopiero późną nocą, bliżej świtu. Zbliżaliśmy się do stacji Steinfeld około godziny dziewiątej rano. Na poprzednich przejazdach zatknięte były żółte chorągiewki, znak alarmu, ale wszystkim strasznie chciało się spać. Okna naturalnie wybite, zimno jak zawsze. Maszynista zaczął hamować i w nagłym zgrzycie hamulców i chrapaniu pasażerów nie słychać było nic podejrzanego. Jakiś stukot?... Nagle, o pięć centymetrów od głowy mojej żony, w ścianie wagonu, o którą była oparta, trysnęły drzazgi i kula poszła dalej na wylot ściany następnej. Kto był na wojnie, ten wie z podłego doświadczenia, że nic tak nie zaskakuje jak atak w niewyspaniu.

Gdy sypnęła następna seria ciężkich karabinów maszynowych, nie wszyscy jeszcze mogli wytrzeźwieć. Wiadomo przecie, jak nitki snu czepiają się mózgu, zupełnie jak w babie lato rzyńska. Pocisk z działka pokładowego trafił w kocioł lokomotywy i syk pary zagłuszał na chwilę wściekłe wycie pikujących myśliwców. Czyżby tak miał wyglądać koniec żywota ludzkiego? — Uciekać z wagonów!!!

Trzeba pamiętać jak bardzo różny był skład pasażerów z wieku, urzędu, płci, narodowości i wyznania, zasobności i

doświadczenia, odwagi i strachu. Na wojnie jest jak na wojnie i wielu z nas klepało ją po okopach, po rowach, nabijało sobie hemoroidy na siodłach kawaleryjskich, chowało głowę w hełmie i podciągało od gwizdu kul ramiona ku górze, bało się za siebie, z poczuciem wstrętu podświadomego do konieczności ruchu, albo też w działaniu i kontrdziałaniu znajdując zapomnienie i obronę. Ale straszna jest wojna z kobietami i dziećmi, rozpętana ostatnio na wszystkich frontach! Straszna nie dla względów humanitarno-patetycznych, a dla swego niepisanego regulaminu, obowiązującego tych, którzy w niej biorą udział. Regulamin dotychczasowy był prosty dla żołnierza. Weźmy za przykład rzecz tak naturalną jak pełzanie: skupia się w jednym wysiłku, aby uczynić to prędzej i sprawniej. Że tam z prawa pełzający Broniek, a z lewa Wacek dostał po plecach, to niech się tym martwią najwyżej sanitariusze i

202
łapiduchy z czerwonymi krzyżami. Dla mnie jest ważny lej, rów, drzewo, stóg siana i odległość stu metrów. Ale czy ojciec może pełznąć szybciej, gdy w tym pełzaniu nie może nadążyć mu z tyłu żona i dziecko? Dlaczego pan starszy sierżant nie wykladał o tym w koszarach? Zapomniał? Nie wiedział? Nie stało w regulaminie? Aaaa... chyba. Bo w tej chwili jest to rzecz zasadniczej wagi taktycznej, nierozzerwalnie związana z obroną, która nie jest obroną swego ja, ani też nie jest strachem tylko za siebie.

Śnieg w ciągu dnia miękczwał na słońcu, w nocy ściągało go mrozem w skorupę. Niestety była to skorupa zbyt słaba, by utrzymać ciężar człowieka, a szklista i ostra. Zasłonięty górami, nie respektujący zbliżającej się wiosny, był to lutowy, głęboki po pas śnieg, rwący skórę na dłoniach i ubranie na kolanach. Nie śnieg, a wróg. Gdyśmy zsuwali się z nasypu, żona moja zgubiła pantofel i chciała go szukać jeszcze w chwili, gdy właśnie nadlatywał kolejny myśliwiec. Szczęściem wyrównał maszynę przedwcześnie i seria ze wszystkich czterech sprzężonych cekaemów poszła w przednią część pociągu, a później górą, w lasek olchowy, po drugiej stronie toru. Kto tam był skoczył, prawie każdy zginął. Z tej strony mieliśmy pole śniegu, równe jak stół i w odległości stu metrów szopę na siano, a obok wielki stóg złożonego nawozu: najistotniejszy cel w życiu. Przede mną pełzała żona, rwąc na strzępy pończochy, kolana i ręce, ja o metr z tyłu. — Były tylko trzy myśliwce angielskie, ale w rozszerzonej kotlinie, którą w rym miejscu dla łąk wyjadła rzeka, robiły wiraż, wracały, pikowały na piętnaście-dwadzieścia metrów nad ziemią i... — Jak to się wyraża literami w druku: ta-ta-ta-ta-ta w pociąg, w... Nie mogę twierdzić z całą pewnością, że w ludzi. Rozsiew kilku karabinów maszynowych był oczywiście, musiał być, duży. Kule padały w odległości 50-70 metrów od pociągu, a tk> stogu nawozu mieliśmy sto. Poza tym pełzanie odbywało <le powoli. A samoloty nawracały i nawracały siejąc śmierć. l'nn Szyszman z Wilna miał wyjątkowe szczęście (przepraszam, że wymieniam tu jego nazwisko, ale było to naprawdę

„szczęście“!). Pełzał w niedalekiej odległości i gdy zobaczyłem, t.c nagle wyjął chustkę do nosa i manipuluje nią gwałtownie, w przerwie ognia i ryku motoru zawołałem: „Co panu?“ — „Oderwało mi dwa palce“ odpowiedział. A okazało się, że ma przestrzelony kapelusz, lewą nogawicę, przestrzeloną mary-

203

narękę na prawym ramieniu i jeszcze dostał dwie kule w ciągniony przez siebie płaszcz! Za nami ktoś strasznie krzyczał. — Nowy atak. — Płaszczymy się w śniegu, podciągamy nogi, kurczymy w sobie i dla czegoś wszyscy przypadają twarzą w dół. — Minał z łoskotem motorów tuż, nisko nad nami, zagłuszając własne karabiny maszynowe. W odpływającym warkocie słyhać teraz wyraźnie jak wrzeszczy jakaś kobieta. Ale myśliwce angielskie nawracają karuzelą, znowu pik w dół, spust cekaemów... Strasznie krótkie są przerwy, w których odpęlamy: strasznie dalekim dystansem jest odległość stu metrów do stogu nawozu. Gdy nadlatuje następny, żona odwraca do mnie głowę, coś krzyczy, nie słyszę co, widzę tylko układ ust złożonych jak w pokazowym elementarzu dla wyrażenia litery „O“ i zaraz chowa twarz w śnieg.

— Tak, tak! — odkrzykuję na chybił trafił.

Właśnie w tej chwili nasza ta myśl: „Tym razem, przyłapali...“ Odczuwam fizycznie własną potylicę, puls, skórę. Ale dla czego koniecznie w tył głowy? Nie chcę! Przewracam się gwałtownie na wznak i patrzę. Tego widoku nie zapomnę nigdy:

Na białym śniegu, aż do nasypu kolejowego, leżą rozplaszczeni ludzie i nie poznasz, kto trup, kto żyje. Jakiś zabrany niepotrzebnie i porzucony koc, walizka połyskująca świeżością, pośrodku placu boju spoczywa czerwony kapelusz pani... zdaje się, Irena było jej na imię. Na tle błękitnego nieba żółtawe skrzydła, a na nich wyraźne barwne koła. Samolot zbliża się i strzela. Część pocisków jest świetlna. Ich smugi przypominają coś pośredniego pomiędzy masą iskier wyrzucanych przez lokomotywę, a masą robaczek świętojańskich, jakie migają w noc czerwcową, gdy się szybko przejeżdża Apeniny. Padają tak gęsto i tak blisko, że słyhać ich gasnące w śniegu syknięcia, prawie jak niedopałki rzucone w wodę. Ale obraz opisywany nie stanowiłby wartości oryginału godnego wiecznej pamięci, gdyby nie dwa pieski z naszego towarzystwa: jamnik i terier; dla nich ludzie porozkładani w niezwykłych pozach, śmiesznie płaskich, dla nich śnieg równy, trzymający je na pokrywie, krzyki, terkot, migające i sykające pociski świetlne, wszystko po dusznym wagonie, puszczone samopas, to podnieta do niezwykłej zabawy! Wlokąc lub unosząc w pędzie długie smycze, z których nikt ich nie odczepił, biegają jak szalone wśród kul, pomiędzy ludźmi i bagażami,

204

goniąc się i szczekając radośnie... — Ktoś z leżących podrzucił kurczowo nogę w górę. To był młody Zenon, który dostał w udo, amputowano mu nazajutrz. — Trzy samoloty, z których każdy robi trzy kręgi. Leci i strzela po raz dziewiąty. To był

raz ostatni. A ktoś ciągle krzyczy i zawodzi, krzyczy i krzyczy. Dalej tor kolejowy, pociąg i parowóz z przebitym kotłem, z którego białym, szumiącym słupem idzie w niebo para. Jeszcze dalej masyw góry z zielonym lasem. — Ach, psy jak szalone! Teraz z rozbawienia skaczą już przez żywych i umarłych. — W tej chwili mignęło mi przed samym okiem dwa razy pomarańczową strugą i zgasło o trzy metry dalej. — Jeden z piesków zaczepił o badył krzaku smyczą, drugi doskoczył, tamten się wyrwał odgryzając, przesadził przez kobietę, pognał. — „Ojej! Ojej! Ojej!...”

Przyjaciel mój opowiadał mi, że rzucił się pod wagon, nieroztropnie, bo kule przechodziły na wylot. Z głupoty tej samej skoczył ktoś drugi, upadł nań i przycisnął ciężarem ciała. Dostał w tył głowy, a przodem wyniosło mu zęby, nos i kawały mózgu, a jednak zdążył jeszcze krzyknąć.

— Niemożliwe.

— Tak. Krzyknął: „Aaaa!”

A oto temat wyjęty jak z powieści. Jechało tym pociągiem trzech młodych ludzi z Warszawy, z których jeden właśnie zginął, ale tu nie o niego chodzi. Ojciec ich rozwiódł się był i ożenił po raz drugi. Umarł przed wojną. Synowie dorośli. I matka, i macocha się postarzały. Matka była przez synów kochana, a dobra macocha zawsze szczerze szanowana. Gdy przyszły te straszne czasy, zabrali je obydwie. Jechały w tym Namym przedziale. Wiele by sobie mogły jeszcze powiedzieć te dwie kobiety, które opuściła już pasja i zazdrość, rywalizacja i młodość. Ale kule przebiły dach, ściany ukosem na wylot, przeszły obydwie kobiety. — Gdy pomagałem nieść matkę na rozłożonym kocu, z karakułowego futra występowały obfito krople krwi i znać było każde miejsce, w którym zostało przedziurawione. Przewróciła oczy białkami do góry i zmarła. Ułożyliśmy ją obok tamtej. Potem znoszono dalsze trupy i układano w długi szereg. Jeden tylko rozcięty był w pół niepojętym sposobem, tak że mięso i ubranie stanowiły łącznie bezkształtną masę.

205

Ranni pokrzykiwali z lasku olchowego. Pan K. dowłókł się o własnych siłach i zapytał zaraz, czy pamiętam dokładnie miejsca, w które przestrelony został jego przyjaciel.

— A bo co?

— Ach, nic, szkoda chłopca... — mówił idąc. — Może by pan pomógł zdjąć zeń palto...

— Zostaw mu je pan, przecież posiekane na strzępy!

Stęknął z bólu.

— Gdzie pan dostał?

— Głupstwo, w rękę. Widzi pan... z tym paltem... to nie o palto chodzi, tam myśmy zaszyli trochę...

206

W MEDIOLANIE

Lekcji „dobrego tonu” w podchorążówce udzielał nam porucznik K. Myśmy rozkładali się na trawie z nieodłącznym „ka-be”, przeważnie obserwując obłoki lub zeszcłłe w słońcu

badyle, które rosą na nieużytkach przeznaczonych dla ćwiczeń wojennych. Któryś z kandydatów na podporuczników rezerwy zapytał nagle o szczegół dotyczący gromadnego zachowania marynarzy na urlopie, który był zaobserwował. Porucznik K. chwilę tylko się namyślał i odparł autorytatywnie: „Bo widzicie, marynarze to największa granda”.

Na pewno nie chciał przez to obrazić całej marynarki. Ja też nie w celu obrazy, a raczej gwoli ściślejszej definicji zmuszony jestem wyznać, że milicja faszystowskiej republiki Mussoliniego w r. 1945 to była wielka granda. Naturalnie ani porucznik K. w dobrych przedwojennych czasach, ani my nawet, skopani pięcioletnią wojną, nie wiedzieliśmy jeszcze w marcu tego roku, jak wielką grandą okaże się włoska partyzantka „demokratyczna”, czytaj: bolszewicka.

Na razie, po wydostaniu się z Niemiec, zastaliśmy w Mediolanie wszystko inaczej, niżli to snuły przypuszczenia w ciągu miesięcznej, ciężkiej i krwawej przeprawy. O wiele też inaczej, niżli przywykło się pisać, relacjonować, przedstawiać dziś według utartego szablonu. Przede wszystkim widoczne było, że Niemcy cackali się z tymi Włochami jak z jajkiem. Fakt ten świadczy raz jeszcze jak dalece cała ta wojna była oprawą prywatnych odruchów Adolfa Hitlera. On osobiście lubił Mussoliniego, tak jak osobiście nienawidził Polaków. To i ile ulega żadnej wątpliwości.

207

Ktoś nas uprzedzał, że wskutek rozrostu włoskiej Resistance zastaniemy w Mediolanie stosunki przypominające te, które panowały w Warszawie przed powstaniem. Ale właśnie podobieństwa podkreślały najbardziej różnice. Mediolan był mniej więcej tak samo zniszczony jak Warszawa po wrześniu. Niemcy, którzy tu stacjonowali, obwarowani byli zupełnie identycznie w poszczególnych blokach, za wielokrotną zasieką drutu kolczastego, a przy wejściu stał żołnierz z „rozpylaczem” gotowym do strzału. Gmachów takich było cztery-pięć w okolicy dworca głównego, wokół Piazzale Fiume. W pobliżu leżał Giardino Publico z ogródkiem zoologicznym, który posiadał tę właściwość, iż stada papug gnieździły się tam na wolności. Stąd przelatywały one ponad głowami ludzi dzierżących automatyczne pistolety, ponad drutami kolczastymi i siadały na zakazanych dla zwykłego śmiertelnika gmachach. — Poza tym Niemcy chodzili raczej na palcach po mieście. Nie tylko nie było wagonów tramwajowych „nur für Deutsche”, ale w ogóle nie widać ich było w tramwajach. Tu i ówdzie zdarzały się zamachy. Toteż w miejscach dyskretnych wisiały obwieszczenia w języku niemieckim, zakazujące uczęszczania do cywilnych trattorii. Żadnych masowych represji, żadnych łapanek, żadnych egzekucji publicznych. Przy wejściu na fosę, prowadzącą do Zamku Sforzy, wisiała tablica także zakazująca wchodzenia na teren żołnierzom niemieckim, dla uniknięcia pretekstu do bombardowania tego zabytku.

Po mieście natomiast krążyła milicja faszystowska. Czar-

ne, niskie pokurcza, obwieszane bronią, jakby jej sprzedawcy. Niektórym taśmy kulomiotowe sięgały kostek. Koszule rozchełstane, wzrok dziki. Robili na nie przyzwyczajonych wrażenie śmieszne. Obowiązywała też godzina policyjna. W Warszawie, gdy się słyszało w nocy strzały, wiadomo było, że gdzieś leje się krew. Tu od godziny dziewiętej wieczór zaczynała się nieustanna kanonada w mieście, a człowiek, który się zbudził przypadkowo, przewracając się na drugi bok, zasypiał dalej spokojnie z uczuciem pewności, że wszystko w porządku i nikt na pewno nie został zabity. Zanim przywykliśmy do włoskiego zwyczaju strzelania w powietrze, chciało się w pierwszych nocach wyskoczyć na ulicę w kalesonach, wyrwać automat i dać jego kolbą porządnie po łbie komu należy. Z czasem wypadło stwierdzić, iż faszyci kochali wprost

208

T

ciszę w nocy, w zestawieniu z miliardem pocisków wypuszczanych bez sensu w niebo przez ich czerwonych kolegów z Resistance, gdy nastąpiło wreszcie „oswobodzenie” i oni przejęli władzę na ulicach!

Gdyśmy się zbliżali do Mediolanu, wydarłszy się masakerze w Steinfeld, bombom w Lienz, w Innichen, w Bolzano, odkurzywszy się nieco po schronach Trydentu, wielka troska, zdawało się, czeka nas u celu: dokumenty fałszywe starczą na drogę, nie na zamieszkanie; trzeba się będzie przeprosić z mniej lub więcej autentycznymi, a co wtedy? Jeżeli tak ma być jak w Warszawie, kto nam da schronienie w mieście, którego ani języka, ani ludzi nie znamy? Było to zagadnienie tak wielkie, że po prostu nie widziało się rozwiązania i odkładało je z dnia na dzień, jak się odkłada przykrą operację. Na drugi dzień po przybyciu całe zagadnienie sprowadzone zostało do zera. Po prostu ktoś pierwszy zaryzykował pójść do faszystowskiej kwestury, pokazał warszawską Kennkartę i powiedział, że jest profugo, uciekinier. Wydano mu certyfikat bez mrugnięcia okiem. Wtedy poszliśmy hurmem. Wszystkich załatwiono równie grzecznie i bezapelacyjnie. Zagadka rozwiązała się niebawem: Polak, była to najświetniejsza legitymacja, jaką się można było posługiwać. Słyszeliśmy jeszcze w Wiedniu o tej legendzie i oczywiście nie wierzyli jak w żadną legendę. Sprawdziła się. Za czasów republiki faszystowskiej wszyscy Włosi kochali Polaków. Tzn. ogromna większość mieszkańców kochała Polaków, że są wrogami Niemców, faszystowska zaś mniejszość kochała Polaków, że są wrogami bolszewików. Nieznajomość języka ratowała przed pomyłką mówienia rzeczy niewłaściwych. Wydano nam kartki żywnościowe i nawet nie zapytano, kto co zamierza czynić. W kwietniu roku 1945, gdy nastąpiło wielkie „wyzwolenie”, sytuacja się zmieniła, jakby kto ostrym nożem rozciął masło. Faszyci poczuli nas nienawidzieć jako jawnych sprzymierzeńców demokracji, reszta Włochów znienawidziła nas wkrótce jako wrogów bolszewizmu. Notoryczne uprzejmości coraz częściej przeistaczały się w pojedyncze afronty. Nie z tej

leż strony nastąpiły przede wszystkim, z której się można było ich — nie spodziewać!...

Dużą nadzieją obkładaliśmy zawczasu Piazza Fontana, Nkąd wchodziło się do pałacu kardynalskiego. Miło było popatrzyć z bliska na rezydujące w dziedzińcu olbrzymie ciężar-

209
rowki o jaskrawych żółto-białych papieskich barwach, którym prawo neutralności zezwalało na przekraczanie linii frontu. „Tamta” strona była bajką nieustannej pomocy dla ducha. Żeby choć dotknąć kurzu na oponach, do których przylepić się mogła drobinka wolnej ziemi! Fantaści przemysłiwali o jakichś nie sprecyzowanych możliwościach via kościoły-klasztory.

Curzio Malaparte, autor cieszącej się w Italii wielkim powodzeniem książki pt. Kaputt, wydał teraz drugą, w której opisuje zajęcie Neapolu przez armię amerykańską i nagłą troskę generała Córka z powodu wszy roznoszących tyfus. Wszy te zawleczone zostały rzekomo przez kilku jeńców wracających z Rosji.

— Nie sądzi pan chyba, generale — powiada Malaparte — że wszy neapolitańskie, wszy z zaułka Forcella czy Pallo-netto, pozwolą się opanować przez jakieś cztery nieszczęsne wszy rosyjskie?

— Byłbym panu zobowiązany — odrzekł Cork — gdyby pan zechciał nie mówić podobnym tonem o wszach rosyjskich.

Pierwsza rozmowa, którąśmy w hallu hotelowym w Mediolanie ucieli z oficerem amerykańskim, nie dotyczyła wprawdzie wszy, ale miała przebieg podobny.

— ... bo, widzi pan, bolszewicy...

— Proszę się w ten sposób nie wyrażać. To nie są żadni bolszewicy, a nasi najlepsi sprzymierzeńcy.

Amerykanin polskiego pochodzenia powiedział nam na pocieszenie:

— No, skończymy tylko z jednym wrogiem, a zaraz zabierzemy się do drugiego.

— O, to pięknie. Skończyliście z Niemcami i zabierzecie się do...

— Tak, do Argentyny.

Wyszliśmy z hallu w powietrze wiosenne, które o tej porze roku winno być we Włoszech łagodne i czyste. Było przesycone wydechami ludzkich wrzasków wielbiących Stalina. Czarna masa gestykulujących na czerwono. Sierp i młot na każdej kamienicy, czerwone sztandary w oknach, czerwone szmatki w klapach, opaski na ramieniu. Tu i ówdzie wisiały narodowe barwy włoskie z dużą, wyciętą pośrodku dziurą: w ten sposób pozostawiano puste miejsce po krzyżu królew-

210
skiego Domu Sabaudzkiego i manifestowano kierunek polityczny.

W samym środku via Dante, której jeden koniec wbiega węższymi gardzielami na Piazza del Duomo przed fronton cu-

downej katedry, a drugi zieleni się w oddaleniu parkiem, na tle którego rdzewieją ceglaste mury Castello Sforzy, w samym środku na ukos odbiega kręty zaułek Rovello. Na rogu mieści się kamieniczka, przed którą zawsze stała rozchelstana warta faszystowskiej milicji. Ludzie mijali ten zakątek szybciej. Tu bowiem znajdowała się siedziba faszystowskiego „Gestapo”. Gdy z gór zachodnich spłynęli liberatorzy w postaci motłochu przybranego w pasy amunicyjne i czerwone chusty, w zaułku Rovello zasiadł italski NKWD, a przechodnie nie tylko przyspieszali kroku, a w ogóle omijali tę stronę ulicy Dantego. Na warcie stał już nie brudny faszysta, a łapserdak przypominający ucharakteryzowanego na bandytę statystę z operetki. Wielki czerwony sztandar i dużo pomniejszych analogii przypominało nam, wilnianom, „Prospekt Lenina” przed gmachem b. sądów. Ale do tamtejszej ciszy w trwodze i biedzie pasowała bura sylwetka sowieckiego bojca. Tu ten czerwony pajac na tle sklepów jubilerskich, modnych sukien, bogactwa i podnieconych przechodniów, przygnębiał przede wszystkim bezmiarem... ludzkiej głupoty.

* * *

Muszę się cofnąć o kilka tygodni, by zilustrować ją pewnym przykładem: po przybyciu z Niemiec zamieszkaliśmy w pokoiku przy via Tiziano, w mieszkaniu komunisty-partyzanta. Nie będę oczywiście opisywał jego trzech pokoi na parterze, ani łazienki wyłożonej kafelkami, kuchenki z wodą bieżącą, gazem, masą naczyń, sypialnego o wielkich tandetnych lornirach, dywanów, obrazków. Było to, jednym słowem, mieszkaniem robotnika żyjącego przed wojną na poziomie przeciętnego europejskiego burżuja. I taki człowiek ubzdurał sobie, że robotnik w Sowietach ma się o wiele lepiej! On, który miał „Włpłoszczadzi” za dziesięć, waterklozet, radio, szafy wyjątkowo ubraniami, wino do obiadu z trzech dań, dwa rowery, lustro, wannę z prysznicem, wieszaki w kształcie rogów jelenich w przedpokoju i tyle pieniędzy, że wyjeżdżał na letnisko do Como, twierdził, że tu jest wyzysk i nędza, a w Sowietach dobrobyt i sprawiedliwość! Żaden z ludzkich argumentów nie

211

mógł rozwiać jego wszechwiedzącego uśmiechu, z jakim ich słuchał. Poszedł w góry i przystał do czerwonych.

Ta wojna, którą prowadził, jeszcze bardziej utwierdzała go w słuszności postanowienia. Cała kamienica wiedziała, że signora jego żona raz na dwa tygodnie z czystą bielizną i drobnościami wyjeżdża do męża. Wszystko odbywało się jawnie. Partyzanci siedzieli w górach, a Niemcy w dolinie Lombardzkiej, nie troszcząc się o nich i nie niepokojąc ich. Tamci naturalnie nie mieli najmniejszego zamiaru niepokoić Niemców. Signor-partyzant-komunista przybywał też od czasu do czasu do domu na urlop i kąpał się w swej kafelkowej łazience, szedł na wino do trattorii, po czym wracał autobusem do Turynu, maszerował w góry, naczepiał sierp z młotem na czerwonej opasce, charakteryzował się na zbójcę z Birbante Rocco i wielbił Stalina. Anglicy i Amerykanie zrzucali im masy

konserw, ubrań i amunicji, którą ci wystrzelili na vivat, lubując się jak wszyscy Włosi w hałasach.

Takie było ich życie, aż do chwili, gdy Niemcy ustąpili z doliny. Wtedy z rykiem zjechali do miasta na amerykańskich camionach.

Przypominam sobie jak szliśmy właśnie po Magenta Meravigli, gdy zadzwoniono we wszystkich kościołach z okazji „wyzwolenia”...

Lwów i Wilno 1948 nr 57, 58, 59. 60, 61

212

ŻYCZENIA, KTÓRE SIĘ NIE SPEŁNIŁY

Pisząc do jednego z pism emigracyjnych we Włoszech, przytoczyłem zdanie specyficznie wileńskie, w którym się mówi o „Żydkach”. Jakiś niewileński semita się obraził i powiedział: cóż to za forma! Czy Polakom byłoby przyjemnie, gdyby Ich nazywano „Polaczkami”? — Musiałem dopiero tłumaczyć, że tradycja, zła czy dobra, ale zakorzeniona w naszym kraju, przyjęła formę „Żydek” jako grzecznościową, w odróżnieniu od „Żyd”, który w mowie potocznej, na wsi był zwrotem „grubym”, niegrzecznym. Mój przyjaciel, pan Szapiro, aż do ostatnich tragicznych dni hitlerowskich, nie mówił o sobie inaczej, Jak: „Ja jestem Żydek”. — Mówi się, że Żydzi w diasporze są bez ojczyzny. Dziś, gdy sobie przypominam wielu już błogosławionej pamięci Żydów wileńskich, zdaje mi się, że posiadali typ najbardziej ściśle związany z krajem, który był ich ojczyzną.

* * *

Zwożenie osiki do smołami było związane z wielu trudnościami, których tu opisywać nie będę. Gdy się już wreszcie wyjechało z lasu, zatrzymywałem się zawsze pod krzyżem, czekając aż koń trochę odparuje. Do smołami jest cztery kilometry. Miejscami trzeba się drapać pod górę, czasem zjeżdżać na łeb w dół. Miejscami droga jest zawiana, miejscami zwiana aż do piasku. Trzeba bez niczyjej pomocy zdobywać te przeszkody, patrzeć wciąż na drogę, nie spuszczać z niej wzroku, jak z wroga, którego za wszelką cenę należy pokonać.

213

Gulkowicz, Żyd o łysej czaszce, mięsistym nosie, z rękami w kieszeniach przechadza się po smołami. Jego eleganckie długie buty poskrzypują po śniegu. Jest pełen godności, tej specyficznej powagi żydowskiej i pewności siebie, którą w państwach kapitalistycznych nabywa każdy, kto ma wypchany portfel, a w ustroju sowieckim ten tylko, kto potrafi zachować pozory człowieka niezbędnego dla dobra mas pracujących. Gulkowicz tak pokręcił stosunkami, że został dyrektorem tej samej smołami, której był właścicielem. Ważny jest ogromnie, chodzi jak indor, mierzy, oblicza. Okiem znawcy patrzy na moje sanie zajeżdżające przed wielki szlicht drzewa osikowego. Obserwuje jak walczę z ogromną kłodą, której nie mogę dać rady i nagle — wyciąga z kieszeni swe białe, nie spracowane ręce, podchodzi i mówi:

— Daj pan, ja panu pomogę.

— Nie trzeba — odpowiadam. — Dziękuję.

— Podziękujesz pan w lepszych czasach — zraza, głos Gulkowicz z ledwo widocznym uśmiechem skrytego porozumienia.

Czasy te nie przyszły nigdy dla Gulkowicza.

Przypominam sobie jak pod wiosnę roku 1941 siedział na ławce przystanku kolejowego ze swym teściem Girszowiczem w oczekiwaniu na pociąg. Girszowicz coś mówi, na co Gulkowicz uśmiecha się sarkastycznie, wydyma grube wargi i wygodniej rozpiera się na ławie. Ma taką minę, jakby był co najmniej przewodniczącym Narkomtorgu. A Girszowicz gestykuje:

— Boga nie ma!... Oni mówią, że nie ma. Zawsze był, a teraz nie ma!

— Niech nie ma — i Gulkowicz z ironią podnosi wysoko zmarszczki na czole.

— Co znaczy nie ma Boga! Jak to może być bez Boga?!

— „Oni” chcą, żeby nie było — cedzi przez zęby Gulkowicz. — Oni wiedzą, nu, niech sobie wiedzą lepiej. Masz pan ołówek? — i pisze mi kartkę do Szwarckopfa, właściciela domu przy Rynku Stęfańskim w Wilnie, aby ułatwił mi pośrednictwo w kupieniu nowego wozu.

* * *

Dom Szwarckopfa był kamieniczką zbudowaną w końcu ubiegłego wieku, dwupiętrową, pozbawioną stylu, malowaną na kolor czerwony. Lata zbrukały fronton, tynk w wielu miejscach się obłupał, czerwony kolor od słońca i słońca przybrał barwę wypłowiałej, prawie różowej bibułki, podobnej do tej jaką się widuje przy portretach Stalina w witrynach okiennych. Ogromne ścieki, prowadzące z dziedzińca i wzdłuż chodnika, mimo dawnego już skanalizowania dzielnicy, wciąż były pełne zielono-czarną ciecżą, cuchnącą i zastalą. Szeroka brama stanowiła wjazd dla licznych w tej okolicy furmanów. W dziedzińcu stały ciężkie wozy, platformy miejskie resorowe, ogromne, zużyte sanie pod okapem. Kocie łby podwórza pokrywał nawóz, śmiecie, resztki siana. Na tę stronę wychodziły liczne drzwi mieszkań, wisała wokół bielizna na sznurach i poruszała się mnoga liczba wróbli, kawek i dzieci żydowskich.

Hipotecznym władcą tej posiadłości był ongi Mowsza Szwarckopf, kulawy, szpakowaty Żyd, dziś w złachanym tuzurku, zdezonizowany do roli jednego z lokatorów. Ten dom to było jego wszystko. Jeszcze ojciec zaczął nań ciulać za panowania dwóch carów; handlował zbożem, wyrobami stelmachowskimi, wozami, końmi. Syn się uczył praktyki z gardłem wyschniętym od targowania. Dorabiał się carskich kopiejek-rubli, niemieckich „ostów” za pierwszej okupacji, polskich marek, złotych, nie lekcewazył też litewskich litów. Już traciła go siwizna, już był poważnym obywatelem rynku, gdy sobotami, z modlitewnikiem pod pachą kuśtykał do synagogi

na Zawalnej... Przyszli bolszewicy.

— To pański dom? — pytam.

— Był. Był, proszę pana, mój.

Z piedestału spadł w niziny drobnych pośredników, włożył swą kulawą nogę po zapluty chodnikach i uśmiechał się przymilająco do wspomnianych portretów Stalina, które zajęły miejsca w opróżnionych z towaru oknach kram.

Lejba z zaułka Lidzkiego, który sprzedał mi wóz za pośrednictwem Szwarckopfa, dał mu zaledwie komisyjnych jednego czerwonia.

— Żeby jemu te pieniądze, co on zarobił na tym wozie, na doktora poszli! — kłął go Szwarckopf, którego zalewała żółć.

I to życzenie też się nie spełniło. Bo gdy Lejba umierał w getcie, nie było już doktorów dla Żydów.

* * *

215

Innym typem właściciela kamienicy był pan Zygmunt vel Zuseł Rabinowicz. Kamienica też była inna. Nowoczesna, pięciopiętrowa, wychodziła na trzy ulice. Córki pana Rabinowicza przedarły się przez wszystkie numerus clausus i ukończyły uniwersytet. On sam, już stary, zażywał spokoju, inkasował liczne komorne, powiększał konto w banku, a miał właściwie dwa: jedno w Banku Bunimowicza, drugie w Wileńskim Handlowym. Nosił czarne palto i laskę o srebrnej gałce.

W lutym roku 1941 kazano mu ostatecznie opuścić uprzednio już znacjonalizowaną kamienicę i wynosić się na cztery wiatry, żeby śladu nie było.

— Pan to rozumie?

— Ja to rozumiem.

Obywatel Kazimierz Mszanowicz, stróż, wiceprezes dzielnicowego Związku Zawodowego Dozorców, usiłował omijać spotkanie, żeby niepotrzebnie nie zdejmować czapki. Pan Rabinowicz wynajął maleńkie mieszkanie w Kolonii Kolejowej pod Nową Wilejką. Zwiózł już był wszystkie graty, ale trzeba mu jeszcze było zabrać drzewo opałowe ze składzika, stare deski, połamane rupiecie, jednym słowem, resztki, z którymi nie chciał się rozstać. Najął mnie i drugiego furmana.

Jechało się za trzy czerwonce. Droga była fatalna. Dwieście kilometrów gołoledzi na zmianę z rozmiękłym śniegiem. Stary szedł całą drogę z tyłu, za wozami, doświadczony życiem, że pańskie oko tuczy nawet polana opałowe. Często gubił po drodze prawy kalosz, wtedy przystawał postępując.

Wschodnie okolice miasta są góryste. Czasem gdy wjeżdżaliśmy na szczyt serpentyny, widzieliśmy z dala już tylko czarną sylwetkę opierającą się na lasce, na tle zaśnieżonych wzgórz, krętych dróg i kilku kominów cegielni. Potem schodziliśmy w dół po oślizłej nawierzchni. Uparty Żyd mógł przebyć tę przestrzeń w ciągu kilkunastu minut koleją podmiejską, ale szedł. Szedł z trudem, z odpoczynkami, ciągle naszym śladem.

Już podczas składania drzewa do nowego składu wygadałem się w rozmowie ze swej przynależności socjalnej. Strasznie się tym stary Żyd wzruszył. Płacąc mi trzy umówione czerwonce, wetknął je w rękę nieznacznie, jak to kiedyś w zwyczaju bywało podawać honorarium lekarzowi. Następnie długo jeszcze potrząsał moją ręką i powtarzał:

216

— Daj Boże, żeby w lepszych czasach się spotkać.

W maju wywieźli go bolszewicy do Kazachstanu. Nie spotkamy się na pewno już nigdy, bo był stary.

* * *

W nocy z 2 na 3 marca 1941 wracaliśmy z Bieniakoń, odwiózłszy tam większą partię przemytu. Przed samymi Jaszunami przebiegł nam drogę wilk, co mój towarzysz uważał za szczególnie zły znak. — „To tak, powiada, jakby sto kotów naraz”. Nie będę już się rozpisywał nad stanem drogi, po której sunęły płozy naszych sań. Noc, wiatr, deszcz ze śniegiem. Przywłókł nas wreszcie zmęczony koń do karczmy. (Właściciel tartaku w Jaszunach nazywał się Kac, a jak karczmarz, nie pamiętam.) Wicher targał domostwem, a kto z zewnątrz wchodził do izby, ten oblepiony był topniejącym śniegiem na kapturze burki, brwiach, rzęsach, ciekł na twarzy łzami złej pogody. O takiej porze przyjemnie jest wypić gorącej herbaty z wódką. Przy stole siedziało kilku chłopów, na ławach spało dwóch. Raz jeszcze rozwarły się drzwi i otoczeni zimną parą weszli furmani Żydzi. Było ich siedmiu. Potupali, wysmarkali nosy w palce, wytarli twarze rękawem, brody dłońmi, przysiedli się wzdłuż ławy.

Usługiwała córka karczmarza. Gospodarz, Żyd, nie wstawał, tylko z przyległego pokoju, leżąc w łóżku, wydawał dyspozycje chrapliwym głosem. Od furmanów pociągnęło zapachem kapusty, smrodem owczyny, wiatrem, psiną. Zrobiło się ciasno, a nieprzytulnie.

Przyjaciel mój wstał znad stołu i odrzucając szerokim gestem połę kożucha, wydostawał z kieszeni spodni pieniądze.

— Ile trzeba zapłacić?

Drzemałem po trochu i nie bardzo słyszałem, o co tam właściwie spierał się on z gospodarzem. Zdaje się, że herbaty wydały mu się być policzone za drogo. Drzemka przeszła mi zupełnie dopiero wtedy, gdy dyskusja przybrała głośniejszy obrót. Karczmarz warczał i chrypiał za ścianą. Ten zaś stał pośrodku wielkiej izby, oświetlony słabym światłem lampy naftowej, trzymał pieniądze w ręku i dogadywał, targował się roraz donośniej.

— Ach ty! taki... Żyd! — huknął nagle.

— Co znaczy Żyd! Ja tobie dam „Żyd”!... — rozwrzeszczał się głos karczmarza z drugiego pokoju. — To teraz nie polskie czasy!!!

217

Nastąpiła sekunda milczenia.

— Ooo — odezwało się naraz kilka głosów znad stołu. I znowu cicho. Było tak jakby każdy rozumiał, że padły jakieś

ważkie słowa, jakieś słowa sięgające głęboko poza cenę szklanki herbaty, poprzez kozuch, siermięgę, koszulę, aż do skóry, może głębiej, aż do serca. Coś tu zapachniało odwiecznym sporem, poczuciem zbiorowej odpowiedzialności, ropiejącą raną dnia dzisiejszego.

Żydowski furman, proletariat, wierna ostoja bolszewizmu, powstali z ław powoli. Jeden z chłopów leżący w kącie na ławie spuścił nogi i skrobał się teraz w głowę, czy to ze snu, czy z determinacji. Drugi ponuro patrzył na Żydów. Powstałem i ja ze swego krzesła, instynktownie, jakby dla uczczenia powagi chwili, która mogła się stać początkiem jakiejś nieokreślonej walki. Jeszcze kilka sekund i nagle jeden z furmanów żydowskich, taki średniego wzrostu, w kapocie do ziemi, z czapką na oczach i batem w rękę, wyszedł na środek, odsunął delikatnie mego przyjaciela i zwracając się na wprost do pokoju, w którym leżał gospodarz, a na wprost do nas, zawołał:

— Uj, co jest? Co on gada?! „Polskie” nie „polskie”? Panowie, a politika? Sza! — A później obrócony już do swych towarzyszy, dodał z naganą w głosie: — Co on gada? Ja nie rozumiem, co jemu jest!

Nastąpiło zupełne odprężenie. Towarzysz mój, rzucając pieniądze na stół, mruzczał tylko jeszcze coś pod nosem i można było wyrozumieć w końcu słowa: przyjdą nasi". Wtedy Żyd, siadając z powrotem, z tą samą perswazją dorzucił:

— Nu, nu, przyjdą, niech przyjdą, nu daj Boże.

Lwów i Wilno 1948 nr 63

218

CZAPKA „POŁÓWKA”

Zaleta każdej czapki, moim zdaniem, tkwi w jej daszku. Dlatego może, mimo usilnych starań, do dziś dnia nie mogę zrozumieć koncepcji mundurowania wojska w berety albo tzw. „furażerki”. Na czym tu wygoda ma polegać? Bo przecież nie na tym chyba, że żołnierz musi ciągle mrużyć oczy, albo przesłaniać je od słońca wolną ręką, która właściwie ciągle jest mu potrzebna, winna być zatrudniona, a zresztą od urodzenia ma inne przeznaczenie niż służyć za „ombrelkę” na wojnie. Teraz do walki wkłada się hełm. Całe szczęście, gdyż strzelanie przy nie ocienionych oczach jest czystym absurdem. W niepodległym wojsku polskim (a takie było tylko do roku 1939) wprowadzono czapkę uniformową miękką, tzw. „połówkę”. Była to czapka doskonała.

Po pierwsze, ze względu na swoją miękkość łagodziła przykry kształt rogatywki. Bo rogatywka (ośmielałem się wypowiedzieć tu ściśle osobiste przekonanie) jest brzydka. Nie ma w sobie nic z czapki „rogatej”, jak ją niektórzy nazywają, a robi wrażenie jakby żołnierz nosił na głowie dobrze wyrośnięty mazurek wielkanocny. Po co? Ten kwadrat na denku nie ma ani estetycznego, ani praktycznego zastosowania. Czaka ułańskie, nasze, smukłe, a nawet przypląśnięte ułanów pru-

skich czy rosyjskich, miały w sobie jeszcze jakąś fantazję. Twarda, gruba, ruska, kwadratowa rogatywka jest raczej śmieszna. Toteż każdy kto wkładał połówkę, wpadał na ten sam fason, by jej miękkie rogi powpychać do środka i przez to nadać jej kształt bardziej normalny, a mniej błazeński. — Połówka była poza tym tak uszyta, że na wypadek zimna

i

219
można było jej boki opuszczać na uszy. Nade wszystko zaś miała świetnie osadzony daszek, który znakomicie ocieniał wzrok. Była więc czapką lekką, ciepłą, praktyczną i dlatego powszechnie cenioną dla tych zalet.

Bolszewicy wkroczywszy do Polski we wrześniu 1939 roku, mimo całkowicie zmodyfikowanych form propagandowego oddziaływania, zastosowali niektóre ze starych wyświechtanych chwytów, z lamusa pierwszej rewolucji. Wiadomo, że każdy woli tkwić w domu niż w okopie, a jak leżeć, to już raczej na piecu, niż w tyralierze. Stąd propaganda antywojenna, stąd wielkie hasło: „do domu!” Było tak w pierwszych miesiącach. Co wywieźli na przymusowe roboty, to wywieźli. Trochę żołnierzy później zwolnili. Resztę rozpuścili, tak jak stali, w mundurach, z orzełkami, tylko bez broni. Litwini, gdy wkroczyli do Wilna, wyznaczili termin, po którym wojskowe uniformy polskie miały być przerobione. Bolszewicy przeciwnie. Wyglądało tak, jakby im zależało na tym, aby jak największa ilość ludzi w mundurach wojennych oddawała się „pracy pokojowej”. (Oto oni zmuszali was walczyć, a my przynosimy spokój, twórczą pracę.) Intencja była wyczuwalna i chociaż b. żołnierz nie miał posiadać żadnych specjalnych prerogatyw, to wszakże czuł się pewnie, coś w rodzaju jak „frontowik” w okresie „raboczych i żołdatskich dieputatów”. Masa też ludzi nosiła i znaszała uniformy w pracy codziennej, aż się wyszargały, podziurawiły na łokciach i kolanach, zatraciły pierwotny kształt. Natomiast połówki na głowie zachowały się lepiej, noszone też w zimie, przy kożuchu. Darły się mniej i widziało się je wszędzie w mieście, a zwłaszcza na wsi.

Ale intencja propagandowa sowiecka tym razem chybiła, odniosła raczej skutek odwrotny od zamierzonego. W odróżnieniu od zastrachanej inteligencji, robotnicy i chłopci więcej okazali odporności, niżli oni, bolszewicy, i my sami, spodziewać się mogliśmy. Czas miniony, jak zawsze i wszędzie, tracił chropowatość, wydawał się lepszy; wojna z jej przerażeniem przeinaczać się poczęła we wspomnienia, pogaduszki, anegdoty, wreszcie w dumę, że się w niej brało udział i można bając o niej w rozdziawione gęby sąsiadów. Ale ponad wszystko, przeszłość ta z każdym dniem stawała się jaśniejsza, im bardziej terażniejszość bolszewicka robiła się ponura, bezbarwna, nękająca. I oto element żołnierski, ten, który był, i ten, który wrócił z wojny, przeistaczał się w warstwę, która

220

wprawdzie nie różniła się ani w poglądach, ani w reakcjach od reszty, ale ponad tą resztą wytwarzała wzajemną spójnię.

Było to jakby stowarzyszenie, czy korporacja bez programu i bez statutów, ale tylko z czapką połówką na głowie. Rzecz, jak wiadomo, najbardziej dla bolszewików niebezpieczna: jakakolwiek wspólnota pozostająca poza zasięgiem ich władzy i kontroli.

Jeżeli ogrom niebezpieczeństwa najazdu sowieckiego tkwi w tym, że rozsadza on właśnie wszelką wspólnotę od wewnątrz, że od pewnej niemożliwej do określenia daty przestaje być wiadome, kto „swój”, a kto wróg, to połówka była, raczej bywała, wyjątkiem z zasady i czyniła niejaki wyłom. Zdarzała się rzecz tak rzadka nawet przed wojną, żeby gdzieś w opłotkach wsi, za lasem, za polem, pomiędzy Dźwiną i Prypecią, ściągnąć lejce i zawołać z wozu:

— E! Kolega!

Podchodził wtedy tamten, w połówce na głowie, z twarzą, której chłodne wiatry naszego kraju wysuszają skórę, opierał ręce na drabince furmanki i można było (bywało) pogadać:

— Nu, jak tam u was?

— A ot, jak widzisz.

— Była rejestracja?

— Była. Cholera ich weźmie. — Najczęściej patrzył wtedy w dół, na piastę przedniego koła, albo coś poprawił u wozu, albo wyciągnął koniczynkę z siana i żuł gorzko. — A jak tam, o naszych nic? Może czasem, przez radio przyszło się słyszeć?

To już wiadomo, że „swój”.

Kiedyś w Słobódce, na przykład, proszę o wiadro, konia napoić.

— Tak-żeż przy studni koryta jest; tamże i wiadro u żurawia.

— Aha.

— A ot, powiedz pan, bo łwidza, z daleka jedziesz (a miałem połówkę na głowie), ci prauca co ludzie każuć, że Niemiec jakby to na Sowietu zbiera się?

— Cóż to ojciec, widzę, wojował?

Stary poprawił na głowie połówkę:

— To nie moja, to syna, w czwartym ułanów służył. Ot, tam, poza brzeźniaczką bronui pod mieszanka. Siał bę-

221
dziem, ale czy dla siebie, czy dla jakiego kołchozu, Pan Bóg święty wie.

Raz znowuż potrzebowałem na gwałt owsa i znikąd dostać. Zajeżdżam do Wiktora Kuczki. Odstawił widły, połówkę trącił na tył głowy i powiada, że „nie ma, bracie, nie mogą sprzedać; a zresztą, co za te rubli ichnie, za to g... kupisz teraz”. — Pogadaliśmy jeszcze, zgadało się o wojnie i Kuczko zaczął opowiadać jak to było na Narwi. Widzę, że słońce coraz niżej nad sosnami, więc przerywam, bo jeszcze może przed wieczorem u kogoś znajdę. Ale Kuczce chciało się dopowiedzieć epizod do końca... Spojrzał niechętnie w niebo i machnął ręką:

— Ach, no cóż robić. Moza jaki pudzik-dwa odstąpią

wreszcie.

Tak oto połówka stała się dobrym znakiem rozpoznawczym wśród najgorszego bagna sowieckiej niewoli. Niewątpliwie zawdzięcza to swym zaletom krawieckim i doskonale wszytemu daszkowi. Nie wiem, kto personalnie planował kształt tej czapki, ale chciałbym mu w tym miejscu złożyć hołd.

Lwów i WOno 1948 nr 69

222

NA MARBLE ARCH

Idąc w sobotę ubiegłą po East Carriage Drive, najszerszej w Hyde Parku alei, biegnącej równoległe z wielką arterią Park Lane, spostrzegłem na lewo w skos duże, czerwone plamy na tle zieleni. Ponieważ obydwie wymienione tu arterie ruchu londyńskiego znajdują ujście na Marble Arch z jego tłumem czerwonych karoserii, wydawało się z pierwszego pośliznięcia wzroku, że to kilka autobusów wjechało na trawę Hyde Parku i tam chyba utknęło. O tej zwyczajnej porze popołudniowej ruch samochodowy był jak zawsze olbrzymi, ale przechodniów pieszych mało. Padał deszcz, prawie że wyjątkowy tej wiosny. Pod platanem, którego młode listki nie dawały jeszcze sensownego schronienia, stało dwóch policjantów w gumowych pelerynkach. Jeden z nich ziewał, przesłaniając lewą ręką usta, a prawą wskazywał drugiemu to miejsce czerwone w parku i coś doń mówił. Spojrzałem jeszcze raz... Ach, naturalnie! Zawsze to samo zestawienie: policja i czerwone sztandary! Przecież to dzisiaj 1 maja. — Istnieją podobno ludzie, którzy pamiętają jeszcze te... no, jakżeby je nazwać... czasy, gdy policja rozpędzała tłum pierwszomajowy. Ja do rzędu tych ludzi się nie zaliczam; niestety, bowiem różnorodność wrażeń potęguje wyobraźnię, sprzyja wykształceniu, jest rzeczą cenną. Osobiście, jak sięgnę wspomnieniem, pamiętam tylko jednostajny obraz pochodów pierwszomajowych w zgodzie i pod ochroną policji. Zawsze to samo. Tak też było w Polsce w ciągu niepodległego dwudziestolecia. Między innymi, w ten sposób maszerując, domaszerowaliśmy bez ojczyzny, na wygnaniu, na Marble Arch w roku 1948. I tu też

223

na czele pochodu ukazał się przede wszystkim konny policjant Jego Królewskiej Mości, a następnie dopiero czerwone sztandary. Miał pod sobą gryzącego wędzidło gnidosza, który nie tylko maścią, ale i tanecznym stępem do złudzenia przypominał wierzchowca komendanta wileńskiej policji konnej, podkomisarza Wiktora Bibiły. Tak samo, powtarzam raz jeszcze, tak samo się zaczynało wszędzie w Europie i kończy się też wszędzie jednako.

Daleki jestem od wdawania się w historiozofię ruchu, którego pierwszy maja jest świętem. Nie chcę też nikogo obrażać brakiem różnicowania pomiędzy fałszywymi i prawdziwymi socjalistami. Wolno mi jednak zestawić gołe fakty, iż okres, w którym policja rozpędzała pochody pierwszego maja, przed pierwszą wielką wojną, był okresem maksymalnych wolności

obywatelskich, a okres, w którym pierwszy maja przeistaczał się w święto państwowo-policyjne był i jest jeszcze okresem maksymalnej niewoli, ba, upodlenia jednostki. Czy droga, którą wystukują po bruku podkowy policji konnych, maszerujących na czele sztandarów pierwszomajowych, musi koniecznie prowadzić do parad z udziałem SS w Berlinie, NKWD w Moskwie i Bezpieki w Warszawie — jest rzeczą ponad wszelką wątpliwość sporną. Że się tak dotychczas składało, może i nie jest winą samego Marksa, a tylko jego uczni z jednej strony, czy też wrogów z drugiej. Ja tu nie żaden arbiter w tych sprawach, ja po prostu jeden z widzów tylko, a w tej chwili zmasowany na chodniku przy Marble Arch w Londynie; może tylko bardziej od wielu obecnych doświadczony. Bo weźmy taki przykład:

Deszcz pada za kołnierz, więc tłum się niecierpliwi, naciska na jezdnię, by zajrzeć w wylot Oxford Street, skąd grzmi orkiestra. W tej chwili kroczą wielkie transparenty DaUy Worker i policjanci proszą, żeby się szpalery widzów trochę rozstąpiły. „Thank you, thank you!” dziękują za posłuszeństwo. A czy oni wiedzą, ci policjanci, jak będzie wyglądał ten pierwszy maja w takim roku, gdy Daily Worker, któremu torują dziś drogę, stanie się naczelnym organem państwa? Nie wiedzą? A ja wiem.

— Skąd? :

— A stąd, że widziałem...

224

Na chwilę orkiestrę zagłusza stuk maszyn robotników pracujących przy układaniu asfaltu. Zaczynają maszerować londyńskie oddziały komunistycznej partii.

— Więc na przykład ci robotnicy, co tu pracują naprzeciw kina „Odeon”, zgniliby w katordze... Nie, to nieprawda co mówię! Oni by nie zgnili w żadnej katordze, bo by im nawet z samego strachu przez myśl nie przeszło, ażeby mogli coś podobnego zrobić! Ażeby mogli nie wziąć udziału w tym pochodzie!

„I u śnie nikali nia baczyli!” — jak wzdychał mój przyjaciel ze Skorbucian. — Pamiętam ten straszny, śmiertelny 1 maja 1941 roku...

Była względnie ładna pogoda, chociaż zamróz nie wszędzie jeszcze wylazł był z ziemi. Rano piłowałem drzewo na podwórku, gdy pod moją bramą przejeżdżały ustrojone furmanki „delegatów” z Sorok Tatar, Pogir i Waki do Rudomina. Poczulem, że piła sama jakby mi szła jakoś po nerwach, ale się przemogłem, nie patrząc na boki.

— Oho — usłyszałem nagle z drogi — isz jego, widzisz, drzewa pilui...

Przemogłem się jeszcze raz. Uf. Choć to i kanalie były w tych „delegatach wioskowych”, ale się nie zatrzymali. Jednak gdy minęli, zauważyłem, że na dziś przecie starczy tego piłowania. Zresztą po co? Głupio. Poszedłem do domu, cisnąwszy piłę na zwalone polana.

„Dzyńńńńń...” zaśmiała się szyderczo.

Możecie sobie wyobrazić, że tego dnia do miasta, do Wilna, w ogóle nie wpuszczano „osób prywatnych”, ani wypuszczano. Takie to było święto wolności! Wszyscy, komu trzeba, kto musiał, a w ogromnej ilości wypadków kto nie musiał, stanęli karnie do pochodu z samego przerażenia. Reszta wron, żeby się nie pętali po ulicach i miasto było jak sparaliżowane. Dziesiątki tysięcy uszeregowały się w kolumny, posłusznie z czerwonymi kokardami, by następnie maszerować przed trybuną z portretem Stalina i żywymi funkcjonariuszami NKGB. Wszyscy! Niech mi tu nie kłamią ci, którzy twierdzą, że nie! Wszyscy! Teatry, szkoły, młodzież, starsi, zakłady, urzędy, fabryki... —Wyjątki potwierdzały tylko regułę. A była to reguła potworna, reguła strachu, poniżenia godności, psychozy. Potworna.

225

W przerwach pomiędzy jednym i następnym pochodem na Marble Arch biegają policjanci i starają się jak mogą. Na Edgware Road, na Bayswater, na Oxford spiętrzyły się już setki autobusów i samochodów; trzeba rozładować ruch, który w taksówkach i limuzynach czekał posłusznie, ustępując drogę towarzyszą z komuny. Policjantom pot spływa z deszczem po twarzy. Jakże to sprawnie oni regulują! Olbrzymie miasto pulsuje przez chwilę życiem własnym i znowu: stop! Czerwone sztandary. Wloką się kwadrans. Godzina piąta, w pół do szóstej.....

O wpół do szóstej przyszedł do mnie staruszek, pan Hołub, wśliznął się w furtkę, oglądając dyskretnie, i na werandę. A ja siedziałem jak Amerykanin, z nogą na poręczy, patrząc bezmyślnie w ciemniejący las.

— Panie — powiada — czemu pan sztandaru czerwonego nie wywiesił na domu? Już ja słyszałem, że ludzie gadają... Niech pan nie robi głupstw. Panie, ja ojcem pana mogę być, ja stary człowiek jestem, ja pana... proszę. Pan rozumie, ja pana proszę. Niech pan siebie nie gubi, po co?

— Późno już —mówię — zmrok.

— Panie, lepiej późno niż nigdy. Nie rób pan takich rzeczy. Zobacz pan, nasz Konstanty na przykład, on dwa powiesił na domu, po jednym na każdym składziku i na chlewie. Chciał jeszcze na wychodku, ale mu odradziłem. Żółtym piaseczkiem wysypał drogę przed bramą...

Nie wywiesiłem i wiem, że za to okoliczni sąsiedzi i znajomi uważali mnie po prostu za... durnia.

Stoję teraz oto i patrzę na durniów z Marble Arch. Niektórzy się śmieją, klaszczą w dłonie, bawią. — Widziałem pierwsze maję nie tylko w Wilnie, Krakowie, Warszawie. Widziałem het, na Corso Plebisciti w Mediolanie, które to Corso, jak za dotknięciem różdżki przeistaczało się w ulicę Gęsią, a Gęsia w naszą Wielką, a nasz Plac przed Ratuszem w Piazza del Popolo w Rzymie, gdy czerń z czerwonymi rozetkami przesłaniała widok nieba, roślin i architektury. Rzecz jest absolutnie pewna, że jest międzynarodowa. Trzy czwarte tego, co było pierwszego maja na Marble Arch w Londynie, z twarzy, ubio-

ru, kokardek, postawy, wyrazu oczu, ignorancji, wykręco-
226

nych obcasów, demagogii i okrzyków pasuje absolutnie do każdego miasta Europy z tej i tamtej strony „żelaznej kurtyny”. To jasne. Temu zaprzeczyć się nie da. Nigdy jeszcze w Londynie nie czułem się tak fizycznie zbliżony do kontynentu. Po prostu ręką podać i zapytać „na” jakimkolwiek języku: „A towarzyszu...”

Jedna czwarta była specyficznie wyspiarska, a więc bez-troska i to mi w całej uroczystości wydało się najbardziej groźne. Jechały jakieś wozy, na wpół błazeńskie, na wpół karnawałowe, szły postacie poprzebierane, nie było grubych pałek bojówkarzy, ale też i policjanci konni nie mieli szabel; maszerowała orkiestra szkocka i... trzeba to wyznać, było więcej żartów niż wymyślań i odgrzań. Ten szczegół, to zadufanie beztrioskie we własną odrębność, ta wiara w króla i w tę całą „angielską” specyficzność, wydaje mu się nie od dziś najmniej wiary godna, po doświadczeniach komunistycznych nie z jednym narodem, a ich dziesiątkami.

Ja bym im raczej poradził co innego: nie śmiać się, bo rzecz nie jest z kategorii śmiechu, a jeszcze póki czas, póki nie za późno... Ech, wiem też z doświadczenia, że byłaby to czcza rada. Są decyzje, które się podejmuje tylko z wielkiej miłości. I trzeba tak kochać wolność, jak my, żeby to rozumieć. Ale czyż w tym stopniu nie kocha się zazwyczaj tylko rzeczy utraconych?

Lwów i Wilno 1948 nr 70

227

PROWIENISZKI

1

Podczas ostatnich wyborów we Włoszech wydano między innymi bardzo udatną ulotkę o zbrodniach popełnionych przez Sowiety na Litwie. W konkluzji: „Vota contro Fronto Democratico Popolare.” Czyli przeciw blokowi komunistycznemu. Jedną z ilustracji tej ulotki przedstawia mrożący krew widok masakry w Prowieniszkach. Stąd przypomniałem sobie tę nazwę, która przez wiele lat znaczyła dla nas to samo, co dla innych brzmienie słowa „Oświęcim”...

W Prowieniszkach, położonych na Litwie, założyli bolszewicy obóz koncentracyjny, który nosił oficjalne miano, zdaje się, „obozy pracy przymusowej”. Odsyłano tam za różne przewinienia, w tej liczbie za „spekulację”. (Pod to miano podciągnięty był też handel prywatny.) Bezpośrednie funkcje nadzorcze pełniła litewska milicja, a o reżymie tam panującym mało jest dziś danych, ponieważ nikt prawie, ani z obsługi, ani z więźniów, nie wyszedł stamtąd żywy. Stało się tak dlatego, że władze sowieckie w ciągu lat 1940 i 1941 co pewien czas wywoziły więźniów z Prowieniszek w głąb Rosji. W czerwcu zaś 1941, gdy wybuchła wojna niemiecka, było ich w Prowieniszkach około 500. W pierwszych dniach całą Litwę objęła fala partyzantek anty sowieckich. Niemcy wrzynali się w teren klimami swych szybkich pancernych dywizji i trudno było się

zorientować, co już jest wolne od wojsk sowieckich, a co jeszcze nie. Dnia 23 czerwca załoga Prowieniszek, otrzymawszy wiadomość, że zbliża się jakaś grupa czołgów, zdarła czerwone sztandary, wywiesiła natomiast o barwach narodowych litewskich i przygotowała się na przyjęcie Niemców. Z upału i kurzu wyłoniły się czołgi. Były to jednak czołgi sowieckie. Bolszewicy otoczyli obóz i wyróżnili najpierw załogę litewskiej milicji. Następnie wezwali wszystkich więźniów, by się zbrali na placu apelowym. Gdy ci posłusznie stanęli w szeregach, wjechał czołg sowiecki i począł z karabinu maszynowego kosić zebranych. Nie było żadnej możliwości ucieczki. Ludzie przeto, wiedzeni przedśmiertnym instynktem, tłoczyli się coraz ciśniej, chowając jeden za drugim, w zbitej, konwulsyjnej kupie ciał, co ze swej strony znakomicie ułatwiało cel. Wreszcie wszyscy padli.

228

Wiem o tym z ustnej relacji b. przodownika policji polskiej z Nowogródka, który znajdował się wśród masakrowanych. Prócz niego, uratował się tylko jeden. Tych dwóch złożyło później świadectwo. Tamten drugi został lekko ranny, mój zaś znajomy przodownik wyszedł zupełnie cało, w całym znaczeniu tego słowa: w cudowny sposób. Pytałem, jak to było. Upadł — powiada — razem z innymi. Gdy ustały strzały, do drgającej krwawej kupie ciał podeszli bolszewicy nawołując: „No, kto żyw?! Kto żyw jeszcze? Nie budiem strielaf, nie bojties!”. — Przodownik zdążył jeszcze w niezwyklej przytomności umysłu zaczerpnąć pełną garścią mózg wywalony z roztrzaskanej czaszki najbliższej leżącego i tym mózgiem chlapnąć sobie na głowę i twarz. Zaparł też dech w piersiach, gdyż ktokolwiek jęknął, był natychmiast przebijany bagnietem. Na szczęście, bolszewicy nie mieli kwadransów czasu do stracenia. Wleźli do czołgów i wiali dalej. Przodownik wstał, umył się i wyszedł sam jeden z ogrodzenia obozu umarłych... Niemcy, naturalnie, szeroko wyzyskali mord w Prowieniszkach propagandowo. Ale jeszcze w trakcie, gdy ukazywały się w gazetach fotosy pozabijanych, już oczyszczano obóz dla przystosowania go do warunków... niemieckiego obozu koncentracyjnego. Prowieniszki nie zmieniły swego przeznaczenia. Odtąd stały się postrachem i widmem wielu lat okupacji niemieckiej. Zginęło w nich wielu wilnian.

* * *

Znany jest fakt rozstrzelania w Wilnie na przełomie lat 43-44 dziesięciu „najwybitniejszych Polaków”, jak to stało w oficjalnym komunikacie Gestapo. Nie będę więc sprawdzał dokładnych dat, ani pełnej listy nazwisk, z których nie wszystkie pamiętam. Chciałbym dorzucić tylko garść wspomnień osobistych o wypadkach, które powinny posiadać szczegółową monografię. Nie pamiętam nawet nazwiska tego fatalnego agenta litewskiej sekcji Gestapo, który został zastrzelony gdzieś w okolicach, zdaje się, między św. Jakubem i Mostem Zielonym, a który stał się pretekstem do straszliwego odwetu. Nazwisko to było wówczas głośnie. Ponieważ był Litwinem,

więc w nastroju pasji politycznych, porachunków, terroru, gwałtu i rozpasanej nienawiści, rozpętał namiętną dyskusję, w której niektórzy twierdzili, że odpowiedzialność za mord dziesięciu spada wyłącznie na Niemców, a inni, że dokonany został za poduszczeniem „Litwinów”.

229

Oczywiście, ta druga wersja nie miała żadnego uzasadnienia, prócz litewskiej narodowości agenta. „Litwini” jako tacy nie ponosili zań większej odpowiedzialności, niż „Polacy” na przykład za rzekomą agentkę Gestapo Wyleżyńską, też zresztą zastrzeloną na ulicy. Poza wszystkim jednak przeczył temu fakt, że na pierwszym miejscu owych dziesięciu rozstrzelanych w odwet widniało nazwisko mecenasa Mieczysława Engla. Mieczysław Engel należał do rzędu tych bezkompromisowych Polaków i najszczerzej wody patriotów, którzy cieszyli się jednocześnie szacunkiem wszystkich narodowości Wilna. Litwini odnosili się doń przyjaźnie. Powiadano, iż dlatego, że bronił w okresie wojewodowania Bociańskiego oskarżonych przed sądem Litwinów, ale w rzeczywistości tylko on i adwokat Sopoćko odpowiadali zawiłym litewskim przepisom, które dawały prawo na występowanie w sądach i takie też prawo przyznano im z miejsca po wkroczeniu Litwinów jeszcze w roku 1939.

Kiedyś spotkałem Engla na ulicy, gdy został podpisany w sierpniu 1939 pakt niemiecko-sowiecki. Spotkaliśmy się przy wyjściu ze sklepu, dnia 1 września, następnie po ultimatum sowieckim do Litwy w czerwcu 1940 i od tego czasu mecenas na mój widok zwykł był mówić nieodmiennie. „My z panem zawsze się spotykamy w chwilach przełomowych, a więc...” Po moim powrocie z Katynia zaprosił mnie na obiad wyznaczony na tydzień naprzód, ponieważ nie mieszkałem w mieście, a tylko do niego człapałem piechotą ze wsi. Z przyjemnością skonstatowałem, że należał do tych nielicznych jeszcze, którzy, od wódeczki i zakąski po służącą, która podawała, żyli wciąż jeszcze na jakim takim poziomie cywilizowanego bytowania, które u nas, w odróżnieniu od Warszawy, było objawem nader rzadkim. Było to na kilka miesięcy przed jego niespodziewanym rozstrzelaniem.

A potem: Stałem przed witryną niemieckiej Buchhandlung na ulicy Mickiewicza z zawiścią czytając tytuły książek, które chciałbym dostać, a nie mogłem, gdyż z braku papieru były to już książki „nur für Deutsche”. Nagle zbliżył się Engel, któremu to właśnie mówię. — „Ja panu załatwię” — odpowiada. — „U mnie mieszka jeden Niemiec. Bardzo przyzwyczajony się zachowuje. Właśnie przez niego kupiłem sobie kilka książek. Jeżeli pan przyjdzie za kilka dni...” Przeszedłem za kilka dni. Idąc Zawalną, skręciłem w Trocką i Wileńską.

230

Na Wileńskiej był sklepik braci Niecieckich, z których jeden był znanym przed wojną sprawozdawcą sportowym wileńskich gazet. Teraz w tym sklepiku sprzedawali wszystko i nic zarazem, jak to było w zwyczaju ówczesnym. Między innymi

leżały na ladzie gazety. Na pierwszej stronie, na pierwszym miejscu, właśnie tego dnia fatalny komunikat Gestapo, a w nim pierwsze nazwisko: Adwokat Mieczysław Engel.

Dziś już nie potrafię odtworzyć tego wrażenia... Poczuję jakiś, zdaje się, ucisk w żołądku, jakiś kwas w gardle... Wyobraziłem sobie nagle sympatycznego mecenasa, jak stoi ze swym brzuszkiem trochę wypiętym... Nie, to wprost nie do wiary! — Na drugim miejscu — profesor Pelczar...

— Była tu przed chwilą — powiada Nieciecki — profesorka Gutkowska. Przyszła z jakimś Litwinem, który ma znajomego w Gestapo, i paczką dla męża aresztowanego tej nocy. A te gazety leżały tak jak teraz. Przeczytała nazwisko swego męża na trzecim miejscu i zemdląła, właśnie tu, gdzie pan stoi.

* * *

Zaraz po zabójstwie agenta, szef Gestapo (nie pamiętam tego nazwiska) wściekł się. Tytułem represji kazał aresztować w nocy owych „dziesięciu najwybitniejszych” i natychmiast, ale to natychmiast, rozstrzelać na podwórzu Łukiszek, nie wywożąc ich nawet na Ponary, które były normalnym miejscem kaźni. Z piekielnego pośpiechu wynika pewna charakterystyczna ilustracja: Fama głosiła, że pospieszył w ten sposób, aby mu wyższe władze nie przeszkodziły w wykonaniu wyroku. Zdaje się, że tak było w istocie. A zatem szef Gestapo posiadał tak dalece nieograniczoną władzę, ażeby bez konsultacji jakiegokolwiek, miejscowej czy centralnej, pozwolić sobie na czyn podobnie krwawej rozprawy, nie tak jednak wielką, by się nie obawiał, że decyzja jego może być zakwestionowana. Zwłaszcza osoba prof. Pelczara nasuwać mu mogła pewne obawy pod tym względem. Prof. Pelczar był sławą naukową na miarę europejską. Studiował w Wiedniu i Berlinie, miał tam dużo znajomych i przyjaciół. Niemcy, po wkroczeniu w r. 1941, okazali mu dużo respektu. Chcieli z nim nawet rozmawiać, co oczywiście, w tych warunkach, w jakich obracała się polityka niemiecka, nie miało żadnego sensu.

231

Córka mec. Engla pracowała w tym czasie jako maszynistka w „Gebietskommissariat Wilna-Stadt”. Pobiegła też natychmiast do komisarza Hingsta. Droga przerozmaitych protekcji zaalarmowano władze wyższe w Kownie i sprawę udało się przeforsować do Berlina, gdy już... dawno było za późno. Sprzątnięto trupy, koniec.

Jednocześnie Gestapo zarządziło aresztowanie trzystu Polaków w mieście, których wsadzono i — wywieziono. Dokąd? Opowiadał mi później, aresztowany między innymi, wspomniany wyżej adwokat Sopoćko. Droga szła przez ulicę Legionową na... Ponary. Sopoćko opowiadał mi to przy kieliszku wódki, swoim zwyczajem zwiężając usta, gdy chciał powiedzieć jakiś dowcip:

— Sam rozumiesz... No cóż. W aucie wstał ksiądz, gdyśmy jechali serpentyną w górę i błogosławił wszystkich na

śmierć. Sam rozumiesz.

Ale szosa na Ponary prowadzi też do Koszedar, a do Prowieniszek jechało się przez Koszედary. Wszystkich trzystu zawieziono do Prowieniszek. Jednakże wspomniane interwencje i ponoć niezadowolone władz wyższych z rozstrzelania Pelczara itd. wpłynęły na cofnięcie zarządzenia Gestapo. Zdaje się, że już po miesiącu wszystkich zwolniono i wrócili do Wilna.

— Bardzo tam było strasznie? — pytałem Sopoćkę.

— Nieee... Za łapówki można było jeszcze wytrzymać.

Nieprzyjemnie tylko. Ciągniesz na przykład jakieś kłody po pas w torfianej łące, a tu na ciebie jakiś cham wrzeszczy.

Można było wytrzymać, tylko że w każdej chwili, za najmniejsze coś-nie-tak, mogli zastrzelić. Nieprzyjemnie. Sam rozumiesz.

Rozumiałem, oczywiście, doskonale.

Lwów i Wilno 1948 nr 71

232

NA EMIGRACJI

i

Londyn — Kensington, w kwietniu

Czytam właśnie, stale w Kensington Gardens, „Corona turrita” Pawła Hostowca w paryskiej Kulturze. Boże! cóż za wspaniała erudycja! Kiedyś śp. prof. Janicki, który wykładał biologię ogólną na Uniwersytecie Warszawskim, mówił nam: gdyby można wiedzieć wszystko co było, w znaczeniu absolutnym słowa „wszystko”, to byśmy wiedzieli wszystko co będzie. Na przykład można by ustalić, że za 1500 lat drzewo rosnące w takim-to miejscu globu, o takiej-to dacie i sekundzie poruszy takim-to listkiem, na skutek podmuchu, pod kątem tyłu i tyłu milimetrów. Naturalnie, nie przesadą, a złośliwością zgoła byłoby porównać wiedzę Pawła Hostowca do podobnej absolutnej doskonałości, dlatego nie dowiem się z Jego wspomnień, co z nami będzie, natomiast szczerze podziwiam go, a wstydzę się za siebie, że przebywając w tych samych miejscowościach włoskich, w jakiejś Rocca di Papa czy nad jeziorem Albano, siedziałem może na tym samym kamieniu i pojęcia nie miałem, że siedział tam Septimus Severus, czy ktoś inny i co o tym pisał następnie filozof XVIII wieku. To są rzeczy dla smakoszków. Same już tytuły cytowanych książek i nazwiska autorów pobudzają do respektu, jakby podnieciły znawcę, który pociągnawszy nosem, poczuł zapach doskonałej przyprawy dochodzący z kuchni.

Ciekaw jestem natomiast, czy zdarza się komuś, tak jak mnie, że błąka się po głowie jakiś strzep przeczytanej książki, w dzieciństwie na przykład, której się nie pamięta ani autora, ani tytułu. I nie chce pamiętać. Żeby się nie pokusić na

233

sprawdzenie tekstu i nie rozwiać złudzeń, że piękny. Może to u Sieroszewskiego ja czytałem, a może i u nie-Sieroszewskiego, jak dwóch chłopców spycha łódkę z brzegu, a przed nimi olbrzymia tafla rzeki, wyspa dzika, dzikie gęsi; powietrze drga

od upału i blask wody oślepia; pachnie gnijącą trzcina, a jednocześnie nieskończoną, niewypowiedzianą w słowach świeżością... — Złe myśli są jak stada krzykliwych kawek, które krążą wokół mózgu niby wokół kopuły cerkiewnej i obsiadają go od czasu do czasu. Złe, dokuczliwe wspomnienia i wtedy zamykam oczy i usiłuję uciec nad rozślonecznioną taflę leniwie płynącej rzeki. — Kwak dzikich kaczek w Kensington nie sprzyja jednak ucieczce, a przywołuje do rzeczywistości. Otwiera się oczy i widzi: leżaki, leżaki, żelazne krzeselka za dwa pensy, new-look.* Jest śliczna wiosna i wiatr targa unoszonym strzępem gazety.

Londyn — Kensington w kwietniu

My, którzy zawsze należeliśmy do Europy, potrafimy ocenić: Anglik zdobywa szczyt Himalajów i pisze: „Dalsze posuwanie się ekspedycji niemożliwe. Dziś opuszczam obóz i próbuję iść sam jeden. Zabieram ze sobą tom Szekspira i szczoteczkę do zębów”.

Ach, jak to jest prawdziwie po angielsku! Tk-tk-tk — cmokano u nas pod Mejszagołą, oto jest Europa! Tak robić może tylko prawdziwy angielski Europejczyk. — W międzyczasie okazało się, że myją się mniej dokładnie niż Polacy. Ale nie o to chodzi. Chodzi o wymaginowaną syntezę. Jak on to powiedział: Szekspira i szczoteczkę do zębów. Tk-tk-tk-tk. — Podobnie cmokali Żydzi w Olkienikach, gdy brakarz Josesł Ch. otrzymał podziękowanie z kancelarii króla Edwarda VIII za przesłanie gratulacji. — We Włoszech wystarczy wsiąść do otwartej limuzyny-torpedy, do jakiejś stukonnej na przykład, pomalować karoserię najlepiej na kolor krzyczącej czerwieni, zapuścić motor bez tłumików i ze strasznym rykiem lecieć szosą. Wszyscy mieszkańcy miast i miasteczek wyjdą na drogę i będą cmokać ze smakoszoństwem: tk-tk-tk. Europa ma swoje prawa i swoje upodobania.

* „New-look” pierwsza powojenna moda długich i szerokich spódnic. B.T. 1983

234

Deszczów jest natomiast w zachodniej Europie daleko mniej niż u nas. Kto się jednak zechce do tego przyznać, że u nas w kwietniu lało trzy-cztery razy częściej niż w Londynie? Nikt. Bo to wszystko rzeczy umowne i uczciwi ludzie od raz przyjętej umowy odstępują niechętnie. Tymczasem rzecz z ta prawdziwą europejskością, do której należymy, nie wydaje się jednak prosta: bo w naszym, polskim pojęciu, do Europy nie należą Rosjanie, którzy są Azjaci; Ukraińcy bandyci, a Białorusini szczep jeszcze niżej od nich stojący; Estończycy, Łotyśze i Litwini nie posiadają nawet własnej literatury; Rumuni to złodzieje, a Czesi tchórze i na Bałkanach mieszkają pastusi. Najczęściej robi się mały wyjątek dla Węgrów i to tylko ze względu na wypitkę i wybitkę. Siedemdziesiąt milionów Niemców to oczywiście nie Europa, a monolitowa masa zbrodniarzy. W ten sposób jednym skokiem jesteśmy już na zachodnim brzegu Renu, poza Polską nie spotykając źdźbła Europy. Portugalczycy to nie wiadomo co takiego, natomiast Hi-

szpanie to, niestety, nawet bardzo wiadomo: połowa komuniści, a połowa faszysti i słusznie do politycznej wspólnoty europejskiej nawet nie dopuszczani. Pozostaje pas ukośny: Włochy, Francja, Anglia. Jeżeli się jednak odliczy 30% komunistów, nieprawdopodobnie kompromitującą te narody cyfrę kolaborantów i jawnych faszystów, liczba prawdziwych Europejczyków znacznie maleć wprost w oczach...

— A Skandynawia?...

— Co? Sven Hedin, Knut Hamsun, którzy wyrażali sympatie dla Niemiec?!

— Ach, prawda...

— No, to mamy Beneluks w każdym razie.

Mój interlokutor pokiwał głową z ironicznym pobłażaniem.

— Chyba w takim razie — powiadam żartobliwie — w Europie nie naliczymy więcej prawdziwych Europejczyków, Jak jakichś sześćdziesiąt tysięcy.

— Sześćdziesiąt tysięcy? — odezwał się milczący dotychczas Polak, z westchnieniem wsadzając kciuki do kieszonek kamizelki. — To jest pan optymista. Optymistą, łaskawy panie.

I wiem, że do prawdziwych Europejczyków zalicza, poza sobą, jeszcze pięciu Anglików i ani jednego rodaka.

235

Londyn — Kensington w kwietniu

Jeden z moich znajomych otrzymał kopertę „On His Majesty's Service”, a w niej list pewnego „Koła” jednego ze „Związków” takiej-to „Organizacji” polsko-emigracyjnej, z za pytaniem: „Co jest Sz. Panu wiadome o tym, że mjr dypl. X jesienią roku 1944, przebywając w towarzystwie w barze Y w Pradze czeskiej, miał się wyrażać źle o Polsce i Polakach, o czym w dniu... XII.47 złożył był zeznanie kpt. Z, powołując się na świadectwo Sz. Pana”. — Podpisano: ranga, tytuł, nazwisko. Rok 1948.

Mój znajomy odpisał: „Nigdy nie słyszałem wprawdzie, ażeby p. X wyrażał się źle o Polakach. Natomiast ja osobiście czynię to obecnie niejednokrotnie”.

Wiadomo, że dziś każdy, ale to absolutnie każdy na emigracji, oświadcza to samo: „Tylko jak najdalej od rodaków!” Każdy i każda. Potem wszystko razem płynie stadem do Argentyny.

Londyn — Kensington, w maju

Już jest północ. Bije zegar na katedrze. Okno otwarte.

Centrum miasta, cisza. Słaby wietrzyk uchyla firankę, wchodzi do pokoju. Jest w rym wietrzyku, który idzie wprost z Kensington Gardens, to wszystko co tam rośnie: kwiaty białych i czerwonych kasztanów, krategusy, akacja, bez, jakieś zachodnioeuropejskie drzewka, dużo świeżej trawy, wilgotnej ziemi. Jak z łąki. Gdzieś, het, na Power Station ruszył pociąg i toczy się poprzez ciszę i tym bardziej potęguje złudzenie nocnego pociągu, który w naszych stronach zwykł był biec samotny, poprzez łąki i pola koniczyny. Nawet komar przyle-

ciał, tylko nie słycać derkaczy.

„Ja w tej izbie spać nie mogę...” — pisał patetycznie Mickiewicz.

To się każdemu może przytrafić, ale w końcu przecie się śpi. Mało, że się śpi, ale jeszcze rodacy wybierają sobie takie ulice, jak na przykład „Gaj brzozowy”. Rząd małych, fabrycznych domków z czerwonej cegły, przed którymi rosną autentyczne brzozy. Ani to zapachu specjalnego nie daje, ani kwasu się nie pędzi z jej soków. Ot, po prostu — brzoza. Gdy się kupuje własny dom, może być w najobrzydliwszej dzielnicy, byle dawał dochód. Gdy się nie ma nic, chciałoby się choć mieszkać koło — brzozy... To jest tak samo nasze, jak i in-

236

I

nych, nie ma w tym nic polskiego. Każdy, kto od dzieciństwa zapatrywał się w obłoki, będzie tęsknił do obłoków, gdy nie ma pilniejszej roboty, nie trzeba na to Pana Tadeusza.

Regularnie między pierwszą i drugą w nocy leci samolot. Musi należeć zapewne do jakiejś cywilnej, regularnej linii, przybywając może z wielkich, wielkich przestrzeni. Co noc postanawiani sprawdzić rozkład i dowiedzieć się, skąd. Co rano uważam to postanowienie za pozbawione wszelkiej wartości.

Gdy się leci samolotem, najbardziej nawet otwartym i małym, chociażby szkolną awionetką, przeszkadza w nastroju nie huk motorów, przeszkadza brak zapachów. Samolot oddaje zawsze tym samym: benzyną, smarami, a przede wszystkim specjalnym odorem lakieru i farby. Raz na sto zdarza się taki ką, pod którym do gondoli wdzierają się nagle spiętrzone nad lasem zapachy. Mnie się zdarzyło kiedyś nisko nad Puszcza Białowieską. Teraz drugi raz, w tym pokoju, w nocy, w Londynie, mieście, które zazwyczaj oddaje węglem, spalinami i kurzem.

Londyn — Kensington, w maju

Nasza propaganda antybierutowa jest bardzo jednostajna. Kilka osób posiada na nią monopol, „wytyczający generalną linię”. Nie chodzi o jej słuszność, chodzi o — nudę. Nuda musi prowadzić do reakcji i wywoływać sprzeciw. — W przeciętnym towarzystwie ktoś opowiada, że z kraju przez Gdynię uciekło dwóch jego znajomych i jedna kobieta. Przekastali się na statek szwedzki, zakopali w węgiel i wyleźli z (ego węgla dopiero na terytorialnych wodach szwedzkich. — Co ty mówisz?! — przerywa ktoś z obecnych z takim zdumieniem, jakby zakopywanie się do węgla na całe dni dla ujęcia przed Bezpieką było rzeczą tak niewiarygodną. Do tego stopnia niektórzy przestali już wierzyć w to, co pisze prasa (migracyjna.

Jedna z pań, która przyjechała z Warszawy legalnie z paszportem reżymowym, wzrusza ramionami:

— Ja wracam pojutrze. Mnie tam osobiście nic nie grozi.

Istotnie kryterium dosyć zasadnicze. Wyobraźmy sobie Angielkę, która w Lizbonie, Paryżu czy Nagasaki, oświadcza:

„Wracam już do Londynu; mnie tam osobiście nic nie grozi”.

237

Londyn — Kensington, w maju

Burza przyszła niespodzianie. Pierwsza majowa burza, która zawsze zajmowała poczesne miejsce w przeżyciach i odczuciach ludzi, którzy są zmuszeni do bezpośredniego komunikowania się z przyrodą. Tu mało kto na datę zwraca uwagę. Powietrze jest tak gęste, że zdawałoby się można je krajać w kostki i układać z nich bruk. Grzmot przypomina oddaloną kanonadę zbliżającego się frontu. Jakoż front się zbliża i rzuca mrok. W oknach domów londyńskich, brzydszych od najbrzydszych tzw. „kamienic czynszowych” kontynentu, zapalają się światła. Wielki refleks idzie z nieba.

Burza przypomina gniew nie tylko dlatego, że jest posępna, grzmi i wyczynia szkody. Kolejność jej mimiki jest identyczna. Kto patrzy w górę, ten spostrzeże, że najpierw schodzą się chmury i ściągają jak zmarszczki na czole, dopiero później zaczynają padać pioruny.

Oko jeziora w Kensington stanowi nieporuszona taflę. Z północnego zachodu, nad pałacem Wiktorii, stoi luna o barwie brudnej cegły. Wszystkie drzewa robią się czarne. Na wodę pada odbłask skrzepłej krwi, a na jej powierzchni pływają białe łabędzie. Jest to widok tak klasyczny, zarówno w grozie, jak doborze i zagęszczeniu barw: burza, luna, pałac, stare drzewa, woda prawie czerwona i białe pióra łabędzi, że go-dzien pędzła. Omal bym strzelił najniekulturalniejszą z gaf, za jaką się poczytuje w pewnych sferach niefachowość malar-ską. W istocie wiele już razy pytałem malarzy, dlaczego pan-cerz na rycerzu należy do dziedziny sztuki, a pan-cerz na czoł-gu do kiczu. Dlaczego zaulek z rozwieszoną bielizną zobaczyć można na płótnie, a park, zamek, łabędzie tylko na oleodru-ku? Tysiąc razy fachowcy tłumaczyli mi już dlaczego i ciągle jeszcze nie pamiętam.

Chmury napęczają, żegnając się znakiem błyskawic. Ta na zachodzie jest wciąż krwawa, z północy i południa czamo-granatowe. Zaraz będzie straszliwa ulewa i chcę już uciekać pod dach. W tej chwili spostrzegam, że na dwóch zestawio-nych leżakach, tuż nad wodą, siedzi para Anglików i wcale nie zamierza wstawać. Nie dlatego, żeby byli przykuci do sie-dzenia pięknym zjawiska. Przeciwnie, on, starszy jegomość o nie osłoniętej łysinie, czyta gazetę, czy też rozwiązuje krzy-zówkę, którą zapewne ledwo widzi w mroku; ona robi szydeł-kiem.

238

Jestże to więc przykład angielskiej flegmy, która ma po-noć swe źródła aż w ich rasowej odrębności? Na czymże ta odrębność, albo zgoła wyższość, ma polegać? Że ja wrócę do domu suchy, a on mokry? Rzecz istotnie godna zastanowie-nia. Jeżeli tak różne w tej chwili nasze zachowania sprowa-dzać się mają aż do różnic organicznych, tedy bym znalazł dla nich inną ilustrację: każdy jeżdżący po drogach samocho-dem zna przyzwyczajenia kury czy cielęcia, które nie ustępu-

ją z jezdni aż do ostatniej chwili, albo gdy jest za późno. Nie dlatego, żeby chciały być przejechane, a dlatego, że minimalny zasób wyobraźni nie pozwala im na przewidywanie zawczasu niebezpieczeństwa. Anglik tak samo nie chce być złany, jak kura przejechana, a nie rusza się, choć niebezpieczeństwo deszczu...

Właśnie pierwsze krople uderzyły o liście. Uciekam i dopadam schronienia. Deszcz zamienia się w ulewę, woda spada płatami.

Co jest z Anglikiem? Próbuję domyśleć rzecz do końca: gdyby przysłowiowy jego brak wyobraźni sięgał aż tak głęboko w jego psychiczną konstrukcję, żeby mu przeszkadzał widzieć ulewę nad głową, należałoby przyjąć w danym wypadku, że pozostaje na poziomie kury, co jest oczywistym absurdem. A zatem muszę przyjąć, że jego zachowanie nie może wynikać ani z defektu, ani oczywiście przerostu umysłowego, a po prostu ze zwyczaju nie-spieszenia, z pewnej zewnętrznej bardzo, powierzchownej, nic z rasą ludzką nie mającej wspólnego — manieri, która w innych warunkach nie przeszkodzi mu reagować w sposób najbardziej pospolity.

No, oczywiście. Już ich widzę: z wrodzonej rzekomo flegmy nie zostało śladu. On pędzi w podskokach błyskawic, z brzuszkiem nieco wypiętym i zgubił gazetę, ona o dziesięć kroków z tyłu, zasłaniając się przed ulewą szydełkiem. Zmogli rzeczywiście jak kury.

W przerwach ulewy doskakuje do domu. Pioruny wciąż biją. Żona moja zeszła do kuchni w suterynie, jak za dobrych wojennych czasów.

hi>ów i Wilno 1948 nr 72

239

ZABAWY DZIECI

W jakiejś powieści amerykańskiej, której akcja toczy się między innymi we współczesnym Berlinie, bohater dowiaduje się, że dzieci wybombowanego krawca bawią się wśród ruin. „A w co się one bawią?” pyta. Po znaczącej pauzie krawiec odpowiada półszepceniem, zwieszając głowę: „One się bawią w... wojnę”. Następują trzy kropki i koniec rozdziału, a przepołowiona stronica oddana zostaje czytelnikowi dla nabrania oddechu i westchnięcia nad symboliczną treścią zabawy dzieci niemieckich.

O ile łatwo jest zrozumieć, o co tu chodziło autorowi, o tyle przyznać należy, że literacka symbolika jego sentencji jest nieudana, a nawet fałszywa. Wszystkie dzieci całego świata, i przed i po, bawiły się w wojnę i zawsze w nią będą się bawić. Są naturalnie inne zabawy, ale chłopcy wolą zabawę w wojnę. I my bawiliśmy się w wojnę, czy to podczas niewoli, czy na wolności, w pokoju i na podwórku, i przed Oświęcimiem i po Oświęcimiu. Nie ma w tej zabawie żadnej specyfiki narodowej, nie dojrzeć w niej „ducha czasu”, ani jego piętna. Rzecz cała ani nie ilustruje, ani nie charakteryzuje niczego. Zastanawiawszy się tak nad powyższym ustępem powieści, przypomniałem sobie nagle pewną zabawę dzieciinną,

którą widziałem w innych okolicznościach, zabawę niewątpliwie nową, a bardziej charakterystyczną. Było to wiosną okupacji sowieckiej w rodzinnym nieście, w którym to trudniłem się podówczas wożeniem gnoju dla ogrodników miejskich.

Wracając po pracy, lokowałem konia w wypożyczonych stajni na Zarzeczu i w tejsze dzielnicy, przy ryneczku, w małej knaj-
240

pce zasiadałem do późnego obiadu. Chyba tylko dla podretuszowania obrazu dodać mogę, że restauracyjkę tę „trzymała” b. marszałkowa sejmu do spółki z b. urzędniczką Banku Ziemińskiego, a b. ziemianin stał za szynkwasem, rozlewając piwo chłopom, którzy przybywali na rynek. Chłopi pozostali jeszcze autentyczni, każdej wszelako chwili oczekując, że staną się b. chłopami, przemianowanymi na kołchoźników. Rynek prywatny również lada dzień miał być rynkiem „byłym”. Rzecz zatem działała się, podobnie jak w tej powieści, wśród ruin. Nie wśród ruin domów, a żyć ludzkich.

Zajadałem jeszcze wcale smaczny kotlet, patrząc przez okno na opustoszały o tej porze plac rynkowy. Stała tam ostatnia furmanka z uwiązany do bariery konikiem, małym, kudłatym, ze zlepioną na brzuchu sierścią. Koń grzebał niecierpliwie nogą, roztrzając worek z sianem, a jego właściciel, ostatni poza mną gość w restauracji, odezwał się:

— Marny rynek był.

Odpowiedziałem:

— Uhum.

B. ziemianin wytarł ścierką ladę, wziął do ręki szczotkę i milcząc zamiatał. Chłop odjechał. Niebo o wielopiętrowych chmurach wiosennych płynęło ze zwykłym majestatem, jak na jego wysokość przystało. Dał słaby wiaterek, który w dole, na rynku pokrytym nawozem końskim, rozczapierza! źdźbła słomy i puch na grzebiących wśród nich wróblach. Z drugiej strony, przed piekarnią, stał nieruchomy ogonek bab. B. ziemianin zmiótł śmiecie, wyrzucił je wprost na ulicę i pozostawił drzwi otwarte dla wywietrzenia. Wtedy to doszły mnie głosy dzieci.

— Ola! Olaaa!! — wrzeszczał źle wychowany chłopak, wymachując prętem. — Chodź bawić się!

Z zaułka wybiegły dwie dziewczynki i jeszcze jeden chłopiec. Ola stała wciąż koło drzewa nadgryzionego przez konie.

— Ola! Chodźże!

— A w co bawić się? — zawołała.

— W kolejkaaa! — odkrzyknął oddalający się ku barierom rynkowym chłopak.

Ola poszła.

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, o jaką tu „kolejkę” chodzi, myślałem, że o pociąg, czy coś podobnego. Ale oto dobiegł trzeci malec wydzierając gardło:

241

— W kooperatywaaa?!!

— Aha! — odpowiedział pierwszy.

W rezultacie okazało się, że chodzi tu o kolejkę-ogonek

przed sklepem. — Była to zabawa straszna. — Dzieci ustawiały się w rząd przed barierą, do której zwykło się uwiązywać zwierzęta, potulnie i posłusznie, same jak zwierzęta zmorzzone pracą. Stały nieruchomo, a co pewien czas któreś z nich przelażo pod barierą na drugą stronę. Urozmaicenie miała stanowić kłótnia wywoływana przed wyimaginowanymi drzwiami wyimaginowanej kooperatywy, którą likwidował jeden z chłopców, przedstawiający milicjanta: wrzeszczał ordynarnie, kopał i wymachiwał trzymanym prętem. Była to zabawa nowa oczywiście, bo jeszcze rok nie minął od czasu, gdy nie było żadnych kooperatyw, a sklepy pełne towaru i zamożności i ludzie nie potrzebowali wystawać na ulicy po kawałek mydła, perkalu czy zelówkę, ale była to zabawa nade wszystko — nudna. Tak mi się zdaje, że chyba przenudna. Wiatr, który igrał słomą i pierzem wróbli, igrał też włosami dzieci, a one stały nieruchomo przed brzydkim, nadpróchniałym słupem.

Nazwałem tę zabawę „straszna”, gdyż w gruncie rzeczy była to zabawa w niewolę i nędzę.

Nie wiedziałem, na czym się właściwie kończyła, zapewne na bezmyślnym rozejściu. Idąc Zarzeczem w dół do miasta myślałem sobie: jak długo można się tak bawić? Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści lat to już wiemy, że tak. A dłużej? Pięćdziesiąt, sto lat? Całą wieczność? Naprawdę zabawa w wojnę wydaje mi się może bardziej staroświecka, ale bardziej — miła i mniej groźna.

Lwów i Wilno 1948 nr 75

242

NA S. W. 1

Wchodząc na schody odwracam się raz jeszcze, by spojrzeć: z Tatę Gallery widać Tamizę napęczniałą pełnowodziem aż po kamienną rampę. Przy niej stoi przylepiony, śmiesznie rozkraczony człowieczek, jak pająk. Woda wydaje się być równa z ulicą; płyną po niej holowniki, całe w pianie, jak zmęczone konie ciągnące barki ładowne węglem. Z okazji strajku krany po drugiej stronie stoją nieruchome i domy, wielkie, brzydkie, kamienne, obliczone na zysk, na skład towarów, nie na estetykę. — „Tak pewnie wyglądały kamienice rodziny Buddenbroków w zeszłym stuleciu”. — „Pewnie — odpowiadam — wszystko to jest z zeszłego stulecia”. Po czym wkraczamy na wystawę ekspresjonistów francuskich. Jak zawsze, gdy widzę obrazy z przełomu XIX i XX wieku, nie umiem po prostu fizycznie przełamać swej uwagi, ażeby nie koncentrować jej na — temacie, na strojach, na wyglądzie ulicy, na ówczesnych kostiumach kąpielowych, na koronkach, cylindrach, brodach, kołnierzykach, nawet na dziwacznie wysokich kominach lokomotyw...

Ach, czasy, czasy! Matek, ojców, babek. — „Dzieła dawno minuwszych dnjej...” zaczynały się pierwsze słowa po wstępie do Rusłana i Ludmiły, zawsze aktualne słowa, które nam dają złudzenie, że kiedyś było nie tylko inaczej, ale i lepiej. Podobnemu złudzeniu ulegamy wzrokowo, patrząc na horyzonty, o

których się zwykło mówić: hen, het!... ginące w sienie dali; jakiś domek stojący na skraju świata, jakaś wieżyczka kościelna, której dzwonów nie donosi z tej odległości już żaden wiatr. Patrzy się, tęskni do tego, a później pociąg raptem

243
skręca właśnie w tę stronę, wieża kościelna robi się normalna, z naderwanym przez granat szczytem, a na peronie stoi żandarm, który sprawdza dokumenty. — Sądzę, że 99 procent wszystkich powieści, wrażeń, w ogóle przeżyć ludzkich można by zatytułować jak to zrobił Balzak: stracone złudzenia. I dlatego właśnie temat obchodzi wszystkich.

Taką siną dalą wydawał się nam świat poza toczącą się wojną. Pociąg zatrzymał się nagle na stacji: Pokój. Wysiedliśmy na Wyspach Brytyjskich. Każdy oczywiście reklamuje, że jego bilet przeznaczenia opiewał dalej, domaga się przedłużenia podróży aż do stacji końcowej. Tymczasem maszynista wypuścił parę i poszedł do pubu na whisky, a naczelnik wzrusza ramionami.

Wychodzimy z Tatę Gallery, głaszcząc kota, który wypina grzbiet na krawędzi cokołu, mruczając z zadowoleniem.

* * *

To, że mieszkamy teraz w bezpośrednim sąsiedztwie króla, nie jest naszą zasługą, a gospodarza, który zamienił dom w obrębie W. 8 na dom w S. W. 1. Stąd wielkie drzewa parku królewskiego, które szeleszczą za murem obramionym po wierzchu rodzajem cierniowej korony z żelaza, posyłają nam w okna trochę świeżego powietrza. Poza tym normalne kroki emigranta polskiego w tej dzielnicy krzyżują się wciąż z kopytami kirasjerów, z marszem gwardii pieszych, z orkiestrą bębneków i piszczałek szkockich, z prezentuj broń! Z paradnymi karocami dworu. Życie oświecone jest słońcem, które stoi nad Buckingham Pałace, a czasem dodatkowo przez promień, który pada z uśmiechu królowej, poparty gestem jej urękawiczonej rączki, gdy siedzi w powozie, po prawej swego męża. Do pewnego stopnia żyje się jakby na bezpłatnych „niusach”, poza rym płacąc za wszystko normalnie.

Po Grosvenor biegną cały dzień i część nocy autobusy, samochody, ciężarówki, pojazdy mechaniczne wielkiego miasta na przelocie pomiędzy Hyde Park Corner i Victoria. Cały dzień i znaczną część nocy. Tu już nie ma ciszy małego miasteczka. Zasypia się normalnie jak nad brzegiem wiecznie szumiącej rzeki czy kaskady biegnącej w bezmyślne przeznaczenie. I tak jest o wiele lepiej. Szukanie ciszy wśród wygasyłych podwórzy fabrycznych, zieleni i przyrody w parkach miejskich, jest w gruncie tym samym co oglądanie lwa na cementowej podłodze klatki, jest rzeczą przygnębiającą, przy-

244
gniatającą. Można oglądać i podziwiać nawet szczerze umiejętność organizowania rezerwatów, jak można podziwiać zręczność papierowych kwiatów, które naśladują prawdziwe, ale życie wśród rzeczy sztucznych jest czasem cięższe od kompletnego ich braku. Miasto — to miasto. Las — to las.

Bo miasto ma też swoje uroki, blaski, pomniki, łuki tryumfalne, policjantów na skrzyżowaniach, kurz, pomarańcze na wózkach, a przede wszystkim wystawy drogich przedmiotów w witrynach, koło których się przechodzi i ucieka w końcu do — parku... Ach, ucieka jednak do drzew!

Właśnie w tym momencie w Hyde, na estradzie-kiosku gra orkiestra wojskowa. Kiosk posiada architekturę identyczną z tą, jaką miał kiosk w Cieleńniku wileńskim, w którym sprzedawano kefir, a Hyde Park wydaje mi się tak wielki, jak wielki wydawał mi się Ogród Bernardyński, gdy wprowadzono mnie tam po raz pierwszy za rękę jak miałem lat sześć. Kasztany, klomby, wszystko sprawy dawno minionych lat.

* * *

Wątpię, by Churchill, który wypowiedział tak niepocholebnią opinię o Polakach, miał kiedy w rękach Nowiny Literackie wychodzące aktualnie w Warszawie. Gdyby jednak ze strony polskiej można było sobie wyobrazić wytoczenie procesu Churchillowi, a siłą równie fantastycznych supozycji ja miałbym wystąpić w charakterze jego obrońcy z urzędu, przede wszystkim kazałbym sobie sprowadzić komplet tego pisma, w którym figurują najgłośniejsze nieraz nazwiska literackie polskie. Nie tylko, że sławią one aktualną „wolną” Polskę, ale domagają się ostatnio w sposób niezmiernie agresywny, ażeby identyczną wolnością uszczęśliwić — Grecję.

Otóż na łamach tych Greko-Polaków wystąpił niedawno Jerzy Wyszomirski z artykułem poświęconym śp. Mieczysławowi Limanowskiemu. Ale gdy raz zahaczył o Wilno to już pojechał, nie wytrzymał, zapomniał się, łzę puścił, niby sarkazmem zaprawioną, niby dowcipem, a w gruncie tęsknotą. Jakoś mu tam cenzura puściła i wyszedł piękny artykuł. Z Wilna przeskoczył do Grodna, tego brudnego, żydowskiego Grodna, w którego rynsztokach jak w zasmolonym szkle przeglądały się kamieniczki dawnych lat. Stare dowcipy, stare dzieje, kulisy, nazwy zaułków, restauracji, wzlotów ideowych, zabarwianych czystą wyborową na bankietach, het

245
wstecz, od śp. Mieczysława Limanowskiego aż do śp. Czesława Jankowskiego.

„Co może — myślę sobie, uchodząc spod zasięgu szkockiej orkiestry — nostalgia. Cuda może!”

Dlatego to odpędzam od siebie myśl natarczywą, iżby się nie zdarzyło kiedyś tak, że człowiek raptem wróci, spojrzy i tylko powie: „ech...” Za całą radość i szczęście. Nie daj to Boże!

* * *

Przypominam sobie jak przed Villa Borghese w Rzymie, rano, latem o dziewiątej, gdy jeszcze nie było za gorąco, a świeżo, gdy cienie z ociąganiem ustępowały dopiero słońcu, nakrapiając taras plamami liści i słysząc było szmer ciekących fontann nie zagłuszonych klaksonami samochodów amerykańskich, widzę jak dziewczyna ubrana skromnie przechadza się prowadząc na smyczy wielkiego psa. Nagle od

strony Via Pinciana zajęchała olbrzymia limuzyna, czarna i lśniąca jak smok. Dziewczyna z psem podbiegła do niej usłużnie. Wsiadła dama. Stara, bogata, wielka dama. Szofer kłaniał się nisko, dziewczyna dygnęła i oddała pani smycz psa. Pani raczyła się przechadzać po parku w przeciągu dziesięciu minut, zabawiając towarzystwem psa. Dziewczyna została z szoferem i czekała. Gdy wielka dama wróciła, znów odbyła się ceremonia otwieranych i zatrząskiwanych z ukłonem drzwiczek limuzyny. Pani z psem wsiadła do środka, służąca obok szofera i wielka, czarna jak smok lśniąca limuzyna cicho odjechała po asfalcie. Zauważyłem jeszcze jak na jej chłodnicy drgnęła od pędu i rozwinęła się dumnie miniaturowa flaga Ambasady Wielkiej Brytanii.

Remarque opisuje jak dwóch żołnierzy z tamtej wojny, cofniętych na tyły z okopów zachodniego frontu, zatrzymało się nagle przed plakatem reklamowym, na którym wymalowany był elegancki młodzieniec w cywilu i roześmiana jego towarzyszką. „Jestże więc jeszcze coś takiego?” — pytali siebie nawzajem. — Podobnie i ja, śliniąc przed Villa Borghese cygaretkę, jak to przywykłem robić od czasów sowieckich, a śledząc wzrokiem niksące pudło limuzyny, zdawałem się pytać sam siebie: „Są więc jeszcze takie rutczy na świecie?”... A nazajutrz poszedłem oglądać gmach Ambasady Brytyjskiej koło Porta Pia. Ziała zeń olbrzymia dziura zawalonej klatki schodowej aż do drugiego piętra. Nikomu nie znani.

246

biedni Żydowie* targnęli się na reprezentację wielkiego mocarstwa, a legendarna Intelligence Service nie potrafiła ich ani złapać, ani ukarać. Flagą Wielkiej Brytanii zwisała w ten dzień bez ruchu nad dziurą.

Tak, tak, oczywiście, co innego jest tęsknić w wyobraźni do „dawnych dobrych czasów”, a co innego patrzeć na karykaturalne ich resztki, które tak właśnie nie pasują w tło półtotalizmów wszystkich -izmów, jak nie pasował u nas nigdy kwiat do kozucha. W ogóle zaś nabieram przekonania, że zło to nie przynosi szczęścia. Myśmy nie umieli się obchodzić z naszym Złotym Rogiem i Anglicy też. Gdy się jeszcze ma króla i nosi złotą szablę, to nie posyła się jej do Teheranu — Stalinowi w prezencie.

Lwów i WOno 1948 nr 77

Nie mieściło nam się w głowach, jak niedobitki Żydów europejskich zaraz nazajutrz po wojnie podjęły własną wojnę o niepodległość dla własnego państwa — i to z mocarstwem, którego armie uchroniły ich od niechybnej śmierci. „Oszaleli, czy co?!” mówiło się ni to z dezaprobatą, ni to z podziwem. B.T. 1983

247

POCHWAŁA ALKOHOLU

Przypominam sobie jak kiedyś przekraczałem granicę jakiegoś mało uczęszczanego państewka sąsiadującego z Polską. W miarę zbliżania się do stacji granicznej wagon drugiej klasy pustoszał. Istniał zwyczaj, że policja nasza (zawsze grzeczna i doskonała) zabierała paszporty zagraniczne, które

zwracane były dopiero po drugiej stronie, już przez policję obcego państwa. Gdy policjanci opuścili wagon, pociąg stał jeszcze kilka minut, potem ruszył z wolna w dal, która dla kogoś, kto po raz pierwszy wyjeżdżał z Polski, wydawała się daleka i nieznana. Tym kimś był jedyny poza mną pasażer wagonu, o trzy przedziały dalej usadowiony, Żyd, niestary i niemłody, raczej niski, łysawy, o trochę wypiętym brzuszku, na którym dyndała dewizka zegarka, bądź złota, bądź tombakowa. Szczegóły nie są ważne. Stał tak samo jak ja, w drzwiach przedziału, z rękami w kieszeniach spodni i nagle zapytał:

— Ja pana przepraszam. Panu też zabrali paszport?

— Też.

Poruszył nerwowo rękami w kieszeniach i odwróciwszy głowę do okna, za którym z wolna przesuwały się pola świeżej otawy koniczyny, powiedział na wpół do mnie, na wpół do cichego pejzażu, który płynął:

— Uś, jak straszno!

Pustka, spokój, słońce. Przez otwarte okna, rozpierając łokciami kurz wagonowy, pchał się do środka miodowy zapach ziół. Jechał w ten sposób bez paszportu ze dwadzieścia

248
chyba minut, zanim mu został wręczony z formalnymi pieczętami przekroczenia granicy. I było mu — straszno.

Skąd mogę wiedzieć, czy zdążył umrzeć jak szanowany kupiec (pewnie leśny), czy też w późniejszych latach jechał może wagonem zaplombowanym do obozu koncentracyjnego, na śmierć do gazu i krematorium. O ile więcej było mu wtedy „straszno”? Zdaje się, że nigdy nie skonstruujemy takiego przyrządu do mierzenia ludzkiego strachu, jaki na przykład istnieje do mierzenia procentów alkoholu. Chyba ze wszystkich uczuć ludzkich strach, najobrzydliwszy ze wszystkich, jest zarazem najbardziej względny.

Natomiast za bezwzględną przyjęto uważać tezę, że każda niepewność, w znaczeniu losu oczywiście, a zresztą każda „nieznaność” potęguje i wyolbrzymia strach. Stąd często się zdarza, że nawet w obliczu pewnej śmierci człowiek staje się czasem spokojniejszy, niż w okresie bezpośrednio poprzedzającym, gdy tliła jeszcze isierka nadziei... Nie zawsze, nie zawsze naturalnie!

Z grubsza jednak tak jest niewątpliwie. Mówię kiedyś do robotnika, takiego samego jak ja nowo upieczonego „obywatela” Związku Radzieckiego:

— Przecież dawniej kłócono się o każdy kawałek podwyżki, o różne próżne zasady, strajkowano na chybił trafił, demonstrowano przed województwem na przekór konnym policjom, aresztom, represjom itd., jakkolwiek wydawać się nam mogą dziś dziecinne. A teraz mowy o tym wszystkim nie ma. To znaczy nie ma policji konnej i szarż ulicznych, a proszę, niech ktoś spróbuje... Strzałów się nie bano...

— Strzały niestraszne — odpowiada. — Strzałów ludzie się nie boją. Wywózki się boją.

„Wywózki" oczywiście w nieznanie.

* * *

Co może zrobić wódka, każdy z nas mniej więcej się orientuje. Główne zarzuty wytaczane przeciw alkoholowi, poza względną jego szkodliwością dla zdrowia, wskazują słusznie, że stwarza stan okłamania. Człowiekowi upojonemu wydaje się, że zdolny jest do czynów, nawet wielkich, podczas gdy w rzeczywistości nie może nieraz wstać z krzesła. Zdaje się mu, że jest silny, a chwieje się na nogach. „Odwagi" — mówi spowiednik do skazanego na śmierć, ale w końcu dają

249
mu przed egzekucją wielką szklanekę wódki. Naturalnie, nie w Sowietach.

Znałem w Wilnie pocziwego, tzw. podtatusiałego już, pana P., któremu gdy opowiadałem co on wyrabiał, a o czym nie pamiętał już dnia następnego, w bufecie dawnej trzeciej klasy na dworcu, wiosną 1941, włosy stawały mu dęba na głowie do tego stopnia, że co chwila przesuwał po nich ręką, bladł i powtarzał tylko cicho: „Ccco pan mówi... ccco pan mówi!..." A było tak:

Przyszedł w nocy wstawiony, gdy wszystkie lampy świeciły jaskrawo, a „Krasnyj ugołok" od nagromadzonej w nim czerwonej bibułki wokół portretów Stalina robił wrażenie jakiegoś przedpiekła. Radio ryczało z Moskwy. Wszystkie stoliki obsadzone były przeważnie przez oficerów sowieckich, którzy jak zawsze pili skromne tylko piwo. Pan P. chodził od stolika do stolika, bił się w piersi i wołał wielkim głosem: „Ja! bywyszli oficer gwardii!!!" W końcu przestano nań zwracać uwagę. Wtedy pan P. przysiadł się, nieproszony oczywiście, do stolika, przy którym siedziało dwóch krasnych komandirów, zabrał jednemu kufel sprzed nosa, stukał nim po blacie stołu, rozlewał piwo sobie i im na spodnie i krzyczał z uporem pijaka: — Ja gwardiejskij oficer Jewo Wieliczestwa!!! (Nawiasem mówiąc, nigdy nim nie był.)

Bolszewicy odpowiadali zgodnie:

— Da idi-że... Idi spat'... Da nu tiebia... Idi spat'...

„Ccco pan mówi..." — szeptał z coraz bardziej przerażonym zakłopotaniem pan P. słuchając mojej relacji. Poradziłem mu, by „na pochmiałkę" gołnął sobie odpowiednią porcję alkoholu. — „Za Boga! Nigdy!" — zaklinał się. — Niesłusznie, niesłusznie, moim zdaniem.

* * *

Nigdy też chyba nie zapomnę tego śmiertelnego milczenia, jakie zapanowało w wagonie kolejowym na linii Lida — Wilno, tej samej wiosny 1941 roku. I tym razem przyczyną zdarzenia była po prostu wypita przez nas wódka. Dnia poprzedniego przybyliśmy do Bieniaków, nie jak zazwyczaj furmanką konną, a pociągami. Ktoś nas namówił do tego rodzaju podróży, którą mieli odbyć do Baranowicz we trzech: pan Z, pan K i ja. Namówił źle. Oczywiście, że w Stasiłach, jako granicy Litewskiej i Białoruskiej Republik Radzieckich, trzeba było wysiadać w obliczu kontroli dokumentów podróży. Mu-

siellśmy się w nocy przedostawać przez las do Bieniakoń, przemocować u pewnej starej Żydówki, a dopiero nazajutrz próbować dalszej podróży. W tym celu stanęliśmy przy okienku kasy kolejowej, posłusznie, w ogonku, wmieszani w szaryzną sowieckiego dnia powszedniego. Staliśmy długo. Gdy wszelako okienko się otwarło, zjawił się przed nim, od strony publiczności, umundurowany enkawudzista i każdego, kto kupił bilet, zapytywał tuż na miejscu o cel podróży, o dokumenty. Przyglądaliśmy się tej procedurze z perspektywy długiego ogonka i — machnęli ręką. „Nic z tego nie będzie!”

„Co za idiota!” (Chodziło o tego, który nas namówił na jazdę koleją.)

„Bałwan!”

„Kretyn!”

Ze zniechęcenia poszliśmy do bufetu wypić wódki. Nie było o nią łatwo, ale się znalazła. Wypiliśmy tyle, że p. K, który miał dobry głos, zaczął śpiewać. Potem przyszedł pociąg jadący w kierunku powrotnym, zdecydowaliśmy, że trzeba wracać, biletów nie kupować tu, a w Stasiłach. Wsiedliśmy do wagonu III klasy o starym typie; przedziały nie były doprowadzone do dachu, było tak jak w tramwaju, przestronnie i wspólnie. Pan K śpiewał w dalszym ciągu romanse dawno już wyszłe z obiegu w Rosji, następnie rozstawił walizkę i zaczęliśmy grać w karty. Było to zachowanie w ogóle na tyle rażące (gra w karty była surowo zakazana), że zajrzał do nas jeden, a potem drugi z przypadkowo jadących oficerów sowieckich.

„No cóż — powiada — grażdanie, wiesielities?”

Wagon był pełen ludzi.

„Komuż — odpowiadam — „wiesielitsia”, jak nie nam starym kontrrewolucjonistom?”

Właśnie w tym momencie, po słowach „starym kontrrewolucjonistom”... nastąpiło w wagonie to śmiertelne milczenie. Kilka osób powstało z dalszych ławek, by zajrzeć w naszą stronę, większość bała się nawet patrzeć, nawet ruszyć. Było tak cicho, że w rytmicznym stukocie kół słyszało się nie tylko oddechy pasażerów, ale nieomal szelest ich przerażonych myśli. W ten sposób zastyga widownia teatralna, gdy na scenie aktor, mający popełnić samobójstwo, wyciąga już pistolet...

Ten zbiorowy paraliż całego wagonu, tłumu ludzi, którym nic w istocie nie groziło, podziałał mi na nerwy jak wyzwanie. Zacząłem wymyślać władzy sowieckiej i wychwalać dawne cza-

251

sy. Pamiętam jak pan Z, najbojaźliwszy z naszej trójki, najpierw z wolna, a później bardzo szybko wytrzeźwiał i zaczął mrugać oczyma. Nie zwróciłem nań uwagi i mówiłem dalej.

No i co?

No i nic.

Zaprosiliśmy w końcu krasnowo komandira, żeby zagrał z nami w karty. „Nie — rzekł. — Nam nie wolno”.

Po przybyciu pociągu wysiedliśmy spokojnie, przez nikogo nie indagowani. Był późny wieczór. Deszczyk zaczął z

ukosa, grało radio z Moskwy i „Krasnyj ugołok” na dworcu w swej bibułkowej czerwieni wyglądał jak parodia piekła.

* * *

W istocie podzielałam zdanie tych, którzy twierdzą, że „nie taki diabeł straszny jak go malują”, a zdarzają się nawet bezbożnicy, którzy się upierają, że go wcale nie ma. Gdybyż potrafili tego dowieść!... W wypadku bolszewickim ludzie „po trzeźwemu” ulegają hipnozie strachu. Kobra też ma wprawdzie właściwości hipnotyczne, ale poza tym, że jest parszywie jadowita, pozostaje w istocie swej drobnym płazem, względnie bezbronnym. Bierze się więc bambus i bije kobrę w łeb.

— Ależ! — wykrzyknął mój przyjaciel, z którym wdałem się na te tematy w dyskusję — nie może tego zrobić królik, właśnie najbardziej notorycznie przez kobrę hipnotyzowany!

— No tak, przyznaję: nie może tego oczywiście zrobić królik.

Lwów i Wilno 1948 nr 80

252

SPOTKANIA

Pa ulicom pyl padymcya,
pod zwuki lichich trubaczej,
orużjem na sołnce swierkcga,
prochodził połk gusar usaczej.

Tak, zdaje się, o ile mnie pamięć nie myli, brzmiały te strofki.

... a tam, czut' podniaw zanawiesku,
lisz para gotuuuubieńkich gład...

Maszerujący środkowy w trójce Mitia umiał... to znaczy nikt tak jak on w całym plutonie nie umiał wyciągać tych „gołuuuubieńkich”... zdawało się aż pod samo gołębio-gołuboje-błękitne niebo. Oczywiście w dniu, gdy takowe przypadkiem patronowało z góry naszym ćwiczeniom. Nie działało się to wcale, jakby przypuszczać można z języka i treści piosenki, w żadnym z gwardyjskich ani liniowych pułków huzarów carskich, a po prostu w powstającym po stuletniej niewoli Wojsku Polskim, pisanym już przez duże „WP”, ale jeszcze bez regulaminów, bez własnych mundurów i własnych piosenek. Wachmistrz tylko, który pochodził z rosyjskich huzarów, doskonale wiedział, że rekrutów trzeba przyuczać do śpiewania. Uważał tę pieśń za dobrą, w sensie ekscytowania tężyzny kawaleryjskiej. Polskich nie znał, bo skąd mógł znać. Tak samo jak nie znał polskiej komendy i przy nauce władania szabłą komenderował: „Wniz na prawo, rubi! Na lewo koli!” Do rąbania była łoza, do klucia wisiał worek z sianem.

253

Ja lubiłem tę piosenkę. Pokolenie nasze, wzrosłe wśród nieustannych wojen XX wieku, starzało się tak prędko psychicznie, że od średnich klas gimnazjalnych ulegało tęsknotom do przeszłości. A już w przeszłość odeszły były wieczory przy stole, na ceracie, pod lampą naftową, przy takim samowarze, do rzędu których Adam Mickiewicz porównywał rząd carskich kirasjerów na petersburskiej paradzie. Gustowałem

wtedy w pewnym typie powieści rosyjskich, które się zaczynają od sakramentalnych słów. „N-ski huzarski pułk stał garnizonem w małym miasteczku... Kwitły bzy...” I właśnie piosenka aplikowana przez wachmistrza przywodziła mi na pamięć ceratę, samowar, bułki z szynką, spokój i ciepło sobotniego wieczoru, kiedy nie przygotowuje się lekcji, a czyta cokolwiek, co się chce.

Teraz maszerowaliśmy w wytartych mundurach, wybra-kowanych z Beselerowskich zapasów pruskiego Landsturmu, w prywatnych, a więc dziwacznie różnych butach, taszcząc ogromniaste karabiny pieszej Landwehry, też pozostałe po „zwycięskim” rozbrojeniu Niemców, sztucery, ze wszystkich pod słońcem najmniej nadające się dla kawalerii. Ważyły... nie wiem już dokładnie, ale moc kilogramów w każdym razie, i ciężkimi magazynami boleśnie obijały plecy przy konnej jeździe.

Tak powstawał na przełomie lat 1918/19 dziesiąty pułk ułanów Litewsko-Białoruskiej Dywizji, w Pietkowie koło Łap, czyli na samej granicy b. „Królestwa Polskiego” i b. „Siewierozapadnych gubernii”. Szablę też miał każdy inną. Z pobliskiego za rzeką Suraza związało do nas trzech Poznańczyków ze stacjonującego tam szwadronu Toten-huzarów niemieckich. Mitia wycygał od jednego z nich pałasz, prosty jak miecz, z gardą, w blaszanej pochwie. Ale kawaleria niemiecka pałasze wozila wówczas przy siodłach i dostosować go do pasa czy rapci było trudno.

— Ach, to nieważne — mówił Mitia.

Na rąbkę przychodził porucznik, ten z rosyjskich dragoonów, rozstawiał szeroko nogi w eleganckich butach, aż mu ledwo nie pękał rozporek, bo to była taka moda u nich. Patrzył jak Mitia usiłował zrąbać swym pałaszem łożę, mrucał: „Ech, kalllieka!”

— Wachmistrz! Zabrać mu ten „kirassirski” miecz i dać prawdziwą szaszkę.

254

Później wachmistrz wykombinował „złoustowską” szablę, jedną na pluton do rąbania, która od tej chwili leżała przy łożu na pieńku, jak topór kata. Słońce, nie zawsze, raczej rzadko, ale bywało wylaziło sobie z chmur, by poskakać na migającej klindze: „Wniz, napraawo...” „Rrrubi!”

Parszywy ten wiek XX. I lata mieliśmy okropne. Lewy w trójce, Wacek z komercyjnej szkoły w Słucku, miał na ukończeniu piętnaście, ja szesnaście, Mitia, Rosjanin, syn urzędnika pocztowego z Dyneburga, był najstarszy, dobiegał siedemnastki. Zima też była zgnięto-zimna. Kałuże rozciekły po śniegu, ogromny garb lodu przy studniach, wicher, deszcze ze śniegiem, bałagan w niebie i na ziemi. Staliśmy w chałupach wsi przyklejonej do ogromniastego majątku. Od małego okienka biegła biała płaszczyzna do wysokopiennych dworskich, drogich sosen lasu. Nas strasznie gryzły wszy, a panowie oficerowie jeździli sobie na dziki. Takie to jeszcze były zwyczaje, gdy się kończyła „pierwsza wielka”, w naszym puł-

ku, nie dlatego, że tak chciano, a po prostu jeszcze nie umiano inaczej. Czasu nie było się nauczyć. Powtarzam: ani regulaminów, ani piosenek.

Mitia chodził do dziewczyny w sąsiedniej chacie. Mitia, który jak nikt śpiewać umiał do „gołuuubieńkich głąz”.

— No co? Chodzisz?

— Chodzić to nieważne. Ważne: wychodzić.

— Nu, nu.

Patrzyłem za nim jak szedł przeskakując kałuże, w czym mu przeszkadzał huzarski pałasz, z przykrością myślałem o wieczornej „uborce” i wodopoju, najzimniejszym obowiązku na świecie i marzyłem o „pyle na ulicy”, choć różnobarwne i piękne bywa słońce w zimie. Ale pułk nie jest odpowiednią szkołą dla snucia marzeń, zwłaszcza pułk kawaleryjski, w którym wszystkiego jest brak. Ani haceli, ani munsztuków, ani kantarów, ani pakułów, ani rzemieni, ani butów, ani wiader, ani ostróg. A że ostrogi nie służą tylko do dzwonienia, o tym Mitia, który ich nie miał, przekonał się najoczywiściej, gdy mu dano tępą kobyłę...

— „Nieważne”, mówił. „N-i-e-w-a-ż-n-e?” — wycedził straszliwie dowódca szwadronu, gdy dosłyszał pomruk Miti w odpowiedzi na zwróconą mu uwagę, że nie trzyma równania w konnym szyku... I pejczem jął wybijać coraz szybszy takcik

255
po cholewie prawego buta. Mitia dostał karną służbę i przez trzy dni go nie widziałem.

Słońce zachodzi. Szkli się lód. Okienka w chatach patrzą na ten zachód, jak zaczerwienione z trochomy oczy. Jutro będzie wiatr z igłami mrozu. Sosny na skraju lasu zaczynają już wieczorną drzemkę. Ślad zająca biegnie w tę stronę po śniegu, a śnieg z różowego przechodzi w fiolet. Głowę trzeba mieć ciągle jasną, trzeźwą. Z junacka międzynarodowa tradycja kawaleryjska, straszna dla nas nieuków-rekrutów tradycja, też zaszczipiana w konno-rosyjskim żargonie, brzmiała:

„Wy... a skazi czto naszo!” To znaczy: „Wy... wy...” — jakżeby to wyrazić w druku?... W każdym razie brzydkie słowo... — „a powiedz, żeś znalazł!” — „Wy...” — tego się nie da zrobić, więc trzeba ukraść, albo szukać, marzeniami się nie wy... szuka.

Raz tylko przytrafił się taki wspólny patrolik: Mitia, ja i jeszcze jeden. Ten trzeci był Polak, który służył poprzednio w białej, rosyjskiej „legii oficerskiej” gdzieś na Kubaniu. Przedostał się do nas przez całą Rosję, ale go nie zweryfikowano i został tylko starszym ułanem. Drugi wachmistrz, który był znowuż z armii austriackiej, wołał nań: „frajter!”

— To nieważne — pocieszał Mitia.

Na tym patrolu w lesie, w nocy, siedliśmy na powalonej sośnie i rozmawiali o rzeczach, które by można od biedy porównać do marzeń. Same skąpe słowa, ale starczały głodnej wyobraźni. Przeszłość? Wojna? Przyszłość?...

— Szszsz... dziki idą.

— To nieważne — wtrącił Mitia niecierpliwie. — Nie przeszkadzaj!

Zabmęliśmy zupełnie nie w tę stronę, zabłądzili i o świcie, spóźnieni, wpadli na niewyspanego wachmistrza. Patrzył, patrzył, wyczekując pastwił się tym niemym, milczącym parzeniem i wreszcie:

— Wy co! Wy na kurrrrr... chodźcie, czy na patrol!!!

* * *

Leżeliśmy „na” wspólnej izbie chorych.

— Ty mówisz, przypadek jest rzecz wolna? Że przypadkowo leżymy tu razem. Tylko dlatego, że nic nie wiesz, a żebyś wszystko wiedział...

— Ty, Mitia, prawdoiskatiel jesteś? Tak?

— Ja tobie powiem. Wojna, ona jest paskudna rzecz. Nie słuchaj co tam mówią, że kiedyś... Kiedyś jak komuś taką

256

żerdź, co to się nazywa kopia, wsadzono w kieszki, albo rozłupali czerep mieczem na połowę, to myślisz, że ładniej wyglądało niż jak teraz trafią kulka w serce? Daleko gorzej. A każdy tobie będzie bajdurzył o rycerskich czasach, o takich tam różnych...

— Na przykład twoim pałaszem na połowę.

— Mój pałasz to nieważne. A ot, żeby nam z tobą...

— Mitia! Na opatrunek! — zawołała siostra i nigdy się nie dowiedziałem, co by takiego było ważnego dla nas obu.

Ze szpitala wyszedł wcześniej. Ja przeniosłem się później do innego pułku ułanów. Minęło półtora roku. Był sierpień 1920. Forsowaliśmy Wisłę pod Wyszogrodem i później w bok bolszewikom, w składzie piątej armii gen. Sikorskiego, na przecięcie im drogi, aż do granicy Prus.

Za szosą, za lasem, za wsią, których nikt nie liczył i spać by nie był w stanie, wyskoczyliśmy na drogę polną. Tędy szedł wczoraj nasz główny atak. Później cofnięto pozycje i teraz znowu rzucono nas jako świeży odwód. Z lewa szedł rzadki ogień bolszewików. Wysłano mnie przodem. Droga polna była bez rowów, ale z jednej strony, jak miedza nie koszoną trawą, tak ona znaczone była bujnym żywopłotem krzaków między polami. Spod ciernistego krzewu wystawała para nóg, którym już onegdaj zapewne ściągnięto buty. Jeszcze dwa, trzy trupy w różnych pozach, koń się poboczył i poszedł dalej; otrzaskany, ostrzelany, dobry koń. Słońce stało wysoko; było jedno z tych bezapelacyjnie letnich, przeraźliwie jasnych popołudni, które zwłaszcza dokuczają niewyspanym oczom żołnierza. Kule przestały na chwilę bzykać; na zmianę cykały polne koniki. Z przodu, od upału drgało powietrze. I raptem mój wierzchowiec, tak zawsze posłuszny, stanął dęba, w powietrzu kopytami zrobił pół obrotu i skoczył w bok tak gwałtownie, iż tylko szczeremu przypadkowi zawdzięczać mogłem, że nie spadłem, albo nie zwałiliśmy się razem. Machinalnie ściągnąłem wszystkie cugle i — zobaczyłem. Powiem bardzo krótko, gdyż wiem z doświadczenia, iż żaden opis nie będzie mógł oddać tego grymasu: leżał trup bolszewika.

Wprost w górną wargę, w zęby, w rozdarte usta, w gardło na wyłot pchnięty był lancą. Lanca się ułamała i jej krótki ko-

niec wystawał z ust jak potworne cygaro. Głowa już była przypuchnięta rozkładem, otoczona rojem zielonych much, miała oczy otwarte, a w nich ten właśnie nie do opisanania

257

straszliwy wyraz, którego tak bardzo przestraszył się mój koń. Mogę o sobie powiedzieć, że widziałem wówczas dziesiątki i dziesiątki trupów, a dziś już ich tysiące. Ale tego jednego sprzed tylu lat, zadźganego lancą w usta, zapomnieć nie będę mógł nigdy, tak jak pamiętam jeszcze drżenie skóry na szyi mego wierzchowca. Było coś w tym grymasie, w tym przerażeniu bez miary...

— A ważnie jego zakłuli — usłyszałem nagle głos Miti.

Nawet się nie zdziwiłem, że przygalopował tu z naszego dawnego pułku, który też brał udział w akcji, po półtora roku niewidzenia.

Pojechaliśmy dalej stępą strzemię w strzemię, wymieniając kilka pytań i odpowiedzi. Mieliśmy jedno i to samo zadanie: zbadać, czy w olszyniaku nad ruczajem przed nami nie ma wroga. Nie było nikogo.

— I ty myślisz, że... „tam”, że może być dobrze, jeżeli ludzie umierając mają taki wyraz oczu?

— Gdzie?

— Tam — zrobił ruch nahajką w nieokreśloną, niebiańską przestrzeń ponad grzywą końską.

— Ach, to nieważne — odpowiedziałem tym razem jego własnymi słowami.

Nagle z boku bolszewicy puścili w nas dwie długie serie i rozjechaliśmy się galopem.

* * *

W roku 1927 na dworcu w Warszawie zastrzelony zostaje przez Kowerdę Piotr Wojkow, poseł sowiecki w Warszawie. Pijąc ranną herbatę, wyczytałem w gazecie imię i nazwisko Miti na liście tych Rosjan, których władze Rzeczypospolitej postanowiły wysiedlić z granic państwa, jako pośrednich czy moralnych sprawców zabójstwa Wojkova.

* * *

Nie będę spisywał chronologii ani politycznych, ani militarnych wydarzeń, które doprowadziły do sytuacji pewnego wieczoru zimowego roku 1942.

Tegoż to wieczoru wszedł na dziedziniec mojej posiadłości Wincenty Woronko, sołtys, i powiada:

— Panu iść na pięć dni szosa lidzka ze śniegu czyścić.

, — Dlaczego mnie?

258

— A to komuż! — rzucił ze złością. — Naszej gromadzie kolejną wypadła w gminie. I wszystkim iść trzeba. Bez różnicy. Samogonem z ust na mrozie niosło od Woronki na dobre pięć metrów. Pojono go od rana do rana, bo od niego zależało i wyznaczenie na roboty, i na roboty do Niemiec, i furmanki do obozów pomocniczych na front i dziesiątki innych plag, od których każdy absolutnie chciał się wykręcić. Sołtys pił, ale nie mógł sprostać interwencjom, boby musiał chyba zwolnić

wszystkich, ukryć wszystkich, nie zapisać ani jednej kury we wsi i samemu dostać kulę w łeb. Zachrypł więc tylko i schamiał jeszcze bardziej, ani ze swej woli, ani winy. Powiedział i trzasnął furtką.

— Panie Woronko!

— Dać mnie święty pokój! — machnął ręką, odchodząc. Nie było rady. Jakby tylko dla dopełnienia rytualnego obrzędu podszedłem do płotu i patrzyłem, jak się oddalał po drodze wyslizganej płozami, na której ukośne promienie kładły metaliczny połysk.

Kraj nasz nigdy nie powinien być malowany inaczej jak pastelami. Wydaje mi się, że olej, rozgrzany latem, musiałby popękać w zimie. Kraj jest biały u spodu, zielony wierzchem, niebieski górą, przechodząc w łagodną złocistość zimowego słońca nad lasem. Nawet szczypiąca jaskrawość śniegu zlewa się z otoczeniem, może dlatego, że szpilki lasu wsysają znaczny procent promieni. Z chat, na wpół ukrytych w zaspach, sterczały ku górze równiutkie miotły dymów. Widocznie jednak Twórca obrazu nie uważał go za skończone piękno, skoro urozmaicił jeszcze tu i ówdzie czarnymi punktami kruków, jakby pieprzykiem na nieskazitelnej cerze białej damy.

Szosa ludzka zawiana była istotnie kompletnie. Chłopi sunęli bokiem-lasem, a tzw. ruch pojazdów mechanicznych był wykluczony. W oddaleniu czterech kilometrów olbrzymie zaspę, stożkowe jak wulkany, dymiły się na lekkim wietrzyku pośród płaszczyzny, która nigdzie nie zdradzała, śladu drogi. Zwłaszcza w miejscu, gdzie lasy Peteszy Wańkowiczów (śp. Stanisława i wygnanego przez bolszewików Henryka) zbliżając się do szosy, zatrzymują w oddaleniu z wahaniem i tylko wysyłają ku niej niskorosły sośniak, jakby na zwiady. Teraz czubki tych sosenek ledwo wysterczały z puchu, podobne do szpilek w wacie. Z drugiej strony biegły im na spotkanie i też utknęły w zaspach podobne drzewka, które się oderwały od

259

masywu wysokorosłych świerków Dusinięt, lasów Góreckiego, ostatniego po kądzieli spadkobiercy Adama Mickiewicza. W tę właśnie międzyleśną gardziel nawiało najwięcej. Dalej ku południowi widać było niesymetryczny w śniegu kształt niemieckiej ciężarówki, która tu utknęła rano, o świcie wyjechawszy z Jaszun. Opisuję plan z topograficzną ścisłością, gdyż szczegóły te towarzyszyły memu ponownemu spotkaniu z Mitią.

Dwóch Niemców w nausznikach i lekkich szynelach deptało śnieg wokół maszyny, rozgrzewając się uderzeniami rąk po bokach. Trzeci stał w zaspie i patrząc na robotników, gwizdał w zamyśleniu popularną melodię: „Es geht alles voruber, es geht alles vorbei...” To nie był wszakże Niemiec, to był Mitia w niemieckim mundurze. Płaszcz bez oznak, ściągnięty pasem o zużytej klamrze, na której można było jeszcze odczytać: „Gott mit uns”. Wzrok mój ześlizgnął się z jego twarzy i zatrzymał dłaczegoś na tej klamrze.

— Z Bogiem, znaczy?

— Ach... nieważne... — odpowiedział cedząc dla dania sobie czasu na ochłonięcie z pierwszego wrażenia. — A ty?... Poczekaj, chodź tu do lasku, gdzie mniejszy wiatr. Z powalonej kłody zdarłem łopatą grzebień śniegu, siedliśmy jak wtedy w lesie, w Pietkowie, przed dwudziestu kilku laty.

— Ty wiesz, że ja Rosję to w gruncie rzeczy znałem tylko z literatury, opowiadań, gazet. Nigdy przecież tam nie byłem. Zgłosiłem się na tłumacza do Wehrmachtu, chciałem zobaczyć własnymi oczyma.

— I cóżś zobaczył?

— No, pola pokryte śniegiem, w jarach krzaki. Igła dziesięć rubli, a życie ludzkie: kopiejka. Ale to nieważne. Za to, żebyś zobaczył co oni tam wyrabiają! Ci. Boże! Koniec. Pomilczeliśmy chwilę, zaciągając się dymem. Z cichym szelestem skrzydeł nadleciał dzięcioł, uczeplił się kory, główkę przychylił, sfrunął, poleciał do lasu dusinięckiego.

— Nu, ot widzisz. A teraz Hitler pędzi naszych emigrantów na zbity łeb... Właśnie mnie...

Ale w tej chwili poczęto nas wołać z szosy. Na mnie wołali robotnicy, żebym się nie dekował, a brał do łopaty („Ważny jaki! Z Niemcem gada, to myśli, że robić nie będzie!"), na Mi-260

tłę Niemcy, żeby pomagał przepychać maszynę. Ściąto gałęzie świerków, poukładano pod opony, aby nie buksowały.

* * *

Istnieje w Rzymie pewien zakątek, zupełnie nie znany turystom. Na wysokości Pincio biegną dwie równoległe ulice: Via Lombardia i Ludovisi; przecina je prostopadle via Aurora. Jest to właściwie dzielnica bogatszych hoteli. Pomiedzy wyłotem tych ulic leży pałac, którego nazwy zapomniałem, przytykając swym ogrodem do ogrodu hotelu Eden, zarekwirowanego do niedawna dla wyższych oficerów brytyjskich. W ogrodach tych rosną ogromne drzewa. Od ulicy odcięte są bardzo wysokim murem. Ale drzewa są wyższe od muru i przechylają się na ulice. Za dnia, o zmierzchu, o świcie, rozpościera się stamtąd piękny widok na Rzym i Watykan. Pięknych widoków w Rzymie jest w ogóle bardzo dużo. Ale w miejscu, gdzie gałąź potężnego drzewa zwisa nad chodnikiem, stoi obskurny, żelazny pisuar, a po drugiej stronie wejście do knajpy w suterynie, knajpy ostatniego rzędu. Pije się w niej najtańsze bianco, czasem słodkie rosso, pije w większej ilości. Mijając ten róg prawie codziennie wiosną roku 1946, nigdy nie zauważyłem, by którykolwiek z Włochów podniósł głowę. Tymczasem właśnie nad głową działo się na pozór coś bardzo ważnego. Panował tam niesamowity harmider i świergot. Wszystkie gałęzie obsadzone są przez ptaki przelotne, które zapewne od wieków już obrały sobie ten odcinek wzgórza Pincio za etap wypoczynkowy. Część drzewa oplata latarnię. Dopóki się ona pali, ptaki gadają całą noc, a wiadomo, że potrafią to czynić tak samo jak ludzie, to znaczy jeden przez drugiego. Ponieważ jest ich tam dziesiątki tysięcy, wytwarzają

przedziwny hałas.

Zauważywszy pewnego wieczora na rogu Aurora człowieka, który stanął pośrodku ulicy z zadartą głową, mogłem z daleka rozpoznać w nim cudzoziemca. Stał chwilę między murem, pisuarem i podłą knajpą. Zgadłem też od razu, że musi w niej pić.

— Ważnie ćwierkają — powiedział po pierwszym przywitaniu.

Ubrany był w rodzaj munduru, który, krojem swym objawiając najszerokie warstwy kuli ziemskiej, zdradzał, czy też symulował w tym okresie, przynależność do demokratycznych sił zbrojnych, bez różnicy rasy, narodowości i wyznania.

261

Gdyśmy zeszli do suteryny, przepojonej specyficznym odorem, jaki wydaje wytchnięte z ust, przetrawione wino, zagadnąłem go o zmianę munduru z pewnym odcieniem niepokojem.

— Ach — odmachnął niedbale ręką — wróciłem wtedy do Francji i od roku 1943 siedziałem w ich Resistance.

— Jakże się wiodło?

— Hołota. — Wzrok Miti biegł poprzez zgielek knajpy i szukał kogoś w tłumie. — E!... Padrone! — i wskazał ruchem podbródka rozlane na stole płamy wina, co miało zapewne znaczyć, że brakuje wśród nich trzeciej szklanki.

Byliśmy bowiem we troje: Mitia, ja i Cesarina. Od czasu do czasu Mitia rozmawiając kładł na jej ramieniu rękę, prawie tak jak się kładzie na poręczy krzesła.

Wino szło do głowy niechętnie, z oporem, długo, ciężko. Mitia pijaniał. Kilkakrotnie jeszcze wychodził chwiejnym krokiem i za każdym razem, gdy wracał, mówił to samo:

— Ważnie ćwierkają.

— Que cosa e... czwer...? — zapytała sennie Cesarina.

— A wiesz, kogo ona mnie przypomina? — uparł się nagle Mitia. — Pamiętasz, była taka w Pietkowie jeszcze, w tej chacie... no...

— Pamiętam. Ale zdaje mi się, że tamta miała błękitne oczy, a ta...

— Błękitne, mówisz... „lisz para gołuuubieńkich głaz...!”

Brzmiało fałszywie, sennie, pijano.

Przez okienko wraz z brzaskiem zajrzały kopulaste hełmy MP. Widocznie śpiew Miti w suterynie przekrzykiwał nawet przelotne ptaki na ulicy. Mitia próbował było wyluszczać swoją rację, ale żandarmi okazali się silniejsi i już po pierwszym „nieważne” wyleciał jak piłka rzucona wprawnymi rękami w górę po schodkach. Aresztowano go nie za poszukiwaną przezeń prawdę, a za pijaństwo w zakazanym lokalu. Wiadomo bowiem, że takie, pod szyldem „Vino e cucina” napiętowane były kołem, daczegoś o czarnych szprychach na białym tle, co miało znaczyć zakaz uczęszczania do nich osób w mundurach wojsk alianckich.

Lwów i Wilno 1948 nr 86 i 87

MULKA

Któż w przedwojennym Wilnie nie znał jedynego Żyda wśród szoferów taksówek o przezwisku czy też nazwisku: Mulka? Jeździł na czerwonej skodzie i specjalizował się w nocnych kursach, bo były najlepiej płatne. Znał wszystkie domy publiczne, nocne knajpy, knajpy zakazane, nielegalne spelunki. Znał wszystkich hulaków miasta spośród artystów, urzędników, oficerów, dziennikarzy. Znał panie i dziwki, hotelarzy, kelnerów, prostytutki, statystki i nabożne sylwetki kobiet spieszących na pierwszą mszę ranną, gdy właśnie odwoził do domu jakieś przepite towarzystwo. Znał oczywiście policjantów i złodziei. Znał drobnych knajpiarzy w pobliskich miasteczkach, paserów na przedmieściach. Domy wypoczynkowe, do których się latem jeździ szosą gdzieś nad przepiękne jeziora Wileńszczyzny. Na pamięć się zdołał wyuczyć ceremoniału przecinania wstęg podczas uroczystości prowincjonalnych, gdy woził zaproszonych gości, bywało tuż za autem starościańskim. Znał zakręty śmierci na drogach i wszystkie mankamenty polityki drogowej; szosy strategiczne, nigdy dla strategii nie wyzyskane.

Patrzył na to burżuazyjne państwo z boku, z ukosa, można by rzec przez dziurkę w kulisach, widział je niewątpliwie w krzywym zwierciadle swego pojmowania, raz dlatego, że był człowiekiem niewykształconym, a dwa, że należał do warstwy wcale nie uprzywilejowanej.

Z chwilą wkroczenia bolszewików, we wrześniu 1939, był pierwszym z Żydów przy apelu. Można by powiedzieć o nim, że najtypowszy z typowych, wietrzący karierę i władzę. No, 263

jednym słowem, taki, co według oklepanego schematu, w stosunkach amerykańskich zaczynać powinien od czyszczenia butów, zanim dojdzie milionera, a w sowieckich od służby w sławnym GPU, zanim zostanie komisarzem ludowym. Typ.

— Proszę pana — mówił mi Mulka po najściu bolszewików — ja panu powiem, że ta Polszcza ona stać nie mogła. Ja na przykład, powiedzieć panu, różnych ludzi woził do Elzy, ale jak raz wypadło wieźć pana S., pan zna?.. No, i patrzę, że on już pułkownik, a pana Z. zrobili sekretarzem ministra, ja wiem kim zresztą... to niech panu Elza zaświadczy, co ja jej mówił: „Elza, z tej Polszczy nic nie będzie...”

Wrzesień 1939. Przed Mulką otwierają się nieograniczone perspektywy. Tak sądził. Kim mógł być w Polsce? Był szoferem taksówki, któremu dano czasem większy napiwek, czasem większy kieliszek wódki, czasem poklepany był po ramieniu przez naczelnika wydziału, czasem też dano mu w mordę. Bo Mulka nie był typem Żyda ani dorabiającego się z mudnie, ani też na lekkich geszeftach. Mulka zapatrzony był wciąż w możliwości leżące na ulicy, które dotychczas omijać musiał swą czerwona skoda. Teraz okazji przegapić nie chce. Robi się na początek krzykaczem, potem jakimś pełno-

mocnikiem z wielką gwiazdą w klapie. Zostaje wysłany do miasta Lidy i tam w krótkim okresie staje się niemal czerwonym dyktatorem. Oczywiście „niemal” to jeszcze nie wszystko. Ale ten i ów przeżywa go już „komisarzem”, a skórzana kurtka szoferska (ha, jak łatwo ją było kupić w Polsce!) w sam raz przypadła do kabury nagana. Azaliż nie odżyły czasy 1918 roku? Nie.

Mulkę wycofują ze stanowiska w Lidzie i dają mu podporządkowane na prowincji, już tylko w charakterze jakiegoś zastępcy kierownika posterunku milicji. Jest jeszcze pełen wigoru, inicjatywy, ambicji i przy nadziei. Opowiadał mi później o tym okresie swej kariery następujące urywki:

— Jak przysłali tych milicjantów „wostoczników”, to mnie coś tam nie podobało się u nich, już nie pamiętam co, ale ja jednego milicjanta wyrugalem tak po naszemu, „po matieri”, pan rozumie? To wtedy woła mnie kierownik i tak mówi: „My tak nie rugamy się. Tego u nas nie wolno”. Pan rozumie? A później była taka rzecz: aresztowali pana Bochwica. Pan wie Bochwic? To ja mówię: „Wiecie co, wypuście wy jego, on porządny człowiek był”. To wie pan co mnie od-

264

powiedzieli? Powiedzieli: „Wy, towarzyszu, nie rozumiecie zasad walki klasowej. Czy on porządny, czy nieporządny, to nie ma nic do rzeczy. Ale był posiadaczem, któremu my te posiadłości odebraliśmy. I dlatego on zawsze będzie naszym wrogiem, zawsze. Tak samo jak każdy, który coś miał, a teraz stracił. A wrogów ludu pracującego musimy niszczyć”. Pan rozumie taka rzecz?

— Rozumiem.

Zdaje się, o tego Bochwica potknęła się policyjno-polityczna kariera Mulki. Na pewien czas znika z horyzontu krajowego. Okazało się, że nawrócił do szoferki, potrafił wkręcić się do jakiejś komisji wojskowej, czy jakowegoś dygnitarza, objechał ogromną połać Rosji. Był w Moskwie, Kijowie i Odessie. Zobaczyłem go znowu na początku roku 1941 w Wilnie, w bardzo mieszanym towarzystwie, w pewnym pokoiku za pewną pralnią przy ul. Tatarskiej. Nadmienić wypada, że pokoik ten służył do rozmaitych celów, jako to na przykład: przemocowania, libacji, wymiany pieniędzy, transakcji towarowych, giełdy przemytniczej, a w ten sposób często do po prostu przyjacielskiej pogawędki. Mulka siedział w rozpiętym szynele z czapką zsuniętą w tył głowy, noga na nodze, palcami bębnił po stole i na pierwszy rzut oka mógł robić istotnie wrażenie starego, wpływowego bolszewika.

— Słuchajcie, panowie (mówił do nas jako do ludzi zaufanych, a więc per panowie). Ja wam powiem otwarcie. Jakie życie w Rosji? Owszem, ja byłem dużo w miastach, a teraz wracam z Kijowa...

Zamyślił się, podłubał w nosie, wytarł o serwetkę stołu i nagle ożywił się wznosząc ramiona:

— Co to za ludzie, ja nie rozumiem! Czego oni chcą i dlaczego oni tak żyją?!. Mnie pytali: „Nu, jak tam u was żyło się

pod panami?" To co ja mogą powiedzieć. Prawdy-żeż nie powiem. To ja im mówię: „Nu, ot tak, podobnie jak u was za carskich czasów". He-he-he. To mnie jeden stary bierze na bok i mówi do ucha: „To nieprawda, że za carskich czasów żyło się źle. Żyło się bardzo dobrze". To wie pan co, to ja jego odciągam jeszcze w dalszy kąt i mówię na drugie ucho: „A wy myślicie, że u nas żyło się kiepsko?..."

lwów i Wilno 1948 nr 91

265

CHŁOP

— Wy co, od wywózki moża uciekacie? — zapytał idąc ciągle koło wozu z ręką opartą o drabinę.

— Eeee... nie — odburknąłem niechętnie.

— To to i życie — westchnął. — Ot los jak kręci człowiekiem, jak tym ptaszkiem pod wiatr.

Noc. Pali się ognisko. Konie chodzą na lejcach. Kobiety śpią na wozie. Puszczą. Komary roją się bez końca, bez końca. Chłop wstawał co chwila, zniknął poza kręgiem światła padającego z ogniska. Jakimś przyrodzonym węchem znajdował w tej ciemności suche gałęzie, wrywał smolaki z karczów i podsyczał ogień. Leżeć było niewygodnie, wilgotno, korzeń jakiś uwierał bok. Czasem sowa krzyknie i komary, komary bez liku.

— Bo ja to tak zawsze mówią: człowiek, on jest podobny do drugiego, ot choćby jak ta sosna w puszczy jedna do drugiej. A podejdziesz piłować, każda inna. I wysokość i grubina, i sęki u jednej takie, a u drugiej, obacz, zdaje się podobne, a dlatego za wszystkim inne. Ot, pan mówisz, bolszewiki, a ja powiem, oni też różne są. Z daleka zdai się jedne i te same, a pogadasz, czyli zapoznasz się i niechtóre bardzo przyzwoite ludzie, a inne niegodne. Ale dużo, dużo jest sprawiedliwych w ruskim narodzie.

— Naród może i sprawiedliwy, tylko rządy u nich cholerne... — odpowiadam sennie.

— O, to co innego. Bo widzisz pan, ta cała bolszewizma nie z narodu idzie, a od Boga. To ja liczą, że to za nasze grzechy. Nie inaczej, a tak jest. Żyli my zdaje się dobrze, niczego

266

nie brakło, a to podeszło. Znaczy żyli, ale grzeszyli... Tfu! i tych komarów skąd ich bierze się taka siła, czuma ich wie! — Odmachnął się ręką i ciągnął dalej: — Soweci mówią, że to przez panów cała zło, żeby panów nie było. Śmiech jeden takie gadanie. Nu dobrze, panów przegnali, to czego oni naród męczą w ta pora? Wszystko to puste gadania. Bo czy on pan, czy on cham, wszystko jedno bywa i sprawiedliwy, a bywa, że na odwrót. Ot ja panu jedna zdarzenia opowiem... Ale cości nasz ogień znowu przygasa...

Z niezwykłą dla jego wieku lekkością podciągnął nogi, wskoczył i bezszelestnie znikł poza kręgiem ogniska. Czym bliżej ranka, tym powietrze nasiąkało bardziej wilgocią. Od ziemi, co ma służyć za matkę, ciągnęło nieprzytulnym, cierpkim wyziewem ni to mchu, ni to błota, zimnem liści, trawy i

igliwia.

„Kwik-kwik-kwik” — sowa.

— To widzisz pan, było tak — rozpoczął, powróciwszy z nareczem gałęzi. — Pojechał ja przed ta wojna raz na rynek, do miasta z drzewem. Stanął na Nowogródzkiej ulicy, stoją, stoją, gdzie u kogo porozbierali, a ja tak i został. — Za drogo, mówio. — Drogo to ja nie ceniał, ale myślą na ostatek zbawić trzeba ceną, bo nie wracać-żeż z pełnym wozem do chaty. Taka dal. Boże strzeż! A koń u mnie był wtedy nie ten co pan teraz widzi, ale też nieważny taki koniczek... Nu, tu wyskoczyła raptownie służąca z takiej restauracji czy szynku: „Ile drzewo?” — Ja pocenił jej para groszy taniej, wzięła cały wóz. Zapłacił gospodarz tego szynku, a później mówi: przywieź mnie w niedziela jeszcze taki wozak. Myślą sobie w niedziela, to jakości nieakuratnie wychodzi, żeby handlować, no, ale w końcu przywióz. Ot, do kościoła zajść będzie okazja, dzieciom jakiegoś gościńca przywiozą, obwarzanki tam czy pierniczki jakie... No to przyjechał ja z drzewem z samego ranka, zaszed do tej, do restauracji, a tam widza, pijanych zebrało się jeszcze od wczoraj. A najwięcej buszuje oficer jeden, kapitan. To mówię panu, wstyd było patrzeć. Ludzie do kościoła idon, a on pijany w drys, wyjął swoja szablą, bije tam naczynia, no, prosto cham ostatni. Popatrzał ja tylko, plunął i poszed. Prawda, gospodarz zapłacił za drzewo akuratnie, wszystko co do grosza... Aha, nu... ale pan może spać, widzę, chce?

— Jak tu spać przy tych komarach.

267

— To prawda, że spokoju nie dajo... To wie pan, zaszed ja do kościoła. Zachodzą, a tu jak raz ranna msza. Zaczął było pacierz mówić, aż tu z boku, koło kapliczki, widza, klęczy ręce złożywszy i modli się oficer, taki sam kapitan, ale powiedzieć panu, taki samiutki. Nu ot i masz pan, dwóch oficerów i jeden taki, a drugi taki. Spojrzeć, mundury u ich jednakie. A czy można powiedzieć, że oni ludzie jednakie? Nie można. Pociągnął nosem, próbując powietrza przed świtaniem, pogrzebał patykiem w ogniu i zamilkł.

— Czuma ich wie, jak to wszystko kończy się.

— Co to za słowo takie: „czuma” powtarza ciągle? — pytam.

— A to ot, przywyczka taka, niby to przekleństwo. To jest choroba.

— Dżuma?! Aha. Ale u nas ani tej choroby nie znają, ani nikt tak nie przeklina. To chyba na południu Rosji był, albo w Azji?

— Po prawdzie powiedzieć to pan zgadł. Tam, w tych stepach nad Azowem, na Kubaniu, to wszyscy tak przeklinają. Ja, proszę pana, z carskiej armii popad do krasnej. Jeszcze jak Trocki był komisarzem wojennym. No i wojował tam dwa lata. Ale niech ich czum... to jak pan mówi?

— Dżuma.

— Niech będzie dżuma, niech będzie jaka chce choroba,

ale niechaj ich weźmie. Dość! Ot, wiesz pan, nie ochota pod sowiecka władza żyć.

— Pewnie, bieda z nędzą, pracować trzeba nie dla siebie, a...

— Nie. Nie o pracę wie pan, rozchodzi się, i nie o to, że bieda. My do biedy przywykli, choć i nie porównasz z ichnia. Ale ot: żyć u nich nudno. Nudno i już.

Lwów i Wilno 1948 nr 91

268

ŻYWICA I NAFTA

Czasem przychodzi ni stąd ni zowąd jakiś patetyczny wierszyk do głowy. Na przykład: „Litwo, ojczyzno moja! Ty...”

— To nie jest żadne zdrowie, psia ich mać, taka praca na świeżym lufcie. To jest katorga i już — mówił kolega mój, Kostuś.

Znalazłem na wierzchu dłoni tyle akurat wolnego jeszcze miejsca od żywicy i nafty, by wytrzeć pot z czoła, i spojrzałem ku niemu. Był całkiem pochylony. Wypięty zadek, wyraźnie zarysowane pod portkami kości miednicowe, jedna nogawka rozerwana. Usiłował ruszyć z miejsca ciężki „komel” sosny i targając wbitym weń toporem przygadywał dalej przez zęby:

— To „krrrrwawy Smetona”... taka jego...

Dumny był z autorstwa tych śmiesznych nazw. Tego lipca 1940 bolszewicy, zaraz po wkroczeniu do Litwy, ogłosili listę „wrogów ludu”, którym udało się zwiąć. Na pierwszym miejscu znajdował się „krwawy Smetona”, b. prezydent. Następnie szły nazwiska coraz to mniejszych zbrodniarzy. Kostuś zachował skrupulatnie tę kolejność: najcięższy do odpilowania komel, zaraz u nasady, przezwiał „krwawym Smetona”; drugi nazywał się Chodakauskas (szwagier prezydenta), jakiś tam bogacz czy bankier; trzeci z kolei był prałat Wajłokajtis, też niezły kapitalista, dalsze nazwiska zatarły mi się w pamięci. Ale tę chwilę pamiętam, gdy pomyślałem nagle; „Litwo, ojczyzno moja...”; w lipcu, zaraz po świcie, w rosie, we wrzosach, na mchu, pod sosnami, i obłoki już były mniej różowe, ale jeszcze nie białe, poranne, stały bez wiatru jakby pozując do tej fotografii, której odbitkę noszę w głowie.

269

— Zakurka, Kostuś, a?

— Możem skręcić.

Siedliśmy na „krwawym Smetonie” i zapalili popatrując na drogę. Pachniało żywicą i naftą. Wszystko: ubranie, buty, siekiery, ręce, mech dokoła, a już najbardziej oczywiście piła. Bo pilować trzeba umieć. Piła powinna chodzić równiutko jak po sznurku, leciutko tak: ziń-ziń, ziń, ziń itd. Lekko, „zaaa wszystkim letko”! Broń Boże, nie poddawać, nie popychać, a tylko ciągnąć, ot jak: ziń-ziń, ziń... i tak równo. Nie naciskać! Od nacisku idzie trochę krzywo, zaczyna trzeć. A sosna (wiadomo) mokra, tzn. żywiczna. Żywica jak klej pokrywa płaszczyznę piły i wtedy „stop maszyna”, a pot ciurkiem kapie pod nogi, na buty, na mech, na wrzos, na liście borówek, na liście czernic, na pijanice, na zeszłoroczne i świeże igły, i

nazywa się wtedy: „choć ty płacz!”

Szcęściem już pierwszego dnia pracy jechał miękką naszą, sapowatą drogą leśną stary Żukowski, kowal z osady. Ułowił uchem znawcy dźwięk piły i zatrzymał konia. Zlął z drabinki, spojrzął z przyzwyczajenia na pustą drogę między sosnami, jakby dla przekonania się, że nikt mu z próżnego wozu nic nie ukradnie, i poszedł z biczem w rękę ku nam, w bród przez wrzosa.

— Co robić, panie Żukowski, że piła nie chodzi?! — zawołałem z klęczek, bo kloc leżał na ziemi.

— Ja to i słyszą, że źle chodzi. — Wziął do ręki, podzwonił palcami, mruknął, że nowa. — Drogo płacili?

— Nie bardzo.

Podniósł pod światło, przymrużył oko wypatrując „drogi” na zębach.

— A kto zęby stroił?

— Franciszek.

— Nieważnie. No, ale pracować powinna. Panowie muszą krzywo piłuj. Ona nie chodzi, bo cała-żeż w żywicy.

— A jaka na to rada?

— Tylko i jest jedna, żeby naftą smarować.

Przysiadł się, skrzył cygarę, zapalił, i pomilczeliśmy. Cicho cichutko szumiał las. Żeby koń na drodze nie dzwonił zwieszonym wędzidłem, opędzając się muchom, można by rzec, iż było słychać jak życie płynie: dołem życie, górą obłoki.

— Co to wczoraj za konni lecieli koło pańskiej kuźni?

270

— A kto ich wie — odparł niechętnie. — Ludzie mówili, że jakoby draguny litewskie... Dwóch.

— Uciekali?

Przydeptał noga niedopałek, wstał.

— Bóg święty raczy wiedzieć, co to będzie. Prrrr! Ty! No, pójdą już, bo muchy nadto konia kasaają.

Od tamtego to spotkania zabraliśmy butelkę nafty do lasu. A nafty tak zwani Sowieci rzeczywiście przywieźli dużo. Ja nie wiem, czyja, czy on jest winien, że piła źle chodzi. On mówi, że ja, ja podejrzewam, że on. Dość, że ciągle smarujemy naftą, i dlatego właśnie żywica i nafta oblepia i wciska się wszędzie. Taki los; zaczynamy doń przywykać. Rano, po rosie, wszystko jest mokre i strasznie świeże. Ach co za powietrze było u nas w kraju! Pracujemy przy drodze. Cztery pary kolein biegną po niej wyżłobione w piasku: na wprost wpadają w kałużę, przedawnioną, czarną i czystą jak lakier; po wierzchu pływają igły, a w głębi usadowiło się niebo z obłokami. Koleiny wyskakują z drugiej strony tego nieba i dalej ciągną się jakby leniwie, piaskiem aż do zakrętu, a tam krzaki leszczyny i już nic nie "widać.

Gdyśmy się podjęli tej pracy, ruble nie były jeszcze wprowadzone i płacono w litach. 2 lity 40 cm za metr drzewa postawiony w lesie.

— Hm, dużo można zarobić? — pytałem Franciszka, drwała i cieślę.

— Dlaczego... można, owszem. We dwóch do ośmiu metrów dziennie można postawić.

— Osiem razy... 2 lity 40 cm... — liczyliśmy z Kostusiem.

— No, powiedzmy, tyle nie postawimy, ale zawsze...

Pierwszego dnia pracowaliśmy dziesięć godzin i postawili

— jeden metr! Nikt z nas nie powiedział słowa.

Leśniczy wyznaczył nam był odcinek wzdłuż wspomnianej już drogi. Sosny leżały tam wywalone z korzeniami. Do naszej pracy należało: odrąbać gałęzie, odpiłować „wierzchowinę” i złożyć to wszystko razem na kupę mniej więcej metrowej wielkości, po 50 cm za metr. Potem popiłować pnie drzew na metrowej długości „komie”, „poszczepać”, czyli rozłupać je wzdłuż na tzw. szczapy, czyli po naszemu, po wileńsku z rosyjska: „płaszi” (bo tylko rozłupane drzewo schnie przyzwoicie) i poustawiać w metry po cenie 2 lity 40 cm za metr.

271

Nawet doświadczeni drwale nie byli zgodni w opinii, czy łatwiej jest drzewo ścinać na pniu, dając mu kierunek upadku, czy też odpiłowywać kłoc od nasady drzewa, uprzednio powalonego wraz z karczem. Rzecz w tym, że piłowanie w lesie niczym nie przypomina piłowania z kozła na (zwłaszcza własnym!) podwórku. W lesie piłuje się nieraz w najbardziej fantastycznie niewygodnych pozycjach. Ale główna trudność tkwi w czym innym: rozpiłowywane części pnia powinny ciążyć odśrodkowo, przy czym piła, zagłębiając się, musi chodzić coraz lżej. Natomiast pień, wsparty o własny karcz, zwłaszcza przy niedogodnym kącie upadku drzewa, ma często ciężenie dośrodkowe i „zaciska” piłę, ciężar zaś drzewa nie pozwala na zmianę jego pozycji i znowu wychodzi: „choć ty płacz”.

Zaczynamy po sowiecku, optymistycznie:

— Dawaj krwawego Smetonę!

Zińń-zińń, zińń-zińń... Tam i na powrót, tam i na powrót, bez liczenia czasu, wpatrzeni w nieskończoną klepsydre biegających ciurkiem trocin. Sypią się i sypią, takie już znane, zżyte z kolanem, gdy się piłuje na klęczkach, z końcem buta, gdy stojąc, z listkami roślin, układają zawsze w jednakowy wzór, miliony i miliony drobinek, w które się patrzy godzinami, rozumie ich rozpęd, ich kąt padania, ich świeżość, ich zapach żywicy i nafty.

— Dawaj Chodauskasa!

I znów rysunek kory, już trochę jaśniejszy, mniej gruby od poprzedniego, bo dalszy od karczu, i znowu trocinki, z którymi się obcuje w świecie ześrodkowanym, odciętym od reszty rzeczy, gdzieś w czasie pomiędzy jego początkiem i końcem.

— Dawaj prałata Wajłokajtisa!

„Dawaj” i „dawaj”, akcent po sowiecku na drugie „a”! I tak aż do drugiego śniadania. Zawsze o tej porze przelatuje tamtędy głupia taka sójka. Zawsze z łopotem skrzydeł siada na to samo drzewo i zawsze zobaczywszy nas, robi wielki krzyk ostrzegawczy, a głupia dlatego, że jej to sprawia zabawę udawać, że dostrzega nas po raz pierwszy, choć zna na pewno

nasze postacie równie dobrze, jak myją; i leci dalej z wielkim krzykiem, ostrzegać cały las przed rządową, sowiecką siekierą. Głupia, głupia...

Nie zwracam na nią uwagi. W odpoczynku, na który sami sobie pozwalamy, wyciągnięci na mchu, patrzy się zazwyczaj

272
w kierunku przypadkowego ułożenia twarzy. A po głowie chodzą myśli poważne i ciężkie jak pnie:.....spiłowaliśmy osiemdziesiąt komłów... mało, mało... sto, dwieście... wczoraj cztery metry... metr po 2 lity 40 cm". Z ostatniego niedopałka, zaprózonego w gęstwinie, unosi się w górę słupek błękitnego dymku, jak z opuszczonego ogniska Indian — czerwonoskórych... Dlaczego Indian?...

— Tu ktoś pętał się w nocy koło naszych metrów — odzywa się sennie rozciągnięty Kostuś.

— Po czym sądzisz?

— Taak... widzę. Poruszał sztabel. Plaszkę na wierzchu przewrócone.

— Może gajowy coś sprawdzał.

— Nu, dawaj rąbać!

Eeeech, kości bołą.

— Cóż, dawaj.

Zadanie polega na tym, że każdy z nas staje u przeciwnego końca leżącego na ziemi, odpiłowanego na metrową długość kłosa, czyli „komla”, i rąbie po linii środka. Jeżeli nie rozwała się on od pierwszych uderzeń na dwie zazwyczaj równe szczapy, zbliżamy ku sobie ciosy każdy ze swej strony, aż się taka ciężka cholera wreszcie rozpruje, z przyjemnym dla drwala chrzęstem. Raz, raz! Ciach! Ciach! Rzecz, oczywiście, najprostsza w świecie, ale sztuka. Polega ona przede wszystkim na tym, by już pierwszym ciosem utrafić w środek i by partner utrzymał równą linię. Sztuka władania siekierą sprowadza się w rezultacie do jednego: potrafić ciąć po raz drugi w to samo miejsce. Nie pół centymetra w prawo, czy w lewo! W to samo, drugi, trzeci, a gdy potrzeba, czwarty raz. Koniec. Dawaj następnego. Sztuka tkwi w oku, nie w ręku czy w sile. Dziecko by potrafiło rąbać, ale musi trafić w to samo serce drzewa, a nie, jak to bywa, sobie w kolano czy w nogę. Czasem zimą zamrożony komel pęka od pierwszego uderzenia. Latem jest trudniej. Ale tam, gdzie wprawny drwal zada dwa ciosy, a inny trzy, cztery, pięć, powstaje właśnie ta wielka rozpiętość pracy fizycznej, gdy następne ruchy, przy ich zmasowaniu, mnożą w nieskończoność wysiłek, zdrowie, czas, a zmniejszają — zarobek.

Kostuś się denerwuje, „robi miotłę”, siekając pień, a „krrrrwawy...” trzyma wciąż, wytrzymuje wszystkie wyzwiska, które spadają nań z błyskiem stali. Aż wreszcie ukaże nam

273
swe upragnione wnętrze, czystość włókien, warstwy, żyłki, nasady sęków, żywiczne wzory. Kostuś denerwuje się oczywiście niepotrzebnie, ale słusznie przeżywa każdy komel innym mianem innego wroga bolszewickiej równości, bo każdy z

tych komłów jest indywidualny, różny od poprzedniego, wymaga innego doń podejścia, przewrócenia, cięcia. Każdy z nich ma swoją rację w budowie sęków, niemal swoje „ja”, które później dopiero gromadzą się w oczach, z oczu przechodzą do pamięci, pod zamknięte powieki, aż het, w niezbadane głębie ciężkiego snu, wielki tłum drzew, kłoców, wzorów, włókien.

Wysoce niesympatycznym typem był nasz leśniczy. Na szczęście, rzadko przychodził do lasu. Nastąpił tu za czasów tzw. „smetonowskich”, jeszcze w grudniu roku 1939. Litwin spod pruskiej granicy, typowy, kwadratowy, ponury blondyn. Młody, powolny i gburowaty. Gdy mówi źle po polsku (a inaczej nie umie), samogłoski „o” i „e” wymawia z tendencją na „a”.

— Coaż... wy tu, stawiacie za metr! To nia metr.

— A jak trzeba, panie leśniczy?

— Jak! Wiadomo jak. Sześć centymetrów trzeba doarzuścić w góra. Drzewa osiada.

W jaki sposób utrzymuje się on jeszcze na stanowisku leśniczego, nie mam pojęcia. Posiada na Żmudzi, on czy jego ojciec, ponad 20 ha gruntu i młyn. Straszna, zacięta, kułacką nienawiścią nienawidzi bolszewików. Utrzymuje się jednak nadal, choć gdy zmieniono walutę, drwalom, którzy się targują przy wypłacie w kancelarii, miał zwyczaj powiadać:

— Ja wam tego g... nie załużą!

I miał gruboskórymi palcami portrety Lenina na banknotach sowieckich czerwońców.

Jeszcze raz, bywa, spojrzy spod lnianej czupryny na ustawiony przez nas sztabel, dotknie go końcem buta, ponuro zamilczy i pójdzie w las bez pożegnania.

Kostuś, który jest trochę endekowaty, obracając się, powiedział kiedyś za nim:

— Mickiewicz też miał dobrego bzika na punkcie tych Litwinów.

— No, rąbiemy, Kostuś, bo późno już.

Na sekundę wzrok mi przesłania wyobraźalny, gdzieś w rosieńskim powiecie, naszego leśniczego młyn i staw, i trzeci-

274
na nad stawem, i zieleń traw... I spuszcza siekierę w sęk, zamiast o centymetr w lewo pomiędzy sęki.

— Słuchaj — wyprostowuje się Kostuś, ocierając czoło żywicą ręką — to jest do d... z takim rąbaniem.

Skłonny jestem przypuszczać, że słońce do pewnego stopnia trzyma sztamę z wszelkim ludem pracującym. Pod wieczór, gdy oczy ich nabiegają krwią od wysiłku, czerwieni się też solidarnie słońce. Nie potrzebuję chyba powtarzać, że o tej porze pniesosen nabierają koloru miedzi, tylekroć już wspomniano o tym w opisach pejzaży. Kałuża leśna jest czarna jak atrament, a tysiące pływających wierzchem igieł — podobne do tkwiących w porcie stateczków, na które się patrzy z wysokości samolotu. Butelkę z naftą zostawiamy jak zazwyczaj wetkniętą między szczapy postawionego sztabla, zabiera-

my piłę, siekiery; pusty dzban po zsiadłym mleku idzie do torby. Wracamy drogą i milczymy.

Pewnego ranka wyszliśmy nieco później na robotę. Przekroczyliśmy tor kolejowy, minęli pierwszy zakręt i... nagle — uderzyło nas w oczy spojrzenie dwóch latami samochodu, który stał na drodze, akurat obok stawianych przez nas metrów. Instynkt w czasach bolszewickich jest częstszym drogowskazem niżli kalkulacja. Nikt z nas się nie zatrzymał, nie uciekał, nie skręcił w bok, w las. Może tylko zwolniliśmy trochę kroku, a zresztą nie przemówili do się słowa. Przy samochodzie kręciła się grupka ludzi. Widać było i leśniczego, rozkraczonego nad rowem. Jakiś facet, który nas mierzył z daleka oczami, przeskoczył ten rów na drogę, wyraźnie oczekując naszego zbliżenia. Wtedy to Kostuś powiedział przez zęby: — Przepadłem, jeżeli zaczną badać dokumenty.

Wszyscy byli w cywilu, prócz jednego wojskowego w czerwonosinej czapce NKWD.

Ciężko jest iść po piasku. A samochód, mała sowiecka limuzynka koloru porannej kawy z mlekiem, patrzy jakby obliczał nasze kroki. I co komu takiego poranka ze śpiewu wszystkich ptaków krajowych? Nic. W głowie pustynia. Zbliżając się zauważyłem, że stawiany przez nas cztery dni temu sztabel rozebrany jest doszczętnie, a inne porozrzucane. Idziemy wolno, ale co pomoże? „Gdyby nie leśniczy — myślę — może byśmy minęli i poszli dalej; słaba nadzieja, ale by była. Tak nie ma żadnej”. Dochodzimy więc i zatrzymujemy się bezrad-

nie. Średniego wzrostu, młody, czarny facet w kurtce wskazał na nas palcem, zwracając się do leśniczego:

— To ci tu pracują?

Leśniczy, nie mrugnawszy nawet swymi białymi rzęsami, odpowiedział:

— Nie, to nie ci.

Już czarny enkawudzista otwierał usta, zapewne, by zadać nam z kolei jakieś pytanie, na które nie mogliśmy mieć gotowej odpowiedzi, gdy w tej sekundzie leśniczy go wyprzedził i wrzasnął na nas niezwykłym u niego głosem:

— Nu co stoicia! O której do roboty?! A później płacz, że małe zarobki! Do lasku Domaradzkiego jeszcze kilometr drogi, a oni tu stojon gęby rozdziawiwszy! Już! Poszli pracować! Ruszyliśmy jak stali, prawie w nogę, ominęli czarnego i nie oglądając, nie oglądając za siebie...

— A wy grażdanin lesniczyj — usłyszałem z tyłu głos enkawudzisty — co tak, jak za dawnych czasów? Po staremu ciągle na robotników krzyczycie, a? Niecharaszo. U nas tak do robotników się nie zwracają, u nas...

Nie oglądać się i nie zastanawiać. Tylko spokojnie, równo, prawie noga w nogę, topory jak przystało na ramieniu, na toporzyskach torby zjedzeniem, piła w ręku... ominąć kałużę, ot tak; już leszczyna, już zakręt drogi.

— Wyratował — mruknął Kostuś.

— Uhum.

Za zakrętem parów, rzeczka sobie płynie lasem, stary mostek. Ciagle spokojnie, bo co to nas dotyczy? Nic nie dotyczy.

— Gdzie to jest ten lasek Domaradzkiego?

— Tu zaraz — odpowiadam — na lewo w skos. Tam taki pagórek dogodny, widać zeń daleko...

Majora Domaradzkiego aresztowano i wywieziono na samym początku, a lasek jego włączono jak wszystkie do kompleksu rządowego, nazwa jednak pozostała. Teraz go rąbano. Kostuś wbił z rozmachem siekierę w pień, zrzucił kurtkę i spojrzał w niebo:

— Późno już. Szkoda zarobku. Dawaj!

Ale robota nie szła. Na pierwszym „prałacie” piła zaczęła się zaciskać.

— Może pójdziesz po naftę do naszego sztabla? — zażartowałem bez uśmiechu.

276

Kostuś też się nie uśmiechnął, ścisnął rączkę piły i ciągnął dalej.

— Nic z tego nie będzie — burknąłem, rzucając robotę.

W tej chwili z olchowego młodniaku na dole wyłonił się leśniczy. Szedł ciężko, przestępując powalone kłody. Zbliżył się jakby nigdy nic.

— Nu co, kiepsko chodzi?

— Nie możemy piłować, piłę zaciska, cała w żywicy, a naftę zostawiliśmy na starym miejscu.

— Ech wy, pilszczyki.

— A co to było, panie leśniczy, czego oni tam szukali?

— Co była... — przeciągnął. — Ktoś cości musieć chował po lesie, kto inny donosił, wiadomo jak teraz... — I nagle rzucił ze złością: — Co tam pytać „co było?”! Było, ropucha ich wie, co było! Zostaliście żywi-zdrowi? Zostali sia na swobodzie?! Nu i dziękujcia Panu Bogu.

Zawrócił i odszedł jak zwykle bez pożegnania.

Gdyśmy wracali tego dnia do domu, drogą biegł jeszcze wyraźny tor śladów samochodu.

— A ty jak myślisz — zagadnąłem, przerywając milczenie

— czego oni tam mogli szukać?

— Et, czy to nie wszystko jedno — odmachnął Kostuś.

Wiadomości 1949 nr 27 (170)

277

ODKRYWAM NIEZNANĄ WYSPE

Statek parowy „St. Helier” wypłynął z portu punktualnie o 1 po południu, biorąc kurs na SSW. Przez cały czas skłaniał się lekko na tribord, bo wiatr był z południo-wschodu. Słońce to wychodziło z jednego obłoku, to znów się chowało za inny, strzelając stamtąd promieniami, jakby to był nie obłok, a głowa świętego w aureoli. Morze pokryte świetlistymi plamami. Tłusta, nażarta mewa, ostatnia jaka pozostała, zawróciła z chwilą, gdy zaczął znikać ład. Wtedy Mr Smith wystukał o barierę fajkę, schował ją do kieszeni luźnej marynarki i oparł się o burłę.

Przez kilka godzin byliśmy pochłonięci morzem. Pod

chmurami miało ono kolor ciemnej akwamaryny, w słońcu — jasnej. Ktoś zwymiotował wprost na pokład. Przyszedł posługacz z wiadrem i szczotką. Po upływie trzech kwadransów Mr Smith zaczął ponownie nabijać fajkę tytoniem. Z lądu dogonił nas samolot. Leciał nad obłokami i gdy się z nich wyłaniał, był srebrny, jak aluminium. Minął kursem na zachód, zniknął, poleciał za ocean.

Statkiem kiwa. Bariera babordu idzie, idzie, idzie... głęboko w morze, i znów w górę, w górę wysoko ponad horyzont. Mdli od patrzenia na barierę.

Mr Smith podziękował komuś za ogień do fajki.

Dziwne, że dotychczas nikt nie splunął za burtę. Nawet bosman, otyły, młody człowiek, stojący na niższym pokładzie, nie uczynił tego, choć obserwuję go od dłuższego czasu jak oparty patrzy w zamyśleniu na fale. W palcach obraca papierosa, ale wciąż ociąga się z jego zapaleniem. Czasem ziewa.

278

Powietrze od dziobu jest przesycone jodem, solą, tlenem i zresztą wszystkim, czego tylko płuca zapragną. Daj Boże żyć jak najdłużej!

Hortensje i pelargonie

Najpierw ukazało się mgliste, nierealne pasmo na horyzoncie. Dopiero po dłuższym zbliżaniu się można było rozpoznać skały koloru świeżej rdzy, wyrastające z ciemnozielonego morza. Był to bardzo ładny kontrast. Wyspa okazała się zaludniona. Miasteczko piętrzyło się w górę szybami okien. Na molo samochody, dźwigi. W lewo zamek, najeżony starymi armatami. A nad portem różnokolorowych szalup z kiwającymi się masztami i rojem mew wystrzelał czarny obłok i choć prześwietlony zachodzącym słońcem, bardziej do szatana podobny niżli do czegoś innego; nie tylko dlatego, że czarny, z kształtu złowróbny; chmura raczej; na niepogodę. Jest zupełnie wyjątkowo pięknie na szerokim świecie.

W takich chwilach nie bardzo rozumiem ludzi typu Jana Frylinga. Przebywa między Himalajami i Szanghajem, między Chinami i Indiami, a pisze takie głęboko tęskne rzeczy o Lwowie i zaczytuje się Makuszyńskim. Ja osobiście jeszcze nie doczytałem Lechonia ze swych Wiadomości i zaczynam się obawiać, czy znajdę na to dosyć czasu na tej wyspie. Hortensje tu rosną wielkości kapuścianej głowy, a czerwone pelargonie wprost ze skał, jak we Włoszech. Nikt nie krzyczy: „Panie! Dokąd się pan pcha?!” Miliony ludzi na pewno mi zazdrości, a ja miałbym marzyć, żeby powrócić? Do czego? Do okazywania dokumentów?! Niedoczekanie.

Wróble i ludzie

Na tarasie hotelowym podczas rannego śniadania spostrzegam tylko Mr Smitha. Nie unosząc głowy znad gazety i najwidoczniej nie przerywając czytania, mówi do kelnerki, która stawia filiżanki:

— Good morning.

— Good morning, sir — odpowiada, wyglądając kogoś za balustradą tarasu.

— Ładny dzień dzisiaj.

— Oh yes, bardzo ładny.

279

Oto dwoje ludzi wymieniło ze sobą szereg dźwięków w treści idealnie bezmyślnych. Gdyby tych ludzi było więcej, powstałby niewątpliwie rodzaj gwaru.

Incydent ten nasunął mi raptem obraz ulicy przed stacją towarową w Wilnie. Po obu jej stronach rosły szpalerem przycięte topole. Co wieczora zbierała się w koronach masa wróbli. Ponieważ każdy z nich coś mówił, wytwarzał się wielki gwar, nawet hałas nad głowami przechodniów, którzy wszelako nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Raz, chłopcem jeszcze, przystanąłem z zadartą głową; trącił mnie wtedy robotnik niosący worek zboża i zamiast przeprosić, powiedział: „Stanął! Jak wrona!”

Czemuś mi to zapadło w pamięć. A później, gdy już studiowałem ornitologię, bacznie wsłuchiwałem się w świergot ptasi. Jeżeli chodzi o wróble, rozróżniam ogromną ilość dźwięków. Do tego trzeba zapewne dodać takie, które są uchwytnie tylko dla słuchu ptaków, a których ucho ludzkie w ogóle nie chwytą. Ilekroć jednak zwracałem komuś uwagę na rozmowy prowadzone przez ptaki, w stu wypadkach na sto spotykałem się ze stosunkiem pobłażliwej wyższości: „Zabawne są te miłe ptaszki, które krzyczą bez żadnego sensu, podczas gdy każdy dźwięk mowy ludzkiej ma swój sens i wagę”. Wcale nie jestem pewien tej różnicy. Na przykład wymiana dźwięków pomiędzy Mr Smithem i kelnerką na pewno nie zawiera głębszej treści, niż rozmowy prowadzone, powiedzmy, w gałęziach przyciętej topoli. Zresztą zauważył to przede mną już Tolstoj, który pisał w *Zmartwychwstaniu*:

.....ani Sofia Wasiliewna, ani Kolosów wcale nie interesują się wzajem, a jeżeli rozmawiają, to jedynie dla zaspokojenia fizjologicznej potrzeby ruszania mięśniami języka i gardła”.

Pogoda i morze

Na horyzoncie widać małą wysepkę. Znad tej wysepki wylania się długa ciemna chmura i wymiana zdań podczas śniadania okazuje się zupełnie już do luftu. Chmura zabiera wkrótce pół nieba. Mewy na jej tle stają się podobne do prawdziwych płatków śniegu, do tego stopnia kontrastuje biel ich piór z granatem chmury. Zrywa się wiatr.

Pogody nigdzie teraz nie ma. Powiadają, że to tylko nad morzem, w rzeczywistości jest tak wszędzie. Jeżeli poświeci

280

rano słońce, do południa ludzie zwykli już mówić: „Uf, jak duszno; zbiera się pewno na burzę”. Istotnie przychodzi burza. Kiedyś, pamiętam, bywały burze krótkie, z akompaniamentem tzw. letniej ulewy, obfitej, przejściowej; potem następowała tęcza i znów pogoda. Nie wiem dlaczego teraz to się zmieniło. Tęczy nie widziałem chyba od dziesięciu lat. Po każdej burzy ochładza się i pada długi jesienny deszcz. Gdy w końcu wyrzy niespodziewanie słońce, do południa ludzie mó-

wią: „Ależ praży! pewnie będzie burza”. Naturalnie, że burza przychodzi i później znowu leje deszcz i tak da capo. A przecież pamiętam inne czasy: na przykład w Gudogajach, latem 1915, słońce piekło całe tygodnie bez przerwy. Robiła się nawet susza. W Ostrowcu, w Oszmianie, wszędzie, postanowiono odprawić nabożeństwa na intencję deszczu. Nabożeństwa się odbyły, deszcz nie spadł, susza trwała dalej, i ludzie nabrali tym większego przekonania, że o deszcz trzeba się zwracać tylko do Pana Boga, bo do kogóż innego? To były czasy sprzed i podczas pierwszej wojny. Wydaje mi się, że po jej niefortunnym wyniku deszcze stały się bardziej dokuczliwe. Ścieżki przemytników, wzdłuż skalistych urwisk i dzikich zatok, ścieżki, po których chodzą tylko turyści, pozdrawiając się wzajemnie: „Ładna pogoda dziś”, rozmiękły i zrobiły się śliskie. W szczelinach skalnych łopuchy, których liście sięgają półtora metra w średnicy, zasłaniają potoki. Wody nie widać, ale słychać jak bulgocze, skacze po głazach do morza. A morze marszczy się tylko i sinieje.

Stojąc w dziewiczych zaroślach jeżyn, głogu, wilczej jagody, berberysu, podszytych kolczastym krzewiem i tak splątanych powojem i bluszczem, że jeden chyba tylko strzyżyk, zwany „wole oczko”, potrafi się przez ten gąszcz przedostać, stojąc na południowo-wschodnich urwiskach wyspy, nad marszczącym się morzem, daremnie jest wypatrywać czegoś innego, niż tylko skał, mew i samolotu. Raz na dobę statek; bardzo rzadko barka rybacka. Czasem jastrzęb. Trochę dzikich gołębi i przelotne ptaki, schowane w kolczudze roślin, które wołają: „kuli-kuli, kuli-kuli”...

— Widzisz kontynent?

— Nie.

— Nie widzisz Francji?

— Nie.

— O tam, tam... Heeeen, hen...

281

„Hen-hen” widzę płaszczyznę morską, bez żadnej miary rozciągniętą przestrzeń, która nie posiada granic na tym globie, która jest mokra, słona i wiecznie ruchliwa, która wydaje się być piękna, która odbija słońce, nad którą ciągną chmury i obłoki o fantastycznych kształtach, ale — kontynentu nie widzę.

— O, tak jak mój palec... Widzisz?

Widzę wyciągnięty palec ludzki, ze znajomymi mi nitkami żyłek, ale kontynentu nie mogę dojrzeć.

Przeźrenie i charakter

Poszedłem pewnego dnia w odwiedzinach do Mr Smitha w Pleinmont. Kiedy wchodziłem w to, coby się po naszymu zwało „opłotki”, przypomniał mi się Cziczikow, który zajechawszy do jakiejś „usad”by” na wzgórzu, nie mógł się powstrzymać od wykrzyknika, powtarzanego zresztą przez każdego gościa:

„Boże, jak tu prostomo!”

Ze wschodnich przestrzeni powstała jeszcze jedna legenda, mianowicie legenda o rzekomym wpływie przestrzeni na

charakter ludzki. Powiadano np., że na kształtowanie tzw. „duszy” rosyjskiej, „duszy na rąspaszku”... w ogóle „szerokiej” duszy, wpłynęła właśnie wielka, szeroka przestrzeń, na którą ci ludzie patrzyli od dziecka. Wydaje mi się jednak, że niech się schowa widok „prostorow”, rozpościerających się z gogolowskiej „usad'by”, wobec tej przestrzeni, jaka się rozciąga tuż, spod werandy Mr Smitha. Nie porównać jej! Nie porównać do przestrzeni, na którą wystawione są niziutkie rzędy rybackich domków w l'Eree, w Les Araquets, w Roque Poisson... Patrzą ich duże okna jak słońce co wieczora ucieka za ocean; patrzą bez zdziwienia, przywykłe do tego, że za parapetem i szybą izby rozpoczyna się od razu przestrzeń, która nie kończy się... Nie kończy się aż w Ameryce!

To chciałem tylko powiedzieć, że od patrzenia w taką dal można wpaść i w zadumę, i w tęsknotę, a chcąc można zaciągnąć bardzo szeroką i zaunywną i nawet kto by się upierał, wcale burlacką piosenkę. Do tego niekoniecznie trzeba mieszkać nad brzegami Wołgi. A czy nie jest tak samo na każdym skraju morza, stepu, pustyni? Bo to są rzeczy umowne. Mr Smith siedzi z nogami na balustradzie, nieruchomy, patrzy na zachód, a gdy wchodzę na jego werandę,

282
gdzie begonie zlewają się z odbiciem słońca na morzu, mówi mi:

— Hello!

Nie powie np.: „Ech, życie”...

Bo takie jest właśnie życie. A reszta — wymyślona przez literatów.

Commonwealth był zawsze większy od imperium rosyjskiego. Francuzi od stu przeszło lat władają wszystkimi piaskami Sahary i taką przestrzenią dziewiczych puszczy, przez które nie to, że trojką, a samolotem jadąc i to się znudzi! St. Exupery latał i latał poprzez Hiszpanię, Dakar, ocean do Ameryki Południowej i z powrotem, miał pod swymi skrzydłami pół kuli ziemskiej, a czy jego filozofia nabrała czegoś z tych przebytych szerokości? Niczut! Mógłby to samo co napisał napisać w każdym narożnym bistro.

Nie wiem, czy może być coś bardziej bezpłodnego niż doszukiwanie się różnic organicznych między Europejczykami. Hitlerowi, jak wiadomo, jego rasizm nie bardzo się udał.

Jest taka sztuka sceniczna. Rodzina restauracyjnych grajków. Żona za wiedzą męża jest kochanką skrzypka, który ze swej strony dobiera się do córki. Matka godzi się na to — by nie utracić kochankę, ojciec — by nie utracić członka orkiestry. W zaplutej knajpie zjawia się bogacz, który rzuca pieniądze, i tamci na czworakach zbierają je między plwocinami i niedopalkami. Człowiek ten wyzwala córkę z tego zaplucia i daje jej warunki ludzkiego życia, ale dziewczyna chodzi umyślnie goła przed portretem matki swego wybawiciela, a później opluwa ten portret, aby poniżyć matkę tamtego i jego, i siebie samą, i w ogóle wszystko razem jeden wielki „plewok”. Typowo rosyjska? — Broń Boże, arcyfrancuska, naj-

większego dziś francuskiego autora dramatycznego Jean Anouilha.

Naturalnie fachowcy powiedzą: „A bo to, a tamto... A pan nie rozumie...” Ja wiem. Bolszewicy też mówią: to i tamto... I że kułacka natura nie może zrozumieć ich dialektyki. To wszystko są tylko rzeczy umowne. Dostojewski, podobnie jak St. Exupery, nie potrafił opisać ani jednego pejzażu, nie tylko „szerokiego”, ale w ogóle; poza tym, jeżeli o Dostojewskiego chodzi, był raczej „głęboki” niżli „szeroki”, itd. itd. Wszystkie okropieństwa carskich i pruskich koszar nie umywają się do straszliwych tradycji francuskiej Legii Cudzoziemskiej, które

283
nb. przetrwały w najlepsze i dalej trwają w naszych czasach. Tylko że o tamtych był zwyczaj pisać, a o tych jest zwyczaj milczeć. Jeżeli ktoś wspomni, trafia to do literatury brukowej. Tak, w innej dziedzinie, np. zbroja rycerska należy do tradycyjnych rekwizytów wielkiego malarstwa, a zbroja na czołgu do ilustracyjnego kiczu. Taki zwyczaj. Anglicy stoją w kolejce po mięso — to oznaka dyscypliny społecznej; Rosjanie stoją w ogonku po chleb — to oznaka azjatyckiego rabstwa. Licho wie dlaczego, ale inaczej się nie pisze.

Mr Smith podejmuje mnie kolacją, z gościnnością jakiej dawno już nie zaznałem w żadnym polskim „fiacie”. Widać, ma pieniądze.

Narodoznawstwo

Doczytałem artykuł Lechonia! Bardzo piękny. Siedząc nad urwiskiem, w pobliżu strumienia, ukrytego w liściach łopuchu. Strumień wezbrał po deszczu, miło szemrał. Może dlatego skojarzył się w mojej wyobraźni z tym artykułem. Artykuł wydał mi się jak strumień, tylko bardziej swojski, pięknie zarośnięty rodzimym mchem, zresztą taki sam jaki szemrał, gdy byłem dzieckiem, i szemrał, gdy wyrosłem i szemrać zapewne nie przestanie podobnymi słowami pod najbardziej siwą starość. Te wszystkie klasyfikacje i definicje polskości, te same jej wady i zalety, gorzej, lepiej scharakteryzowane, należą wszakże do tradycji. Nie?

Gdy jednak podejść do tych tematów nie z tradycją na ustach, ale ze skalpelem w ręku, każda z poszczególnych kwalifikacji w najdoskonalszym stopniu dotyczyć by mogła każdego innego narodu europejskiego.

Tak samo jest z naszą historiografią. Wszystkie te romanizmy i odwagi, i szafowanie krwią, i przelewanie jej za innych, wszystkie te wielkopańskie tolerancje... ależ przecie to samo mówią o sobie inni!

Cała powojenna literatura gaulle'istów to melancholijne wspominki, że byli „envers et contre tout”, to utyskiwanie, że rzucano ich na stracone pozycje, że kazano im przelewać krew za innych. Goebbels chciał przerobić charakter Niemców, zbyt, jego zdaniem, romantycznych i tolerancyjnych, i wytykał im w Das Reich wady, które my wytykamy sobie. Anglicy utyskują, że są za sentymentalni. Tego jeszcze brakowało, że Krasną Związką, oficjalny organ armii czerwonej

uskarża się, że komsomolcy ujawniają zbyt mało nienawiści do wrogów, że są — znaczy — za tolerancyjni.

W czasie ostatniej wojny kapitan pewnego statku wielorybniczego, walcząc z krążownikami niemieckimi, gdy mu urwało obydwie nogi, kazał wyrzucić siebie za burtę, by nie odstraszać załogi od dalszej walki; człowiek ten był Norwegiem, chociaż przed r. 1940 nie słyszało się, by Norwegowie w ogóle umieli strzelać do czego innego niż do wielorybów. Flota rosyjska pod Cuszimą w r. 1905 poszła cała na dno, a w ostatniej wojnie pancernik „Bismarck”, gdy mu już rozwalono wszystkie działa, nie opuścił flagi i strzelał symbolicznie z karabinów maszynowych, dopóki całych sześciu tysięcy załogi nie pochłonęło morze. A nikt przecie ani Rosjan, ani Niemców, ani Norwegów o narodowy, organiczny „instynkt samobójczy” nie pomawia. Nie pomawia się o to samo nawet Japończyków, jedynych, którzy akt samobójstwa włączyli formalnie do swej taktyki wojennej. Instynkt samobójczy nie występuje również u Polaków. To tylko nasza maniera, by w ten sposób utyskiwać. Przykładów odwrotnych można by cytować bez końca. Ale niepodobna się licytować w przykładach. Bo życie jest jak talia kart doskonale przemieszana. A cóż to są przykłady z tego życia w argumentacji polemicznej? To są pojedyncze karty umiejętnie z talii wyciągnięte, z pominięciem innych... Tendencyjnie podtasowane, a nieraz chytrze zgrupowane jak „nakładka” w hazardowym „chemin de fer”. Wszystkie narody grają, nie tylko o politykę, ale o każdą dziedzinę życia między sobą, i wszystkie oszukują. A nie ma takiego prawa, które by powiedziało: „Stop! Proszę porządnie przetasować, rozdać na nowo i grać uczciwie!”

Jednostronność wynika najczęściej nie z braku erudycji, ale z jej nadmiaru w pewnym, określonym zakresie. Są tacy, którzy zawodowo piszą o — literaturze. Zawsze czytam i nigdy nie wierzę.

Dom Wiktora Hugo

Goethe powiedział: „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen”. Niewątpliwie wyspę tę można by nazwać „Land-em” Wiktora Hugo. Gdy Napoleon III dokonał 2 grudnia 1851 swego „coup d'etat”, Hugo wyemigrował i osiedlił się na tej wyspie. Tu przebył na emigracji prawie lat dwadzieścia. Tu napisał największe swe dzieła. W tej chwili

Hugo czczony jest oficjalnie po tamtej stronie bolszewickiej żelaznej kurtyny jako wielki człowiek postępu, obrońca uciśnionych, nieomal prekursor stalinizmu.

Własny jego dom ma trzy piętra. Nie był to jednak „boarding-house”. Hugo nie wynajmował nikomu i zajmował wszystkie piętra na własny użytek. Na pierwszym... Ale wyliczanie wszystkich jego pokoi zajęłoby zbyt dużo miejsca. Wystarczy chyba dla ogólnej charakterystyki zaznaczyć, że panuje w nich czarne rzeźbione drzewo, boazerie, srebro, obrazy i chińska porcelana. Niektóre rzeczy są potwornie niegustowne, ale

wszystkie bardzo drogie. Dywany, mahonie, inkrustacja, lustra, sufit wyłożony porcelaną; biblioteka. Piękny ogród i morze. Na ostatnim piętrze pracownia, której ściany obite są tkaniną raczej grubą. Widziałem zupełnie podobną tkaninę w Markuciach wileńskich, w domu pani Puszkina; wszystkie ściany i sufity wyłożone były materiałem tkanym ręcznie jeszcze przez chłopów pańszczyźnianych. Nawet z koloru były podobne do hugowskich. Prawdopodobnie robią to lata, spłowienie, kurz, zmurszałość.

Okna pracowni Wiktora Hugo wychodzą na morze. Hm. Istotnie łatwo jest zrozumieć poetę w jego własnym domu. I jakże go rozumiem! Gdy tak stoję na balkonie i raptem deszcz nie pada, a pod błękitnym niebem faluje błękitniejsze od niego morze, a w ogrodzie Wiktora Hugo dokwitają georginie, wydaje mi się nawet przez chwilę, że gdyby na moim wygnaniu dano mi do zamieszkania taki pałac... No, jeżeli z braku talentu nie potrafiłbym napisać tak wielkich rewolucyjnych rzeczy jak Hugo, to w każdym razie byłyby lepsze od tych kontrrewolucyjnych, które piszę teraz.

W moim Moulin St. Martin śmierdzi naftą od piecyka w kuchni. Wiatr mocuje się z haczykiem przytrzymującym otwarte okno. Na umywalni ze sztucznego marmuru stoją: ogromna fajansowa miednica i ogromny fajansowy dzbanek w ogromne niebieskie pagody; na dole takież fajansowy nocnik również z chińską pagodą. Ale nie jest to autentyczna chińska; czyżna z domu Wiktora Hugo. Podobne naczynia kupowało się przed r. 1914 we właściwych sklepach całej Europy, a też w Polsce i w Litwie. (W Wilnie w sklepie Odyńca przy ul. Zamkowej.)

Nie odczuwam jednak nostalgii do ciągnięcia wody z podwórka.

286

Sprawa ustępu

Na tym podwórku mieści się też ustęp. Widziało się ich w życiu naturalnie mnóstwo. Jeden szczególnie przychodzi mi teraz na pamięć. Mieszkaliśmy z Karolem Zbyszewskim na przedmieściu Aleksota w Kownie, u pewnego aptekarza. Do ustępu wchodziło się wprost od drzwi tzw. paradnych. Była to ubikacja przestronna. Boczne ściany wypełnione drewnianymi półkami, na których stały słoiki z konfiturami i butelki z sokiem, przeważnie czernicowym na cukrze. Nad siedzeniem wisiała reprodukcja przedstawiająca gondolę sunącą po Canale Grandę w Wenecji. Aptekarz był człowiekiem średnio zamożnym.

Ustęp w Moulin St. Martin posiada kilka cech zbliżonych.

W górnej części drzwi ma wycięty otwór w kształcie serca. Wewnątrz leży dywanik, a na ścianie oleodruk przedstawiający wpłynięcie pierwszego kołowego jeszcze statku parowego do portu w Cherbourg. Komin na statku przypomina wileński parowiec „Grodno”, kursujący do Werek po Wilii. Ogromny pajak zawieszony w lewym kącie u góry, na pajęczynie, w dnie pogodne prześwietlonej promieniami poprzez dziurę wy-

bitą w tynku, był jednak taki sam, jak we wszystkich ustępach podwórkowych całej Europy.

Ziemia i niebo

A w nocy pieją koguty. Któryś naturalnie zaczyna pierwszy, na przykład u Mr Smitha w Pleimont, i później głos tych kogutów od następnego do następnego przechodzi szybko, a że wyspa jest mała, więc sędzę, że w pół godziny dociera do Lancess na najdalszej północy. Można się przewrócić na drugi bok. Natomiast ptaki na drzewach wstają później.

Robią dużo hałasu, zwłaszcza szpaki i drozdy.

Adam Mickiewicz nie miał pojęcia o przyrodzie Litwy. Pisał, że rosną tam buki, albo że biegają jelenie, których na Litwie nigdy nie było i nie ma (sztucznie rozprowadzone w Puszczy Białowieskiej). Że jastrząb, który trzepocze się w miejscu nad polem („jak motyl na szpilce”) czyha na zająca, podczas gdy taki jastrząb unieść może zaledwie mysz. Niedawno p. Maria Danilewiczowa napisała, że pokrzywa rośnie nad rzeką, a zimorodki grasują na Biebrzy. Są to rzeczy niemożliwe: zimorodek trzyma się tylko wód prędkich, przezroczystych, o 287

typie górskim, nigdy powolnych i błotnistych. Ptak, którego widziała, nie był zimorodkiem.

Dawno zauważyłem, że w opisach przyrody największą rolę gra koloryt i dobór słów, a najmniejszą — prawda. Gdybym napisał wyżej zamiast „szpaków i drozdów”, „wilgi i skowronki”, i tak by nikt nie zauważył.

O szóstej rano jest śliczna pogoda. O dziewiątej siadam do łodzi motorowej, która ma płynąć na wysepkę wielkości zaledwie 320 akrów. Przy pełnym jeszcze słońcu jest bardzo duża fala. Później zjawiają się chmury. Słońce naturalnie chowa się za nie, jakby na to czekało. Robi się mglisto i mdło w dołku. Bryzgi wody lecą znad burty, łódź zapada się i wyraza, zapada i znów wynosi, skacze, bije dnem o fale jak o kamienie, przechyla się, ginie w pianie, wyłazi zmoczona. Wszyscy trzymają się kurczowo za burte, a refleks od wody przydaje ich twarzom odcień niezdrowej zieleni. Łatwo się domyślić, że pasażerowie w takich okolicznościach walczą z myślą o śmierci i oczywiście nigdy się do tego nie przyznają. Ponieważ i mnie strach oblatuje, więc rozumiem ich doskonale.

Z doświadczenia wiadomo, że najbogobojniejszy nawet człowiek, gdyby mu zaproponować wybór natychmiastowego nieba albo przedłużenia życia, wybiera zawsze życie. Bo życie jest jednak piękne nawet w niepogodę. I teraz na przykład: zupełnie niespodziewanie zrywa się z fal dzika kaczka. Rozpościera zmęczone skrzydła, leci nad białą pianą robiąc wrażenie czarnego na niej krzyżyka; znika w zamgleniu.

Poza tym ogarnia mnie wątpliwość, czy człowiekowi istotnie może się należeć ziemia i w dodatku jeszcze niebo. To coś jak dwa grzyby w barszczu. A co jeżeli dla ludzi przeznaczona jest tylko ziemia, a niebo wyłącznie dla aniołów?! Na szczęście wyspa się zbliża. Na pierwszy rzut oka wydaje się bezludna. Ma jednak port i moło. Później hotel, oberżę i snack-

bar.

Gdy się to wszystko minie, ścieżka prowadzi wśród gęstych krzaków jeżynowych, na pastwisko prawie takie jak u nas. Z kolei droga polna i raptem, za pierwszym pagórkiem, dziwo: już tamta strona! Jak okiem sięgnąć biegną, biegną granatowe fale, biegną na piasek, rozpryskują się, jeszcze kilka kroków pełzną rozplaszczone i zaraz się cofają. Gdy się długo stoi i wpatruje w tę grę, zawsze mam ochotę zapytać: po co to? A plaża het, pusta, piaszczysta, usiana miliardami

288

przepięknych muszelek. Dalej przylądek 1 znowu koniec wyspy. Tylko morze chodzi tam i z powrotem. Wrażenie trochę jak z bajki, ale jak każda bajka, jest tylko złudzeniem. Między pastwiskiem i plażą stoi drewniana chatka. Nie ma jednak kurzej stopki. Sprzedają w niej herbatę, herbatniki i dlacegoś grzebienie z plastyku. A widok pustki wywołany jest wyłącznie okolicznością, że nasza łódka przybyła pierwsza. Za chwilę podpłyną liczne następne i po plaży rozejdą się turyści. W chatce nastawia się już radio. Gdy się pije herbatę, nie słychać szumu morza, bo zagłusza je śpiewaczka udająca głos kaczki lub miauczenie kota. W tej chwili dostrzegam Mr Smitha w grupie nowo przybyłych. Z daleka już uśmiecha się do mnie i wymachuje ręką, w której trzyma fajkę. Nie mogę pohamować uczucia szczerzej niechęci, odwracam się i tak patrzę jakbym go nie zauważył.

Ja wiem, że wszyscy piszący utyskują na wulgarność powszechnego dnia, według wzorów niemal kaligraficznych. To jest też jedno wielkie kłamstwo. Skoro jest herbata, znaczy, że ludzie chcą, by była. Skoro jest kakofonia w radio, znaczy, że większość woli ją nawet od szumu fal. Gdyby nie wolała, toby budkarz nie nastawiał BBC-Light na niekorzyść własnego przedsiębiorstwa. To jasne. Skoro tłum jest właśnie taki, znaczy to, że chce być taki. Demokracja zaś żyje w tłumie, a nie w orlich zamkach, zawieszonych u skał. Nie można więc głosować za demokracją i wiecznie przeciwstawiać się gustom większości. To jest zakłamanie. Grzeszyć na ziemi i zgłaszać jednocześnie pretensje do nieba?!

Ale ja osobiście jestem szczerzy: zawsze głosowałem za kontrrewolucją.

Wiadomości 1952 nr 47 (347)

289

GDY BYŁEM PRZEZWANY MAKUSZYŃSKIM

Dziwi mnie, że śmierć Kornela Makuszyńskiego nie odbiła się głośniejszym echem. Swojego czasu zaliczał się przecie do najpopularniejszych wśród drukowanych nazwisk w Polsce. Był też jednym z tych, chyba nielicznych, literatów w kraju, którzy ani nie witali sowieckiego najeźdźcy w r. 1945, ani nie przezywali go „wyzwolicielem” w latach następnych. Człowiek, który wolał milczeć niż „ratować substancję narodu” za cenę kompromisu z bolszewikami, zasługuje, choćby wskutek oryginalności swego stanowiska, na pewne wyróżnienie. Jest tylu znawców literatury niepodległej Polski i tylu lu-

dzi, którzy Makuszyńskiego znali osobiście, że mogę tylko żałować, iż nie zaliczając się ani do tych, ani do tamtych nie potrafiłbym powiedzieć o nim nic bardziej godnego uwagi. Natomiast przyszło mi do głowy, by wspomnieć o pewnym osobistym przeżyciu z okresu, gdy Makuszyński jeszcze żył.

Było to w bardzo dawnych i bardzo dobrych czasach.

Zdaje się, że istniało kilka połączeń bezpośrednich Warszawa-Gdynia, a pociągi pospieszne biegły zarówno lewym, jak prawym brzegiem Wisły. Jechałem prawobrzeżnym; odchodził z Dworca Głównego wieczorem. Przedział drugiej klasy był przepelniony. Pasażerowie, z których żaden na świecie nie zalicza się nigdy do tłumu, patrzyli wilkiem na bezosobowy „tłum”, który pchał się wciąż korytarzem. Każdy z nowo przybyłych, jak na komendę przechylony trochę ku tyłowi, z walizką w wąskim przejściu trzymaną poniżej brzucha i podpieraną kolanem, z drażniącą niedyskrecją zaglądał we wszy-

290
stkie okna przedziałów. Był to lipiec i okres wakacji. Zastanawiało mnie zawsze, ile gazet w kioskach „Ruchu”, ile pomarańcz, lemoniady i czekolady pozostaje nie wykupionych tylko dlatego, że w przepelnionych pociągach ludzie, którym udało się uprzednio znaleźć miejsce, boją się je opuścić czy chociażby wstać na chwilę. Ja swoje miejsce miałem tuż przy drzwiach na korytarz. Naprzeciwko znalazł się przypadkowo były naczelnik wydziału z Wilna. Rozmowę zaczęliśmy nie od pogody, jak to w Anglii bywa, ale od wymyślania na tłok; później przeszliśmy na temat wspólnych znajomych, przerywając sobie takimi słowami jak: „Niestety...”, albo: „Sam pan widzi przecie...”, skierowanymi do otwartych drzwi, w których coraz to ktoś przystawał i pytał o wolne miejsce. Mówiliśmy więc o karierach, jakie startując z Wilna, porobili Wiktor Piotrowicz, Władysław Karwowski czy Paweł Jankowski... A co słyhać o tym, albo o tamtym jeszcze?

— Skoro już raz o Wiktorze mowa — zagadnął naczelnik — co się stało z takim Wiktorem Bibiło, który był niegdyś bohaterem incydentu granicznego z Litwinami, a ostatnio dowódcą konnej policji? Taki szykowny zawsze na swym kasztanie?...

Chciałem właśnie odpowiedzieć, że widziałem go, zdaje się, w Lidzie (obecnie znalazłem jego nazwisko na liście wymordowanych w Ostaszku), gdy raptem w drzwiach stanęła śliczna i młoda panienka ze średniej wielkości walizką w ręku.

— Przepraszam, czy... — i z wyrazem rozczarowania powiodła błękitnymi oczami po wypchanym przedziale.

Na głowie miała zgrabny kapelusik z odrzuconą w tył woalką, letni zakieciak włożony na letnią sukienkę i białe pantofelki na gołych nogach. Później już, gdy starałem się opisać sylwetkę tej pasażerki, żona moja załamała ręce: jak można wkładać kapelusz z woalką do białych pantofli na gołe nogi!... Ale to było o wiele później; natomiast wtedy okazało się, że właściwie jest jeszcze jedno miejsce tuż przy mnie. To znaczy,

gdy się posunę, uciskając nieco starszą damę, która wypełniała półtora. Pomogłem szybko ułożyć walizkę na górze, udając, że nie dostrzegam ponurych spojrzeń współpasażerów. Dziewczyna zdjęła kapelusik i umieściła go na siatce. Włosy miała jasne, przeświecające złotem, koloru, którego nie potrafi nigdy podrobić żadna farba fryzjerska, żaden zabieg

291
utleniający. Gdyśmy się wreszcie usadowili, zapomniałem już, o czym rozmawiałem z naczelnikiem wydziału i zapytałem go w roztargnieniu:

— Dokąd właściwie pan jedzie?

— Do Gdyni naturalnie.

W tej chwili pociąg ruszył. Zawsze przyjemne uczucie wolnego przesuwania się wzdłuż peronu.

— A pan dokąd? — spytała moja nowa sąsiadka, przechylając się i zaglądając mi poważnie w oczy.

Skąd raptem wiedziałem, że zmartwię ją, gdy powiem, że wysiadam w pół drogi? Ale nie chciało mi się wyznać, że jadę tylko do Działdowa.

— Ja... — przeciągnąłem w odpowiedzi i zapatrzyłem się na nią.

Spostrzegłszy ten mój odruch, naczelnik wydziału z rezygnacją rozwinął gazetę i zaczął czytać.

Istotnie jechałem do Działdowa w celu napisania cyklu artykułów porównawczych. Tylko porównanie stwarza wiedzę. Chodziło więc o przekonujące zilustrowanie zacofania naszej biednej wsi białoruskiej przez zestawienie z kulturą wiejską b. zaboru pruskiego.

Zapałki rozcinane dla oszczędności jako pogładowy wymiar nędzy poleskiej, który przeszedł do literatury, a z niej do historii dwudziestolecia, należały oczywiście do uogólnień niezbyt trafnych. Kowale wiejscy robili doskonałe zapalniczki, a drzewa było tyle, że w piecach ciągle podtrzymywano żar. Oszczędność na pokrajanych zapałkach była więc kroplą w budżecie. Ale ogólna bieda była duża, czy też, po urzędowemu: stopa życiowa — niska. Ludzie srodze narzekali.

W imię sprawiedliwości trzeba dodać, że dla uzupełnienia obrazu brakowało porównania też ze stroną — przeciwną...

— Michał Koriakow opowiada, jak w tym samym czasie pod bolszewikami chłopci w potołstojowskiej Jasnej Polanie odmierzali chleb łuczywem i zatłukiwali własne dzieci, gdy się okazało, że nadgryzły go z głodu. Jewgienija Dostojewska opisuje jak w r. 1937 zetknęła się w Marynsku na Syberii (gdzie zesłano jej męża do łagru) z pięcioletnim chłopczykiem, który nigdy nie widział jajek i słoniny i nie wiedział, że to sieje. Było więc u nas źle, ale nie tak źle.

292

Odbolszewizować tzw. ziemie wschodnie, gdziekolwiek propaganda sowiecka pasożytowała na niezadowoleniu ludności, było łatwo. Na naszą stronę zbiegali ludzie z tamtej, i wystarczyło ich puścić od wsi do wsi, by opowiadali prawdę. Czytelnictwo gazet wśród naszych chłopów prawie nie istnia-

ło. Tego więc rodzaju forma ustnej propagandy nie tylko zastąpiłaby nie istniejącą, ale też byłaby wielokrotnie skuteczniejsza. Ewentualnych agentów sowieckich dałoby się zdemaskować i unieszkodliwić w mig. Ale na przeszkodzie stało przede wszystkim wojsko w zupełnie maniackiej obawie szpiegów o zdradzenie tajemnicy jakiegoś baraku, nazwiska kapitana, czy numeru batalionu, tj. ruszczy, o których i tak wszyscy wiedzieli w okolicy, a które przestały być tajemnicą wojskową już od czasów Napoleona! Poza tym, zachodniackie kulturtragerstwo, które wciąż bało się wpływów „Wschodu”, „białorutenizacji”, „ukrainizacji”, „rusyfikacji”, często bardziej niż — bolszewizacji. Był przecież taki starosta, który podczas wyborów popierał komunistów, byle przeciw Ukraińcom, Białych Rosjan odstawiano ciupasem do Gdańska, niektórych zbiegów przepędzano z powrotem do Sowietów, innych wsadzano do mamra, odmawiano im obywatelstwa i prześladowano prawosławie wzdłuż granicy sowieckiej. Robiono u nas „Zachód” od ochłapania chaty białoruskiej wapnem począwszy, aż do przemianowania nazwy wsi Cary na Wieś 3 Maja... Można by zatem powiedzieć, że nie było tak źle, ile — głupio. A jednocześnie... co tu ukrywać! Warszawa mniej się różniła od Paryża niż wieś spod Mikaszewicz od wsi spod Działdowa.

Tak więc jechałem do Działdowa, dokąd miałem przybyć około trzeciej w nocy. I podczas tej właśnie podróży zdarzyło się owo spotkanie.

Sceptycy, którzy nie wierzą w miłość od pierwszego wejrzenia, powinni by byli nas, tzn. przygodną pasażerkę i mnie, zobaczyć tej nocy na korytarzu. Staliśmy oparci o barierę okna, do połowy zresztą opuszczonego, skąd ciągnęło świeżością lata i węglowym pyłem parowozu. Człowiek, który często podróżuje, gdy się znajdzie znowu w pociągu, ma wrażenie, że nigdy nic innego nie robi, i że to nie jest „znowu”, ale bez przerwy: jedzie, jedzie... A pociągi mieliśmy dobre w Polsce.

293

Wyszliśmy na korytarz dlatego, że tymczasem opustoszał, a w przedziale dusznym i zaspanym niepodobna było rozmawiać o tym, o czym chcieliśmy. O jakich rzeczach mówiliśmy w ciągu kilku godzin, nie potrafiłbym sobie w żaden sposób przypomnieć. Nawet nie wiem, kiedy się dowiedziałem, że ona jedzie do Gdyni. Poza tym wszystkie sprawy konkretne wydawały się nieważne. Ani imię i nazwisko, ani stałe miejsce zamieszkania. Ani wiek, ani zapatrywania społeczno-polityczne. Wiem tyle, że powstały jakieś zagadnienia stokroć ważniejsze od tych, które ludzie zazwyczaj za ważne uważają. Wspomniany wiatr o rozcieńczonym zapachu dymu i nocnych pól wpadał w odstępach dosyć regularnych, drząc następnie w jej włosach, ale ani on, ani brzuch konduktora z latarką, który przepychał się kilkakrotnie za nami, nie potrafił zerwać choćby na chwilę tej więzi, która nas nagle oplatała. Rozmawialiśmy i na „ty” i na „pan” i „pani”, zresztą nie przestrzegając zbytnio gramatycznej formy zdań. Jedno co pamiętam do-

brze, to zegarek na lewym ręku. Bo czas mijał. Czas, który w pociągach bywa zazwyczaj dokuczliwym balastem, stał się teraz przedmiotem nieskończenie cenniejszym od wszystkiego inwentarza PKP. Od drugiej w nocy pospieszny zdawał się umyślnie nabierać pędu i wiedziałem na pewno, że nic nie potrafi go powstrzymać do trzeciej. Można by powiedzieć, że od tej chwili rozmowa zesłała na temat banalny, a nawet płaski i bardzo konkretny, ale były to jedynie jej zewnętrzne pozory. Gdyż w rzeczywistości chodziło o rzecz bardziej jeszcze ważną niż uprzednio, a przynaglana wskazówkami fosforyzującego zegarka. Zużyłem wiele argumentów, aby ją przekonać, dlaczego powinna wysiąść w Działdowie. Wytłumaczyłem, że graniczyłoby wprost z szaleństwem, gdyby tego nie zrobiła. Dowiodłem jej, że poza wyjściem w Działdowie nie może istnieć żaden inny sens na świecie. Wtedy ona na przekór zaczęła mnie namawiać, abym raczej ja jechał do Gdyni. To było z jej strony samolubstwo, które przekraczało chyba granice naszego porozumienia. Ona miała przecież urlop, a nie ja. Poza tym ja nie mogłem, ja naprawdę nie mogłem. Gdybym jeszcze wiedział, że ona nie może, to może ja bym mógł, ale... Nie! Istotnie uparłem się, że do Gdyni nie pojedę. Groziło nam, że się pokłócimy. Tymczasem pociąg pędził, i fosforyzująca wskazówka robiła swoje koło. Więc cóż ma nastąpić, rozstanie? Na to byliśmy najmniej przygotowani. A że

294

istotnie było ono rzeczą nieprzewidzianą, świadczy fakt, że gdy pociąg stanął, sprawa jej wyjścia nie przestała być jeszcze aktualna i dlatego nie zdążyliśmy sobie powiedzieć ani swoich nazwisk, ani adresów. Z trzech minut postoju pozostały tylko dwie. Zachowałem na tyle jeszcze przytomność umysłu, by nie skierować się do bliższych drzwi, ale pójść dłuższym ramieniem korytarza... Ona szła za mną straszliwie zasmucona. Miałem nadzieję, że wysiądzie w ostatniej chwili, tak jak stoi, bez kapelusza z woalką i bez walizki. Schodziłem wolno ze schodków. Zostały trzy sekundy, dwie, jedna! Konduktor podniósł latarkę. Pociąg ruszył z otwartymi drzwiczkami, a ona w nich stała... Oboje mieliśmy ręce opuszczone. Naturalnie, że reszta nocy była koszmar. Lampka w numerze hotelowym, umieszczona nie wiadomo dlaczego pod samym sufitem, oświetlała okropne tapety. Takich brzydkich tapet nie widziałem chyba nigdy w życiu. Jedynym upiększeniem pokoju była nieduża akwarela, wisząca nad łóżkiem. Zanim przywykłem do światła, mrużąc oczy, miałem wrażenie, że przedstawia coś znajomego. Zbliżyłem twarz: ach, przecież to Grodno! Niemen, góra zamkowa, kościoły. Grodno z pierwszej wojny. Olbrzymi most, przepołowiony wybuchem i zwalony do rzeki. Tak jak go zostawili Rosjanie w r. 1915. Jakiś uczestnik kampanii musiał go wtedy malować, i jakimiś kolejami losu trafił do tego hoteliku, kupiony może za kilka marek. Żle, fatalnie spałem tej nocy pod tym obrazem. Nazajutrz padał deszcz i pozimniało. Niebo było zaciągnięte szczelnie chmurami i nie zwiastowało rychłej zmiany.

Taka pogoda w środku lata działa często bardziej przygnębiająco niż jesienią; może dlatego, że kontrastuje z otoczeniem i człowiek czuje się w niej skępowany jak w ubraniu źle dostosowanym do okazji. W starostwie, dokąd udałem się po informacje, narzucono mi przez gościnność przewodnika w osobie referenta bezpieczeństwa, który ponoć najlepiej znał teren. Buda starego forda przeciekała. Nie potrafiłem w tym nastroju wzbudzić w sobie entuzjazmu do brukowanych i murowanych wsi zachodniej kultury. A w rzeczywistości było co oglądać.

Chłop woził gnój wielkim wozem; para dorodnych koni, wyczyszczonych jak w koszarach, w rzemiennych szlejach; nigdzie ani kawałka sznurka. W wozowni spotykało się nie

295
tylko wyjazdowe bryczki resorowe, ale w jednej znaleźliśmy nawet — karetę! Była to wprawdzie staroświecka landara, z której gospodarz zapewne ciągnął zyski, wypożyczając na okolicznościowe uroczystości, ale co kareta, to kareta. Wymowa chłopą wydała mi się nieco podejrzana, referent bezpieczeństwa zapewnił mnie jednak, iż jest to czysto polska gwara lokalna. W domu (bo to już nie były chaty) oglądałem album rodzinnych fotografii, z podobizną ojca rodu na czele, który służył jeszcze w kirasjerach. Ten album wzbudził we mnie szczególne refleksje. Czy można bowiem było go sobie wyobrazić gdzieś nad Stwigą, Lwą lub Łanią? I zresztą gdzie by trzymać taki album: na stole przy wspólnej misie, na ławie, czy na ruskim piecu? Może chyba w rogu izby, wetknięty poza święte obrazy... Obracając w zamyśleniu kartki, spostrzegłem fotografie trzech młodych córek, ale żadna z nich, nawet w przybliżeniu, nie była tak ładna jak pasażerka z pospiesznego Warszawa—Gdynia.

Wracaliśmy do Działdowa, gdy padał ciągle ten sam deszcz. Zrezygnowałem z zamierzonego objazdu cmentarzysk wojennych i odkupiłem tylko w hotelu za pięć złotych obrazek Grodna z pierwszej wojny.

W pięć czy sześć dni po moim powrocie do Wilna otrzymałem list z pieczętką pocztową Gdyni. Był to list miłosny, z którego dowiedziałem się, ile trudu i zabiegów kosztowało ją wydobyć od naczelnika wydziału mego nazwiska i adresu. Dyskretny dżentelmen przez dłuższy czas zbywał ją tylko żartami i dał go w ostatniej niemal chwili, gdy już minęli Kolibki za Sopotem. Pisała następnie, że wskutek niespodziewanej choroby ciotki, która przeziębila się na plaży, pobyt w Gdyni skraca do jednego tygodnia i powraca do domu, choć nie wyczerpała jeszcze urlopu. Podpisana była: Mary Kwiatek, adres w Otwocku pod Warszawą.

Posługiwanie się zdrobnieniem „Mary” czy to w Otwocku, czy gdzie indziej w Polsce, wydawało mi się zawsze bardzo niewłaściwe. Dlatego zniszczyłem list, aby nie wpadł przypadkiem w niepowołane ręce kogoś, kto by ewentualnie mógł sobie pozwolić na strojenie zeń żartów. Odpisałem natychmiast. Ponieważ tymczasem otwarto w Pińsku wystawę i targi pole-

skie, na które miałem właśnie jechać, bardzo ją prosiłem, aby przybyła do Pińska. Jak potrafiłem najpiękniej, opisałem cie-

296
kawy krajobraz, który roztacza się już z hotelu. Kaczki dzikie, pisałem, krzyczą tam za oknami, jak gdzie indziej żaby. Szuwary, pisałem, ciągną się do widnokregu, i kilkakrotnie użyłem w liście określenia „hen, hen”. Napisałem też jak może wyglądać taka płaszczyna, usiana wodnymi oczami, gdy na zachodzie stacza się wieczorem słońce za wieże klasztoru. Byłem w Wenecji, pisałem, ale podróż czólnem po odnogach rzecznych puszczy poleskiej jest na pewno ciekawsza niż w gondoli po kanale. Prypeć jest Amazonką Europy i do niczego innego porównać jej nie sposób. Podałem adres w Pińsku gdzie ma mnie szukać, ewentualnie dać znać o sobie.

Z Wilna na południe, najdłuższą trasą w Polsce, wychodził ranny pociąg pospieszny o 8.30. Ilekroć wypadło mi nim jechać, wsiadałem zawsze do ostatniego wagonu z tabliczką: Tallinn — Bucuresti. Obce słowa częściowo odstraszały pasażerów wileńskich. Zresztą wagon doczepiano dopiero po jego przybyciu pociągiem ryskim z Zemgal. Chodziło o to, że na jakiejś konferencji międzynarodowej postanowiono uruchomić bezpośrednie połączenie wzdłuż całej zachodniej granicy sowieckiej, czyli na linii Międzymorza, od Zatoki Fińskiej przez Rygę, Dyneburg, Wilno, Łuniniec, Lwów do Rumunii. Ale jak mało już wówczas koncepcja ta chwytiała, dowodzi fakt, że ten wagon był zawsze pusty.

Tego ranka zauważyłem jednak, że wagon międzymorski nie jest ostatni, bo z tyłu stoi jeszcze wielkie pudło salonki. Brałem już za poręcz, gdy z okna salonki wychylił się referent prasowy wileńskiej dyrekcji kolejowej, zapraszając mnie i gestem, i tubalnym głosem do środka. Była to landara zapewne równie stara, jak chłopska karetka spod Działdowa. Z carskich czasów służbowa salonka „Naczelnika drogi”, ogromnie szeroka, o wypłowiałych pluszach i secesyjnych złoceniach. Jechało nią aktualnie tylko dwóch panów: wiceprezes dyrekcji i ów referent jako jego asysta, również na zwiedzenie targów poleskich do Pińska. Mówiąc fachowym nawiasem, „przelot” każdego kilometra tej stodoły na kółkach kosztował trochę złotych polskich, no ale skoro już raz wiceprezesowi przysługiwała salonka, mógł sobie pozwolić jeszcze na zaproszenie gości i w ten sposób znalazłem się w miłym towarzystwie przy podawanej właśnie kawie.

297

Rozmowa przeszła niebawem na temat upośledzenia „Polski B”, przy czym referent prasowy skorzystał z pierwszej okazji, by zaaplikować sentencję:

— A ja panom powiem, że wszystkiemu winni są Żydzi...

(Być może dlatego, że wiceprezes, zdaje się, był antysemitą.)

Nie zdążył jednak uzasadnić swej tezy, bo pociąg ruszył.

Wtedy, urywając, przeistoczył wyraz swej twarzy z groźnego w nabożny i ze skupieniem wykonał szeroki znak krzyża, jak to zwykli czynić dobrzy katolicy przed daleką drogą... — Kto by

się mógł wówczas spodziewać, że już po kilku latach stanie się jednym z gorliwszych współpracowników bolszewickiej Prawdy Wileńskiej... Kto?!

Bieniakonie, Lida, Baranowicze... Na wszystkich stacjach „Cukier krzepi” i pasta do zębów „Odol”. Słoneczna, jasna pogoda za oknami. Fioletowe wrzosi koło Jaszun; późna, przejrzała już nieco zieleń rudnickich lasów; dalej snopy żyta długimi rzędami na rżyskach; siwowronka zlatująca z drutów telegraficznych poniewczasie; górny Niemen, a tam, za Mołczadzią już pierwsze lasy doliny poleskiej.

W rozmowie uzasadniałem pogląd, że rozkaz Składkowskiego bielenia wsi białoruskich jest poza wszystkim dlatego bezsensowny, że chaty budowane są z okrąglaków lub z pni ledwo przyciosanych siekierą. Wapnem bieli się ściany gładkie, a nie sterczące między belkowaniem kłaki mchu! Głupota tego rozporządzenia graniczy z zupełnym brakiem smaku.

— Jaki to jednak jest miły człowiek, pan premier — uważał wiceprezes.

— Być może. Ale dlaczego nie każe jednocześnie malować słomianych strzech na czerwono? Przez zestawienie czerwono-białych kolorów zyskałby większy stopień patriotycznej harmonii dla oka.

Referent zerknął ku wiceprezesowi, nie wiedząc, czy może się roześmiać, czy raczej okazać smutek.

Dojechaliśmy do Łunińca. Stąd pospieszny miał biec dalej na most nad Prypecią, a salonkę przeczepiono tymczasem do pociągu idącego na Pińsk. Niedługo potem, za Bobrykiem, poszły już rozlewiska szuwarów, zupełnie takie jak te, które opisywałem w liście do Mary Kwiatek.

Z dworca w Pińsku, dziękując za zaproszenie powrotu tą samą salonką, popędziłem dorożkarza na umówione miejsce

298
spotkania. Machał gęsto biczem i straszyl szkapę, wzywając wilka, by ją zjadł, jak to leży w zwyczaju miejscowego narzecza. Zapłaciłem woźnicy z grubą nadwyżką, sądząc, że i on ma prawo do trochę radości w życiu. Nie wiedziałem jeszcze co mnie czeka. Dowiedziałem się po chwili: wręczono mi gruby list. Gdy rozerwałem kopertę, znalazłem w środku około dwunastu kartek zapisanych dużym, zdecydowanym charakterem. Pierwsza zaczynała się od słów: „Wielmożny Panie!” Dalej następowało jakieś zawile kazanie. Nie nadążając za jego treścią, zniescierpliwiony, przerzuciłem kilka stronic, aby pojąć o co chodzi. Uczucie raptownego przytępienia mózgu przeszkadzało mi w rozumieniu słów. Wreszcie począłem coraz częściej natrafiać na zdania: „moja córka...”, „moja córka...” i znowu „moja córka”... Wtedy obróciłem szybko ostatnią kartkę. Podpisana była nie Mary, ale Stefania Kwiatkova. Nareszcie się domyśliłem! Mój list, mój piękny list z żarliwym opisem poleskiego krajobrazu, musiał wpaść nie do rąk adresatki, ale do rąk jej... maaaamy.

Na cóż by się zdało odczytywać tę epistołę. Rzuciłem tylko

okiem na końcowy ustęp, który brzmiał: „... a jeżeli jest pan pisarzem, to chyba z takich cyników, jak ten Makuszyński, dla którego nie ma nic świętego na świecie. Z poważaniem...” Ach ty! Złote czasy! Czasy, kiedy kochające mamy mogły jeszcze do największych cyników, dla których nie ma nic świętego na świecie, zaliczać — Kornela Makuszyńskiego!... Nie powróciłem salonką. Wynająłem czólno i samotny kazałem się wiosłować daleko (hen), aż do zbiegu Piny i Strumienia, skąd dopiero rozpoczynała się właściwa Prypeć. Wiadomości 1953 nr 42 (394)

299

WYCIECZKA DO EUROPY

Wczesnym, a spóźnionym w tym roku, latem pojechaliśmy na kontynent europejski samochodem (cudzym). W Abbeville jest sympatyczna restauracja, której właściciel niezmiernie przypomina Zygmunta Nowakowskiego. Żartem, a następnie dla skrótu w rozmowie między sobą, zaczynamy go nazywać po prostu „Nowakowski”. Ten sposób znakomicie uplastycznia wspomnienia. Nie mówi się później: „Pamiętasz, taki restaurator w Abbeville...” — „Jaki?...” — „No ten, który itd...” To za długo. „Nowakowski” to krótko. Albo na przykład łódkarz na Walchensee, przy szosie nr 11, prowadzącej do Mittenwaldu i Garmisch-Partenkirchen, łudząco podobny do starego kelnera Justyna od Bukieta. Wszystko: twarz, ruchy, spokój, godność. Jedyna różnica, że nie wypuszcza z ust bardzo długiej fajki, której zresztą nigdy nie pali, podczas gdy Justyn fajki nie miał. Oczywiście nazywamy go „Justyn” i pozostanie dla nas Justynem. Sklepikarka w Tutzing, nad jeziorem Starnberg, jest w zachowaniu identyczna z właścicielką sklepu w Czarnym Borze i dlatego w ciągu całego tygodnia nie mówimy o niej inaczej niż „Baniowa”.

Tego rodzaju ułatwianie sobie życia nie jest lenistwem myślowym. Raczej przeciwnie: prowadzi do spostrzeżeń wyższego rzędu jak mimo wszystko ludzie podobni są do siebie. W ten sposób podczas długiej podróży spotkaliśmy moc znajomych twarzy. A w każdym razie osoby dające się poręcznie określać, z wyłączeniem ich przydomka narodowego. Weźmy taki przypadek. Młoda kobieta, obsługująca pompę benzynową

wą na granicy Luksemburga, jest niewątpliwie „młodą wdową”, bo posiada wszystkie jej cechy, bez względu na to, czy mówi po francusku, czy niemiecku, czy okropną gwara, która stanowi zdaje się narodowy język Wielkiego Księstwa. Ale więcej powiem: nawet gdyby się okazało, że mąż jej żyje, tzn. w chwili, gdy ona pracuje przy pompie, wałkoń siedzi w barze, to wbrew pozorom „młoda wdowa” pozostanie określeniem jeszcze o wiele trafniejszym niż np. „dobra Francuzka”, albo „zła Niemka”.

Stosując podobną zasadę, przeszliśmy do metody obserwacji możliwie trafnej w oberżach podróżnych: „To jest na pewno szwagier tego z kartoflanym nosem... Ta musi być

chyba kochanką tamtego blondyna, bo zobacz jak jego żona zezuje w jej stronę". Jak to ułatwia życie!

Życie, gdy kwitną czerwone i białe kasztany, jaśminy, bzy i glicynie. Gdy sady owocowe nie utraciły jeszcze płatków. Gdy słońce ceni się stokrotnie więcej, bo rzadko świeci i padają deszcze. Gdy na szosie do Compiègne spada na nas pierwsza, wiosenna burza, a nawałnica cieknie asfaltem...

Lublu grozu w naczale maja,
Jeja wiesienny, pierwszy grom...

I powiedzieć, że jest tylu ludzi, którzy wszystkich Rosjan czynią odpowiedzialnymi za Katyń, a wszystkich Niemców odpowiedzialnymi za Oświęcim! W tej chwili to już nie złości, tylko strasznie nudzi. Tak nudzi jakby mi kazano raptem czytać książki dla ośmioletnich dzieci, albo stare ulotki propagandowe, lub zgoła to co pisał przed laty Der Schwarze Korps o Żydach. Nudzi jak lektura literatury socrealistycznej.

... Stara pani Muller rodem z Hamburga zajada ogromne ciastko na tarasie. Po hambursku st i sp nie wymawia jak nasze sz, a sepleni. Powiadam jej: „Niech no pani tylko spojrzy na ten zachód słońca nad jeziorem!" Patrzy krytycznie i zapuszcza widelczyk w ciacho. „Jaaa — ciągnie — gewiss — potwierdzą niechętnie. — Bawaria byłaby piękna, gdyby w niej nie było Bawarczyków". JVch, glista" — myślę sobie i w dalszym ciągu mrużę oczy wpatrzony w odwieczny nieboskłon, na którego tle płoną jak cukier odwieczne śniegi na Zugspitze, na Teufelsgrat, na Wettersteingebirge.

Ale ona jest z Hamburga.

301

* * *

Tak, tak, pozostawić za sobą nudę politycznego Londynu i jechać, kierując się dolinami rzek, w sam rozkwit łąk, wśród łąków żółtego dmuchawca, żółtych jaskrów i żółtych kaczeńców, a wszystkich na zielonym tle! Aisne, Orne, Mozela, Renem, Neckarem, rzeką Nagoldem, rzeką Blau, Izara, Innem brunatnym od wezbranej wody...

Jeszcze raz wracam do Nowakowskiego. Poprzednio pisałem jak podobni bywają ludzie różnych narodowości. Tym razem chciałbym zwrócić uwagę, jak niepodobni do siebie zdarzać się mogą ludzie tej samej narodowości. Nowakowski pisał niedawno, że gdy był na Majorce, na wiadomość o kolejnym kryzysie w polskim Londynie, pociemniały mu w oczach piękne widoki, tak bardzo się tą wiadomością przejął. A ja natomiast nie dałbym sobie z tego powodu wyrwać ani jednego kwiatka z oka, ani dzwonka, ani rumianku, ani jednego krokusa, ani jednego bratka polnego nie oddałbym za to, żeby się nawet dowiedzieć, kto jest „za rządem", a kto „przeciw rządowi", i co mówił jakiś przywódca jakiejś nie istniejącej partii! Nie oddałbym ani jednego z dymków rozciągniętych nad płynącymi Renem statkami, aby się martwić z powodu zdania tego lub innego z przegranych generałów! A cóż dopiero podarować następujący widok: droga na Col du Bonhomme w Alzacji wiję się krętą serpentyną; wysokość 949, motor

się grzeje; a w prawo i lewo gęsta pokrywa żółtego żarnowca pnie się, przechodząc w łany czerwonych jak krew maków; a dalej skały i las; a dalej znów skały i niebo; na nim zatacza kręgi kruk; het, w dole, różowieją w mgiełce oddalenia plamy miasteczek...

— Boże, jak tu pięknie!

— Mhm.

Gdybym potrafił, opisywałbym wyłącznie przyrodę. Niestety, mało ona kogo w gruncie obchodzi. Na przykład: jaki ptak jest najbardziej rozpowszechniony w Europie? Pierwszy, kogo zapytałem, odparł zaraz: „Czy to nie wszystko jedno?”... Na ogół jednak, choć niechętnie, zgadzali się ludzie, że — wróbel. Otóż nieprawda. Najbardziej rozpowszechniona jest zięba. Ptaszek o czerwonym podgardlu i białych paseczkach na skrzydle. Zięba jest wszędzie, w Polsce i w Anglii, w Litwie i w Hiszpanii, w lasach Rosji i w Hyde Parku. Zarówno w sa-

302
dzie, jak w iglastym czy liściastym borze. Koło wody i daleko od wody. Śpiew jej rozbrzmiewa dosłownie na każdym kroku i dlatego prawie go nie słyhać. Jest jak świeże powietrze na majówce, i wtedy zwykło się tylko mówić: ptaszki ćwierkają. Wspinając się w Alpach, gdzie już było zupełnie ciemno od jodeł, w ciszy słyszę trele zięby. Ludzie dlatego typują wróbla, gdyż sądzą po sobie: dużo skrzeczy i gnieździ się w miastach. Tymczasem jakże często zapominają, że pomiędzy miastami leżą wciąż jeszcze spore przestrzenie nawet w Europie. Można tedy śmiało zaryzykować twierdzenie, że Europę zamieszkują głównie zięby. Lubię obserwować jak jedna z nich zlatuje systematycznie na wystawioną przed sklepem ladę z owocami u „Baniowej” i czegoś szuka w koszu z ziemnymi orzeszkami. A „Baniowa”, zauważyłem to, rozmawia z nią jak z sąsiadką. W Tutzing.

Zazdroszczę ludziom, dla których nie jest żadną rewelacją, że pola nie są grodzone drutem, że nie ma ostrzeżeń: „Private”, że w lesie nie widać ani koszów na śmiecie, ani tablic: „Gentlemen”, „Ladies”.

* * *

Ale bez polityki nie można. Nie można dlatego, że stanowi ona składową część życia. Powieści pewnego typu, oparte na wątku miłosnym, w których nie jest powiedziane, z czego ci zakochani żyją i w jaki sposób zdobywają pieniądze, wydają się właśnie nieżyciowe. Podobnie dziś powieści z absolutnym wyłączeniem polityki wydać się mogą naciągnięte i nieszczerze.

Raczej tedy odruchowo zapytuję: „No a komunistów u was dużo?” Retoryczne pytanie stawiane przygodnym ludziom w Europie. I nagle olśniewa mnie świadomość, jak wielka mnogość jest potencjalnych antybolszewików w Europie! Wnioskuje nie z ich odpowiedzi, ale raczej z naturalnej formy, z jaką potraktowane jest moje spontaniczne pytanie. Zapytany nie wie jeszcze z kim ma do czynienia, a już rozmawiamy jakby szło: „Czy późne przymrozki nie szkodzą winni-

com?" Albo: „A powodzi u was nie bywa?" Ludzie, którzy niegdyś tylko podobnymi sprawami się interesowali, traktują dziś komunizm jak zło oczywiste, jak zarazę bydła czy grad. I wydaje się im naturalne, że człowiek, skądkolwiek jest, nie może być przyjacielem katastrof żywiołowych. Dlatego gawę-

303

dzimy, popijając wino, od razu w atmosferze pogodnej przyjaźni.

Zdaje się, że antykomunizm w Europie jest zjawiskiem nie tylko nie docenianym, ale po prostu nie dostrzeganym przez jej krytyków. Fakt, że komunizm szerzy się w Europie, jak we Francji i Włoszech, wytrąca przed oczu obserwatora proste stwierdzenie gruntu na jakim to się dzieje. Mówimy, że prokomunistyczne nastroje wżerają się w podłoże... Jakie? Oczywiście niekomunistyczne. Wiadomo jednak, że każdy organizm rozwijający się w naturalnych warunkach (a więc w danym wypadku w ustroju wolnym) wytwarza przeciwko schorzeniom naturalną samoobronę tkanek. W ten sposób podłoże niekomunistyczne przeistacza się drogą naturalnej reakcji w — antykomunistyczne. Komunistów jest dużo, ale antykomunistów jest niewątpliwie więcej. Można by zaryzykować twierdzenie, że Europa zamieszkała jest w tej chwili głównie przez antykomunistów. Stanowią więc w niej największą siłę. Pozostaje tylko pytanie: co stoi na przeszkodzie, aby tę siłę spożytkować w skuteczny sposób?

Wydaje mi się, że tą zasadniczą przeszkodą jest — nacjonalizm. Nacjonalizm, wielbiony potocznie przez jego zwolenników w formie narodowego patriotyzmu, ma rzekomo stanowić przeciwstawienie międzynarodowemu bolszewizmowi. W teorii. W dzisiejszej praktyce natomiast jest stałym źródłem wszelkiej prokomunistycznej dywersji w łonie tzw. świata zachodniego. Ludzie, jak to ludzie, wzięliby za widły i siekiery i poszli bić bolszewików. Ale politycy nacjonalistyczni przeszkadzają im w tym naturalnym, ludzkim odruchu. Powiadają: „Zaczekajcie jeszcze, bliższa koszula ciału... Mamy tu własne porachunki". I podszczuwają jednych przeciwko drugim, każą im się kłócić o granice, o język, o kulturę, właśnie w chwili, gdy wszystkim kulturom Europy grozi największe niebezpieczeństwo.

Bo co to jest bolszewizm? Bez teoretycznej błagi, a w rzeczywistości: jest to poddanie wszystkich zjawisk życia ciasnym interesom partii. A czyż nacjonalizm nie każe w praktyce poddawać wszystkiego interesom narodu? Wprawdzie „wszystko dla partii" brzmi paskudnie, a „wszystko dla narodu" pięknie, ale czy zachodzi pomiędzy nimi istotnie wielka różnica, jeżeli położymy nacisk na słowo wszystko? Ilość cech wspólnych okaże się na pewno większa niż się to pozór-

304

nie wydawać może. Gdybyśmy dali na chwilę spokój belkom w oczach bliźnich, a zajęli się rzetelnie ździebelkiem we własnym, może byśmy zauważyli, że np. pomiędzy literackim „sorealizmem" w Warszawie a swoistym „polrealizmem",

uprawianym na emigracji, odległość nie zawsze jest bardzo duża, abstrahując już od specjalnej dziedziny jawnego poputnicztwa. Osobiście skłaniam się ku teorii, że polityczne przede wszystkim wychowanie Polski w pewnym stopniu tłumaczy może nadmierną łatwość, z jaką się dziś komunizuje. Wprawdzie motor wewnętrznej podniety działał w przeciwnym kierunku, ale na tych samych biegach. Wystarczy więc tylko zgrabnym ruchem zmylić kierunek, a będzie biec dalej na identycznych obrotach. Prawdziwym przeciwstawieniem wychowania komunistycznego nie jest wychowanie narodowe, tylko — humanistyczne. Gdyby bolszewizm zagrażał jednemu wyłącznie państwu w Europie, można by polegać na narodowym patriotyzmie tego jednego państwa. Błąd w dzisiejszym rachunku polega jednak na tym, że bolszewizm zagraża wszystkim Europejczykom. I dlatego przeciwstawić mu można tylko czynnik równowartościowy — patriotyzm ludzki. Potargowawszy się trochę, ustąpmy na — patriotyzm europejski. Natomiast patriotyzmy partykularne, polski, francuski, niemiecki, włoski, czy serbski, rozgrywane są przez partię bolszewicką z takim samym skutkiem, jak gdzie indziej podżegane przez nią nacjonalizmy ludów kolorowych.

* * *

Mówi mi ktoś, że zna lepszą definicję bolszewizmu: „To — powiada — jest poddanie oczywistej prawdy narzuconej z góry tezie”. Nie podejmuję dyskusji, bo uważam, że spostrzeżenie jest słuszne.

Wieczorem tego samego dnia jeden z najwytworniej szych dziś ludzi w Monachium, Polak o tak doskonałych formach, że w jego obecności zawsze odruchowo poprawiam krawat, Jakbym tylko co przyjechał z Mejszagoły, wygłasza w kawiarni na Odeonsplatz następującą sentencję:

— Nie wolno po Europie jeździć bez nocnych pantofli!

Jest to niedopuszczalna kompromitacja w oczach Zachodu!

W ogóle my, Polacy, powinniśmy już raz odzwyczaić się od tego wschodniego barbarzyństwa, niechlujstwa i brudu!

Istotnie nie wziąłem ze sobą w podróż nocnych pantofli,

więc czerwienię się tylko po uszy i milczę pokornie, bo nie le-

305
ży w polskim zwyczaju sprzeciwiać się jakiegokolwiek tezie raz już powziętej i obowiązującej. Ta zaś, że Wschód jest brudny, a Zachód czysty, specjalnie uświęcona została od wielu pokoleń i żadna obserwacja, najbardziej nawet oczywista, nie byłaby w stanie tej tezy podważyć.

U nas, w dymnych chatach białoruskich, było istotnie brudno na klepisku i nawet ikony w ciemnym rogu popstrzone były przez muchy. Ciągnęło kwaśnym odorem od baranicy i machorki, z przymieszką słomy, parzonego mleka i kurzu. Rzadko którego chłopca, zaliczonego dziś do kułaków, stać było na posadzenie kwiatków od strony drogi przejezdnej. Czasem rosły więc tylko od frontu wiśnie, czasem chuda jarzębinka, czasem po prostu kawał topoli lub brzozy. W rezultacie było szaro i niezabawnie i na tym uczono dzieci, wskazu-

jąc palcem: lud nasz jest ciemny i niekulturalny, dlatego nie odczuwa potrzeb estetycznych.

Ale nauczyć się można czegoś tylko przez porównanie.

Kto więc nie widział jeszcze europejskiego Zachodu, temu nie przyszło do głowy spostrzeżenie, że w największym zachąstiu białoruskim nikt gnoju nie składał przed frontem najbardziej nawet zgrzebnej chaty. Inaczej we Francji. Spotyka się tam często wsie murowane wprawdzie i odrapane z tynku, bez kwiatków i drzewek od frontu, ale za to nieraz umajone wzdłuż drogi kupami nawozu jak szpalerem. Grzebią w tym gnoju kury i dzieci.

Być może niewielu Polaków, zasiadających ongi przy zielonym stoliku do baccarata, widziało jak to wygląda autentyczne Baccarat na drodze z St. Die do Luneville! Ale tysiące przecie wyjeżdżało i do Francji, i do Włoch, gdzie nie tu, to tam mogło spostrzec takie brudy, jakich po żadnej stronie granicy traktatu ryskiego by się nie zobaczyło. Mimo to teza obowiązywała w całej rozciągłości.

Tymczasem jednak urzędowy „polrealizm” nakazał wprowadzenie do obowiązującej tezy ważnej poprawki, wymaganej przez postulaty polityczne. Oto z pojęcia „kultury zachodniej” powinny zostać usunięte Niemcy.

Już w pierwszej podróży do Francji, dawno temu, przed wojną, zastanowił mnie fakt, iż żaden z bywalców instruujących mnie na drogę, nie uprzedził o ważnej okoliczności:

„Uważaj tylko, bo tam co krok napatoczyć się możesz na wyjątkowe chamstwo”. Ani jeden mi tego nie powiedział. Toteż

306

gdy w tamtych czasach wszedł do przedziału ostatni na granicy urzędnik niemiecki ze słowami: „Passe, bitte”, zaskoczony byłem niezmiernie w następnym etapie, że ustały nagle wszelkie „bitte”. Wkroczył rozczochaniec z trójkolorową wstęgą pod wytłuszczoną cywilną marynarką i krzyknął: „Passeports!” Gdy pierwsze swoje wrażenia chciałem następnie ogłosić, powiedziano mi, że tego rodzaju spostrzeżenia o Francji nie nadają się do druku.

Nie powiem, że „kocham Francję”, bo to by było przesadnym banałem. Raczej bardzo lubię Francję. Ale gdy kelner rzuca mi na stół podstawkę do „aperitif” gestem, z jakim się u nas rzuca kość psu, patrząc przy tym gdzieś ponad moją głowę na jakąś katedrę, łuk tryumfalny, czy inny pomnik wielkiej kultury Zachodu, cofam się mimo swej najlepszej woli, w nastrój barbarzyńskiego Wschodu i myślę: „Ech, ty francuska morda!” Ale gdy zobaczę znów dalekie pola za miastem, usiane makami, zagajniki jak u nas, i puste drogi, gdy trafi się rzadko uprzejmy oberżysta i nie widać przez czas jakiś najbrutalniejszych w Europie policjantów, żałuję już swej myśli poprzedniej i naprawiam ją drugą: co za szkoda, że nie można tak lubić Francji jakby się chciało!

A teraz: czy to moja wina, że w Niemczech jest grzeczniej, ładniej i o nieba całe czyściej, tzn. naprawdę idealnie czysto? Koszuli na sobie nie będę targał z rozpaczy. No, że... po pro-

stu, wydaje mi się tu... kulturalniej! Na to otrzymuję taką mniej więcej odpowiedź: „Dobrze, ale po co z tym zaraz wyłażyć? Obowiązuje pewne minimum dyscypliny narodowej, do której stosują się wszyscy literaci piszący w „polrealizmie”, a innych nie ma, chyba że piszą w „sorealizmie”. Istnieją pewne postulaty narodowe, którym należy poddać nie tylko osobiste przekonania polityczne, ale i wrażenia estetyczne, literackie, artystyczne. Nie oficjalnie oczywiście, bo oficjalnie mówi się o nie skrępowanym niczym wypowiedaniu swego sądu”.

... Pamiętam jak jeden ze śledczych NKGB, zanim kazano mi siedzieć twarzą do ściany, poklepał mnie dobrodusznie po ramieniu: „Pora, pora już — powiedział — Josif Antonowicz, przestać indywidualizować, a nauczyć się myśleć kolektywnie!”

* * *

307

Do zwyczaju stosowania porównań wdrożyły mnie głównie dwie osoby: częstokroć przeze mnie wspomniany profesor zoologii śp. Konstanty Janicki, który uczył, że bez porównań nie istnieje wiedza ścisła, oraz śp. Kazimierz Łęczycki, który upierał się, że opisać trafnie Bieniakonie można jedynie po uprzednim zapoznaniu się z Budapesztem. Bieniakonie i Budapeszt cytował naturalnie przykładowo, być może dlatego, że obydwie miejscowości zaczynały się na literę B. W ten sam sposób dochodził do właściwej oceny, o ile kąpiel w rzece Wace jest przyjemniejsza niż w La Pląta. „Ach — powiadał — żebyś wiedział...” Ja, naturalnie, nie wiedziałem. Dziś natomiast, gdy przyjechałem z Londynu do Monachium i oceniam tamtejsze życie pewnej grupy Polaków, zaraz mi przyszły aż dwa porównawcze okrzyki do głowy. Pierwszy, gdy będąc w niewoli litewskiej w r. 1920, pędzony byłem do więzienia antokolskiego wraz z grupą bolszewików, koło kawiarni, podówczas zwanej „Birute”, i wtedy mój bolszewicki towarzysz niedoli spojrzał na góry ciastek za witryną, na burżujów przy kawie i nie mógł powstrzymać się od okrzyku: „Nu i żywut-że ludzi!” Drugi okrzyk w pobliżu Mołodeczna w r. 1935: zabłądziwszy, zatrzymaliśmy samochód przed karczmą przydrożną. Jeden z chłopów zgodził się pokazać drogę. Siedząc przy motorze, wskazaliśmy mu miejsce z tyłu na głównym siedzeniu. „Ajaj, Kostia! — krzyknęli zgromadzeni chłopci. — Za pana pojedziesz! Musić i u śnie nikoli nia widzia!”

Taaaak... żyją ludzie. Nieuprzywilejowany, poza kliką plebejusz emigracyjny, spojrzawszy na te mieszkanka, na te samochody, na te przywileje, te przejażdżki, na te „parties” tej elity... Ach, szkoda słów! Chyba tylko: „...u śnie nikoli nia widzia!” będzie najodpowiedniejszym resume. — Ale robią dobrą robotę i żałować im nie wolno. Przeciwnie. Wydaje mi się, że każdy dolar wydany na antybolszewicką akcję, każdy człowiek bez różnicy narodowości wprzęgnięty w akcję antybolszewicką w Europie, to jest dziś jeszcze ciągle strasznie mało, ale to dziś jedyna rzecz ważna, jedynie istotna i jedynie

warta wszystkich dolarów świata.

Czym by dziś była druga połowa Europy bez radia amerykańskiego?! Odpowiedzieć można stosunkowo ściśle na to pytanie: wydana na łup bolszewicki nie tylko materialnie, jak jest, ale i psychicznie: bez reszty. A dziś o tę małą resztę cho-

308
dzi, która jeszcze pozostała. Poza tą ważną sprawą jest tylko bluffi puste gadanie.

* * *

Literaci polscy żyją dziś w większości doskonale. Po tamtej stronie dostają na własność wille i samochody. Po tej stronie też mają samochody. Oficjalna teza „polrealizmu” nie uwzględnia tego stanu rzeczy i głosi, że oni cierpią. Tam „cierpią w kraju”, tu „cierpią na emigracji”. Na zdrowie. Są naturalnie wyjątki, do których się sam zaliczam. Leżąc nad Jeziorem Bodeńskim pociągam nosem, żeby odgadnąć, co to takiego jest. Mieszanka jakaś. Coś podobnego odczułem raz w Desenzano nad Lago di Garda, gdyśmy wyszli z dusznych maszyn i w nos uderzyło powietrze. Ale na równinie lombardzkiej brakło pewnych składników. Tu jest woda i góry, i doliny jednocześnie. Z tamtej strony las, z tej sady. Zapach ziół, kwiatów, mułu i wiecznych śniegów. Słowo daję, mieszkałbym tu całe życie i nie tęsknił nawet do rodzinnego pejzażu. A do ludzi...

Rząd bolszewicki w Warszawie delegował zespół teatralny do Paryża w celach propagandowych. Postulatem rządu bolszewickiego w Warszawie było wywołanie za granicą wrażenia, że nie ma żadnej okupacji, żadnego „jarzma”, lecz tylko prawdziwa, wolna, suwerenna, krzewiąca własną kulturę „Polska Ludowa”, która jest — Polską. Ten postulat rządu bolszewickiego, przezwanego, żeby było delikatniej, „reżymem”, pokwitowała emigracja polska w Paryżu rześzystymi oklaskami entuzjazmu. Widownię wypełniła zarówno masa, jak elita polskiej emigracji. Zelwerowicza obrzucono kwiatami, a owacjom nie było końca. Zelwerowicz jest dziś dygnitarzem ustroju bolszewickiego, czyli agentury moskiewsko-komunistycznego okupanta w Warszawie. Chodzi w orderach. Wyliczenie jego urzędowych i „społecznych” stanowisk, tudzież płaskich, wiernopoddańczych, prokomunistycznych przemówień, które wygłosił w roli nie teatralnej, ale bolszewickiej, zajęłoby zbyt dużo miejsca. Tak niedawno jeszcze uganiano się po Warszawie z pistoletami za aktorką, która w okupację niemiecką wystąpiła w sztuce Perzyńskiego, chociaż nie miała ona celów polityczno-propagandowych na rzecz nazizmu. Ale tempom mutantw. Stalin wyzwolił Polskę i gdyby Zelwerowicz zszedł teraz na widownię, toby rozentuzjazmowana emigracja niosła na rękach przedstawiciela „Frontu Na-

309
ł

rodowego” w Paryżu. Byłby to naprawdę rozczulający widok... Na razie obydwie strony miały łzy w oczach i było „kochajmy się” jak w Panu Tadeuszu. Coś sobie przypominam z tezy

aktorów wileńskich za dyrekcji Perzanowskiej pod pierwszą okupacją sowiecką: „Jak mamy być bolszewikami, to już bądźmy bolszewikami polskimi, he-he-he”...

Za daleko jest stąd do jeziora, żeby splunąć w wodę. A trawa jest czysta; po niebie płyną obłoki, pogoda się trochę ustaliła na niebie. Leżąc na wznak, dziękuję Bogu, że mi pozwolił opuścić kraj rodzinny.

Kiedyś perorując na analogiczny temat użyłem takiego porównania: „Dla zająca, na przykład, najmniej niebezpieczny jest taki myśliwy, który już z daleka strzela jak opętany na prawo i lewo; później taki, który idzie jawnie i łamie głośno gałęzie; bardziej niebezpieczny jest pies węszący, a na pewno jeszcze bardziej mały piesek przebrany w skórę zająca; ale najbardziej niebezpieczny to chyba byłby prawdziwy, autentyczny zając wytresowany w celu zwabiania innych pod łufę dubeltówki”. Mój rozmówca oburzył się: „Ależ proszę pana. Polska nie jest przecie zającem!” Może to i słuszny kontrargument. Chociaż ja osobiście poszedłbym zapewne z dużą ciekawością zobaczyć moskiewski teatr bolszewicki, a nawet jakiś zetempowski zespół warszawski, ale oglądać starych aktorów polskich udekorowanych bolszewickimi gwiazdami mógłbym chyba tylko ze szczerą odrazą.

To są naturalnie rozważania bardzo pesymistyczne.

* * *

Siedząc na bulwarze paryskim, właśnie na ukos naprzeciw St. Germain-des-Pres, mam wrażenie, że mówi ktoś do mnie, odstawiając kieliszek dubonnet: „Nikt jeszcze nie zarobił grosza na pesymizmie. Zarabia się tylko na optymizmie. Gdybyś np. podczas ostatniej wojny sam wierzył, że bolszewizm nie jest tak straszny jak go malują i wmawiał innym, że Sowiety to tylko „sojusznik naszych sojuszników”, kto wie, może byś dziś jeździł po Europie też taką limuzyną, że ho! A nie samochodem najmniejszego typu i w dodatku — cudzym”...

Wiadomości 1954 nr 36/37 (440-441)

310

POCZĄTKI „OBREZU”

Wstępna dygresja

Kupując niedawno zbiór nowel Bunina Tfofny/e alleU usłyszałem od Władimira Wasiliewicza: „Bardzo erotyczne. W każdym razie nie nadają się do głośnego czytania”.

„Do czego?...” pomyślałem, mimo woli mrużąc oczy dla skoncentrowania pamięci. I dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że starzy ludzie wciąż jeszcze rozróżniają dwa typy czytania książek — ciche dla siebie i głośne dla zgromadzonych domowników — rozpowszechnione w czasach minionej epoki. Dlatego przypomniały mi się fotele przed kominkiem. Autentyczny zegar gdański. Naturalnie nie zawsze wyła zadymka za oknami. Czasem bywała odwilż. Częściej milczący i skrzący mróz. W każdym razie wielka noc zimowa, tak wielka, że przestrzeń za sadem z jednej strony a budynkami folwarcznymi z drugiej wydawała się w ciemności bez granic. Jesienią

lub pod wiosnę, gdy czytano głośno książkę przed komin-
kiem, noce bywały inaczej czarne, czernią prawie dotykającą,
wilgotną. A w alei dojazdowej, w wysokich, wysokich wierz-
chołkach drzew zawsze szumiało wiatrem. — Takie pozostało
mi wrażenie z okresu, gdy mniej więcej około r. 1917 kończył
się właściwy XIX wiek i rodził dzisiejszy, nowych pojęć.

Na tym przełomie dziejów zrodził się również „obrez”.

Czytelnicy narzekają często na wspominkowość pism pol-
skich. Bo ja wiem, może trochę słusznie, trochę nie. Wspom-
inkowość istotnie bywa niekiedy nudna, mnie się wydaje
jednak, iż zwłaszcza wtedy, gdy pisana jest w formie pokrew-
nej socrealizmowi, którą nazywam „polrealizmem”. To znaczy

311

przedstawiająca rzeczy nie tak, jakimi one były w rzeczywi-
stości, ale tak, jak powinno się o nich pisać, w socrealizmie
— ze względu na dobro partii, w polrealizmie — ze względu
na dobro Polski. W ten sposób pisze się na przykład 98%
wszystkich wspomnień z okresu ostatniej wojny, i całość wy-
pada raczej jednostajnie. Czasem się jednak zdarza, że ludzie
piszący dziś i o wieku ubiegłym również wpadają w ten sam
ton mówienia tylko o tym co trzeba, lub — co wypada pamię-
tać. Może dlatego, że — niestety — nowy wiek przystąpił do
rewizji pojęcia prawdy. Odtąd za prawdę uchodzi nie ta, któ-
ra powstała z porównań doświadczalnych, a ta, która za
prawdę została uchwalona na zebraniu, nie zawsze zresztą
większością głosów. Ponieważ prawda jest niewątpliwie jedy-
ną ciekawą rzeczą w życiu, tym samym nowe czasy w znacz-
nym stopniu ograniczyły ciekawość życia w ogóle, a we wspo-
mnieniach w szczególności.

Ta wstępna dygresja jest mi potrzebna nie po to, żeby
przygotować czytelnika na coś rewelacyjnego (nie mam ku te-
mu żadnych uzdolnień), ale po to, by go uprzedzić, że tema-
tem opowiadania będzie akcja tocząca się w okresie pierwszej
okupacji niemieckiej.

Ho

Gdy Niemcy wkroczyli do Wilna jesienią 1915, nastroje
ludności były podzielone. Zwartą, proniemiecką masę stano-
wili Żydzi. Nie tak jak później w czasach sowieckich, że pro-
bolszewicki był tylko proletariats żydowski. Ale wszyscy Żydzi,
i bogaci i biedni, tzn. około 60% mieszkańców miasta, byli
entuzjastami okupacji niemieckiej, od chwili powitania
pierwszego patrolu czarnych huzarów na ul. Wielkiej. Tzw.
inteligencja i ziemiaństwo, wówczas jeszcze stanowiące całą
klasę, nie były zgodne, miały jednak pewną proniemiecką
większość. Natomiast to co było tzw. ludem prostym, zarów-
no w mieście, jak na wsi, było wyraźnie prorosyjskie. Łatwo
to tam o „wolnej Polsce” dziś wspominać z patosem, post fac-
tum wyniku pierwszej wojny. W r. 1915 natomiast nie było
jeszcze żadnego realnego powodu, aby nie wybierać jedynie
pomiędzy Mikołajem II i Wilhelmem II. Gdyby miało być ina-
czej, musielibyśmy założyć, że cały naród składa się z jasno-
widzów. Ale on się składał, jak wszystkie inne narody na

świecie, z jednostek, z których każda przede wszystkim myśli o własnej skórze i interesie.

A więc szara ludność miejska, która w wyższą politykę wówczas nie zwykła była jeszcze się wdawać, gdy pierwszego dnia okupacji chleb podskoczył z 3 kopiejek na 60 kopiejek za funt, a później nastął formalny głód, od razu zaczęła przeklinać Niemców. O Rosjanach mówiło się potocznie: „nasi”. Tak na przykład: „Oj, jak nasi wrócą, to i zadadzą-żeż tym Żydkom!” Oczywiście nie samym chlebem człowiek żyje. Inteligencja dostała szkoły polskie. Natomiast „prostych ludzi” denerwowała nieznamość języka władzy panującej. Ponieważ Żydzi porozumiewali się z Niemcami na ogół płynnie, zrodził się pogląd, że Niemcy to jest też pewien rodzaj Żydów. Tym bardziej, gdy zdarzało się nieraz na widok Herr Hauptmanna, Herr Doktora, Herr Professora czy Herr Obersta, z kordem, szabłą, krzyżem i epoletami — wykrzykiwać w zdumieniu: „Ajajaj! Patrzaj Oluk! Toż to Żydek!”... Dla ówczesnych tradycji, ograniczających prawa Żydów w imperium rosyjskim, była to właśnie ta sama rewelacja, która z drugiej strony dla Żyda wschodniego ówczesne Niemcy przeistaczała nieomal w dzisiejszą Amerykę, kraj nieograniczonych możliwości.

Na wsi chłopci, zarówno bogaci jak biedni, uważali dostawy przymusowe za grabież w biały dzień! Tu dodać należy, że armie o trakcji konnej znacznie dotkliwiej eksploatowały wieś niż późniejsze, zmechanizowane. Jeńców rosyjskich nie mieli Niemcy tak dużo jak podczas drugiej wojny, bolszewickiej. Traktowano ich też według dawnych pojęć: wszyscy w szynelach, czapkach i butach. Natomiast karmiono podle. Ucieczki z obozów były na porządku dziennym. Chłop uważał zbiegów za swoich, nie tak jak w wojnie sowieckiej, gdy z reguły wydawał ich w ręce Niemców.

Oto w jakim nastroju ludzie wychodzili z chaty, by w mroźną noc posłuchać odgłosów pierwszej rosyjskiej kontr ofensywy zimowej. Czekano i nie doczekano się. Natomiast legendy o rzekomych stratach utarły się identyczne, jak później w drugą wojnę. Wszyscy raptem wiedzieli, że na jednym tylko odcinku jeziora Narocz poszło pod lód, roztrzaskanych artylerią niemiecką, pół miliona żołdatów!

— Ale kto liczył?

— Ot, też pan dziwny człowiek!
cięż, nie licząc.

* * *

.liczył"! Wiadomo prze-

Wacław Siemaszko, robotnik kolejowy, awansował na konduktora i jeździł w składach niemieckich transportów kolejowych na trasie Wilno — front. Starszy mój kolega z gimnazjum, czternastoletni Zygmunt, miewał często takich dziwnych przyjaciół. Słyszałem raz jak rozpytywał Siemaszkę, czy się nie boi.

— Niczego takiego straszego nie ma — mówił Siemaszko. — Białe, śnieg, pusto. Niemcy po jednej stronie, nasi po drugiej, a Smorgonie pośrodku.

— No a kupić czegoś, dostać, nie można w okolicy?

— Gdzie tam co dostaniesz! Naród ze wszystkim zbiedzony. A po drugie i zapuszczać się nie bardzo tak śmiało można. Żeby czasem nie dostać, ale — z obrezu...

Pierwszy raz wtedy usłyszałem to słowo.

Historia Zygmunta

Pachniało śniegiem i murem zmarzniętych kamienic. W mieście nie było co jeść i Zygmunt przerwał naukę, otrzymał przepustkę na pociąg i pojechał do domu, na wieś, w Poniewieskie. Kraj daleki od frontów, tłusty, nie znający nędzy piaszczystej podwileńskiej gleby, a — narzekający, narzekający!... Mała rzecz: w majątku z 300 krów zostało tylko 150... Ani jednego cugowego konia. Konfitury trzeba smażyć na miodzie, bo nie ma cukru! Brak nafty i książki wypada czytać przy blasku kominka! Czasy, czasy, jakich najstarsi ludzie nie pamiętają...

Stary pan Adalbert urodził się w roku 1820. Miał jedenaście lat w powstanie listopadowe. W powstanie styczniowe — czterdzieści trzy i nie poszedł. Powiedział: „Za stary jestem, niech młodzi idą”. W roku 1915 licząc dziewięćdziesiąt pięć lat wyjechał z synem Ludwikiem, z połową bydła, z całą stajnią, zostawiając tylko osiemdziesiąt trzy konie robocze, w głąb Rosji. W domu pozostała ułomna ciotka Zygmunta, zdecydowanajak przykazywała tradycja kobietom-Polkom, stawiać czoła wszelkim przeciwnościom losu. Bitwy przeszły jednak bokami, największa z nich aż koło Szawel. Gdy do domu zajechał pierwszy patrol wirtemberskich ułanów, Ritimeister

314
zsiadł z konia, otrzepał mundur, włożył monokl i wszedł na ganek.

Dzień był słoneczny, wczesnej jesieni. Kwitły obficie georginie. Na bocznej werandzie nakrywano właśnie do podwieczorku. Ostre cienie od drzew padały na strzyżony trawnik.

— Niech Ewunia powie, że jestem chora — oświadczyła ciotka.

— Ale jak ja powiem, kiedy nie umiem po niemiecku.

— Ach, skaranie z tą służbą. Zaraz. Antosiowa! Antosioo-oowa!...

Zanim z ogrodu jagodowego przyszła ochmistrzyni, rotmistrz przyglądał się przez monokl portretom w salonie, a jednocześnie rękawiczką dyskretnie odkurzył buty.

— Antosiowa, proszę powiedzieć temu panu, co przyjechał, tak: „Madam krank”. Co jak wymawia się? No „krank”, zwyczajnie.

— Ooo!... — wyraził ubolewanie rotmistrz, usłyszawszy od Antosiowej smutną wiadomość.

Wyjął monokl z oka i odjechał ze swymi ułanami.

Konie nabrudziły przed gankiem i skopały podkiewkami wygracowany podjazd. Ogrodnik ponuro zabrał się do po-

wtórnego zagracowania drogi.

Gdy Zygmus przyjechał z Wilna, nowy stan rzeczy dawno się już utrwalił. Front przebiegał półkolem od Rygi do Dyneburga, od Dyneburga do Smorgoń, do Baranowicz... Był wtedy śnieżny koniec lutego. I tylko w wierzchołkach wysokiej alei szumiało już jakby po wiosennemu. Nie docierały dalekie grzmoty z pozycji ani nocami, ani w dni pogodne. W domu mieszkała teraz jedna z dalekich krewnych i przesiadywały ciotki z sąsiedztwa. Za rozległym salonem znajdował się pokój biblioteczny dziadka Adalberta, gdzie za szybami ośmiu szaf stały wszystkie mądrości XIX wieku. Pan Adalbert czytał powoli. Ostatnie polskie wydanie Darwina, w grubej broszurowanej oprawie, O pochodzeniu gatunków z roku 1874 nie było jeszcze rozcięte. Z biblioteki wychodziły drzwi na werandę boczną, zbiegającą schodami do ogrodu. Książki nowoczesne i wydania luksusowe, jak np. wyprawa Nansena na „Framie”, albo Wojna i pokój Tołstoja, której trzeci tom był właśnie w głośnym czytaniu, znajdowały się w buduarze ciotki, przerobionym na jej gabinet prywatny, w drugim skrzydle dworu. Taki był rozkład domu.

315

Zmartwień bywało masami. Właśnie jedno z nich sprawił Zygmus niedługo po swym przyjeździe. Zakochał się on w służącej Ewuni, która miała osiemnasty rok i była bardzo ładna. Tym gorzej dla niej, choć miłość Zygmunia miała wszystkie cechy miłości idealnej. Druga pokojówka, również ładna, o kasztanowych włosach i niespodziewanie granatowych oczach, nazywała się Marysia. Powszechnie uchodziła już za „starą”, ponieważ miała obfite piersi i liczyła lat dwadzieścia sześć. Ona też pierwsza zwróciła uwagę Antosiowej na to „co się dzieje”... Antosiowa podczas zdawania rachunków mlecznych wyznała ciotce. Narada rodzinna powzięła decyzję błyskawiczną: Ewunia miała starającego się w osobie młodego gospodarza, jednosielca, w tzw. Rockiszkach, już za lasem.

Wiorst osiem, może z hakiem. Wprawdzie na odludziu, ale „Ewunia nie ma powodu znowu tak bardzo kręcić nosem...” Sprawę zaaranżowano w czasie, gdy Zygmus został zaproszony na kilka tygodni do drugiej ciotki aż za Niewiażę.

Gdy wrócił, była pełna wiosna i nie było już Ewuni.

Las zataczał czarno-zielonym półkręgiem od strony północnej. Na jego froncie stały wysokopienne osiki, dęby, jesiony, brzozy, same liściaste drzewa. Ale o staję dalej, na wzgórkach zrytych norami borsuków, ciągnął się pas gęstych krzewów i młodniaku. Tu gnieździła się nieprzebrana masa słowików. Pan Adalbert nie pozwalał od lat już nic tam ruszać, i ta kolonia słowicza słyneła na całą okolicę. Bywało w sezonie, nocami, głos ich leciał na wiele wiorst w promieniu. Wtedy wyprowadzano gości na werandę, żeby posłuchali koncertu.

Wszyscy ziewali i zazwyczaj chwalili bardzo.

Zanim Zygmus dowiedział się szczegółów tragedii, która go spotkała, minęło sporo dni. Wybrał się po południu, na przełaj, lasami. Rzeki nie było w okolicy, i dlatego może wody,

które rozlewały wczesną wiosną, trzymały później długo w rozlewiskach. Wysychały stopniowo i przed końcem czerwca chodzić po lesie nie było łatwo. Gdy Zygmund doznał do Ródkiszek, zaczynał się już pogodny wieczór. Ewidentnie zobaczył zaraz, stojącą przy płocie i rozwieszającą wymyte garnki dnem do góry. Na jego widok przestraszyła się i nie ukrywała szczerzej niechęci.

— Mąż — powiedziała — zaraz nadejdzie z lasu. Niech Zygmund nie zawraca głowy i wraca do cioci.

316

Zresztą, jak każda kobieta, która szczerze nie pragnie mieć z kimś do czynienia, bez zbędnych słów, samym zachowaniem, odepchnęła od siebie Zygmunta. Powrót był straszny. Każdy krok sprawiał mu moralne cierpienie. Ścieżki się popłatały, a gdy wyrzwał księżyc i odbił się w mokradłach, świat wydawał się wrogi, a przede wszystkim do niepoznania obcy. Wtedy Zygmund zatrzymał się i długo stał wsłuchując się w ciszę. W naprężeniu eliminował szmery i szepty liści, aż wreszcie złapał kierunek, z którego śpiewają słowiki, i ponury, złamany na duszy, poszedł prosto na ten śpiew.

To co trzeciego dnia, w odpowiedniej chwili, naszeptowała mu Marysia, miało być wielkim ostrzeżeniem:

— Proszę tam więcej nie chodzić. Jej mąż jak zobaczy, to może jeszcze, zaczaiwszy się pod drzewem, strzelić z obrezu. Ot jak może skończyć się.

Zygmund miał przyjąć dramatyczną postawę, zapytał naiwnie:

— A skąd on ma?

— Sztuka! Każdy teraz tylko i chodzi z obrezem pod połą.

* * *

To była przesada. Daleko: nie każdy! „Obrez” dopiero zaczął się rozpowszechniać.

Kto pierwszy wpadł na pomysł tak łatwy i wskazał innym, nie wiadomo. Po prostu należało odpiłować część lufy karabinu i uczynić tak krótkim, aby go właśnie można było ukryć pod połą kozucha, szynelu czy siermięgi. Stąd nazwa: „obrez”, znaczy obrzezany. Wprawdzie broń traciła przez to na celności strzału i jego odległości, ale też nie na daleką odległość była używana. Zaletę jej stanowiło natomiast, że zadawała cięższe rany, niż kula wystrzelona z długolufowego karabinu. Czasem nawet roznosiła czaszkę w kawałki. Przypuszczalnie pionierami tego wynalazku byli ci żołnierze armii rosyjskiej, którzy z ówczesnych okrażeń niemieckich nie zechcieli pójść do niewoli, a wybierali raczej lasy. Nie była to jednak partyzantka późniejszych wojen. Nikt nią nie dowodził i nie wzywał do formowania. Byli to jeszcze ludzie wolni. Broniący swej indywidualnej formy życia. Nie krępowani sloganami. Nie mordujący w imię wzniosłych haseł, lecz po prostu w prywatnym interesie. Ale znowuż nie wszyscy byli bandytami. Chcieli po prostu jeść, pić i spać raczej z upatrzoną przez

317

siebie dziewczyną niżli za drutem kolczastym. I taki to był

początek.

* * *

Jakoś latem, gdy słowiki dawno już przestały śpiewać, gdy aleja dojazdowa stała jeszcze w pełnej zieleni, ale już zieleni przejrzałej — mącąc kałuże onegdajszego deszczu toczyła się furmanka z dwoma Żydami z Poniewieża. W powietrzu nie pachniało jeszcze grzybami, jednak na przydrożnych krzakach, zwiastując późną porę roku, zwisały pojedyncze kłosa, zdarte z wozów, które otarły się przejeżdżając tędy ze snopami do odryny. Pola były już puste. Furmanka skręciła nie pod główny ganek, ale na podwórze folwarczne, i dopiero stamtąd, bokiem, interesanci przeszli tylnym wejściem do kuchni. Ciotka była na werandzie.

— Proszę pani — oznajmiła Marysia — Żydzi przyjechali na kont sadu.

Starszy z nich, bardziej wyrobiony, rozpoczął wstępne rokowania.

— No ileż Mowsza koniec końców daje? — przerwała ciotka okólne wywody.

— Ja przepraszam, pani grabina, co można dać? Pani wie jakie teraz czasy?

— No wiem.

Ogrodnik już z daleka spostrzegł furmankę i bardziej po-nury niż zazwyczaj poszedł do słomianego szałas pośród sadu i siadł tam, nie patrząc na obficie w tym roku dojrzewające owoce. Miał w tym osobistą kalkulację, że nie znosił obcej dzierzawy. Pierwszą wiadomość o rozbiciu układów przyniósł mu Zygmus. Między drzewami, w promieniach słońca, gęsto migotały muszki. Ptaszki były nażarte i senne. Tylko ze szczytów alei dochodziło monotonne trelowanie dzwońców.

— Nareszcie choć raz coś mądrego zmyśliła ciocia — odezwał się bez szacunku ogrodnik, ale widać, że się ucieszył. — A to trzymają takkkie sady i Żydom oddają! Ech, rozjeżdżają wszawe brody. Obrezu na nich nie ma.

— A ogrodnik ma?

— Czego? Obrezu?! A na co on mnie! — wykrzyknął zdziwiony. — Z miłości chyba strzelać się, czy co...

Zygmus, który wciąż jeszcze myślał o Ewuni, westchnął ciężko. Westchnienie sprawiło ogrodnika w buntowniczo-cyniczny nastrój. Siedząc niewygodnie na zgiętej nodze i popa-

318

trując w błękit między drzewami, wybuchnął sztucznym, diabolicznym śmiechem:

— Z miłości!... No i trzebaż takich durniów na świecie! A jeszcze panowie, uczeni, nazywają się. Z miłości strzelać się! Ha, ha, ha! Pieniądze, majątki takie, konie, wszystko... A tu z miłości!

Aż wstał, pochylił głowę i wyszedł z szałas. Z ręką wyciągniętą ku słońcu natrząsał się nie wiadomo czy bardziej nad miłością, czy niesprawiedliwym podziałem dóbr, czy też tylko wspominał znowu nie przeżuty dotychczas wypadek w życiu. Skośna jego bródka zadarta była ku niebu, a jabłko

Adama chodziło mu gwałtownie po grdyce.

Zygmus znalazł tę historię. Usłyszał ją przy okazji, gdy ogrodnik wylewał kiedyś swą pogardliwą żółć na dziadka Adalberta:

— Pan. Co to za pan! Stooooi z nosem w róży utkwiwszy, rozkraczony (i pokazał jak) i ćwierka jak ta konoplanka! Ot, pan był, kiedy służyłem u W. Czystego pola trzy tysiące dziecięcin, nie wliczając lasu. Bywało w niedziela, parobcy stoją przy młynie i z mostu plują w wodę. To pan podejdzie cichaczem, schwyci za spodnie z tyłu i plusk do stawu! No, taka zabawa. „A później, Wańka — mówi — przychodź — mówi — na pokoje, dam tobie inne ubranie”. Toż to był garnitur, co Wańce później Żyd 15 rubli dał za niego! O, pan. I taki pan zakochał się, ale żeby choć w kim! W Lusi takiej jednej, tegoż młynarza córce. To jak ona jego później rzuciła z innym, zastrzelił się! Tfu! — i ogrodnik splunął suchym powietrzem i zakręcił się w miejscu z gniewu.

Zygmus długo jeszcze przemyślał o zbrodniczym czynie: wydostać skądciś obrez i zastrzelić męża Ewuni. Dni się jednak wlokły i plan rozlaźił się jak pajęczyna w palcach, aż rozwiały go wiatry jesienne.

Raz, gdy czytano wieczorem książkę przed kominkiem, Marysia wyszła z cienia kredensowego pokoju i przerywając bez pardonu, powiedziała do wszystkich:

— Żydów w lesie zabili.

— Jakich?!...

— Zdaje się, że tych samych, co latem przyjeżdżali na kont sadu. Z Poniewieża. Tylko co człowiek był przyjechawszy z Sujet, opowiadał. Lasem jechali. Ograbili i zabili z obrezów.

— Boże, co za czasy! — wykrzyknęła ciotka zza Niewiaży.

319

* * *

Aleja dojazdowa była coraz mniej żółta, coraz bardziej przybierała kolor rdzawo-czarny, od liści skręconych, podmarzłych już, od pni ciemnych i czarnej, tłustej drogi, rozjeżdżonej koleinami z odbitymi pośrodku śladami podków. Wiatr przechodził teraz nie zatrzymywany poprzez siatkę gałązek. Niósł dużo jesiennych zapachów wilgotnego lasu z północy.

— Bokiem po wydeptanej ścieżce szedł człowiek o jasnej brodzie, w długim szynelu bez tylnej klapy. W ręku miał długi posoch do opędzania się przed psami. Na plecach pusty worek.

— Dobry wieczór — powiedział, choć słońce zaledwie minęło południe.

Zygmus zatrzymał się bez słowa. Nieznajomy uśmiechnął się doń oczami:

— Chleba, czy można by dostać trochę?

— Chleba... — przeciągnął zdziwiony dlaczegoś Zygmus.

— Owszem, można. A wy z daleka?

— Z kawałka drogi — odpowiedział wymijająco, ale wesoło.

— To wy pewnie z plennych będziecie? („Plennymi” nazy-

wano wonczas wszystkich żołnierzy rosyjskich pod okupacją niemiecką, niezależnie czy siedzieli za drutami, czy błakali się po polach-lasach.)

— Jakoś na swobodzie Bóg zezwolił, na razie. Psów dużo u was?

— Dwa.

I Zygmus przyspieszył kroku, by zaskoczyć do kredensu po chleb.

Antosiowej nie było. Marysia, ostatnimi czasy dla Zygmu-
sia zawsze bardzo dobra i miła, zaczęła mu tym razem ten chleb wrywać.

— Jaki on tam biedny; nic innego tylko na przespiegi przyszedł. Wysłali zbadać, bandyci. Ojej, ojej, napadną teraz w nocy! Powiem pani, wszystko jedno!

Gdy Zygmus wychodził z bochenkiem, zatrzymał go głos:

— Zygmuusiu! Zygmuusiu!

Nim się wycertował z ciotką i wreszcie wybiegł, przybysza nie było już w alei. Znalazł go dopiero w oddaleniu, z drugiej strony dworu, za sadem, na ścieżce wiodącej prosto do lasu.

Ledwo zdążył dopędzić. Człowiek uśmiechnął się pobłaźliwie

320

na widok zdyszanego chłopca, gestem źle maskowanej ironii schował bochenek do worka i obojętnie podziękował. Zygmus stał przy nim zaskoczony tą obojętnością i wyraźnie dotknięty. „Racja, że niebiedny”, pomyślał. Tamten dostrzegł wyraz zawodu na twarzy Zygmu-
sia i zwęził oczy w uśmiechu. Pół serio, pół żartem oświadczył:

— Życ będę, nie zapomnę. Fakt — dodał. — A psy u was słabowate.

Zarzuci! worek i poszedł w las usłany spodem opadłym li-
stowiem.

Noc minęła spokojnie. Ale napady w okolicy zaczęły się mnożyć. Później prawie co rano donosił ktoś o nowym, nocnym napadzie na majątek. Krąg się zacieśniał. Deszcze padały. Wiatr szumiał. Dawno już ogrodnik palił piece w cieplarni. Dymy kładły się nisko. Czytano Wojnę i pokój przed komin-
kiem. A fatalny krąg się zaciskał. Jedną z ciotek już obrabowano, gdy właśnie nie była obecna w domu. Byli podobno nawet grzeczni, nikogo nie zabili prócz psa. Zagrabili co było cenniejszego, także żywność, i poszli. Natomiast jednego z Gasztowtów zamordowali.

— To nie tylko plenne — zawyrokowała Marysia. — To także swoi ludzie. Swoi to najgorsi.

Tymczasem front stał w miejscu jak zaklęty wojną. Od Rygi do Dyneburga, od Dyneburga do Baranowicz.

* * *

Zaczynało marznąć błoto, zrazu na wierzchu, aż któregoś dnia droga skostniała w grudę. A pierwszego śniegu wciąż nie było, jeżeli nie liczyć białej, suchej kaszki z nieba, którą wiatr następnie rozpędzał po koleinach. Front stał i kawaleria, którą wszystką prawie Niemcy ściągnęli na wschód, okazała się bezużyteczna. Ażeby wyżywić tę masę beczynnych koni i lu-

dzi, roztasowano ich w drobnych sekcjach po niektórych majątkach, niby pod pozorem pomocy w gospodarstwie. Pomoc to była żadna, ale i ujmę też niewiele. Sześciu dragonów otrzymało pomieszczenie w pustym skrzydle przy domku ogrodnika po drugiej stronie stawu. Konie ich stały w opróżnionej stajni wyjazdowej i do wyjazdowego też celu zaczęły służyć, bo roboty w polu ustały. Za to można się już było nie obawiać nocnego napadu i przystąpić do głośnej lektury, która zwłaszcza w ostatnich tygodniach się nie kleiła.

321

W pierwszą prawdziwą sannę ciotka zleciła Zygmusiowi pojechać za Niewiażę.

— Marysiu — powiedziała — proszę pójść do dragonów i kazać, żeby jutro na siódmą rano założyli do małych saneczek.

— Kiedy ja, proszę pani... — Marysia spuściła oczy — ja bym wolała nie chodzić... do dragonów.

— Aha, no dobrze — zgodziła się ciotka tonem raczej aprobaty. — To niech pójdzie Antosiowa. Albo może ty sam — zwróciła się do Zygmunta — skoczysz i powiesz.

Zygmunt wyszedł w mroźną noc. Śnieg skrzypiał. Wielka Niedźwiedzica wisiała w dół dyszłem nad majaczącym w oddali dachem obory. Było świeżo w płucach i rześko na sercu. Nazajutrz saneczki stały już, nie przed samym gankiem, a jak nakazywała etykieta, o dwadzieścia kroków wstecz, by na dany znak podjechać z rozmachem. Ciotka w narzuconym futrze wyszła, aby osobiście dojrzeć odjazdu.

— A proszę mi tylko — powiedziała po niemiecku — dowieźć bez wypadku siostrzeńca.

— Jawohl, Frau Baronin! — odsalutował służbiście dragon, ściągając lejcami wierzchowca, niezbyt wdrożonego do biegania w sankach.

Słońce, czerwone jak na oleodruku, ledwo się wzniosło.

Pojechali zrazu otwartą równiną, a potem kilka wiorst chrustami, wśród nieskończonych pętli zajęczych śladów. Droga była równa, wąska na jednego konia, w niezbyt głębokim śniegu. Nie dojeżdżając wysokopiennego lasu, ujrzeli raptownie trzech ludzi. Wszyscy w starych burych szynelach, wszyscy trzej z obrezami, nie ukrytymi pod połą, ale jawnie na ramieniu. Pierwszy szedł o pięć kroków przodem, środkiem drogi. Dwaj z tyłu obok siebie. Wyłonili się do tego stopnia niespodziewanie za zakrętem, że zaskoczenie było kompletne.

— O, Herrrje... Sssakra... — syknął dragon i bezradnie, nerwowo zaruszał rękami, w których trzymał lejce.

Zawrócić w miejscu na jednokonnej dróżce w śniegu nie było łatwo. A co robić?! Krótki karabin kawaleryjski wystawał sobie bezpiecznie końcem lufy spod zapiętego fartucha sanek, pomiędzy powożącym dragonem i Zygmuntem. Oddać mu lejce, wy dostać broń z niewygodnej pozycji? A tych trzech

322

o piętnaście kroków!... Odruchowo dragon osadził konia w

miejscu...

Ale oto idący przodem bystrym spojrzeniem obrzucił drobny zaprzęg, młodego chłopca i żołnierza i nie zdejmując obrezu z ramienia, machnął ręką na znak, że mogą jechać dalej; wstąpił w śnieg do połowy cholew, dając drogę, i uczynił gest wstecz do swych towarzyszy. Tamci rozstąpili się w milczeniu, puszczając sanki środkiem. Pobladły dragon uderzył lejcami po końskim zadzie, zgubił rękawiczkę, którą już zaczął uprzednio zdejmować, i minęli się bez słowa.

Dawno już słońce z czerwonego zrobiło się złote. Las stał, zamrożony w podniebnych sosnach. Śnieg skwierczał pod płozami i pobłyskiwał. Długo jechali bardzo szybko, aż blada twarz dragona poczerwieniała nagle, ni to z mrozu, ni to z wewnętrznej emocji.

— Ale nie opowiadać nic o tym zdarzeniu moim kameradom w domu — poprosił.

— Nieee? — zdziwił się Zygmus z odcieniem zawodu w głosie. — Dlaczego?

— Będą się śmieli.

* * *

Ogrodnika zamordowano nie wiadomo za co i dlaczego.

Po co szedł przez las i do kogo? Może Piotrowski, ekonom, coś wiedział, ale za cały komentarz machnął lekceważąco ręką:

— Czyż to był człowiek?! Jakie życie, taka śmierć.

Trzy dni temu wybuchła między nimi okropna awantura o rzekomo niesprawiedliwy podział ordynarii. Ogrodnik był impetyk i krzyczał na całe podwórze do Piotrowskiego:

— Żeby ciebie z trumną zakopali! Żeby ty w lustrze własnego trupa zobaczył!

A oto sam leżał teraz, odnaleziony przez gajowego, na ścieżce prowadzącej przez las do zaścianka Dawnagol. Twardy jak kamień na mrozie, z rękami uniesionymi ku twarzy, oczy zaszele, jakby rybim pęcherzem pokryte, usta otwarte w literę „o”. Zwłaszcza otwór tych ust robił straszne wrażenie; zdawało się, że wskazuje patrzącym, którędy w ostatniej chwili uciekła dusza. Strzał z bliska, z obrezu, wyrwał płat mięsa na piersiach.

323

Stelmach Bukowski, tak ciężki w słowach, krokach i rękach, że gdy robił wozy to raczej nie dla koni, ale dla słońi przeznaczone, miał swoje zdanie:

— To nie o pieniądze. To o babę poszło. Dawnagolską.

Więcej Bukowski nie powiedział nic.

Nikt sprawy nie dochodził, żadna policja nie przyjeżdżała.

Bo niby skąd? Żandarmi z Szadowa bawili gdzieś na weselu, które trwało trzy dni, ogrodnika tymczasem pochowano.

Front stał wciąż pod Rygą. Ludzi z obrezami było coraz więcej, a ich zachowanie przybierało charakter jednostronnego bandytyzmu. I morderstwa stały się częstsze i wreszcie napady z dworów i bogatych Żydów przerzuciły się na bogatych chłopów; z bogatych na średnich i w ten sposób, z wol-

na, nikt już nie był pewien swego mienia.

Z wolna też, stronica za stronicą, doczytywano głośno, przy kominku, ostatnie tomy Wojny i pokoju.

* * *

Z bardzo daleka dzwonił dzwoneczek u sanek.

Pod koniec marca śniegi leżały jeszcze głębokie. W samo południe w odrynie oczyszczano tok. Podczas przerwy robotycznej ekonom Piotrowski siadł na złożonych na zewnątrz pniach, które tu leżały od Bóg wie kiedy i w zapomnianym już przeznaczeniu. Sam zapalił i dał zapalić parobkom.

Dziewczęta, z podwiązanymi pod brodą chusteczkami, przysiadły dalej, a Zygmunt stał oparty o rozwarte na oścież wie-rzeje. Słońce już grzało. Śnieg był zdeptany ze słomą na poły, i trznadle, podobne zarówno do wróbli, jak do skowronków, szukały w nim zagubionych ziaren. Wszystko wokół było spokojne, ciche, słoneczne.

Z daleka podzwaniał dzwoneczek u sanek.

Rozmowa toczyła się na temat skórzanego kapciucha z tytoniem, który znalazł na drodze koniuch Broniuk. Ktoś przytoczył analogiczny wypadek ze swego życia. Później zaczął Piotrowski:

— Kiedyś... Byłem wtedy jeszcze młody i nieżonaty, a służyłem... To stąd daleko. No jednym słowem wracam, jakby ot dziś, w południe, z Kiejdan, z miasteczka.

— Zimową porą? — spytał Broniuk.

— Jakie zimową! Latem, w sam gorąc. Piasek, koniowi ciężko, to puściłem krokiem, niech przejdzie. I sam tak sobie zamyśliłem się, powiedzieć prawdę, o niczym. Ot, biczem po

324

piasku czasem przeciągnę. No i w końcu leży pudełko zapalek na drodze. Ja masierozumieć końcem bicza, nie myśląc, podciąłem jego. Aż tu słyszę raptem jakby w nim coś: „dzyń!”... O to ja: „prrrr!” i zlążą z bryczki. A bryczka była le-dzienka taka, podjazdka.

Wyciągnął nową bibułkę, żeby skrócić papierosa. Już miał poślinić, ale zmrużył oczy w dal, ponad śniegi w kierunku lasu, skąd drogą zbliżał się dzwoneczek.

— Czy nie będą to czasem pana Woyniłłowicza z Borci-szonek, sanki żółte...

— Może być — przytaknął jeden z parobków.

— No i co było w tym pudełku?! — nie wytrzymała z ciekawości zasłuchana Malwina.

— Aha, no więc. Złazłem, otwieram, a tu, w pudełku od zapalek, trzy ruble srebrne i sześćdziesiąt kopiejek.

Nastała cisza, w której każdy snadź rozmyślał nad szczęściem, jakie go minęło w życiu. Tylko trznadle ćwierkały dalej, i tylko dzwoneczek był coraz bliżej. — Gniada klacz biegła wyciągniętym kłusem i wkrótce słyhać już było jak mokrym śniegiem z kopyt biła czasem w przodek sani.

Któż mógł przypuszczać przed odryną, że oto z dzwonkiem tych sanek zbliża się pierwsza wielka wiadomość o zakończeniu całej epoki ludzkiej! Że oto nastąpić mają takie

zmiany, w których życie i śmierć każdego z nich zależeć już będzie od nowych form nowego wieku!

Istotnie był to pan Woyniłłowicz, pierwszy w okolicy, który otrzymał wiadomość o rewolucji w Rosji. Nie wytrzymał na swym małym folwarku: założył gniadą i popędził do sąsiadów. Bezpośredni rezultat nie dał na siebie długo czekać.

Wkrótce pękł front pod Rygą i armia niemiecka ruszyła na przód. W pokoju kredensowym, w którym zazwyczaj przyjmowało się służbę lub niższych oficjalistów, stłoczyło się sześciu dragonów, przybyłych pożegnać „Frau Baronin”, jak nazywali ułomną ciotkę. Postali, poszurgali długimi butami z żółtej skóry, o niedzwoniących ostrogach w gwiazdkę. Jeden z nich naniósł błota i był tym speszony.

— Dokąd teraz?

Nie, nie wiedzą nic. W Poniewieżu zbiórka całego regimentu. A później gdzieś... Pewnie daleko, do Rosji. Oni tam zrzucili swego Kaisera.

325

Ciotka westchnęła, bo właściwie była trochę skąpa, nie chciała ich niczym częstować na pożegnanie i czekała, żeby już sobie poszli. Gefreiter Schnitzler zrozumiał ją inaczej i też westchnął:

— Tak, tak, my wszyscy należymy do jednej partii:

„K. M.”

— Co to jest partia K. M.? — zapytała ciotka.

— Kriegs-Mude, zmęczeni wojną — wyjaśnił zadowolony z dowcipu, a inni uśmiechnęli się blado.

W czwartą noc po ich odjeździe ludzie uzbrojeni w obrezy dokonali napadu na majątek.

* * *

Ilu ich było, nikt nie ustalał. Noc była czarna, wietrzna, wilgotno-zimna. Znad stawu szła mgła. Z przeoranych pól ciągnęło zapachem świeżej, chłodnej ziemi. Kilku musiało zostać na czatach. Do dworu wdarło się pięciu.

Zygmusł mieszkał w odległym pokoiku na piętrze, tzw.

salce. Gdy zbudzony z głębokiego snu hałasem na dole, domyślił się co zaszło, serce zaczęło mu skakać do gardła, ale się nie bał. Nie bał się tą młodzieńczą odwagą człowieka, którego nikt jeszcze w życiu nie skopał nogami. Nie bał się, gdyż nie posiadał doświadczenia, że oglądać śmierć, rozsiewaną obficie przez wielką wojnę, to nie jest to samo co... Ach, nie! co innego jest spoglądać na śmierć, a co innego, gdy śmierć sama zajrzy w oczy... Był więc tylko strasznie podniecony.

Przygotował już sobie na ten wypadek stalowy obuszek z kopiański i nóż myśliwski. Odgrażał się też kilkakrotnie wobec domowników, wykładając swój plan, jak schowany za drzwiami rąbnie po czaszce pierwszego, który będzie wchodził. Marysia nie odpowiedziała wówczas nic na te przechwałki. Ale oto w tej chwili, gdy drżąc w strasznym pośpiechu wciągał buty na gołe nogi, usłyszał tupot jej nagich stóp. Nie mógł się chyba mylić. Był pewien, że biegnie wołać go na pomoc. Gdy raptem stała się rzecz niesłychana... Szybka ręka przekreśliła

dwukrotnie klucz, który tkwił zawsze na zewnątrz drzwi. Zygmus najpierw osłupiał, a później skoczył jednym susem, tłukąc pięściami:

— Marysia! Marrrysia! Otwórz w tej chwili! W tej chwili otwórz!

Ale nikt go już na dole nie słyszał.

326

Prócz dwóch ciotek przebywał wtedy w domu sąsiad pan Stanisław z żoną. Bandytom otwarto, gdy drzwi zaczęły już trzeszczeć pod uderzeniami kolb. Wchodzili z palcami na cynglu, a ręce im trochę drżały. Od razu było poznać, że są bardzo zdenerwowani, i że bardzo się spieszą. Mówili bowiem najczęściej: „Prędeż, prędeż!” Latarki ich nie rozpraszały całkowicie ciemności. Słaby blask to przebiegał bezładnie po ludziach, meblach, to znów połyskiwał złowrogo na lufach obrezów.

Ułomna ciotka, w szlafroku i nocnym czepku, spod którego wypadł warkocz siwych włosów, zachowała pozornie zimną krew. Na żądanie wydania wszystkich pieniędzy, oddała przygotowaną zawczasu paczkę banknotów. Gdy kazano jej wydać „wszystko co ma”, a nie tylko „te śmiecie”, przeżegnała się krzyżem świętym, uklękła i powiedziała:

— Możecie mnie zabić, ale więcej w domu nie mam.

Nikt jej nie zabijał. Bandyty zabrali, prócz wręczonych im pieniędzy, futra co były w sieniach, pierścionki z palców, zegarki, trochę bielizny i ubrania z szaf. Ze spiżarni półcie słoniny, kielbasy, beczulkę miodu, sery... Antosiowa stała blada, w nocnej koszuli, jak nocna mara. Nie była w stanie wydobyć z siebie jednego słowa. Marysia w świetle latarki, z rozszerzonymi strachem źrenicami, była chyba ładniejsza niż zazwyczaj, ale nikt jej nie zaczepiał ani brutalnie, ani sprośnie. Raz tylko potracono pana Stanisława, każąc mu wydać rewolwer, ale gdy ten jękając się zaczął wyjaśniać, że nie ma, że przecież Niemcy zakazali posiadania... nie wysłuchano do końca jego wywodów. O wchodzeniu na piętro nie było nawet mowy. Wyszli w głuchą noc, zabraniając domownikom ruszać się w ciągu godziny. Strzelili do szczekającego psa, ale po ciemku nie trafili.

Gdy Marysia otworzyła drzwi salki, Zygmus opanowany wściekłością zaczął ją w pierwszej chwili okładać pięściami.

Nie bardzo się nawet broniła.

— Głupi jesteś — zawyrokowała ciotka przy śniadaniu, które podano już o świcie. — Ona tobie uratowała życie. — A po namyśle dodała: — A może i nam wszystkim.

Po Marysi było poznać, że jest z tej uwagi szczęśliwa, ale nie śmiała podnieść na Zygmuta swych dziwnie granatowych oczu. Przy gorącej kawie wspomniano już chyba po raz dziesiąty i trochę bezładnie przeżyte wrażenia nocne. Gdy do-

327

szło do szczegółu klęczącej ciotki, żegnającej się krzyżem, Zygmus wykrzyknął:

— I ciocia oddała wszystkie pieniądze?!

W tym momencie pan Stanisław zaczął skwapliwie mieszać w filiżance, choć kawę pił zawsze bez cukru. Ciotka spojrzała na siostrzeńca wzrokiem karcącym, jakim się patrzy na nietaktowne przy stole dzieci. I tylko jedna Marysia, która nabrała teraz stałej manieri wtrącania się do rozmów, powiedziała zwyczajnie:

— Też, któż to bandytom będzie prawdę mówił!

Następne dni przebiegły w atmosferze sztucznego napięcia. W piątek ciotka kazała założyć parę koni do zwykłego wozu, ponieważ było ciężkie błoto i zachodziła obawa połamania resorów i pojechała do księdza proboszcza, by się wypowiedzieć.

* * *

Minął rok.

Pan Adalbert nie wrócił. Ani jego konie cugowe, ani rasowe holendry, ani bryczki, ani powozy. Pochowano go w Saratowie, a wszystko inne przepadło w odmętach rewolucji. Wrócił tylko stryj Ludwik z jedną walizką w ręku. Było bardzo patetycznie: ukląkł na granicy {zresztą spornej ze wsią}, ucałował własną ziemię, a potem na werandzie nakryto do uroczego obiadu, podczas którego dużo ciekawych rzeczy opowiadał o rewolucji.

Tymczasem przewrót się rozszerzał, objął trzy czwarte Europy; poleciały trony, pieniądze, hipoteki w bankach. Armia niemiecka ustępowała już bezładnie. I rzecz charakterystyczna, to czego ani administracja, ani wojsko okupacyjne nie potrafiło opanować w ciągu kilku lat, z tym w nastalym nagle bezkrólewiu sama ludność załatwiła się w ciągu kilku tygodni. Kraj cały oczyszczono z bandytów.

Była znowu wiosna, rozchlapana, dżdżysta, rozkałużona po niżej położonych polach; pełna wron na skibach ledwo oblażłych ze śniegu. Wiosna tkwiąca brzoźami w rozlewiskach, chmurna, pachnąca wodą, dymiącym na deszczu koniem i przemoczoną burką; parująca naniesionym w chacie błotem. Wiosna rankami mglista, bez skowronków, rozkrakana powracającymi gawronami.

We wsi Wałdejki odbywał się sąd chłopski. Przysłano umyślnego do dworu, ażeby przyjechać i rozeznąć własne, 328

odebrane bandytom przedmioty. Stryj Ludwik wybrał się z Zygmasiem. Wieś pełna była wozów, sterczących duh, odprężonych koni. A zjeżdżali się ciągle nowi chłopci z obrezami w ręku, czerwoni od wiatru i wypitego samogonu. W kuźni, stojącej samotnie w polu na wzgórk, trzymano przestępców. Historia obrezu wstępowała w ten sposób w nową fazę: z narzędzia rabunku cudzej własności, przeistaczała się w rękach chłopskich w narzędzie obrony własności prywatnej. I taki też miał pozostać ów obrez, aż do ostatnich dni, szeroko rozpowszechniony w całej Europie Wschodniej, skierowany swą krótką, obciętą u kowala lufą przeciwko późniejszym bandytom z rewolucji bolszewickiej. Znowu spod poły, zza węgła, w ciemnym lesie, lub wymierzony w okno aktywisty,

aż doczekał się w nomenklaturze oficjalnej miana „kułackiego obrezu”. Ale wracam do historii Zygmuścia.

W kuźni było ciemno. Ktoś dzwonił łańcuchami. Gdy wzrok trochę się oswoił, Zygmuś dojrzał postaci stojące rzędem u wielkiego kłosa, do którego przykute były za ręce żelaznymi pętami końskimi. Pierwszy od drzwi stał wysoki człowiek o jasnej brodzie, tu i ówdzie powyrywanej kłakami; na pozostałych włosach, na ustach, pod nosem zakrzepła krew; lewego oka niepodobna było dostrzec w sinej spuchliznie i bliznach na twarzy; na głowie również czapka zaskorupiałej krwi, rozmazanej zresztą po uszach, brwiach i wierzchu nosa. Zygmuś zatrzymał się w pierwszej chwili jak wryty. Człowiek patrzył nań jednym, prawym okiem i odezwał się głosem nadspodziewanie spokojnym:

— A ot, pamiętam, fakt. Mówiłem, że póki żyć będę, nie zapomnę. Bochenek chleba, a jakże. — Chciał wysmarkać nos palcami, ale krótkie pęta zatrzymały jego rękę. Więc pochylił ku niej głowę i otarł z krwi i śluzu o wierzch dłoni, I później znowu spojrzął. — Tak i wyszło. Życ już niedługo zostało, a przyszło się spamiętać. Fakt.

Nie z twarzy, lecz po głosie poznał Zygmuś owego człowieka w szynelu bez klapy, któremu dał chleb, dawno to już temu, który pytał o ilość psów. „Teraz już są trzy, ale to nieważne” — pomyślał i odstąpił bez słowa o krok w tył. Obok na kowadle leżał czterograniasty bagnet rosyjski, cały we krwi. Był tu położony dla zabawy. Każdy z obrabowanych niegdyś chłopów, który zachodził teraz do kuźni, mógł go wziąć do ręki i jeszcze przed egzekucją bić nim do woli sku-

329
tych bandytów, po głowie, po twarzy, po oczach, po uszach, żeby nasycić zemstę.

Zjawił się też do Wałdejek i jednosielec z Rockiszek, mąż Ewuni. Poradził on sędziom, obranym spośród najpoważniejszych chłopów, to o czym słyszał o średniowiecznym zwyczajem od księdza w Dembowie: żeby kochanki przestępców badać w chomacie; głowę i nogi wsadza się zgięte do wielkiego chomata dla wołów; później zaciąga supoń, a po naciągniętej skórze wypiętych gołych pleców i zadku bije się batogiem lub bykowcem.

W tym czasie stryj Ludwik, krótkowidz ze starości, pochłonięty był w chacie daremnym poszukiwaniem zrabowanych futer. Przewracał je w wielkiej skrzyni, podchodził czasem do okna, pod światło.

* * *

Latem tegoż roku zaprosił mnie Zygmuś do siebie na wakacje. Z wielkim trudem przedostałem się przez kraj opanowany politycznym chaosem.

Gdyśmy wreszcie opowiedzieli sobie wzajemnie przeżycia tych ostatnich lat, zapytałem, czy nie czytają już głośno książki przed kominkiem.

— Nie... Jakoś. Nie wiem zresztą dlaczego. Może już skończyli, a może po prostu nie ma nastroju.

Marysia mi się spodobała i zwróciłem na to uwagę przyjacielowi:

— Ładna jest. I wcale nie taka stara, jak mówiłeś. Lat może dwadzieścia osiem, nie więcej.

— Dwadzieścia dziewięć — poprawił Zygmunt. — Ach, gdybyś widział... Ewunię...

I nagle zamyślił się, przeciągnął, założył ręce za głowę patrząc z werandy na dojazdową aleję. A później machnął dłonią z rezygnacją, jakby tamte sprawy leżały już gdzieś strasznie daleko, hen, w minionej bezpowrotnie epoce.

Wiadomości 1955 nr 7 (463)

330

ZBRODNIA W DOLINIE RZEKI DRAWY

Gdy w roku 1673 pojawił się na Siczy Zaporoskiej Matiuszka Worobiew, chłop pańszczyźniany Dymitra Wiśniowieckiego, i ogłosił się rzekomym carewiczem Symeonem, a Moskwa zażądała wydania samozwarica, Kozacy odpowiedzieli dumnie, że „od wieków wiecznych” Sicz nie wydawała ludzi. Nie znaczy to oczywiście, by narody, podobnie jak pojedynczy ludzie, postępowały zawsze według dumnych oświadczeń, które o sobie samych głoszą; raczej łamią je tak często, jak tego życie wymaga. (W rezultacie i nieszczęsny Worobiew w rok później został poćwiartowany i zakopany w Moskwie w miejscu zwanym Błoto, obok Stieńki Razina.) Natomiast świadczy to, od jakich to już „wieków wiecznych” i w jak dalekim promieniu od centrum kultury chrześcijańskiej uważano tradycję niewydawania ludzi w ręce kata za rzecz, z której należy być dumnym.

Od tego czasu ogłoszono na świecie dodatkowo tysiące pięknych oświadczeń, napisano setki tysięcy wzniosłych słów, wykonano miliony uroczystych gestów w imię kultury i ludzkości. Ale gdy pierwszego czerwca 1945 weszło słońce nad doliną rzeki Drawy, płynącej wąskim korytem południowych Alp, oświetliło ono następujący obraz: wielotysięczna ciżba na kolanach zasłaniająca się krzyżem; po łąkach i polach rozbiegane tabuny koni i wielbłądów; kobiety z dziećmi drapiące się na skaliste zbocza, uchodzące w śmiertelnym przerażeniu przed kulami i pałkami chrześcijańskich żołnierzy, zapędzających wszystko w ręce kata... — Co to było?

A no, gdybym chciał być złośliwy, powiedziałbym ironicznie: wydawanie „Azjatów” w ręce europejskiego marksizmu. Z ocalałych, przebywający obecnie w Ameryce b. generał Wiaczesław Naumenko, od dziesięciu lat zbiera dane, listy, zeznania świadków, rozproszone publikacje itd. Zgromadził, słowem, to, co się nazywa materiałem historycznym. Posegregował, skonfrontował krytycznie, sprawdził autentyczność relacji i odrzucił co wkraczało w dziedzinę legendy.

Cała sprawa nie interesuje mnie ze względów politycznych. Zaczęłem ją badać raczej przez ciekawość rzeczy najgłębiej ludzkich, objętych niewłaściwym mianem „niehumanicznych”. Swojego czasu pisałem o Ponarach pod Wilnem, gdzie

331

mordowano Żydów. Pisałem o Katyniu, gdzie mordowano oficerów polskich. Może zaważyła tu co nieco i ta okoliczność, że i w Ponarach, i w Katyniu byłem osobiście. Otóż byłem też w dolinie rzeki Drawy. Wprawdzie na kilka miesięcy przed opisywanymi wypadkami, ale znam teren, a teren wielkiej chwały czy wielkiej zbrodni ma w sobie zawsze coś przyciągającego. Teren! W danym wypadku spiętrzone fale rzeki, po których płynęły później trupy; łąki, po których biegały później bezpieczeństwa konie; idealnie obojętne szczyty gór, jak zawsze pochłonięte wyłącznie mijaniem się z obłokami; cała przestrzeń dramatu od Villach poprzez Spittal, Steinfeld, Oberdrauburg i Lienz, z ich spiczastymi wieżami kościołków katolickich, które dzwoniły o zmiłowanie nad ludem prawosławnym, zanim im władze brytyjskie tego dzwonięcia nie zakazały-

I jeszcze jedno: widziałem tych ludzi latem 1944, gdy przeprawiali się przez Pilicę. Spotkałem ich w Częstochowie: barankowe czapki z czerwonym denkiem; czarne od wiatru i kurzu, milczące, ponure twarze; chude krowy uczezione do wozów. Żadnej eskorty. To nieprawda, żeby ich kto gnał. Sami ciągnęli na zachód. Nieskończone tabory. Na tle europejskich kamienic robili istotnie wrażenie egzotyczne: uciekająca przed bolszewikami.

Odwrót na Alpy

26 kwietnia 1945 skapitulowały wojska niemieckie we Włoszech. 27 ujęto Mussoliniego. W tym czasie na terenie republiki faszystowskiej północnych Włoch znajdowała się grupa atamana Domanowa, czy jak sama siebie nazywała: „Kozacki Stan”, rozłożona w rejonie miasta Tolmezzo, łącznie pod bronią przeszło siedem tysięcy ludzi. Zgrupowanych koło wojska ludzi cywilnych, więc żon, dzieci, starców i inwalidów, było 8435. Cyfry te pochodzą z końca roku 1944 i nie są zupełnie dokładne. Poza tym w ciągu zimy spływały do Włoch dalsze fale uchodźców. Przybyły też później pułki kozackie ósmy i dziesiąty, których liczebność nie jest bliżej znana. Prócz tego, w pobliżu Gemony stacjonował trzeci pułk zapasowy (około 2500 ludzi), ale ten, w odróżnieniu od sił głównych Domanowa, skapitulował wobec partyzantów włoskich, wywieziony został na południe i wydany bolszewikom w innych okolicznościach.

332

Odmianą też grupę stanowił XV korpus kozacki w składzie trzech dywizji, operujący na Bałkanach przeciwko wojskom Tity. W tym okresie cofał się już na Graz i tam został wydany.

Przy grupie atamana Domanowa znajdował się znany szeroko z wojny domowej gen. Krasnow, głośny pisarz emigracyjny, wódz ruchu kozackiego, wówczas starzec siedemdziesięciosześcioletni, faktycznie nie sprawujący bezpośredniej władzy. W nocy z 27 na 28 kwietnia do kwatery Domanowa zgłosiło się trzech oficerów z czerwonej partyzantki włoskiej, żądając złożenia broni. Domanow oświadczył, że kapi-

tulować będzie jedynie wobec Anglików, złożenia broni odmówił, natomiast obiecał Włochom, że w ciągu trzech dni wycofa się na północ za Alpy. W ten sposób rozpoczął się pierwszy akt dramatu.

Ruszono jedyną wolną jeszcze drogą w góry, na Paluzzo. Stąd na przełęcz Plöcken-Pass na wysokości 1300 m, granicę Austrii. Na dole, gdy odchodzili, kwitły już migdały, zaczynało się włoskie lato. Teraz zamiast pinii zjawily się po obu stronach drogi sosny, zamajaczyły białą korą brzozy, zaczęły się świerki. Zaczął się deszcz, który niebawem przeszedł w wilgotny, lepki śnieg. Zaczęły się też pierwsze oznaki rozprężenia. Przodem maszerował sztab, warsztaty i główne tabory; za czym stacje dońskie, kubańskie, w końcu terskie. Domanow pozostał jeszcze w Tolmezzo, oczekując oddziałów ściągających z rejonu Udine.

Droga na Plocken-Pass wiję się serpentyną. Cały dzień i noc na 3 maja padał śnieg. Samochód, którym jechał gen. Krasnow wraz z żoną i adiutantem, utknął. Przyczepiono go do sztabowego autobusu i ciągnięto na linie. O 22.30 Krasnow minął przełęcz i stanął we wsi Mauthen-Kótschach. Piątego maja podciągnął Domanow z ariergardą. Szóstego wysłał przodem delegację z białą flagą do Anglików. Delegacja wróciła z wiadomością, że brytyjski generał brygady oświadczył co następuje: nic konkretnego o dalszym losie Kozaków powiedzieć nie może; może jedynie zapewnić, iż w żadnym wypadku nie będą wydani Sowiętom.

Czekolada dla dzieci i „słowo honoru” dla starszych

Po drugiej stronie, w dolinie, była wiosna. Po kamieniach pieniać się pędziła rzeka Drawa. Konie, schodząc po szarym

333
asfalcie austriackiej drogi, szeroko rozdymały chrapy, wdychając soczystą zieleń nadbrzeżnych kwiatów na tych łąkach. Smolście pachniały na słońcu sosny i świerki. Wodospad górski wodnym kurzem rozbijał się po skałach. Zakątek przez wojnę zapomniany; dolina cichych pól i skowronków nad nimi.

Na miejscu zastali już oddziały kaukaskie. Rozkaz brytyjski brzmiał: mają się rozłożyć biwakiem wzdłuż Drawy, kolei i szosy na przestrzeni dwudziestu jeden kilometrów.

W północnej części miasta Lienz, przepołowionego rzeką Drawą, stanął kwatęra sztab atamana Domanowa. Gen. Rrasnow z żoną zamieszkał w osobnej willi w odległości czterech kilometrów od miasta, którą mu uprzejmie wyznaczyły władze brytyjskie. Na prawym brzegu stanęła kozacka szkoła junkierska, dalej — przyboczny dywizjon i pierwszy pułk konny. Wzdłuż lewego brzegu: żandarmeria kozacka, pułki dońskie, kubańskie i terskie. Następnie tabory i warsztaty. Przestrzeń na wschód od wsi Nikolsdorf aż do Oberdrauburg zajęły oddziały kaukaskie, tzw. Legion Kaukaski pod wodzą Sułtan-Kelec-Gireja. Rodziny i uchodźcy cywilni znaleźli wygodne pomieszczenie w barakach b. obozu dla jeńców brytyjskich Peggetz, odległego o półtora kilometra od Lienzu.

W południowej części miasta znajdował się sztab brytyjski. Kozakom pozostawiono na razie broń, a z dniem 15 maja poczęto wydawać prowiant. Zadymiły niezliczone ogniska koło szałasów i namiotów. Wzniesiono połowe cerkiewki. Była Wielkanoc. Wydawano też nowe mundury. Dowódca jednej z brygad kozackich zwrócił się do władz brytyjskich z zapytaniem, czy mają nadal prowadzić ćwiczenia wojskowe.

— Oczywiście — odpowiedziano. — Będziecie może już wkrótce potrzebni.

Nie była to żadna rewelacja, a raczej potwierdzenie ogólnego optymizmu politycznego. Znaleźli się wprawdzie pesymiści, którzy przepowiadali, że zaproponują Kozakom służbę w koloniach. Ale tacy należeli do wyjątków. Szkołę junkierską odwiedziło kilku oficerów brytyjskich. Gdy tłumaczka opowiadała im, że niektórzy zrobili tysiące kilometrów, aby dostać się spod jarzma bolszewickiego, oficer brytyjski westchnął:

— Niech ich Bóg wspomaga.

334

Szesnastego maja, nazajutrz po wydaniu obfitych porcji żywnościowych, kazano Kozakom złożyć broń, pozostawiając ją tylko oficerom i żandarmerii.

Istnieje stare jak świat doświadczenie ludzkie, że jak w życiu cywilnym nie oddaje się pieniędzy, tak w życiu wojskowym nie oddaje się broni inaczej niż pod — murowany weksel! Cóż począć jednak, gdy inni pouczają, że optymizm i wiara zdolna jest poruszyć góry.

Do siedziby prywatnego banku kozackiego, umieszczonego w jednym z budynków Lienz, przybył rano oddział żołnierzy brytyjskich i zażądał wydania kluczy od kasy. Mimo protestów, że kasa zawiera wyłącznie prywatne pieniądze Kozaków, żołnierze władowali ją na ciężarówkę i wywieźli. Tymczasem brytyjski oficer łącznikowy nakazał rozdawnictwo dzieciom pomarańcz i czekolady. Zaproponował organizację koncertów i w tym celu odszukanie odpowiedniej sali w mieście. Salę odszukano. Obiecał ją pięknie odremontować na koszt władz okupacyjnych. Obiecał zbudować kuchnie kryte, by Kozacy nie potrzebowali gotować na ogniskach. Istotnie zaczęto już zwozić cegłę. W końcu wystąpił z projektem wydawania gazety kozackiej. W tym celu do lokalu b. niemieckiego Arbeitsamtu zwołał naradę, na którą przybyło dwanaście osób z redaktorem Taruskim na czele. Oficer wyłożył swój plan, zapewniając dostarczenie niezbędnych środków finansowych. Na razie zaś poprosił o — imienny spis wszystkich dziennikarzy. Wręczono mu go z gotowością.

— Thank you very much — odpowiedział oficer.

W kilka dni później Taruski popełnił samobójstwo...

Ale nie wybiegajmy naprzód.

Wczesnym rankiem 27 maja podano do powszechnej wiadomości, że całe wojsko kozackie będzie otrzymywało pełne racje armii brytyjskiej.

— Hurra! — wołano po namiotach i szałasach.

W kilka godzin później, o dziesiątej rozkazano wszystkim oficerom i żandarmerii oddać broń do dwunastej w południe. Na pytanie atamana Domanowa, wyjaśniono, że chodzi tu tylko o zamianę broni na bardziej jednolitą i nowoczesną. Nazajutrz, 28 maja, powiadomiono Domanowa, że wszyscy oficerowie i urzędnicy wojskowi mają się przygotować na godzinę pierwszą po południu do wyjazdu na specjalną konferencję z władzami brytyjskimi.

335

Dzień był upalny. Niebo bez chmur. Wynikło zagadnienie, w co się ubrać na konferencję, do której większość oficerów kozackich przywiązywała wielką wagę. Konferencję z najwyższymi władzami brytyjskimi!

— Płaszcz brać? Wieczór może być chłodny.

— Ale skąd. Żadnych rzeczy, żadnych płaszczów — oficer rozstawił palce u ręki, a drugą zginając palec po palcu zaczął wyliczać: — Moi panowie, o trzeciej rozpoczyna się konferencja w Villach, obrady potrważą godzinę, najwyżej półtorej; o piątej, najdalej o piątej trzydzieści, no powiedzmy o szóstej będziecie z powrotem.

Oficerowie zaczęli się szybko rozchodzić, ażeby zdążyć przebrać się w najlepsze mundury, wyglansować buty. W blyszczących epoletach zjawiali się na miejsce odjazdu. Ci ze starej emigracji przyczepili carskie ordery. W tej chwili... daleko gdzieś, zdawało się w górach, gruchnął strzał. Nikt wówczas nań nie zwrócił uwagi. To zastrzelił się podesauł Gołowinski, „taki dziwak”, jak o nim wczoraj mówiono: jedyny, który odmówił wydania broni. Samochody już podjeżdżały. Tam, gdzie nie działa doświadczenie, działa czasem instynkt: niektóre z żon zaczęły raptem, bez żadnej widocznej przyczyny, płakać.

— Proszę uspokoić żony — powiedział oficer do tłumaczki. — Daję słowo brytyjskiego oficera, że ich mężowie wrócą najpóźniej pomiędzy piątą a szóstą wieczorem.

Dzień był upalny. Może dlatego godziny wlokły się tak długo. Przyszła wreszcie piąta, czekano do szóstej... Minęła siódma... Na konferencję wyjechało parę tysięcy oficerów. Żaden z nich nie wraca. Straszliwe przecucie zaczęło ogarniać pozostałe rodziny. Żołnierze także zaczęli się gromadzić i rozprawiać.

Nikt oczywiście nie mógł wiedzieć o tym, że już pięć dni temu, 23 maja 1945, pomiędzy władzami brytyjskimi i sowieckimi stanął w Wiedniu układ o wydaniu wszystkich oficerów i ich rodzin w ręce władz sowieckich.

W stanicach wzdłuż Drawy przystąpiono w końcu do przygotowywania posiłku wieczornego.

„Konferencja”

Zanim przejdę do opisu jej przebiegu, chciałbym zatrzymać się na chwilę nad niewątpliwie ciekawym zagadnieniem:

336

w jaki sposób tysiące oficerów ze starymi generałami na czele mogło do tego stopnia naiwnie dać się uprowadzić w pułap-

kę? Zaszedł wszak wypadek, który powinien był wywołać niepokój. 27 maja przybył do Lienz gen. Szkuro, stary emigrant, który nigdy obywatelem sowieckim nie był. Jeden z wybitniejszych generałów wojny domowej, przy tym w okresie wspomagania „białych” przez Wielką Brytanię odznaczony wysokim orderem brytyjskim. Zgotowano mu przyjęcie entuzjastyczne.

Nazajutrz... czyli właśnie owego 28 maja, do kwatery gen. Szkuro przybyło dwóch oficerów brytyjskich, aresztowało go i wywiozło w niewiadomym kierunku.

Wypadek ten, sam przez się mogący wzbudzić poważniejsze refleksje, utonął wszakże w rozgardiaszu i komentarzach na temat konferencji. Zwołanie jej nie stało w sprzeczności, a raczej wydawało się większości logiczną konsekwencją optymistycznych oczekiwań. Każdy chciał być raczej obecny niż nieobecny. W nieunikniony konflikt z Sowietami wierzyło 90% Drugiego Korpusu polskiego we Włoszech, jak wierzyło pół Europy. Poza tym Kozacy byli skłonni wszystkie zalety pod słońcem przypisywać Brytyjczykom. Nigdy jeszcze słowo „gentleman” nie było w tak krótkim czasie tylkrotnie wypowiedziane i komentowane. Gdy zaś z ust tych „gentlemanów” padały zapewnienia poparte honorem oficerskim, rozproszyły się ostatnie wątpliwości nielicznych sceptyków.

Nieco odmienne było zachowanie się samego atamana Domanowa (powieszonego później w Moskwie). Zwoławszy na rozkaz brytyjski wszystkich oficerów, na pytanie zadane przez jednego z dowódców pułku: „Co nas czeka?”, odpowiedział:

— Chyba nic dobrego. Zapewne druty.

— Co robić z oficerami, którzy zaczną uciekać w góry?

— Pan jest dowódcą pułku. Pan mnie zrozumiał.

W istocie jednak nie zrozumiał. Tym bardziej, że sam Domanow jechał, a wypowiedź jego świadczyć może, że i jego przewidywania nie posunęły się w pesymizmie dalej niż brytyjski obóz jeniecki.

O pierwszej po południu zajęły ciężarówki. Według prowizorycznych obliczeń pojechało: generałów 35, pułkowników 167, podpułkowników 283, esaulów 375, podesaulów 460, sotników 526, chorążych 756, urzędników wojskowych 337

124, personelu lekarskiego 15, fotografów 2, oficerów łącznikowych 5 i 2 duchownych.

Dopiero w ciężarówkach coś ich tknęło. Zaciągnięto brezenty. Koło szoferów siedli żołnierze uzbrojeni w pistolety automatyczne. Ktoś próbował zaśpiewać, ale urwał. Po przejechaniu 12 km kolumna się zatrzymała. Podjechały lekkie czołgi. Droga wiodła wzdłuż Drawy przez Greifenburg — Steinfeld — Sachsenburg — Móllbrucke do... Przerzucić się psychicznie z jednej skrajności w drugą nie jest łatwo: z poczucia bezpieczeństwa w strach, z zaufania w rozpacz. Ilu potrafiło tego dokonać, nie jest dokładnie znane. Przyjmuje się hipotetyczną cyfrę pięciu oficerów, którzy zeskoczyli w biegu i

uciekli w lasy.

Od Móllbrucke, wciąż korytem Drawy, droga skręca raptownie na południo-wschód i o trzynaście kilometrów dalej leży miasto Spittal. Samochody wjechały w bramę obozu otoczonego potrójnym rzędem drutów kolczastych. Gęsto rozstawione posterunki. Zaczął się wyładunek.

Oficerów podzielono od razu według rang, przydzielając każdej grupie osobny barak. Wewnątrz panował brud i nieład, na ziemi leżała stara słoma. Po godzinie dowódca angielski wezwał trzech generałów kozackich, w tej liczbie Domanova i Tichockiego, i oświadczył im lodowato:

Proszę powiadomić wszystkich oficerów, że zgodnie z umową zawartą pomiędzy rządem Jego Królewskiej Mości i Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich, przekazani zostaną do rozporządzenia sowieckich władz wojskowych.

Odjazd ze Spittal nastąpi jutro o czwartej rano.

Tichockiemu zrobiło się słabo i upadł.

Paraliżująca rozpacz

Choćbyśmy się nie wiem jak starali odciąć od tzw. „psychiki wschodniej”, pojmiemy wszelako łatwo, że to co najbardziej musiało zaskoczyć przeszło dwa tysiące oficerów dońskich, kubańskich, terskich... Gruzinów, Osetyńców, Karaczajów, Inguszków itd., to był niewątpliwie „styl” załatwienia całej sprawy. Styl zresztą odmienny również od procedury, która by była zastosowana w podobnych wypadkach na całym kontynencie europejskim. Gdzie indziej mogło być raczej gorzej, ale — „nie tak”... I właśnie to zaskakujące, to „nie mieszczące się w głowie” spotęgowało jeszcze paraliż psychi-

338
czny, który opanowuje zazwyczaj skazańców przed wykonaniem wyroku.

Najbardziej niezwykłym objawem bohaterstwa ubiegłej [wojny było niewątpliwie powstanie getta warszawskiego. Ci, j co wzruszają ramionami, twierdząc, że Żydzi „nie mieli ani innego wyjścia, ani żadnej nadziei”, zdradzają głęboką nieznamość psychiki ludzkiej. Właśnie: najtrudniej jest walczyć bez nadziei! W Katyniu tylko 4% oficerów miało skrepowane ręce.

W Spittal też nikt nie rzucił się na Brytyjczyków z gołymi rękami. Zaczęli zrywać z siebie dystynkcje oficerskie i ordery, I zdzierać czerkieski, szarpać paradne mundury włożone na „konferencję”. Niektórzy na podłogę baraków rzucali nawet J poświęcane krzyżyki. Dziennikarz Taruski powiesił się I pierwszy. Starzy emigranci próbowali redagować petycje; no- Iwi emigranci przeklinali ich za „tchórzostwo i niesolidar- Iność”; dochodziło do gorszących kłótni zupełnie bezprzedmiotowych, albowiem petycji tych nie tylko nikt nie rozpatrywał, I ale nawet nie przyjmował. Przez pewien czas nadzieję pokła- Ijdano jeszcze w gen. Krasnowie, ze względu na jego bądź co Ijbądź głośne nazwisko i osobistą znajomość z gen. Alexan- Ildrem. Chciano przywołać zza drutów przedstawiciela władzy I okupacyjnej, żeby rozmawiał z Krasnowem. Staruszek nie

[mógł stać i czekać, więc wyniesiono mu przed druty krzesło. I Żołnierz brytyjski kopnął krzesło i rozleciało się w drobne ka-

[wałki. W nocy powiesił się płk Michajłow, ale w ostatniej chwili [odcięto go z pętlą. Nazajutrz, 9 maja, o świcie, dwaj duchow-
Ini prawosławni wyszli na plac przed barakami i rozpoczęły I się uroczyste modły o zmiłowanie. Wokół nich stłoczył się [tłum zarówno prawosławnych, jak muzułmanów.

O szóstej rano przybyły zapowiedziane ciężarówki. Gro- [madnie odmówiono dobrowolnego wsiadania. Wówczas na [dany rozkaz zaczęli zbliżać się żołnierze uzbrojeni w pistolety [automatyczne i grube pałki. Oficerowie kozaccy stłoczyli się, Iwziąwszy się pod ręce. Nic nowego pod słońcem! Żołnierze [brytyjscy zaczęli bić pałkami, bić po głowach i złączonych rę-
kach. Wyrwano pierwszego oficera z szeregu i wrzucono do |samochodu. Wskoczył. Wtedy pobito go znowu i zapędzono [powtórnie. Znowu wskoczył. Wówczas uderzeniami kolb i [pałek powalono go na ziemię i skopano butami, aż zastygł
339

bez ruchu w kałuży krwi. Wrzucono go jak worek na dno cięż-
zarówki... Ludzie zaczęli wsiadać.

Niektórzy z Brytyjczyków mrużyli oczy i zaciskali zęby. In-
ni bili z zacierzowaniem. Był taki, który miał łzy w oczach. Był taki, który podszedł z koszykiem i wyciągając z kieszeni paczki z papierosami, zaproponował:

— Za jednego papierosa zegarek.

Cóż po zegarku!... A wszyscy już wypalili papierosy, które
wzięli ze sobą na „konferencję”. Oficerowie brali po papierosie
i rzucali do koszyka po zegarku.

Zastrzelił się jeszcze gen. Siłkin. W ostatniej chwili powie-
sił się oficer Charłamow. Brytyjczycy zwolnili jednego z du-
chownych, dwu urzędników wojskowych i dwunastu lekarzy.
Wypuszczono także wyrostka, Kozaczka-spadochroniarza o
przezwiisku „Ryżeński”.

Oficer brytyjski podszedł do dowódcy oddziałów kauka-
skich Sułtana Kelec-Gireja, oświadczając, że wyznacza go
szefem, odpowiedzialnym za zachowanie się oficerów kauka-
skich. Sułtan Kelec-Girej splunął mu pod nogi.

Krasnow nie wyszedł na plac. Siedział w otwartym oknie
baraku i patrzył. Żołnierze brytyjscy zauważyli go w ostatniej
chwili i rzucili się, by go wyciągnąć przez okno. Kilku ofice-
rów kozackich odepchnęło żołnierzy i wzięło atamana na rę-
ce.

Wśród oficerów, wtłoczonych do ciężarówek, było 32%
b. obywateli sowieckich i 68% starych emigrantów, którzy
nigdy obywatelami sowieckimi nie byli.

Głodówka czterdziestu tysięcy

Powróćmy teraz do owej godziny ósmej wieczorem dnia
poprzedniego, która takim strachem napełniała rodziny pozos-
stałe w Lienz.

— Czy tłumaczka już przysłała? — spytał nerwowo oficer
brytyjski.

— Yes, sir.

— Proszę zawołać.

340

I

Przed kancelarią stała jedna z ciężarówek, która wywoziła oficerów na konferencję. Powróciła pusta. Tłumaczka, zobaczywszy ją, zbladła i weszła do kancelarii.

— Gdzie są nasi oficerowie? — zapytała.

— Nie wrócą tutaj — odparł oficer.

— A gdzie są?!

— Nie wiem.

— Pan przecież zapewniał, że będą najdalej o szóstej z powrotem. Więc pan oszukiwał?

— Droga pani, my jesteśmy tylko żołnierzami i wykonujemy rozkazy naszych przełożonych. Proszę natychmiast przygotować spis pozostałych oficerów.

W ten sposób masę kozacką pozbawiono kierownictwa.

Do drugiej w nocy ludzie chodzili z miejsca na miejsce i gadali, a później poszli spać. Nazajutrz, 29 maja, o dziewiątej rano zjawił się młody oficer brytyjski i wręczając tłumaczce tekst odezwy, nakazał ją natychmiast rozpowszechnić.

„Kozacy! Wasi oficerowie okłamywali was i prowadzili fałszywą drogą! Zostali aresztowani i już nie powrócą. Teraz, uwolnieni od ich wpływu i nacisku, możecie swobodnie mówić o ich kłamstwach i nareszcie będziecie mogli wypowiadać nieskrępowanie wasze przekonania i wasze pragnienia. Wszyscy powrócicie do ojczyzny...” itd. Widać było, że tekst ułożyły władze sowieckie. Dalej następowało wezwanie do bezwzględnego poddania się rozkazom brytyjskim.

O dziesiątej rano zapowiedziano, że 31 maja o siódmej rano rozpocznie się repatriacja pułków kozackich i ich rodzin.

Było jasno, ciepło, pogodnie. Wiadomość wydała się piorunem z jasnego nieba! Powstała panika. W baraku nr 6 obozu Peggetz zwołano prowizoryczną naradę. Na wodza ad hoc organizowanej akcji biernego oporu wysunięto podchorążego Połunina. Ogłoszono powszechną głodówkę i rozklejono plakaty zredagowane po angielsku: „Wolimy głód i śmierć tu niż powrót do Związku Sowieckiego!” We wszystkich obozach i stanicach wywieszono czarne flagi. Na placach obozowych zbudowano prowizoryczne ołtarze i duchowni odprawiali przy nich dzień i noc nabożeństwa, spowiadając i udzielając komunii. Naturalnie nie obeszło się bez pisania zbiorowych petycji: do króla i królowej, do biskupa Canterbury, do Churchilla, do papieża, do króla serbskiego Piotra, do gen. Eisenhowera, do parlamentów krajów demokratycznych... Wojsko-

341

wa kancelaria brytyjska petycje przyjmowała i rzucała do kosza.

— Trzymajmy się, trzymajmy się! — podawano z ust do ust. — Trzymajmy się razem, a nic nam nie zrobią. Nie dopuszczą do ostateczności!

Po barakach, namiotach i szałasach rozdmuchiowano przy

nie zapalonych z powodu głodówki ogniskach iskry nadziei. Tak minął dzień trzydziesty maja. Wieczorem zapowiedziano, że wskutek przypadającego na dzień następny katolickiego święta Bożego Ciała, repatriacja została przesunięta na dzień pierwszy czerwca.

Wieczorem trzydziestego pierwszego wyłączono dopływ wody w barakach.

1 czerwca 1945

Czytałem gdzieś, że był taki niegrzeczny chłopczyk, który, gdy go ojciec chciał sprać pasem, składał pobożnie ręce i klękał do modlitwy, bo modlitwy nawet ojciec nie ma prawa przerywać... To chyba było jeszcze w tamtym wieku, przed rokiem 1914. Pierwszego czerwca próbowało tego sposobu kilkadziesiąt tysięcy w dolinie rzeki Drawy. Ale był to już rok 1945...

Od świtu utworzyła się olbrzymia procesja, która ruszyła do kaplicy polowej w obozie Peggetz. Przodem kroczyli duchowni w ornatach. Niesiono krzyże, chorągwie, księgi, zapalone świece. Słońce zaledwie weszło i ledwo różowiły się śniegi na szczytach Alp. Myczały krowy kozackie, nie dojone w ogólnym zapamiętaniu. Po pastwiskach rozłaziły się nie dopatrzone konie i wielbłądy Astrachańców. Nad Drawą wisiała jeszcze mgła. Niepisanym nakazem postanowiono przybrać postawę biernego oporu.

— Tylko nie ruszać Anglików! Modlić się. Obroni Przenajświętsza Bogurodzica.

Tak zrobiono. Modły trwały bez przerwy, ale około ósmej rano zbliżyły się szerokim wachlarzem czołgi brytyjskie i stanęły w odległości stu metrów. Od strony baraków zajęchały ciężarówki, do których miano ładować ludzi i odwozić na stację do oczekujących pociągów. Cały zaś obóz otoczony został tyralierą żołnierzy zbrojnych w karabiny z nasadzonymi bagnetami, pistolety automatyczne i pałki. Jeszcze przez krótki czas trwały nabożne pieśni, gdy nagle żołnierze rzucili się na

342

tłum, rozrywając łańcuch rąk i bijąc po głowach kolbami i pałkami. Powstała panika, krzyki; deptano i zadeptywano się wzajemnie. Tłum, cofając się, zaczął napierać na parkan odgraniczający obóz od pola. Parkan runął pod naciskiem. Ale na polu też stały czołgi. Żołnierze strzelali nie w górę, lecz nogi. Zbitych i okrwawionych chwymano i wleczono do ciężarówek. Również w dalszych obozach rozległy się strzały, ludzie rzucali się na oślep, uciekali w lasy, skakali do rzeki, nieopisanym tumulcie rozbiegły się tabuny koni. Miejscowa ludność początkowo żegnała się nabożnie krzyżem świętym, gdy jednak ktoś zrobił początek, rzuciła się, by grabić opustoszałe namioty, łapać konie, zabierać bydło. Wtedy księża katolicy kazali bić w dzwony i nawoływać ludność do zaprzestania hańbiącej grabieży. Na wieżach kościelnych pojawiły się też czarne chorągwie.

Tymczasem główna masa ludzka w Peggetz, cofając się przed zbrojnymi żołnierzami, usiłowała jeszcze wyrywać z ich

rąk tych, których już schwyтали. Wtedy to padł pierwszy Kozak przebity bagnetem. Tłum odpłynął i odsłonił ołtarz. Pop wyciągnął ku żołnierzom Ewangelię, ale wytracono mu ją z rąk bagnetem. Jeden z Kubańców zasłonił się obrazem Matki Boskiej, otrzymał jednak cios w skroń i skóra wraz z włosami zwiśla mu na ucho. Trzeci próbował parować cios chorągwią św. Mikołaja Cudotwórcy, uderzenie pałki wdeptało Mikołaja Cudotwórcę w błoto.

Improwizowana kaplica, ołtarz, obrazy, kielichy, wszystko zostało przewrócone i stratowane. Nagle ktoś krzyknął, inni go podtrzymali, i rozległo się zgodne a groźne: „Urrra!” Wydało się, że Kozacy sami chcą przejść do natarcia. Żołnierze brytyjscy prędko zawrócili i zaczęli wystawiać karabiny maszynowe. Jeden z duchownych, ratując sytuację, wezwał ponownie do modlitwy...

Gdy się modlono, żołnierze, pozostawiając na placu rannych i trupy zatłuczonych i zakłutych bagnetami, zwrócili się do baraków, wywlekając ukrywających się tam ludzi i pakując do samochodów. Jeden z Kozaków stawiał czynny opór, więc powalono go na ziemię, dwóch ciągnęło za nogi, a trzeci podpychał go końcem buta w ciemność. Pewna kobieta miała na ręku okrwawione dziecko. Żołnierz opatrzył dziecko własnym bandażem, ale mimo zaklinań, oboje wpakował do ciężarówki. Spośród żołnierzy brytyjskich czekających opodal czołgów,

343
wielu okazało współczucie. Mówią o jednym, który łamanym rosyjskim szepnął:

— Nie dawajcie się, oni nie mają prawa.

Mała dziewczynka podeszła do innego i podała mu kartkę napisaną po angielsku: „Zabijcie nas, ale nie oddawajcie bolszewikom”. Żołnierz przeczytał, schował do kieszeni i nagle zapłakał. O piątej po południu do tłumu podjechał w dziupie oficer brytyjski i oświadczył przez głośnik:

— Kozacy! Jestem pod wrażeniem waszej bohaterskiej postawy, ale w myśl umowy jałtańskiej, wszyscy, którzy byli obywatelami Związku Sowieckiego do pierwszego września 1939, muszą zostać repatriowani! Kto jest w posiadaniu dokumentów stwierdzających, że w tym czasie nie przebywał na terytorium Sowietów, niech je przedstawi.

W ten sposób, począwszy od piątej, de facto zaprzestano masakry na terenie największego skupiska w obozie Peggetz. Opodal dziupy, w którym stał oficer brytyjski, leżał zabity junkier, nieco dalej ciało kobiety obejmującej martwe dziecko. (Jak ustalono później na podstawie znalezionych przy trupach dokumentów, junkier pochodził z Dniepropietrowska, kobieta urodzona była na Kubaniu, a dziecko już we Włoszech.)

Tymczasem wzdłuż Drawy szła dalej wielka oblawa na ludzi, którzy mieli być wydani Sowietom. Strzelano do uciekających. Przypadkowo czy też umyślnie zastrzelono kobietę, którą wykrył pies w krzakach. Były wypadki rzucania się pod czołgi. Gdy zabierano chorych i rannych ze szpitala, jeden z

nich wyskoczył z okna na bruk. Dużo ludzi utonęło w Drawie. Wszyscy pamiętają kobietę, która płynęła rzeką na wznak, z przywiązany na piersiach niemowlęciem. Obok, brzegiem, biegł żołnierz brytyjski i usiłował wyłowić ją za pomocą długiej żerdzi. Ale nie mógł dosięgnąć. Wreszcie wody zagnały ją w małą zatoczkę. Dziecko było już martwe, a kobieta zmarła po kilku godzinach w szpitalu. Była to lekarka z zawodu, rodem z Kubania, nazwiskiem Woskobojsnikowa. Matka jej i czternastoletnia siostra utonęły.

Święty Teodozjusz Czerniowski

Na drugi dzień rozpoczął się następny akt dramatu, tak dobrze znany wszystkim emigrantom politycznym na świecie: wydobywanie dokumentów stwierdzających, że...; walka o 344

świadectwa i upraszanie świadków; Intrygi, zabiegi, machlojki i kombinacje wszelkiego rodzaju. Ale ani lament, ani zsyłka nie ustały. Biegały kobiety z rozwianym włosom, szukając wywiezionych w zamieszaniu dzieci; biegały płaczące dzieci, szukając wywiezionych rodziców. Lamentowano nad rozgrabionym mieniem. Tymczasem dalsze transporty odjeżdżały na wschód w odrutowanych wagonach, które w wypadkach zsyłek nie przez sojuszników, ale przez wrogów, zwykliśmy nazywać „bydlęcymi”. Wielu opanowało zniechęcenie i apatia. Tak np., gdy drugiego czerwca przystąpiono do wywożenia szkoły junkierskiej, z szeregu junkrów, którzy dotychczas stawiali największy opór, wyszedł jeden, zarzucił swój worek na plecy i machnął ręką:

— Ech, bratcy! Jadę do rodzinnego kołchozu...

I nagle wszyscy w milczeniu poszli jego śladem. Tegoż samego dnia wywożono pułki trzeci kubański i tersko-stawropolski. Kozacy uciekali w pojedynkę lub grupami. Początek wydawał się zawsze łatwy. Oto grupa sześćdziesięciu dotarła górami do włoskiej granicy i nie przekraczając jej zwróciła się na zachód, kierując na Innsbruck. Ażeby ominąć posterunki brytyjskie, szli szczytami, czasem po śniegu. Jedenastego czerwca wykrył ich samolot brytyjski i ostrzelał. Schowali się w szczelinach, ale jeden został ranny. Zabrali rannego i poszli dalej; jednak samoloty śledziły marszrutę. Gdy wypadło schodzić w przełęcz, natknęli się na zasadzkę i zostali ujęci, odstawieni do obozu i wydani bolszewikom, poza jednym, któremu udało się zbiec. Do organizacji obław w górach władze brytyjskie użyły też b. jeńców sowieckich, zwolnionych z obozów niemieckich.

Mało już kto się w dolinie modlił. Ikony i chorągwie leżały porzucane i połamane na ziemi. Tylko pewna Kozaczka do dziś dnia utrzymuje z uporem, że wszystko zawdzięcza św. Teodozjuszowi Czerniowskiemu. Kiedy z matką, dzieckiem na ręku i młodym bratem znalazła, się w tłumie przeznaczonym do wysłania, ślubowała temu świętemu, że co piątek pościć będzie na sucho, jeżeli uda się jej wydostać z tego piekła. Jakoż zdarzył się pierwszy cud: cofający się tłum wypchnął ją wprost na most na Drawie. Zgubiła wprawdzie

pantofle i biegła w skarpetkach, ale św. Teodozjusz skierował pogoń żołnierzy za większą grupą, która uciekała w lewo za mostem, podczas gdy ona z matką, dzieckiem i bratem po-

345
biegła w prawo. W ten sposób zdołali dobiec gór i zaczęli się drapać na skały. Na pokaleczonych, bosych stopach minęli las, aż gdy się skończył, doszli do kamienistych łąk i śniegu. Trzeciego dnia natrafili na trupy: Kozak, kobieta i dziecko. Widocznie popełnili tu samobójstwo; nożem czy brzytwą, czy z ukrytego jeszcze pistoletu, nie chcieli sprawdzać. Tymczasem wyczerpały się już zabrane zawczasu do worka zapasy. Pragnienie gasili śniegiem. Co robić? Gdzie iść? Co jeść? Do kogo się zwrócić?... Jakoż pozostał tylko św. Teodozjusz Czernihowski.

— Idę — opowiada Kozaczka — i modłę się do Niego, a sama myślę: jakaż ja głupia, przecież z tych kamieni wokół chleba nie będzie. Nagle!... Za zakrętem skały drewniany domek. Przed nim stoi stary Kozak i wylamuje okno. Zobaczył nas i kiwa ręką. Podbiegłam. Święty Teodozjusz Czernihowski!! Przez okno widać na stole leżące chleby! Było to schronisko dla turystów. Znalazło się w nim jeszcze trochę kaszy, mąki, a także drzewo opałowe. Nazajutrz, po zjedzeniu i wyspaniu, ruszyli dalej. Ciągłe krawędzią wiecznego śniegu. Gdy rozwarła się raptownie straszliwa przepaść, zdawało się, że nie ma już drogi. Ale stary Kozak długo się namyślał, obliczał, kombinował i wreszcie poprowadził. Po pięciu dniach, minawszy trzy szczyty i cztery przełęcze, zdecydowali się zejść w dolinę. Tu w pierwszej napotkanej chacie podjęli się pracy w zamian za wyżywienie. I oto znowu zdarzył się cud.

Pewnego dnia przybył do wsi patrol brytyjski, szukając zbiegów.

— Postanowiłam — opowiada — nie dać się żywcem: wyskoczę z okna z dzieckiem i zabiję się. Ale na razie zaczęłam od modlitwy do św. Teodozjusza Czernihowskiego: „Nie dopuść do ciężkiego grzechu samobójstwa!” Wchodzi sierżant i każe pokazać papiery. Wyciągam, wręczam mu wiedząc, że z nich jasno wynika, że uciekałam z Lienz. Sierżant długo je czytał, jeszcze dłużej obracał w palcach, później popatrzył na mnie raz, drugi... Opuścił oczy i oddając papiery powiedział: „Ali right”. I wyszedł.

346

Konie uratowały stu dwudziestu

Czytelnik słusznie zapytać może: to wszystko było z ludźmi, no dobrze, ale co się stało z tą masą koni? Koni nie wydano.

Konie kozackie, przeważnie nawykłe do równin, to nie muły. Nie nadawały się w większości do ucieczek górskich. Rozbiegły się w dolinie Drawy i pały na cudzych polach i łąkach, razem z nielicznymi wielbłędami. Władze brytyjskie wyznaczyły uriadnika, kazały mu wybrać stu dwudziestu dobrych jeźdźców i zegnać wszystkie konie do jednego miejsca.

Uriadnik zebrał oddział ze swoich staniczników, podzielił na dwie grupy po sześćdziesięciu ludzi i zaopatrzone w niezbędne przepustki zabrał się do roboty. Rozpoczęto od spędzania czerkieskich koni spod Oberdrauburga. W Lienz założono specjalny obóz koński i przeprowadzono rejestrację. Zdrowe konie odprawiano transportami kolejowymi. Gdy wysyłka się skończyła, oddział uriadnika skierowano do Villach w celu przytransportowania stamtąd koni kawalerii węgierskiej do bazy końskiej w Lienz. Jedyną troską Kozaków było tylko, ażeby nie trafić przypadkiem do transportu kolejowego... Poza tym żyli sobie dobrze. Gdy po kilku tygodniach nastąpiła likwidacja bazy, przybył oficer brytyjski w towarzystwie tłumacza:

— Kto z was chce wracać do ojczyzny?

Nastąpiło głucho milczenie.

— Znaczący nikt?

— Nikt! — odpowiedzieli jednym głosem.

— Dobrze. Nikogo więcej przymusowo repatriować nie będziemy.

Współlistnienie z roku 1945

Powracam do zerwanego 29 maja wątku „konferencji” w Spittal. Zajeżdżały cztery sztabowe autobusy i pięćdziesiąt osiem ciężarówek, nie licząc kilkunastu samochodów innego typu. Transport oficerów ochraniało: dwadzieścia pięć lekkich czołgów, stu pięciu motocyklistów, stu czterdziestu szoferów i pomocników uzbrojonych w pistolety automatyczne, siedemdziesięciu żołnierzy z pistoletami automatycznymi gotowymi do strzału, trzydziestu żołnierzy na czele pochodu, sześćdziesięciu ludzi na dwóch ciężarówkach zamykających pochód. Ilość ogólna uzbrojenia: trzysta dziesięć pistoletów

347
automatycznych, sto dwadzieścia pięć karabinów maszynowych, dwadzieścia jeden lekkich armat.

Zanim ten ponury konwój osiągnął linie sowieckie, dwóch oficerów się otruło, a dziewiętnastu próbowało uciec. Z tych dziewiętnastu ucieczka udała się tylko czterem, piętnastu zastrzelono.

Dalsze dane są niepewne.

Dwunastu generałów, w tej liczbie Domanowa, Rrasnowa, Sułtana Kelecz-Gireja oraz Szkurę (odstawiony dopiero 31 maja specjalnym samochodem wraz ze swym adiutantem), wysłano do Moskwy i powieszono. Stu dwudziestu oficerów zastrzelił konwój sowiecki po drodze z Grazu do Wiednia. W Wiedniu rozstrzelano tysiąc trzydziestu. Zniknęło bez wieści wywiezionych na dalsze badania dziewięćset osiemdziesięciu trzech. Dane te nie są ostateczne i wymagałyby sprawdzenia, gdyby takie sprawdzenie było możliwe.

Istnieją także obfite materiały dotyczące wydania trzech dywizji XV korpusu kozackiego w Judenburgu. Zastosowano tu metody niemal identyczne.

Wiadomości 1955 nr 43 (499)

348

PO LATACH NA MIEJSCU ZBRODNI NAD DRAWĄ

Była dziesiąta rano i w istocie miałem wątpliwości, czy zastanę go w domu. Uliczka się kręciła pomiędzy płotami ogródków, w których stały domki, przeszła w drogę półwiejską, bez jezdni i chodników, minęła tor, jakiś kanał. Mam pamięć węchową i gdy pociągnąłem nosem, przypomniał mi się dokładnie, prawie co do miesiąca, czas sprzed jedenastu lat, gdy byłem tu po raz ostatni. To samo powietrze chwiejnej między górami wiosny, tak samo wyglądały zębate szczyty austriackich Dolomitów po tamtej stronie i słońce oświetlające dolinę rzeki Drawy znad Stronachkogel i Zietenkamm po tej stronie rzeki. — Znaleźć było go trudno, ale ludzie są uprzejmi.

W otwartym oknie parterowego półdomu-półbaraku uszyła się para skarpetek i wyblakły biustonosz. Zastukałem w parapet. Ukazała się młoda Tyrolka i powiedziała, że go zna, ale niestety już wyszedł. Do pracy wyszedł. Mieszka tuż obok. O, te drzwi. Zamknięte.

— To on nie ma żony?

— Nie ma — uśmiechnęła się, ciekawie mi się przyglądając. — A pan go nie zna?

— Nie.

— Z daleka pan przyjechał?

— Chyba tak. Z Londynu — odpowiedziałem, nie wiedząc, że w tej chwili popełniam fatalny błąd.

349

— Ooo! Aż z tak daleka! Powiem mu, naturalnie. Będzie w obiad. O której pan przyjdzie? Na pewno będzie czekał. Aż z Londynu!... Ha.

Podziękowałem i wyznaczyłem godzinę. Przyjechałem do Lienz, ażeby zebrać kilka dodatkowych potrzebnych mi jeszcze informacji do bardziej szczegółowego opracowania „Zbrodni w dolinie rzeki Drawy”. Miałem w kieszeni adres jednego z pozostałych i tam zamieszkałych Kozaków, który mógł mi tę sprawę ułatwić. Nie zastawszy go, wracałem do hotelu „Pod Żłotą Rybką”, gdzie w końcu lutego 1945 chowaliśmy się w piwnicy przed bombardowaniem, a w maju tegoż roku kwaterował sztab atamana Domanowa. Żona moja zwróciła mi uwagę:

— Po coś wspomniał, że z Londynu? Biedny człowiek będzie jeszcze przypuszczał, że to jakiś bogaty krewniak albo Bóg wie jaki los zaświtał mu nagle...

Akurat! Trzeba było raczej poważniej wniknąć w los pewnej kategorii ludzi zamieszkałych w Europie w jedenaście lat po zakończeniu wojny. A mimo całe przebyte doświadczenie, tego momentu nie wziąłem pod uwagę. Ongi, w dwa lata po wojnie, napisałem do Wiadomości artykuł pt. „Wielka spółka trwa” (nr 80), na który się bardzo obruszono w pewnych sferach i w części prasy emigracyjnej jako na mocno zdezakualizowany.

Teraz nad Drawą, choć to nie puszcza, ale w sezonie mię-

dzynarodowy zjazd europejskich turystów, przekonałem się, że czy to zamknięty górami „swój rozum”, czy też zamknięty górami widnokrąg myślowy, albo zamknięty górami odpływ wspomnień... ale sprawia, że są ludzie, którzy po dziś dzień jeszcze w tę „wielką spółkę” wierzą. A poza tym?... Powiedziałbym: w nic nie wierzą. Nikomu. Kompletnie.

Gdy wróciłem do tego półdomu-półbaraku w tej samej uliczce, w porze obiadowej, świeciło jeszcze słońce, ale z północo-zachodu, znad szczytów położonych po obu stronach Iseli, dopływu Drawy, wyłaziły brzemienne w śnieżycę chmury. Kozak mył się po pracy, a drugi siedząc na półpryczy-półleżaku, starszy i widać doświadczony, spojrzął w okno i stwierdził:

— Na razie koniec wiosny. Zima wraca. Mhm. Ot jak.

Zacząłem im wyjaśniać, kim jestem i po co przyjechałem.

Mówiłem zrazu płynnie i o moim artykule londyńskim, prze-
350

I

drukowanym w Szwecji, w Ameryce, w Argentynie i w Niemczech Zachodnich, i o zamiarach pewnych Amerykanów podjęcia śledztwa w sprawie zbrodni wydawania ludzi w ręce bolszewickich katów. Mówiłem dalej, że... I nagle odczułem długotrwałe milczenie tamtych nieomal fizycznie. Zająknąłem się raz, drugi, chciałem nadrobić miną, jakimś żartem, splątałem coś, straciłem kontenans i umilkłem.

Nastało dłuższe milczenie.

— Mhm, taaaak... — powiedział starszy, przyglądając się swoim nowym, widocznie świeżo kupionym trzewikom.

Młodszy odstawił miednicę i zaczął się wycierać. Gdy przesunął ręcznikiem koło ust, co ułatwiało mu odezwanie się niby półgębkiem, zagadnął:

— Pan z Londynu przyjechał, z Anglii, tak?

Oczywiście. Zacząłem klarować raz jeszcze co już powiedziałem uprzednio. Starszy znowu spojrzął w okno i zmrużył oczy jakby chciał lepiej przyjrzeć się nadciągającej chmurze. Znowu zapadło milczenie.

— Papierosa? — wyciągnąłem rękę. — Amerykańskiego.

— Dziękuję. Nie palę.

Nie byłem tak naiwny. Znam tych ludzi i ich świat. Ostatecznie i ja byłem „podsowieckim” człowiekiem. Spodziewałem się, że napotkam objawy nieufności. Zdawało mi się jednak, że wystarczy położyć pewien nacisk, uwidocznić w sposób mniej więcej przekonywający „zachodniość” moich intencji, aby tę nieufność rozproszyć. Może zanadto to podkreśliłem. To był mój drugi błąd. — Młodszy powiesił ręcznik, powolnym ruchem zapinał guziczki u koszuli na szyi i siadł na zydelku.

— My, proszę pana, w żadne takie rzeczy się nie wdajemy. A zresztą i polityką się nie interesujemy.

Znowu milczeliśmy przez dłuższą chwilę. W palcach dopalał mi się papieros.

— Daj panu może tę przykrywkę na popielniczkę.

Teraz i ja długo, skrupulatnie, w milczeniu gasiłem i dociskałem niedopałek papierosa. Potem otrząsałem popiół z kolana i zapytałem od niechcienia:

— A znacie Kolcowa?

— Cóż, Kolcowów bywa różnych...

351

— A jak jemu na imię? — spytał starszy i oparłszy nogę w obcasie, przodkiem do góry, sam pochylił się, by sprawdzić palcami grubość podeszwy.

— Siergiej Pawłowicz.

— Może być — wtrącił obojętnie młodszy.

Wtedy wyjąłem list.

— Oto jego pismo. Choć to prywatne do mnie, ale możecie przeczytać.

Wziął, obrócił w palcach, rzucił okiem i oddał. Znów odezwał się starszy:

— Cóż można panu powiedzieć nowego. Rzecz wiadoma, jak było...

— Taaak...

— Mhm...

Dziwne zjawisko: chmura za oknem wisiała, ale jakby zatrzymała się w miejscu uczipiona o dalekie szczyty. Gdzieś głośno rozmawiano na podwórku o zaginionej kurze. Z szosy doleciał turkot autobusu, który zlął z serpentyny i teraz nabyt prędko kołował do środka Lienz.

— Taaak... Wiadomo... A my — starszy podniósł głowę i tym razem spojrzął mi prosto w twarz — żyjemy dlatego, że za nas inni położyli głowy. Żeby nie położyli i nas by nie było. Ot jak.

— Udało się jednak wam?

— Co to za udanie się! — machnął ręką młodszy. — Póki za innymi gonili, ja wskoczył do Drawy i przesiedział w wodzie.

Myślałem, że powie coś więcej, ale urwał. Wtedy, po chwili, ażeby ominąć sedno tematu, zapytałem:

— No a jak komitet Michajłowa „repatriacyjny”, też i wam nie daje teraz spokoju?

— Et, Michajlow! — odparł lekceważąco. I z nagłą determinacją: — Po mojemu to tak wychodzi, proszę pana: Anglicy chcą wywiedzieć się. Anglicy chcą wydostać kto ma jakie informacje, co kto mówi, co kto wie. Raz po to, żeby punkt po punkcie móc wyprzeć się i sprostować. A dwa, żeby komu potrzeba zamknąć gębę.

Spadło to na mnie nagle. Dopiero w następnych sekundach zrozumiałem:

— A wot, gdzie pies zaryty! To wy, znaczy się, mnie bierzecie za angielskiego agenta?

352

— Ja nic nie biorę. Ja tylko mówię jak wychodzi.

Znam to uczucie jeszcze z czasów wojny: gdy na kogo raz padnie podejrzenie, każde słowo wydaje się potem podejrzane. Nad każdym słowem trzeba się sto razy zastanowić. Ba,

nad ruchem każdym. A do tak daleko posuniętej nieufności nie byłem przygotowany.

— Nddaaa... Widzisz pan — podjął starszy — rzecz taka.

Co ukrywać? Wiedzieć, naturalnie wiemy. Ale nie chcemy wiedzieć. My nic. My chcemy żyć. Bo jak tylko co, jak tylko dojdzie do bolszewików, to oni w tejże chwili pocisną Anglików co to u was tam wyrabia się takiego! Patrzajcie jakiego rodzaju tam ludzie siedzą u was, choćby i w tym Lienz tym samym! Wtedy Anglicy tylko rozkaz do Austriaków. Nie obejrzysz się jak tuk-tuk zastuka żandarm. I człowiek przepadł. Byłem szczerze zdumiony.

— To wy jeszcze boicie się wydania?! Teraz?!

— Jak człowiek spokojnie pracuje, polityką się nie zajmuje, to i niczego się nie boi.

— Dajcie spokój! I zresztą co wy ciągle o tej Anglii? Przecież czasy się zmieniły. Jakie ona ma teraz znaczenie. Ćwiartują ją po kawałku. Wszelkie znaczenie utraciła. Anglia wobec Ameryki to: o — pokazałem nisko nad podłogą i teraz dopiero zauważyłem jak schludnie jest wymyta.

— My nie wiemy. Pan lepiej wie. Pan z szerokiego świata. A my sobie po cichutku, w dolinie Drawy. Ot i żyje się jakoś. Zarobek jest.

— Ameryka też wydawała — wtrącił drugi w zamyśleniu.

A po chwili dodał:

— A i jaka zresztą korzyść z mówienia. Był taki jeden co dużo mówił i... powiesił się.

— Jak to, powiesił się?

Wtedy młodszy:

— W roku 1954 tu był zjazd. Dali pozwolenie, przyjechali Kozacy z różnych stron. Szli z chorągwiami. Wielki tłum. Na bożeństwo. Na cmentarzyk w Peggetz. Przemówienia. A po kilku miesiącach spotyka mnie na ulicy jeden, mówi po rosyjsku. I wprost zaczyna wypytywać to, tamto, wiele było, skąd przyjeżdżali, kto co mówił i różne rzeczy. Ja odpowiadam: „Nie byłem, nie wiem”. Wtedy on do mnie: „Paszport!” Ja mówię: „Nikomiu ja na ulicy spotkanemu paszportu nie pokazuję. Takiego zwyczaju nie mam”. On wtedy legitymację

353

w

wyjmuje, angielskiej razwiedki, jak ich tam te litery... Odpowiadam: „Nie znam się na tym, chcesz idziemy do żandarmarii austriackiej, tam wylegitymują”. Poszli. On pierwszy wyjął dowód, pokazał. Fakt, okazał się angielski agent. I mnie zaczęli badać. No cóż, ja im nic nie powiedziałem, i puścili w spokoju. A to podobno po tym zjeździe Sowiety podjęły hałas. Przycisnęli Anglików, Anglicy — Austriaków. Poszły dalej badania, dochodzenia. I wszystko jakoś zaczęli tu na jednego wskazywać, który za dużo już gadał, organizował to-sio. Może by i nic nie było. Ale, jak to ludzie: jeden drugiego straszy. No i powiesił się w końcu człowiek, ze strachu... Isz, śnieg poszedł — zakończył wskazując podbródkiem okno.

A więc chmura nie stała w miejscu. Spadła jednak w doli-

nę. Zaczęła się śnieżyca, szkwał.

— Długo trwać nie będzie — pocieszył starszy, wstał z łóżka, dorzucił drewek do żelaznego piecyka z rurą.

I zamykając drzwiczki, mruknął:

— A wreszcie może on i nie z tego się powiesił.

— Ale kartkę zostawił! Kartka dokument. Napisał, że odbiera sobie życie, bo boi się, żeby jego nie wydali bolszewikom. Fakt.

Pomyślałem też: z tego powodu czy nie z tego, ale — fakt pozostaje faktem, że ci ludzie boją się do dziś dnia. Boją się bolszewików, boją się Anglików, Amerykanów, boją się Austriaków i boją się mnie. Ale że rozmowa się ożywiła, więc niebacznie mi się wyrwało:

— A ilu tu was jest jeszcze?

Ech, niezgrabne pytanie!

Od razu zamilkli.

— Nie wiem dokładnie — odparł po chwili młodszy. — Ja nie wiem.

— A jak się do was odnoszą władze miejscowe, lokalne?

— Cóż, Austriaki, ich mało. Oni robią to co im każą Anglicy.

A Anglicy to co im każą bolszewicy... I tak można rozmawiać w kółko.

— A czy pamiętacie z roku 1945 lub wiecie może kto to był major Davis?

— Może i był taki.

Pomilczeliśmy przez czas dłuższy.

354

— Jeżeli pan chce zobaczyć cmentarzyk i pomnik, to owszem możemy pokazać.

Poszliśmy. Pierwszy szkwał minął. Do Peggetz mieliśmy dwadzieścia minut drogi. Słońce znowu przygrzało, śnieg szybko topniał. W dawnych barakach mieszczą się teraz warsztaty samochodowe. Za nimi łąka: teren historycznej masakry. Teraz podmokła, ale jeszcze zamarznięta. Od północo-zachodu wciąż szły nowe chmury zwiastujące dłuższy okres niepogody. Wokół najbliższego szczytu utworzył się pierścień. Powietrze rześkie, lekkie.

— Tu — powiedział starszy, wyciągając rękę, gdyśmy przekraczali tor — stał jeden skład wagonów za drugim. Tu ludzi spędzano i wtłaczano. Wtedy. Pierwszego czerwca.

— A ilu było zabitych?

— Często przesadzają. Zabitych... Było.

— Ilu mniej więcej?

— Ja tam nie liczyłem. Nie mogę powiedzieć. — Przeszliśmy jeszcze kilka kroków. — Jak taką rzecz można powiedzieć? Powiesz i odpowiadaj później za swoje słowa. Wymienić cyfrę łatwo, ale później w razie czego udowadniaj. Jeżeli już raz miałeś odwagę powiedzieć! My nie wiemy ile.

— Ja do was nie mam pretensji za brak zaufania.

Ostrożność jest zawsze konieczna. Naturalnie ludziom ufać trudno. Sam byłem przez rok tym co się nazywa „obywatelem

sowieckim". Ale czy już nie zanadto tego...

— Rok! To pan mówi rok — podchwycił młodszy. — A ja byłem od urodzenia do roku 1942.

I szliśmy znowu w milczeniu, tylko zmarznięta trawa pochrzęstywała pod nogami.

Cmentarzyk maleńki. Pośrodku pomnik. Wokół krzyże kamienne. Kilkanaście jest ich, bez nazwisk. Zbiorowe mogiły. Jeden tylko wyróżniony napis głosi, że tu leży podesauł Gołowinski. Wszystko otoczone sztachetami. Czysto i ładnie utrzymane. Za wałem o kilka kroków płynie Drawa. W tej chwili płytka, kamienista, ale zawsze szybka. Rzeka górską, wiadomo, różne bywają jej stany i różne jej poziomy. Cmentarz przy płynącej rzece zawsze budzi znajome refleksje płynącego czasu. Mówi się przecie, że tyle to i tyle wody upływa w rzece... Na drugim brzegu drobna olcha i zaraz już świerki pną się urwiskiem w górę. A nad nimi prostopadłe niemal skały i o tej porze zamrznęte wodospady wiszą nad przepa-

355

ścią jak stalaktyty. Szczyty niezbyt wysokie: 2400, 2600, 2700 m, ale bardzo charakterystycznie pozębione. Na nie patrzeć, znowu czai się i troi w myślach; płynie. Płyną obłoki, za obłokami chmury, a każda krawędź, grań, szczyt, załamanie skalne miało ten sam rysunek i za Karola V, i za Karola Wielkiego, i wtedy, gdy tu w górę zadzierali głowy Rzymianie, i jeszcze dawniej, i jeszcze dawniej.

— Mamy i cerkiewkę własną w Lienz. Pan widział?

— Widziałem.

— No to i będzie chyba wszystko... — Rozejrzał się po łąkach i zatoczył ręką krąg. — Ot tu, na tym polu, aż do tych baraków to się działo. Tam stały obozy nasze, konne. Od tej strony szła tyraliera z pałkami.

Het, w hotelach dla turystów, zaświeciły od słońca okna; daleko na północ, gdzie serpentyna szosy pnie się do Iselsbergu i pokonawszy wzniesienie przełęcz ginie na widnokręgu w kierunku Heiligenblut. Miałem tam jechać nazajutrz i powiedziałem w roztargnieniu:

— Śmieszna nazwa dla miasta: Heiligenblut...

— Pan ma rację, że śmieszna. Wychodzi po naszemu:

„Krew świętych”.

— U nich takie ciągle spotykają się w tej Austrii — zauważył ten, który był obywatelem sowieckim od urodzenia do roku 1942 i chował głowę w Drawie przed Anglikami.

Wracając zerwał źdźbło trawy i gryząc mówił prawie do nikogo:

— I skąd ten strach się bierze, diabli go wiedzą. Na wojnie, z bronią gorsze rzeczy człowiek przechodził. Ale z bronią. A jak na bezbronnego idą z pałkami, to taki strach, że już nie wiem...

Zapytać jeszcze o co czy dać spokój? Każdy temat wydaje się podejrzany, każde pytanie podchwytliwe. A kiedy to właściwie po raz pierwszy ktoś wymyślił uroczysty punkt deklaracji: „Wolność od strachu”? Hę? Nie pamiętają też pewnie. A

nawet, żeby wiedzieli, to ręką machną za całą odpowiedź. Ten okres zaczął się od procesu w Norymberdze, gdzie wieszano przestępców na mocy wymyślonej przez kogoś formuły: „zbrodnia przeciwko ludzkości”. Od tego czasu nie było procesu Katynia. Wojna przeciwko Hitlerowi uznana została za świętą moralnie i nie wolno jej nikomu kwestionować, ale do wojny przeciw bolszewikom nie wolno głośno namawiać i

356
nikt tego nie czyni w obawie, żeby go nie nazwano zbrodniarzem wojennym. Czy „wielka spółka” jeszcze trwa?... Jedyna rzecz, w którą wierzą Kozacy znad Donu, Kubani i Tereku. W Tauern-Express, biegnącym z Ostendy przez Hamburg-Salzburg-Villach-Graz do komunistycznego Belgradu, czytałem w Paris-Match o niezwykłych dzikusach w Ekwadorze, którzy niedawno zamordowali misjonarzy. Czy istnienie takich ludzi w istniejących wciąż jeszcze puszczech podzwrotnikowych nie jest wszelako mniejszą sensacją niż ludzi zamieszkałych w samym środku chrześcijańskiej Europy, których najcharakterystyczniejszym składnikiem życia jest — strach? Strach przed wyznaniem, że byli ofiarami czy choćby świadkami „zbrodni przeciw ludzkości”. Oni boją się nie tylko, żeby ich ktoś oskarżał, ale boją się nawet, żeby ich ktoś brał w obronę.

PS. Do jednego tylko obozu dla uchodźców Valka w Niemczech Zachodnich... o którym rozpisano się swojego czasu tyle, że tam złe warunki itd., ale nie wspomniano ani słowem, że zgłasza się miesięcznie stu Jugosłowian. Miesięcznie, tzn. więcej niż trzech ludzi dziennie. Tak jest, o tym się nie wspomina, nie mówi, nie pisze, nie rozgłasza przez radio. Bo to fakt politycznie nieaktualny... Ważny jest Tito, a nie stu ludzi uciekających miesięcznie od niego. W roku 1955 powstał nawet projekt, aby tych ludzi „oddać” z powrotem, co na przyszłość mogłoby zahamować dalszy przypływ. Na razie zaniechano tego proceduru. Postanowiono zastąpić go głuchym milczeniem.

Wiadomości 1956 nr 18 (526)

357

LISTT Z TAMTYCH CZASÓW

Wśród licznych listów jakie otrzymałem od chwili ukazania się powieści Lewa wolna, dużym dla mnie komplemtem jest pismo od gen. Kazimierza Rumszy, głośnego swojego czasu bohatera walk antybolszewickich. M. in. prosi on o sprostowanie pewnego epizodu z działań polskiej Brygady Syberyjskiej w bitwie wzdłuż granicy Prus Wschodnich, po rozgromieniu bolszewików pod Warszawą jesienią 1920. Czynie to z przekonaniem i z podziękowaniem nie tylko za rzeczowe informacje, ale bardziej może za niezwykle przy tym ciekawe, nowe przyczynki historyczne do tamtych, jakże splełanych dziejów i losów.

Niech wolno mi będzie dlatego, zanim przejdę do rzeczy, sięgnąć w daleki margines.

Generał Samsonow nie popełnił samobójstwa

Złożyło się, że gen. Rumsza otrzymał swój chrzest bojowy, jeszcze jako młody oficer, akurat w tych stronach, w których zaszły późniejsze wypadki między Chorzelami i Myszyńcem. Pod Działdowem, ówczesnym Soldau, na granicy Prus Wschodnich, w drugiej armii gen. Samsonowa w roku 1914. Była to jedna z największych a liczbowo na owe czasy największa klęska militarna w dziejach.

Od niego też usłyszałem po raz pierwszy teraz (nie wiem, czy dostatecznie uzasadnione, ale godne zanotowania) zaprzeczenie historycznej wersji jakoby gen. Samsonow po stracie armii, błakając się w lesie, popełnił samobójstwo.

Gen. Samsonow — twierdzi Rumsza — nie popełnił samobój-

358
stwa, lecz zginął od kuli nieprzyjacielskiej. Z pewnych względów autentyczny przebieg zdarzenia został następnie przeinaczony.

Rumsza dostał się do niewoli niemieckiej. Jeniecki obóz oficerski w zachodnich Niemczech. Podkop. Ucieczka z niewoli przez Szwajcarię do Francji. Powrót do Rosji jeszcze w pełni wojny. Znowu front. Rok 1917. Ppłk Rumsza w pierwszym korpusie Dowbora-Muśnickiego. Walki z bolszewikami. Nie kapituluje w czasie rozbicia korpusu przez Niemców; idzie na wschód.

Gdzie zamieci dmą nad stepem...

Październik-grudzień 1918 zastaje ppłk Rumszę na czele polskiego oddziału złożonego z piechoty, szwadronu ułanów i baterii artylerii, razem około 1500 żołnierzy, w walce z bolszewikami na dalekich przestrzeniach między Wołgą i Uralem. Po stepie hula wiatr, zasypuje śniegiem oczy, zamiata bez śladu drogi.

Dziesiątego listopada 1918 sformowana zostaje grupa uderzeniowa na froncie bogulmińskim w składzie: oddział polski, dywizja samarska, pułk Baszkirów, czesko-rosyjski batalion; batalion konstytuandy rosyjskiej, pułk Kozaków dońskich, dywizjon ułanów samarskich; trzy lekkie i dwie ciężkie baterie dział, pociąg pancerny. Dowództwo nad całą grupą powierzone zostaje ppłk Rumszy. Po rozbiciu bolszewików opanowuje on rejon Bajraki.

Walki z bolszewikami na froncie Kołczaka toczą się dalej.

— Wyciąg z „Rozkazu do połączonych Korpusu nr 74. Stacja Burdiak, 12 grudnia 1918”:

„Bracia Polacy, dzielni Towarzysze broni! Pojawienie się Wasze na naszym froncie i wejście w skład naszego korpusu uwieńczone zostało olbrzymim zwycięstwem... Udział Waszego młodego bohaterskiego pułku, prowadzonego przez energicznego i utalentowanego dowódcę, ppłk Rumszę, pozwolił nam uderzyć na wroga i zadać mu gwałtowny cios. Wasz dzielny pierwszy pułk strzelców polskich imienia wielkiego patrioty Naczelnika Tadeusza Kościuszki, męstwem swym i zaparciem siebie wzbudził powszechny zachwyty. Boje Waszego pułku pod Nikolajewką, Sardykami, Biknietjewem, brawurowy cios zadany wspólnemu wrogowi bolszewickiemu

przy wzięciu miasta Belebeja, pełen rozmachu śmiały bój pod
359

! M

Znamienką i Konstantynówką z kilkakroć silniejszym przeciwnikiem — wszystko to wpisane zostanie złotymi zgłoskami do historii Waszego młodego pułku, który jest jednym z ogniw odradzającej się silnej Armii Polskiej, sławy i dumy pięknej Polski... Uważam za swój święty obowiązek wyrazić Wam, Żołnierze Polacy, mój zachwyt i podziękę za Waszą mężną działalność bojową, w której wykazaliście tyle mocy ducha, woli, poczucia obowiązku i rycerskiej odwagi. Dziękuję Wszemu utalentowanemu dowódcy podpułkownikowi Rumszy i wszystkim oficerom... — Podpisano: Dowódca Połączonego Korpusu, Generalnego Sztabu generał major Kappel; naczelnik sztabu kpt. Romerow; starszy adiutant kpt. Timofiejew".

Nawiasem dodam, że działo się to na krótko przedtem, gdy po tajnej wizycie Marchlewskiego w Warszawie, prasa piłsudczykowska i socjalistyczna w Polsce uderzyła na alarm, że Polsce zagraża nie tyle bolszewizm Lenina, co kontrrewolucja Kołczaka...

„San Domingo?”

Dwa razy, w r. 1918 w Jekaterynburgu i Permi, oraz w styczniu 1920 w Irkucku i Krasnojarsku, rozklejają bolszewicy obwieszczenia na ulicach o wyjęciu spod prawa i wyznaczeniu nagrody na głowę płk Kazimierza Rumszy. Od jesieni r. 1919 jest on dowódcą ariergardy interwencyjnej armii sojuszniczej Francji i Anglii, rosyjskiej admirała Kołczaka, czeskich legionów i polskiej dywizji syberyjskiej, na przestrzeni od stacji Tatarskaja koło Omska do stacji Klukwienaja o 120 wiorst na wschód od Krasnojarska. Napiera piąta armia bolszewicka w składzie dwudziestej siódmej i trzydziestej dywizji pod wodzą Tuchaczewskiego.

Następują smutne dzieje rozkładu, infiltracji komunistycznej, zdrady i zwycięstwa bolszewików na Syberii. Smutne również dla większości walczących tam przeciwko bolszewikom oddziałów polskich. Czesi sprzedają bolszewikom admirała Kołczaka. Z chaosu kapitulacji, rozpadu, jawnej zdrady i cichych intryg ratuje płk Rumsza niezbyt wiele z dwunastotysięcznego składu polskiej dywizji syberyjskiej; wyprowadza z bronią w ręku tysiąc żołnierzy i stu oficerów.

Chiny, Sajgon, o którym dziś cały świat mówi. Droga morską wokół pół kuli ziemskiej. We Francji kupili jedną-dwie beczułki wina; i zdążyli latem 1920 dotrzeć do Gdańska,
360

aby wziąć jeszcze udział w rozgromieniu bolszewików pod Warszawą. Tu jednak powitani zostali na razie przez dygnitarza państwowego słowami:

— Coście wy tam robili za San Domingo?...

Francuskie wino wypił pułkownik Koc

Utworzona z tych resztek, trochę uzupełniona i wyekwi-powana, tym razem tylko „Brygada Syberyjska", pod wodzą płk Rumszy rusza 8 sierpnia 1920 na front, do dyspozycji

dowódcy piątej armii gen. Sikorskiego. Od Borkowa pod fortami Modlina uderzenie poszło na Nasielsk. Uderzenie to bolszewicy na razie odparli. Cały dzień 14 sierpnia szedł bój, wypadło przebyć na linii bojowej i dowódcy, i oficerom sztabu. Wieczorem wracają na miejsce postoju pokryci kurzem, zmęczeni i głodni. A oficer zarządzający kuchnią melduje:

— Nie ma obiadu!

— Gdzież się podział do...

— Przechodziła Dywizja Ochotnicza płk Koca. Koc ze sztabem rozparli się za stołem, dawać im kolację! Wszystko co było zjedli i nie zapytali. Wywączali wino i wychlali całe wino francuskie do dna!

— A podziękowali?

— Nie było słyhać.

Wypadło na głodny żołądek lec spać; a tam, o świcie rozpocząć atak na nowo: Nasielsk, Pułtusk, Maków...

Wyciąg z dzieła gen. Sikorskiego Nad Wisłą i Wkrą:

„19 sierpnia Brygada Syberyjska zdobyła Maków. Pod Makowem były się trzy dywizje sowieckie, jedenasta, szesnasta i dwudziesta dziewiąta, które wycofały się na Ostrołękę”.

Była to ciężka bitwa. Zabity został zawzięty antykomuni-
sta mjr Werner; miał on zwyczaj, mimo olbrzymiego wzrostu, nigdy nie padać w tyralierze i zagrzewał żołnierzy przechadzając się wzdłuż linii... Śmiertelnie ranny kpt Józef Miłkowski, syn Zygmunta „Jeża”. Też los rozpięty ponad przestrzenie: Józef Miłkowski służył we francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Indochinach. 22 grudnia 1918 zameldował się w oddziale polskim przy armii Kołczaka w rejonie Ufy, aby walczyć z bolszewikami. Przebył całą kampanię, wrócił do Polski z resztkami dywizji. Trafiony pod Makowem, zmarł w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie.

361

Wyciąg z Sikorskiego Nad Wisłą i Wkrą. „Do Przasnysza wkroczył płk Rumsza na czele Syberyjskiej Brygady o dziesiątej rano 20 sierpnia, a zastawszy tam nieoczekiwanie dywizję ochotniczą płk Koca, ruszył na Chorzele...”

— Płk Koc przy spotkaniu podziękował za wypite wino francuskie?

— Ani słowem.

W ten sposób zbliżamy się w terenie do miejsca tragicznych wypadków na odcinku wsi Dębskie, Szydłowo, Trzcionka i Stupsk, o których wspominam na str. 369 mojej powieści Lewa wolna.

To nie Brygada Syberyjska dała się zmasakrować Zaskoczony, poddały się tam dwa bataliony polskie, następnie zmasakrowane w koszmarny sposób i wycięte w pień przez bolszewików. Błędnie zaliczyłem te bataliony do Brygady Syberyjskiej. Teraz gen. Rumsza stwierdza, że nie były to bataliony wchodzące w skład Brygady Syberyjskiej, lecz jak przypuszcza, dywizji ochotniczej płk Koca.

„Głośno było w sztabach o tej masakrze — pisze mi obecnie gen. Rumsza. — Ja tej masakry sam nie oglądałem. Wia-

domości z ust do ust podawane mówiły, że te dwa bataliony zostały w nocy zaskoczone we śnie na noclegu. Jeżeli rzeczywiście tak było, to winę ponoszą tu dowódcy, którzy w ten sposób dali się zaskoczyć... Na szczęście nic podobnego z żołnierzami Brygady Syberyjskiej się nie przytrafiło. Zresztą w opisywanym czasie 20-24 sierpnia Brygady w tym rejonie nie było. Stwierdza to również szereg oficerów obecnie w Londynie, którzy dowodzili różnymi jednostkami Brygady: płk Grabowski, płk Sztarejko, ppłk Stankiewicz. Dowódcą drugiego pułku syberyjskiego był obecny gen. Worobej. Ja dowodziłem Brygadą, a płk Rybotycki był oficerem operacyjnym w sztabie..."

Wiele wskazuje, że straszna masakra zaszła w istocie pod Grabowem, a ofarą jej padł 202 pułk piechoty dywizji ochotniczej... Z drugiej strony gen. Sikorski w swym dziele (na str. 208) pisze o sytuacji 202 pułku pod Grabowem tak: „Pułk ten stawiał początkowo pod dowództwem mjr Sieranta energiczny opór. Nie poparty jednak w czas, musiał się ostatecznie uchylić w południowym kierunku, by nie ulec zagładzie...” Skoro więc się uchylił, by nie ulec zagładzie, wynikałoby logi-

362
cznie, że jej nie uległ... Chciałbym w tym miejscu wskazać na trudności jakie się napotyka w odcyfrowaniu zdarzeń w wojnie ruchomej, wynikające z często zbyt pośpiesznie splątanych relacji i mogących stąd wynikać błędów. Jeżeli chodzi o ten właśnie przypadek, Sikorski w swym dziele Nad Wisłą i Wkrą nie jest na str. 208-209 dostatecznie jasny. Natomiast odpowiedzialny tu przeciwnik, Gaj, komkor III sowieckiego korpusu konnego, w książce swojej Na Warszawę.

systematycznie, jak to łatwo stwierdzić, mylił i plątał jednostki polskie jakie miał przed sobą. Zestawiając te dwa dzieła, najbardziej miarodajne w danym wypadku i najbardziej szczegółowe, jeżeli chodzi o fragmenty tamtych operacji, musiałem wypośredkować wniosek, który okazał się krzywdzący dla Brygady Syberyjskiej.

Ale przerwijmy tu żmudne odcyfrowywanie archiwalne, zapewne mało interesujące dla ogółu czytelników. Przejdźmy do zdarzenia nie mniej wstrząsającego, które nastąpiło w tym samym czasie i w tym samym rejonie, w Chorzelach, a w szczegółach nie znane dotychczas zupełnie.

Rzeź dokonana

przez niemiecko-madziarskich komunistów

O rym jaki był tego początek pisze gen. Sikorski:

„23 sierpnia 1920 Gaj rozpoczął bój z Brygadą Syberyjską. Już o świcie zaatakował on na zachód od Chorzel drugi pułk syberyjski i zmusił go do odwrotu na Chorzele... zacięte walki jakie rozgorzały pod Chorzelami w południe tego dnia i w których obie strony poniosły ciężkie straty trwały do późnego wieczora. Po czym Gaj przedarł się w kierunku na Myszyniec...” Tylko tyle, i też niezbyt jasno; nie wspomina bowiem, że bolszewicy jednak Chorzele przejściowo zajęli. Tymczasem zdarzyła się rzecz następująca.

Jak wiadomo, po klęsce pod Warszawą, osaczony na zachodzie III sowiecki korpus konny przedzierał się na wschód jedyną drogą, jaka mu pozostała, mianowicie wzdłuż granicy Prus Wschodnich, kilkakrotnie przełamując bariery polskie. W ten sposób przełamał też i wdarł się do Chorzel. Po zajęciu przez bolszewików miasteczka, nie rozpoznani zrazu jacyś komuniści, Niemcy „spartakusowcy” i Madziarzy, o których nikt nie wiedział, skąd się tu raptem wzięli, wpadli do szpitala wojskowego, gdzie leżało sześćdziesięciu rannych żołnierzy

363
polskich. Wywlekli obandażowanych i nie mogących iść o własnych siłach na rynek i tu na oczach struchlałych mieszkańców wymordowali wszystkich co do jednego. Widok był straszny. Po odbiciu Chorzel, obecny przy Brygadzie Syberyjskiej oficer łącznikowy misji francuskiej major Cambeur zrobił zdjęcia tej masakry, przesyłając je wraz ze szczegółowym raportem, aby świat dowiedział się o metodach walki komunistycznej awangardy europejskiej.

Tymczasem w pościgu za uciekającymi do Prus bolszewikami udało się wziąć do niewoli kilku oficerów tej międzynarodówki komunistycznej i sprowadzić do Chorzel. Płk Rumsza rozkazał oddać ich pod sąd polowy, sam udając się dalej w pościg na Myszyniec. Sąd polowy skazał tych, poważnie „spartakusowców” niemieckich, za dobijanie rannych jeńców na karę śmierci przez rozstrzelanie. Protokoły dokonanych rewizji stwierdziły, że komuniści ci mieli przy sobie dużo gotówki w walutach obcych, oraz złota w monetach niemieckich i rosyjskich. Wyrok wykonano. W końcowym protokole użyto jednak zwrotu: „Rozstrzelani z rozkazu płk Rumszy”... Cóż, jak mówi rosyjskie przysłowie: „Co pióro napisze, tego siekiera nie wyrąbie”. W gruncie jednak, zdawało się, epizod wojenny. Ale i epizody się zazębiają.

Jest już po wojnie. Rok 1923. Porapallowskie Niemcy, niepomnie leninowskiego marszu przez Warszawę na Berlin, zabiegają o ścisłą współpracę z Sowietami, a ostrze tej współpracy w znacznym stopniu skierowane jest przeciwko Polsce. Płk Rumsza dawno w cywilu. Raptem wezwany zostaje przez prokuratora Rzeczypospolitej:

— Wpłynęła nota rządu niemieckiego. Czy pan pułkownik w dniach 22, 23 i 24 sierpnia 1920 ostrzeliwał z artylerii teren przygraniczny Prus Wschodnich?

— Ostrzeliwałem, bo mnie stamtąd ostrzeliwały wojska sowieckie. Zresztą komunistyczne oddziały niemieckie wzięły udział w akcji przeciwko Brygadzie Syberyjskiej.

— Kazał pan pułkownik rozstrzelać wziętych do niewoli oficerów niemieckich?

— Nie ja kazałem, a sąd polowy skazał „spartakusowców” w służbie bolszewickiej na śmierć za wywleczenie ze szpitala w Chorzelach sześćdziesięciu rannych żołnierzy polskich i wymordowanie ich w bestialski sposób na rynku. Wyrok ten, jako dowódca Brygady, zatwierdziłem.

Po kilku jeszcze przesłuchaniach sprawa — zdawało się — poszła ad acta.

A gdzie jest komintemowskie złoto?

Ale minęło zaledwie pół roku, znów wezwanie do prokuratora.

— A gdzie jest złoto i waluty zagraniczne znalezione przy tych komunistach niemieckich, o czym wyraźnie wspomina protokół przewodu sądowego?

— Jeżeli służył pan w wojsku, panie prokuratorze, to musi pan wiedzieć, że istnieje sztab, kwatermistrz, skarbnik... Do tych instancji należy przechowanie rzeczy odebranych od jeńców skazanych przez sąd na śmierć. A już tym bardziej nie skrytych, lecz jawnie ujawnionych w oficjalnym protokole. Ja osobiście byłem wtedy na froncie, w pogoni za uciekającym nieprzyjacielem.

Prokurator potarł czoło.

Czy to złoto komintemowskie zostało w końcu znalezione, czy może przepite po cichu przez tyłowych pisarzy gdzieś w Warszawie, na chwałę wiekopomnego zwycięstwa nad bolszewikami, dokładnie nie wiadomo. To zresztą nieważne, bo na wojnie, naturalnie, różnie bywa.

Obecnie pisze do mnie gen. Rumsza w liście z 10 lutego 1966: „Wszystkie te przesłuchania były dla mnie przykre. Cały czas śledziłem później w prasie i literaturze polskiej, czy ktoś wspomni, że w bitwie o Warszawę po stronie bolszewików brała udział międzynarodowa awangarda komunistyczna. Lecz o tym było cicho. Dopiero teraz po czterdziestu latach, czytając historyczną powieść Pana Lewa wolna, znalazłem pierwszy raz potwierdzenie udziału komunistów Międzynarodówki w bitwie z piątą armią polską, gdzie w Chorzeliach wymordowali oni szpital polski. Obecnie z powieści Pana dowiaduję się, że był to samodzielny „rewolucyjny pułk madziarsko-niemiecki" w sile około dwustu komunistów, który był przydzielony do piętnastej dywizji III korpusu konnego Gaj a".

Wiadomości 1966 nr 27 (1057)

365

ZGODA 6

CZYLI PĘK KLUCZY...

Wśród rozlicznych głosów o mojej ostatniej powieści Nie trzeba głośno mówić jest wiele uwag dorzucających rzeczowe uzupełnienia, nieraz poprawki, nieraz ciekawe przyczynki, dziś historyczne. Zarówno w druku, jak w listach prywatnych. Nie wszystkie się ze sobą zgadzają. Większość służyć by wszakże mogła za ilustracje do tamtej podziemnej — jak ją niektórzy nazywali — „dżungli" pod okupacją niemiecką na zapleczu frontu wschodniego ostatniej wojny.

Do ciekawszych przyczynków zaliczyłbym te związane z tajemnicą mieszkania przy ul. Zgoda 6 w Warszawie, oraz dotyczące okoliczności, w jakich zginął redaktor, przed samą wojną jedyne w Polsce, pisma rosyjskiego — i jego brat rodzony, właściciel owego mieszkania.

Relacja Stefana Korbońskiego

Stefan Korboński w swej książce *W imieniu. Rzeczypospolitej*, wydanej jeszcze w roku 1954, w rozdziale pt. „Wsypa w KWC” (to znaczy w Kierownictwie Walki Cywilnej) na str. 313 ogłosił taką relację, którą przytaczam tu w skrócie:

„...W początkach 1944 roku nasza centrala mieściła się na ulicy Zgoda, blisko Chmielnej, w mieszkaniu docenta botanika Wiszniewskiego, a właściwie jego teścia „białego” Rosjanina, przed wojną redaktora rosyjskiego emigracyjnego pisma w Warszawie... Wiszniewski z czasem zaczął dla nas pracować, między innymi chował nasze papierki w swoich zielnikach... w nich zrobiliśmy przejściowo nasze archiwum.
366

Wiszniewski opowiadał mi, że jego teść nie tylko że trzyma się z daleka od tych białych Rosjan i ich organizacji w Polsce, które poszły na współpracę z Niemcami, nieraz jedynie dla lepszych kartek żywnościowych, ale przeciwnie uważa, że korzystając przez tyle lat z gościnności polskiej, Rosjanie nie powinni na terenie Polski prowadzić polityki przeciwnej interesom gospodarzy. Może wchodziły tu w grę i inne racje, np. niechęć do wspólnej akcji z Niemcami przeciw Rosji — nawet sowieckiej, dość że mieliśmy do naszej dyspozycji mieszkanie u Rosjanina.

Któregoś dnia poprosił mnie na bok „Rudy” i poinformował, że niespodziewanie spotkał na ulicy swego dawnego znajomego, Polaka, L., obecnie notorycznego agenta Gestapo. L. natychmiast się do niego przyczepił, rozpytując, co robi w Warszawie i jak się urządził. Z trudem się od niego oderwał, ale od chwili spotkania czuje się zagrożony... Jest pewien, że L. zrobi wszystko, by go rozpracować i „wystawić”... Ponieważ rola L. jako agenta Gestapo była ustalona, namysł był krótki a decyzja szybka i, powiedziałbym, w tych czasach szablonowa: „Trzeba dać znać gdzie należy i sprzątnąć L. jak najszybciej... Od jutra niech pan tu nie przychodzi i możliwie wyjedzie z Warszawy”...

„Rudy” zniknął i tylko co kilka dni łączniczka Dusia donosiła, że cały i zdrow. Pewnego dnia kontakt się urwał i „Rudy” przepadł bez śladu. Natychmiast oczyściliśmy i uspiliśmy wszystkie znane przez niego lokale... Rozmówiłem się z Wiszniewskim i zażądałem, by wszyscy opuścili mieszkanie i ukryli się... Wiszniewski jednak odmówił, twierdząc, że jego teść i żona stanowczo odmówili opuszczenia mieszkania, że lokal jest wyczyszczony do ostatniej nitki i Gestapo nic w nim nie znajdzie...

Za kilka dni przysłała zła nowina. Gestapo najechało w nocy na lokal i zabrało wszystkich...

... przebiegając oczyma jakiegoś poranka czerwony afisz z nazwiskami osób rozstrzelanych w publicznej egzekucji, natknąłem się na nazwisko Wiszniewskiego i jego teścia... Mimo wszystko nie byłem przygotowany na tak szybki koniec. Nie było jednak wątpliwości. Wielkie, czarne litery na czerwonym tle głosiły wyraźnie...

Tak zginął młody, obiecujący uczonec, a wraz z nim, na marginesie naszej walki z Niemcami, szlachetny Rosjanin. O „Rudym” zaginął wszelki ślad”.

* * *

Tyle relacja Korbońskiego. Jest ona w przedstawieniu przebiegu rzeczy na ogół ścisła. Zawiera jednak luki. Nie podaje numeru domu. A chodziło o Zgoda 6. Nie podaje nazwiska owego „szlachetnego Rosjanina”. Mylnie nazywa go „redaktorem rosyjskiego emigracyjnego pisma w Warszawie”. Redaktorem był nie on, lecz jego brat, zamieszkały w Wilnie, i tam też, a nie w Warszawie, wychodziło to pismo. I pomija los tego brata.

W mojej powieści

Znałem całą sprawę. Zdawało się, wiem o niej więcej z innych relacji, m. in. opowiadanych mi wtedy na gorąco. A jednak...

W mojej powieści figuruje ten fragment, wplątany w całość akcji. Z różnych względów niektórym postaciom prawdziwym nadawałem imiona powieściowe. W ten sposób obydwaj bracia, o których mowa, występują u mnie pod nieco zmienionym nazwiskiem „Botlarewski”. Autentyczność ich z łatwością dziś rozszyfrował ówczesny prezes Komitetu Rosyjskiego w Warszawie, i ogłosił szczegóły, o których — ja nie wiedziałem. Nie ma więc potrzeby dalszego kamuflażu. Redaktor gazety Russkoje Słowo, wydawanej w Wilnie przed wojną, nazywał się Jewgienij Kotlarewski; jego brat zaś zamieszkały w Warszawie przy Zgoda 6: Fieoktyst (a nie „Fiedor”) Kotlarewski.

Obaj zginęli z rąk Gestapo. Przy czym Fieoktyst (tzn. ten, o którym pisze Korboński) — w krwawo-logicznym splocie zdarzeń. Brat zaś jego — raczej wskutek dziwnego splotu wypadków i decyzji nie bardzo z logiką zgodnej. Decyzja ta polegała na tym, że Jewgienij, nie będąc obecny w mieszkaniu podczas najazdu Gestapo, zamiast się ukryć szczęśliwie — sam zgłosił się do Gestapo, domagając się wydania mu... Niewiarygodne?!

Nie będę powtarzał tego, co jest w mojej powieści. Przechodzę do tego, czego w niej nie ma.

368

Sergiusz Woyciechowski

Sergiusz Woyciechowski pochodzi ze starej szlachty witebskiej. Po tzw. rozejmie andruszowskim w roku 1667, w którym Polska zrzekła się Smoleńska, Czernihowa i Zadnieprza — rodzina ta zniszczyła się już od pokoleń. Po przewrocie bolszewickim w Rosji, Woyciechowski szuka schronienia w Polsce, gdzie też spędził większą część okresu jej niepodległości, a następnie lata drugiej wojny światowej. Nauczył się języka, przywiązał do kraju, jego kultury i ludzi. Był dziennikarzem, pisywał artykuły do Kuriera Warszawskiego pod pseudonimem „Ergo”, na tematy Rosji i Bolszewii. Jednocześnie bierze czynny udział w życiu emigracji rosyjskiej.

Jest ostatnim w Warszawie łącznikiem gen. Kutiepowa. Po porwaniu generała przez GPU w Paryżu, Woyciechowski jest członkiem zarządu Rosyjskiego Komitetu w Warszawie, a następnie prezesem tego Komitetu. Na tym stanowisku zastaje go wojna i okupacja niemiecka. Na tym też stanowisku okazał pomoc niejednemu z Polaków w Warszawie, nie tylko w dziedzinie „lepszych kartek żywnościowych”, o których wspomina Korboński, a z których — nawiasem mówiąc — mało kto korzystał w obfitującej we wszystko Warszawie... Ale to byłyby dygresje już daleko odbiegające od tematu.

Woyciechowski, po przeczytaniu mojej książki Nie trzeba głośno mówić, wystąpił na łamach wychodzącej w Nowym Jorku gazety Nowoje Russkoje Słowo (z 10 maja 1970) z ciekawą, obszerną relacją pt. „Bracia Kotlarewscy”.

Woyciechowski stwierdza na wstępie, że Kotlarewscy nie byli członkami Rosyjskiego Komitetu. Przyznaje też, iż sam nie wiedział dlaczego i w jakich okolicznościach zjawił się w Warszawie Jewgienij Kotlarewski.

Przypomnę w tym miejscu, że Jewgienij Kotlarewski został w roku 1941 technicznym administratorem wydawanego przez Niemców w Wilnie Gońca Codziennego; w istocie ani z polityką, ani z redakcją tego pisma nie mając nic wspólnego. Można by o nim powiedzieć, że „Bogu ducha winien”. Rosjanin, stojący na uboczu od spraw polskich. Wszelako zapadł, czy też miał zapaść nań wyrok śmierci ze strony jakiejś grupy podziemia. Rzecz nie była jasna, ani pewna. Na wszelki jednak wypadek Kotlarewski spakował walizki i przeniósł się do Warszawy, do brata. Paradoksalnym dla ówczesnej „dżungli” — jak ją niektórzy nazywali — zbiegiem okoliczności znajdu-

369
jąc schronienie akurat w lokalu centrali podziemnego Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC), na której czele stał Stefan Korboński, który ferował wyroki „w imieniu Rzeczypospolitej”.

„Ciężkie przestępstwo”

„Zobaczyłem Jewgienija Kotlarewskiego po raz pierwszy — pisze Woyciechowski — gdy przyszedł do Rosyjskiego Komitetu przy ul. Wiejskiej, po aresztowaniu jego brata Fieoktysta. Wiadomość o tym aresztowaniu już krążyła po Warszawie. Ktoś mi powiedział, że F. Kotlarewski aresztowany został za sprzedaż papieru gazetowego licznym polskim podziemnym wydawnictwom”.

Woyciechowski podjął natychmiast próbę interwencji u władz okupacyjnych dla ratowania aresztowanego, jakkolwiek nie był on członkiem Komitetu. Największa trudność polegała na tym, jak pisze Woyciechowski, że istniał zakaz, obejmujący wszystkie tzw. „komitety narodowe”, bezpośredniego komunikowania się z władzami policyjnymi:

„Zakaz ten wydany został z polecenia zarządu Generalnej Guberni w Krakowie, a wywołany był konkurencją zachodzącą pomiędzy tym zarządem i Berlinem. W skutkach prowadziło to do nieuchronnej mitręgi biurokratycznej, która w po-

szczególnych wypadkach mogła okazać się fatalna. Ale nie było rady, i z każdą sprawą należało się najpierw zwracać do „wydziału narodowościowego” pełniącego funkcje nadzorcze nad poszczególnymi komitetami. Pojechałem natychmiast do Pałacu Bruhlowskiego, gdzie mieścił się ten wydział. Wysłuchano mnie grzecznie, i nawet zgodzono się telefonicznie zasięgnąć informacji w Gestapo o przyczynie aresztowania. Siedziałem naprzeciwko urzędnika, dobrodusznego bawarskiego prawnika. Po wyrazie jednak nagłego zachmurzenia jego twarzy podczas rozmowy telefonicznej, mogłem się domyślić, iż niczego pocieszającego odeń nie usłyszę.

— Radzę panu — powiedział odkładając słuchawkę — zapomnieć o tej sprawie... Człowiek, o którego pan prosi, popełnił ciężkie przestępstwo... Interweniując zaszkodzi pan tylko sobie...

Był to pierwszy wypadek w ciągu pięciu lat istnienia Komitetu, żeby odmówiono mi nawet złożenia podania na piśmie...”

370

Pęk kluczy

Dalej Woyciechowski opisuje:

„W kancelarii mojej przy ul. Wiejskiej doniesiono mi, że pragnie ze mną mówić brat aresztowanego Kotlarewskiego. Przyjąłem go natychmiast. Wydał mi się chory i stary. Być może jednak cienie na jego twarzy nie były oznaką choroby i starości, lecz skutkiem przeżytego wstrząsu. Zewnętrznie okazał wszakże spokój i opanowanie. Powiedział mi, że uniknął aresztowania, bo przypadkowo nie nocował tej nocy w domu. Następnie zwrócił się do mnie z dziwną i niemożliwą do spełnienia prośbą: abym się udał do urzędu Gestapo i wystarał o zwrot kluczy opieczetowanego w nocy mieszkania. Dodał przy tym, iż jest dlań rzeczą absolutnie konieczną dostać się do tego mieszkania.

Poradziłem mu, aby zapomniał o podobnym pragnieniu i natychmiast wyjechał do Wilna, gdzie pozostawił żonę i córkę. Gdy zaś napomknął, czy nie pójść mu samemu do Gestapo i prosić o ten pęk kluczy — nazwałem ten zamiar szaleństwem i raz jeszcze poradziłem mu, aby nie odkładając opuścił Warszawę.

Na trzeci dzień zjawił się znowu przy ulicy Wiejskiej, tym razem prawie nie do poznania zmieniony: mętny wzrok, twarz napuchnięta, włosy w nieładzie, ubranie zmięte. Po wejściu do mego gabinetu nie usiadł, lecz raczej zwałił się niby worek na zaproponowane mu krzesło. Urywaniem głosem zaczął jeszcze raz prosić, aby okazać mu pomoc w odzyskaniu kluczy do fatalnego mieszkania... Zjawienie się jego wstrząsnęło mną. Miałem nadzieję, że posłuchał rady i ulotnił się z Warszawy... Powiedziałem mu wprost, że kluczy nigdy nie odzyska, a pozostając dalej w Warszawie wystawia siebie na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Wszedł chwiejąc się na nogach. Po trzech dniach pojawiło się oficjalne ogłoszenie o jego rozstrzelaniu przez Gesta-

po... Nie wiem, co ciągnęło go na ulicę Zgoda. Wspominał o jakiejś walizce, którą za wszelką cenę chciał stamtąd wynieść. Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób mógł sobie uroić nadzieję na odzyskanie nieszczęsnego pęku kluczy. Wiem natomiast, że moja rada, aby wracał do Wilna, nie mogła go uratować".

* * *

Woyciechowski — na podstawie informacji uzyskanych od wdowy — prostuje zarówno moją, jak Korbońskiego wer-371

sję, że botanik, docent Tadeusz Wiszniewski, w którego zielnikach ukrywane było archiwum KWC, żonaty był z córką Fieoktysta Kotlarewskiego. Żonaty był z siostrą braci Kotlarewskich rozstrzelanych przez Niemców. Był zatem nie zięciem właściciela mieszkania, lecz jego szwagrem. Wiszniewska osadzona została zrazu na Pawiaku i przechodziła ponoć okropne badania. W miesiąc po straceniu męża i braci została również rozstrzelana.

Tyle, w niejakim skrócie, relacja Woyciechowskiego.

Relacja z Chicago. „Uciekaj!"

Otrzymałem list od rodaka z Chicago, datowany 20.6.1971 roku, w którym mi pisze, cytuję dosłownie:

„Pańską nową książkę Nie trzeba głośno mówić kupiłem robiąc dobrze, gdyż jest bardzo ciekawa. Po doczytaniu jednak do tego co się stało w Warszawie na ulicy Zgoda 6, zostałem osobiście poruszony, gdyż mieszkałem w tym domu i znałem osoby, które były w tym czasie uczestnikami ponurego dramatu, który się tam rozegrał..."

W następnej wymianie korespondencji, autor listu, zapytany przeze mnie, czy pozwoli przy powołaniu się na jego relację wymienić jego nazwisko — prosił, aby tego nie czynić, gdyż mógłby przez to pozbawiony zostać wizesy wjazdowej do PRL. Jakkolwiek jest to argument dla mnie co najmniej — nieprzekonywający... nie pozostaje mi nic innego jak zastosować się do jego prośby. Cytuję go więc dalej pod prowizorycznym nazwiskiem, powiedzmy „Kruk".

Owóż Kruk twierdzi, że najazd Gestapo, który nastąpił w nocy, był dosyć szczególny: „gestapowcy wyraźnie się spieszyli". Aresztowali wszystkich, mieszkanie opieczętowali, ale nie dokonali w nim rewizji i żadnych rzeczy nie zabierali. A w mieszkaniu — jak utrzymuje — „pełno było bogactw": dywany, futra, biżuteria itd. Brat aresztowanego, Jewgienij Kotlarewski, który miał szczęście nie nocować akurat w domu, zastał nazajutrz plomby na drzwiach mieszkania. Na podstawie dalszej relacji Kruka da się odtworzyć następujący obraz zdarzeń:

Dozorcą domu przy ulicy Zgoda 6 był w tym czasie Bronisław Stachura. Zrozpaczony Jewgienij Kotlarewski zaszedł do Stachury właśnie w czasie, gdy był tam Kruk.

— Co robić, co czynić?... Panie Bronisławie.

372

Jak to było w zwyczajach ówczesnej Warszawy, rzadko obywało się bez wódki. Przyniesiono więc takową z pobliskiej

restauracyjki, a także „zakąską kielbasę”. Stachura wyjął z szafy kieliszki, a Kotlarewski mówił:

— Moi panowie, przez ten areszt brata jestem zrujnowany. W tym mieszkaniu mam wszystko. Ubrania, bieliznę, pieniądze, papiery. W żadnej robocie, którą prowadził brat, nie uczestniczyłem, nie maczałem palców...

Wypili po jednym, po drugim; zakąsili.

— Jestem niewinny — ciągnął Kotlarewski. — Chyba pójdę sam do Gestapo, aby otwarli mi mieszkanie i pozwolili zabrać rzeczy, albo wydali mi klucze...

Kruk i Stachura zerwali się jednocześnie z kieliszkami w rękę z kanapy, na której siedzieli:

— Panie! Bój się pan Boga! Toż sama Opatrzność uchroniła pana przed aresztowaniem, a pan sam chce się pchać w ich ręce?! Człowieku, nie bądźże wariatem, szaleńcem!

Ale Kotlarewski zaczął się upierać. Szczególnie chodziło mu o jakąś walizkę. Głuchy na wszelkie perswazje, powtarzał jak naiwne dziecko: „Jestem niewinny, idę po klucze...”

— W takim razie nigdy już więcej pana nie zobaczymy...

— odpowiedział mu Stachura wprost.

Kotlarewski poszedł. Tamci panowie pozostali jeszcze przy kieliszkach i zakąsce. Czas w takich wypadkach szybko leci. Jakież było ich bezbrzeżne zdumienie, gdy coś po dwóch godzinach Kotlarewski zjawił się ponownie, cały i zdrów, „tyle że dziwnie zamyślony”...

— Nie wiem, co to ma wszystko znaczyć... — zaczął swą opowieść. — Gdy zjawiłem się w urzędzie Gestapo, wartownik obmacał mnie przepisowo dokładnie, wylegitymował i skierował do kancelarii obok. Przy biurku siedział jakiś feldfelbel czy Scharfuhrer SS. Prócz niego nie było nikogo w pokoju. Sądzę, że musiał to być jakiś sudecki Niemiec czy zgoła Czech, bo rozumiał wszystko co mu mówiłem po polsku. Gdy wyluszczyłem całą sprawę, obejrzał się on odruchowo, choć nikogo nie było w pokoju i powiedział cicho tylko jedno słowo: „Uciekaj!”... Mimo woli posłuchałem i wyszedłem, nikt mnie nie zatrzymał. Ale teraz, po drodze, przyszła mi do głowy taka rzecz: czy on nie dlatego tak powiedział, że sam ma chrapkę na te wszystkie moje rzeczy? Ot co!...

Stachura złapał się za łysą głowę:

373

— Panie! Trafiłeś pan na porządnego człowieka i złóż dzięki Bogu! Ratuj swe życie i machnij pan ręką na te wszystkie swoje ciuchy! Dwa razy wyratowany ze śmierci, ciesz się, że żyjesz!...

* * *

W tym miejscu relacji Kruka nie umiem się powstrzymać przed bardzo niepopularną dygresją. Było bowiem dużo wypadków pod okupacją, gdy poszczególni Niemcy, często w najbardziej nieoczekiwanych okolicznościach i miejscach okazywali współczucie i pomoc, odbiegając swym indywidualnym postępkami od reguły okupacyjnego postępowania. Tam, gdzie w grę wchodziły miliony indywidualnych ludzi, był to ob-

jaw po ludzku rozumiały, a według praw natury rządzących światem („antropologii fizycznej”) inaczej być nawet nie mogło. W polskiej literaturze, zwłaszcza pamiętnikarskiej, każdy szlachetny postępek wroga zaliczany jest do rzeczy, o których „nie trzeba głośno mówić”, a już w żadnym wypadku pisać. Pamiętam, jak rozdzierał szaty Zygmunt Nowakowski nad Anglikami za wydanie książki Younga Rommel, jak się oburzał na feldmarszałka Sir Claude Auchinlecka za napisanie przedmowy do tej książki... Pamiętam, jak Władysław Studnicki skarykaturowany został w emigracyjnym druku jako świnia, za to, że wziął w obronę gen. Mansteina... Przypominam sobie, że gdy Stefan Badeni w cyklu swych wspomnień dał raz tytuł „Rycerski SS-mann”, jeden ze znanych pisarzy emigracyjnych nie mógł mu tego długo zapomnieć, przedrzeźniając w szyderczych grymasach w kilku, zdaje się, esejach... Pamiętam... itd. itd.

Cóż więc dziwnego, że potulny ludek ulicy stara się naśladować to odindywidualizowanie wspomnień. A jak sądzę, po prostu się lęka panującego kolektywu.

* * *

Wróćmy do relacji z Chicago.

Mimo perswazji i wykrzykników, Kotlarewski obstawał przy swoim. Opanowała go jakaś obsesja. Był jak zahipnotyzowany własną myślą. Coś go nurtowało, coś go gryzło, coś ciągnęło niewidocznymi sznurami:

— Nie! Ja pójdę jeszcze raz i zwrócę się do wyższego rangą gestapowca. Bo ten, diabli go wiedzą, Scharfuhrer musi mieć w tej sprawie jakiś ciemny własny interes.

374

Stachura chciał coś jeszcze powiedzieć, otworzył usta... i machnął tylko ręką z rezygnacją, jak się rezygnuje z rzeczy nieodwołalnie straconej.

Kotlarewski zatrzasnął drzwi i poszedł. By nigdy już nie wrócić...

* * *

Te dwie relacje uzupełniają się w zasadzie wzajemnie. Nie znamy kolejności w czasie pomiędzy wizytami na Wiejskiej i u dozorczy na Zgodzie. Ale rzecz naturalna, że był tu, był tam, może jeszcze gdzieś, jak człowiek opętany własną idee Juce, przesładującą go myślą, z którą się obnosi. Żadna z tych relacji nie wspomina poza tym, żeby okazał troskę o brata, lecz tylko: „klucze, waliza”. Co było w tej walizie?... Nie wiemy. Cokolwiek by w niej było wartościowego, pozostaje otwarte pytanie: jak człowiek inteligentny, wyrobiony życiowo, doświadczony wszystkimi przeżyciami swych pięćdziesięciu przeszło lat życia (i jakimi!) mógł być doprowadzony przez swą obsesję do poziomu naiwnego dziecka? Bo któż by mu dał ów pęk kluczy do opieczęowanego przez Gestapo mieszkania!... A gdyby nawet — założmy teoretycznie — puszczonego do mieszkania w eskorcie gestapowców, to przecie nie wydano by mu rzeczy bez uprzedniej ich rewizji... Z lokalu konspiracyjnego podziemia! I zabrano by mu nielegalne bogac-

two, tak samo jak tajemne papiery. Na cóż więc mógł liczyć? Pozornie historia nieprawdopodobna. Ale w tym wypadku nie historycznie, lecz właśnie powieściowo ciekawa. Jak bywają powieści o człowieku, bez względu na jego personalia i okoliczności zewnętrzne, traktujące o wiecznej zagadce jakiegoś „ja” w nigdy nieprzewidzianych reakcjach. Oto człowiek dwa razy dosłownie wyrwany śmierci, dla pęku kluczy...

Naturalnie, że na wojnie, w czas okupacji, w tamtej „dżungli” — jak ją niektórzy nazywali — dziwne wypadki występowały w bardziej skondensowanej formie niż w warunkach normalnych.

Co miał w tej walizce? Ach, dzisiaj, czy to nie wszystko jedno.

Piotr Czepycha? Ukraińcy?

Relacja Kruka sugeruje ponadto (wbrew wersji Korbońskiego, że centralę KWC wytropił agent Gestapo, Polak „L”, oraz mojej, że „Leśniewski”), iż miał tego dokonać Piotr Czepycha

375
pycha, Ukrainiec, pozostający na usługach Gestapo już od r. 1939, wszelako działający uprzednio we Lwowie.

Czepychę łączyły z Fieoktystem Kotlarewskim jeszcze przed wojną stosunki handlowe. Sprzedawał mu dywany, a zwłaszcza kilimy huculskie. Znał się on na ludziach i rzeczach. Zgodę 6 miał ponoć od początku na oku. Krążył w okolicy. On to miał przy okazji wytropić również pułkownika AL, Jana Strzeszewskiego, który zaszedł był do tegoż dozorczy Stachury, wybrał się stamtąd „po zagrychę do restauracji obok i nie wrócił...”

Jak to było — nie mówi się w liście wyraźnie. Ale Czepycha potrafił rzekomo tak pokierować sprawą, że koniec końców z watahą swoich Ukraińców miał przedostać się do opieczętowanego mieszkania i zabrać stamtąd wszystkie rzeczy i kosztowności. — Czy tak było istotnie?...

„... A oficyna tego domu została zburzona w końcu r. 1969. Łączę wyrazy szacunku...” — kończy się list z Chicago-

„Karząca ręka sprawiedliwości”...

Są jeszcze dwie relacje na ten sam temat. Jedna, ogłoszona dwadzieścia pięć lat temu w kwartalniku rosyjskim Nowyj Żwnałw Nowym Jorku w roku 1946, przez A. P. Welmina, nic nowego do sprawy nie wnosi. Opowiada tylko znany fakt rozstrzelania przez Gestapo obu braci Kotlarewskich i pobieżnie — znane okoliczności, w jakich to się stało.

Druga natomiast służyć już może za klasyczny przykład tej „dżungli” (jak ją niektórzy nazywają) informacyjnej o tamtych strasznych czasach. Chodzi o artykuł zamieszczony w komunistycznej warszawskiej Kulturze (nr 4/346 z 25 stycznia 1970) Romana Korab-Żebryka, „b. dowódcy 1 Brygady Wileńskiej AK”, który zresztą znalazł pewnych sympatyków i na emigracji. Otóż ów Żebryk w napaści na moją ostatnią powieść („Powieść Nie trzeba głośno mówić nie jest wolna od oburzających wypadków w dziedzinie, które powinny być dla

autora i niedosiężne i nietykalne. Mam na myśli przede wszystkim brudny paszkwil na naród radziecki..." itd.) wspomina również osobę Jewgienija Kotlarewskiego. A mianowicie, że zapadł nań wyrok podziemny, i dalej pisze dosłownie:

„Kotlarewski uciekł przed wyrokiem aż do Warszawy, licząc, że zabezpieczy go podwójna granica państwowa (po włą-

376

czeniu dystryktu Białostok do Rzeszy), oddzielająca Wilno od Generalnej Guberni. Ale i w Warszawie dosięgła go karząca ręka sprawiedliwości..."

Nie bardzo wiadomo, czy „b. dowódca 1 Brygady Wileńskiej AK" pisząc o „karzącej ręce sprawiedliwości" ma tu na myśli sam fakt rozstrzelania przez Gestapo. Czy też chce dać do zrozumienia, że zaszło tu pewne „pośrednictwo" w działaniu... które czasami zachodziło, a, jak wiadomo, szeroko stosowane było przez agenturę sowiecką, i o którym, oczywiście, mówić głośno jest zabronione? Czy też po prostu zdradza tę często typową, kompletną ignorancję w rzeczach, o których pisze, do dziś dnia nie mając pojęcia o okolicznościach, w jakich zginęli wszyscy lokatorzy fatalnego mieszkania przy ul. Zgoda 6 w Warszawie, łącznie z Jewgienijem Kotlarewskim? Wiadomości 1971 nr 40 (1331)

377

FRAZY ZE SCENARIUSZA:

„MÓJ PRZYJACIEL PAWEŁEK"

Umarł w Londynie Paweł Jankowski, długoletni szef kancelarii cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej na wygnaniu. W mowie potocznej, w każdym razie wszystkich starych znajomych, nazywany: „Pawełek". Czego on zresztą nie lubił.

— Przychodzi do mnie — opowiada — ten... no jakże mu... I prosi: „Panie Pawełku, czy nie mógłby pan..." Nie, odpowiadam, panie... Lu-lu, nie mogę. Co?

Przytakuje głową. Naturalnie w oczy nie świadczyło o dobrym wychowaniu mówienie „Pawełek". Ale poza oczami tak się istotnie przyjęło. I gdy z Londynu w roku 1975 dostałem telefon, brzmiał: „Umarł Pawełek!" — To już wiadomo kto, bo jeden był taki. Wilnianin. Jeden z najbliższych mi ludzi. Przegadaliśmy miliony chyba słów, z których większość na emigracji poświęcona była wspomnieniom o Wilnie. Nikt jak on nie zachował w pamięci: planu miasta, opisu powietrza jakim się tam oddychało, koloru nieba; ludzi, zdarzeń. Jeżeli chodziło o sprawdzenie jak ów zaułek nazywał się przed pierwszą wojną światową, wystarczyło zapytać (zadzwoić, napisać) Pawełka, a okazywało się, że „pierieulok"... np. „żandarm-skiej". Kto by pamiętał. (Ech, były czasy. Jeszcze po trzydziestu latach mówiło się: „Bądź przedwojenny, kolego"... tzn. sprzed pierwszej wielkiej.) Później komisja, bodaj pod przewodnictwem dyrektora archiwum Wacława Studnickiego (brata Władysława) przywróciła, częściowo wymyśliła, historyczne nazwy. Nie wszystkie się przyjęły. Tak główna ulica, Świętojerska (od kościoła św. Jerzego), po rosyjsku „Gieorgi-

378

jewskij Prospekt", przewana za niepodległości „Mickiewicza”, długo, długo w mowie miejskiej trzymała starą nazwę. A Pawełek mówił: „na Jerku”, bo tak się mówiło za sztubackich czasów. Zresztą za niemieckich czasów od roku 1915 bodaj: „Kaiser Wilhelm Strasse”, za litewskich „Giedymina” za pierwszych bolszewików „Stalina”; za hitlerowskich nie pamiętam już, czy „Adolf Hitler Strasse”? Za trzecich bolszewików, dziś, bodaj „Lenina”. — Proszę mi darować te „bodaj”, bo Wilno przechodziło od roku 1914 trzynaście razy z rąk do rąk, i ciągle jakiś inny sztandar powiewał z Góry Zamkowej. Trzeba by zapytać Pawełka, a on odszedł na zawsze.

Mówi się: wierzyć się nie chce! Mówi się słusznie. Ale jaka na to rada? Nie ma żadnej. I nie będzie nigdy. Telefon z Londynu: „Pawełek umarł”. Koniec. Tak jak on telefonował kilka lat temu: „umarł Michał!”. Tzn. Michał Pawlikowski z naszej ojczyzny najbliższej. Pochowany na Hawajach. A Pawełek w Londynie. Trzeba mieć fantazję, żeby pogodzić się z naturalnym obrotem rzeczy i życia.

Dzieciństwo łączyło nas tylko kocimi łbami pobliskich ulic. Nie było wtedy innych jezdni. A nie znaleźmy się jeszcze. Co niedzielę matka prowadziła nas na „sumę” do kościoła Misjonarzy, gdzie zasiadaliśmy (wstawali i klęczeli) w ławkach prezbiterium. — ... „Dominus vobiscum...” — odwracał od ołtarza twarz surową, jak z brązu wyciętą, ks. Songin, jeden z tych jakich mało się już widuje wśród nieugiętych ludzi świata, jeżeli gdzie jeszcze są. Pawełek służył mu do mszy. Tu się właściwie zaczyna opowieść, bo Pawełek był synem kościelnego czy zakrystiana w tym białobarokowym kościele; urodził się w tzw. murach pomisjonarskich. Wilno leżało na wzgórzach. My schodziliśmy do kościoła w dół, aż do ulicy Subocz, wówczas „Sierockiej” (był jakiś sierociniec w pobliżu). Ale z drugiej strony, za kościołem, pochyłość spadała dalej ogrodami pomisjonarskimi, chyba aż po rzekę Wilenkę. Widok stąd... mój ty Boże. Kiedyś, po upływie pół wieku, wyleciałem z Londynu o świcie na kontynent, i słońce, które wstało zapewne aż znad Norwegii, oświeciło nas z lewego boku, nad morzem, towarzyszyło do Belgii. Było coś zachwycającego, pamiętam, na wysokości dziewięciu tysięcy metrów widzieć łądy i morza w rym wczesnym oświeceniu. Napisałem o tym do Pawełka. A on mi odpisał, że dla niego najpiękniej-

379

szy widok na świecie był wiosną, z góry ponad rozkwitłe ogrody misjonarskie, gdy słońce padało od ulicy Bakszta, aż hen na drugą stronę, na domy i drzewa Zarzecza... Ja ten jego opis szczegółowy ukradłem i umieściłem w jednej z moich powieści.

Ksiądz Songin wydawał Gazetę Codzienną, zresztą o zabarwieniu endeckim czy chadeckim. Nigdy jej wtedy nie czytałem. Surową jak on sam. Pawełek miał dla niego respekt od dzieciństwa. I dopiero po latach zwrócił mi kiedyś uwagę, że „niezlomność” przed rokiem 1914 była jednak rzeczą łatwiejszą niż w latach późniejszych.

Wówczas się jeszcze nie znaliśmy. Ja poszedłem do wstępnej klasy ekskluzywnego w Wilnie prywatnego gimnazjum Winogradowa („Wilenszkaja Czastnaja so Wsiemi Prawami Winogradowszkaja Gimnazija”), w gmachu naszej ciotki, Pietraszkiewiczówny, naprzeciw św. Katarzyny. On do progimnazjum Kowaluka. Nie cieszącego się najlepszą opinią. Bo cóż to był „Kowaluk”!... Samo już brzmienie nazwiska. Ale ponoć — mówiono — o doskonałym programie nauczania. Nie mogę tego twierdzić, bo nie wiem na pewno, ale zdaje się, że — w tym wieku tak ważnym dla późniejszego wyrobienia — przemożny wpływ na Pawełka miała właśnie wspomniana postać ks. Songina. Z otaczającej od dzieciństwa atmosfery wyrósł Paweł Jankowski: „Polak-Katolik” w jednym słowie i znaczeniu sprzed pierwszej wielkiej. I pozostał nim do grobu w Londynie. Nie zaciekły, ale absolutnie zdecydowany. Linia prosta prowadziła go do Niepodległej Polski, jakby inaczej być nie mogło, jakby do rzeczy naturalnej. Przy całym dystansie wrodzonej inteligencji, do pewnych wynaturzeń i zgrzytów, jakie zachodziły pomiędzy patriotycznym ideałem a stopniami do ideału prowadzącymi,

* * *

W uroczystym nekrologu czytałem, że działał w POW za czasów pierwszej okupacji niemieckiej.

Istotnie. Zaczęło się od tego, że historia obróciła stronicę zakrwawionym palcem i rozpoczęła nowy rozdział. Po ciężkich walkach armia niemiecka zajęła Wilno we wrześniu 1915. Po raz pierwszy w życiu widziałem olbrzymią spontaniczną demonstrację uliczną. Wilno liczyło wtedy do 60% ludności żydowskiej. I ci Żydzi demonstrowali swoją radość wobec wkraczających Niemców. Ledwo koło Sali Miejskiej (prze-

p

robionej na szpital wojenny), oglądając się za siebie, mignęli w kierunku Ostrej Bramy ostatni kozacy ariergardy, gdy już „hoch zu Ross” (tłumaczy się na polski: „konno i zbrojnie”) wjeżdżał patrol czarnych huzarów. Trudno im było się poruszać w zbitym tłumie Żydów oblegających ich konie z okrzykiem: „Hoch, Hoch!!!”... Wyciągnięte ręce, czapki.

Było inaczej niż się o tym pisze potocznie, a czasem pomija milczeniem. Niemcy otworzyli pierwsze od stu lat w Wilnie szkoły polskie. W „pamiętnikach” etc. drobiazg ten jest opuszczony, zapewne ze względów stylistycznych. „Niemcy” należą w naszej literaturze patriotycznej do pojęć ujemnych; natomiast „szkoła polska” do pojęć pozytywnych. Nie rymują się więc stylistycznie z czasownikiem „otwarli”, rymując doskonale z czasownikiem „zamknęli”. Ale, oczywiście, szkoły polskie powstały nie samoistnie, z nieba, lecz za zezwoleniem nowych władz niemieckich. I to zaraz po ich wkroczeniu na jesieni 1915. Do tych szkół poszliśmy wszyscy z b. gimnazjów rosyjskich. Było ciasno. Każda klasa musiała być podzielona na kilka oddziałów, bo w jednej się nie mieściła. Byłem w klasie III, a Pawełek o klasę czy dwie niżej.

To prawda, co opisuje w swoim świetnym eseju Kazimierz Okulicz [Pamiętnik Wileński], że społeczeństwo polskie nastawione było w tym okresie przede wszystkim antyrosyjsko. Ale co to było „społeczeństwo”? Na one czasy: „panowie”. Zaś to co było pod spodem, czyli tzw. „ludzie prości” (z wyjątkiem Żydów, ale ci się wtedy nie liczyli), nastawieni byli prorosyjsko. Z powodu biedy, a nawet głodu, panującego zresztą na całym obszarze władania Niemiec-Austrii wskutek blokady Ententy. Na wsi odżywiano się siak-tak, ale w mieście nie mówiono wówczas, jak dziś w PRL, „ruskie”, tylko „nasi”. I oczekiwano z upragnieniem ich powrotu. Bywało, w noc głąchą wychodzono w kożuchu przed dom, aby posłuchać grzmotu armatniego od Smorgoń, na linii frontu. A nawet mówiono, że znad Narocza, gdzie poszła wiosną 1916 ofensywa rosyjska, dochodzą, słychać, odgłosy. Posłuchali, szli spać, milcząc. Gdy jednak na ulicach ukazywały się nagle rozklejone niemieckie wezwania do żołnierzy „Achtung Soldaten! Spionengefahr!” (Niebezpieczeństwo szpiegostwa), podmrużiwano wzajemnie okiem: „Znaczy się nasi napierają”... Ktoś to wymyślił, że to znak.

381

W szkole było inaczej. Nauczyciele z reguły byli „orientacji” państw centralnych, tzn. w praktyce austriackiej. Tak np. prof. Stanisław Cywiński, który wykładał łacinę (późniejszy znany endek, pobity przez oficerów legionowych „za obrazę Marszałka”) był wtedy super piłsudczykiem. Szkoła rosyjska traktowała nas jak dzieci. Nowa szkoła polska traktowała nas jako obowiązkowych patriotów. To czasem nudziło, gdy np. świetlana postać, dyrektor gimnazjum, prof. Stanisław Kościałkowski, zanim ukarał kogoś za psotę („na godzinę po lekcjach”), wygłaszał przedtem długą tyradę patriotyczną, co zabierało niepotrzebnie dużo czasu. („... Doczekałeś się wreszcie szkoły polskiej i oto jak się w niej zachowujesz...” etc. etc). W takiej atmosferze poczęła się szerzyć w szkole POW. Wyrośliśmy jeszcze w aurze XIX wieku. „Szpieg”, „szpicel”, „donosiciel” należało do najohydniejszych cech ludzkich; chyba nie było gorszych. Legendy patriotyczne, że coś podobnego uprawiano w szkołach rosyjskich — były i pozostały legendami. Znany był wypadek na uniwersytecie moskiewskim: zbierano na tacę kopiejki na pomnik Aleksandra II; pewien student rzucił demonstracyjnie zamiast monety, guzik; drugi doniósł o tym rektorowi. Student został natychmiast wyrzucony z uniwersytetu; ale nie ten, który rzucił guzik, tylko ten, który doniósł na tamtego. Słynna „Ochrań” to była dziecinna freblówka w porównaniu do NKWD i Bezpieki. Choć się odwraca do dziś dnia kota ogonem. POW wprowadziła termin „wywiad”. A zaczęła sięgać i do najmłodszych klas. Naturalnie słowo „tajemnica” miało fascynującą siłę przyciągającą. Coś jak powiązanie kryminału z powieściami Walerego Przyborowskiego. Przy tym jeden przed drugim robił minę „wtajemniczonego”. Nie pamiętam kiedy weszło w powszechne użycie słowo „konspiracja”.

Tak więc według nekrologu, zgodnie z prawdą, Pawełek należał do POW. Wówczas teren od kościoła Misjonarzy aż do mostu kamiennego na Rosse, łącznie z klasztorem SS Wizytek (zabranym po r. 1863 na klasztor prawosławny, z którego Niemcy teraz wyrzucili wszystkie rosyjskie mniszki), z pałacem po hrabiach Czapskich (sprzedanym przez nich w r. 1908 starowerskiemu milionerowi Pimonowowi) zajęły wojskowe warsztaty niemieckie dziesiątej armii. Tamże obóz jeńców rosyjskich. Tamże instytucja budząca w nas szczególną wesołość swoim nadpisem, łąčeniem słów w jedno:

382

„Pferdekadaverwertungsstelle" — trzydzieści liter w jednym słowie! Oznaczała: miejsce zużytkowania (przeróbki?) trupów końskich. Ponoć na mydło. Otóż pierwsze zadanie jakie POW dała Pawełkowi, który tam się ciągle kręcił, było: ukraść lornetkę polową oficerowi niemieckiemu.

Proszę sobie wyobrazić ten przełom w przejściu z wieku XIX do XX. Pawełek miał wtedy lat jedenaście. Naturalnie dla ojczyzny zdobywało się „Olszynkę Grochowską", szarżowało w „Bitwie pod Raszynem", ginęło z generałem Sowińskim w kościółku na Woli, wylatywało w powietrze z „Redutą Ordo-na" i wiele innych rzeczy. Ale: ukraść? Przecież kto kradnie, nazywa się złodziej. Pojęcie leżące gdzieś, het daleko, poza wszelkim nawiasem wychowania, przykazań, przyzwoitości już nie tylko uczciwego, ale po prostu normalnego człowieka. O takich rzeczach przy dzieciach mówiło się szeptem. I jedenastoletni Pawełek tego pierwszego rozkazu POW nie wykonał. — Bał się? — spytałem, gdy mi to opowiadał. — Nie, wstydzilem się.

(Niedawno ktoś mi próbował wykazać na podstawie dokładnej analizy z Pana Tadeusza ksiąg VIII i IX („Zajazd" i „Bitwa"), że takie moje, i nie tylko moje, zwroty, jak „przełom" w historii etc. eta, to najczęściej pusta retoryka. — „Niech pan przeanalizuje — powiada — szczegóły postępowania tamtych ludzi, a odnajdzie najwzorzystsze wzory późniejszych organizacji bojowych i POW, i AK, i innych, i u innych, aż do naszego schyłku XX wieku... — Kiedyś może przytoczę jego argumenty.)

* * *

Nastał rok 1917. A jednak obstaję przy tym, że rozpoczął nową erę, która trwa do dziś. Ale tymczasem przyszła Wielka-noc 1919. Jedna z najpiękniejszych w życiu. Był kwiecień. Nas, ułanów Dąbrowskiego, nie puszczano na wyzwolenie rodzimego Wilna. Staliśmy w Prużanie, na wschód od Puszczy Białowieskiej. Na mokrych łąkach rozkwitły żółte kaczeńce; za drewnianymi płotami drewnianych miasteczek — czeremcha. Dawno już przyleciały skowronki; na wilgotnych skibach gospodarzyły białodziobe gawrony; szpaki wydzierały się w sadach. Słowem, dyszało się wolniej, cieplej, po wiosennemu. Na wyzwolenie „miłego" Piłsudskiemu miastu posłano pułki legionowe, przeważnie temu miastu obce. Nas rzucono na Baranowicze, dalej na Swojatycze. Przekraczając po raz

pierwszy dawne okopy wielkiej wojny i patrząc z siodła na to co tu się działo i jeszcze pozostało po tamtych latach starego frontu — drutów, żelastwa, blachy w zrytej armatami ziemi, szmat, brudu, drewna, smrodu, rdzy i zawalonych ziemianek — z respektem można było wyobrazić sobie wsiąknięte tu wiadra krwi. Przeszliśmy śmietnisko wojny, wspięli na przeciwległe wzgórze, i znów poszli po rozkwitających błoniach, nad którymi czajki latają jak mewy nad morzem.

Ja miałem wtedy lat szesnaście. Pawełek czternaście. W czas wojenny to ogromna różnica wieku. Dlatego nie był z nami. Pozostał w Wilnie. Ale czytałem w nekrologach, że brał on czynny udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W liście do mnie z 2 kwietnia 1969 w ten sposób opisywał Pawełek ten swój udział w wojnie:

„Tegoroczna Wielkanoc miłe chwile przypomina sprzed 50 laty w Wilnie. W Wielką Sobotę już o 6-ej rano wyskoczyłem z „paradnych” drzwi (bo brama była od zaułka Ś-to Michalskiego) domu nr 27 przy ul. Zamkowej {naprzeciw dzwonnicy kościoła św. Jana) i doszlusowałem do biwakujących już pod dzwonnica łąnow Beliny. Z nimi później pętałem się najpierw na odcinku Zamkowej do placu Katedralnego, a później „posuwałem się” aż pod most Zielony; nawet popychałem połówkę, która strzelała za ten most i byłem świadkiem jak Kopański, dzisiejszy generał, stracił tam oko. Zniknąłem wtedy z domu na całe dwie doby. Uważano nawet już mnie za zabitego i „trupa” szukano. Aż tu „trzeciego dnia zmartwychwstałem” i spotkałem się z reprimendą”.

Więc bez patosu. A jednak Pawełek należał do pierwszego rzędu tych „urodzonych w niewoli”, którym ta wolna Polska jakiej wreszcie dożył należała się koniecznie. To nic, że ze wszystkimi jej brakami i rozczarowaniem.

* * *

Dziś nazywa się to w PRL „awansem społecznym”. Wtedy tak się nie nazywało. Jankowski zaczął od służby w Delegaturze Rządu, później przemianowanej na Urząd Województwa Wileńskiego. Był ponoć wzorowym urzędnikiem i lubianym kolegą. Przypomina mi się, na marginesie tego okresu, wątek pewnych fragmentów. Np. serdeczna przyjaźń jaka łączyła Pawełka z podkomisarzem policji konnej, Wiktorem Bibiło. Oto kroczą spacerkiem po Mickiewicza; Bibiło wysoki, przystojny, w świetnie dopasowanym mundurze, lśniących bu-

tach z ostrogami, przy lśniącej szabli; Jankowski niższy, uśmiechnięty na przywitanie jak księżyc.

W tej przyjaźni maczałem trochę palce. Bo zaczęło się tak: będąc początkującym dziennikarzem, aktualnie telefonicznym korespondentem warszawskich organów Fryzego Kurier Poranny i Przegląd Wieczorny, co nieco — to przyznam — rozdałem incydent graniczny z Litwinami w miejscowości Podgaje. Nie było jeszcze KOP-u. Na granicy stała policja graniczna. Komendantem odcinka był, wówczas aspirant, Wi-

ktor Bibiłło. Zrobiłem z niego prawie bohatera na zagrożonej granicy państwowej. Doszło do tego, że krakowski IKC —który dla nie znanych mi powodów zwalczał Władysława Raczkiewicza, przejściowo ministra spraw wewnętrznych — zamieścił na pierwszej stronie wielką karykaturę pt. „Śpiący minister”: Raczkiewicz śpi rozwalony nad biurkiem, a gdy mu meldują, że na granicy niepokój, odpowiada: „Nie przeszkadzać spać. Bibiłło sam się z tym załatwi”... Po takiej reklamie Bibiłło awansował. A że był z kawalerii, dano mu policję konną. Pierwszy maja stanowił zawsze jego występ reprezentacyjny: na jasnym kasztanie, z szablą w ręku, cwałował na czele swej policji konnej rozpędzając awantury komunistów i „drobnerowców” wileńskich. (Jakoś nikt nie był nawet ranny.) Bliska przyjaźń Pawełka z Bibiłło utrzymała się aż do następnego awansu, gdy Bibiłło mianowany został komendantem policji w Lidzie. „Miasto przemysłowe”, niecałe dwadzieścia tysięcy mieszkańców, fabryka wyrobów gumowych, jeszcze tam jakaś; huta szklana „Niemen” w pobliżu... Proszę mi nie przerywać w snuciu marginesowego wątku. Bo mam teraz kamyczek w ogródek innego przyjaciela, znakomitego pisarza Janusza Kowalewskiego, który na ostatnim Jury nie uzyskał nagrody za „najlepszą książkę 1974 roku”.

Otóż Kowalewski w swej Drodze powrotnej na str. 138 i dalszych wybiela pośrednio pp. Szuriga i Biernackiego, i organizację „naprawiacką” ZZZ (Związek Związków Zawodowych) Moraczewskiego etc, oburzając się, że przezwano ją „Zubatowem polskiego ruchu robotniczego”. Ja bym się tam bardzo nie oburzał. Bo było tak:

Pojechałem do Lidy dla napisania reportażu o „rewolucji” jaka tam wybuchła i opanowała miasto. Władzę przejęły bojówki rewolucyjne. Domy w czerwonych flagach. Fabryki okupowane przez strajki. Na ulicach patrolują uzbrojone

bandy w czerwonych opaskach. W biały dzień suwerennej Polski. Co to jest?!... Poszedłem, pierwsza rzecz, do naszego przyjaciela, komendanta policji, komisarza Bibiłło. Zamknął skrętnie drzwi swego gabinetu i półgłosem: to on pyta mnie, czy ja nie wiem przypadkiem, co to jest... Pokazuje mi ściśle tajny rozkaz jaki otrzymał ze starostwa: wycofać z miasta policję... w żadnym wypadku nie ingerować przeciwko demonstracjom i wystąpieniom robotniczych ZZZ... etc. etc.

— Hmm... — mruknąłem, zwracając tajną instrukcję.

— Ale jaka moja sytuacja... Co ja mam powiedzieć moim policjantom?!... Wstyd pali. Przecież rozruchy na ulicach, formalna rewolucja!

W taki to sposób próbowano u nas „przelicytować” anty-sanacyjny front PPS i komunistów, przez sanacyjne pomysły „Związku Związków Zawodowych”. Ta tradycja działania z obchodzeniem prawa, skłonność do konspiracji kuchennymi drzwiami, ta predylekcja do „ściśle tajnych” pomysłów w głowach poniekąd rządzących państwem była jednak trochę drażniąca. Nie, idealnie nie było.

— Idealnie jest, podobno, tylko w niebie. Co? — zareplikował Pawełek. To było charakterystyczne to jego krótkie „co?”, gdy chciał coś podkreślić.

W tym czasie był już w Warszawie. Ja zaś jakoś nie spotkałem już więcej naszego wspólnego przyjaciela. Lata później przeczytałem tylko nazwisko „Bibiłło...” na liście jeńców z obozu w Ostaszku, wymordowanych przez bolszewików w roku 1940.

* * *

Złożyło się, że ten sam Władysław Raczkiewicz — któremu IKC za wzór stawiał aspiranta Bibiłło — szczególnie ocenił, gdy był wojewodą, Pawła Jankowskiego. A gdy został marszałkiem senatu, zabrał go do Warszawy do Biura. Tu już się zaczęła mała kariera. Nawet wyjazd na Maderę. Któż mógł przewidzieć wtedy, gdy jechał przez Paryż, że to w tej Zachodniej Europie „przyjdzie się” — mówiąc z wileńska — tak wkrótce zacząć, i dokonać drugiej połowy życia.

Los emigrancki: przekroczenie granicy do Rumunii, z pieczęciami i aktami senatu. 2 Dywizja Strzelców we Francji, Brygada Spadochronowa w Anglii. Znów odwołanie przez Raczkiewicza do kancelarii cywilnej Prezydenta. Pawełek zostaje jej szefem; później również przy Zalesiam i Ostrowskim.

386

Można by dużo napisać pochwał na temat jego pracy i działalności w Londynie. Czytelnicy poczytaliby zapewne za zwrot przynależny do stylu nekrologu. Nie wolno jednak zapomnieć, że w tej skrzącej i bardzo wielostronnej działalności, Jankowski masę zrobił w „sprawie Katynia”. Jego korespondencja dotycząca mordu katyńskiego, zwłaszcza z Ameryką, do kongresmanów, senatorów, z Departamentem Stanu, i przed, i po powołaniu Specjalnej Komisji w roku 1952 — należy chyba do najobszerniejszych w emigracji. Choć mniej znana na zewnątrz. Z tej strony zawdzięczam mu też dużo w moich późniejszych badaniach, pozostając z nim w ciągłym kontakcie.

Naturalnie, z chwilą, gdy rząd polski przestał być uznawany przez mocarstwa, i po tym wszystkim co wiemy, życie i praca przy 43 Eaton Place odbywały się za ledwie z wiązaniem końca-z-końcem. Bardziej honorowa niż płatna. A teraz użyjmy patosu: dla Polski, której Pawełek nie wyobrażał sobie innej niż od dzieciństwa, gdy jeszcze odmówił dla Niej kradzieży lornetki. Musiała być suwerenna i niepodległa. Sądzę, że po prostu organicznie nie potrafiłby siebie umiejscowić gdzie indziej niż wśród wykpiwanych „niezlomnych”.

Gdy jeszcze był średnim urzędnikiem przed rokiem 1939, bardzo różni chadzali już w blaskach i zagarniali beneficja II Rzeczypospolitej. A przeczekawszy trochę, poszli po beneficja „Polski Ludowej” pod polskimi bolszewikami. Oto dom ofiarowany „w hołdzie Wielkiemu Pisarzowi”, Melchiorowi Wańkowiczowi. Ale jaki dom, jaki dom! Czytamy w warszawskiej prasie: salony i saloniki, oszklone hale, gabinet, biblioteka, boazerie, ach! luksusy. A wokół trawniki, modrzewie, srebrne

świerki, bukszpany, rododendrony, drzewa owocowe... Pergo-
la, gdzie się jadło w ciepłe dni, bywało z dostojnymi mini-
strami komunistycznej partii. A oto i małe menu, czytamy
dosłownie: „bliny z łososiem, indyk z rożną z pieczonymi
brzoskwiniami, kuropatwy, udka żabie, ośmiornica...”

— Tfu, paskudztwo! — splunąłem.

— Ech, szkoda słów. Co?!

Nie jestem pewien, czy szkoda. Może właśnie odwrotnie:
za mało się mówi prawdy o tym — rzekomo — „walczącym
Kraju” przez duże K. Ale to już inny scenariusz.

* * *

387

Pawełek umarł jak przystało na emigranta. W angielskim
szpitalu na ubezpieczenia lekarskie. Trochę podniosłych fra-
zesów na londyńskim cmentarzu. Długoletni jego kolega,
Bohdan Wendorff, ładnie napisał w naszej Rzeczypospolitej
Polskiej: „Niech... Matka Boska Ostrobramska, której był tak
oddany, wstawi się przed Najwyższym za Jego duszę”.

Wiadomości 1976 nr 3 (1955)

388

JÓZEF MACKIEWICZ

KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI

1902 1 kwietnia (19 marca starego stylu) urodził się
w Petersburgu. Do metryki wpisano mu: „syn
potomstwennych dworzan wilenskiej gubernii”.
Ojciec, Antoni, był współwłaścicielem i dyrekto-
rem firmy importującej wina „Fochts i Ska”. Mat-
ka, Maria z Pietraszkiewiczów, pochodziła z
Krakowa.

1907 Mackiewiczowie przenoszą się do Wilna. Dzieciń-
stwo spędził Józef w otoczeniu licznej rodziny,
którą dopiero późniejsze wypadki miały podzielić
na Polaków, Litwinów i bolszewików, dzieląc na
zawsze granicami państwowymi, a jeszcze bar-
dziej ideologiami. Mąż jednej z kuzynek Mackie-
wicza był ministrem spraw zagranicznych
nacjonalistycznej Litwy, mąż innej — szefem
GPU w Mińsku.

1910 Zaczyna uczęszczać do gimnazjum klasycznego
Winogradowa.

1914 Śmierć ojca.

389

1915 5 września Niemcy wzięli Wilno. Gimnazjum Wi-
nogradowa ewakuowano do Moskwy, Mackiewicz
przechodzi do szkoły prowadzonej przez prof.
Stanisława Kościałkowskiego.

1919 1 stycznia niespełna siedemnastoletni uczeń
VI klasy gimnazjum idzie jako ochotnik na wojnę
z bolszewikami. Służy w 10 pułku ułanów
Litewsko-Białoruskiej Dywizji, następnie — na
własne życzenie — zostaje przeniesiony do
13 pułku majora Dąbrowskiego. Po stronie pol-

skiej w tej wojnie walczyli także Kozacy kubańscy i ochotnicy rosyjscy. Zetknięcie się z nimi miało wpływ na późniejszą twórczość literacką i na poglądy polityczne Mackiewicza

1920 15 lipca — 13 pułk osłania odwrót wojsk polskich z Wilna.

1921 Mackiewicz rozpoczyna studia przyrodnicze na Uniwersytecie Warszawskim, kontynuuje je w Wilnie. Jak twierdził, właśnie studia przyrodnicze uprzytomniły mu całą niedorzeczność nacjonalizmów.

1923-39 Praca w wileńskim dzienniku Słowo, redagowanym przez starszego brata, Stanisława. Działalność dziennikarska Mackiewicza była poświęcona głównie walce z administracją polską, starającą się zniszczyć wielonarodowościową i wielowyznaniową mozaikę dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego w imię „polskiej racji stanu”.

1924 Ślub z Antoniną Kopańską. Małżeństwo rozpadło się po kilku latach.

1932 Śmierć matki.

1933 Poznaje i wkrótce poślubia Barbarę Toporską (ur.1913), dziennikarkę, pracującą w Słowie.

390

1936 Tom nowel 16-go między trzecią i siódmą

1938 Bunt rojstów — wybór reportaży, które pisywał dla Słowa.

1939 17 września, na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej, ucieka do Kowna.

25 listopada, po zajęciu Wilna przez Litwinów, zaczyna wydawać (będąc zarazem redaktorem) jeden z dwóch polskich dzienników, Gazetę Codzienną Z o wiele mniejszym powodzeniem niż przed wojną (ze względu na znacznie bardziej radykalny nacjonalizm administracji litewskiej) stara się walczyć o utrzymanie charakteru kraju.

1940 Maj — Rząd Republiki Litewskiej pozbawia Mackiewicza prawa wydawania czegokolwiek.

15 czerwca — Powtórna okupacja sowiecka.

Żyje w nędzy, pracując jako drwal i woźnica.

1941 Lipiec — niemieckie władze okupacyjne proponują Mackiewiczowi redagowanie pisma w języku polskim. Odmawia kategorycznie.

W wydawanym przez władze niemieckie po polsku Gońcu Codziennym zamieszcza kilka tekstów, m. in. „Moja dyskusja z NKWD” i „Prorok z Popiszek”, które po wojnie wykorzystał w powieści Droga donikąd. Publikacje te stały się powodem oskarżeń o kolaborację z hitlerowcami.

1943 W maju na zaproszenie niemieckie i za zgodą polskich władz podziemnych jedzie do Katynia,

by być świadkiem ekshumacji zwłok oficerów polskich. Po powrocie udziela Gońcowi Codziennemu wywiadu pt. „Widziałem na własne oczy”. Jesienią jest przypadkowym świadkiem masakry Żydów w Ponarach.

1944 W maju, aby uniknąć drugiej okupacji sowieckiej, Mackiewiczowie przedostają się do Warszawy. 391

wy. Tam wydali trzy numery pisma Alarm, w którym dowodzili, że klęska Niemiec na froncie wschodnim przed kapitulacją na Zachodzie będzie końcem nadziei na niepodległość wszystkich krajów, z Polską włącznie — grozi im mianowicie okupacja sowiecka. Było to oczywiście sprzeczne z polityką Rządu Polskiego na Uchodźstwie.

Jesienią dotarli do Krakowa, gdzie Mackiewicz napisał broszurę Optymizm nie zastąpi nam Polski.

1945 18 stycznia — Armia Czerwona zbliża się do Krakowa, Mackiewiczowie uciekają „przed wyzwoleniem” na Zachód. Docierają do Rzymu, gdzie (na zlecenie Biura Studiów II Korpusu gen. Andersa) Mackiewicz opracowuje białą księgę o zbrodni katyńskiej.

Sąd koleżeński Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich uwalnia Mackiewicza od zarzutu kolaboracji.

Rzymski Orzeł Biały publikuje reportaż „Ponary-Baza”.

1946-47 Mackiewicz zaczyna drukować regularnie w pismach emigracyjnych, m. in. Lwów i Wilno, Wiadomości, Kultura (od roku 1951). Współpracuje też z prasą rosyjską, litewską, ukraińską i białoruską. Jego dorobek publicystyczny w ciągu czterdziestu lat przeżytych na emigracji jest ogromny.

1947 W kwietniu Mackiewiczowie przenoszą się do Londynu.

1951 The Katyń Wood Mwders — pierwsza książka na ten temat; ukazała się po angielsku, następnie była tłumaczona na wiele języków.

1952 Powołany przez specjalną komisję Kongresu Amerykańskiego do zbadania zbrodni katyńskiej jako świadek i ekspert zarazem.

392

1955 Mackiewiczowie przenoszą się do Monachium, gdzie mieszkali aż do śmierci. Żyli w biedzie, utrzymując się z mizernych honorariów.

Droga donikąd — powieść o życiu na Litwie, gdy stała się republiką sowiecką.

Karierowicz — akcja rozpoczyna się wprawdzie w ostatnim okresie wojny polsko-bolszewickiej, ale jest to powieść psychologiczna, bez tła polity-

cznego.

1957 Kontra — powieść o Kozakach, obywatelach ZSRR i emigrantach politycznych, którzy w wojnie sowiecko-niemieckiej walczyli przeciwko bolszewikom, a następnie zostali im wydani przez aliantów na podstawie układu jałtańskiego.

1962 Sprawa pracownika Miasojedowa, która z punktu widzenia chronologii otwiera wielki cykl powieściowy Mackiewicza, a zarazem obejmuje cały okres będący tłem wydarzeń pozostałych powieści. Jest to bowiem historia słynnej niegdyś sprawy Sergiusza Miasojedowa, straconego w czerwcu 1914 roku, a także dalszy jej ciąg — aż do bombardowania Drezna.

Własnym sumptem wydaje Zwycięstwo prowokacji — rozprawę o przyczynach rozprzestrzeniania się komunizmu w świecie.

1964 Zbiór nowel Pod każdym niebem (uzupełniony o kilka utworów przedwojennych, opatrzony posłowiem Barbary Toporskiej, ukazał się ponownie w roku 1989 pod tytułem Ściągaczki z szuflady Pana Boga).

1965 Powieść Lewa wolna o wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku.

1969 Powieść Nie trzeba głośno mówić — niejako dalszy ciąg Drogi donikąd — epicka panorama drugiej wojny światowej.

393

1972 W cieniu krzyża — książka analizująca politykę papieża Jana XXIII wobec komunizmu.

1975 I jej ciąg dalszy — o polityce Kościoła wobec komunizmu za pontyfikatu Pawła VI — Watykan u cieniu czerwonej gwiazdy.

1984 Wybór artykułów Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej Droga Pani..

Wybór opowiadań i reportaży Mackiewicza Fakty, przyroda, i ludzie.

1985 31 stycznia — Józef Mackiewicz umiera w Monachium.

20 czerwca — umiera Barbara Toporska. Prochy obojga złożono w Londynie.

394

SPIS RZECZY

Barbara Toporska: Fakty, przyroda i ludzie	5
Ponary — „Baza”	17
„Wil R e”	28
Na froncie w Smoleńsku.....	36
Dymy nad Katyniem	46
Getto wileńskie	70
Przestępca czasu wojny.....	80
„Padwieszut...”.....	88
Śnieg w Wilnie padał gęsty.....	96

Zaczynamy gnić.....	99
Łapani jak psy.....	106
Ludzie z głębszego podziemia.....	114
Wojna 1941.....	121
Egzekucja	128
U posiadacza dwunastu fajerek.....	133
Jeszcze jedno słowo honoru.....	138
Tu mówi Londyn.....	145
Wilnianie z dachu	153
Zielone i czarne dni Wisińczy.....	158
Okupacja sowiecka	165
UCIECZKA PRZED „WYZWOLENIEM”	173
Na drogę do Kalwarii.....	175
Więzienie, bazar, pole bitwy.....	184
„Ostturkmenische Waffen SS”	192
Masakra.....	199
W Mediolanie	207
Życzenia, które się nie spełniły.....	213
Czapka „połówka”	219
Na Marble Arch.....	223
Prowieniszki	228
Na emigracji	233
Zabawy dzieci	240
Na S.W. 1.....	243
Pochwała alkoholu.....	248
Spotkania	253
Mulka.....	263
Chłop	266
Zywica i nafta	269
Odkrywam nieznaną wyspę.....	278
Gdy byłem przezwany Makuszyńskim	290
Wycieczka do Europy.....	300
Początki „obrezu”.....	311
Zbrodnia w dolinie rzeki Drawy.....	331
Po latach na miejscu zbrodni nad Drawą.....	349
Listy z tamtych czasów	358
Zgoda 6 czyli pęk kluczy.....	366
Frazy ze scenariusza: „Mój przyjaciel Pawełek”.....	378
JÓZEF MACKIEWICZ	
KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI.....	389